

DRUGI TOM NIESAMOWITEJ NORWESKIEJ SAGI

LARS MYTTING



IRANINA
Z HEKNE

Lars Mytting pisze z taką
przenikliwością, empatią i uczciwością,
że niewielu może mu dorównać.

JO NESBØ

IARS MYTTING



IRANINA
Z HEKNE

TŁUMACZENIE
KAROLINA DROZDOWSKA



OTWARTE
KRAKÓW 2022

A nie masz nic zakrytego, co by się wyjawić nie miało, ani tajemnego, czego by się nie dowiedziano, abowiem coście w ciemnościach mówili, na świetle mówić będą.

Ewangelia według Świętego Łukasza

Gdzieś na tkaninie z Hekne widać też twoją twarz.

Astrid Hekne



Opowieść zapomniana

1611–1613

Ostrze przez karły wykute

Laugen zamarzyła na całej swojej długości, saniami jechało się wygodnie, więc podróż z Butangen do Dovre zajęła Eirikowi Hekne i jego córkom zaledwie trzy dni. Był rok 1611, dolinę przecinały tylko nieliczne ubite drogi, ale lód skuwający rzekę czynił z przepraw saniami wycieczki przyjemne i często wesołe. Napotkani w śnieżnej zadymce ludzie sądzili, że pod skórą z rena siostry tulą się do siebie dla zachowania ciepła, ale gdy robili postój, by dać wytchnienie koniom, dziewczęta nie wysiadały z sań, zaś gdy je pytano, ile mają lat, odpowiadały, że przyszły na świat w roku 1595, tyle że Halfrid latem, a Gunhild bliżej Bożego Narodzenia. Zostawiali ciekawskich z wyrazem zaskoczenia na twarzach i ruszali dalej, a gdy odjechali na tyle daleko, by nikt ich nie mógł usłyszeć, całą trójką wybuchali śmiechem. Chichot bliźniaczek pobrzmiwał dźwiękiem podwójnym, był jak dzwon o płaszczu z wesołości i o sercu wykutym ze smutku, dwoisty niczym wszystko inne w ich życiu, lecz nie tak gorzki jak krótkie parsknięcia w chwilach, gdy jedna z siostr miała na coś ochotę, a druga jej mówiła, by sobie po to poszła.

Pędzili konie dalej na północ i pod wieczór zatrzymali się niedaleko Sel, w gospodarstwie prowadzonym przez znajomych. Wtedy dopiero dziewczęta wygramoliły się z sań i na ziemi stanęły równocześnie cztery stopy. W pierwszej kolejności wygładziły fartuch, tak szeroki, że obie opasywał w talii, następnie zaś pokuśtykały do drewnianego domu, w którym czekało na nie szerokie łóżko.

Następnego dnia wstali równo ze słońcem, które zniknęło, gdy dojechali do wąskiej doliny Rosten, gdzie wszystko leżało spowite cieniem, a skalne ściany były tak niepokojące i nieprzyjazne, że musiał je wykuć w chwili wściekłości jakiś głęboko upokorzony olbrzym. Słoneczne promienie nie sięgały dna doliny i mówiło się, że letni dzień w Rosten nigdy nie jest cieplejszy od chłodnego październikowego poranka oraz że żyją tam jedynie istoty, które albo nie potrzebują światła, albo się go lękają. Góry wpadały tu prosto do rzek, które nigdy nie zamarzyły i wypełniały koryta białą pianą. Eirik prowadził konie stromą ścieżką w górę, przez głęboki śnieg, pomiędzy głazami, które kiedyś stoczyły się z wysoka. Ojciec, zwierzęta, córki i sanie – wszystko było białe od szronu, bo zamarzyły na nich kropelki wzburzonej wody, a rzeka szumiała tak głośno, że nic nie było słyhać i nic nie trzeba było mówić, bo ludzie w Rosten zadawali sobie tylko jedno pytanie: kiedy wreszcie z Rosten wyjadą?

Wkrótce jednak krajobraz się przed nimi otworzył, słońce wróciło na niebo, a konie i ludzie poczuli się raźniej, bo w końcu dotarli do drewnianych zabudowań majątku Lie, gdzie przyjęła ich ciotka dziewcząt. Kobieta ta była obecna przy nieznośnie długim, trudnym porodzie w Butangen, który skończył się tak, że jej siostra umarła, a baby zleciały się do izby, by zobaczyć ten dziw wijący się w matczynej krwi Astrid Hekne Starszej: dwie dziewczynki zrosnięte biodrami.

Dziewczynki te skończyły teraz lat szesnaście i miały zamieszkać w drewnianej chacie na wzgórzach nad Lie, w odpowiedniej odległości od ludzi, przy drodze, którą jeździło niewielu. Chata została świeżo pobudowana z myślą właśnie o nich, ściany z bali były równe i szczelne, ładnie od środka ociosane, jaśniejące świeżością i pachnące sosną. Jedna izba do spania i jedna do pracy. Dziewczęta oporządziły się, żartując przy tym jak zawsze. Gdy Halfrid poprosiła Gunhild, by dorzuciła do ognia drewna, siostra jej powiedziała: „Dobrze, ale ty idź za to po wodę”.

Już od najwcześniejszego dzieciństwa bliźniaczki zaskakiwały i radowały cały ród Hekne swoimi pięknymi tkaninami. Ale w Butangen i okolicznych wioskach najwyższą ceniono użyteczność i proste wzory, zaś Eirik chciał wdroić córki w liczącą setki lat kunsztowną sztukę, którą – z tego, co słyszał – uprawiano dalej na północ. Mieszkając u ciotki, dziewczęta mogły poznać najstarsze mistrzynię z Bøverdalen, Lesja i leżących pomiędzy nimi osad. Mamroczące, skrupulatne, zgięte wpół i często opryskliwe kobiety, strażniczki wielu setek lat dziedziczonej z pokolenia na pokolenie wiedzy o wełnie, barwnikach roślinnych i wzorach nazywanych na cześć chmur i błyskawic, tkanych w sposób, którego nie dało się wyjaśnić słowem mówionym ani zapisać literami, a którego można się było nauczyć, tylko siedząc blisko mistrzyni przez wiele tygodni, patrząc i powtarzając jej ruchy.

Wiele kobiet zamieszkujących północne rejony Gudbrandsdalen uprawiało, nie zdając sobie

z tego nawet sprawy, jedną z najbardziej wyrafinowanych form sztuki tkackiej w całej Europie. Siedziały miesiąc za miesiącem przed swoim warsztatem, prostą ramą, której nici wisiały na ciężarkach z przedziurawionych kamieni. W innych krajach rzemiosło to na mocy praw cechowych, a czasem i królewskich, uprawiać mogli wyłącznie mężczyźni, zaś tkaniny, które w północnej dolinie zwano plecionkami, w Europie nosiły miano tapiserii. Lecz przekonania ludzi w Europie obchodziły mieszkańców Gudbrandsdalen mniej więcej w tym samym stopniu, co zdarzenia na Księżycu, zaś każdy, kto wyraziłby jakieś w tej kwestii zastrzeżenia, szybko by odczuł, iż kobiety żyjące w tych stronach, tak ubogie, jak i bogate, nie nawykły raczej do uległości, są za to w stanie zgotować prawdziwe piekło najbardziej nawet cierpliwemu mężczyźnie.

Miesiąc za miesiącem kolejne mistrzynie odwiedzały siostry Hekne. Jasne dni schodziły im na tkaniu, ciemne wieczory – na przedzeniu przy palenisku, bo zawarty w wełnie tłuszcz miękł pod wpływem ciepła. Dziewczęta posiadały wiedzę o najrzadszych metodach pozyskiwania barwników, a ponadto – tak się mówiło – oglądały w półmroku tkaniny z czasów przedchrześcijańskich, dzieła opowiadające pradawne staronordyckie historie przy użyciu tajemniczych symboli i postaci zmiennoskórych czy istot będących w połowie człowiekiem, w połowie zaś zwierzęciem.

Te jednak nauki odbywały się w ciemnościach, zaś kolejnego poranka, przy pełnym świetle dnia, dziewczęta siadały do tkania obrazów przedstawiających motywy chrześcijańskie. Zawsze jedna przy drugiej, z szerokim, pięknie haftowanym fartuchem okrywającym talie i uda, a niezwykle zdolności ich palców uwidaczniały się już w innym każdego dnia splocie warkoczy, które robiły sobie nawzajem o wschodzie słońca, zaś rozpacz, którą w sobie nosiły, albo jeszcze nie dojrzała, albo trwała tak długo, że obie zdążyły się z nią pogodzić.

Mistrzynie wkrótce zauważyły, jak szybko i sprawnie pracują dziewczęta. Wyjątkowa umiejętność tkania na cztery ręce pozwalała im przeplatać nici szybciej niż komukolwiek innemu, a wszyscy, którzy je widzieli, pojmowali nagle, czemu miejscowy termin określający tkaczkę, *vevkjerring*, oznacza również pająka. W drugiej kolejności mistrzynie zaczęły dostrzegać niezwykłą więź łączącą obie siostry. Wszystkie ich ruchy były idealnie skoordynowane, myśl jednej stawała się zaraz rozpoznawalna dla drugiej, niczym cień jej własnej myśli, gdy jedna siostra wpadała na pomysł, druga zaraz pomagała wprowadzić go w życie. Kiedy natomiast się poróżniły, praca im nie szła, bo tkwały jak gdyby na przekór sobie nawzajem, tak że jedna nie mogła nic zrobić, bo druga zaraz ją powstrzymywała i niweczyła jej wysiłki, a że umiały też przewidzieć swoje ruchy i plany zemsty, żadna nie mogła się na drugiej odegrać, więc złość nie znajdowała ujścia, nierozegrana bitwa potrafiła zaś trwać póty, póki nie przerwała jej mistrzyni, wystraszona, że pięknie rozpoczęte dzieło zostanie do szczytu zniszczone.

Do tego czasu dziewczęta rzadko tkwały własne wzory, zaś zagadkowość motywów, z której potem zasłynęły, a która miała w pełni się wyrazić w tak zwanej Tkaninie z Hekne, wyobrażeniu nocy oskrobanej, ostatniego dnia świata, gdy Ziemia zostanie oczyszczona do nagiej skały, zaś żywi i umarli ruszą na sąd ostateczny – ta zagadkowość jeszcze się u nich nie ujawniała. Całą zimę tkwały trzech króli czy panny roztropne i nierozsądne i cieszyły się, gdy przyszła wiosna i lato roku 1612. Lato, które nadal trwało w najlepsze pewnej niedzieli pod koniec sierpnia.

Niedziela ta przeszła do historii. Gdyby opisane tu zdarzenia miały miejsce w sobotę, wszystko potoczyłoby się inaczej, bo niedziela to dzień, w którym mieszkańcy wsi mieli zwyczaj zbierać się w kościele. Wszyscy oprócz bliźniaczek, które z uwagi na swoją ułomność unikały raczej dużych zgromadzeń.

Dlatego też siostry nie widziały, jak lensman z Dovre robi coś nie do pomyślenia, czyli wpada do świątyni i przerywa nabożeństwo. I na tym nie koniec, mężczyzna nie zostawił bowiem swojego bojowego topora w kruchcie, ale zaniósł go przed ambonę, trzykrotnie uderzył drzewcem w podłogę i oświadczył, że kraj jest w stanie wojny. Od tego oto momentu.

Oddział kilkuset szkockich żołnierzy zszedł na ląd w Romsdalen i mijał właśnie wsie okolic Lesja w drodze do Dovre, lensman zaś obwieścił, że rozesłano wici na północ i południe doliny, a także do wszystkich dolin sąsiednich. Pastor oświadczył, że nabożeństwo zostaje odwołane, wierni opuścili kościół i jeszcze tego samego dnia każde gospodarstwo wystawiło do walki jednego mężczyznę, zaś

majątki w głębi doliny poczęły powoli pustoszeć, ludzie uciekali do chat na górskich pastwiskach, zostawiając tylko pojedyncze uwiązane cielęta. W tamtych czasach wiedzano, że żołnierze mają zwyczaj brać sobie bez pytania żywność, sprzęt i kobiety, lecz jednocześnie zaczęły krążyć plotki, że ci Szkoci zawarli pakt z samym diabłem, zabijają wszystkich napotkanych na swej drodze ludzi, palą domy, z których ci ludzie wybiegają, prowadzą psy rozrywające uciekinierów na strzępy i ucinają racice mlecznym krowom, by bawić się widokiem zwierząt kuśtykających na zakrwawionych kikutach, więc najlepiej będzie zostawić uwiązanego na podwórzu cielaka i pootwierać drzwi oraz okna w nadziei, że przybysze zadowolą się jedzeniem i miejscem na spoczynek, oszczędzając gospodarstwo.

Siostry Hekne zostały w swojej chacie. Czy to dlatego, że pragnęły chronić cenną tkaninę, czy też były tak powolne w ruchach, że stanowiłyby łatwy łup, gdyby wróg zechciał ścigać je do górskich pastwisk, czy może po prostu nie chciały uciekać z powodów, które już wtedy przewidywały – nikt nie był z nimi na tyle blisko, by to odgadnąć.

Następnego dnia przez Dovre przetoczył się hałaśliwy oddział ponad trzystu żołnierzy. Najpierw psy, potem jadący konno oficerowie w hełmach, z pistoletami i rapierami, za nimi nieregularna gromada wprawionych piechurów i młodych chłopców, następnie trochę kobiet, płatnerzy oraz rymarzy, na końcu zaś ariergarda doświadczonych weteranów popędzających wszystkich, którzy próbowali się ociągać.

Żołnierze wybrali sobie rzadko uczęszczaną drogę na zboczu doliny biegnącą tuż obok chaty sióstr Hekne. Dziewczęta musiały słyszeć miarowe uderzanie obutych nóg o ziemię, rzenie koni i mamrotanie, zdające się trwać w nieskończoność. Oddział prawie już minął chatę, gdy nagle jeden z oficerów zatrzymał konia i w powietrzu zadzwieczał rozkaz. Dwaj młodzi mężczyźni dostali do ręki po rapierze, wyszli z szyku i ruszyli w stronę drewnianej chaty, ariergarda zaś zatrzymała się, by na nich poczekać.

Weszli bez pukania.

Zabawili w środku zastanawiająco długo.

Tak długo, że oficer miał już słać za nimi kolejnych ludzi, ale w tej właśnie chwili obaj wyszli z chaty z opuszczonymi rapierami i bukłakami pełnymi świeżej wody.

Co tamtego dnia powiedzieli sobie ci czworo, wiedzą tylko oni. Pewne natomiast jest to, że młodzi żołnierze bywają z reguły czujni i często strachliwi, można więc podejrzewać, iż mężczyźni w pierwszej kolejności spytali, czy siedzące przy warsztacie tkackim dziewczęta to Norny, boginie przeznaczenia przędące nić życia każdego człowieka. Staronordyckie opowieści nadal były bowiem często powtarzane na wyspach, z których młodzieńcy pochodzili.

Zarówno oni, jak i bliźniaczki musieli się zapewne czuć zaskoczeni faktem, że potrafią się nawzajem zrozumieć. Oficerowie w oddziale byli co prawda Szkotami, lecz żołnierze pochodzili z Orkadów i Szetlandów, należących do Norwegii przez całe sześć wieków krain, gdzie język staronordycki nadal był powszechny w mowie, choć wyspy znajdowały się już pod szkockim władaniem.

Oddział ruszył dalej i tego samego wieczora rozbił obóz na pagórkach Kråkvolden, godzinę marszu na południe od chaty sióstr Hekne, żołnierze rozpalili ognisko, po czym zaczęli pić i uprawiać zapasy, co stanowiło zapewne zwyczaj odziedziczony po nordyckich przodkach.

Żaden Norweg nie wiedział natomiast tego, że żołnierze ci nie planowali opanować ich kraju. Zdążyli do Szwecji, gdzie mieli zostać najemnikami tamtejszego króla i walczyć po jego stronie w wojnie kalmarskiej. Po drodze nie palili ani nie zabijali, ale opinia potworów bardzo im się przysłużyła. Sprawa wyglądała bowiem tak, że wszyscy niemal żołnierze byli nieuzbrojeni, tylko nieliczni mieli doświadczenie bitewne, a większość oddziału stanowili wcieleni do wojska siłą ubodzy chłopcy, niektórzy wykupieni z więzienia, inni po prostu wyciągnięci siłą z domów.

Dowódca nazywał się Ramsay, pod nim służył zaś pułkownik Sinclair, który każdego ranka podpalał sobie na dłoni odrobinę prochu i wróżył z dymu, co też przyniesie nowy dzień. Norwegów się nie bali. Maszerowali przez ich tereny, bo taka podróż niosła mniejsze ryzyko niż morska przeprawa przez Skagerrak. Norwegia była splądrowanym, ubogim krajem, jałowym pustkowiem, którego wychudzeni mieszkańcy chowali się na widok obcych, tak przynajmniej uczyło ich dotychczasowe doświadczenie, czyż nie? Na ich drodze nie stanął ani jeden przeciwnik.

Tyle tylko że wieści nie rozchodziły się w tamtym czasie zbyt szybko, Ramsay i Sinclair nie mieli

więc pojęcia, iż zasiadający w Kopenhadze król Christian zaledwie osiem lat wcześniej stracił zupełnie wiarę w to, by ten nieprzejezdny, zimny, deszczowy i wietrzny kraj na północy byli w stanie obronić najemnicy, dlatego też wrócił do starego systemu zwanego leidang, organizacji wojsk na zasadzie pospolitego ruszenia. System ten nakładał na gospodarzy nie tylko obowiązek wystawiania żołnierzy do walki, lecz także uzbrojenia każdego majątku w broń palną. O postawieniu kraju w gotowość bojową informowały rozsyłane z góry zaplanowanymi trasami listy w drewnianych cylindrach zwanych „wojskowymi strzałami”, jeden ich koniec był przypalony na czarno, do drugiego zaś przytwierdzano miniaturową szubieniczną pętlę mającą przypominać, że gospodarz, który zaniedba obowiązek leidangu, zostanie powieszony na krokwi własnego domu, a jego majątek będzie podpalony.

Mężczyźni więc stawiali się do walki.

Wojskowe strzały dotarły do każdego najodleglejszego zakamarka Gudbrandsdalen już we wtorek i pięciuset chłopów żołnierzy zebrało się o dzień drogi na południe od Szkotów, na przesmyku Kringen, gdzie skaliste zbocze wpadało prosto do Laugen, zaś jedyne możliwą trasę przemarszu stanowiła wąska i kręta dróżka. W środe dotarli tam Szkoci, a ścieżka okazała się tak ciasna, że nie mogli maszerować ramię w ramię. Musieli więc iść dalej gęsiego, gdy zaś oddział rozciągnął się na całą swoją długość, w powietrzu zadźwięczał strzał i pułkownik Sinclair padł martwy. Tym, co ugodziło go w czoło, był guzik od ozdobnego kaftana, rodowe srebro przetopione na kulę, którą wystrzelono z wyposażonego w zamek kołowy arkebuza długości dwóch niemal metrów, strzelcem zaś był mieszkaniec Ringebu, człowiek przekonany, iż tylko srebro może zabić tego, kto sprzymierzył się z diabłem. Jedyńą, choć marną pociechą dla Sinclaira mogło być to, że przez kolejne stulecia uważano go za dowódcę oddziału, ponieważ jechał na samym przedzie.

Szkoci zostali zaatakowani z góry, bronią palną, włóczniami i toporami bitewnymi. Trzy godziny później połowa najemników była już martwa. W bitwie padła tylko garstka Norwegów. Szkotów, którzy przeżyli, poprowadzono na południe i zamknięto w stodole. Lensman wydał rozkaz, by powiesić ich aż do twierdzy Akershus i oddać tam w ręce królewskich, ale był sierpień, wszyscy mieli pełne ręce roboty przy żniwach, a gdy nocą wśród zwycięzców zaczęła krążyć wódka, podniosły się szepty, że konieczność eskortowania jeńców tak daleko wymagać będzie wielu strażników, zapasów i ekwipunku, poza tym wszystko potrwa tak długo, że ziarno zgnije na polach i zimą przyjdzie głód. To przecież niemożliwe, by król tak właśnie chciał się odwdziżyć swoim poddanym za obronę kraju przed najeźdźcą.

Następny poranek przyniósł pierwsze próby ucieczek, kłótnie pomiędzy strażnikami i jeńcami, potem sami strażnicy zaczęli się sprzeczać między sobą, a wszystko skończyło się tak, że Szkotów wyprowadzono ze stodoły dwójkami i zabito strzałami oraz ciosami włóczni.

W ciszy, która potem nastąpiła, zaczął się rodzić wstyd i strach.

„Dopomóż nam, Boże. Co myśmy zrobili. Wielki Boże. Co myśmy zrobili”.

Przerazili się sobą samymi. Tym, jak wielkie drzemie w nich okrucieństwo.

Oto, do czego jesteście zdolni. Nawet ja. Nawet ty.

Śmierci uniknęło osiemnastu ludzi, z czego trzech zostało odprowadzonych do Akershus, gdzie przedstawiciele władz wszystkie te wypadki zapisali, po czym zamknęli księgę. Było to wielkie zbrojne zwycięstwo, po którym nastąpiła masakra, i nikt nie lubił, gdy się przypominało krwawą łaźnię przed wejściem do stodoły. Minęło osiemdziesiąt lat, nim znów wspomniano na piśmie o Szkockim Pochodzie. Wrócił on wtedy do życia w wierszach i pieśniach, często wychwalających bohaterstwo obrońców kraju. Wyjątek stanowiła ballada, która dość szybko poszła w zapomnienie, traktowała bowiem również o tamtej straszliwej masakrze. Jedną z jej strof poświęcono młodemu chłopcu, który został oszczędzony. Wedle słów ballady, młodzieniec wyrwał się strażnikom, by samemu pójść ku uniesionej włóczni, mówiąc po norwesku:

„Gdy każdy z nas na sądzie przed Bogiem stanie duchem, niech będzie zapisane, żem Halfrid Hekne druhem”.

Można chyba przypuszczać, że to ten sam chłopak pojawił się w Lie kilka dni po bitwie. Miał paskudną ranę od noża i oświadczył, iż gotów jest pracować w gospodarstwie za wikt i opierunek. Jego brat został zabity pod Kringen, obaj pochodzili z ubogiego gospodarstwa na Hebrydach i popłynęli na Szetlandy za pracą – to tam znaleźli ich oficerowie werbujący siłą młodych mężczyzn. Oficerowie ci nie

mieli prawa ich ze sobą zabierać, mieli za to broń, której nie posiadali bracia. Gospodarze z Lie uwierzyli słowom chłopaka, dali mu kosę, siekierę, motykę i łopatę. Codziennie nosił wodę, drewno i jedzenie do chaty sióstr Hekne, lecz co dokładnie wydarzyło się następnej wiosny – to pozostaje niejasne. Ciotka dziewcząt dopilnowała, by sprawa nie trafiła na ludzkie języki, a jedynym człowiekiem spoza wsi, któremu o wszystkim opowiedziano, był Eirik Hekne. Ojciec bliźniaczek przybył do majątku w okolicach Bożego Narodzenia, by zabrać córki do domu, do tego zaś czasu rana zdążyła się już zagoić. Przynajmniej ta rana, z której sączyła się krew.

Ciotka powiedziała, że z chaty sióstr dobiegł nagle krzyk, krzyk obu dziewcząt, tak głośny i przeszywający, że zadźwięczał w całym gospodarstwie. Krewni zerwali się na równe nogi i popędziwszy na miejsce, znaleźli bliźniaczki przerażone i zalane krwią. Nie chciały powiedzieć, co się takiego stało, oświadczyły jedynie, że się skaleczyły i że nikt inny nie ponosi za to winy. Zrobiło się straszne zamieszanie, ranę trudno było opatrzyć i dopiero po południu zorientowano się, że młody Szkot gdzieś zniknął, ukradłszy dość jedzenia, by wystarczyło mu w drodze aż na wybrzeże. Najdziwniejsze były oczywiste ślady sugerujące, że chłopak w pewnym momencie wrócił do spichlerza i odłożył część jedzenia na miejsce, co uznano za znak, że początkowo planował zabrać ze sobą kogoś jeszcze, lecz potem porzucił zarówno sam plan, jak i drugiego uciekiniera.

Rana źle się goiła i dziewczęta długo leżały w gorączce, zaś to, że w ogóle przeżyły, zawdzięczały zdaniem ciotki faktowi, iż skaleczyły się ty samym nożem, którego używały do tkania, podarowanym im przez jedną z kobiet z Bøverdalen. Nóż ten był nie tylko „cudownie odnaleziony”, to jest upuszczony na gołą ziemię, a potem dostrzeżony i podniesiony dopiero, gdy poszedł w zapomnienie, ale również tak ostry, że w majątku nazywano go wykutym przez karły, mityczne istoty żyjące pod ziemią. Takie noże istniały w każdej wsi, rozsyłano je po gospodarstwach, bo miały podobno moc leczenia chorych zwierząt i ludzi, zaś ciotka bliźniaczek była przekonana, że ocaliły one życie właśnie dzięki pochodzeniu ostrza z takiej podziemnej kuźni.

Po tym zdarzeniu pomiędzy siostrami Hekne zapanowało niezwykle dla nich milczenie. Po raz pierwszy zaczęły tkąć osobne obrazy, z których dwa pierwsze miały wyobrażać podobno ich gorączkowe wizje. Niektórzy twierdzili, że szkocki chłopak wrócił do nich pewnej nocy i zostawił Halfrid jakiś prezent, przedmiot, który dziewczyna ceniła potem ponad wszystko inne. Nikt jednak nie wiedział, co to takiego było. Ojciec zabrał bliźniaczki do domu, a pod lodem, po którym jechali, rzeka Laugen płynęła nadal ku morzu, niosąc ze sobą kolejną tajemnicę z Gudbrandsdalen.

Po powrocie do Butangen dziewczęta zamieszkały w nowo wybudowanym w Hekne budynku. Postawiono tam warsztat tkacki, przy którym bliźniaczki spędziły resztę swojego życia. Tkanina z Hekne została podarowana po ich śmierci kościołowi i stanowiła najbardziej kunsztowną i zagadkową ze wszystkich ich prac. Później, gdy w kościele zawisły odlane i nazwane na cześć dziewcząt Siostrzane Dzwony, ludzie zaczęli się domyślać, skąd bierze się wielka moc stanowiąca o ich nierozłączności. Rozumieli, że spaja je ze sobą ta sama siła, która niegdyś spajała ze sobą bliźniaczki. Lecz jak rozpaczliwa potrzeba ucieczki się z tą nierozłącznością wiązała – tego nie był w stanie pojąć nikt, kto nie wiedział, co się wtedy stało na północy doliny. Dlatego też nieliczni tylko pojmwali, jak potężne moce doszły do głosu na łożu śmierci sióstr Hekne, gdy Gunhild ujęła dłonie Halfrid w swoje ręce i rzekła:

„Ty podziergasz szeroko, ja podziergam wąsko, a jak wszystko już będzie utkane, obie tu wrócimy”.

Opowieść pierwsza

Dzieci Srebrzystej Zimy

Oset

Niektórzy ludzie są uparci po śmierci tak samo jak za życia.

Kai Schweigaard schylił się i oparł kolano na Biblii. Zazwyczaj nie porządkował jej grobu w sutannie, ale teraz zauważył, że musiało przywiał tu oset, który wyrósł pomiędzy wrzosem i jaskrami. Nie pojmował, jak chwast dotarł aż tutaj, oset rósł tylko po drugiej stronie cmentarnego muru, wokół starych, nieoznakowanych nagrobków przestępców i samobójców.

Roślina, która tu wykiełkowała, była piękna. Niby bez życia, ale z liśćmi o barwie głębokiej zieleni i z cierniami.

Pod wieloma względami podobna do niej.

Schweigaard zrobił mały dołek w ziemi, wytrząsnął tam kilka nasion i ostrożnie je przyklepał. Wstał i wytarł okładkę Biblii.

Niektórzy mówią, że trzeba iść przed siebie i patrzeć w przyszłość.

Ale ludzie ci nigdy nie przyczynili się do niczyjej śmierci. Ani do śmierci dwóch czy nawet trzech osób, bo to tę liczbę powtarzał sobie w myślach, znęcając się nad sobą najbardziej. Niewątpliwie należało liczyć Gerharda Schönauera, zapewne też Astrid Hekne. I może ich syna, Edgara, którego ciało spoczęło w nieoznakowanym grobie gdzieś w Kristianii.

Podmuchy wiatru rysowały się zmarszczkami na powierzchni Løsnesvatnet i docierały stamtąd aż do niego. Był pogodny sierpień, powiewy z południa niosły ze sobą zapach od mokradeł. Jeden z takich ciepłych oddechów musiał też przywiał ze sobą oset aż na grób Astrid.

Od czasu do czasu czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Że jego stopy zapadają się w cmentarną ziemię. Że coś go wzywa. Lecz gdy się odwracał, nie widział nikogo. Mimo to wyczuwał czyjąś obecność, podobnie jak jego parafianie, którzy od lat twierdzili, że słyszą zatopiony w Løsnesvatnet kościelny dzwon, nawołujący z głębin swoją siostrę.

Skrzypnęła żelazna cmentarna furta. Weszła przez nią Oddny Spangrud. Kobieta, którą pomimo osiemnastu lat pełnienia funkcji wciąż nazywano „nową akuszerką”, przychodziła do niego najwyraźniej z jakąś sprawą.

Zebrała fartuch w dłoniach i dygnęła.

– Panie pastorze?

– Tak?

– Przynoszę wiadomość od starej akuszerki. Od Framstadowej. Chciałaby o czymś panu pastorowi koniecznie powiedzieć. Ale nogi ma już za słabe, by tu sama przyjść.

Schweigaard skinął głową i odrzekł, że wybierze się do niej tego samego lub kolejnego dnia. Oddny Spangrud podziękowała i odeszła.

Była dobrą akuszerką. Porządnie przeszkoloną. I pewnie odziedziczyła po Framstadowej kleszcze położnicze, narzędzie, którego oficjalnie nie wolno im było używać, choć lekarz okręgowy rozsądnie patrzył na to przez palce.

Kai Schweigaard odwrócił się i ruszył na plebanię. Już za progiem poczuł zapach obiadu gotowanego przez panią Bressum i postanowił jednak od razu iść do Framstadowej. Godzinny spacer do chaty akuszerki i kolejna godzina drogi powrotnej dobrze mu zrobią, bo trzeba było prawdziwego głodu, by przełknąć posiłki, które ostatnio przyrządzała gospodyni.

Był rok 1903, lecz Kai Schweigaard wciąż bardzo przypominał tamtego młodego pastora, który przybył do wsi wiosną roku 1879. Nadal trzymał się prosto, zdrowie mu dopisywało, był silny, lecz od pracy duchowej, nie fizycznej, bystry i niezmordowany niczym dorosły sokół łowczy. Miał skronie przyprószone siwizną, głębokie bruzdy na czole i pasował do swojej posługi jak młot wykuty idealnie do określonego zadania. Po śmierci Astrid jego uparty charakter i porywcze usposobienie nieco się utemperowały, a fanatyczną praworządność zastąpiła wspaniałomyślność. Nadal jednak potrafił znieckać wałnąć pięścią w stół, przywołując do porządku rozpitych ojców rodzin lub obłudnych znachorów, pracował z reguły w swoim gabinecie od wschodu słońca do późnego wieczora, robiąc sobie

tylko krótką przerwę w porze obiadowej. Obiady zaś spożywał, ponieważ nie miał serca wymówić posady pani Bressum, albo przesolone, albo zupełnie bez smaku.

Gospodynię odziedziczył po poprzedniku, przez pierwszych dziesięć lat była kobietą apodyktyczną i zgryźliwą, z wiekiem stała się jednak nieprzewidywalna i zaczęło jej się mieszać w głowie. Zapominała, który jest rok, coraz to żyła w przeszłości i nazywała Schweigaarda „nowym pastorem”. Gdy przed sześcioma laty na obowiązkową inspekcję parafii przyjechał przebiter, miano mu podać świeży paszтет z wątróbek, lecz pani Bressum, chcąc zaoszczędzić, zakupiła na tę okazję wątrobę rekina polarnego, z której zazwyczaj wyłącznie pozyskiwano tran, do tego jeszcze zjełczała. Już przy drugim kęsie Kai zmuszony był stwierdzić, że wątroba zjełczała już jakiś czas temu.

Było to ostatnie wydarzenie na plebanii mogące od biedy nosić nazwę przyjęcia.

Minęło wiele lat. Niosły ze sobą wyśpiewywanie psalmów, dźwięki organów, chrzty i zgony. Od listopada do marca pastor bywał przeziębiony i pokasływał, stawy i kark bolały go od ślęczenia nad papierami i pisania kazań w chłodnym gabinecie. Z takimi dolegliwościami musiał się liczyć każdy duchowny.

Ale potem zawsze przychodziło lato. Długie, gorące lato w Gudbrandsdalen, gdy powietrze drży z gorąca pomiędzy zboczami doliny, a owady bzyczą nad sitowiem. Co drugi wieczór wypływał wtedy Pastorówką łowić ryby, wiosłował długimi ruchami, chcąc rozruszać sztywne po zimie barki i ramiona. Zaglądał często na grób Astrid, zawsze zachodząc do niej w drodze powrotnej, jeśli udało mu się złowić dorodnego pstrąga.

Chętnie tam wówczas przystawał. Przed jedynym człowiekiem, któremu mógł się czymś pochwalić.

Wiosną roku 1881, w Klinice Położniczej w Kristianii, poróżnił się z Bogiem i od niego odwrócił. Z czasem doszli jednak z Panem do pewnego porozumienia i Schweigaard zobowiązał się pomówić z nim ponownie za czterdzieści lat. Obiecał, że jeśli do tej chwili objawi mu się jakiś głębszy sens śmierci Astrid Hekne, stanie się na powrót człowiekiem wierzącym. Tymczasem zaś miał zarządzać Butangen, kierując się własnym rozsądkiem, przyszło mu bowiem odbywać posługę w odległym zakątku kraju, o którym Bóg może i nie zapomniał, ale bez większych sprzeciwów pozwolił mu wydzierżawić go sobie.

Pierwszy rok po śmierci Astrid był spowity mrokiem i pozbawiony sensu, praca zupełnie mu nie szła i wszystko, co robił, zdawało się daremne. Z początku tak mu się czasem mieszało w głowie, że potrafił zapomnieć o jej śmierci i kiedy widział przed sobą coś pięknego, ogarniała go chęć, by jej o tym powiedzieć, a potem docierało do niego nagle, że Astrid już przy nim nie ma i nigdy nie będzie.

Złość i rozpacz męczyły go też przez kolejne lata, często pozwalał im znów płynąć wartkim strumieniem, przebijając tamę w jego duszy, w której bez przekonania łątał kolejne pęknięcia. Była to złość i rozpacz zimy, którą ludzie we wsi nazywali Srebrzystą, zimy, kiedy zniknęły kościelne dzwony – Halfrid wywieziona do Niemiec, a Gunhild zatopiona w głębiach Løsnesvatnet.

Przywiózł Astrid do domu w trumnie, sam zaś wrócił z poczuciem obowiązku dającym mu siłę i wyznaczającym jego życiu kierunek. Jehans siedział w saniach na jego kolanach, ubrany w wełniany sweterek, który Astrid zrobiła na drutach w miesiącach przed porodem. Schweigaard poprzysiął chronić maleńką istotę, a później starał się chłopca uczyć i wychowywać. Przez wiele lat mu się to zresztą udawało.

Jehans należał do rodu Hekne i musiał dorastać w rodzinnym majątku. Panował tam jednak rozłam i niezgoda co do Astrid i jej buntu wobec wszelkich zasad, rozłam pozostający nie bez wpływu na to, jak traktowano Jehansa. Chłopca karmiono kozim mlekiem i nikt go nigdy nie brał na kolana. Gdy tylko skończył dwa lata, posłano go do Halvfarella, gdzie dwoje starych dzierżawców wychowywało go w ubogiej zagrodzie jak własne dziecko.

Schweigaard śledził cały czas losy chłopca, pilnując, by nigdy mu niczego nie brakowało. Zabierał go na niedziele i święta do siebie i tam próbował pielęgnować w nim moce i zdolności, których istnienia u tego dziecka był pewien. Łączące ich więzy zostały jednak brutalnie przerwane, gdy Jehans skończył lat piętnaście.

Do dziś pastor od czasu do czasu czuł nawracający żal. Wspomnienia nie powodowały już tak

straszliwie dotkliwych jak niegdyś ukłuć bólu. Lubił siedzieć przed kominkiem na plebanii, palić fajkę i czytać, często przy otwartym oknie, tak by czuć jednocześnie ciepło bijące od ognia i podmuch wilgotnego, orzeźwiającego wieczornego chłodu. Czasami czuł też, jak ona się do niego zbliża – Astrid, nieznaczące drgnienie cienia, powiew firany. Gawędził z nią w takich razach, czuł się wówczas wręcz szczęśliwy, a ona czasem coś do niego szeptała, innymi znów razy była całkiem martwa. Schweigaard wiedział, że dawno powinien już zostawić żalobę za sobą. Ale dla człowieka dręczonego wspomnieniami zawód pastora jest najgorszy ze wszystkich. Przy pogrzebach wygłaszał mowy słynące z mądrości i zaangażowania, a to dlatego, że każda trumna, którą opuszczano przed nim do ziemi, jawiła mu się jako trumna Astrid Hekne. W każdej jego przemowie o zmartwychwstaniu to ona powstawała z grobu. Po każdym pogrzebie Schweigaard był wycieńczony, choć nie dawał po sobie niczego poznać parafianom. Siadał w samotności, głęboko oddychał i milczał, potem zaś, niezależnie od pory roku, wychodził do sadu i patrzył na wieś, która stała się jego domem, wzrokiem szukając jednocześnie jakichś zmian i poczucia bezpieczeństwa w tym, co niezmiennie.

Przebrał się w wełniany sweter i spodnie, na głowę włożył kapelusz z wąskim rondem. Lubił odwiedzać uboższych mieszkańców swojej wsi i nie zwykł zajeżdżać do nich saniami czy powozem, chyba że pragnął zmanifestować swoją pozycję i autorytet przed bogatszymi, krnąbrnymi gospodarzami. Słyszał z szybkiego kroku i zdecydowanych słów, podobnie zresztą jak ze skromności i oszczędności, które widać było też na samej plebanii. Majątek pastora składał się w istocie z dwóch części: stał tam duży, malowany na biało budynek, w którym mieszkał Schweigaard – dwustuletni dom o zdecydowanie zbyt wielu pustych pokojach, z masztem flagowym, sadem i przestronnym podwórzem, wokół którego postawiono kilka mniejszych zabudowań. Dalej zaś, ukryte za rzędem wierzb, leżało właściwe gospodarstwo, mające za swój jedyny cel zapewnienie rodzinie pastora wyżywienia i transportu. To tam mieściła się stajnia, szopa na wozy, obora i mieszkanie zarządcy, to stamtąd dochodził do nozdrzy Schweigaarda zapach krowiego łajna i koni, a do jego uszu – gdakanie kur i gwar ludzkich głosów.

Gdy dotarło tu chrześcijaństwo, mieszkańcy wsi oddali Kościołowi najlepszy kawałek ziemi. Majątek pastora, zwany Prestangen, położony był bardzo korzystnie, na samym szczycie szerokiego zbocza, którego pola i łąki rozciągały się aż do brzegów Løsnesvatnet. Zbocze to było dość strome, lecz jednocześnie równe, bez kotlin i gładów narzutowych, dlatego też w tym właśnie miejscu pobudowano największe majątki w okolicy. Kai Schweigaard skręcił tymczasem w jedną z kamienistych ścieżek wijących się wzdłuż koryta Brei i ruszył do tej części wsi, gdzie zagrody dzierżawców i małe drewniane chatki wybudowano przy mizernych skrawkach pól sięgających aż do rzecznych brzegów. Gdzieś tam było tu tak stromo, że ludzie mogli pracować tylko z tyłkami zwróconymi w dół zbocza, inaczej pospadaliby na głowę do wody.

Oto było Butangen i oto byli jego mieszkańcy.

Każdy z nich żył i służył swój czas, a potem czas ten dobiegał końca, tak samo jak w przypadku drewnianego ogrodzenia czy pługa.

Pastor przystanął przy strumieniu, w miejscu, w którym rozwidlała się droga. Jedna ze ścieżek biegła obok najuboższych zagród dzierżawców, między innym Halvfarelia, gdzie mieszkał Jehans razem z Adolfem i Ingeborg, swoimi opiekunami. Ta ścieżka prowadziła dalej na górskie pastwiska. Lecz dróżka, którą miał ruszyć dalej Schweigaard, była wąska i wiodła przez świerkowy las. Ku ukrytej przed światem chatce, gdzie miał do załatwienia ukrytą przed światem sprawę.

Napełnił manierkę wodą z rzeki i pociągnął kilka łyków. Z miejsca, w którym stał, rozciągał się jeszcze dobry widok na wieś i jak zawsze, gdy patrzył na to, co znane, ogarnęła go jakaś tęsknota, zupełnie jakby oczekiwał czegoś od miejsca, w którym żył. Zupełnie jakby Srebrzysta Zima odcisnęła na Butangen swoje piętno. Jakby drzewa, skalne rumowiska, pola i rzeka wiedziały o czymś, czego nie chciały zdradzić. Jakby cała ta przyroda czegoś od niego chciała, mając przy tym pełne prawo to żądanie w końcu wyegzekwować.

Brało się to pewnie stąd, że cała wieś była naznaczona czynami pastora. Na skarpie pomiędzy plebanią a Løsnesvatnet stał niegdyś kościół, po którym zostało już tylko wspomnienie. Jego miejsce zajmował teraz biały gmach, który na zawsze zwany będzie „nowym kościołem”, tak samo pozbawiony

wyrazu jak świątynie wznoszone na amerykańskiej prerii. Bardziej już podobała mu się dzwonnica, zbudowana na planie kwadratu piętrowa wieża bez okien, która pierwotnie miała stać się domem dla Siostrzanych Dzwonów. Służyła teraz za kostnicę, gdzie na czas zimy składano ciała zmarłych mieszkańców wsi, rząd za rzędem trumien czekających w ciemnościach, aż ziemia rozmarznie na tyle, by dało się wykopać groby.

Nie wisiały tam natomiast żadne dzwony, pomimo obietnicy, którą złożył kiedyś Astrid, zaś tym, co zdawało się żądać od pastora najwięcej, było samo jezioro Løsnvatnet, wyznaczające nie tylko granicę pomiędzy wsią a światem zewnętrznym, ale też jego osobistą. Z okien plebanii nie widać było dopływu ani ujścia tego wąskiego zbiornika. O zmierzchu Løsnvatnet rozciągało się ciemne i połyskliwe pod lesistym przeciwległym brzegiem, czasami zaś jego powierzchnia marszczyła się zgodnie z kierunkiem wiatru, wieszcząc niepogodę.

Wiedza o tym, co kryje się na dnie jeziora, budziła w nim trwałe niepokój. Czasem łapał się na myśli, że jeśli wydobędzie dzwon z Løsnvatnet, to może choć w jakimś stopniu odpokutuje swoje winy. Wielu zresztą tej sztuki już próbowało. Jehans, w wieku lat zaledwie dwunastu, zbudował razem z kolegą tratwę, wierząc, że uda im się odnaleźć dzwon i podnieść go z dna. Ale to było kiedyś. Zanim jeszcze chłopak porzucił dziecięce marzenia.

Kilka lat wcześniej wieś odwiedzili noszący się z tym samym zamiarem Niemcy, podobno dlatego, że na śmiałka, który zdoła połączyć na powrót oba dzwony, oczekiwała w Dreźnie sowita nagroda.

Tyłu już próbowało i tyłu poniosło klęskę, a fakt ten dawało się wyjaśnić jedynie starą przepowiednią. Głosiła ona, że tylko samobracia – chłopcy z jednych rodziców, pomiędzy którymi nie przyszła na świat żadna dziewczynka – zdołają podnieść Gunhild z dna i zrobić w ten sposób pierwszy krok ku ponownemu połączeniu Siostrzanych Dzwonów.

Teraz, gdy pastor szedł po moście na Brei, od lat wytrzymującym ciężar wyładowanych wozów i napór wiosennych nurtów, przypomniła mu się inna złożona Astrid obietnica. Kiedy burzono stary kościół, poprząsł jej, że będzie szukał Tkaniny z Hekne.

Mówiono, że przedstawiała ona dzień sądu ostatecznego. Że widniały na niej upiorne istoty, w połowie ludzie, w połowie zaś ptaki i że istoty te pluły płomieniami, podpalając wszystko, co się pod nimi znajdowało. Jeśli wierzyć legendom, tkanina miała również uprzedzać mieszkańców wsi o wielkich katastrofach: osunięciach ziemi, zarazach, powodziach i pożarach lasów.

Schweigaard w takie rzeczy nie wierzył, choć wiele wydarzeń w Butangen wystawiało na ciężką próbę zarówno jego pojmowanie świata, jak i wiedzę teologiczną. Spokoju nie dawała mu natomiast sama teoretyczna możliwość istnienia magicznej tkaniny, możliwość ta pędziła jego myśli w ciemne zaułki, sprawiając, że zbaczały ze swoich zwykłych torów. Bo jakby to było otrzymać przestrożę o nadchodzącej katastrofie w chwili, gdy mogłoby to coś zmienić? Czy uwierzyłyby w taki znak wtedy, w roku 1880, kiedy popełnił tamten straszliwy błąd?

Mówiono, że Tkanina z Hekne zniknęła z kościoła, mimo że drzwi były zamknięte na klucz. Takie tajemnicze, fantastyczne historie budziły w nim potrzebę odkrycia, co się stało naprawdę. Tak sobie to przynajmniej tłumaczył przed laty, gdy zaczął tkaniny szukać.

A szukał wszędzie.

Na początku przeczesał każdą kondygnację każdego budynku Prestangen, łącznie z piwnicami. Zajrzał nawet pod stojący na podwyższeniu spichlerz i wspiał się na strych, przeszukał wszystkie schowki i pełzał na czworakach tam, gdzie strop był za niski, by się wyprostować. W efekcie odnalazł parę wysłużonych końskich derek, jego ubrania przesiąkły zapachem pleśni, a za kołnierz wpadło mu kilka stonóg.

Obietnica pozostawała jednak obietnicą. Zaś obietnice złożone zmarłym mają to do siebie, że potrafią się rozwinąć w obsesje.

W każdym gospodarstwie, które odwiedzał, próbował, nie zawsze równie elegancko, skierować rozmowę na temat gobelinów czy też plecionek lub tkanych obrazów, jak nazywali je miejscowi. Raz całkiem się zapomniał i zamarł w paradnej izbie, wlepiając oczy w tkaninę, która mogła przypominać tę poszukiwaną, bo przedstawiono na niej sześć wielkich ptaków z rozłożonymi skrzydłami. Żaden z nich

nie pluł ogniem ani nie miał ludzkiej twarzy, lecz Schweigaard i tak się na nie gapił, w nadziei, że dostrzeże coś więcej, aż w końcu trzy pogrążone w żałobie córki zaczęły pochrząkiwać i oświadczyły, że już dawno stoją przed nim gotowe, by uzgodnić treść mowy na pogrzeb ich ojca.

W innym znów domu pastor uniósł żałobny całun i pod niego zajrzał, zdawało mu się bowiem, że dostrzegł na jego odwrocie ozdobny haft, okazało się jednak, że to tylko złudzenie.

Zmarły nic na to nie powiedział. Choć pewnie pomyślał swoje.

Wkrótce już cała wieś gadała, że proboszcz interesuje się tkanymi obrazami, co spowodowało, że otrzymywał – i kierowany poczuciem wstydu przyjmował – oferty kupna przeróżnych kilimów i makatek, które zaczął wieszac na ścianach swojego salonu.

Jedynym majątkiem, którego nie odwiedzał, było Hekne. Ale wiedział, że tkaniny i tak tam nie ma – bo gdyby była, z pewnością zostałaby odnaleziona przez Astrid.

W końcu postanowił działać metodycznie i zaczął szukać dokumentów z czasów, kiedy gobelin mógł zaginać. Dotarcie do nazwisk duchownych sprawujących wtedy posługę w Butangen nie było wcale trudne. Większym problemem okazało się dla niego odczytanie bardzo oględnych zapisków poprzedników, niezmiennie sporządzonych kwiecistym językiem i kunsztownym, gotyckim charakterem pisma, nierzadko z długimi przerwami w datach poszczególnych notatek. Po wielu mozolnych godzinach spędzonych w archiwum biskupa Schweigaard odnalazł w końcu dwie istotne informacje.

Pierwszą z nich było to, że pastor pełniący we wsi posługę za życia siostr Hekne nazywał się Sigvard C. Krafft. Był proboszczem w Butangen od roku 1591 do 1620, kiedy to duchowe powołanie powiodło go na daleką północ. Człowiek ten nie pozostawił po sobie żadnych dokumentów i Schweigaardowi nie udało się nic więcej na jego temat dowiedzieć, pomimo wielu żarliwych listów posłanych do północnych diecezji. Wyglądało na to, że Krafft zniknął bez śladu, zupełnie jak Tkanina z Hekne niemal dwieście lat później.

Drugim poprzednikiem, który wzbudził zainteresowanie Schweigaarda, był niejaki Ørnulf Nilsson, proboszcz Butangen od 1813 do 1816 roku. Musiał być to człowiek skrupulatny i obowiązkowy, zaś w archiwum biskupa w Hamarze, nadzwyczaj zakurzonym, aż Schweigaard kichał w nim właściwie bez przerwy, znajdowało się pismo stanowiące dowód, że musiał on przyjechać do Butangen z mniej więcej taką wolą działania jak kiedyś on sam, bowiem słowo „niezwłocznie” powtarzało się w jego zapiskach raz za razem:

„Skoro przypadł mi obowiązek niesienia pomocy tej nieurodzajnej i bezbożnej parafii, opracowałem listę niezbędnych przedsięwzięć, które tu niezwłocznie planuję. 1. Niezwłocznie przeprowadzić renowację kościelnego inwentarza, łącznie z odświeżeniem farby na ambonie, albowiem stara popękała. 2. Niezwłocznie spalić pogański gobelin, by obrazy z dawnych podań nie straszyły już młodych rekrutów uchylających się od służby wojskowej w przekonaniu, że czeka ich spotkanie z upiornymi Ptakami Ognia. 3. Położyć kres zakazanemu już od lat barbarzyńskiemu zwyczajowi chowania zmarłych pod kościelną podłogą. 4. Wprowadzić nieświadomych rolników w błogosławieństwa uprawy ziemniaka. 5. Nabyć niezwłocznie nowy ornat podszyty futrem z rena, by grzał me zmarznięte członki w nieznośnie zimnej świątyni. 6. Sprokurować więcej godnego Kościoła srebra, w tym kielich oraz świeczniki, albowiem stare są powgniatane, mizernej wielkości i pewnie też podrobione. 7. Za kilka lat: zbudować nowy kościół”.

Schweigaard, nie bez pewnej konsternacji, rozpoznał w tych planach samego siebie. Porzucił jednak chwilowo rachunek sumienia, bo w notatce tej odnalazł zarówno pasującą do jego śledztwa datę, jak i prawdopodobne wyjaśnienie zniknięcia gobelinu. Zastanawiał się, jakim cudem „upiorne Ptaki Ognia” mogły odstraszać kogokolwiek od służby wojskowej, brzmiało to jak wygodne tłumaczenie podsuwane przez mieszkańców wsi naiwnemu pastorowi, lecz sam fakt, że widok tkaniny mógł budzić w ludzkich sercach strach, nie był dla Schweigaarda bynajmniej żadnym zaskoczeniem. Przesady i zabobony miały się we wsi w najlepsze jeszcze wtedy, gdy sam obejmował posadę w 1879 roku. Na początku wieku dziewiętnastego musiały panować tu jeszcze porządki isticie średniowieczne, zaś rok 1813 przyniósł największy od pokoleń nieurodzaj, biedę i wojnę, stare zabobony doszły więc pewnie do głosu w ludzkich głowach ze zdwojoną siłą, głód i strach sprawiają bowiem, że człowiek zaczyna rozglądać się we wszystkich kierunkach, szukając wskazówek i znaków.

W takim właśnie roku pastor Nilsson nakazał więc spalenie gobelinu. Mieszkańcy wsi zapewne głośno przeciwko temu protestowali. Ale czy proboszcz zdołał wprowadzić swój plan w życie? Nie zachował się na to żaden dowód, w kościelnych dokumentach została za to informacja, że już w roku 1816 bezbożność wieśniaków i „zmarznięte członki” dały się Nilssonowi we znaki tak bardzo, że wyjechał.

Po sześciu latach poszukiwań Schweigaard musiał się w końcu poddać. Wszystkie gospodarstwa zostały już gruntownie przeszukane, a wszyscy sekretarze diecezji zdążyli się do niego zniechęcić. Pastorowa obsesja na tle Tkaniny z Hekne uspokoiła się tak, jak uspokoił się leżący na dnie Løsnesvatnet dzwon. Minęły lata, odkąd po raz ostatni myślał o Nilssonie. A teraz pomyślał o nim ponownie, przystanąwszy po drodze do chaty Framstadowej i podziwiając widok na Butangen.

Ty też pewnie popełniałeś błędy, wielobny Nilssonie. Ale ja? Ja tutaj zostałem. I patrzę teraz na tę samą wieś, z której ty wyjechałeś. I na to samo jezioro.

Oto stoję tu i patrzę. Oto stoję tu i czuję.

Zostałem tutaj bowiem i spoglądałam na swoje błędy.

– Za dwanaście dni umrę – oświadczyła Framstadowa.

Była już stara jak świat. Pomarszczona i zgięta niemal wpół staruszka jak z ludowej baśni. Pod kuchnią trzaskały płomienie, Schweigaard poczuł zapach kawy. Akuszerka siedziała w bujanym fotelu w rogu izby. Pastor przysunął sobie taboret i zajął miejsce tuż obok. Przez uchylone drzwiczki pieca wpadał do izby blask płomieni. Poza tym panowała ciemność i nie sposób było dojrzeć, co czai się w kątach.

– Dlatego chcę załatwić dwie sprawy. Chodzi o mój dom. O tę chatę i kawałek ziemi. Kościół może je sobie wziąć, jeśli Kościół zechce. Używać tak, żeby było dobrze. Oddać ubogim albo starcom.

Kai Schweigaard odparł, że ten szczodry dar na pewno przysłuży się parafii, i zobowiązał się mądrze nim rozporządzać. Gdy przyjdzie na to czas.

– I teraz druga sprawa, ta łączka z kwiatami przy zagonie rabarbaru. Tam je pochowałam. Wszystkie jak jedno.

Pastor zrozumiał, o kim mówi staruszka, i w izbie zapanowała nagle ogromna powaga.

– Te, które musiałam wziąć. Które by nie przeżyły. Musiałam je tu przynieść w torbie. Nikt ich nie oglądał. Czterdzieścioro troje ich było. Dwadzieścia trzy dziewczynki, dwudziestu chłopców. Przez tych pięćdziesiąt pięć lat. Liczyłam. Nadawałam im imiona i robiłam taką jakby ceremonię.

„Te, które musiałam wziąć”. Dzieci, które rodziły się martwe, i te, które dla ratowania rodzącej musiała rozkawałkować w łonie matki. Działając szybko i nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do konieczności tego działania. Małeństwa nie były ochrzczone i nie chowano ich na cmentarzu, bo nie stały się dziećmi Boga, a choć nie można ich było do tych szeregów zaliczyć, nikt nie potrafił wyjaśnić, kim w takim razie były.

– Żebyście wiedzieli – podjęła akuszerka. – Dbali o tę łąkę, a w każdym razie nie sadzili tam ziemniaków czy rzepy. Jak pastor zobaczy to miejsce, to zaraz zrozumie, że to tam.

Kai Schweigaard skinął powoli głową. Było to głębokie, kapłańskie skinienie. Opuścił nisko głowę, zamarł na chwilę, po czym powoli uniósł oczy na powrót, zupełnie jakby spoglądał na świat po wyznaczonej minucie ciszy. Wiedział, jak to jest. Jak straszne są te wspomnienia dla rodziców, których szczęście zgąsło nagle w samym dniu nadziei. Znał ich rozdzierającą rozpacz, która trwała zbyt długo i nigdy nie dopalała się do końca.

Wcześniej zastanawiał się, gdzie trafiały martwo narodzone dzieci z Butangen. Zgodnie z nowymi przepisami należało je zawinąć w całun i położyć do świeżo otwartego grobu rankiem przed pogrzebem osoby dorosłej, tak by nad dzieckiem spoczywała trumna. Lecz w małych wioskach, w których pogrzeby nie odbywały się codziennie, tak się zrobić nie dało, dlatego też pastor założył po prostu, że Framstadowa ma swoje sposoby, i nigdy o to nie pytał. Teraz w końcu je poznał i zaczął podejrzewać, że nowa akuszerka też ma już swoją kwietną łąkę.

Schweigaard odchrząknął i oświadczył, że ogrodzi to miejsce.

– Będę o nie dbał.

– Tak, tak, będzie pastor dbał.

Pomilczeli chwilę razem. W końcu akuszerka rzekła:

– Byłeś dobrym proboszczem. Chociaż z tą twoją wiarą to jest o tyle, o ile.

Schweigaard nic na to nie odpowiedział, spytał za to, skąd ona we, że zostało jej dwanaście dni.

– Widziałam znak.

Gdy pastor chciał się dowiedzieć, o jaki znak chodzi, Framstadowa chwyciła jego dłoń i mocno ją uścisnęła.

– Ty będziesz żył długo, księżu. Ale też zobaczysz znak. Zwłaszcza ty go zobaczysz. Tobie będzie pokazany z solidnym wyprzedzeniem.

Wypuściła jego rękę, on zaś odchrząknął i o nic więcej nie pytał. Staruszka dźwignęła się z trudem, przyniosła stojący na kuchni czajniczek i napili się kawy. Na małym stoliku leżała skrojona lniana tkanina oraz igła z nitką, a Schweigaard domyślił się, że akuszerka, podobnie jak wiele starszych mieszkanek Butangen, szyje sobie zgodnie z tradycją pogrzebną koszulę. Nie wydało mu się to wcale makabryczne, Framstadowa siedziała przed nim przecież i siorbała swoją kawę, sprawiając wrażenie zupełnie spokojnej i nieprzejętej.

– Nie znalazłem twojego nazwiska w kościelnych księgach – powiedział. – Dlatego nie wiem nawet, jak brzmi twoje pełne imię i kiedy dokładnie się urodziłaś.

Staruszka zaśmiała się pod nosem.

– Pan pastor jest dobrze wychowany.

Wyjawiała mu swoje imię.

– Byłam bękartem. Matka oddała mnie na wychowanie, dorastałam we Framstad. A tam nie mieli kalendarza. Musiałam tam trafić mniej więcej w osiemset dziesiątym i podobno już umiałam wtedy chodzić. Niech sobie pan pastor policzy.

Framstadowa zarechotała.

– To tak jak w takim żarcie. Powtarzamy go sobie czasem: Co było pierwsze, akuszerka czy dziecko? Może ja się wcale nie urodziłam. Tylko od razu tam przyszłam na własnych nogach. Ha! Ja tam nie wiem, byłam za mała.

Odstawiła kubek z kawą i chwyciła Schweigaarda za nadgarstek.

– Słuchaj, księżu. Ta dziewczyna od Heknow. Wiem, że ją lubisz.

Lubisz.

– Ona to dobrze rozumiała. Że to niebezpieczne wyjeżdżać i rodzić dzieci w mieście. Że jakby rodziła ze mną na stary sposób, to by przeżyła. Ale dzieciaki już nie. Musiałabym je ze sobą wynieść. I leżałyby teraz przy rabarbarze. Ale ona? Chodziłaby sobie po Butangen i rodziła kolejne. Może twoje. Pewnie twoje. Bo taki był ten stary sposób. Pewny. A ona mimo wszystko tak postanowiła. Wyjechać i urodzić daleko od domu, w mieście. Mimo wszystko tego chciała. Żeby one żyły. Ja ją wcześniej badałam i miałam pewność, że poród będzie dla niej za ciężki.

– Powiedziała mi o tym – odrzekł Kai. – Że tutaj była i miała wizję. Widziała swoje dzieci.

– Zobaczyła, że będzie ich dwójka. Dwóch chłopaków. Widziała, jak idą drogą pod chatą, schodzili z gór. Ale ujrzała chyba też coś, co ją przeraziło. Nie chciała mi o tym powiedzieć. Ale ja się domyśliłam.

– Jeden z tych chłopców nie żyje – powiedział Kai.

Framstadowa podniosła wzrok i zaczęła wodzić spojrzeniem po suficie, jakby tam czegoś szukała.

– Też tak słyszałam. Ale nie chce mi się wierzyć. Ona była u mnie jeszcze później tej zimy, czułam ich wtedy obu w jej brzuchu i obaj byli tak samo silni. Życie jest niesprawiedliwe, ale nie aż tak. Trzeba myśleć o tym dzwonie, co leży w Lønesvatnet. Tylko samobracia mogą go stamtąd wydobyć. I musi być ich dwóch. Nie jeden i nie trzech. Dwóch samobraci, tak jak dzwony są dwa. Jak dwie były siostry Hekne.

Słowa „tak samo silni” obudziły w nim stary niepokój. Nigdy się nie dowiedział, co tak naprawdę się stało w trakcie porodu. Ale wspomnienie o siostrach Hekne rozpałiło w nim jeszcze jeden, przygasły już nieco płomień.

– Skoro przyszedł na świat przed rokiem osiemset dziesiątym – powiedział Schweigaard – to czy

widziałaś jako dziecko Tkaninę z Hekne?

– Nic takiego nie pamiętam. Ale jedna baba we Framstad dużo o niej mówiła. Że była wielka i dziwna. Ona bała się dłużej na nią patrzeć. Były na niej ptaki, które ją przerażały. Niby tak jakby ją do siebie ciągnęły.

Pastor zapytał, co jeszcze mówiło się w dawnych czasach o gobelinie.

– A, sporo się o nim gadało. „Gdzieś na tkaninie z Hekne widać też twoją twarz”, powtarzali niektórzy. Ale siostry dużo tkwały, a ludzie dużo mówili. To dziwne, że wszystkie ich prace przepadły. Słyszałam, że one tkwały na osnowie z pokrzywowych łodyg, dlatego wszystko było bardzo trwałe. Ale w niektórych tkaninach robiły podobno z tą osnową coś dziwnego, tak żeby po jakimś czasie gniła i wtedy wszystko się rozpadało. Bo one nie chciały, żeby obraz dłużej żył. Tak jakby miał swoje zadanie, a potem mógł obrócić się w proch.

– Wiesz, co się z nią stało? – spytał Schweigaard. – Z Tkaniną z Hekne? Może gdzieś ją ukryto albo spalono?

– Spalono na pewno nie. Tego jestem pewna. Tyle że zniknęła. Spotkałam kiedyś jedną babę, która wiedziała, co się z nią stało. Ona już dawno nie żyje. Mówiła, że tkanina nie jest daleko. Że ludzie tak jakby na nią patrzą, ale jej nie widzą. Bo jest tak blisko, że nie da się jej zobaczyć. Więcej ta baba nic nie mówiła, bo i nie było trzeba. Tkanina wróci, jak przyjdzie czas.

– No tak... a kiedy ten czas ma przyjść?

– Domyślam się, że chwilę przed nocą oskrobaną. Tak gadali ludzie. I powtarzali, że siostry też powrócą. Kiedy wszystko już będzie utkane.

– Co to znaczy? – dopytywał Schweigaard. – Jak sądzisz, co to może znaczyć?

Framstadowa pokręciła głową.

– Nie sposób powiedzieć. Ale one wrócą. Jak i my wszyscy. Tyle że ludzie powracają może w inny sposób, niż się myśli, rozumie i wierzy.

Pożegnali się. Pastor stał jeszcze chwilę pod drzwiami chaty, spoglądając na warzywny ogródek akuszerki. Musiała go wypielić niedługo przed jego przybyciem, bo ziemia wokół marchwi, kapusty i ziemniaków była czarna i świeżo poruszona. Przez jedno z okien widział, że staruszka stoi nad miednicą i myje kubek po kawie, z którego przed chwilą pił.

Korony drzew kołysały się lekko na wietrze, słychać było tylko szmer strumienia gdzieś daleko w dole. Schweigaard ruszył w kierunku zagonu rabarbaru i szybko poczuł, że jest we właściwym miejscu. Zupełnie jak wtedy, gdy wchodził do domu i od razu czuł, czy ktoś jest w środku czy nie.

To tutaj spoczywały. Tu, wokół niego. W luźnej, nieurodzajnej ziemi. Pod otoczkami, pewnie z dna Brei, umieszczonymi w równych odległościach pomiędzy kwiatami i długimi żdźbłami traw. To tutaj były. Maleństwa zabrane przez śmierć chwilę po tym, jak wkroczyły w ten świat. Wszystkie istotki, które miały dostawać matczyne mleko, uczyć się raczkować, a w końcu podnieść się i zacząć chodzić. Może i oni by tu leżeli, zarówno Edgar, jak i Jehans. Gdyby Astrid postanowiła nie składać największej z możliwych ofiar.

W tamtych czasach umierało już nie tak wiele noworodków i dużo mniej matek. Kilka lat wcześniej lekarz o nazwisku Säger opracował metodę umożliwiającą przeprowadzenie cesarskiego cięcia bez uśmiercania rodzącej. Chodziło w niej o to, że macicę trzeba było zszyć srebrną nicią, a Säger został za swój wynalazek nagrodzony Orderem Świętego Olafa.

Schweigaard sięgnął po Biblię i powiedział:

– Niechaj ta łąka będzie ziemią konsekrowaną i poświęconą jako miejsce spoczynku ciał tych, którzy odeszli. Niechaj Pan otoczy to miejsce opieką i obdarzy je spokojem aż do dnia zmartwychwstania.

Dwanaście dni później Framstadowa umarła, a on odprawił dla niej nabożeństwo pogrzebowe. Kościół, co nieczęsto się zdarzało, był wypełniony do ostatniego miejsca. Większość dorosłych mieszkańców wsi ujrzała światło tego świata w dłoniach starej akuszerki, a liczni mężczyźni zawdzięczali jej fakt, że ich żony przeżyły poród.

I tym razem Kai Schweigaard nie był w pełni zadowolony ze swojego kazania. Wydawało mu się, że wszystkie jego słowa przyjmują formę nowego kościoła. Niby pną się ku niebu, lecz wieża jest za

niska. W środku panowała zbyt duża jasność, nie było pograżonych w ciemnościach kątów i zakamarków, co pociągało za sobą jego zdaniem śmiałą sugestię, że da się naświetlić każdy aspekt ludzkiej natury. Nieprzewidywalny pozostał tylko dźwięk starych organów. Pastor tęsknił za starym kościołem, za tajemnicami, które w sobie skrywał, jego powiązaniem z innymi mocami, zapachem smoły i minionych czasów. Kościół słupowy, pograżony w mroku, sam zdawał się sugerować, że tylko niewielką część życia można w pełni zrozumieć, ta nowa zaś świątynia chciała rozświetlić wszystko, dlatego też niedociągnięcia jego kazań stawały się tak wyraźne, a pastor sam słyszał, jak ośmieszają je dźwięczące w nawie echo.

Nie było już jednak odwrotu. On sam doprowadził do rozbiórki kościoła słupowego i oto stał tu teraz na ambonie, słuchając własnego głosu. W jaskrawym świetle dało się rozpoznać wszystkie twarze zgromadzonych, a Schweigaard zaczął rozglądać się po ławach, szukając jednej konkretnej osoby. Ale Jehansa nigdzie nie było. Nie było go jak zwykle ani w kościele, ani nigdzie indziej. Pewnie znów poszedł w góry na polowanie.

W końcu wyszli ze świątyni i widok trumiennego wieka zrobił swoje. Podobnie jak odgłos opadającej na nie wilgotnej ziemi. Jej słowa powróciły.

„Ale też zobaczysz znak. Zwłaszcza ty go zobaczysz”.

Akuszerka umarła po dwunastu dniach, tak jak uprzedziła, i trudno było teraz ignorować jej inne przepowiednie.

Schweigaard pożegnał licznych żałobników, była wśród nich Oddny Spangrud, którą od teraz będą nazywać już po prostu „akuszerką”. Stał jeszcze chwilę nad grobem pograżony w rozważaniach. Czuł strach na myśl, że czas mu ucieka, uczucie zupełnie nieestosowne na cmentarzu, stanowiącym przecież najlepszy taras z widokiem na wieczność.

„Mówiła, że tkanina nie jest daleko. Że ludzie tak jakby na nią patrzą, ale jej nie widzą”.

Podszedł do nieoznaczonego grobu po drugiej stronie kościoła. Pogrzebał w ziemi czubkiem buta, pochylił się i odgarnął trawę skrywającą kamień kwarcowy wielkości pięści, lśniący czernią i bielą. To tu, na ten otwarty plac, przynieśli w 1880 roku trumny znalezione pod podłogą starego kościoła. Wszystkie były poszarzałe i zbutwiałe, niektóre deski popękały tak, że wyglądały spomiędzy nich czaszki i długie kości zmarłych.

Jedna trumna była jednak zupełnie od pozostałych inna. Zrobiona z solidnej sosny przeżywczonej. Miała kształt niemal kwadratowy, bez wyraźnie zaznaczonych końców na głowę i nogi, a gdy ją przechylnono, nie rozległ się grzechot kości. Dlatego też Schweigaard oznaczył miejsce jej pochówku tym kamieniem.

Znów obudził się w nim dawny niepokój, a wraz z nim – dawna potrzeba działania. Ta sama, która popchnęła go do zmiany zwyczajów pogrzebowych, usprawnienia systemu pomocy ubogim i szkolnictwa we wsi.

Jego pokutna pielgrzymka trwała już dość długo.

Ta tajemnicza trumna... A jeśli nie pochowano w niej ludzi, lecz najświetniejszą w okolicy tkaninę?

Czy to możliwe, że gobelin nigdy nie opuścił kościoła? Że ktoś wpadł na przebiegły pomysł ukrycia go w trumnie pod podłogą, co w tej wsi było całkiem do pomyślenia? W ten sposób tkanina pozostawałaby w świątyni i nadal otaczała ją swoją mocą, razem z innymi siłami, żyjącymi i oddychającymi w kościele słupowym. Może taki stary, wyliniały gobelin mógłby nawet, w ten czy inny sposób, pomóc mu znów dotrzeć do Jehansa?

Kai Schweigaard pospieszył na plebanię i zawołał do pani Bressum, że ma przygotować późny obiad dla niego i kościelnego Røhme. Nie, nie teraz, ma być późny! Koło siódmej. Tak, najlepiej ryba! Ten pstrąg, co go wczoraj złowiłem! Wspiął się pospiesznie na schody i zapukał do drzwi pokoju na poddaszu.

– T-tak? – odpowiedział kościelny i zaraz potem otworzył.

– Panie Røhme. Proszę się przebrać w odzież roboczą. Musimy coś... przedsięwziąć.

Mężczyzna przytaknął. Schweigaard wyjaśnił mu, co mają zrobić – trzeba było jeszcze tego samego dnia wykopać dół głębokości półtora metra i kontynuować prace następnego ranka. Pan Røhme

przełknął kilkakrotnie ślinę i zaczął kręcić głową.

– Spokojnie – powiedział pastor. – To jest cmentarz. Ludzie przywykli, że się na nim kopie. Nie przywykli natomiast do tego, że trumny się z ziemi wyciąga. Ten właśnie fakt utrzymamy w tajemnicy. Na tyle, na ile się da.

Kammerlader

Stado renów zeszło z górskiego zbocza niczym pułk francuskiej kawalerii, tyle że dumniejsze, liczniejsze i szybsze. Świeżo starte poroża błyszcząły od krwi jak szable po bitwie, z tą różnicą, że z góry nie schodzili ocaleni wybrańcy, lecz wszyscy – cielaki i młode zwierzęta, widłaki, łanie i wielkie byki, cała gromada, wszystkie i każdy jeden, i żaden inny, wybiegające niczym z zamierzchłych czasów z przewodniczką stada na czele. Poroża były bujne i rozwidlone, ich odrostki ostre i dość długie, by przebić serce rosomaka czy wilka, zaś w okresie godowym – również rywała. Bronią tą zwierzęta zostały wynagrodzone po tysiącach lat życia w górach ponad granicą drzew, gdzie nie było się o co obijać, poroża rosły więc swobodniej i stały się okazalsze niż u łośi lub jeleni, krewnych, którzy nie mieli odwagi żyć na wolności, zadowolając się leśnymi kryjówkami.

Musiało ich być ze czterysta, żyjących w górach na mrozie, wietrze lub w gęstej mgle, chodziły zimą po śniegu, rozgarniając go racicami w poszukiwaniu mchu, cielne łanie, które na wiosnę w tym samym mchu rodziły, karmiły młode swoim mlekiem, a potem uczyły samodzielnego odnajdowania pokarmu. Przez lato stworzenia jadły i nabierały sił, rozproszone w niewielkich stadkach, aż byki odłączały się od nich i zaczynały walczyć ze sobą o samice. Potem zwierzęta znów zbijały się w kupę, by stawić czoła zimie i wrogom, wędrowały w rozległych formacjach oblewających górskie zbocza niczym woda płynąca. Z bliska dawało się dostrzec pojedyncze wieńce poroży pośród młodych i łani. Były to stare samce, strażnicy stada, byki tak wielkie, że grzywy na ich szyjach sięgały niemal ziemi, na widok wroga potrafiły ustawić się w kręgu i bósć czy deptać każdego, kto miał się odwagę zbliżyć.

Lecz zazwyczaj reny po prostu znikają. Przychodziły z nicości i zanurzały się w niej na powrót.

Jehans podążał za nimi od dwóch dni, choć sam takich słów nie używał, bo nie da się podążać za stadem renów. Przez dwa dni jednak wyczuwał ich obecność w pobliżu, leżał przy ich trasach przemarszu, śledził zmiany kierunków wiatru, lustrował wzrokiem zbocza gór o ponurych nazwach: Jammerdalshøgda – „wzniesienie doliny jęków”, Kleberkakken – „skalny cios” czy Gråhøgda – „szare wzniesienie”. Brnął przez bagna tam, gdzie miał nadzieję je znaleźć, robił to samo, co robiłyby reny, i cały czas myślał: Gdyby to one polowały na mnie, byłbym martwy po pierwszej godzinie.

O tej porze roku zwierzęta zazwyczaj nie zbijały się w tak wielkie stada, ale Jehans wiedział, że w odniesieniu do renów może być pewien tylko tego, że nic nie jest pewne. Pamiętał doskonale wszystkie ustrzelone przez siebie renifery i wszystkie przypadki były całkowicie różne.

Położył się płasko na ziemi i śledził zwierzęta wzrokiem.

Stado zatrzymało się na podmokłej łące. W drgającym od ciepła i wilgoci powietrzu widok cały czas zdawał się zmieniać kształt.

Reny były daleko, ale od wielkiej grupy odłączyło się nagle mniejsze stadko i ruszyło w kierunku Jehansa, płatanina szarych grzyw, długich nóg i rozłożystych wieńców. Chłopak przywarł do ziemi, starając się nie wydawać żadnego odgłosu, aż w końcu reny również uklęknęły i położyły się w trawie. Przez chwilę widać było ponad wrzosami kilka pojedynczych odrostków poroża, po czym znikły i one.

Łania przewodniczka nadal jednak stała i nie miała zamiaru się kłaść.

Nieustępliwa wartowniczką. Stara samica, która nie mogła już rodzić cieląt. Łania, która wszystko widziała i wszystko przeżyła mimo tego, czego stała się świadkinią i przed czym przestrzegała teraz młodsze zwierzęta.

Jehans przycisnął brzuch do ziemi, wiedział, że jeśli on nie widzi jej, ona nie widzi jego. Spróbował przesunąć się trochę w przód i zaczął pełznąć ku zwierzętom. Przełożona przez ramię broń poruszała się pod jego pachą. Lufę dokładnie wypucował, a zamek nasmarował jak należy, nie dało się jednak zaprzeczyć, że była to broń słaba i wiekowa.

Chłopak chodził na polowanie z odcylcowym karabinem typu kammerlader, z grawerem Fabryki Broni w Kongsberg i datą 1848. Adolf znalazł go w dziwnych okolicznościach niemal czterdzieści lat wcześniej, w roku tak nieurodzajnym, że krowę musiał karmić tym, co znalazł w lesie. Zbierał właśnie gałązki i mech, gdy dostrzegł karabin oparty o pień sosny. Kolbę porastał grzyb, na spuszcie siedziała

mrówka, zaś wszystkie elementy wykonane z metalu pokrywała rdza. Jedynym wyjaśnieniem, które przyszło Adolfowi do głowy, było to, że jacyś żołnierze musieli tu kiedyś obozować i jeden z nich albo zdezerterował, albo poszedł po prostu dalej bez swojej broni.

Żołnierz ten musiał jednak dobrze naoliwić swój karabin, bo mechanizm nadal działał jak należy. Jak na broń czarnoprochową strzelającą niemal siedemnastomilimetroowymi pociskami kammerlader był smukły i zgrabny, ale stworzono go z myślą o taktyce z czasów napoleońskich, dlatego też razem z bagnietem liczył sobie prawie trzy łokcie długości i mógł pełnić funkcję zarówno broni siecznej, jak i karabinu. Wystrzeliwane z niego szpiczaste pociski miały wagę niemal czterdziestu gramów. Żadnej broni nie uważało się za złą, póki ktoś nie wymyślił czegoś lepszego, ale kammerlader mógł uchodzić za nowoczesny tylko w czasach, gdy strzelało się z muszkietów czy arkebuzów ładowanych odprzodowo, zaś po latach pod gołym niebem żaden karabin nie mógł uchodzić za pewny ani godny zaufania. Choćby nie wiadomo jak dobrze Jehans celował, precyzja strzału była tak mizerna, że dawał w ogóle spokój celom znajdującym się dalej niż o sześćdziesiąt metrów. Sam bagnet przerażali zaś z Adolfem na dwie części i przekuli na ostrze noża, zostawiając jednak przy broni zadziór na tyle długi, by móc go wbić w krąg szyjny rena, i Jehans wielokrotnie zabijał zwierzęta takim właśnie ciosem, tak jak tysiące lat wcześniej robili to zamieszkujący te góry tropiciele i myśliwi.

Niemniej rzeczywiście był to karabin i przez pierwsze lata Jehans czuł dumę ze swojego kammerladera, z nim przy boku był bogatszy, a do tego zupełnie dorosły. Pierwszego cielaka renifera ustrzelił jako jedenastolatek. Adolf przydźwigał zwierzę do Halvfarella, a Jehans niósł za nim karabin i od tego czasu nie przestawał go już nosić. Po ośmiu spędzonych wspólnie latach w górach Adolf oświadczył, że nie jest go w stanie już nauczyć niczego nowego o polowaniach i że broń należy teraz do chłopaka.

Stado wciąż leżało spokojnie na trawie. Jehans pełzł przed siebie, rozplaszczony na ziemi, wykonując rękoma i nogami takie ruchy, jakby poruszał się w wodzie.

Tuż przed nim płynął niewielki strumyk. Nie miał jak go pokonać, podejrzewał, że łania przewodniczka stoi nadal wyprostowana, wyczuwał ją w pobliżu zapewne tak samo, jak ona wyczuwała jego. Obrócił się, układając ciało równoległe do nurtu, stoczył się spokojnie do strumienia i poczuł, jak jego wadmelowe spodnie robią się ciężkie od wody. Karabin i mieszek z prochem trzymając wysoko w wyciągniętych rękach, przetaczał się powoli przez nurt, a woda wlewała mu się za kołnierz kurtki. Gdy próbował wygramolić się w ten sposób na drugi brzeg, mokre ubrania zdawały się przytrzymywać go w korycie, lecz on brnął uparcie dalej, mimo że ciężkie spodnie wciąż o coś zahaczały, zupełnie jakby każda gałązka próbowała je z niego ściągnąć. Spodnie były zresztą za luźne, bo Jehans zdążył w czasie polowania schudnąć, chwycił je więc w pasie i nieznacznie podciągnął. Nogawki były już wcześniej postrzępione, teraz zrobił w jednej z nich nową dziurę, ale zupełnie się tym nie przejął, bo dotarł na nieco lepszy teren, nurt strumienia wyżłobił tu zagłębienie, w którym można było się schować. Wiedział, że jeśli tylko lekko się z niego wychyli, będzie miał dobre oparcie dla broni i widok na zwierzęta.

Chwycił karabin za lufę, przysunął się do skraju niecki i wyjrzał ostrożnie.

Renifery nadal leżały na trawie.

Ale one wiedzą, powiedział Jehans w myślach do samego siebie. Wiedzą, że tu jestem. W ten czy inny sposób wiedzą.

Łania przewodniczka stała zwrócona do niego tyłem, nieruchomo, z trawy zaczęła wstawać jeden z samców. Dźwignął się na nogi i otrząsnął. Jehans poczuł, jak zaczynają mu mrowić ręce. Ren miał długą grzywę, był wielki i nie starł sobie poroża, ale zaczął szturchać nosem leżącą na ziemi samicę i nie dał jej spokoju, aż ta wstała. Jehans nie miał wcale pewności, czy może go zastrzelić, bo jeśli akurat był w okresie godowym, jego mięso okaże się niejadalne, a on nie spłaci nim długu, który zaciągnął w tym roku jako dzierzawca u Osvalda Hekne.

Dług ten miał charakter dość skomplikowany. Adolf i Ingeborg od lat nie musieli odrabiać w Hekne obowiązkowych dla dzierzawców dni pracy, ale w zamian za to Adolf miał dostarczać gospodarzom świeżo ustrzelone reny, zaś zimą złapane w sidła pardwy i inną zwierzynę, którą udawało mu się upolować. Umowa ta nadal zresztą obowiązywała, lecz Jehans mimo to bywał coraz częściej wzywany do pracy w środku tygodnia, Osvald powtarzał mu przy tym za każdym razem, że i tak jest

traktowany zbyt pobłaźliwie.

Adolf twierdził, że porządki w Hekne wyglądały kiedyś zupełnie inaczej. Przestrzegano tam określonych zasad, zwanych czasami „hekneńskimi zwyczajami”. Ze zwyczajami tymi wiązało się swoiste poczucie sprawiedliwości, lecz również skłonność do brawurowych, wielkich czynów, tak jak wtedy, gdy Eirik Hekne nakazał odlać Siostrzane Dzwony, za cenę tak wielką, że jego majątek niemal został zlicytowany. Gospodarstwem powinien teraz właściwie zarządzać Emort Hekne. Jehans ledwie go pamiętał. Jego łagodny, nieco zatroskany głos, dłoń na ramieniu i brązowe włosy pod czapką. Emort nie nadawał się jednak na gospodarza, a może po prostu nie był takim losem zainteresowany. Przekazał prawo dziedziczenia Osvaldowi i wyjechał do Ameryki ze swoim młodszym bratem.

Jehans znów wyciągnął szyję.

Byk musiał ważyć z dziewięćdziesiąt kilo, może więcej. Ale czy chciał się parzyć czy nie?

Chłopak położył się na plecach i przesunął dźwignię karabinu o pół obrotu, tak by z komory nabojoyej wyłonił się pusty w środku cylinder. Na rzemieniu miał zawieszoną wokół szyi wodoszczelną skrzyneczkę z brzozywej dartki, arcydzieło, na którego wykonanie Ingeborg przeznaczyła wiele wieczorów. Wydobył z niej papierową tubę z prochem i rozerwał ją zębami. Proch wsypał do cylindra, umieścił w nim ołowianą kulę, następnie zaś chwycił jeden z niewielkich okrągłych kapiszonów, wcisnął go na kominek pod cylindrem i tak oto broń była już gotowa do strzału.

Obrócił karabin lufą w kierunku rena, ułożył się wygodnie i oparł o kamień.

Z ziemi zdążyły już wstać kolejne zwierzęta.

Jehans miał dobry widok na dorodnego widłaka, samca zbyt młodego do rozrodu, piękne zwierzę. Stał nieopodal reszty stada, trochę daleko, ale celny strzał nadal był możliwy. Mięso tego rena z pewnością wystarczyłoby do spłaty należności w Hekne. A jeśli Jehans przeładuje karabin dość szybko, zdoła być może ustrzelić jeszcze jedno zwierzę – wtedy i w Halvfarelia nie musieliby się przez całą zimę martwić o jedzenie.

Widłak stał zwrócony do niego bokiem i chłopak się na niego zdecydował.

Nabrał powietrza, zgrał muszkę ze szczerbinką i pociągnął za spust.

Iglica uderzyła w kapiszon z metalicznym chrzęstem.

Nic innego się nie stało.

Łania przewodniczka odwróciła się w jego kierunku, coraz więcej zwierząt zaczęło wstawać. Jehans ponownie naciągnął kurek, wycelował, ale broń nie wypaliła i tym razem. Chłopak znów otworzył komorę nabojoyą, chwycił nowy kapiszon i umieścił go na miejscu, ale w tej samej chwili usłyszał stuk poroża uderzającego o inne poroże i zrozumiał, że stado zaczyna się pospiesznie oddalać. Z tyłu została jedna łania, chłopak wziął ją na muszkę w nadziei, że nie prowadzi ze sobą cielaka, ale wtedy samica odnalazła zawieruszone gdzieś wcześniej młode, on zaś nie mógł postąpić wbrew temu, co powiedział mu Adolf pierwszego dnia na wspólnym polowaniu: „Nigdy nie pozbawiamy cielaka matki”, wycelował więc w młode, ale wszystkie zwierzęta biegły już teraz zwrócone do niego zadami, poruszenie zapanowało też w całym wielkim stadzie i Jehans już nigdy się nie dowiedział, czy jego strzał miał szansę trafić – bo wcale go nie oddał.

Podniósł się na kolana i spoglądał za renami, aż mu zniknęły z oczu.

Dość mięsa, by wykarmić całe Butangen.

Wyjął kapiszon i przyjrzał mu się. Nie sposób było stwierdzić, czy jest uszkodzony. Opuściła go cała nadzieja i wiedział, że przez resztę dnia będzie się oskarżał, rozpamiętując, co mógł zrobić inaczej.

Ależ z ciebie głąb, Jehansie Hekne! I pomyśleć, że ćwiczyłeś dłonie, żeby móc szybko przeładować broń. To oczywiste, że powinienes mieć zapasowy kapiszon gotowy w garści! I po co tyle machałeś lufą, jak się chowałeś, żeby go wymienić!

To wszystko powiedział do siebie na głos.

Szło mu tak dobrze aż do chwili, gdy zaczęło iść źle, a teraz już wszystko przepadło i chłopak zwątpił, czy w ogóle nadaje się do polowania, mimo że dotąd ustrzelił przecież tyle reniferów. Ale przy takiej porażce nic nie przygnębiało bardziej od gór w Gudbrandsdalen.

Człowiek czuł się tu samotny bardziej niż gdziekolwiek indziej. Tych, którzy tu marli, rzadko odnajdywano, a jeśli nawet, to tylko pod postacią skulonego szkieletu, z czego można było wnioskować,

że nieszczęśnik przeczuwał nadejście śmierci z wychłodzenia.

Jehans wstał i poprawił mokre wadmelowe spodnie. W głębi duszy wiedział, że już następnego ranka wzbierze w nim nowa nadzieja, a przy odrobinie szczęścia stanie się to jeszcze tego samego wieczora. Że zobaczy coś na mokradłach, może wieniec poroża wyglądający zza głazu.

Tak to już było i tak miało być. „Reny w tych naszych górach są takie czujne – powiedział mu kiedyś Adolf – że na każde ustrzelone zwierzę przypada siedem zmarnowanych szans”. W tym cztery z tych porażek, wyliczył Adolf, spowodowane są niecelnym strzałem, złą jakością prochu lub zawodnym kapiszonem. Nic się na to nie dało poradzić, dlatego trzeba się było ćwiczyć w tropieniu. W rozpoznawaniu nieznacznych barwnych niuansów, wypatrywaniu punkcików na mokradłach i upewnianiu się, że te punkciki, maleńkie jak kropki w książkach Kaia Schweigaarda, nie znikną. Jehans potrafił długo wgapiać się w górskie zbocze, a potem nagle tak jakby odrywał się od niego płat, całkiem niespodziewanie, pędził w dół i zmieniał się w stado uciekających renów, które zostawiały po sobie jedynie ślady przywodzące na myśl półksiężyc. I tak oto zwierzęta z każdym krokiem odciskały na ziemi racicą księżycowy stempel, równie szare i nieosiągalne jak miesiąc na niebie.

Lecz mimo wszystko miało się tę nadzieję.

Czuł się taki bogaty w tamtym pierwszym roku, gdy chodził po górach sam z karabinem. Tu nie był wobec nikogo niższy rangą, w górach bowiem wszyscy są sobie równi, nie trzeba się kłaniać bogatym gospodarzom, nie ma zadufanych w sobie krewniaków, którzy by się nazywali Oswald Hekne, uśmiechali z pogardą i myśleli o tobie jak najgorzej. Jehans co prawda tu marzył, ale nie na kość, jak w wąskim łóżku przy ścianie w Halvfarella, a nawet jeśli głodował, to bez buntu czy złości. Zazwyczaj brał ze sobą rozkładaną na sześć części wędkę, którą odziedziczył po ojcu, taką, jakiej nie miał nikt inny w okolicy, podobnie jak nikt nie miał takiego jak on ojca, niemieckiego studenta architektury, który rozebrał kościół we wsi. Jehans mocował haczyk do linki i łowił pstrągi w rzekach, które do nikogo nie należały.

Lecz teraz, gdy stary karabin go zawiódł, chłopakowi nasunęła się myśl o całym ciężarze biedy, który musiał dźwigać.

Przypomniawszy sobie, jak pewnego dnia wstał, ubrał się, poszedł pieszo na pociąg i kupił bilet tylko do następnej stacji, ale wysiadł dopiero w Lillehammer, gdzie udał się do sklepu ze sprzętem sportowym Helleberga i ujrzał tam najprawdziwszego krag-jørgensena.

Broń ta została opatentowana w roku 1894 przez pułkownika Kraga i rusznikarza Jørgensena, wyprodukowano ją w Fabryce Broni w Kongsberg, tak jak kammerladera, tyle tylko że oba modele dzielił od siebie cały ocean postępu technicznego i metalurgicznych wynalazków. Krag wzbudził sensację na całym globie, był to najbardziej zaawansowany i precyzyjny karabin na świecie. I do tego jeszcze karabin norweski.

Jego niezwykle długie naboje liczyły sobie zaledwie 6,5 milimetra średnicy, broń wystrzeliwała je z niepojętą wręcz prędkością 770 metrów na sekundę, tym samym na całej kuli ziemskiej nie było niczego, co poruszałoby się szybciej niż pocisk z kraga i mówiono, że pocisk taki jest w stanie zabić z odległości sześciuset metrów. Odpadała cała heca z przygotowaniem kammerladera do strzału – tutaj wystarczył tylko mały, wodoszczelny metalowy nabój i nie dość tego – w kragu mieściło się takich naboików aż sześć! Jehans obejrzał sobie cały mechanizm i zdawało mu się, że pojmuje stojącą za nim myśl konstruktora. I tak obie części jego natury – inżynier, którym pragnął zostać, i myśliwy, którym już był – zaczęły snuć śmiałe marzenia.

W kragu łączyło się to, czego uczyli go z jednej strony Kai Schweigaard, z drugiej zaś Adolf i Ingeborg, pastor – przez długie wieczorne godziny rozmów o fizyce, mechanice i nauce, przybrani rodzice – poprzez tygodnie spędzane w lesie i w górach. Kunszt inżynierski i natura, zjednoczona w doskonale wyważonym dziele sztuki ze stali i drewna, w którym nieznaczne drgnięcie spustu uruchamia techniczny cud fizyki i balistyki, trwający jedną setną sekundy i potrafiący powalić zwierzę pewnie i szybko – a przecież to już od zarania dziejów było największym marzeniem tropicieli i myśliwych.

Karteczka z ceną wisiała na sznureczku przywiązany do języka spustowego, lecz kiedy Jehans obrócił ją i ujrzał skreślone ołówkiem cyfry, informujące, iż karabin kosztuje pięćdziesiąt cztery korony i sześćdziesiąt øre, wszystko w nim zamarło. Od sześciu lat chodził w tych samych butach, bo nowe były

za drogie. Zdobyć używanego kraga graniczyło zaś z cudem, poza tym broń ta była tak poszukiwana, że nie stać byłoby go pewnie nawet na zakup z drugiej ręki.

Puścił etykietkę z ceną, pozwalając jej kołysać się na sznurku, odwrócił się, zanim karteczka znieruchomiała, poczuł ukłucie smutku i złości, bo wiedział, że Kai Schweigaard zapewniłby mu środki i wykształcenie, dzięki którym mógłby być mężczyzną godnym kraga, ale on już dawno temu podziękował niezbyt grzecznie za taką pomoc i stał się tym, kim był teraz – młodym człowiekiem kupującym kapiszony do starego jak świat kammerladera.

Wrócił nad strumień i ugasił pragnienie. Rozebrał się i spróbował oczyścić ubranie, ale czołgając się, wtarł w nie tyle wierzbowych listków i mchu, że stwierdził, iż nie obejdzie się bez namoczenia. Zanurzył spodnie w wodzie, przyczepiając szelki do dużego otoczaka, po czym poszedł nago w dół strumienia do zatoczki, w której mógł się umyć, drząc przy tym z zimna. Miał ze sobą niewielki kawałek mydła, oprócz tego zabrał z domu nóż, siekierę, manierkę, nosidło do mięsa poza tym właściwie już nic. Mydło było równie istotne jak proch. W górach trzeba było codziennie zmyć z siebie pot, podobnie zresztą jak zapach odchodów spomiędzy pośladek. Reny potrafiły doskonale wyczuć woń człowieka.

Usiadł w resztkach słonecznych promieni i wbił wzrok przed siebie. Czasami był pewien, że zwierzęta umieją też wywęszyć jego myśli. Nie przeszkadzało mu to. W tych chwilach samotności w górach pozwalał sobie często na rozmyślenia o matce i bracie. Jego ojciec zmarł w Niemczech i choć chłopak odziedziczył po nim wędkę, to matka wydawała mu się zawsze bliższa, ona też mieszkała kiedyś w Hekne i łatwiej mu przychodziło wyobrażanie sobie, jaką była osobą. Łatwiej przychodziły mu też marzenia o tym, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby matka i brat przeżyli poród. Raczej na pewno mieszkaliby wszyscy w Hekne i cały majątek wyglądałby tym samym inaczej. Ale tymczasem po ziemi chodził tylko Jehans i musiał żyć za ich troje, nie będąc nigdy do końca pewnym, czy tamci byłiby z niego zadowoleni.

Siedząc tak i susząc się w słońcu, dostrzegł nagle odcinające się na tle nieba stado. Reny szły w kierunku Jammerdalshøgda, on zaś gwałtownie się ożywił. Wystarczyło jedno spojrzenie, to było jak gorączka i widok ukochanej osoby w jednym. Jego ciało chciało popędzić za renami, ale wiedział, że nie przeżyje nocy, jeśli pójdzie tam bez posiłku. Odwrócił spojrzenie od stada i zaczął jeść to, co Schweigaard nazywał bażyną, a Ingeborg nazywała żurawimi jagodami. Nie wiał najłżejszy nawet wiatr i dlatego też jego ubranie było wciąż wilgotne, ale przynajmniej nie musiał marznąć. Jehans ruszył w kierunku zwierząt i dotarł do Jammerdalshøgda pod wieczór. Znalazł tam kilka wielkich, dających schronienie głązów, zrobił sobie pod nimi legowisko z mchu, przykrył się gałązkami, na których ułożył wilgotne ubranie, po czym zasnął. Sny jego pełne były ruchu i widoku poroży na tle nieba, ciągłych wędrówek i stosów kamieni na górskich szczytach, tyle że góry te nie miały nazw, a wszystkie reny były takie same.

W środku nocy poczuł, że zaczyna wiać, i już długo przed świtem siedział z dłonią na lufie karabinu, rozglądając się dookoła. Krajobraz wyłaniał się z ciemności, zyskiwał kontury i kształty, wkrótce rozciągnęła się przed nim linia horyzontu i góry były już rozpoznawalne, lecz nadal pozbawione barw. Później, z pierwszymi promieniami słońca, ziemia przybrała odcienie szarości, zieleni i brązów, a kolory te stawały się coraz jaskrawsze, ostrzegając, że słońce wespnie się za chwilę wysoko na niebo.

Jak okiem sięgnąć ani jednego rena. Takie podążanie za stadem było zresztą zazwyczaj daremne, zanim bowiem człowiek dotarł na miejsce, w którym dostrzegł zwierzęta, one znajdowały się już gdzieś zupełnie indziej.

Pragnienie sprawiło, że musiał przestać się rozglądać i poszukać wody. Dojrzał strumyk płynący nieco niżej wzdłuż zbocza i zszedł do niego ostrożnie. Gdy był już na tyle blisko, że słyszał szmer płynącej wody, przystanął.

Dostrzegł jakiś ruch pośród wierzbowych krzewinek za strumieniem. Zamarł w bezruchu. Wbił wzrok w tamto miejsce. Ruch już się nie powtórzył, lecz Jehans mimo to ukucnął.

Czyżby mignęło mu tam przez chwilę poroże? A może to tylko gałązka?

Wiatr był jego sprzymierzeńcem. Dmuchał mu prosto w twarz, tak że Jehans mógł podejść blisko, a zwierzę – jeśli faktycznie było to zwierzę – nie miało szansy go zwęszyć. Chciał zbliżyć się jak najszybciej, ale zmusił się, by w pierwszej kolejności ugasić pragnienie, musiał pokonać tylko jakies

dwieście metrów, lecz dobry moment na oddanie strzału mógł nadejść dopiero za godzinę albo dwie. Musiał przede wszystkim wybrać jak najlepszą trasę. Mógł pójść prosto przed siebie, była tam niecka, w której dałoby się schować, ale leżały w niej kamienie, one zaś hałasują. Dlatego też Jehans zaczął pełznąć po półkolu, okrążając zagłębienie terenu. Miał wrażenie, że trwa to całą wieczność.

W końcu ukrył się za głazem i wyjrzał zza niego ostrożnie na wierzbowe krzewinki.

Ani śladu rena. Czyżby przeznaczył właśnie godzinę na osaczenie czegoś, co okaże się suchą gałązką?

Czekał, miał wrażenie, bez końca i znów zachciało mu się pić. Już prawie stracił wiarę, gdy pomiędzy wierzbami rozległ się szelest.

A jednak. To było poroże.

I to imponujące. Odrostek za odrostkiem odchodzący z dwóch potężnych pni. Strzelająca w niebo korona. Zupełnie jakby ktoś napiął kilka długich łuków, wypowiadając wojnę słońcu. Samo ciało zwierzęcia pozostawało niewidoczne za krzewinkami, ale musiał to być jakiś samotny, wielki byk. A ponieważ nie miał startego poroża, nie był też w okresie godowym. Takie samce przechadzały się czasami po okolicy. Samotni cesarze gór.

Mógł to też być stary byk. Okazy te potrafiły mieć wielkie poroża, ale drobne ciała, wiek nie pozwalał im już na wygrywanie walk o samice, dlatego też takie osobniki prowadziły samotnicze życie, a wszystkie ich witalne siły szły w bezcelowe wykształcenie wielkiego poroża, które, gdy już drapieźnik przegryzie im staw racicowy i wbije kły w gardło, zostanie po nich na pamiątkę życia górskiego monarchy.

Poroże zanurkowało na powrót pomiędzy krzewinkami i zniknęło Jehansowi z oczu. Nic się już nie poruszyło. Chłopak szacował, że od rena dzieli go jakieś sześćdziesiąt metrów.

Znów mocniej zawiąło, Jehans zaczął ładować karabin, ale musiał uważać, by nie zdmuchnęło mu prochu.

Byk się poruszył po raz kolejny. Krzewinki zaszeleściły, chłopak słyszał, jak zwierzę przeżuwa, przetyka i parska. Chwycił kapiszon w palce, które zaczęły lekko drżeć. Kolejny raz otworzył komorę i pochylił się, by przygotować broń do strzału.

Z jego czoła stoczyła się kropla potu, padając prosto na kapiszon.

Słyszał, jak gałązki krzewinek ocierają się o sierść i poroże. Wiedział, że byk wyjdzie za chwilę z ukrycia.

Zadrzał i rzucił zamoczony kapiszon w kępę wrzosu. Wytarł palce o rękaw i wyciągnął kolejny, spojrzął na niego i pomyślał:

Ty. Ty mnie nie zawiedziesz.

Ren wstał, zanim myśliwy zdążył zamknąć komorę naboju. Był duży, nawet więcej niż duży, żaden stary byk, tylko naprawdę imponujący okaz, a potem zrobił się jeszcze większy, bo wcześniej klęczał, gdy się zaś wyprostował, Jehans stwierdził, że to musi być odmiana nazywana przez Adolfa „Imsdalsprest”, czyli „Pastor z Imsdalen”. Miał długą, białą jak kreda grzywę na piersi, szarą, kosmatą sierść i poroże wygięte niemal w okrąg, było na nim więcej odnóg niż noży w bogatym majątku. Ren wyplątał się z krzewinek i odwrócił do Jehansa, tak że myśliwy mógł zajrzeć w oczy zwierzęcia, nim zamknął komorę, przyłożył broń do policzka, wycelował, ustawiając muszkę idealnie na sercu byka, po czym nacisnął spust. Ren zniknął mu z oczu w wielkiej czarnej chmurze prochu, która utworzyła się wokół wylotu lufy, w uszach zadźwięczał mu huk wystrzału. W końcu zobaczył, jak zwierzę drga, po czym rzuca się gwałtownie i wiedział już, że zostało trafione.

Coś jednak było nie tak.

Wystrzał zabrzmiał inaczej niż zwykle, dźwięk był zarówno zbyt głośny, jak i zbyt ostry, w dobrze znanym huku pojawiła się jakaś obca nuta, twardszy ton podobnego rodzaju, lecz innego gatunku i Jehans wystraszył się, że wybuch rozsadził komorę, że sam jest być może ranny, tylko jeszcze tego nie czuje, spojrzął więc na swoje dłonie, lecz nie dojrzał na nich krwi, uniósł palce do skroni i poczuł, że jest mokra, lecz jego dłoń wróciła nieuwalana czerwienią, a potem podmuch wiatru rozwał chmurę prochu i oto ujrzał wyraźnie, jak byk stoi przed nim na tylnych nogach, unosząc przednie ku niebu. Gdy racice opadły na ziemię, usłyszał i poczuł to uderzenie, ren zrobił krok do przodu, odwrócił

się, Jehans zaś wstał i mu się pokazał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym byk padł i zamarł bez ruchu.

Chłopak podszedł do niego powoli, wiedział, że zapamięta tę chwilę do końca swych dni. W zabijaniu zwierząt nie było żadnej radości. Jakaś jej forma kryła się jednak w myśli, że jest się tym, kto zwierzę zapamięta. Niektóre pamiętało się już zawsze i każdy powrót na miejsce, w którym padł strzał, budził ustrzelony okaz do życia. Z takiego miejsca zwierzę za każdym razem biegło w stronę gór, piękne i nieśmiertelne.

Jehans dostrzegł kątem oka jakiś ruch za swoimi plecami. Zza kępy wrzosu podniósł się mężczyzna z karabinem w rękach, a kawałek za nim pokazało się jeszcze dwóch innych ludzi.

Ruszyli do niego, spokojnym, zdecydowanym krokiem. Ten, którego ujrzał w pierwszej kolejności, był młody, miał gołą głowę i ciemne, kręcone włosy. Ubrany był w szarawe sportowe spodnie w dużą kratę oraz kurtkę z tym samym wzorem. Wysokie sznurowane buty sięgały mu do połowy łydki, zaś broń jaśniała czarną stalą z błękitnymi refleksami oraz rudawym drewnem.

Mężczyzna spojrział Jehansowi w oczy i już nie odwrócił wzroku, przyspieszył, jego ruchy były błyskawiczne, cały ten człowiek zdawał się ucieleśnieniem woli i zapału.

Był wściekły, ale nic nie mówił.

Jehans stał pomiędzy nim a renem, obaj trzymali broń w prawej ręce, dookoła wciąż unosił się zapach prochu i było zupełnie tak, jakby same karabiny chciały udowodnić sobie swoją siłę i zasadność, bo nagle stuknęły o siebie lufami i rozległ się dźwięk stali uderzającej o stal.

Nieznajomy był od Jehansa nieco niższy, z jego ust bił ostry zapach, miał brązowe oczy i zdecydowanie zarysowane brwi. Mierzyli się wzrokiem bez słowa. Po chwili podeszli do nich dwaj pozostali ludzie i stanęli po obu stronach Jehansa. Byli nieco starsi, odziani jak górcy przewodnicy.

– To był jego strzał i to jego renifer – odezwał się jeden z nich. Miał zawieszoną na szyi lornetkę.

– A czemu sam mi tego nie powie? – spytał Jehans. Wciąż patrzył nieznajomemu strzelcowi w oczy, na tamtych nawet nie zerknął.

– Chyba nie powinieś się z nami kłócić. To angielski turysta, a ja jestem jego tłumaczem. Szedłeś za nami, prawda? Widziałeś, jak osaczaliśmy tego byka?

– A kto by coś takiego zrobił? – zdziwił się Jehans.

– Tacy jak ty – syknął mężczyzna. Mówił miejskim dialektem. – Znam twój typ. Nasz klient przyjechał tu aż z Anglii, by zapolować na renifery. A ty tu przychodzisz i chcesz strzelać do zwierzęcia, które zobaczyliśmy jako pierwsi? Zupełnie jakbyś w ogóle był w stanie cokolwiek ustrzelić tą swoją nędzną pukawką. Uciekaj mi stąd, ale już!

Chwyił Jehansa za ramię, on mu się jednak wyrwał.

– Obejrzyjmy rena – powiedział. – Jeśli ten pan również trafił, będą dwa otwory wlotowe.

Dwaj przewodnicy nie chcieli go słuchać. Jehans chwycił mocniej kammerladera, a gdy mężczyźni chcieli mu odebrać broń, Anglik uniósł dłoń i rzekł po swojemu:

– Panowie, panowie! Załatwmy to w sposób pokojowy.

– Ten drań twierdzi, że to on ustrzelił zwierzę – wyjaśnił tłumacz.

– Bo taka jest prawda – wtrącił Jehans, również po angielsku, znów wrywając się przewodnikom.

Wszyscy trzej mężczyźni aż podskoczyli.

– Najlepiej sprawę rozsądzi on sam – ciągnął Jehans, odwracając się w stronę renifera.

Jego rozmówcy wymienili zdziwione spojrzenia. Chłopak nie był pewien, czy wybrał właściwie słowa i wystraszył się przez chwilę, że zaraz zaczną się z niego śmiać, ale nagle zdało mu się, że czuje na ramieniu dłoń Kaia Schweigaarda, że znów siedzi na plebanii, pochylony nad książką. „Tak, Jehansie, *judge* będzie tu dobrym słowem. Wymowa także była poprawna”.

W tej samej chwili Anglik się uśmiechnął. Zupełnie jakby przeszła mu jakaś dręcząca go dolegliwość, jakby pojął, że dostał coś innego, niż to, czego pragnął, ale że inne niekoniecznie znaczy gorsze.

– Zostańmy na chwilę sami – powiedział po angielsku. Jehans rozumiał co nieco z wymiany zdań pomiędzy trzema mężczyznami, choć nie rozpoznawał wszystkich słów. W końcu dwaj przewodnicy

odeszli kawałek i usiedli na ziemi.

Nieznajomy wyciągnął rękę i powiedział, po norwesku, lecz ze słyszalnym akcentem:

– Nazywam się Harrison. Victor Harrison.

Jehans chwycił jego dłoń i też się przedstawił.

– Mówi pan po norwesku? – zapytał.

– Tak, troszeczkę. Miałem norweską piastu... jak to się nazywa... *nanny*.

Anglik przełożył karabin do drugiej ręki, skierował lufę w stronę ziemi i odciągnął dźwignię zamkową. Jehans zobaczył na moment błyszczącą mosiężną łuskę w pięknym mechanizmie z oksydowanej stali. Harrison spojrzał na niego, wcisnął łuskę do magazynku i przesunął mechanizm ryglowy do przodu, tak że broń została zaryglowana z pustą komorą nabożową. Kolba karabinu miała elegancką stopkę z brunatnej gumy i ta właśnie barwa odcinała się najbardziej na tle wrzosów, gdy nieznajomy odłożył broń. Jehans umieścił swojego kammerladera tuż obok, a różnica pomiędzy tymi dwoma karabinami była taka jak pomiędzy ludźmi, do których należały. Strzelcy uklękli nad renem i znaleźli dwie rany wlotowe, tuż obok siebie. Klęczeli tak w milczeniu, czując bijące od zwierzęcia ciepło, napawając się jego widokiem i zapachami. Oczy byka były nadal przejrzyste jak lustro, Jehans dostrzegł w nich odbicie Harrisona i stwierdził, że Anglik podziwia ustrzelonego rena tak samo jak on.

Harrison chwycił zwierzę za racice i wyprostował mu nogi, chcąc go ładniej ułożyć. Ruch ten musiał otworzyć jakąś żyłę w przestrzelonym sercu, bo przez dwie rany postrzałowe zaczęła sączyć się krew. Płynęła powoli, aż dwie czerwone plamy zlały się ze sobą i nie sposób już było stwierdzić, która krew wyciekła z której rany, wiadomo było tylko, że wypływa ona z tego samego serca.

Rozdarta sutanna

Słysząc było miarowe ruchy łopaty. Biały nowy kościół za ich plecami był niczym nieświadomy widz. Zegary pokazywały wpół do piątej, powietrze było zimne i ostre, a oni nie mieli ochoty na śniadanie.

Nagle rozległ się nietypowy odgłos. Łopata trafiła na coś miększego od skały, lecz twardszego od ziemi.

– Ni-nie widzę, co to takiego – powiedział pan Røhme i po drabinie wspiął się na skraj dołu, by pójść po lampy naftowe.

Schweigaard nachylił się i zajrzał do środka. Było tam zupełnie ciemno, a on pomyślał: Wschód słońca ma to do siebie, że promienie nie zagładają do grobów.

Aż się zdrygnął, spojrzawszy na powracającego pana Røhme, jego sylwetka była niewyraźna w porannej mgle. Błede żółtawe światło lamp zdawało się unosić nad trawą i nagrobkami, budząc u Schweigaarda różne dziwne myśli, na przykład, że gdyby oświetlić wnętrze ziemi pod nimi, to można by zobaczyć całe tłumy umarłych.

Poprzedniego dnia był przekonany, że otwarcie grobu nie zmieni się w okultystyczny rytuał z upiornym światłem w wilgotnej mgle poranka. Ale prawda była taka, że przedsięwzięcia tego rodzaju nigdy nie robią dobrego wrażenia. Bo oto stali tu, pomiędzy krzywymi kamieniami nagrobnymi, na cmentarzu, o świcie, obaj ze stosownie gołymi głowami i obaj stosownie ubrani do takiej okazji, pan Røhme w szykownym stroju roboczym, on sam zaś w sutannie, jeden człowiek z łopata, drugi z Biblią.

– Proszę mi je dać – szepnął Schweigaard, wyciągając rękę po lampy. – Ja przytrzymam, a pan niech kopie dalej.

I znowu odgłosy łopaty. Luźna ziemia szuflowana z ciemności. Schweigaard ukucnął i przyglądał się pracy.

Kåre Røhme mimo pewnych swoich ułomności był jego najlepszym pracownikiem. Pochodzący z Hamaru jedyny syn wdowy prowadzącej sklep z wyposażeniem gospodarstwa domowego miał lat dwadzieścia jeden, gdy pastor go poznał, teraz zaś kończył dwadzieścia sześć. W międzyczasie zdążył okazać się lojalnym i wszechstronnym pomocnikiem. Świeżo ogolony, odziany w czarny garnitur i rozdający śpiewniki w kościele mógł do tego uchodzić za mężczyznę pięknego, zaś odsetek praktykujących niezamężnych kobiet wzrósł znacznie, odkąd Schweigaard go zatrudnił.

Pan Røhme miał jednak pewną skazę, przez którą rzadko nawiązywał kontakt wzrokowy z kimś innym niż pastor. Był mianowicie jękałą. Tak się tego wstydził, że w wieku dziecięcym postanowił udawać niemowę, dlatego też nie ukończył nigdy szkoły powszechnej. Jękanie zrobiło z niego również mężczyznę chorobliwie wręcz nieśmiałego i Schweigaard, gdy tylko go poznał, pomyślał: pan Røhme to urodzony kościelny. Bo przecież przy większości zadań wykonywanych na pogrzebach, niedzielnych nabożeństwach, ślubach oraz chrztach kościelny powinien wręcz zachować milczenie. Ten młody człowiek ma poza tym nienaganne maniery, dobry wygląd, skromne wynagrodzenie wystarczy mu na życie i nie będzie plotkował z parafianami.

Pan Røhme nigdy jeszcze nie był mu tak niezbędny jak teraz. Kościelny przerwał pracę i oświadczył, że trumna jest już odkopana. Wygramolił się z grobu i spojrzął na pastora z wyczekiwaniem.

Kai Schweigaard zebrał sutannę na wysokości kolan i zszedł po drabinie, przytrzymując Biblię pod brodą. Sam nigdy nie był pewien, jakie uczucia budzi w nim zapach otwartego grobu. Była w nim rozpacz i bezradność, lecz ziemia miała jednocześnie taką świeżą, chętną woń, jakby szykowała się na przyjęcia nasiona, wilgoci, ciepła i nowego życia.

Na dnie grobu było przeraźliwie zimno. Pastor ukląkł, podkręcił knot lampy i przeciągnął dłońmi po równej, ciemnej powierzchni.

Tak. To był właśnie ona. Skrzynia, którą pochowali tu latem 1880 roku. Nieco mniejsza, niż ją zapamiętał, ale bez wątplenia ta sama. Może jednak się mylę, pomyślał, może znajduję w niej po prostu

trupa. Chowane pod ziemią skrzynie zazwyczaj okazują się trumnami.

Odgarnął ziemię z wieka i zobaczył pomiędzy swymi palcami wyciętą w drewnie literę H. To H było jak upiór nawiedzający jego życie. H jak Hekne.

– Czy to o-o-ona? – wyszeptał pan Røhme. Schweigaard odwrócił się i kiwnął głową. Daleko w górze, u wylotu pionowego szybu, niebo wydawało się dziwnie jasne i wielkie. Pastor pomyślał, że to tak właśnie leżą zmarli, zanim zasypie ich ziemia.

Nad grobem przeleciały dwie dymówki. Schweigaard położył Biblię na trumnie i wyszeptał:

– Muszę cię stąd zabrać. Tylko na chwilę. Wybacz mi. Ale musisz znów wyjść na światło.

Pan Røhme szedł do niego i razem wsunęli pod trumnę dwa konopne sznury. Gdy wracali po drabinie w górę, Schweigaard tak się spieszył, że rozdarł sobie sutannę, zahaczając nią o gwóźdź.

– Szybko – rzucił. – Szybko, zanim ktoś przyjdzie!

Chwycili za sznury. Pan Røhme pochylił się, ale nagle zamarł. Patrzył na drogę. Pojawił się na niej jakiś człowiek. Przystanął nagle i spojrzał w ich kierunku. Podszedł bliżej ogrodzenia i zaczął się gapić.

Najgorsze w Butangen było to, że nikt się tu nigdzie nie spieszył.

Schweigaard wyprostował się i zebrał fałdy sutanny. W coraz jaśniejszym świetle poranka zobaczył, że strasznie ubrudził się ziemią, rozdarcie zaś jest dużo większe, niż sądził.

W końcu mężczyzna ruszył dalej, w dół ku Lønesvatnet.

Pociągnęli za sznury. Trumna kołysała się, obijając się o ściany grobu. Ziemia osypywała się w głębię, której dna już nie widzieli. Żaden z nich nie był jeszcze w tym momencie pewien, co też takiego wydobędą z ciemności. W końcu trumna wyłoniła się dołu, zyskując kształt i barwę.

Była poorana bruzdami i zarośnięta brudem po dwudziestu trzech latach spędzonych pod ziemią. A teraz stała na drewnianej podłodze zakrytostii. Ciemna skrzynia, od której bił chłód i zapach ziemi.

Tym razem też nie usłyszał dobiegającego ze środka grzechotu kości. Mimo to był przygotowany, że nie znajdzie w trumnie Tkaniny z Hekne, lecz szkielety. Czaszki, resztki innych kości, paliczki dłoni. Brązową, wyschniętą skórę, usta bez warg. Jeśli czaszki będą dwie – to chociaż zyska pewność, że to one. Choć wiedza ta nie przyniosłaby mu niczego poza kolejnymi bezsennymi nocami.

Oczyścił napęczniałe drewno szczotką do butów i zaczął szukać miejsca, w którym wieko łączy się ze skrzynią. W końcu przetarł brzeg trumny ścierką i ujrzał trzy drewniane kołki. Chwycił młotek stolarski, który wyłożył dla niego pan Røhme, i zamachnął się, ale nagle zamarł.

Przypomniały mu się nagle staronordyckie wierzenia, wedle których zmarłych należało wyposażyć na wędrowną podróż przez zaświaty, ich trumnę traktowano więc równocześnie jako podróży kufer. Zastanowił się, jaki obrót przybiorą sprawy, jeśli otworzy teraz tę skrzynię, a światło dnia padnie na tajemnicę skrywaną przez setki lat.

Nie, powiedział sobie. Teraz, Kaiu Schweigaardzie, teraz musisz się wziąć w garść.

Przysunął lampę naftową nieco bliżej i zamachnął się młotkiem. Pokrywa ani drgnęła. Chwycił za brzegi trumny i nią potrząsnął. Nic się w jej wnętrzu nie obluźowało.

Walił dalej, z coraz większą siłą. Odgłosy uderzeń odbijały się od ścian zakrytostii. Pastor okrążył trumnę, zamachnął się jeszcze głośniejszy i wtedy – wtedy rozległ się inny pogłos. Pomiędzy wiekiem a skrzynią pojawiła się szczelina. Schweigaard zapał się kolanem, potrząsnął trumną i rozdarł sobie sutannę jeszcze bardziej. Posypały się wokół niego grudki ziemi, zabrzmiał żalostny jęk i drewno wreszcie się poddało. Pastor ukląkł jak do modlitwy. Wymamrotał parę słów i odsunął wieko.

Był przygotowany na smród, nawet po tylu latach. Fetor, który wstrząśnie nim niczym sole trzeźwiące. Po części spodziewał się też, że ze skrzyni wyłoni się coś wielkiego, spowitego szarą mgłą. Coś o konkretnym kształcie, albo i nie.

Wewnątrz trumny panował jednak zupełny spokój. Cisza, bezruch i zapach starego drewna.

Pomiędzy szarawymi, napęczniałymi ściankami leżały obok siebie dwie poduszki.

Zupełnie jakby dziewczęta właśnie wstały po przespanej nocy i wyszły na świat, pozostawiając w pościeli odciski głów.

Schweigaard zadał sobie pytanie: Jeśli nie pochowano ich pod kościelną podłogą, tak jak głosiły legendy, to co się z nimi stało? Uniósł lampę naftową, by lepiej przyjrzeć się zawartości skrzyni.

Poduszki były wciśnięte pomiędzy cienkie drewniane szprosy tworzące przegrody, tak by nie dotykały ścian, dna ani pokrywy – dzięki temu uniknęły zawilgotnienia i zgnicia.

Pomiędzy wełnianymi niemi wiło się kilka długich włosów.

Włosy te były ciemne i kręcone. Jak u Astrid.

Obie poduszki obciążnięto tkaniną w dużą kratę. Pastor pogładził je ostrożnie i zdziwił się, czując, jak szorstka i twarda jest jedna z poduszek. Poszewkę utkano ze sztywnej wełny w przygaszonych odcieniach brązu i szarości, wzbogaconej elementami o barwie morskiej zieleni. Wzór przywodził na myśl pled podróżny w szkocką kratę, jaki sam posiadał. Druga poszwa zrobiona była z nieco miększej wełny i z pewnością lepiej nadawała się pod głowę. Krata wyglądała dość podobnie, tyle że była bladoczerwona i ciemnozielona, przywodziła na myśl spódnice, które nosiły kobiety w północnej części doliny.

Przez okna zakrystii wpadło nagle do środka silniejsze światło, Schweigaard mógł się więc lepiej przyjrzeć szczegółom. Dziewczęta musiały dożyć starszego wieku, niż głosiła legenda. Bo tak wysłużona poduszka stawała się dopiero po wielu latach użytkowania. W miejscach, w których kiedyś spoczywały głowy, powstały wytarte wgłębienia. Tyle tylko że odciski się od siebie różniły. Twardsza poduszka nosiła inne ślady, wyraźne odznaczenie wilgotnego, możliwe, że od łez, policzka. Pastor rozpoznał je bez wahania, bardzo podobny ślad nosiła bowiem jego własna poduszka.

Kai Schweigaard znów dotknął kraciastej tkaniny. Nie pojmował, czemu jedna z siostr miałaby przytulać swój policzek do tak szorstkiego i twardego materiału. I to któraś z nich? Dziewcząt należących do najlepszych w dolinie tkaczek? Czemu nie miałyby wykonać dla siebie czegoś bardziej kunsztownego?

Delikatnie wydobyl poduszkę z trumny. Do jego nozdrzy dotarła ostra woń, niezbyt jednak silna i dość zastanawiająca. Zaniósł poduszkę do stolika przy oknie, by pozwolić światłu dnia choć po części wyjaśnić tajemnicę, każdy ruch wykonywał z najwyższą ostrożnością, na wypadek gdyby była to tkanina z rodzaju tych, o których wspomniała mu Framstadowa, utkana na osnowie, która miała po określonym czasie obrócić się w nicość. Uniósł powoli poduszkę, by ją obejrzeć od spodu.

Ach tak.

Coś takiego.

Na spodzie znalazł zupełnie inny świat. Finezyjny i pełen życia niczym suknia królowej. Jaśniejące wzory na tle o pięknej barwie głębokiej czerwieni. Koło z motywami zwierzęcymi, chmara skomplikowanych figur w kolorach żywej ochry, zgniłej zieleni i przybrudzonego oranżu. Ptaki, reny, krowy i byki. Odcienie barw najpiękniejsze, jakie w życiu widział, czy tu w dolinie, czy na ulicach Kristianii.

Wydobył z trumny drugą poduszkę i ją również obrócił. Także tu znalazł zwierzęce motywy wijące się w okręgu, przywodzące mu na myśl bajeczne stwory z portalu kościoła słupowego, utkane w tych samych pięknych kolorach, tyle że na jasnym, niemal srebrzystym tle.

Gdy uniósł poduszkę nieco wyżej, rozległ się grzechot, a pastor aż podskoczył. Jakiś przedmiot, który musiał leżeć wciśnięty pomiędzy oba dzieła sztuki, uderzył o dno trumny. Chciał po niego sięgnąć, ale rozciął sobie palce i zaczął krwawić.

Na dnie leżało ostrze noża. A w każdym razie z pewnością jakieś narzędzie do cięcia, pozbawione trzonka, zakrzywione i przypominające łuk. Było czarne i wykute ciężkimi narzędziami, lecz nadal błyszczało, na tyle ostre, by skaleczyć zakłócającego mu spoczynek pastora.

Schweigaard wytarł krew w sutannę i odniósł wrażenie, jakby w tym ruchu zetknęły się ze sobą dawna i nowa wiara, ale nie myślał o tym zbyt długo, bez reszty oczarowany wzorami na poduszkach.

Góry, woda i ptaki. Niektóre zwierzęta wyglądały, jakby chciały przebiec z jednej poduszki na drugą, ale ponieważ wszystkie tworzyły koło, nie sposób było powiedzieć, na który motyw patrzeć w pierwszej kolejności.

Czy to coś znaczyło? Czy też utkane zostało tylko dla ozdoby?

Siostry były dwiema osobami, lecz stanowiły też jedność. Jeśli te tkaniny miały opowiadać jakieś historie, nie sposób byłoby pojąć, gdzie się one zaczynają, a gdzie kończą.

Jedno wiedział na pewno: Były to dwie opowieści oddzielone od siebie ostrzem noża.

Pięćdziesiąt cztery korony i sześćdziesiąt øre

– *Well*, co racja, to racja. Faktycznie są tu dwie rany wlotowe – powiedział Harrison. Znów przeszedł na angielski, ale Jehans domyślał się, że wybiera proste słowa, by zostać lepiej zrozumianym.

Słowa te przerwały dłuższą ciszę, w której klęczeli obaj nad renem, jeden obok drugiego. Gładzili sierść wokół ran postrzałowych, nie dbając o to, że ich dłonie stają się czerwone od krwi. Zgrabny, nowoczesny nabój zostawił po sobie tylko niewielką dziurkę, zaś wielka ołowiana kulka wystrzelona z kammerladera wyrwała w boku zwierzęcia ranę o wiele większą, niosąc ze sobą do wnętrza ciała sierść i fragmenty przerwanych błon. W kępie wrzosu za ich plecami leżały karabiny, z wystygłymi lufami.

Z półotwartego pyska rena wydobywała się przez jakiś czas para i krew, ale teraz już wszystko zamarło, a oczy byka stawały się mętne. Harrison zamknął zwierzęciu pysk, by nie leżało z wywalonym jęzorem, i usunął spod niego przesiąknięty krwią mech. Trudno im było przerwać to milczenie.

– Skąd pan pochodzi? – spytał Jehans. – Z Londynu?

Harrison wyjaśnił, że przyjechał z Northumberlandu.

– To zaraz przy granicy. Właściwie to czuję się bardziej Szkotem niż Anglikiem. Ale pan może mnie Anglikiem nazywać, nie mam nic przeciwko.

– Jakie panują zwyczaje tam, gdzie pan mieszka?

Rozmówca najwyraźniej go nie zrozumiał.

– Do kogo należy zwierzę? – spróbował Jehans inaczej. – Do tego, kto pierwszy przy nim stanie, czy tego, kto odda pierwszy strzał?

– Do tego, kto strzeli jako pierwszy – odrzekł Harrison. – O ile rzecz jasna strzał będzie celny.

– Pański był – oświadczył Jehans, patrząc na ranę wlotową. Następnie wskazał karabin Harrisona i dodał: – To na ten nowy proch? Bezdymny?

Harrison kiwnął głową.

– Tak, *smokeless*. To *rigby*, jak pan pewnie widzi. Nabój zostaje wystrzelony z prędkością ponad dwóch tysięcy czterystu stóp na sekundę. Tak mi przynajmniej mówił sprzedawca.

– A w mojej broni był proch czarny – powiedział Jehans.

– Owszem, widziałem. Niezły dym poszedł.

– W takiej sytuacji renifer jest pański – stwierdził Jehans, wstając. – Moja kula leciała wolniej, a więc to pański nabój ugodził go pierwszy i pan go zabił.

Na twarzy cudzoziemca odmalowało się przez chwilę zaskoczenie. Wyraz ten jednak szybko zniknął i Anglik wyglądał, jakby się zastanawiał, czy Jehans nie stroi sobie aby z niego żartów.

– Tu nie można nawet mówić o połowie sekundy różnicy – odezwał się w końcu.

– Fakt, to pewnie było mniej.

Jehans odwrócił się, chwycił kammerladera i zarzucił go sobie na ramię. Skórę na dłoniach miał sztywną i suchą od zakrzepłej na niej krwi. Drugi mężczyzna stanął, mierząc go spojrzeniem, i wcale nie wyglądał, jakby chciał się już żegnać.

Harrison oświadczył, częściowo po norwesku, częściowo zaś po angielsku, że w jego rodzinnych stronach przykłada się ogromną wagę do kultury i dobrych manier, w polowaniu zaś i wędkarstwie obowiązują zasady *decendy* oraz *fair play*.

– Pańskie słowa, że zwierzę należy do mnie, bo mój nabój ugodził je jako pierwszy, to najwspanialszy przykład ducha sportowego, jaki w życiu widziałem. Nie wspomniał pan nawet o przewadze, którą daje sprzęt i którą można zatem kupić za pieniądze.

Jehans pogładził lufę kammerladera.

– Dziękuję. Ale jakby się nad tym zastanowić, to po prostu postąpiłem rozsądnie.

– Tak, jakby się nad tym zastanowić – odrzekł Harrison. – Nie wszyscy to robią.

– Ja mam dużo czasu, żeby się zastanawiać, jak tu sobie samotnie wędruję.

Wiatr ucichł, góry dookoła były spokojne i zielone. Przewodnicy ruszyli w ich stronę, ale Harrison dał im znak, żeby poczekali. Chwycił rogi rena, potrząsnął nimi lekko i rzekł:

– To mój pierwszy ustrzelony renifer. Jeśli to ja go ustrzeliłem.
– Jest pana – odpowiedział Jehans.
– Pan zapewne zabił ich już wiele?
– Razem z tym szesnaście. Ten jest największy.
– Poluje pan dla mięsa?
– A po cóż innego polować?
– Chodziło mi o to, czy sprzedaje pan to, co ustrzeli.
– Każdego roku muszę zabić jedno duże zwierzę. To coś w rodzaju czynszu. Jeśli uda mi się upolować ich więcej, to wtedy je sprzedaję.

Harrison chyba go nie zrozumiał, albo też zamyślił się i przestał go na chwilę słuchać. W końcu odchrząknął.

– Mam propozycję. Mnie interesuje poroże. Właściwie to cały łeb. Do wypchania. Jeśli odda mi pan zwierzę, zapłacę za mięso gotówką. Mamy tu niedaleko jucznego konia, więc nie będzie kłopotów z transportem. Ci dwaj tam – skinął głową, wskazując przewodników – wypatroszą i oskórują rena.

Jehans nie słuchał już, co Anglik mówi dalej, bo teraz sam się zamyślił. Nieznajomy miał w sobie coś jakby znajomego. Czyżby był jednym z tych, których fotografie drukują gazety? Zdawało mu się, że widział go gdzieś na zdjęciu, ale to się nie mogło zgadzać, bo cudzoziemiec był mniej więcej w jego wieku, on zaś od dawna nie czytywał już gazet Schweigaarda.

– Pozwolę sobie powtórzyć – powiedział Anglik. – Jaką cenę pan proponuje?

– Za mięso?

– Tak.

– Pięćdziesiąt cztery korony i sześćdziesiąt øre – oświadczył Jehans.

Zaczął schodzić z gór już po zmroku. Zadarł głowę i spojrzął w nocne niebo. Każda z gwiazd odcinała się białym ostrym światłem na granatowym tle nieskończoności, on zaś kierował się tym blaskiem, odnajdując drogę do domu. Słyszał o ludziach twierdzących, że z gwiazd można wyczytać przyszłość, lecz sam dorastał, ucząc się rozpoznawać znaki dawane przez las, pogodę czy zwierzęta gospodarskie. Jeśli faktycznie w gwiazdach była jakaś zapisana dla niego wiadomość, to raczej krótka i prosta: Gdziekolwiek w świecie byś wylądował, zawsze zawrócisz i znajdziesz drogę powrotną prowadzącą tu, do Butangen.

Stanął w miejscu, z którego za dnia rozciągał się widok na całą wieś. Odpoczął tam chwilę, podziwiając pogrążony w ciemnościach krajobraz oprawiony w zbocza doliny. Na dole w oddali majaczyło niewyraźnie Løsnesvatnet. Nie było widać żadnych zabudowań, tylko małe żółte punkciki w morzu czerni, drgające za okiennymi szybami płomienie łojowych świec i – w niektórych gospodarstwach – lamp naftowych. Jehans pomyślał, że Butangen jest pogrążone w ciemnościach tak samo jak za życia jego matki i przez wcześniejsze stulecia, za czasów przodków tak dawnych, że ich imiona nie przeszły do historii. Ale mimo wszystko. Ciemność nie byłaby ciemnością, gdyby nie tęsknota za światłem.

Znalazł ścieżkę prowadzącą przez brzezinę i ruszył do Halvfarella. Minął owczarnię i oparł kammerladera o ścianę chaty z desek, którą zajmował. Wszedł na palcach do budynku mieszkalnego z drewnianych bali i usłyszał, jak Adolf chrząka w sypialnej izbie, próbując udawać, że się właśnie obudził, choć Jehans doskonale wiedział, że zastępczy ojciec nigdy nie śpi, gdy on nie wraca na noc z polowania.

– Ustrzeliłeś coś? – szepnął Adolf.

– W pewnym sensie – odparł chłopak.

Wstał szarym świtem. Było zimno, nad zagonem ziemniaków i ogrodem warzywnym wisiała poranna mgła. Zarówno ten zagon, jak i ogród były bardzo zadbane, jak w innych biedniejszych zagrodach, tam bowiem rosło wszystko, co miało ich wyżywić.

Posłonka musiała usłyszeć, jak chłopak zamyka drzwi swojej chaty, bo zaryczała, gdy tylko wyszedł na podwórze. Mijając majątek pastora, Jehans poczuł nagłą potrzebę, by pójść tam i porozmawiać z człowiekiem, który przez pierwszych piętnaście lat jego życia był dla niego równie ważny jak Adolf i Ingeborg. Ale gdy tylko widział Schweigaarda, zmieniał się w rozeźlonego dzieciaka.

Nie skreślił więc do majątku, uznał natomiast, że pożyczycy sobie Pastorówkę. Schweigaard powiedział mu kiedyś, że może brać łódź, gdy tylko zechce, lecz on nigdy wcześniej tego nie zrobił. Teraz proboszcz zobaczy, że Jehans postanowił jednak skorzystać z jego zaproszenia, i to będzie mu musiało na ten raz wystarczyć.

Popłynął przez Løsnesvatnet, lecz zwolnił na środku jeziora. Sunął powoli przez jego tafle, a z wiosła kapała woda. Spojrzał w górę zbocza, omijając wzrokiem nowy kościół, na zielone pola i czarne drewniane zabudowania z białymi szprosami okien – na Hekne.

Powierzchnia wody była spokojna. Nad nim przeleciał żuraw, kierując się ku mokradłom.

Jehans powiosłował ku południowemu brzegowi. Tratwa powinna być zacumowana przy drzewie, którego gałęzie wisały nad wodą. Ale nie, nie było jej tam. Las zdążył od urosnąć od tamtego czasu.

On też urósł.

Tratwę znalazł nieco dalej. Ciemne, napęczniałe kłody powiązane ze sobą konopnym sznurem. Kołysały się ciężko na wodzie, pokryte mchem, glonami i szyszkami.

Zbudował tę tratwę razem z Topielczykiem, gdy miał dwanaście lat. Spędzali tu noc za nocą, podczas gdy ludzie wierzyli, że chłopcy łowią pstrągi na lampę i harpun, lecz tak naprawdę chcieli znaleźć kościelny dzwon potrafiący bić na głębokości dwunastu metrów pod wodą. Do misji tej podeszli sumiennie, przeszukali dno za pomocą składanej kotwiczki, wyciągając wszystko, o co zahaczyła. Na środku tratwy stworzyli coś w rodzaju rusztowania zbudowanego nad dużym otworem, plan ich był zaś taki, by pożyczycy sobie wielokrążek z wrywacza do korzeni i podnieść dzwon z wody. Jehans fantazjował, że zawiesi go następnie w dzwonnicy, tym drewnianym gmachu, którym straszły się nawzajem dzieci, opowiadając, że można tam zostać zamkniętym razem ze składowanymi przez zimę trupami. Ale on się nie będzie bał, zaś dzwon zadźwięczy tak głośno, że nawet jego matka ze swojego grobu usłyszy to bicie.

Lecz o kotwicę zaczepiały się tylko korzenie czy gałęzie i po dwóch sezonach poszukiwań w letnie miesiące musieli przyznać, że nie wygrają z mocą przepowiedni.

Na Topielczyka wołano Topielczyk, ponieważ jego ojciec utopił się w Laugen tej samej wiosny, gdy chłopiec przyszedł na świat. Wychowywał się za pieniądze z funduszu pomocy dla ubogich i był jednym ze szczególnie uzdolnionych dzieci, którym Schweigaard dawał dodatkowe lekcje. Instytucja zwana szkółką niedzielną sprowadzała się w rzeczywistości do krótkiej modlitwy przed posiłkiem, po której gospodyni Bressum podawała wychudzonym dzieciakom wątróbki i wieprzowe golonki. Jehans pomieszkiwał na plebanii w soboty i niedziele, lecz inne maluchy nie zwykły jadać na porcelanie, Topielczyk zaś tak się tego bał, że Schweigaard musiał mu z początku pozwolić korzystać z drewnianego talerza. Dzieci uczestniczyły następnie w dość swobodnie prowadzonych lekcjach języka niemieckiego, angielskiego oraz historii, z elementami epistolografii, wiedzy o świecie współczesnym, medycyny czy fizyki. Jehansa i Topielczyka najbardziej interesowało zagadnienie elektryczności, Schweigaard pojechał nawet z chłopcami na prelekcję do Vålebrua, gdzie zaprezentowano im elektryczną żarówkę oraz silnik w ruchu. W drodze powrotnej uczniowie dyskutowali tak zaciekle, że ledwie dostrzegali Schweigaarda, zauważyli tylko, że pastor siedzi w powozie milczący i uśmiechnięty, a po przyjeździe do Butangen okazało się, że nabył eksperymentalny model silnika elektrycznego napędzanego akumulatorem z zanurzonymi w kwasie cynkowymi i miedzianymi płytkami. Chłopcy zakochali się z czasem w *Podręczniku fizyki* Dietrichsona i *Wynalazkach* Corneliussena, książce opisującej wszystko od pocisków torpedowych po pompy hydrauliczne. Czuli się niezwycczeni i chcieli zostać w przyszłości inżynierami.

Obaj mieli podobny punkt wyjścia i równe szanse. Topielczyk skończył szkołę zawodową i dostał się na kurs organizowany przez Norweskie Koleje Państwowe, teraz zaś pracował jako telegrafista przy stacji w Vålebrua. Schweigaard oświadczył Jehansowi, że gotów jest pokryć z własnej kieszeni jego dalszą edukację w Kristianii.

Dotarło to do uszu Osvalda Hekne. Tydzień po confirmacji Jehans został wezwany do rodzinnego majątku swej matki, gdzie był ostatnim razem jako maleńkie dziecko. Służąca wskazała mu drogę na piętro, on zaś zapukał do drzwi gabinetu, gdzie spodziewał się zastać Osvalda Hekne, i musiał odczekać

dłuższą chwilę, nim ze środka rozległo się „proszę”. Faktycznie, siedział tam Oswald. Rosły i potężny, na krześle z wysokim oparciem, pośród map majątku, z fotografią na biurku przedstawiającą samego gospodarza, jego żonę oraz sześcioro dzieci. Wskazał wiszącą na ścianie brzoźową różgę i oświadczył, że tym właśnie narzędziem wychował całą szóstkę, Jehansowi natomiast oszczędzono zarówno różgi, jak i – co przykre – dobrego wychowania. Co jednak dużo bardziej przykre, oszczędzono mu również pewnej istotnej wiedzy o Kaiu Schweigaardzie.

– To on spowodował, że Siostrzane Dzwony zniknęły, a twój ojciec umarł. Pastor wszystkich okłamał, a Niemiec utopił dzwony w jeziorze, by je przed nim ratować. Księżulek ci o tym nie mówił, co? A wspominał, że podkochał się w twojej matce? I że zdradził oboje twoich rodziców?

Jehans poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

– Tak właśnie myślałem. A prawda jest taka, że pozwalasz się wodzić za nos temu, kto posłał twojego ojca na śmierć. Całe te bzdury ze szkołą, Jehansie, on robi to wszystko, by ulżyć swojemu sumieniu. Jakoś naprawić to zło, które kiedyś wyrządził. To on chce wydobyć ten dzwon z Løsnestvatnet, a tobie się wydaje, że sam tego pragniesz. Ta tratwa nad jeziorem, Jehansie, to tratwa głupca.

Chłopak pobiegł do Halvfarella oszołomiony, gnany młodzieńczą wściekłością. Pamiętał, że siedział na skraju łóżka, bawiąc się nerwowo cewką elektryczną otrzymaną w prezencie od pastora, obserwując grę światła na pięknych miedzianoczerwonych zwojach. Że rozsypał żelazne opiłki na kartce i przeciągnął pod nią podkowiastym magnesem, tak jak pokazał mu to kiedyś Schweigaard.

Patrzył, jak drobinki przybierają kształt wachlarzy, poddając się działaniu niewidzialnych sił.

Pastor przyszedł do niego zapytać, czemu nie stawiał się na lekcje. Wtedy coś w nim pękło. I to tam, na podwórzu najuboższej w okolicy zagrody dzierżawcy, z kawałkiem pastwiska wygryzionym do ziemi przez jedyną krowę, tuż przy wałce się drewni, w czasie gdy Adolf i Ingeborg siedzieli w izbie i umierali ze wstydu, obudziła się w nim wściekłość, o której nie wiedział nawet, że w nim wzbiera, a on pozwolił tej wściekłości popłynąć i zrugął pastora za to, że ukrył przed nim prawdę.

– Pomagasz mi tylko dlatego, że żałujesz tego, co zrobiłeś! – krzyczał Jehans.

– Wyrzuty sumienia potrafią zrodzić dobro – spróbował Schweigaard, ale chyba szybko pojął, że takie słowa może rzucać z ambony, zaś tu, na podwórzu zagrody dzierżawcy, stojąc twarzą w twarz z tym, kogo dotyczy, nie może już zdać się na ich moc.

– Nakłamałeś mojej matce o tych dzwonach. To twoja wina, że mieli je zabrać ze wsi. Twoja wina, że mój ojciec dorobił się choroby płuc! Niczego już nie możesz mnie nauczyć.

– Jehansie... Nie marnuj tego, co w sobie nosisz. Talentu, umiejętności. Przyjmij moją ofertę. Nie będę chciał w zamian żadnych podziękowań. Po wszystkim możesz o mnie zapomnieć, ale pójdź dalej.

– Dalej, ciągle dalej!

– Tak, bo tylko w ten sposób zdobędziesz wykształcenie. Tu nie ma szkół. Niczego tu nie ma!

– Popatrz na siebie – odciął się Jehans. – Ty tu zostałeś!

– Chciałem ci powiedzieć o wszystkim, Jehansie. Naprawdę. Kiedy już będziesz dość duży. Ale zdawało mi się, że właściwa chwila jeszcze nie nadeszła. Trudno znaleźć właściwą chwilę, by opowiedzieć taką historię. Wiele jej szczegółów byłoby ci przykrych.

– I to była niby twoja decyzja? – krzyknął Jehans.

Pastor odwrócił się by odejść i powiedział:

– Twoja matka poprosiła mnie przed śmiercią, bym ci pomógł. Spełniałem to życzenie w każdym kolejnym dniu swojego życia. Nigdy nie będę się tego wstydził. Możesz do mnie przyjść, kiedy tylko zechcesz, Jehansie. Kiedy tylko zechcesz.

Schweigaard odszedł, a Jehans już nigdy nie wrócił na plebanie. Nie zabrał stamtąd nawet swoich rzeczy. Postanowił, że odtąd będzie musiał wystarczyć mu kammerlader i kosa.

Ale teraz, po latach, gdy siedział w łodzi pastora z grubą kopertą pełną banknotów w wewnętrznej kieszeni kurtki, poczuł, że coś się w nim zmieniło. I że przemiana ta rozpoczęła się poprzedniego dnia. Bo co prawda, to prawda, nie byłby w stanie prowadzić rozmowy z bogatym cudzoziemcem, gdyby nie Kai Schweigaard. Nie odważyłby się zażądać od niego dwukrotności zwyczajowej ceny za mięso ustrzelonego rena. Ani też przyjąć tych pieniędzy z przekonaniem, że na nie

zasługuje.

Powiosłował do miejsca, w którym jego zdaniem leżał na dnie kościelny dzwon, i pozwolił łodzi kołysać się na wodzie. W dzieciństwie przypląwał tu wielokrotnie, próbował coś wyczuć, wychwycić jakiś sygnał. Ale jezioro było tak samo ciche i milczące jak nagrobek jego matki.

Teraz jednak coś poczuł. Złość na tego, kto rządził w Hekne. Na Osvalda, który musiał cieszyć się na wieść, że udało mu się poróżnić siostrzeńca z pastorem. Złość na to, jaką miarę Osvald przykładął do ludzi, oceniając ich po liczbie pracowników, których pod sobą mieli, i krów, które dawały im mleko. Po rozmiarach łąnów zboża i po wyższości w głosie. Złość na to, jak gospodarz z Hekne nieustannie zmuszał dzierżawców do cięższej i dłuższej pracy na jego rzecz.

Czy Jehans naprawdę miał wydać wszystkie te pieniądze? Tylu rzeczy im w Halvfarella brakowało. Włóczki do robótek, sznurków, gwoździ i ostrzy do piły. Gar, w którym Ingeborg gotowała ziemniaki, był już tak zużyty, że dno zrobiło się porowate i naczynie zostawiało na kuchni mokry ślad. Ale jaki był sens podtrzymywania tego życia takiego, jakie było? Musiał przecież w końcu się z niego wy dostać.

Gdy tylko dokończył tę myśl, łódź zaczęła się przechylać. Zupełnie jakby z głębin podniosła się jakaś dłoń i zakołysała stępką. Jehans chwycił wiosła i rozejrzał się dookoła. Ruch ten był delikatny i czuły, niczym ruch dorosłego huśtającego dziecko na kolanach. Nie podążył z nim żaden dźwięk, tylko drganie, które zdawało się mieć swój początek na dnie i rozchodzić się ku powierzchni przez wodne masy, aż w końcu objęło też łódź, wiosła i ciało Jehansa, nagle jakby silniejsze, jak gdyby to drganie miało z niego strząsnąć wszystko, co gorsze i słabe, pozostawiając tylko to, co godne i dobre. Jehans poczuł, że rodowe srebro leży tu na dwunastu metrach głębokości i chce do niego przemówić, zaś razem z nim pochowane w wodzie zostały stare hekneńskie zwyczaje. Podobnie musiał czuć się Eirik Hekne, ciskając srebro do tygla.

Tak to już wyglądało. Wielkich czynów nie dokonują ci, którzy pytają innych o radę. Jehans powiosłował w kierunku brzegu, wysiadł z łodzi i ruszył do Lillehammer.

Najbliżej samotnych snów

Pastorówka zniknęła.

Kai Schweigaard ruszył przez ogród ku ławce, z której miał lepszy widok, i zobaczył łódź zacumowaną po drugiej stronie Løsnesvatnet. W Butangen nikt nie podkradał sobie łodzi, bo i tak zaraz było widać, kto płynie przez jezioro.

Czy to więc możliwe?

Czyżby to był Jehans?

Schweigaard poczuł, że przepełnia go radość. Chłopak w końcu wykonał jakiś ruch. Po tylu latach. Może była to i dość oszczędna forma pozdrowienia, lecz tak czy inaczej pozostawało ono przychylnym gestem, i to gestem jawnym, bo cała wieś mogła teraz zobaczyć, że Jehans wypłynął na jezioro łodzią pastora.

Schweigaard wszedł z powrotem do domu, przemierzył salon, wspiął się po schodach i zamknął w gabinecie. Od wielu lat nie przepełniała go taka energia.

Studiował poduszki właściwie bez przerwy od poprzedniego poranka. Krążył wokół nich, patrząc, jak promienie wczesnego słońca, światło pełnego dnia, popołudniowa szarówka i wieczorne ciemności zdają się wpływać na zmiany barw i faktury tkaniny.

Bliźniaczki były mistrzyniami. W zamyśle i w wykonaniu. Tego był pewien, po latach oglądania przeróżnych tkanin. A przecież siostry dysponowały tylko owczą wełną, zebranymi w okolicy roślinami i narzędziami z kości czy drewna. Jeśli wełna przyjęła tak żywe barwy, ktoś musiał włożyć w to wiele dni żmudnej pracy. Należało ją przebrać, zgręplować, uprząść i ufarbować wywarem z roślin i kory. A potem następowały kolejne długie dni przy warsztacie tkackim.

Nie sposób było stwierdzić, czy na wizerunki zwierząt należy patrzeć w określonej kolejności, układały się one bowiem w kunsztowne okręgi. Nawet jeśli było tu jakieś ukryte znaczenie, pozostawało one dla pastora niewidoczne, niczym chowające się w lesie zwierzęta. Może koła symbolizowały Słońce i Księżyc. Czyżby chodziło o to, że figury miały przebiegać pomiędzy poduszką czerwoną a srebrzystą, skacząc niby między dniem a nocą? Czy może to sny miały swobodnie przeplatać się między tymi, które na tych poduszkach spały?

Schweigaard przestudiował dokładnie motywy, jeden po drugim. Renifer, który wyglądał, jakby miał zaraz paść na ziemię. Byk na szerokich nogach z jednym tylko rogiem o dziwnym kanciastym kształcie. Dwa cielaki pochylone nad martwym renem. Bładożółty ptak w locie. Dwa samce rena o żółtych ślepiach wchodzące do jeziora. Te same zwierzęta wynurzające się z wody, zmienione teraz w ptaka i byka, z tymi samymi, jaśniejącymi żółto oczami. Krowa z dwoma dorodnymi cielakami. Ptak podnoszący byka. Byk zdawał się martwy, bo jego łeb i nogi zwisały bezwładnie, rozłożone szeroko skrzydła niosły go zaś ponad powierzchnią wody, w której wcześniej się zanurzyli i z której się wyłonili.

Był to tylko sztafaż albo i nie, lecz Schweigaard nigdy w życiu nie widział niczego, co przypominałoby te motywy. Większość kilimów w tutejszych gospodarstwach miała o wiele prostsze wzory przywodzące na myśl plecionkę, nieliczne zaś tkane obrazy przedstawiały różne pobożne sceny z opowieści biblijnych. Były na nich panny roztropne i nierozsądne, trzej królowie, egzotyczne wyobrażenia opisanych w Piśmie Świętym krain. To zaś, co miał teraz przed oczyma, zdawało się wywodzić z zupełnie innej tradycji i być wytworem zupełnie innej fantazji.

A może... ach! Pastor usłyszał, jak gospodyni wspina się po schodach. Zaczęła, jak to miała w zwyczaju, szarpać za kłamek bez pukania, a gdy stwierdziła, że drzwi są zamknięte na klucz, krzyknęła, że kasza już gotowa.

– Dobrze! – odkrzyknął Schweigaard.

Pani Bressum zaczęła coś mamrotać za drzwiami.

– No dobrze, już dobrze! – zawołał pastor.

Mamrotanie nie ustawało.

– Tak! Już schodzę. Owszem, pani Bressum, wiem, że w tym domu od dwudziestu lat podaje się

kaszę w samo południe! Zejdę, jak tylko skończę pisać list!

Gorączkowe myśli wciąż nie dawały mu spokoju. Czy te poduszki mogłyby, w ten czy inny sposób, go jakoś poprowadzić do Tkaniny z Hekne? Wyjrzał przez okno. Pastorówka wciąż kołysała się przy przeciwległym brzegu jeziora. Bliźniaczki Hekne i Jehansa oraz jego zmarłego brata dzieliło co prawda kilka pokoleń, ale nie było tych pokoleń w końcu znów aż tak wiele.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Był przecież ktoś, kto mógłby mu pomóc, i to jeszcze dzisiaj. Będzie musiał się tylko pospieszyć i załatwić sprawę, nim Pastorówka zdąży wrócić z drugiego brzegu Løsnesvatnet.

Niedługo potem przybył do Halvfarelia.

Od jego ostatniej tutaj wizyty minęły całe lata, a gdy stanął na podwórzu, przypomniał sobie nagle cały tamten straszny, fatalny dzień. Dzień, w którym Jehans wyładował na nim złość. Schweigaard otrząsnął się z tych wspomnień, zapukał do drzwi i powiedział, że potrzebuje pomocy w pewnej sprawie. Adolf i Ingeborg byli przekonani, że chodzi mu o Jehansa, i oświadczyli, że nie mają pojęcia, gdzie jest chłopak, poprzedniego dnia wrócił późno z polowania, a wczesnym rankiem znów gdzieś wyszedł.

– Nie, przychodzę w innej sprawie – oświadczył pastor, po czym wskazał skinieniem głowy owczarnię, w której kiedyś został ukryty portal kościoła słupowego.

Gospodarze zaprosili go do środka, czyniąc zastrzeżenie, że nie mają go za bardzo czym poczęstować.

– Próbuję... odtworzyć dawne legendy z tych stron. To taka moja rozrywka. Znalazłem kilka... starych motywów graficznych.

Wyjął notatnik, w którym naszkicował wizerunki zwierząt z poduszek. Zobaczył, że rysunek przedstawiający byka jest dość nieudany, więc zaczął na nowo kreślić go ołówkiem. Nim zdążył skończyć, Adolf powiedział:

– A, pastor rysuje gmerk. To przecież Gromoryk.

– Gromoryk?

– A pewnie. Stary gmerk Hekne.

– Grom... to przez ten róg o kształcie błyskawicy?

– O tak – powiedział Adolf.

Zapadła cisza. Ingeborg szturchnęła męża.

– No, a teraz powiedz pastorowi, o co chodzi!

Adolf oświadczył, że nie wie, jak stary jest ten znak, ale gospodarze Hekne wycinali go kiedyś na słupach swoich ogrodzeń. Gmerk służył również do znakowania zwierząt gospodarskich i narzędzi.

– Ale pastor pewnie by chciał wiedzieć o samego Gromoryka – odezwała się znów Ingeborg.

– A, to taka stara historia. Gromoryk był młodym byczkiem odrzuconym przez resztę stada. Dlatego nie mógł pokrywać krów. Nie bał się za to błyskawic. Pewnego dnia przyszła burza, a zwierzęta schroniły się na skraju lasu. Ale ten jeden byczek został na środku pola. Lało jak z cebra, raz po raz słyhać było grzmoty. Nagle uderzył w niego piorun, aż zajaśniało wokół niego powietrze, posypały się iskry i rozległ ogłuszający huk. Wtedy podeszła do niego jałówka i pozwoliła się pokryć. Urodziła dwa piękne cielaki, które potem się rozmnożyły i dały ludziom z Hekne wiele krów. Mówiło się, że one tak jakby noszą w sobie tamten grom. Nasza Posłonka też od nich pochodzi. Gromoryk pożył jeszcze parę miesięcy, ale padł, nim te pierwsze cielaki przyszły na świat. Dlatego uwieczniono go na hekneńskim gmerku. Byk z takim rogiem jakby błyskawicą, co go tu pastor narysował.

Zapadła cisza. Można było odnieść wrażenie, że milczenie przybrało ludzką formę i samo spytało, czy pomówią w końcu o Jehansie.

Wszyscy troje odchrząknęli.

– A te ptaki? – spytał Schweigaard, ponownie sięgając po notatnik. Staruszkowie potrząsnęli głowami i obejrzelisi szkice, pastor zaś poczuł przypływ dawnej zazdrości na myśl, że gdyby rysunki wykonał Gerhard Schönauer, oni z pewnością coś by na nich rozpoznali.

– Ale wie pastor – powiedziała Ingeborg – o ptakach to różne historie krążyły. Ludzie je mieli za znak. Bardzo potężny znak. Zwłaszcza sowy. I gapy. To znaczy kruki, jak by powiedział pastor. Bo one krążą nad zranionymi zwierzętami albo ludźmi, co umierają w górach. Pamiętam, że moja babka mówiła

o Żółtym Kruku. Pewien chłopiec znalazł podobno kiedyś żółtawego ptaszka. Może pisklaka sokoła, który wypadł z gniazda. I zabrał go do domu. Ptak doszedł do siebie i zaczął rosnąć, w końcu zobaczyli, że to kruk o dziwnym, jasnym upierzeniu. Może rodzeństwo go dziobało, bo inaczej wyglądał i dlatego wypadł na ziemię. Żółty Kruk pewnego dnia odleciał i nikt go już nie widział. Chłopiec dorósł, zestarzał się, a jak go chowali, to podobny ptak usiadł na dachu kościoła. Ale nikt nie miał pewności, że to był Żółty Kruk.

W drodze powrotnej na plebanię Kai Schweigaard uspokoił się po części myślą, że wizerunki na poduszkach miały swe odbicie w starych, krążących po Butangen opowieściach. Adolf i Ingeborg nie znali żadnych legend o kraciastych tkaninach. Staruszka oświadczyła, że są one w tej okolicy dość powszechne, bo taki wzór doskonale maskuje, że wełna została nierównomiernie ufarbowana, a dodała do tego wyjaśnienia nieco zaskakującą uwagę, że kiedy świat zacznie się na nowo po nocy oskrobanej, zamieszkańcy przez ludzi bez żadnej historii, ludzie ci szybko zaczną wyrabiać kraciaste tkaniny.

Mijały kolejne godziny. Pastorówka nadal kołysała się na wodzie po drugiej stronie jeziora.

Schweigaard poprosił pana Røhme, by zasypał na powrót grób, wydobytą trumnę przeniósł zaś z zakrystii do gabinetu. Tak dyskretnie, jak się tylko da, panie Røhme. Z wyrazu twarzy swojego podwładnego pastor wyczytał, że kościelny nie chce nic wiedzieć o zawartości wykopanej skrzyni.

Proboszcz siedział zasępiiony nad obiadem, zachodząc w głowę, gdzie też mogły zostać pochowane bliźniaczki Hekne. Doszedł do wniosku, że nie dowie się tego, jeśli nie znajdzie ksiąg kościelnych prowadzonych przez Sigvarda Kraffta. Prawie nie zauważył, że golonka jest przesolona, zaś pani Bressum do sałatki warzywnej zamiast pora wrzuciła rabarbar. Gdy w końcu podano mu kawę, przykrył filiżankę spodkiem, by nie uronić ani kropli, popędził po schodach na górę i znów zamknął się na klucz w gabinecie.

Nadal tam leżały. Ze swoimi niesamowitymi barwami i skrywanymi tajemnicami. Miał wrażenie, że nieodgadniony wzór igra z jego logiką, szydzi z niej.

Jeżeli te tajemnicze figury miały poprowadzić go do samej Tkaniny z Hekne, był bez szans. A nawet gdyby ją odnalazł, to raczej na próżno, bo jeśli utkano ją w ten sam sposób, nic by z niej nie pojął.

Spojrzał na opuszki swoich palców. Zupełnie już zapomniał, jak paskudnie się skaleczył. Ale teraz na jego skórze nie było żadnego śladu. Taka rana piekła zazwyczaj ze dwa czy trzy dni, lecz ta już się zagoiła. Nie pozostawiając najmniejszej blizny.

Podszedł do porośniętej grzybem trumny i wyjął z niej klingę noża. Kształtem przypominała narzędzie z epoki kamienia łupanego. Była zakrzywiona i szeroka, nie miała żadnej wypustki, na której dałoby się zamocować rękojeść, tak że trzeba było ją chwytać pośrodku. Pastor czuł pod palcami chropowatą stal, czarną od grobowej rdzy. Lśniła tylko wąska, ostra jak brzytwa krawędź tnąca.

Nigdy nie czuł się bliżej bliźniaczek Hekne niż w tej właśnie chwili, trzymając narzędzie, którego zapewne na co dzień używały. Wcześniej często je sobie wyobrażał, lecz teraz zdołał ujrzeć je jako dwie niezależne osoby. Uświadomił sobie dramat dwóch istnień, które się chciały rozdzielić, lecz było to niemożliwe. Kilka lat wcześniej, po długiej wymianie listów, Schweigaard zdołał sprowadzić sobie niewielką amerykańską książeczkę opisującą historię zrosniętych bliźniaków z królestwa Syjamu. Ich klatki piersiowe połączone były chrząstką, krótką i podłużną, lecz na tyle elastyczną, że chłopcy mogli się dość swobodnie obracać na boki i nie czuli bólu przy mocnym ściśnięciu tej chrząstki. Podróżowali po świecie z cyrkową trupą i z czasem dorobili się majątku na sprzedawanych gapiom biletach. Na plakatach zapowiadających ich występ umieszczano napis *The Siam Twins*, dlatego też zaczęto używać nazwy „bliźnięta syjamskie” dla określenia zrosniętych ze sobą dzieci.

Lecz najważniejszą informacją, którą przyniosła mu ta lektura, była konkluzja, że bracia potrafili odczuwać miłość tak samo jak wszyscy inni. Wielokrotnie się zakochiwali, w końcu wzięli sobie za żony dwie siostry i spłodzili wiele dzieci, nim zmarli w wieku sześćdziesięciu trzech lat.

Schweigaard zamienił poduszki miejscami i zadał sobie pytanie, która z nich należała do Halfrid, a która do Gunhild.

Jak wyglądało ich życie? Jak się czuły, zmuszone do takiego funkcjonowania? Nie mogąc się nawet odwrócić? Ciągnąc za sobą ciało i wolę innego człowieka? Bez chwili, nawet sekundy

w samotności? Ze świadomością, że ktoś ma stały wgląd w ich myśli, wątpliwości i pewnie też irytację, która odbijała się jak w lustrze, bo każda z nich widziała ją zarówno w siostrze, jak i w sobie samej?

Kai Schweigaard spojrział kolejny raz na wzorzysty labirynt i wzruszył ramionami. Odwrócił poduszki kraciastą, wytartą stroną do góry. Może w tym, co zwyczajne, kryła się jeszcze większa zagadka?

Dlaczego jedna z dziewcząt kładła policzek na tak szorstkiej, kłującej tkaninie?

To był trop, za którym mógłby podążać. Trop, który był w stanie zrozumieć. Bo jedno Kai Schweigaard wiedział na pewno. Poduszka była przedmiotem najbliższym samotnym snom.

Hekneński krag

Subiekt u Helleberga nie popędzał go, ale zerkał z ukosa na jego zniszczone buty, poźółkły lniany kaftan i zdefasonowane wadmelowo spodnie. Sam był odziany w czarną kamizelkę i świeżo wyprasowaną białą koszulę, miał ołówki zatknięte za elastyczną opaską na ramieniu i kołysał się na stopach z rękoma splecionymi za plecami.

W szklanej gablocie wystawiono trzy karabiny. Dwa kragi i jeden kawaleryjski. Jehans odetchnął, widząc, że ceny się nie zmieniły. Krag kosztował nadal pięćdziesiąt cztery korony i sześćdziesiąt øre. Karabin kawaleryjski natomiast – czterdzieści osiem koron. Wrażenie było równie silne jak za ostatnim razem. Krag nadal prezentował się jako klejnót z brązowego bukowego drewna i oksydowanej stali prosto z Fabryki Broni w Kongsberg. Cud techniki ważący cztery i pół kilo, doskonale wyważony na całej swojej długości metra i dwudziestu czterech centymetrów.

– Tak, to jest naprawdę coś! – odezwał się subiekt. Nie miał najwyraźniej zamiaru otworzyć gabloty.

Jehans oświadczył, że chce dokonać zakupu.

Poprosi kraga. Teraz, dzisiaj.

Mężczyzna znów zmierzył go wzrokiem. Mruknął „ach tak” i wyjął z gabloty karabin kawaleryjski.

– Nie ma między nimi wielkiej różnicy – oświadczył. – Jeśli chce pan trochę zaoszczędzić. Ten jest lżejszy i poręczniejszy na polowaniach. Zabija równie dobrze.

– To prawda. Ale osada nie jest moim zdaniem zbyt wyrafinowana. I celownik się różni.

– A owszem. Ten w kragu ma zasięg dwóch tysięcy metrów. Ale to chyba głównie z myślą o celowaniu w Szwedów.

– A jaki jest zasięg strzału? – spytał Jehans. – Tak naprawdę.

– Słyszałem o ludziach, którzy ustrzelili zwierzę z niemal czterystu metrów. Ale to z pozycji leżącej. Z łóżem opartym na plecaku. A zwierzę stało bez ruchu. Jeśli strzelec jest dobry, a wiatr za bardzo nie dmucha, wszystko inne pozostaje kwestią szczęścia. Pocisk da radę zabić z tej odległości, ale zwierzę widać jako punkcik! Wiem natomiast o wielu renach ustrzelonych z dwustu metrów.

– Mimo wszystko – powiedział Jehans – poprosiłbym, żeby wyjął pan te dwa kragi.

– Obydwa? Przecież są identyczne.

– Żadne dwa karabiny nie są identyczne – oświadczył Jehans.

Numer seryjny jednego z kragów kończył się cyfrą cztery. Drugiego – siódmką. Jehans przyłożył jeden z karabinów do policzka, celując w sęk na ścianie, zamknął oczy, uniósł dźwignię i usłyszał suchy, przywodzący na myśl chrzęst szkła odgłos hartowanej stali trącej o inną hartowaną stal. A potem popchnął mechanizm ryglowy w przód i w dół, ryglując w ten sposób broń i w tym właśnie ruchu, w tym naciągnięciu sprężyny iglicy, tym nieznacznym obrocie, poczuł, jak wyrafinowany jest to mechanizm. Kiedyś miał okazję wypróbować niemieckiego mausera, który przy ładowaniu strasznie klekotał i zgrzytał, broń była solidna, ale przeładowywanie przypominało spacer po kamykach wydających przeróżne chrzęsty i stawiających różnego rodzaju opór. Obsługa mechanizmu kraga była natomiast równie prosta i przyjemna jak płynięcie z prądem strumienia.

Jehans położył palec na języku spustu, nie nacisnął go jednak i wyobraził sobie ten moment w górach, gdy broń jest gotowa do strzału. Otworzył pokrywę magazynka i ujrzał wypolerowany mechanizm, który się pod nią skrywał. Cóż za geniusz musiał go skonstruować. W jednej chwili zdało mu się, że znów siedzi w gabinecie Schweigaarda, znów jest małym chłopcem, podnieconym szkicami ukazującymi powiększone elementy wnętrza silnika parowego, podnieconym strzałkami na rysunkach tłumaczących zasady działania pola elektromagnetycznego, w następnym zaś momencie zobaczył kraga rozrysowanego na desce kreślarskiej konstruktora, szkic wykonany świeżo zatemperowanym ołówkiem w skali 1:4, a potem szkic ten się rozwiął i chłopak po raz pierwszy w życiu poczuł ciężar marzenia, które ma się ziścić, kilka razy zamknął i otworzył magazynek na powrót, patrząc na wbudowany podajnik

naboi, który cofał się i chował po otwarciu pokrywy, będąc zatem widocznym tylko przez mgnienie oka, niezależnie od tego, jak powolne były ruchy Jehansa, jakby się wycofywał na z góry upatrzone pozycje, w oczekiwaniu na lśniące miedzią naboje.

– Mogę nacisnąć spust?

– Proszę naciskać.

Chłopak upewnił się raz jeszcze, że broń jest nienaładowana, wycelował lufę w sufit i zbliżył ucho do iglicy, po czym pociągnął powoli za spust, próbując doszukać się jakiegokolwiek braku płynności. Powtórzył tę samą operację z drugim krakiem i położył oba karabiny na szklanej gablocie.

– Zostały przystrzelone? – spytał Jehans.

Ekspedient skinął głową.

– Oczywiście. Zawsze o to prosimy przy tym rodzaju broni, w odróżnieniu od karabinów wojskowych. Przy okazji regulowane są rzecz jasna przyrządy celownicze. Pokażę panu.

Mężczyzna wyjął dwie niewielkie tarcze celownicze. W ich rogach napisany został ołówkiem numer seryjny broni. Otwory po pociskach dałoby się zakryć paroma ćwierćkoronówkami.

– Strzały były oddane z pięćdziesięciu metrów? – spytał Jehans.

– Ze stu!

– Coś takiego.

Chłopak jeszcze raz powiódł dłonią po lufach. Były identyczne, lecz mimo to miał pewność, że chce wybrać karabin, którego numer seryjny kończył się siódmką, ten z podłużnym, ciemnym rysunkiem słoju na kolbie, niczym podpisem starego drzewa, które będzie mu towarzyszyć przez życie. A jego życie – nieważne, do jak sędziwego dotrwałby wieku – i tak pozostanie krótsze niż czas, w którym to drzewo rosło.

– Zestaw do czyszczenia dołączamy gratis – powiedział ekspedient. Wskazał na klapkę w stopce kolby. – Trzeba ją podnieść... mocno siedzi, to dobrze... i proszę, otwiera się specjalna komora. Na jednym końcu tego sznurka jest ciężarek, a na drugim wycior, a w tej zgrabnej blaszanej manierce ma pan olej. Potrzebuje pan futerału?

Jehans potrząsnął głową.

– W takim razie jeszcze tylko naboje. Ołowiane, prawda? – ekspedient pochylił się nad metalową skrzynką i wyciągnął z niej kilka niewielkich paczuszek zawiniętych w szary woskowany papier. Były dodatkowo okręcone sznurkiem i nosiły stempel Fabryki Amunicji Rødfos. Naboje były drogie, Jehans poprosił o piętnaście.

– Piętnaście? Muszę panu sprzedać co najmniej dwadzieścia. Nie wolno mi dekompletować zestawów. Zabrania tego prawo.

Jehans dokonał szybkiego rachunku w myślach. Przywiózł tu ze sobą cały swój majątek, kilka koron zarobionych tej zimy na wyrębie zaśnieżonego lasu u gospodarza w Romsås i to, co dostał za sprzedaż trzydziestu schwytanych w sidła pardw temu samemu lubującemu się w dobrym jedzeniu człowiekowi. Bilet na pociąg powrotny kupił już zawczasu, ale przed wyjazdem obiecał sobie, że przywiezie ziarna kawy dla Ingeborg.

Widział już to wszystko oczyma duszy, jak wchodzi do jowialnego kupca prowadzącego swój skład niedaleko przystani promów przy Losnie, mężczyzny zwanego Tutką, bo wszystko, co sprzedawał, pakował w tutki z papieru gazetowego, jak rozlegnie się dzwonek, a on postawi nowego kraga za drzwiami, każe sobie sypnąć solidną porcję kawy i zostanie mu po tym jeszcze parę koron. Tutka zaś zapakuje zakup tak, jak tylko on potrafi, zawinie papier tak ciasno, że pojedyncze ziarna będą się pod nim oznaczać, Jehans zaś wręczy je w domu Ingeborg, zanim jeszcze pokaże kraga, będzie to gest wdzięczności za dwadzieścia lat wychowania oraz nowy początek, który miała dać im ta broń.

Tymczasem sprawy ułożyły się inaczej. Paczek z nabojami nie wolno było dzielić. Trudno, kawy będzie mniej.

Ekspedient zaczął wypisywać pokwitowanie. Zapytał, na jakie zwierzęta Jehans poluje, a gdy chłopak odrzekł, że na reny, mężczyzna spytał go o model używanej lornetki.

– Nie używam żadnej.

Ekspedient nic na to nie powiedział. Zerknął szybko w kierunku zaplecza i zniżył głos:

– W innych warunkach dałbym panu dwukoronowy upust na kraga. Ale transakcja została już zawarta.

– Ach tak? Cóż, powinien pa chyba wspomnieć o tym wcześniej.

– Chciałbym panu pokazać lornetkę Gulbrandsena. To najlepszy konstruktor w całej Kristianii. Zaopatrzał w sprzęt Roalda Amundsena i Fridtjofa Nansena. Konstruuje też kompas.

Mężczyzna sięgnął do szuflady po skórzane etui i wydobył z niego błyszczącą lornetkę. Poprowadził Jehansa do okna.

– Ojej – rzucił chłopak.

W jednej chwili zmienił się w sokoła. Był w stanie dojrzeć każdą dachówkę na dachu domu oddalonego o setki metrów. Jego wzrok sięgał aż do łąki po drugiej stronie doliny, widział, kto idzie z kosą, a kto grabi. Nigdy wcześniej nie czuł nic podobnego. Pomyśleć, jaka to by była różnica na polowaniu!

– Prawda? – zapytał ekspedient. – Niebezpiecznie jest patrzeć przez dobre przyrządy optyczne. Potem nie sposób zadowolić się już czymś gorszym.

Oświadczył, że może sprzedać mu lornetkę za osiemnaście koron.

– Dziękuję. Ale krag mi w zupełności wystarczy – odrzekł Jehans i zapytał, która godzina.

– Proszę chwilę poczekać. Pańska odmowa sprawiła mi trochę przykrość.

Ekspedient wyjął nieco powgniataną mosiężną lornetkę.

– Ta tutaj ma co prawda już czterdzieści lat i używano jej na morzu, więc szkła są trochę zmętniały. I porysowane. Ale mógłbym ją panu sprzedać za cztery korony.

Jehans spojrział przez lornetkę i pokręcił głową. Wyjął kopertę, którą otrzymał od Anglika. Miał w niej pięć banknotów dziesięciokoronowych, niebieskich z przodu i żółtych z tyłu, banknotów z nowej serii, w której wizerunek szwedzkiego króla zastąpiono Tordenskioldem i marszałkiem Stortingu. Nowiutkie, wydzielające zapach przywodzący na myśl świeże grzyby. I jeszcze niebieska pięciokoronówka, banknot tak sztywny, że jeśli go zgiąć, to sam się prostuje.

Więcej pieniędzy niż kiedykolwiek znów ujrzy w swoim życiu. Roczna pensja dla tych, którzy regularnie zarabiali.

Ekspedient zanotował w protokole jego nazwisko oraz numery seryjny kraga. Wciąż pisząc, zapytał, czy będzie to pierwsza broń tego typu w domu nabywcy, Jehans potwierdził, a ekspedient wyrwał kartkę z notesu i podał mu ją, oświadczając, że karabin może wobec tego nosić miano kraga hekneńskiego, a jeśli on i jego następcy będą czyścić broń po każdym dniu polowania, powinna im służyć przez cztery pokolenia.

Lornetka wciąż leżała na kontuarze. Całkiem nieźle nadawała się do użytku. Mieć kraga i jeszcze lornetkę? Na samą myśl zadrżały mu lekko ręce, zupełnie jak wtedy, gdy zbliżał się do tropionego zwierzęcia, nie mógł uwolnić się od myśli, jak diametralnie zmieniłoby to jego wyprawy na polowanie. Mógłby patrzeć na góry tak, jak patrzy na nie drapieżny ptak, wypatrując ofiary z odległości kilkuset metrów.

Kawa dla Ingeborg. Muszę kupić kawę dla Ingeborg.

– A sprzedałby mi pan lornetkę za trzy korony i trzydzieści dwa øre? – zapytał. – Więcej nie mam. Proszę spojrzeć.

Zaczął żałować już w chwili, gdy pożegnał go dzwonek zamykanych drzwi

Był późny wieczór, gdy dostrzegł skraj Lønsesvatnet. Kiedy zacumował Pastorówkę w falującej przy brzegu wodzie i ruszył ku Halvfarelia z kragiem w dłoni, zamglony księżyc świecił już od dawna na ciemnym niebie. Zapakowany do plecaka prowiant skończył mu się wiele godzin wcześniej. W drodze powrotnej siedział przy korytarzu obok starszej pani z Hundorp, ściskając kraga między kolanami, a na każdej kolejnej stacji podchodzili do niego nowi ludzie chcący obejrzeć karabin, wszyscy pragnęli zobaczyć, czy magazynek faktycznie otwiera się tak, jak słyszeli, czy mechanizm chodzi tak gładko, jak sobie wyobrażali, w korytarzu wielokrotnie pociągano za spust, a starsza pani stwierdziła, że jeśli w Norwegii da się stworzyć coś tak wspaniałego, to nie ma granic tego, co kraj zdoła osiągnąć, gdy tylko wyzwoli się spod szwedzkiego jarzma. Jehans uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie posiadał przedmiotu, który inni chcieliby zobaczyć, nie miał do powiedzenia czegoś, co inni pragnęliby usłyszeć.

I że chętnie pokazywałby i opowiadał częściej.

Mimo to nie potrafił się cieszyć. Chwila zwycięstwa została zniszczona, on sam ją sobie zniszczył. Lornetkę schował w plecaku, bo zdawało mu się, że współpasażerowie zaraz by go zdemaskowali i zaczęli mu robić wyrzuty, bo przecież powinien był wydać pieniądze na kawę. Ociągał się w drodze do domu, a teraz, gdy wspinał się na zbocze przy Løsnesvatnet, na tle nieba odcinała się jasno już tylko kościelna wieża. Jehans przystanął pod ogrodzeniem cmentarza.

Ostatni raz był na jej grobie rok wcześniej.

Gdyby tylko ona żyła. Czy spodobałoby jej się człowiek, którym teraz był? Młodzieniec z najdroższą bronią w Butangen?

Odstawił kraga, opierając go o ogrodzenie, otworzył furtkę i wszedł na cmentarz, wreszcie przystanął przy grobie. Wryte w kamieniu litery były ledwie widoczne w półmroku.

ASTRID HEKNE

1860–1881

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć – odezwał się. – Bo jest tak, jakbyś tu wcale nie leżała. Jakbyś była w zupełnie innym miejscu.

Nie wiedział, co robić z rękoma, i w końcu się wycofał. Ujrzał nieopodal świeżo zakopany grób. Czarna ziemia, ciemność w ciemnościach. Tyle dziwnych przeczuć.

W oknie gabinetu pastora paliło się światło, Jehans wyobraził sobie, że to tam siedzi jego matka. Obraz ten często pojawiał się w jego głowie, gdy był mały i mieszkał u Schweigaarda w soboty i niedziele, zdarzało się wtedy, że biegał po izbach na piętrze w nadziei, że ją tam odnajdzie, lecz z każdymi otwartymi drzwiami nadzieja stopniowo w nim malała, ściskając się ostatecznie w mały węzełek gdzieś w brzuchu, który czuł tam właściwie bez przerwy. Potrafił siedzieć samotnie w którymś z pokoi aż do chwili, gdy Schweigaard go odnajdował, proponując jakąś książkę albo eksperyment fizyczny.

Chłopak wyszedł przez cmentarną furtkę i zarzucił sobie kraga na ramię. Skubał przez chwilę nerwowo rzemień, zastanawiając się, czy powinien pójść na plebanię. Stara Margit Bressum była już tak głucha, że z pewnością nie usłyszy kroków w sieni. Mógłby wspiać się po schodach, zapukać do drzwi gabinetu i oświadczyć, że owszem, pożyczył sobie jego łódź. Bo jechał do miasta po kraga. Pastora bardzo ciekawiły wszystkie nowinki, nawet broń. Jehans mógłby może przenocować w swoim dawnym pokoju, a rano pewnie dostałby kawę, zaparzoną z mielonych ziaren, nie fusów, i niewykluczone, że do tego jeszcze podano by mu gotowane jajko.

Ale nie. Człowiekowi, który przepuścił pieniądze na lornetkę, jajka się nie należą.

Postanowił, jak zawsze, zaufać górcom. To tam pójdzie, gdy tylko zrobi się widno. Spędzi poranek z Adolfem i Ingeborg. A potem ruszy na łowy i odnajdzie renifery.

Przyspieszył kroku. Po obu stronach ścieżki do Halvfarelia rosły gęsto świerki, ale on nie bał się ciemności, w każdym razie na pewno już nie teraz, gdy miał przy sobie karabin. Wszedł w las i poczuł powiew starych czasów, niemalże zmianę kierunku wiatru, a potem dotarł w końcu do domu i położył się na spoczynek w swojej chacie. Obudziła go Ingeborg, która stanęła nad nim i oświadczyła, że poprzedniego dnia przyszła do zagrody wiadomość od Osvalda Hekne. Wiadomość wymagająca niezwłocznej odpowiedzi.

Laciaty Wilk

Dwoje starszków siedziało w wychłodzonej izbie, wpatrując się w błyszczący, nowiutki karabin. Wychowali go jak swoje własne dziecko, ale w tej właśnie chwili jasno dało się odczuć, że Jehans do nich nie należy. Nie mogli wtrącać się w jego życie, ale i nie musieli dawać mu na nic zgody, czego zresztą nie robili. Nie pytali nawet, ile ta broń kosztowała. Pięćdziesiąt pięć koron wystarczyłoby, aby odmienić ich życie na lepsze, lecz zamiast tego na stole leżał przed nimi teraz krag-jørgensen i nic poza nim.

Jehans opowiedział o ustrzelonym renie i człowieku, który dał mu pieniądze, Ingeborg zaś stwierdziła, że jak ktoś coś daje, to trzeba oczekiwać, że prędzej czy później będzie chciał czegoś w zamian.

– Pieniądze trzeba wydawać, by móc je zarabiać – oświadczył Jehans, wiedząc jednocześnie, że w świecie starszków nie ma miejsca na takie myślenie. Całe życie pracowali tak, jak ich rodzice i rodzice ich rodziców. Wszystko sprowadzało się do tego, jaki ciężar mogą unieść ręce i jaki ładunek zdoła pociągnąć koń. – Idę teraz w góry – dodał. – Najpierw ustrzelę to obowiązkowe zwierzę dla Osvalda. A następne sprzedam. W ten sposób zarobimy.

Wciąż nie zapytał, czego też Osvald od niego chce. Ale czuł, że coś się wydarzyło. Coś, o czym oni boją mu się powiedzieć.

Rozejrzał się po kuchni. Wyglądała zupełnie jak w czasach, gdy był jeszcze zbyt mały, by pojąć, że są biedni. Porysowany żeliwny piec, gar do ziemniaków i rondel, patelnia, warzachwie i chochle wystrugane przez Adolfa. Stojące przy piecu wiadra z wodą, w których w co mroźniejsze zimowe poranki musieli rozbijać lód.

No i tam. Wisząca nad kuchnią.

Palarka do kawy.

Ukochany przedmiot Ingeborg. Mały rondel z długą rączką i korbką, którą się kręciło, by mieszać ziarna. Starszka gotowała w kółko te same stare fusy, aż kawa nie miała właściwie koloru, jedynie nieznaczny aromat przypominał o jej istocie. Dopiero wtedy Ingeborg pozwalała sobie na wypalenie kolejnej garści nowych ziaren, a pierwszą zaparzoną z nich kawę pijali zazwyczaj w niedzielę. Jehans bardzo lubił jej się przyglądać, gdy unosiła pokrywę garnuszka i wsypywała do niego garść zielonkawobiałych ziaren, radując się cichym stukaniem, gdy ziarna pęczniały, potem zaś, kiedy je schładzała, były już oleiste, ciemnobrązowe, całą izbę wypełniał zaś podnoszący na duchu zapach, od którego zapadało uroczyste milczenie, zapach nabierający nowych nut, gdy Ingeborg wsypywała ziarna do młynka i rozlegał się chrzęst. Przez cały ten czas pod kuchnią paliło się osikowe drewno i gotowała się woda, świeża woda z Brei, którą wszyscy mieszkańcy Butangen mieli za oczywistość, do chwili gdy wyjeżdżali ze wsi i próbowali wody ze studni. Do tej właśnie wody Ingeborg wsypywała kawę i w chacie panowała nabożna cisza, aż do momentu, gdy kubki zostały napełnione i opróżnione, aż rozlegało się mlaskanie i w takiej chwili Halvfarella była miejscem równie bogatym jak wielkie gospodarstwa.

Ingeborg strzepnęła ze spódnicy niewidzialny pyłek.

– Jehansie – powiedziała. – Martwimy się nie dlatego, że kupiłeś kraga, tylko dlatego, że przysłała tu wczoraj wiadomość z Hekne. Chcą od nas pomocy przy drugich sianokosach.

– Chcą człowieka do pracy stąd? Z Halvfarella?

Jehans zerknął na kołki przy drzwiach wejściowych, wisiał tam jego nóż i nosidła. Słońce nie wspięło się jeszcze wysoko na niebo. To teraz wiatr wiał tak, jak należy, to teraz reny wędrowały po górach.

– Tak. I to natychmiast, dzisiaj.

– Dzisiaj? Na jak długo?

– Aż skończą kosić – odrzekł Adolf.

– On nie może tego od nas żądać. Umowa jest taka, że mamy mu dostarczać jednego dużego rena albo dwa mniejsze rocznie. O sianokosach w sezonie łowieckim nie było mowy.

– Oswald podobno cię wczoraj widział. Szarym świtkiem. Jak płynąłeś przez jezioro Pastorówką. A potem opuściłeś wieś.

– Przecież wolno mi chyba opuszczać wieś – zaperzył się Jehans.

– Tak – odparł Adolf. – Ale mnie nie wolno. Przynajmniej bez pozwolenia gospodarza. A on cię traktuje jak mojego zamiennika. Sezon łowiecki już w pełni, a on nadal nie dostał renifera. Dlatego wzywa cię na sianokosy. I wygląda na to, że będzie żądał też od ciebie innej pracy. Więc możesz na razie chyba zapomnieć o polowaniach.

Jehans poszedł prosto do Hekne, ale nie wziął ze sobą kosy. Adolf odprowadzał go zafrasowanym wzrokiem. Pozostali pracownicy, całkiem spora gromada ludzi, byli już od dawna na miejscu. Każdy z nich doskonale wiedział, co ma robić. Przed kuźnią kręcił się kamień ostrzący, obracany przez dzieciaki, które wymieniały się w tej pracy. Trzech zgarbionych starszych mężczyzn szło już do roboty. Kierowali się w stronę Wielkiej Łąki, stanowiącej połączenie skrawka ziemi wygranego przez Oswalda w pokera oraz Wyższej Łąki należącej do Hekne od dawna. Dzień po karcianym triumfie Oswald kazał wyciąć drzewka rosnące na granicy, by pokazać wszystkim we wsi i każdemu z osobna, kto tu rządzi.

Jehans spojrział na łąkę. Pomagał przy pierwszych sianokosach na początku lipca, rzadko się zdarzało, by drugie sianokosy były tak obfite, w niektórych majątkach w ogóle ich nie organizowano, znoszono tylko siano z równin i wyżej położonych mokradeł. Lecz na tym kawałku ziemi trawa wyrosła wysoka i bujna po kilku zaledwie miesiącach, falowała teraz na wietrze niczym zielone morze. Jehans wiedział zresztą dlaczego – wszystko za sprawą nowego nawozu.

To jedno trzeba było przyznać Oswaldowi. Potrafił sięgać myślą daleko, mimo że w wielu kwestiach bywał też staroświecki i zacofany. Zaczął rozsypywać na łąkach nawóz fosforowy, dzięki czemu plony były niemalże dwukrotnie obfitsze w porównaniu z poprzednim rokiem, ale ponieważ nie chciał kupić mechanicznej kosiarki, a liczba dzierżawców pozostawała niezmienna, sianokosy zajmowały o wiele więcej czasu. Nieważne zresztą, czy Oswald myślał jak człowiek nowoczesny czy staroświecki, bo tak czy inaczej był zadufany w sobie niczym właściciel ziemski z końca XVII wieku. Owszem, lubił nowinki, ale nie miał też nic przeciwko żądaniu od ludzi niepotrzebnie czasochłonnej pracy.

– Rozsypimy na Wielkiej Łące nawóz naturalny – powiedział pewnego dnia na wiosnę. – Ty się za to zabierzesz, Jehansie!

„Zabranie się za to” oznaczało, że stał samotnie, zdrapując z podłogi kurnika wdeptane w nią kurze odchody, a drób wokół niego gdał jak najęty. Zawsze robił wszystko sam, nawet jeśli charakter pracy sugerował, że wszystko poszłoby szybciej, gdyby wykonywało ją dwoje ludzi.

Oswald zjadał podobno codziennie na śniadanie cztery jajka, a jego synowie – po trzy. Nie żeby Jehans kiedykolwiek widział, co jedzą, bliżej ich stołu niż podczas pracy w kurniku nie było mu dane się znaleźć. Nawóz musiał zresztą przefermentować i pod jego powierzchnią zebrały się jakieś gazy, więc kiedy chłopak wyładował pierwszą taczkę, był już oszołomiony i ledwie trzymał się na nogach, lecz mimo to pracował dalej, nie skarżąc się na to, że kurze odchody są groźne dla zdrowia, bo prawdziwa praca musiała się wiązać z zagrożeniem, dlatego też istniała wyłącznie praca niebezpieczna – spróbuj powiedzieć drwalowi, że może sobie zrobić przy robocie krzywdę – tak by mu odrzekł Oswald.

Jehans męczył się jednak na nic. Zwiózł na łąkę kilka tacek kurzych odchodów, a Oswald zaraz potem rozsypał w tym samym miejscu swój nowoczesny sztuczny nawóz. Który z kolei przydałby się lepiej w polu, na którym rosły warzywa. Mimo to gospodarz chciał, żeby Jehans pchał taczkę wysoko pod górę, sam jak palec. W końcu odchody zostały usunięte, nawóz rozsypany, a kury gdały sobie na suchym klepisku. Tak to już było. I każdy mieszkaniec tej wsi miał w sobie coś, co dało się skomentować tymi właśnie słowami: „Tak to już jest”.

Jehans ruszył w stronę kosiarzy. Większość z nich odziana była w czarny wadmę i luźne żółtawe płócienne koszule. Ich kurtki wisiały na kołkach przy szopie z narzędziami, zapowiadał się ciepły dzień. Kawałek dalej stały kobiety. Każda z chustce na głowie, każda z szerokimi grabiami na długim trzonku. Hekne miało pod sobą osiem zagród dzierżawców i wyglądało na to, że wszyscy ich mieszkańcy zostali tego dnia wezwani. Jehans przywitał się z tymi, których znał najlepiej, ludźmi z Arnestua, Gardbogen i Hekneøygarden, była tu też wdowa z Solfritt, zagrody tak biednej i położonej w miejscu tak

zacienionym, że ledwie dawało się tam żyć, lecz również Ada Borgen, młoda dziewczyna z zaledwie kilkumiesięcznym bękartem, obwiązany szalem tak, by miała wolne ręce i dziecko cały czas przy piersi.

Jak na razie Jehans słyszał tylko mamrotanie pobrzmiwające między drewnianymi ścianami i pagórkami. Było trochę zbyt cicho, zwykle przed pracą brzmiał śmiech i wesołe głosy, ludzie żartowali i ciągnęli się za szelki w przekonaniu, że gdy już zacznie się robota, dobry humor im w niej pomoże.

Teraz jednak milczeli, a milczenie to mogło oznaczać koncentrację lub niezadowolenie. Jehans stwierdził, że w tym przypadku chodzi o to drugie.

Usłyszał, jak ktoś mówi:

– Harujemy u siebie do późnego wieczora, każdy jak jeden. I on oczekuje, że nas wezwie do pracy i będziemy się zrywać wypoczęci i z uśmiechem?

Nic nowego, pomyślał Jehans. Osvald był przekonany, że prace w polu należy wykonywać w suche dni. Trawę kosiło się na deszczu co najmniej równie dobrze jak na słońcu, ale jego zdaniem dobra pogoda oznacza lepszą robotę i wielokrotnie odsyłał dzierżawców do domu, gdy tylko zaczynało padać, a potem nagle wzywał ich z powrotem, odrywając ludzi od pracy na ich własnych maleńkich poletkach.

Gdy Jehans stanął pomiędzy kosiarzami, szepty ucichły. Często tak bywało. Dzierżawcy nie do końca wiedzieli, jak go zaszeregować – był synem Srebrzystej Zimy i siostrzeńcem Osvalda Hekne, zastanawiali się pewnie, czy na nich naskarzy, jeśli usłyszy ich utyskiwania.

Chłopak podszedł do Torgera z Hekneøygarden.

– Wszystkich was wezwał tak nagle? – zapytał.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

– Wczoraj wieczorem – rzucił tylko.

– Musimy być uprzedzani wcześniej – oświadczył Jehans. – Ja też myślałem, że będę miał dziś czas dla siebie.

Mężczyźni pokiwali głowami, nie wiedząc najwyraźniej, co o nim myśleć.

Od strony spichlerza dobiegał hałas. Dzieci wpełzły pod zbudowany na palach drewniany magazyn, wyciągnęły stamtąd pale do stojaków na siano i zaczęły ładować je na wóz. Dwóch starszych mężczyzn wyszło z kuźni, wioząc na taczkach drogocenne zwoje drutu stalowego, Jehans ujrzał Osvalda tuż obok nich. Jego wuj stał i liczył, czy wszystko się zgadza.

Osvald należał do pierwszych gospodarzy we wsi, którzy zaczęli suszyć siano na stojakach, zrozumiałwszy, że drut z galwanizowanej stali był, w całej swojej prostocie, małym cudem. Mocniejszy niż jakikolwiek sznurek tej samej grubości, naprężony tak samo niezależnie od temperatury, nie strzępił się, można go było giąć, wiązać i używać wielokrotnie, rok za rokiem. Osvald pojechał ponoć aż do Gjøvik i przywiózł drut stalowy stamtąd, prosto z fabryki O. Mustada. Mówiło się, że kupił go osiem tysięcy metrów, tak by pięciokondygnacyjne stojaki na siano w Hekne mogły stać jeszcze gęściej niż te w Gildevollen, największym majątku we wsi, gdzie jeszcze rok wcześniej suszyło się siano w sposób tradycyjny, rozkładając je na ziemi. Wymagało to codziennego przerzucania go grabiami, inaczej bowiem zaczynało gnić.

Osvald ruszył w stronę dzierżawców z żelaznym drągiem w jednej ręce i kosą w drugiej. Chciał pewnie pokazać, gdzie stanie pierwszy stojak, i zająć miejsce pierwszego kosiarza, tego, który szedł na czele formacji i wykonywał symboliczny zamach w tej krótkiej, milczącej ceremonii zwanej luzowaniem kos.

Jehans wyszedł mu na spotkanie. Osvald spojrzał mu w oczy dopiero, gdy stanęli twarzą w twarz, a i wtedy chłopak musiał mu niemal zająć drogę, by się przed nim zatrzymał.

Pozostali mężczyźni gapili się na nich, ale odwrócili wzrok, gdy Osvald zerknął w ich stronę.

– Ach tak – rzucił gospodarz. – Przyszedłeś, Jehansie Halvfare. A gdzie twoja kosa?

Specjalnie starał się wymawiać słowo „Halvfare” za każdym razem nieco inaczej. Czasami mówił też na Jehansa Schönauer albo Skjønnhaugen, a niekiedy nawet Skjønbauer.

– Nazywam się Hekne, tak samo jak i ty.

Osvald nic na to nie powiedział.

- A moja kosa została w Halvfarelia. Tam, gdzie jej miejsce.
- W takim razie gdzie mój renifer? – spytał Oswald i splunął na trawę.
- Zostanie dostarczony. Zgodnie z umową.

Gospodarz wbił drąg w ziemię.

– Już sierpień, a mięsa jak nie było, tak nie ma. A pogoda sprzyja, jest ciepło, więc możemy zrobić sobie drugie sianokosy. Jest sucho i chcę, żeby ta robota była już zrobiona. Popatrz sobie po innych majątkach, wszędzie jest tak samo. Ludzie pracują, a nie włóczą się po górach. Słyszałem, że wczoraj w ogóle cię nie było we wsi. Dlatego też życzę sobie, żebyś się wziął do roboty, a nie łąził po okolicy i gwizdał na naszą umowę.

– Nie składało się z wiatrem. Reny przysły w góry dopiero teraz. Zdobyłem też lepszą broń.

– Lepsza broń, wiatr to, wiatr tamto. Zawsze coś znajdziesz, Jehansie. Masz na wszystko wymówkę. Wszystko ci się wymyka z rąk. Ciągłe masz pod górkę. A ja nie mogę cię traktować inaczej niż pozostałych dzierżawców. Bo zaraz wszyscy mi zaczną polować, zastawiać sidła czy robić to, na co mają ochotę. I jak to by wtedy wyglądało? Więc teraz będziesz kosić. Jeśli w ogóle potrafisz.

– Doskonale wiesz, że potrafię kosić.

– Nie miałem czasu ci się przyjrzeć. Z Adolfa kosiarz raczej marny. A ten twój tatusiek architekt kosa pewnie na oczy nie widział. Skoro potrafisz, to mi pokaż. Idź do szopy na narzędzia i pożycz sobie kosę. Ale my ruszymy teraz, więc będziesz nas musiał gonić. Zacznieś w dole skarpy, razem ze starymi i lepiej, żebyś kosił tak samo dokładnie jak oni.

Oswald wyciągnął żerdź z ziemi i ruszył prosto na niego.

– A teraz się odsuń – powiedział.

– To niesprawiedliwe – oświadczył Jehans.

– Niesprawiedliwe, powiadasz? Nikt nie patrzy, co jest sprawiedliwe. Ludzi obchodzi, co się dzieje. Emort pewnie nadal by ci pozwalał bawić się na naszej podłodze. Ale on wyjechał. Więc teraz będziesz kosić Wielką Łakę w Hekne. Ja też będę przy robocie i przypilnuję, żebyś nie bujał w obłokach, jak kiedyś twoja matka. Musisz to w końcu zrozumieć, Jehansie Schönauer, mówiłem ci to już zresztą wcześniej: Nieważne, czy się mieszka w Hekne, czy w Halvfarelia, pracować trzeba. A twoja matka myślała, że sobie wyjedzie do Niemiec i będzie całe dni spacerować w pięknej sukni. Ha! Pani architektowa, też coś!

– Ani słowa o mojej matce.

– Czemu się tak obruszasz, skoro jej nawet nie znałeś? Ja ją natomiast znałem. Oglądałem ją z bliska, rok za rokiem. Ciągłe snuła plany, z których nic nie wychodziło. To samo siedzi w tobie, Jehansie i musisz to w sobie zdusić. No już, idź po kosę. I dobrze ją naostrz. Chociaż powinienem raczej powiedzieć: Naostrz ją tak dobrze, jak umiesz. A potem do roboty i pamiętaj, że ja fuszerki nie znoszę. Żebyś mi nie zostawił ani kępki trawy. Potem obejrzymy sobie razem efekty twojej pracy i dopilnuję, byś każde nieskoszone ździebełko własnoręcznie ściał nożem.

Kosiarze ruszyli do roboty, zostawiając Jehansa samego. Drzwi budynku mieszkalnego otworzyły się, w progu stanęła jakaś nieznana mu dziewczyna. Z miejsca, w którym stał, mógł zajrzeć do sieni, widział tam szaroniebieską ławę i szafę malowaną w ozdobny wzór. Gdzieś w tym domu siedziała teraz kobieta, która była jego babką. Zdawało mu się, że ją pamięta, jej sylwetkę w drzwiach, twarz, która zawsze była gdzieś daleko w górze, i z tego wspomnienia wnioskował, że kobieta nigdy się nad nim nie pochylała.

Poszedł do szopy na narzędzia, promienie słońca wpadały do środka przez szpary pomiędzy deskami ścian. Wisiało tam kilka starych kos, jedna miała obluzowany drzewiec, a druga źle przymocowane ostrze, nagle jednak chłopak zobaczył jeszcze jedną kosę wiszącą wysoko na ścianie, tak wysoko, że musiał się po nią wspiąć.

Była stara i dość lekka. Adolf by ją nazwał ogryzkiem, bo klingę ostrzono tyle razy, że stal przywozowała na myśl cieniutki sierp księżycy w nowiu. Narzędzie nosiło ślady wielokrotnych napraw, klepania i lutowania. Kosisko wykonane było z drewna wierzbowego, ktoś musiał długo szukać gałęzi na ten drzewiec, bo był on naturalnie wygięty i doskonale układał się w dłoniach.

Jehans zamachnął się na próbę. Stwierdził, że ciężko będzie kosić tym narzędziem, bo ostrze jest

niezwykle długie, a ponadto zamontowane na drzewcu pod kątem niemal prostym. Kosa ścinać będzie więc trawę obficie i zachłannie, ale może utknąć w ziemi. Klinga trzymała się mocno. Kiedyś, przed laty, ktoś zamocował ją do kosiska mokrymi korzeniami wierzbowej krzewinki, które, wyschnąwszy na słońcu, skurczyły się, przytwierdzając żelazo do drewna tak mocno, że nigdy się nie poluzowało. Jehans podejrzewał, że ktoś troszczył się o to narzędzie rok za rokiem i nie chciał go wymienić.

Naostrzył kosę i pospieszył z powrotem na łąkę. Mężczyźni kosili w tradycyjny sposób, który z biegiem lat okazał się najlepszy i dlatego też stał się tradycją: ośmiu kosiarzy szło w rzędzie, mając przed sobą stałą, z góry obraną trasę. Aby nie ranić ostrzem sąsiada, ustalono system, w którym najszybszy kosiarz zajmował pozycję od brzegu po lewej stronie i w ten sposób w ciągu zaledwie kilku minut tworzyła się przekątna umiejętności i tempa, łącząca najszybszego kosiarza z wyrostkami i starcami na prawym skraju formacji. Jeśli ktoś okazywał się za szybki na swoją pozycję, mężczyźni zamieniali się miejscami, by utrzymać przekątną, i tak oto łąka tworzyła ranking wieku i zręczności, hierarchię, która ulegała samoregulacji, dzień za dniem i rok za rokiem.

Miejsce na prawym skraju formacji zostawiono dla Jehansa. Nawet starcy radzili sobie w tym roku dość dobrze, bo byli już dobry kawałek z przodu. Tuż za nimi postępowały kobiety, które grabiły skoszoną trawę i znosiły ją w miejsce, gdzie planowano zamontować stojaki. Towarzyszące im dzieciaki spojrzwały na Jehansa i zaczęły pytać, czemu przychodzi tak późno.

Szerokie grabie i wielkie kosy. Mężczyźni, kobiety, stal i drewno. Ziemia, trawa i słońce.

Na lewym brzegu u szczytu zbocza szedł Osvald. Dobrze sobie radził z kosą, trawa kładła się przed nim szybko i równo, oglądał się co chwilę przez ramię, doglądając pracy dzierżawców.

Najwyższy człowiek na łące. Najwyższy człowiek w Hekne.

Jehans zabrał się do roboty. To kraga powinien teraz trzymać w rękach. Broń pomyślaną dla szerokich widoków i wielkich odległości. Lecz zamiast tego miał kosę, pomyślaną tak, by zamykała prawe i lewe ramię w nieprzerwanym wahadłowym ruchu, półokręgu codziennego znoju.

Ale tak samo jak krag był dobrym karabinem, jego kosa stanowiła dobre narzędzie. Wymagające, lecz dobre. Nie wybaczała wahań, żądała pewnej ręki i równego kroku. W zamian za to kosiła prosto i precyzyjnie. Trawa padała na ziemię przed ostrzem, nie stawiając najmniejszego oporu.

Za Jehansem podążała z grabiami Ada Borgen, nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat, jej dziecko leżało zaś na skraju łąki. Dziewczyna przenosiła je za sobą co jakiś czas, w miarę jak posuwali się do przodu. Maluch zaczął wrzeszczeć. Ada odłożyła grabie i usiadła, by go nakarmić, lecz dziecko się nie uspokoiło. Położyła je więc z powrotem na ziemi, podniosła narzędzie i pracowała dalej, co jakiś czas oglądając się na płaczącego malucha.

Jehans kosił szybciej, niż dziewczyna była w stanie grabić, wkrótce dogonił starców i powiedział, że chce ich wyprzedzić. Mężczyźni zgodzili się bez protestów, bo nikomu nie musieli już niczego udowadniać, wcześniej dekadę za dekadą pokazywali, na co ich stać, wszyscy trzej lubili poza tym pracować obok siebie, w swoim powolnym, lecz równym tempie, bo po skończonym dniu pracy i tak się okazywało, że zrobili więcej niż pełne zapału młodziki, opadające z sił już w porze drugiego śniadania.

Kosiarz po lewej stronie Jehansa przystanął i wyjął oselkę. Przygrzało słońce, świeżo skoszona trawa za ich plecami pachniała. Jehans naostrzył również swoją kosę, wymieniając spojrzenia z sąsiadem. Zbliźali się do nich trzej starcy, ich kosy kładły trawę w miarowym, pewnym rytmie, żdźbła szumiały pod klingami. Chowając oselkę za pasem, Jehans dosłyszał, jak jeden z mężczyzn mówi do towarzysza:

– Widziałeś?

Chłopak opuścił kosę i wrócił do pracy, ale pilnował, by nie odejść zbyt daleko i słyszeć, co starzec będzie mówił dalej:

– On przecież idzie z Łaciatym Wilkiem.

Łaciaty Wilk.

Słowo to dźwięczało przez chwilę w uszach Jehansa, aż w końcu przywiodło mu na myśl historię opowiadaną kiedyś przez Adolfa. Przed laty żył w Butangen pewien niezwykle utalentowany kosiarz, był to wolny człowiek najmujący się do pracy w różnych majątkach i choć miał już swoje lata, był tak szybki, że zawsze szedł jako pierwszy w formacji. Jego kosa, podobnie jak ubrania, była przez kolejne

lata naprawiana i łatana, w związku z czym dorobiła się w końcu miana Łaciatygo Wilka. Imię tego mężczyzny stało się z czasem mniej ważne od imienia kosi i w końcu zarówno on, jak i jego narzędzie znani byli pod tym samym przydomkiem. Mówiło się, że Łaciaty Wilk pracował do chwili, aż jego serce odmówiło posłuszeństwa i runął martwy na łące, bo nie chciał oddać tytułu pierwszego kosiarza we wsi.

Jehans brnął do przodu. Stare narzędzie było ostrzejsze niż każda inna klinga, którą kiedykolwiek miał w ręku. Nie dało się narzucić mu swojej woli, chłopak musiał prowadzić w tym tańcu, ale tak, jak dyktowała mu kosa. Szedł przed siebie, znajdował swoje własne tempo i swój własny czas, by otrzeć pot z czoła i naostrzyć klingę, robota szła mu równo i miarowo, a myśli popłynęły z powrotem ku temu, co powiedział Osvald o jego matce.

Złość rozlała się po całym jego ciele, przepłynęła przez ramiona do kosi, a źródło tej złości było niewyczerpane, Jehans ruszył przed siebie jeszcze szybciej i dogonił kolejnego kosiarza, który ustąpił mu miejsca. Trasa przypadająca każdemu mężczyźnie była nieco węższa niż szerokość pokosu, który za sobą zostawiał, inaczej bowiem pomiędzy pasami zostawałby cienki paseczek nieściętej trawy, a gdy dwaj kosiarze się do siebie zbliżali, klinga pracowała niebezpiecznie blisko kostek sąsiada. Jehans zamachnął się szeroko Łaciatym Wilkiem i o mały włos nie ranił idącego przed nim człowieka. Był to Torger z Hekneøygarden, który – co zaskakujące – nie rozzłościł się, widząc, że został doścignięty, wręcz przeciwnie, skinął porozumiewawczo głową, wyciągnął osełkę i pozwolił Jehansowi wejść na swój pas.

Od Osvalda dzielił go jeszcze tylko jeden człowiek, był to Amund, dzierżawca z Gardbogen, który utrzymywał dobre tempo i nie oglądał się za siebie. Kosiarze pracowali już długo, słońce stało nad nimi wysoko na niebie. Na dłoniach robiły się bolesne odciski. Koszula Amunda była ciemna od potu, mężczyzna wsunął sobie cienką gałązkę między pośladki, bo uniknąć bolesnych otarć skóry i fakt ten, połączony z tak wysoką pozycją w formacji, świadczył, że to wytrawny kosiarz, najpewniej szybszy od Osvalda, który pozwala iść gospodarzowi na przedzie z czystej tylko grzeczności.

Jehans dopędził go, ale uważał, by nie machać klingą zbyt blisko jego pięt. I znów stało się to samo: Amund Gardbogen zszedł na bok i powiedział cicho:

– Dobrze, leć!

Chłopak szedł teraz pasem zaraz obok Osvalda, który od jakiegoś czasu nie oglądał się za siebie, lecz mimo to musiał wyczuć, że coś się dzieje, bo zwiększył nagle tempo. Dobrze prowadził kosę, był silny, dokładny i szybki, każdy ruch wykonywał pewnie, bezbłędnie i szedł tak przed siebie po honorowym pasie na lewym skraju formacji.

Kosy pozostałych mężczyzn zaczęły pracować nieco wolniej, trzonki grabi coraz częściej wskazywały prosto w niebo, było bowiem widać, że to, co się dzieje, to wcale nie przelewki. Osvald robił co w jego mocy, by Jehans się do niego nie zbliżył, rywale oddalili się od pozostałych, ich klingi śpiewały i stało się jasne, że to już nie zwykłe sianokosy, lecz zażarta, mordercza walka.

Po łące zaczęło krążyć pewne słowo, bo te wyścigi miały w tutejszym dialekcie swoją nazwę. Słowo to narodziło się ze zmechaconego wadmeli, kłujących ździebeł tymotki, spoconej skóry, z obolałych dłoni i pól na stromych skarpach. Prawie nigdy nie używano go w żartach, ale w tej właśnie chwili ludzie stali się świadkami szaleństwa, które doprowadziło do jego powstania.

Słowem tym był kosogon.

Oto na ich oczach jeden człowiek gonił z kosą drugiego, a kosa ta stanowiła już więcej niż tylko narzędzie dające pożywienie i bezpieczeństwo, drzemała w niej bowiem wściekłość, bo była przecież spokrewniona z mieczem.

Gdy podczas kośby wypowiadano taki pojedynek, a wyzwany mężczyzna nie chciał ustąpić, zaczynały obowiązywać zupełnie inne zasady. Wtedy na szali kładło się swój status i dobre imię, po czym ogłaszano kosogon. Wyzwany, który przegrał, nie mógł zamienić się miejscami ze zwycięzcą, musiał znaleźć sobie miejsce po drugiej stronie formacji, na samym dole drabiny hierarchii.

Była to walka samców, ślepa, głupia i dzika, bo kosogon zmieniał ludzi na powrót w zwierzęta, była to pogoń drapieżników, polowanie, którego pierwszym celem stawały się ścięgnięta przy piętach ofiary. To tam wbijał swe kły wilk, próbując zabić łosia. Cięcie w to miejsce powala człowieka na ziemię, czyniąc z niego kalekę kulejącego już do końca życia.

Tylko że nikt nigdy nie został w ten sposób powalony, bo ludzie tak się boją o swoje nogi, że nawet największa pycha w końcu ustępuje i te nieliczne razy, gdy jeden mężczyzna wyzywał drugiego na kosogon, kończyły się zawsze tak, że wyzywający lub wyzywany w końcu się zatrzymywał, wycieńczony i upokorzony. Taki człowiek kuśtykał wtedy na koniec formacji ze łzami w oczach, zwłaszcza jeśli był już stary, docierało do niego bowiem, że tak dopadł go już wiek i że teraz kosą będzie machać Kostucha.

Jehans gonił Osvalda, był już blisko, obie kosy śpiewały. Płócienne koszule, z początku wiszące im luźno na ramionach i przypominające barwą pergamin, lepiły się teraz do pleców, wyraźnie pociemniałe. Pot płynął po czołach rywali, zalewając im oczy.

Osvald nie był zwykłym mężczyzną. Był gospodarzem na tym majątku.

Łaciaty Wilk zaczął się tępić i Jehans musiał machać nim coraz mocniej, by równo ścinać trawę. Och nie! Nagle trafił klingą na kamień i potknął się, bo włożył w ten zamach całą swoją siłę. W powietrze strzeliły iskry. Spróbował raz jeszcze, ale ostrze nie wydawało już właściwego dźwięku, trawa podniosła się na powrót i chłopak zobaczył, że dogania go kosiarz, którego wcześniej wyprzedził.

Osvald ruszył dalej, nie drwiąc z niego ani go nie wyśmiewając. Jehans wyciągnął osełkę i chciał na nią splunąć, ale był tak odwodniony, że nie dał rady, zaczął więc ostrzyć klingę na sucho, pracując wargami i rozpaczliwie próbując wytworzyć choć odrobinę śliny, w końcu polizał osełkę, dokończył ostrzenie i znów ruszył przed siebie, lecz Osvald miał już taką przewagę, że dogonienie go zajęłoby mu jakiś kwadrans.

Lecz teraz i gospodarz musiał naostrzyć swoją kosę, trawę należało bowiem ścinać równo i pięknie, walka była przegrana, jeśli jeden z przeciwników zaczynał pracować niedokładnie. Jehans zbliżał się do niego metr po metrze, ale Osvald w końcu znów ruszył przed siebie, chłopak otarł pot z czoła, dopędził go i machnął kosą tuż przy podeszwie jego buta. Osvald odwrócił się i syknął, miał mokre czoło, Jehans zobaczył potężne mięśnie jego pleców naprężone pod koszulą i brnął dalej, uparcie i pewnie niczym roboczy koń. Osvald utrzymał przewagę przez kilka kolejnych zamachnięć, ale Jehans go w końcu dopadł, szedł szybko, lecz starał się zrównać z nim tempem, posłał Osvaldowi cios klingą, przed którym tamten ledwie zdołał uskoczyć, i tak pokazał mu swoją przewagę i dominację. Ale Osvald nie ustąpił. Jehansowi pociemniało przed oczami i posłał ostrze kosy tuż pod but rywala. A potem obrócił nieco Łaciatego Wilka w dłoniach i rozstawił szeroko łokcie, szykując się do ciosu, który ugodzi Osvalda w stopę.

W tej samej chwili zabrzmiał dzwon obiadowy.

Jehans zatrzymał kosę w połowie ruchu, Osvald zrobił krok w przód i obaj stanęli pochyleni, próbując złapać oddech i słuchając bicia dzwonu obiadowego w gospodarstwie. Tkwili tak bez ruchu, aż dźwięk w końcu ucichł. Nie odwrócili się do siebie. Pot ściekał im po włosach i ramionach, padając na trawę. Kawalek dalej stali pozostali kosiarze, uważnie im się przyglądając.

– Głupio, Jehansie, głupio się zachowałeś. Tak postępują głupcy.

Jehans łapał oddech, nie miał siły odpowiedzieć.

– Cholera jasna – ciągnął Osvald. – Idiota z ciebie. Wyzywać samego gospodarza na kosogon, na jego własnej łące. I to przy wszystkich.

Mówił zupełnie spokojnie, pot ściekał mu po spalonej słońcem twarzy. Jehans nie miał nawet siły otrzeć sobie czoła, szczypały go oczy.

– Dzisiaj rano – dyszał gospodarz – już miałem ci odpuścić. Pozwolić ci lecieć w góry pod warunkiem, że w przyszłym roku dostarczysz mi dwa razy tyle mięsa. Z tą nową bronią, którą sobie ponoć jakoś załatwiłeś. Ale teraz nic z tego.

Jehans wciąż nie był w stanie odpowiedzieć.

– Myślałeś, że mnie dopadniesz – mówił dalej Osvald. – Ale nie.

Chłopak się wyprostował. Miał mokre włosy, pot zalewający oczy sprawiał, że wszystko wydało mi się rozmazane, a twarz wuja wyglądała, jakby nagle spuchła.

W tym momencie obaj zajrzeli w głąb siebie. Jehans wiedział, że jest podobny do matki, w Osvaldzie dostrzegł zaś ślad dawnej urazy i pojął, że tą, która tak naprawdę pędziła go tego dnia przez Wielką Łąkę, była Astrid Hekne.

– Głupiec – powtórzył jego wuj. – Powinieneś mi dziękować. Za to, że tu jeszcze stoisz. Gdyby kosa choć przecięła mi skórę, Jehansie, lensman natychmiast zabrałby cię do aresztu. Przy pierwszej okazji wyrzuciłbym was na zbity pysk. Kontrakty dzierżawców wygasają czternastego października, już tego dnia Adolf i Ingeborg zostaliby bez dachu nad głową czy grosza przy duszy. A ty byś trafił do więzienia. Znam te kontrakty na pamięć, ty też zresztą powinieneś, bo przecież przez tyle lat uczyłeś się czytać.

Oswald podszedł do niego i odezwał się, już nie dialektem, lecz wytwornym językiem książkowym:

– Dzierżawca ma pozostać wobec gospodarza karny i posłuszny oraz wierny tak w słowach, jak i w czynach.

Zrobił krok w tył.

– Możesz się tytułować nazwiskiem Hekne ile tylko chcesz, ale to ciebie Adolf tu posłał jako swojego zmiennika i to on odpowiada za twoją głupotę.

Jehans przełknął ślinę.

– To nigdy nie było uczciwe, Oswaldzie. Nigdy.

– Od dzisiaj koniec z umową o reniferach. Będziesz się stawiał do pracy przy żniwach, sianokosach i wykopkach, każdy jeden raz, kiedy cię tu wezwę. Dostaniesz wolne przez pół soboty i całą niedzielę, bo przecież prawo jest prawem. A skoro masz ambicję zostać pierwszym kosiarzem, to proszę bardzo, otrzymasz honorowe miejsce po lewej stronie na łące. A pewnego dnia, gdy uznam za stosowne, przyłączę się do pracy. I wtedy to ty będziesz się oglądał za siebie. Poza tym...

I wtedy się to stało.

Do tej chwili pozostali kosiarze i kobiety z grabiami uważnie ich obserwowali. Wrócili do koszenia i grabienia, ale raczej na pokaz, od rozpoczęcia kosogonu nie postawiono kolejnych stojaków na siano. Lecz teraz pracujący jakby zamarli i wszystko ucichło. Ludzie odwrócili się w stronę gospodarstwa. Trzonki grabi wycelowały w niebo, kosy zostały odłożone, wszyscy otarli czoła i poprawili ubrania.

Oswald i Jehans patrzyli na to wszystko zdziwieni. Przez tę krótką chwilę coś ich wreszcie łączyło.

Bo to dopiero teraz rozległo się w Hekne bicie dzwonu obiadowego.

Nowa sutanna

– Proszę z łaski swojej wyciągnąć rękę. Muszę wziąć tę szpilkę i... już. O co pan pastor pytał?
– O pochodzenie wyrobów tekstylnych. Czy da się je ustalić?
– Nie byłoby to łatwe. Jeśli wzór podąża za określonym kierunkiem w modzie, to może...
chwileczkę. Proszę unieść brodę, pastorze. Kołnierzyk. Nadal jest za ciasny?

– Niestety. Troszeczkę.

Krawiec Konow odłożył miarę i powiedział.

– Wydaje się pastor taki roztargniony! A to powinna być dla nas obu miła chwila. Coś pastora trapi? Nie? Tak czy inaczej... kołnierzyk powinien zostać tak jak teraz. Inaczej to będzie wyglądać niechlujnie.

– A mógłbym pana prosić, żeby jednak trochę poluźnić? To w końcu... moja odzież robocza.

– Robocza? Czuję się urażony, pastorze Schweigaard. To szata duchowna! Jestem fachowcem i nie mogę się godzić na wszystko, szyję przecież stroje dla urzędników państwowych... no dobrze, może odrobinkę. Proszę z łaski swojej wyciągnąć rękę w moją stronę. Te wyroby tekstylne. O jaki chodzi kolor, o jaki wzór?

– Nazywamy to, zdaje się, szkocką kratą. Odcienie raczej mało jaskrawe. Mam je ze sobą w walizkach.

– Ach, to dlatego pastor mi się cały czas odwraca od lustra. Proszę się nie obawiać. Stąd nic nigdy nie zginęło i nic nie zginie, przynajmniej tak długo, jak będziemy tu tylko we dwóch. No i już. Spójrzmy jeszcze raz na długość rękawa. Tak, proszę trochę wyciągnąć. Jeszcze trzy minutki z miarą i będę miał wszystko, czego mi trzeba, również do uszycia dla pastora spodni i koszul. No i... kupi pastor chyba ten kapeluszek borsalino?

– Owszem, będzie mi potrzebny. Ale nie chcę, żeby spodnie były tak obcisłe.

– Ależ szanowny panie pastorze. One teraz takie mają być. Fotografie naszego idola, pana Nansena, wszystko odmieniły.

– Nie chcę się do nikogo upodabniać. Proszę dodać ze dwa cale na... cóż, biodrach. Co najmniej. Muszę być w stanie się poruszać. I cztery koszule, jak zawsze.

– Ma się rozumieć. Cztery. Proszę poczekać, zapiszę sobie... już. Hm!

– O co chodzi?

– Porównuję miary. Proszę mi wybaczyć, jeśli będę zbyt bezpośredni, ale szyję dla pastora już dwie dekady. Muszę powiedzieć, że dobrze się pastor trzyma. Ten sam obwód w pasie przez ostatnie osiem lat. Muskulatura jak u gimnastyka. Tyle że szybko pastor zużywa odzież. Poprzednią sutannę uszyłem zaledwie dwa lata temu, ale zdecydowanie odmawiam naprawy tego rozdarcia. Wygląda to tak, jakby pastor brał się w sutannie za stolarkę. No, tak czy inaczej. Już po wszystkim!

Kai Schweigaard stał ze skóry kredę krawiecką i naciągnął przez głowę wełniany sweter. Na stole, pomiędzy czarnymi belami materiału, leżały dwie szare tekturowe walizki oraz torba podróżna z brązowej skóry. Pastor otworzył jedną z walizek i przywołał krawca Konowa gestem ręki.

– To delikatny przedmiot, wołałbym go nie wyjmować.

Konow pochylił się i obejrzał poduszki z bliska. Stał chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

– To w każdym razie na pewno tartan.

– Ach tak?

– To nie jest po prostu zwykła krata. Tartan tka się jak odbicia lustrzane wokół środkowej nici albo środkowego pola. Tak jak tutaj. To dość popularny wzór w północnych rejonach Gudbrandsdalen, ale to już pastor pewnie wie. No i w Szkocji, ma się rozumieć. Ale nic nie podróżuje pomiędzy krajami tak szybko jak właśnie wzory na tekstyliach. Tak jest już od tysiący lat. Tu widzę dość niezwykle kolory. Ta tkanina musi być bardzo stara.

Schweigaard otworzył drugą walizkę i pokazał krawcowi wzór na drugiej poduszce.

– Owszem, czerwień i ciemna zieleń to bardziej powszechne barwy. Jakie to pięknie i gęsto

utkane! Tego morskiego odcienia chyba nigdy wcześniej nie widziałem. W różnych krajach można uzyskiwać różne barwy, wszystko zależy od tego, co rośnie na których szerokościach geograficznych.

– Czyli ta tkanina może pochodzić z zagranicy?

– Owszem, to niewykluczone. Czy te dwa okazy zostały utkane w tym samym miejscu? Są z sobą jakoś powiązane?

– Najprawdopodobniej.

– Nie jestem w takich sprawach ekspertem. Ja po prostu szyję elegancką odzież. Ale mimo to nie sądzę, by jedna z tych tkanin, ta szorstka, została wykonana z myślą o poduszce. Przynajmniej takiej, którą się kładzie pod głowę. Spanie na czymś takim byłoby torturą! Mnie to bardziej wygląda na jakąś resztkę materiału. Wzór nie wydaje się dopasowany do rozmiarów poduszki, krata jest za duża i nie pokrywa się z brzegami. A odwrotna strona... gdybym mógł ją zobaczyć, czy...

Kai Schweigaard chwycił go za nadgarstek.

– Proszę zostawić. To bardzo delikatne przedmioty.

– Aj! Szanowny panie! – Konow wyrwał mu rękę i odezwał się nieco ostrzejszym tonem: – Próbowałem powiedzieć, że to musiał być materiał na jakąś odzież wierzchnią. Jeśli nie pochodził z Norwegii, to był to być może szkocki kilt, a tak się składa, że o kiltach wiem niejedno. Każdy krawiec się nimi pasjonuje, bo bardzo korzystnie eksponują męskie łydki. Z którego roku pochodzi zdaniem pastora ta tkanina?

– Jest bardzo stara. Myślę, że powstała około roku tysiąc sześćsetnego, plus minus pięćdziesiąt lat.

– Ach, aż tak stara! W takim razie to nie może być kilt. Bo wtedy noszono raczej przepasany pled. Szkoci tak właśnie go nazywali, *belted plaid*. Czy dobrze to wymówiłem? Mój akcent mógłby uchodzić za oksfordzki?

– Nie byłem nigdy w Oksfordzie, panie Konow, lecz odważę się stwierdzić, że ma pan najpiękniejszy oksfordzki akcent w całej diecezji. Ale czym był ten...

– To bardzo prosty, lecz przy tym niezwykle funkcjonalny strój. Pas solidnej wełnianej tkaniny, liczący jakiś jard szerokości i od pięciu do ośmiu jardów długości, w zależności od tego, na co ludzi było stać. Używano go na różne sposoby, w zależności od panujących temperatur. Latem można było owinać się takim pledem w talii i zabezpieczyć go pasem, a gdy robiło się chłodniej – otulić nim górne partie ciała. Nocą zaś przykrywano się nim jak kocem. Król Magnus Bosy, na ten przykład, nie chodził wcale bez butów, swój przydomek zawdzięcza temu, że nosił przepasany pled i miał muskularne, odsłonięte łydki. Dopiero później powstał kilt. To zresztą norweskie słowo, pamiętam, jak moja prababcia mawiała, że kiltuje ubrania, kiedy je składała.

Schweigaard zamknął walizki, podziękował i zapłacił zaliczkę. Począł, aż Konow pomoże mu włożyć płaszcz, uszyty dwa lata wcześniej za dość okrągłą sumkę. Ale krawiec zapalił tylko cygaretkę, co stanowiło najnowszą modę wśród kupców i rzemieślników w Lillehammer, po czym powiedział:

– Znam kogoś, kto z wielką chęcią obejrzałby te poduszki. Może je nawet kupić.

Pastor odwrócił się do niego.

– Ach tak?

Konow palił dalej, unosząc cygaretkę do ust przesadnie zamaszystym gestem.

– Ależ kochany panie Konow! Przepraszam, że się zezłościłem.

– No dobrze, w porządku. Chodzi o jedną z tych buntowniczych kobiet, co to walczą o rozwiązanie unii i szyją stroje ludowe. Mówią na nie bunady. Mam z nimi sporo do czynienia, bo sprzedaję maszyny do szycia. Jakiś rok temu ta dama chciała wypróbować gritznera, model R, i przywiozła ze sobą wtedy kraciastą tkaninę, prawie identyczną jak ta czerwono-zielona, co ją ma pastor w walizce. Te stroje, narodowe, jak je beczelnie czasem się określa, wywodzą się z niektórych wiejskich tradycji. Tamta kobieta utrzymuje, że wzór tartanu tkany w Gudbrandsdalen ma związek z bitwą pod Kringen, w której zginęło trzystu szkockich żołnierzy. Pastor zna tę historię, prawda?

– Tak, oczywiście, chodzi o bitwę z tysiąc sześćset dwunastego roku. To bardzo ciekawe, panie Konow. Jak się nazywa ta kobieta?

Krawiec wydmuchał kilka kółek z dymu, po czym odrzekł:

– Jenny Stueflaaten. Jedna z najbogatszych posiadaczek ziemskich w Dovre. Wdowa. Sama prowadzi gospodarstwo. Pochodzi z miasta. Podobno posiada największą w północnej części doliny kolekcję starych tkanin. Jest jedną z najbardziej radykalnych przeciwniczek unii i propagatorek strojów ludowych w tamtych stronach. Chyba nawet była kiedyś w Szkocji.

– Coś mi świta, że ją nawet poznałem. A w każdym razie widziałem. Na prelekcji.

– Nie sądzę. Bo jakby ją pastor widział, to bez wątpienia by ją pastor dobrze zapamiętał.

Kobieta, która wie

– Przede wszystkim muszę wiedzieć, jakie jest pańskie stanowisko – oświadczyła wdowa Stueflaaten. – Czy jest pan patriotą. Z listów to jasno nie wynika.

– Od sześciu lat wciążam na maszt prawdziwą norweską flagę – odrzekł Kai Schweigaard.

– Ach tak?

– Owszem, po moim poprzedniku odziedziczyłem flagę unijną, ale w dziewięćdziesiątym siódmym poprosiłem mojego krawca, by uszył mi nową, bez sałatki śledziowej.

– Aha. Ja też tak zrobiłam. Tyle że w dziewięćdziesiątym trzecim. Sama sobie uszyłam flagę i wciągnęłam ją na maszt następnego ranka. A w dziewięćdziesiątym dziewiątym musiałam ją opuścić do połowy masztu. Gdyby się pan zastanawiał.

Schweigaard złożył jej kondolencje, ona zaś je przyjęła. Wdowa Stueflaaten była przystojną kobietą po czterdziestce, miała siwiejące, upięte włosy i była ubrana w burgundową suknię ze srebrnymi guzikami zapinanymi wysoko pod szyją.

Pastor i pan Røhme dotarli do niej późnym wieczorem, zajechawszy pociągiem na stację końcową w Sel. Trwały prace nad pociągnięciem linii kolejowej dalej na północ, ale wymagało to niewiarygodnie wielkiego nakładu sił i środków. Rachunki wykazywały, że potrzeba by pięciuset ludzi pracujących od pięciu do sześciu lat, by położyć szyny do Dombås, mimo że odcinek ten liczył sobie zaledwie czterdzieści pięć kilometrów. Najtrudniejszy byłby etap prowadzący przez niebezpieczne kotliny w okolicach Rosten, z ich stromymi zboczami i kamiennymi rumowiskami. Obliczono, że położenie każdego metra torów wymagałoby tu od trzydziestu do czterdziestu dni pracy.

Schweigaard pokonał ten odcinek z panem Røhme jako woźnicą, w rozklekotanym powozie ciągniętym przez źle podkute konie. Pastor był głodny i zmarznięty, lecz gospodyni niczym go na razie nie poczęstowała. Miała arystokratyczne maniery, które widywał u mieszkańców innych bogatych majątków w dolinie, emanowała chłodem i pełną godności rezerwą, na pytania odpowiadała niespiesznie i niemal wyniośle, zupełnie jakby zdanie po zdaniu zdejmowała ze swojego rozmówcy miarę, szacując, czy warto go w ogóle zaszczyścić dalszą rozmową. Nie posługiwała się miejscowym dialektem, lecz dźwięczną i momentami okraszana gardłowym „r” wymową miejską, zdaniem Schweigaarda rodem z dzielnicy Skillebekk w Kristianii, której wytworni mieszkańcy mieli tradycję sprowadzania opiekunek do dzieci z Bergen.

Wdowa poprowadziła go w głąb wielkiego domu. Płomienie zielonych świec zatkniętych w kinkietach drżały, gdy je mijali. Obruszyła się na sugestię, że może ktoś powinien towarzyszyć jej w rozmowie z obcym mężczyzną – chyba nie potrzebowała przywoitki w swoim własnym domu? Po chwili siedzieli już przy długim stole w przestronnym salonie, padał na nich blask lampy naftowej, stół był zaś tak długi, że Schweigaard nie widział ze swojego miejsca jego drugiego końca, który nikł w ciemnościach. Zakładał, że sufit jest zdobiony, w kątach salonu dostrzegł kunsztownie malowane kredensy, na ścianach zaś – obrazy i wiele misternie utkanych kilimów. Gdy usiedli, kobieta spojrzała na niego sceptycznie, trochę wręcz podejrzliwie i spytała, jaki jest właściwie cel jego odwiedzin.

Schweigaard odchrząknął.

– Rozumiem, że była pani w Szkocji?

– Dwukrotnie. Ich tradycyjne stroje były długo zakazane. Podobno podsycali szkockiego ducha narodowego. A teraz stały się niezwykle istotne dla tamtejszego poczucia tożsamości. Szkoci są dla nas wzorem. Włożyli sporo pracy w ustalenie standardów barw i fasonów. Jestem pewna, że nasze bunady odniosą u nas ten sam efekt, gdy tylko wyswobodzimy się z tej nieszczęsnej unii. Przepraszam, panie Schweigaard, jeśli dostrzega pan we mnie pewną zaciętość w tej kwestii, ale po śmierci męża studia nad strojami ludowymi stały się celem mojego życia.

– W kwestii unii każdy z nas może sobie pozwolić na zaciętość – stwierdził pastor.

– Ale nie tylko o unię chodzi! Oburzają mnie ci, którzy próbują ośmieszyć naszą pracę nad strojami ludowymi! Snoby, unioniści, brzydzący się norweskością, wszyscy twierdzący, że tylko

małpujemy zagraniczne wzorce i nigdy nie zdołamy stworzyć prawdziwie norweskiego stroju.

Mimo że Schweigaard wcale jej nie przeczył, Jenny Stueflaaten zaczęła wyklądać mu argumenty, którymi zapewne pokonała już we wcześniejszych dyskusjach wielu oponentów. Szybko rozprawiła się z ludźmi utrzymującymi, że norweskie stroje naśladowują tylko styl innych krajów, i aż prychnęła oburzona na tych, którzy twierdzili, że norweski wzór *skybragd* to zaledwie kopia francuskiego motywu lilii.

– Argument bzdurny i zupełnie nieuzasadniony! A przy tym znajdujący sobie pożywkę pośród konserwatywnych mieszkańców Kristianii! Chodzi o to – klarowała dalej gospodyni – że żaden kraj nie ma niczego, co należałoby tylko do niego, bo wzory tkanin przez stulecia wędrowały przez setki granic, zaś wspomniana francuska lilia przypomina z kolei starsze motywy z Babilonii czy Egiptu. Dlatego jest naszym celem – stwierdziła w końcu, uderzając pięścią w stół – nie tylko dotrzeć do najstarszych wzorów tkanych na norweskiej odzieży, lecz także odkryć motywację, która stoi za ich powstaniem, ich barwą czy fasonem. Wszystkie wzory proszą się o odczytanie, nie zawsze musi ono koniecznie mieć jakiś sens czy znaczenie, ale u korzeni niektórych z nich znajdujemy konkretne opowieści – i to na nich nam właśnie zależy. Chcemy zjednoczyć historię, kraj i jego mieszkańców. Pokazać dzieje naszego regionu. Bunad ma być jak flaga, w którą ludzie mogliby się przyodziewać!

Kai Schweigaard stwierdził, że podobają mu się jej słowa. Tak bardzo, że gdy skończyła mówić, on tego nawet nie zauważył.

– O co pani pytała?

– O poduszki. Te, o których pan wspomniał w liście

Położył tekturowe walizki na stole i otworzył je, starając się unikać teatralnych gestów.

– Coś takiego, proszę popatrzeć! To właśnie nasz strój ludowy – orzekła gospodyni, wskazując poduszkę z delikatniejszej wełny. – Wzór tartanu, w czerwieni i ciemnej zieleni.

– A ta? – spytał Kai Schweigaard, skinąwszy głową w kierunku bliźniaczej tkaniny. – Zachodzę w głowę... jest taka szorstka, taka twarda.

Wdowa podkreśliła knot lampy naftowej, pogładziła poduszkę dłonią i obejrzała ją pod różnymi kątami.

– To z koziego włosa. Robi się też takie skarpety. Tkanina jest ciepła i wytrzymała, ale bardzo sztywna. Zastanawiający wybór jak na poduszkę.

Zamyśliła się i nie powiedziała nic więcej. Podniosła lampę i ruszyła do sekretarzyka. Pastor pozostał sam w mroku, słuchając, jak gospodyni szeleści papierami. W końcu wróciła z lampą i orzekła, że poszwa została najpewniej utkana w Szkocji.

– Sądzi tak pani przez ten kozi włos?

– Raczej przez to – odrzekła wskazując na pola w odcieniu morskiej zieleni. – Nic, co rośnie w Norwegii, nie daje takiego koloru. W każdym razie żadna powszechnie występująca roślina. Takie barwy są za to popularne na Hebrydach i Szetlandach. Pozyskuje się je z paproci o tak cienkich korzeniach, że wiatr potrafi wyrwać z ziemi całą roślinę. Szybko się rozprzestrzeniają, ale nie są w stanie przetrwać na naszych szerokościach. Wie pan, kiedy to zostało utkane?

– Moim zdaniem pomiędzy rokiem sześćset dziesiątym a trzydziestym. W Butangen.

– Tkaniny należały do kogoś z pana rodziny?

Schweigaard potrząsnął głową.

– Nie, ale do rodziny kogoś, kogo znałem. Zastanawia mnie, czemu ktoś chciałby powlec poduszkę w coś tak szorstkiego.

W Jenny Stueflaaten zaszła nagle jakaś zmiana. Kobieta zamilkła i spoważniała. Podeszła do drzwi i je uchyliła. Pastor usłyszał mamrotanie, w końcu gospodyni wróciła do niego, nie wyjaśnwszy, o co chodziło.

– Odkąd przeczytałam pański pierwszy list, jedna rzecz nie daje mi spokoju, a mianowicie: czemu ktoś chciałby spędzić w podróży kilka dni po to, by pokazać mi dwie poduszki. Ale teraz już wiem, że ta podróż nie była daremna. Ani dla pana, ani dla mnie. To, co tutaj widzimy, musi być pozostałościami po tartanach szkockich żołnierzy z sześćset dwunastego roku. Łupem wojennym.

– No tak... ale czy łupy wojenne to raczej nie szable i hełmy?

Wdowa pokręciła głową.

– O nie. Ubrania są równie cenne. Może jeszcze cenniejsze. Wytwarzanie odzieży było w tamtych czasach niezwykle pracochłonne. Proszę pamiętać, że druty do robótek zostały spopularyzowane w Norwegii dopiero w osiemnastym wieku. W bitwie pod Kringen Norwegowie zabili co najmniej trzystu mężczyzn. W coś oni musieli być ubrani, a wiemy, że tartan był w tamtych czasach bardzo powszechny w Szkocji. Proszę sobie to wszystko policzyć, panie Schweigaard. Jeśli będziemy powściągliwi i założymy, że tylko jedna trzecia żołnierzy nosiła tak zwane przepasane pledy, nawet w ich najkrótszej wersji, i tak wyjdzie nam jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów tkaniny. Lecz jeżeli dwie trzecie żołnierzy miało pledy długości najbardziej standardowej, to jest około siedmiu metrów, wtedy, cóż, norweskim chłopom przypadło do podziału półtora kilometra tartanu. Dobrej, cieplej wełnianej tkaniny, w formie nadającej się do uszycia czego tylko człowiek sobie zapragnął. Bez rękawów, nogawek, kołnierzyków czy innych elementów kojarzących się z zabitym właścicielem.

– To musiał być odrażający widok. Ta chwila, gdy zdejmowano ubrania z trupów.

– Czasy się zmieniają, z nimi zaś pojęcie o tym, co dobre i właściwe. A czy my, panie Schweigaard, zmarnowalibyśmy setki metrów wełnianej tkaniny, gdyby zbliżała się zima, a my mielibyśmy do włożenia tylko to, co mozolnie sami sobie uprzedliśmy z wełny własnych owiec? Ludzie wtedy zamierzali na śmierć. To oczywiste, że wzięli tę odzież. Tak samo jak po zabiciu zwierzęcia wykorzystuje się skórę i mięso. Biorąc tę tkaninę, uczcili w pewnym sensie zmarłych.

Schweigaard tylko kiwnął głową. Gospodyni uniosła lampę i znów zaczęła oglądać poduszki pod różnymi kątami.

– Wiedziałam, że wzór tartanu trafił do doliny w roku sześćset dwunastym – powiedziała. – Niektórzy twierdzą co prawda, że używano go w Norwegii już od czasów staronordyckich i że to my wprowadziliśmy go do Szkocji, kolonizując tamtejsze wyspy, w domowych stronach całkiem o nim zapominając. Wiele kobiet się na mnie wścieka i twierdzi, że się mylę, ale ja wierzę, iż wzór naszego stroju ludowego stanowi pamiątkę bitwy pod Kringen. Bo to nie jest zwyczajna krata, jak w innych rejonach kraju. Nasz wzór to tartan. Zupełnie inna technika. Odbicie lustrzane tkane wokół nici centralnej. Występujące tylko w strojach ludowych z okolic Gudbrandsdalen i Romsdalen, przez które maszerowali Szkoci. Nasz wariant ma barwy czerwieni i ciemnej zieleni, może na pamiątkę przelanej krwi.

– Hm.

– Co „hm”?

– Jest jeden szczegół... coś, co nie pozwala mi wierzyć, że to zdobycz wojenna. Co się nie zgadza.

– W takim razie musi mi pan powiedzieć, czym jest to coś. Chociaż ja już wiem. Ma pan na myśli wzór na spodzie poduszek.

Schweigaard przełknął ślinę. Zrobiło się późno, w całym domu zdążył już zapaść spokój. Pastor wyciągnął rękę w kierunku zapięcia walizki, ale zreflektował się i szybko cofnął dłoń.

– Ach tak. Czyli spodu nie będzie mi dane zobaczyć. No dobrze. Już samo to stanowi dla mnie istotną informację. Nawet nie o poduszkach. Ale o człowieku, jakim pan jest.

– Pani Stueflaaten, nie przyjechałem tu, by poddawano mnie ocenom. Przyjechałem, by zbadać te poduszki.

– W takim razie musi się pan liczyć z tym, że podzielę się z panem swoimi wnioskami. Pierwszym, co mnie uderzyło, gdy walizki zostały otwarte, była myśl, że na spodzie jest coś ważnego. Coś, przed czego pokazaniem pan się wzbrania. Ze względów osobistych, do których niebezpiecznie się zbliżyłam. Być może robię teraz wrażenie chłodnej i wyrachowanej. Lecz proszę mnie za taką nie uważać. Bo zdaje się, że dostrzegam zarys pana niejasnych motywacji i kryjący się za nimi kontur kobiecej sylwetki.

Gospodyni zamilkła.

W końcu odezwał się Kai:

– A w tym mroku faktycznie stoi kobieta?

– Jeśli tak, to zakładam, że jest tam już długo. Może bardzo długo. I że być może chciałyby wyjść z tych ciemności.

– To niemożliwe.

– Ach tak?

– Ona nie żyje.

– Zmarła niedawno?

– Jeśli to liczyć w latach, to wręcz przeciwnie.

– Jest pan mężczyzną wiernym, panie Schweigaard. Ale nic pan nie zaryzykuje, mówiąc mi, że te dwie poduszki są dziełem bliźniaczek Hekne.

Kai aż drgnął. Gospodyni odezwała się znów po dłuższej chwili, podjąwszy najwyraźniej decyzję o przejściu z nim na ty.

– Nie podałeś w liście swojego zawodu. Ale jesteś pastorem.

Schweigaard spuścił wzrok. Gdy dotarli do majątku z panem Røhme, wskazano im izbę na piętrze, w której Kai przebrał się w jednobarwne wizytowe spodnie, jasną koszulę i kamizelkę, odzież znoszoną, lecz elegancką i schludną, zaś wąski krawat nie był ozdobiony żadnymi kościelnymi symbolami.

– Odgadłam po kroku, którym wszedłeś do izby – powiedziała kobieta. – Mój wuj był pastorem, zawsze chodził z karkiem schyłym przed Panem, lecz egzekwował jednocześnie szacunek od swoich parafian. Dłonie miał jak twoje. Niepokojne, gdy nie trzymał w nich Biblii. Twój list opatrzony jest stemplem z Butangen, oprócz pastora nie ma tam innych urzędników państwowych. Jesteś dobrze ubrany, ale nie nosisz obrączki, a tej koszuli nie prasowała żadna pani pastora. Nie zrobiono tego z miłością. Jesteś więc niezonatym pastorem w plebanii, w której mieszkały niegdyś najslynniejsze tkaczki Gudbrandsdalen. Słuchałeś, jak mówię o wełnie, barwnikach roślinnych i szkockich żołnierzach tak długo, że stojący tu zegar zabił w tym czasie dwukrotnie. Wyznajesz się w sztuce tkackiej, dziedzinie, która zajmuje mniej więcej jednego na tysiąc mężczyzn. Nie masz żony, ale twierdzisz, że poduszka należała do rodziny kogoś, kogo znałeś. A zatem stojąca w cieniu kobieta musi być spokrewniona z tym, kto tkaninę stworzył. Przywiozłeś ze sobą dwie poduszki, dlatego też sądzę, że należały one do bliźniaczek Hekne, zaś kobieta, od której nie możesz się uwolnić, również pochodziła z tego rodu.

Schweigaard zbierał się w sobie przez całą tę przemowę i odezwał się dopiero długo po tym, jak wdowa zamilkła:

– Owszem. Nie wstydzę się do tego przyznać. Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą. Nie mogę i nie chcę się od niej uwolnić. Tylko ona mi jeszcze została. Tak naprawdę szukam samej Tkaniny z Hekne. Tej, która zniknęła z kościoła. W toku moich poszukiwań trafiłem na te poduszki. I masz rację. Nie chciałem pokazać ich spodu, bo wolę, by się nie rozniosło, że odkryłem prace siostr Hekne. Jak również dlatego, że spód ten różni się diametralnie od prostoty wzoru, na który teraz patrzymy.

Jenny Stueflaaten skręciła knoty lamp. Przygaszone światło wygładziło skórę jej twarzy, podkreślając przy tym kości policzkowe i czoło.

Wstała i wyciągnęła ręce. Wyjęła poduszki z walizek. Ułożyła je ostrożnie na stole, lecz ich nie odwróciła.

– Zatrzymaliście się po drodze do mnie w Lie? Takim majątku, jakąś godzinę drogi stąd?

Pastor pokręcił głową i odrzekł, że przyjechali prosto tutaj.

– One tam mieszkały, przez jakieś dwa czy trzy lata. Siostry.

– Tam? Bliźniaczki Hekne?

– Ma się rozumieć. Sztuki tkackiej uczyły się właśnie tu, w Dovre. W małej chatce niedaleko Lie. Majątek należał do ich ciotki.

– Nikt mi nigdy o tym nie mówił!

– Wydaje się, że nie miałeś za bardzo kogo pytać, Kaiu Schweigaardzie. Ale w tych stronach krąży o siostrach Hekne wiele historii, ja zaś będę chyba w stanie powtórzyć ci je wszystkie. Chata, w której mieszkały, nadal stoi tam, gdzie stała. Przynajmniej na razie. Ma tamtędy przebiec linia kolejowa, planuje się więc jej wyburzenie. Ale w każdym razie jeszcze nie tej nocy.

– Nie tej nocy?

– Robi się późno, pastorze Schweigaard. Najpierw coś zjemy, a potem opowiem to, co wiem o bliźniaczkach. A jest tego całkiem sporo. W ramach zapłaty chcę zobaczyć spód tych poduszek.

Jeszcze raz dotknąć czegoś, co wyszło spod ich rąk.

– Muszę przyznać, Jenny Stueflaaten, że masz talent do mówienia zagadkami. „Jeszcze raz”?
Zobaczył, że kobieta uśmiecha się w półmroku.

– Sama posiadałam kiedyś utkany przez nie obraz. Owszem, wielu kupcom sprzedawało się w swoim czasie falsyfikaty, bo siostry nie oznaczały swoich prac. Ale ja miałam autentyk. Z całą pewnością. Gobelin utkany zgodnie ze starą, nordycką tradycją. Za ich czasów uchodziło to za okultyzm i pogaństwo, ale wiem, że się tego uczyły. Mój obraz taki właśnie był. Utkany jak za czasów przedchrześcijańskich. Zanim jeszcze księża przybyli na te ziemie.

Kai Schweigaard znów przełknął ślinę. Wdowa nadal nie obróciła poduszek. Był głodny, kręciło mu się w głowie, a ona się nim bawiła, prowadziła grę mającą sprawić, że jego niechęć odbije się niczym w zwierciadle i zmieni w życzenie, potrzebę, żądzę, tak by to on ją w końcu poprosił, żeby zobaczyła, co jest na spodzie poduszek.

– A... co takiego pokazuje twój obraz?

– Pokazywał. Zmiennoskórą postać odzianą w czerwień. Szczupłe kobiece ciało z głową sowy. Rozłożone ramiona. Dwa pająki wyciągały nici z rękawów. Gdyby wyciągnęły ją do końca, postać zostałaby naga. A może pajęcze nici łączyły się w jej stroju, tak jakby tkaczki w rzeczywistości ją ubierały. Nigdy nie byłam w stanie tego do końca zrozumieć i chyba o to też właśnie chodziło.

– Powiedziałaś „pokazywał”. Nie masz go już?

– Rozpadł się. Zupełnie nagle. Wisiał na ścianie tuż przy oknie przez wiele lat, dobrze naciągnięty, bez jednej skazy, piękny. Lecz w dniu, w którym wróciłam ze Szkocji, moje dziewczęta postanowiły przewietrzyć dom na moje powitanie. Wiał silny wiatr i gdy otworzyłam drzwi, zrobił się przeciąg, a gobelin zmienił się na moich oczach w stertę luźnych nici. Trzymam te resztki w szkatułce, ale nie ma co ich oglądać.

Wdowa oświadczyła, że zanim obejrzą poduszki, muszą coś zjeść:

– Jest się na co cieszyć, panie Schweigaard. Gospodarstwo prowadzę oszczędnie, ale mam za to najlepszą kucharkę we wsi. Jest młoda i trochę nieśmiała, ale radzi sobie doskonale.

Pastor wstał i powiedział:

– Muszę sprawdzić, co z moim woźnicą. Czy sobie poradził. Jest jąkałą. Dlatego niewiele mówi i łatwo się peszy.

– Proszę się nie obawiać. Zjrzałam do służby, zanim tu przyszedł. Woźnica siedział przy stole z dziewczętami. Piękny chłopak. A teraz zapraszam, panie Schweigaard. Nie, tutaj, na lewo, do izby paradnej. Poprosiłam też o przygotowanie dla was osobnych sypialni. Zapowiada się długi wieczór.

Kai Schweigaard podparł się rękoma i usadził nieco wygodniej w powozie. Wrześnieowy poranek był pogodny i zimny. Pastor położył sobie tekturowe walizki na kolanach, uchylił kapelusza i pomachał na pożegnanie Jenny Stueflaaten. Przed stajnią dojrzał jedną z służących. Włosy miała tak jasne, że zdawały się żarzyć na tle ciemnej ściany z bali. Konie były wypoczęte i rwały się do drogi, powóz okrążył biały obelisk na środku podwórza i skierował się w stronę bramy. Pan Røhme był niespokojny, zupełnie jakby gryzły go ubrania, w końcu podjął decyzję, odwrócił się i pomachał jasnowłosej służącej.

Schweigaard nic na to nie powiedział. Byli już przy bramie i pan Røhme zapytał:

– Jedziemy na Dovre?

– Tak. Na Dovre. Do majątku Lie.

– Ach tak. Dobrze.

Prowadzące w dół zbocza były łagodne, droga sucha, powóz jechał szybko. Schweigaard co jakiś czas zerkał z ukosa na swego towarzysza.

– Z tego, co zrozumiałem, dostaliśmy prowiant na drogę?

– A jakże. Mamy prowiant. Jest z tyłu, w moim worku.

Jechali dalej, a Schweigaard powiedział:

– Pyszny posiłek nas wczoraj poczęstowano. Słyszałem, że jedliście to samo co my. Nawet podano przystawkę! Pudding na śmietanie z wędzonym boczkiem.

– Tak.

– Pyszny był ten pudding, panie Røhme. Naprawdę bardzo dobry. Sałatka ziemniaczana też

doskonała. I barania pieczeń.

– Tak, świetny pudding. I pieczeń, rzecz jasna.

– Panie Røhme.

– Tak, panie pastorze?

– Przestał się pan jąkać?

Pan Røhme odchrząknął. Raz i drugi.

Powóz nie miał resorów, Schweigaard spróbował usiąść nieco wygodniej i w końcu pozwolił ciału poruszać się w zgodzie z podskakującym na wybojach pojazdem. Pan Røhme zdawał się niewyspany, również pastor miał wrażenie, że jego myśli są zamglone, a ciało zmęczone. I to nie tylko dlatego, że musiał wysłuchać na pusty żołądek całej znanej człowiekowi historii sztuki tkackiej, ubarwionej licznymi dygresjami. Lecz również i z tego powodu, że po raz pierwszy od lat dane mu było odczuć, co potrafi z nim zrobić bliskość kobiety.

Pani Stueflaaten w końcu powoli odwróciła poduszki, obejrzała wizerunki zwierząt i stwierdziła, że nie ma żadnych wątpliwości. To dzieło wyszło z rąk sióstr Hekne, wykonane zgodnie z rzadką, przedchrześcijańską tradycją, w której historii opowiadało się, tkając poczwary i zmiennoskórych. Była to technika niezwykle trudna, pozostałość po czasach, gdy tylko nieliczni umieli czytać i pisać, rozwinięta w kraju, gdzie nie było zwyczaju rysowania na papierze, i tak do tego zbyt delikatnym.

– Tkanina zaś jest wytrzymała. Można ją było zwijać w rulon i pokazywać rok za rokiem, stanowiła więc opowieść niemal nomadyczną – stwierdziła wdowa.

Tkane obrazy opowiadały historie rodów i całych wsi, upamiętniały również dokonania możliwych, którzy w tamtych czasach musieli podróżować, by utrzymać władzę. Królewskie orszaki woziły ze sobą gobeliny, które wieszano na ścianach w czasie uczt, zaś snujący gawędy skaldowie mogli dzięki nim odświeżać sobie pamięć.

– Ale te zwierzęta? – zapytał Schweigaard. – Skąd takie dziwne wyobrażenia?

Otóż, zaczęła wdowa, w dawnych czasach wierzono, że każdy człowiek ma swojego pomocnego ducha, przybierającego formę zwierzęcia. Wiernego towarzysza. W kulturze wikińskiej zwierzęta nie były podporządkowane człowiekowi. Wręcz przeciwnie. Miały one wiele właściwości, których mógł sobie życzyć wojownik.

– Któż nie chciałby, pastorze Schweigaard, móc zmienić się na polu walki w silnego niedźwiedzia albo sprytnego wilka? Lub w kruka czy orła, który wzbija się wysoko, wypatrując kryjówek wroga? Często sięgano też po cechy zwierzęce, by opisać umiejętności ludzi. Zwierzę stało się podległe człowiekowi dopiero w czasach chrześcijańskich, pastorze Schweigaard. I wtedy na tkanych obrazach zaczęto przedstawiać właściwie wyłącznie historie biblijne.

Zabrzmiało to jak krytyka jego urzędu, krytyka zresztą w pełni uzasadniona. On również co tydzień rozważał ten paradoks, wypłacając nagrody za ustrzelone drapieżniki. Często cytował słowa Księgi Rodzaju, zaznaczając, że słowa: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”, dotyczą ludzi, nie zaś drapieżnych zwierząt. Owszem, one również były stworzone przez Boga, ale należało nad nimi panować. I tak, z Biblią w rękę, sam stawał się ucieleśnieniem tej zmiany w postrzeganiu miejsca zwierząt na świecie.

Powtórzył wdowie opowieści Adolfa i Ingeborg o Gromoryku i Żółtym Kruku.

– Czy sądzi pani, że te figury zwierząt mogą oznaczać... coś więcej?

Pani Stueflaaten pokręciła głową.

– Trudno powiedzieć. Najpewniej widzimy tu wspomnienie czegoś, co zdarzyło się w gospodarstwie bliźniaczek. I co było dla nich ważne. Aby to lepiej zrozumieć, panie Schweigaard, wypadłoby może zastanowić się nad zwierzęcym aspektem własnej natury.

Przeciągnęła się na krześle, światło lampy zamigotało na guzikach jej sukni. Noc już dawno zapadła, a kobieta przenosiła wzrok z niego na tkaniny, powtarzając, że to dzieła sztuki. Zupełnie wyjątkowe. Warte rzecz jasna majątek, gdyby je kiedyś chciał sprzedać. Lecz jej spojrzenie coraz krócej zatrzymywało się na poduszkach, a coraz dłużej na nim samym.

W końcu wstała i okrążyła powoli stół, podchodząc do jego krzesła.

Zajechali do Lie, gospodarz wskazał im kierunek, zaznaczając przy tym, że majątek jest w jego

rodzinie dopiero od roku 1772, o chacie sióstr Hekne wiedział zaś tylko tyle, że od niepamiętnych czasów mieszkali tam dzierżawcy, ale niedługo ma zostać zburzona pod budowę linii kolejowej.

Schweigaard wspinał się ku chatce po zarośniętej ścieżce i otrząpał ubrania. Z drzew spadały żółte liście, on zaś widział przed sobą prześwity wśród wysokiej trawy, zapewne pozostałości drogi, która tu kiedyś biegła. Daleko przed nim majaczyła zatknięta w ziemi, malowana na czerwono bambusowa żerdź, strzelająca w niebo na wysokość wzrostu dorosłego człowieka, pierwszy znacznik wyrąbanej między drzewami trasy, na której podobne żerdzie tworzyły pomiędzy pieńkami niemal prostą linię.

Pastor zdjął kapelusz, otarł czoło i ruszył po tej wytyczonej żerdziami ścieżce do miejsca, w którym przebiegać będzie w przyszłości linia Dovre. Przeskoczył strumień, wylądował na jego drugim brzegu i wyciągnął szyję.

Faktycznie, była tam. Mała drewniana chatka pod skalnym wzniesieniem.

Pospieszył w jej kierunku, zażenowany myślą o tym, jak dziwnie musi to wyglądać. Spocony, elegancko odziany człowiek przeskakujący potoki z dwiema tekturowymi walizkami. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, Schweigaard korzystał z tego samego odosobnienia, które było niegdyś udziałem bliźniaczek, a to wszystko, co mu teraz towarzyszyło – poczucie dziwności, niechęć, by ktoś go zobaczył, niejasność tego, co tu właściwie robi – to wszystko zdawało się je do niego zbliżać. Gdy w końcu dotarł do chaty, jego serce biło jak oszalałe, bardziej z ekscytacji niż z wysiłku.

Dach zapadł się do środka już dawno, brakowało drzwi, ale ściany z drewnianych bali nadal się trzymały, niewzruszone, poszarzałe i poorane bruzdami. W środku, pomiędzy łupkowymi dachówkami i zbutwiałymi deskami podłogi, rosły krzaki malin i pokrzywy. Pachniało ziemią i jesienią, lecz tym, co on próbował wywęszyć, był rok 1611, gdy chata stała tu nowa i okazała.

Bo przecież to tutaj mieszkały. Z całą pewnością. Pastor patrzył na ściany, na które kiedyś i one patrzyły. Przymknął oczy i pozwolił im się zapytać: „Czego od nas chcesz, Kaiu Schweigaardzie?”.

Wyjął poduszki i położył każdą z nich na osobnym kamieniu. Ukucnął.

Jenny Stueflaaten oglądała je bardzo długo, dochodząc do wniosku, że siostry musiały użyć do farbowania wełny bardzo rzadkich roślin. Sądziła, że czerwień została pozyskana z marzany barwierskiej, a żółć z jaskrotki wilczej rosnącej tylko na północy doliny, lecz jak udało się bliźniaczkom ufarbować wełnę na srebrzysty, mieniący się kolor – tego nie potrafiła zgadnąć nawet ona.

Kai Schweigaard próbował sobie teraz wyobrazić, jak siostry przędą tu i farbują wełnę niemal trzysta lat wcześniej.

– Pozwólcie mi się do siebie zbliżyć – wymamrotał. – Tak bym zrozumiał, czego ode mnie chcecie. Dlaczego pozwoliłyście mi odnaleźć te poduszki. Powiedzcie mi, jaki żal jest na nich wypłakany. Powiedzcie mi. Dzięki mnie nie będziecie nigdy całkiem martwe.

Czekał.

Ale wszystko wokół niego było milczące, stare i puste.

Przez otwór drzwiowy widział skarpy prowadzące w dół, ku rzece i majątki pobudowane przy jej korycie. W tym miejscu, może nawet kilka razy dziennie, przejeżdżać będzie z łoskotem pociąg. Może szyny przebiegną tak, że stukot kół zabrzmi szczególnie głośno właśnie na tym odcinku. Zupełnie jakby ziemia chciała o czymś przypomnieć.

O czymś, czego on miał dopilnować. Tak by nigdy nie zostało zapomniane.

Jenny opowiedziała mu o czasie, który siostry Hekne spędziły tu na naukach. Wiele kwestii pozostawało niejasnych, lecz on ufał jej opowieści, bo nie starała się ona udawać wyczerpującej ani przesadnie szczegółowej. Nie przechodziła w ludowe podania, których nasłuchał się w innych miejscach, nie miała jasnego zakończenia ani żadnej puenty, opowiadała tylko o szkockim chłopaku, który dotarł do chaty po bitwie pod Kringen, chłopaku, który potem zniknął, zaś dziewczęta zostały poważnie ranione, w okolicznościach, które zatajono.

Schweigaard zobaczył oczyma duszy najemników. Trasa ich przemarszu była doskonale znana, żołnierze rozbili obóz na Kråkvollen, zaledwie kilka kilometrów stąd. Pastor nie był żadnym strategiem militarnym, ale wydało mu się prawdopodobne, że Szkoci przechodzili tędy, nie zaś biegnącą przy korycie rzeki drogą w dole zbocza. Mieliby stąd dobry widok i mogliby poruszać się szybko, unikając ewentualnego spotkania z wrogiem. Ich trasa przebiegałaby w takim razie tuż pod chatą sióstr Hekne.

Długi pochód żołnierzy z końmi i pobrzękującym sprzętem. Niektórzy z nich byli odziani w kraciastą tkaninę, identyczną jak ta, której dziś znów pozwolił ujrzeć światło dzienne. Co ciekawe, linia kolejowa przebiegała w miejscu, w którym leżeli pochowani, kilkadziesiąt kilometrów na południe od chaty, w której ruinach teraz kucał.

Schweigaard odwrócił się znów do poduszek. Przymknął oczy i czekał. Przeszłość nadal nie chciała udzielić mu odpowiedzi. Poduszki były tylko wełnianą tkaniną ułożoną na kamieniach.

Wyszedł z chaty i zaczął oglądać jej ściany. Od roku 1613 musiało tu mieszkać wielu ludzi, drewniane bale były bowiem naznaczone mnóstwem wyciętych inicjałów i dat. Mieszkańcy tych stron dziękowali w ten sposób domom za gościnę. Pastor powiódł palcami po drewnie w nadziei, że odpowie mu jeszcze starsza nadzieja, nadzieja dwóch dziewcząt na to, że nie zostaną zapomniane. Zaczął badać popękane bale jeden po drugim i przy którymś z kolei zmarł.

Heh-Geh 1611–1613

Dwoje dziewcząt. Kreska łącząca je tak, jak łączyła je chrząstka i skóra.

Halfrid Eiriksdatter Hekne. Gunhild Eiriksdatter Hekne.

Schweigaard podniósł ramiona, po czym je opuścił, próbując oszacować ich wzrost, i w końcu doszedł do wniosku, że musiały mieć jakiś metr siedemdziesiąt. Inicjały Halfrid były nieco bardziej kanciaste i głębiej wycięte. Jakby świadczyły o silniejszej woli, która w niej mieszkała. Z tego zapisu można było wnioskować, że gdyby bliźniaczki odwróciły się teraz do niego, stając z nim twarzą w twarz, Gunhild byłaby po lewej stronie, Halfrid zaś – po prawej.

Na gałęzi brzozy zaczął się niewidoczny dla niego drozd. Z przebiegającej niżej drogi doszło do jego uszu parskanie konia – lub kilku koni, których też stąd nie widział.

Również i siostry Hekne były gdzieś w pobliżu, w podobny sposób. Pastor miał wrażenie, że nie są zachwycone taką jego bliskością, a w każdym razie tym, że próbuje je zmierzyć. Zupełnie jakby były częścią czegoś, do czego zrozumienia on jeszcze nie dojrzał. Albo jakby wskazywały na coś, co powinien zrozumieć. Zwrócił nagle uwagę na inne wyryte w drewnie słowa, tuż nad ich imionami. Wycięte tak delikatnie, że w pierwszej chwili wziął je za naturalną nierówność drewna. Poszedł nad strumień, nabrał wody w dłoń i zmoczył bal, tak by znaki stały się wyraźniejsze.

frjá nauð, frjá dauðr 1613

Inskrypcja w języku staronordyckim niewiele mu mówiła. Jeny Stueflaaten wspominała, że w tamtych czasach wykonywano tego rodzaju napisy prowadzące później do wielu nieporozumień. Tkaczki często kopiowały inne tkane obrazy, ale ponieważ mało kto umiał czytać, odwzorowywane bywały również inicjały i daty, wprowadzające patrzącego na nie po latach widza w konfuzję. W toku swoich studiów pastor dowiedział się również, że pojęcie o normie ortograficznej, a wręcz sama koncepcja poprawności i niepoprawności języka pisanego narodziła się wiele lat po dacie 1613.

Czy tak było również w przypadku tych słów? Czy nie wpisywały się one w żadną tradycję piśmiennictwa, bo zostały wycięte przez kogoś, kto... cóż, nie umiał pisać?

Pastor znów zwilżył inskrypcję. Litery sprawiały wrażenie, jakby wyrzył je ktoś inny niż dziewczęta, człowiek dość wysoki, wycięto je bowiem w balu tuż pod okapem.

Schweigaard rozejrzał się dookoła. Najchętniej wymontowałyby cały ten bal i zabrał go do domu. W końcu wyrwał kartkę z notatnika, przycisnął ją do drewna i odwzorował inskrypcję za pomocą ołówka. Gdy zobaczył słowa jako jasne linie na tle cienia grafitu, ołówek nagle jakby drgnął w jego dłoni, chcąc coś poprawić, zmienić kształt znaków, uczynić je bardziej zrozumiałymi. Może to było coś w rodzaju przysłowia – zapisanego starym nordyckim dialektem z Orkadów i Szetlandów, językiem zrozumiałym tak dla chłopaka, jak i dla sióstr?

Kai Schweigaard długo łamał sobie nad tym głowę. Jeśli założyć, że *frjá* to coś w rodzaju norweskiego *frände*, oznaczającego bliską osobę, można przypuszczać, że to motto zapisano w słowach, które były kiedyś wspólne dla norweskiego i angielskiego, lecz w pewnym momencie rozdzieliły się i poszły dwiema drogami w dwóch różnych językach, kończąc swą podróż w przysłowia o dwóch

różnych znaczeniach. To angielskie zdawało się nawiązywać do życia ziemskiego: „*A friend in need is a friend indeed*”. Norweskie zaś sięgało dalej, w zaświaty: „Przyjaciół w potrzebie to przyjaciel w niebie”.

Gdy tylko wrócił do Butangen, otworzył staronordycki glosariusz Fritznera i doszedł do wniosku, że *frjá* to niekoniecznie bliska osoba.

W jeszcze starszym znaczeniu słowo to można było odczytywać jako „kochać”.

Robić coś, co i on jeszcze potrafił, teraz był tego pewien.

Jenny Stueflaaten podeszła w tamtą późną nocną godzinę do jego krzesła, ujęła jego dłoń, życzyła mu powodzenia i nie cofnęła ręki, poczekała tylko, aż jego grdyka powędruje w górę i w dół, po czym złożyła na jego policzku przelotny pocałunek i oświadczyła, że już naprawdę późno, że najlepiej przerwać zabawę, gdy jeszcze przynosi radość, a tak się składa, że ten wieczór był wielką radością, pastora Schweigaard, do zobaczenia jutro rano i proszę przysłać mi list, jeśli uda się coś więcej ustalić.

Wszedł do sypialni i poczuł zadowolenie. Leżał w łóżku, czując mrowienie w całym ciele i o niej rozmyślając. Może ona także miała na swojej poduszce odciski ślad tęsknoty.

Dwoje ludzi w dwóch izbach. Ludzi przepelnionych żądzą, która być może leżała latami uspiona, a którą można było zbudzić i zaprosić znów do zabawy. Znów stać się wolnymi, być jak dwa zwierzęta w lesie.

Jak dwoje zmienności.

Jego ludzka głowa kazała mu być dumnym, bo przecież zachował czystość i oszczędził sobie wstydu oraz żalu, które męczyłyby go pewnie, gdyby poddał się żądom. Jego zwierzęce ciało drżało, posyłając dumę gdzie pieprz rośnie, wprost na podłogę z desek. Potem zaś odpłynął, a jego ciało i głowa nie były pewne, czyje kroki słyszeć w korytarzu.

Teraz, tutaj, w Butangen, pastor potarł kącik oka. Wstał z krzesła i podszedł do okna. Zrobiła się późna noc. Światło paliło się w oknach kilku tylko domów: lampy olejne albo poblask płomieni w kominku.

Mimo to wiedział, który majątek gdzie leży. Znał wszystkie nazwiska i ludzi mieszkających w tych domach, rozpoznałby każdego. Gdyby teraz wyszedł na tę ciemną noc, znalazłby drogę, może trochę się potykając, ale by znalazł, bo droga tam była, nawet jeśli jej nie widział. Na tej samej zasadzie odnalazł poblask kilku takich lamp olejnych z czasów pograżonych w ciemnościach, czyny dokonane w nocy przeszłości, która zapadła nad Dovre w roku 1612. Całkowitą pewnością mógł mieć co do kilku zaledwie faktów: gdzie stoi drewniana chata, gdzie przebiegała zarośnięta teraz droga i gdzie odbyła się bitwa. Wiedział też o ranie, o której dziewczęta nie chciały mówić, i o inskrypcji, w której zakłęto miłość i śmierć.

Powtarzane od wieków legendy głosiły, że siostry były zrosnięte od bioder w dół. Ale skąd ludzie mogli to wiedzieć ponad wszelką wątpliwość? Bliźniaczki nosiły z pewnością długie spódnice i fartuch, wnioski można było wyciągać tylko ze sposobu ich poruszania się. A jeśli łączył je tylko kawałek chrząstki? Poza tym pastor słyszał często, że bliźniaczki zachorowały, gdy były „na wpół dorosłe”. Tymczasem musiały żyć dużo dłużej, niż sugerowałoby współczesne znaczenie tego terminu. Może nie chodziło o to, kiedy zachorowały, lecz o to, kiedy się zraniły?

Schweigaard wyobraził sobie jedną z siostr. Rozpaczliwie zakochaną w szkockim chłopaku. Miłością taką, jaką potrafi kochać tylko młoda dziewczyna. Plan wspólnego wyjazdu. Dwie siostry w czasach, gdy nie było lekarzy, połączone skrawkiem ciała, w którym nie czuły bólu.

Pastor podszedł do trumny i wyjął z niej nóż. Dotknął delikatnie ostrzem koniuszka swego palca. Sam dałby sobie odciąć i rękę, i stopę, by tylko odzyskać Astrid Hekne.

Poczuł ciężar czarnej kutej klingi o błyszczącym ostrzu. Znajdował tylko jeden powód, dla którego mogłaby zostać pochowana razem z poduszkami.

Dziewczęta musiały próbować się od siebie uwolnić.

Chłopak usłyszał pewnie ich krzyk i zobaczył, co się stało. Poczuł się przytłoczony ofiarnością ukochanej. Zrozumiał, że nigdy nie będą mogli być razem. Zostawił jej pamiątkę. Kawałek tartanu utkanego z koziego włosa. Jedyne, co posiadał. A ona potem zrobiła z niego poduszkę. Na której spała przez resztę swego życia.

Ale najpierw rana, zakażenie, choroba. Wzór na odwrocie przedstawiał być może to, co bliźniaczki widziały w gorączkowych snach.

Na poduszce ze szkockiego tartanu spała najpewniej Halfrid. Ta, która w chwili śmierci miała podzierać szeroko, a pastor rozumiał już, dokąd miała się udać. Do krainy tartanu i ostu.

Król gór wysokich i jelen szlachetny

- A może tam? – zapytał ojciec.
- Tam? – upewnił się Victor. – No, może?
- Trzeba by przenieść bawołu na lewo, a rena zamienić miejscami z kudu.
- Spróbujmy – zgodził się Victor. – Kumaro?

Bosy Kumara kiwnął głową. Razem z młodym Wilkinsem przytoczyli podnośnik do ściany i zaczęli zamieniać miejscami trofea. Niewielki salonowy dźwig wykonano ze zręcznie połączonych jesionowych drągów i przy odrobinie dobrej woli można by powiedzieć, że przypomina miniaturową wieżę Eiffla. Stanowił ulubioną zabawkę Victora w jego dziecięcych latach, mimo że został stworzony z myślą o przenoszeniu rzeźb i ciężkich szaf. Jesionowe drewno było impregnowane olejem lnianym, pachniało zawsze działaniem i zmianą, Victor poczuł tę woń i teraz, patrząc, jak chłopak od Wilkinsów rozstawia drabinę i mocuje hak podnośnika. Kumara zaczął kręcić korba, lina naprężyła się pod ciężarem. Dźwig zaskrzypiał nieznacznie i łeb bawołu poszybował w dół.

- Ostrożnie, Kumaro! – powiedział ojciec.
- Tak, tak. Ostrożnie. Próbuję.

Na plakietce pod łbem widniał napis CYRUS HARRISON i data 1875. Ojciec ustrzelił tego zwierza w Rodezji Południowej i gdy go teraz zdjęto, na tapecie został po nim jaśniejszy owal. Kumara i młody Wilkins, za pomocą drabiny i podnośnika, zaczęli przenosić kolejne poroża i zwierzęce łby, co stanowiło wymagającą siły, lecz stosunkowo prostą operację, zwłaszcza że wszystkie naścienne mocowania były takie same – trzy grube bolce niczym wierzchołki trójkąta, białe w odległości dziewięciu cali od siebie. Po kwadransie bawół, ren i kudu wisały już w innych miejscach, postanowiono również, że łeb odyńca ustrzelonego przez ojca u przyjaciół we Francji musi trafić na strych.

- No i co myślisz, Kumaro? – spytał Victor.

Chudy, śniadoskóry Tamil rozejrzał się po pokoju. Na Cejlonie chodził zawsze bosy i nie zmienił tego zwyczaju po przeprowadzce do Finlaggan, mimo że podłogi bywały tu naprawdę lodowate. Victor nigdy nie wyznał tego Kumarze, ale jego twardość i upór budziły w nim niezmiennie zachwyty. Na Boga, ten człowiek chodził bez butów nawet po Londynie! Przez dwanaście lat był nadzorcą na ich plantacji, po czym rok temu przyjechał z nimi do Anglii, by otrzymać niezbędną pomoc medyczną, zranił się bowiem przy pracy, a w ranę wdała się infekcja, z którą nie potrafił sobie poradzić żaden cejloński lekarz.

Kumara pokręcił teraz głową.

- Nadal niedobrze, jaśnie panie.

– Hm – mruknął ojciec, skrzyżował ramiona na piersi i pochylił się nad gablotami z bronią. Victor patrzył, jak jego profil odbija się w szklanych drzwiczkach i wypolerowanych lufach zamkniętych za nimi sztucerów. Zdarzało się, że ojciec uściśnął mu ramię, ale z reguły utrzymywali właściwy swoim sferom dystans.

– Hm – zawtórował mu Victor, zrobił kilka kroków w tył i oparł się o „cmentarz honorowy”, to jest komodę z drzewa orzechowego, w której przechowywano stare, zużyte kołowrotki do wędek. Zadarł głowę i rozejrzał się dookoła, szukając lepszego miejsca pośród zwierzęcych łbów.

- Myślisz to samo co ja? – zapytał ojciec.
- Zapewne – odparł Victor. – Ale to ty decydujesz.
- Zróbmy to. Po prostu. To naprawdę niezwykle zwierzę. Poza tym czas już najwyższy.

Wyszli na jakieś pół godziny, a gdy wrócili, Kumara był już najwyraźniej zadowolony, podnośnik i drabina stały bowiem w kącie, podłoga została zamieciona, zaś ren królował samotnie na miejscu honorowym, tuż nad dwuskrzydłowymi drzwiami łączącymi pokój trofeów z jednym z salonów. Drzwi były mahoniowe, z matowymi szybkami, zaś ściany wytapetowano w barwach ciemnej czerwieni i złocistego brązu, lecz mimo to norweski monarcha gór wysokich nie stanowił tu kontrastu, wręcz przeciwnie, zupełnie naturalnie zajął przyznane mu miejsce w kolekcji trofeów rodu Harrisonów,

gromadzonych i podziwianych od dwóch setek lat. Jego rozłożyste poroże znalazło tu dość miejsca dla wszystkich swoich łuków, odrostków i grotów. Zwierzę wypchał pewien Szkot szkolony w Maison Verreaux w Paryżu, łeb przycięto tak, że nienaruszona została ani kosmata szyja, ani imponująca biała grzywa.

Na środku pokoju znajdował się solidny stół, którego blat obciągnięto skórą, to na tej powierzchni demontowali zawsze broń, by ją wyczyścić i nasmarować. Skóra, przesiąknięta przez lata rozlewaniem na niej przypadkiem antykorozyjnym, lepkiem olejem Rangood, przybrała z czasem głęboki czarny odcień. Wydzielała nieznaczną tłustą woń, która, w połączeniu z zapachem proszku do taksydermii oraz wysuszonych zwierzęcych łbów, składała się na wyjątkowy aromat tego pokoju. Ojciec i syn Harrisonowie podeszli teraz do stołu i odwrócili się, by obejrzeć trofeum, które musiało ustąpić miejsca renowi, to jest łeb jelenia szlachetnego, ustrzelonego przez dziadka Victora na Islay w roku 1849. Wisiał teraz na przeciwległej ścianie, w miejscu nieco ciasniejszym i mniej reprezentacyjnym, choć towarzystwo miał doborowe – tuż pod nim ulokowano kudu o niezwykłych, poskręcanych w spirale rogach, ustrzelone przez ojca Victora w Transwalu w roku 1878 oraz długą drewnianą deskę z łososiem o wadze czterdziestu trzech i pół funta, którego ojciec złowił w Lærdal, gdy Victor miał osiem lat.

Harrison starszy otworzył teraz jedną ze szklanych gablot i wyjął z niej swój afrykański sztucer, ciężkiego, porysowanego Gibbisa i.400 Nitro Express.

– Dziwne. Tamtej zimy, gdy przywiozłem to kudu z Transwalu, zrobiliśmy z ojcem prawie to samo.

– Co takiego?

– To, co my przed chwilą. Zamieniliśmy je miejscami.

– I co wtedy zdjęliście?

– Lwa, którego kiedyś ustrzelił ojciec. Trofeum fatalnie wypchane, ale z niezłą historią.

– To był ten lew, który wszedł do namiotu i odgryzł jakiemuś mężczyźnie policzek?

– Tak, to znaczy nie mężczyźnie, ale kobiecie. Rozerwał płótno pazurami i wbił w nią kły, gdy ta karmiła dziecko piersią. Kobieta skuliła się nad dzieckiem, by je osłonić, a lew wyciągnął ją z namiotu. Ojciec ustrzelił go w blasku dogasającego ogniska. Dziecku nic się nie stało. Kobietę przewieziono do Nairobi. Naszyto jej na twarz kawałek skóry z jej własnych pleców. Przeżyła. No i tak. Pewnego razu może i ten ren będzie musiał ustąpić miejsca następcy. Kolejnej historii. Zwierzęciu, które ustrzelił twój syn.

Ojciec stał jeszcze przez chwilę, podziwiając trofeum. Potrząsnął głową i wykrzyknął:

– Nie mogę się na niego napatrzeć! Opowiedz jeszcze raz o tamtym poranku w Norwegii!

Ruszyli do jadalni, a Victor po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Łby jelenia i rena wisiały na przeciwległych ścianach, tak że zwierzęta ustrzelone przez dziadka i wnuka, obu noszących imię Victor i nazwisko Harrison, mierzyły się wzrokiem ze swoich końców pokoju. Chłopak odwzajemnił spojrzenie jelenia dziadka, lecz zdawało mu się, że czuje na karku oczy swojego rena.

Po obiedzie pomyślał, że nie był z ojcem szczery.

Opowiedział o każdym szczególe tamtego polowania, pomijając jednak milczeniem obdartego Norwega.

Nie dlatego, że chciał, by chwała przypadła wyłącznie jemu. Historia nie byłaby wcale gorsza, gdyby opowiedział ją w całości. A nawet wręcz przeciwnie. Dwa strzały padły jednocześnie, z jego karabinu i czarnoprochowca. Ten drugi oddany został przez myśliwego, który żył tak blisko natury, że równie dobrze sam mógłby się zmienić w rena, strzelca, który poprosił o zastanawiająco nieokrągłą kwotę, po czym na powrót znikł między skałami. Nie przyniosłoby to Victorowi najmniejszej nawet ujmy, stanowiłoby tylko kolejny dowód na to, że ród Harrisonów chętnie dzieli się chwałą, gdy dzielić się nią należy.

Mimo to chłopak nie powiedział wszystkiego. Miał wrażenie, że podróż do Norwegii uchyliła w nim jakieś drzwi, otwierając widok na coś za nimi, coś spowitego szarawą mgłą, coś, czego on nie rozumiał. Uczono go w dzieciństwie bezgranicznej szczerości i otwartości, oczywiście nie jeśli chodzi o emocje czy uczucia, bo takie sprawy Brytyjczyków nie zajmowały, chodziło raczej o szczerość i otwartość dotyczącą faktów. Victor czuł teraz lekkie klucie w żołądku i to nie tylko dlatego, że zataił

część prawdy przed ojcem, chodziło o coś jeszcze.

Bo tam, w Norwegii, narodziło się jakieś kłamstwo, choć chłopak sam jeszcze nie wiedział, na czym ono polega.

Tyle tylko że miało to jakiś związek z Ragną. Ale jakim cudem Ragna, kobieta będąca uosobieniem uczciwości, mogła się w jakkolwiek wiązać z kłamstwem?

Pod wieczór Victor wzuł buty z wysokimi cholewami i wyszedł z domu. Poczł trawę pod podeszwami, wieczorne powietrze w płucach, na horyzoncie majaczyły mu korony drzew. Lucy machała ogonem, biegnąc w dół łagodnego trawiastego zbocza, trasą, którą lubiła jeździć matka Victora, gdy jeszcze jeździła konno.

Lucy była jego trzecim spanielem. Pierwszy na tej liście widniał Pidge, towarzyszący mu od piątego do szesnastego roku życia, pies, o którym jego dziadek mówił, że taki się zdarza raz na całe życie, po nim nastał Marlow, a po nim zaś Lucy, wszystkie trzy zwierzaki były spanielami walijskimi o takim samym umaszczeniu, a jedyną wadę dwójki młodszych zwierząt stanowiło to, że nie mogły dorównać Pidge'owi.

Victor wyjął swój zegarek kieszonkowy. Wskazywał godzinę siódmą, chłopak odwrócił się, by sprawdzić, czy już zapalono lampy. Nigdy nie miał dość patrzenia na Finlaggan Hall, nazwany na cześć szkockiego jeziora, z którym wiązała się historia ich rodziny. Gmach był najpiękniejszy o tej właśnie porze doby, gdy ostatnie promienie wieczornego słońca podkreślały głęboką czerwoną barwę murowanych ścian, a jednocześnie było już na tyle ciemno, by światło lamp stawało się widoczne za oknami. Budowę tego domu zakończono w roku 1793, uznawano go wtedy za gmach średniej wielkości, miał trzy kondygnacje i rozległą werandę porośniętą dzikim winem. Był piękny, lecz nieprzesadnie rzucający się w oczy, cieszył oko, lecz uroda jego była nienachalna.

Podobnie miała się sprawa z rodziną Harrisonów. Byli porządnymi, cichymi właścicielami ziemskimi, większość swoich dochodów czerpali z kolonii. Lepiej niż w Londynie czuli się w Edynburgu, gdzie mieli skromne, rzadko odwiedzane mieszkanie. Rodowi temu poświęcono nieprzesadnie długi, zgrabnie zredagowany wpis w *Burke's Landed Gentry*, spisie nazwisk i majątków, przeglądany chciwie przez matki i babki w poszukiwaniu małżonków dla dzieci oraz wnuków. Wspominano tam pradziada Victora i jego zasługi w Pułku Lekkiej Kawalerii Madrasu Madras Horse Artillery, opisana była również kariera dziadka w Królewskich Strzelcach Afrykańskich i przez całe sto dwadzieścia lat kolejnym męskim członkom tego rodu udawało się kończyć kolejne akapity oględnym „Tytuł odziedziczył jego pierworodny syn”. Co dwa lata Harrisonowie wyruszali w dalekie podróże ze swoimi dubeltówkami i książeczkami czekowymi. Rodzinne opowieści pełne były anegdot, w których „niewiele brakowało”, szerokich rzek, w których łowiono łososie, strzałów oddanych z wielkiej odległości i spadających na łeb na szyję cen kauczuku.

A teraz do opowieści tych dołączyła kolejna, ren oświetlony elektryczną żarówką w pokoju trofeów. Lecz światło to padało na historię będącą zaledwie półprawdą.

To Victor wyszedł z pomysłem, by zainstalować elektrykę, ojciec jak zwykle stawiał opór i wyliczał cenę, lecz jego syn dowiedział się, że pewien inżynier ma podłączyć do instalacji sąsiedni majątek, i poprosił, by pociągnięto przewody też do Finlaggan. Owszem, bez zbędnej zwłoki. Nie było na co czekać!

Podobne plany i pomysły kielkowały w nim, gdzie tylko się obrócił. Mniej więcej godzinę podróży konno od majątku leżały zaniedbane pastwiska ze wzgórzami tak wysokimi, że było z nich widać Cheviot Hills. Nie rosło tam teraz zbyt wiele trawy, ale gdyby wypalić wrzosa, roślinność z pewnością szybko zaczęłaby kielkować, może nawet zaczęłyby się tam lęgnąć pardwy, bo ziemia była krzemionkowa, a gdzie krzemionka, tam i te ptaki. Victor zaprojektował też niewielką chatę, którą można by tam zbudować. Ale większość kreślonych w jego głowie rysunków roboczych powstawała już z myślą o Cejlonie. Za kilka zaledwie miesięcy znów tam się znajdą z Kumarą, wśród zielonych wzgórz, pod czerwonym słońcem, czekają go lodowate poranki w Nuwara Eliya, gdzie zainstaluje nowiutką suszarkę walcową i rozpocznie uprawę na obszarze, który zdaniem jego ojca zupełnie się do tego nie nadawał.

Mieli tam na Cejlonie stary bungalow i, owszem, w środku śmierdziało trochę grzybem,

a weranda mogła się w każdej chwili zawalić, ale spędzane w nim poranki były najpiękniejsze na świecie, siedzieli na powietrzu, wszyscy trzej, Victor, ojciec i Kumara, słońce grzało, a mgła unosiła się niczym teatralna kurtyna, otwierając przed nimi widok na zalesioną dolinę, wieczorami zaś, po długich dniach pracy, znów tam siadywali, często w towarzystwie Szkotów, do których należały sąsiednie plantacje. Była to weranda dla mężczyzn i nikt nie przebierał się w strój wieczorowy, by tam móc usiąść.

Pewnego razu dali schronienie kilku zbłąkanym Belgom, którym się zdawało, że plantacja to miejsce dla bogaczy, i byli zaskoczeni, gdy Victor powitał ich z podrapanymi dłońmi i bąblami po ukąszeniach moskitów na skórze. Często spotykał się z taką reakcją cudzoziemców, cała ogłada i wyszukane manery Brytyjczyków sprawiały nieraz, że postrzegano ich jako wyjątkowy gatunek ludzi i tylko niewielu zadawało sobie trud dotarcia do istoty tego, kim naprawdę są.

Ci Belgowie uznaliby też pewnie Finlaggan za bogaty majątek. Ale nie było to prawdą. Dom niszczał z roku na rok, nie sposób temu zaprzeczyć. Nie najęto nowego kamerdynera na miejsce starego Hendersona, ogród warzywny musiała pielic kucharka, zaś Kumara i chłopak od Wilkinsów pracowali dzień i noc, próbując stawiać czoła temu upadkowi i jego oznakom takim jak wyschnięty kit w oknach i nieustannie pękające miedziane rury.

Victor siedział wpatrzony w zapadające ciemności. W miarę jak jego kraj znikał w mrokach nocy, w jego duszy wzbierały wyrzuty sumienia. Co też właściwie się dzisiaj dzieło? Skąd ta dziwna tęsknota, która go nagle ogarnęła, tęsknota za czymś więcej? Z pewnością nie za miłością, bo tę miał już okazję czuć dwukrotnie, najpierw z Amandą McNoughton i potem, w poprzednim roku, z Evelyn Percy, tę tęsknotę od razu by rozpoznał. Nie, tu chodziło o coś zupełnie innego.

Zdarzało mu się czuć obco w tym życiu za oknami, na które teraz patrzył. Z trudem przychodziło mu dostosowanie się do flegmatycznego, pełnego spokoju sposobu bycia jego rodziny. Największą radość przynosiło mu to, co wielkie i gwałtowne. Wyjątkowe szanse należało chwycić bez zbędnej zwłoki, niczym rzadkie ptaki, które zaraz podrywały się w niebo i widać je było przez kilka zaledwie sekund. Ta jego obcość była niczym książka, której nie dało się ustawić na właściwym miejscu, książka o dziwnym formacie, zbyt wysoka, by się zmieścić na zwykłej półce, lecz zbyt mała, by ją postawić pomiędzy wielkimi atlasami – gdziekolwiek ją wcisnąć, zawsze wystawała i wyróżniała się pomiędzy sąsiadkami.

Ale każdy chyba nosił w sobie coś takiego. Coś, czego nie sposób było nigdzie dopasować. Victor lubił dokonywać co jakiś czas czegoś w rodzaju rachunku swojego życia, a rozpamiętując poszczególne wspomnienia, dochodził do wniosku, że przeważająca większość z nich go cieszy.

Dorastał w końcu tak, jak powinno dorastać każde dziecko imperium. Ragna opiekowała się nim od rana do wieczora, dopóki nie skończył czterech lat i nie zaczął jeść śniadania razem z rodzicami. Od tamtej chwili towarzyszył ojcu i dziadkowi w ich wyprawach, spędzał całe dni na deszczu bez słowa skargi, jadł z menażki, siedząc w kucki przy ognisku, i nie tracił rezonu, gdy zmęczeni mężczyźni szorstko się do siebie odnosili. W domu zaś przyjmował od babki niekończące się lekcje dobrych manier i *savoir vivre*'u, niezbędnych dziedzicowi Finlaggan, szkoląc się w manewrach nawet tak trudnych jak przetrwanie wielkiego angielskiego przyjęcia bez wywołania niczyjej konsternacji.

– Po pierwsze, Victorze, nie wolno ci się nigdy spóźnić. Nigdy! Spóźniając się, nie tylko każesz gościom na siebie czekać, ale też dajesz im czas, by mogli cię obmawiać.

Więc Victor zawsze stawiał się przy stole punktualnie, był nie tylko dobrym gospodarzem, ale i dobrym gościem – wesołym, uważnym i wdzięcznym, nigdy nie śmiał się zbyt głośno, nie inicjował nudnych konwersacji w towarzystwie kobiet i już kilka lat po przejściu mutacji zaczął uczyć się charakterystycznej, pełnej wyższości dykcji właściwej jego ojcu i dziadkowi.

Mimo to nigdy nie czuł się dobrze na przyjęciach. Nieustannie ciągnęło go do natury, do nowego lasu, nowej rzeki z rybami, do nowego kraju, najlepiej na pokładzie statku. Pierwszy raz wyprawił się na Ceylon w wieku lat zaledwie siedmiu. Jego ojciec był zdania, że chłopak odziedziczył pęd do podróży po dziadku, na którego cześć został ochrzczony, bo Victor młodszy już jako malec wgapiał się wielkimi oczami w Victora starszego, człowieka szorstkiego i o niezłomnej woli, często odwiedzanego przez dawnych towarzyszy broni, głośnych i przygłuchych od salw i kanonad. Chłopak nadal pamiętał ich zacięte twarze z dziwnymi bokobrodami, otoczone chmurą dymu z cygar, i zapach tytoniu z Latakii,

podzwanianie kieliszków i szklanek, przekleństwa i pełen goryczy śmiech, a także padające wśród tego wszystkiego nazwy, które sprawdzał później w swoim atlasie i w których dźwięczała przygoda: Kanpur, Matabele, Beludżystan.

Teraz, gdy o tym wszystkim myślał, mrowienie w jego ciele przybierało na sile.

Victor wstał gwałtownie, gwizdnął na Lucy i postanowił wracać. Nie znosił mieć niezafatwionych spraw z samym sobą, nie cierpiał, jeśli jego działaniami powodowały przyczyny, których nie dostrzegał lub nie rozumiał.

Gdy znów ujrzał gmach rodzinnego domu, zwrócił uwagę na okno pokoju Ragny. Było w nim rzecz jasna ciemno, ale przez chwilę, zaledwie ułamek sekundy, zdało mu się, że widzi tam światło.

I w tym właśnie momencie drzwi jego duszy uchyliły się nieco szerzej, drzemiąca w nim obcość znalazła za nimi coś na swoje podobieństwo i Victor przypomniał sobie to, czego pamiętać nie chciał. Początek kłamstwa.

Powiedział tamtemu Norwegowi, że miał norweską niańkę. Nie zaś – że jego matka była Norweżką.

Oto jak bardzo się odsłonił tam na północy. Zupełnie nieświadomie przyznał, że ceni Ragnę wyżej niż własną rodzicielkę. To tego właśnie się wstydził, nie będąc sobie w stanie przypomnieć, o co chodzi. I tak właśnie prawdomówność w Norwegii stała się w Finlaggan kłamstwem.

Ragna nigdy go nie opuszczała. Warunki jej zatrudnienia pozostawały dość niejasne, ale kobieta była, zdaje się, służącą norweskiej rodziny matki i towarzyszyła jej, gdy już brzemienna wyruszyła do Anglii, w której to podróży – na pokładzie statku – urodziła Victora.

Ragna rozmawiała z nim zarówno po norwesku, jak i po angielsku. Chłopak dopiero z czasem zrozumiał, że po język ojczysty sięgała w chwilach największej tęsknoty za domem. Zawsze była w domu jego rodziców trochę samotna, nie wpasowywała się bowiem w naturalną hierarchię istniejącą wśród pozostałej służby. Ragna, myślał Victor już jako dorosły, przyjechała tu zapewne z jego matką, by przypominać jej o kraju rodzinnym, móc rozmawiać z nią po norwesku, a może też stać się jej powiernicą. Lecz on jako dziecko częściej sympatyzował z Ragną niż ze swoją matką, złościł się, gdy niańkę odsyłano do zbędnej pracy czy wyganiano na dwór w pogodę i niepogodę, każąc jej nadawać korespondencję lub przynosić zakupy, których pani domu w rzeczywistości nie potrzebowała.

Gdy myślał teraz o Ragnie, pamiętał głównie jej miękkość i to, że nigdzie do końca nie pasowała. Przynosiła mu posiłki, opatrywała poobijane po całym dniu zabaw kolana. Pilnowała, by Victor spał, gdy przychodziła na to pora, i zdarzało się, że chłopcu myliło się to, co jego zdaniem powinien czuć do matki, i emocje, którymi darzył Ragnę. Zdawało mu się, że pamięta daremne pogonie za matką, wyglądające tak, że dopadał jej w końcu i próbował ją objąć, ale łapał tylko powietrze, potykał się w biegu i wpadał w ciepłe ramiona Ragny.

Z Josephem było zupełnie inaczej.

Jego młodszy brat urodził się, gdy Victor miał siedem lat. Do tamtego czasu matka snuła się tylko po domu, jakby stanowiło to narzucone jej z góry zadanie, w odróżnieniu od ojca, nucącego zawsze przy porannej gazecie i otwarciu okazującego uczucia swej małżonce. Matka pojechała do kliniki do Londynu, by tam urodzić, i gdy wróciła do domu z Josephem, stała się już całkiem niedostępna, zaś dziecko, które niedawno opuściło jej łono, zdawało się patrzeć na świat z tą samą niedostępnością. Matka spędzała z Josephem całe godziny, sama karmiła go piersią, kołysała na kolanach i wpatrywała się w jego dziecięce oczy.

Victor wyszedł z założenia, że jego młodszym bratem również będzie się opiekować Ragna. Ale tak się nie stało. Matka pielęgnowała Josepha samodzielnie, pozwalając mu nawet spać w swoim pokoju. Victor doszedł później do wniosku, że tak się z nim cackała, by wynagrodzić mu zawczasu, że nie odziedziczy Finlaggan, i zadawał sobie pytanie, czy matka też kiedyś brała go na kolana, lecz zakładał, że nie, bo nie przypominał sobie, by kiedykolwiek obejmował go i przytulał ktoś inny niż Ragna.

Teraz, jako dorosły, domyślał się, że jego matka miała jasne wyobrażenie, jaką stanie się kobietą, ale stała się kimś zupełnie innym.

Egzotyczna i ubóstwiana, rumiana piękność z norweskiego wybrzeża, córka asesora, musiała w końcu zrozumieć, że źle tu będzie znosić ciągłą niepogodę i nudę.

Musiała wybierać i wyboru dokonała.

Wkrótce zaczęły się jej długie pobyty w cieplejszych stronach, z dala od szarych, chłodnych i ciągnących się w nieskończoność jesieni Northumberlandu i w końcu przyszły święta Bożego Narodzenia, kiedy nie było jej w domu – przy czym przyznać trzeba, że Victor nie zauważył wielkiej różnicy. Matka coraz więcej czasu spędzała we Florencji, posłała nawet Josepha do tamtejszej angielskiej szkoły. Odwiedzał ich parę razy w roku, ale mieszkanie było ciasne i pamiętał z tamtych wyjazdów tylko tyle, że Joseph napisał pewnego razu wiersz po włosku, którego mu nie chciał przeczytać.

Gdy wrócił do domu, było już zupełnie ciemno. Światło z okien padało na trawnik i korony drzew w ogrodzie, za szybami majaczyła zaś sylwetka ojca.

Victor ruszył do kwater, w których mieszkała służba, i zapukał do drzwi Kumary. Tamil gotował sobie każdego wieczora.

– Co dziś upichciłeś, Kumaro?

– Keralskie curry, jaśnie panie.

– Ojej. Czy mógłbym posmakować?

Przesiadanie w kwaterach służących stanowiło rzecz jasna złamanie etykiety, za życia babki coś zupełnie nie do pomyślenia, ale Kumara doskonale znał Victora i gotował zawsze podwójną porcję.

Jedli, nie mówiąc zbyt wiele. Młody chłopak bardzo lubił Tamila, którego oczy sięgały przez to, co brytyjskie, i patrzyły prosto w to, co stanowiło sedno jego jestestwa. Ale w tym właśnie momencie, przy posiłku, Victor uświadomił sobie, że ktoś inny też patrzył na niego wzorkiem Kumary. Wzrokiem docierającym aż jądra jego istnienia. Tamten norweski obdartus.

W jego oczach Victor nie był bowiem Anglikiem, lecz polującym na reny myśliwym.

Skończyli jeść, chłopak wyszedł z pokoju i ruszył przed siebie korytarzami. Przyszedł już najwyższy czas, by kłaść się na spoczynek, nazajutrz czekał go długi dzień z zarządcą lasów. Młody Wilkins pogasił już wszystkie lampy, nie licząc tych w korytarzu i na schodach, Victor ruszył zaś do pokoju z trofeami, pogrążonego w takich ciemnościach, że tamtejsze zwierzęta przypominały prawdziwe, czające się w mroku żywe okazy. Gdy był małym chłopcem, bał się tam wchodzić. Jego strach wynikał ze świadomości, że nigdy nie zdoła sam ustrzelić zwierza godnego trofeów zdobytych przez przodków. Teraz zamarł w mroku i znów wbił wzrok w renifera.

Marzenie o polowaniu w Norwegii nie dawało mu spokoju już od lat dziecięcych. Pojawiało się zawsze na wiosnę, w tej porze roku, gdy Finlaggan oddychało powoli i spokojnie. Rodzice wyprawiali się wtedy przeważnie w długie wojaże, ogrzewano tylko część pomieszczeń, a służba swobodniej podchodziła do zadań takich jak polerowanie sreber czy trzepanie dywanów. Były to dość nudne tygodnie, bez przyjmowania gości, Victor miał wówczas w zwyczaju bawić się z synami ogrodnika, choć rzecz jasna wiedział, że to nie wypada.

Nie licząc takich wybryków, przestrzegał prawie zawsze zasad wtłoczonych mu do głowy przez babkę. Działania nielegalne podejmował dopiero po wizycie listonosza. Stawał się wtedy własnym ojcem. Wchodził do jego gabinetu, wspinał się na krzesło, pochylał nad mahoniowym stołem i czuł się bardzo dorosły, machając w powietrzu nogami i otwierając ojcowską pocztę. Nie interesowała go korespondencja z herbaciarniami, adwokatami czy bankami, bo zawsze była nudna, nieliczne otwierane listy należące do tej kategorii zawsze zaklejał z powrotem, sięgał raczej po wielkie koperty zawierające wyceny sprzętu wędkarskiego czy wspinaczkowego, jak również cudowne, grube katalogi producentów broni. Victor pamiętał jeden szczególny dzień, kiedy listonosz przynosił jego ulubioną lekturę, „The Field”, on zaś zagłębiał się do reszty w kolorową opowieść o dwóch szkockich śmiałkach, którzy wyprawili się do Norwegii i przetrwawszy sztorm, podróż beznadziejnymi norweskimi drogami, wiejący w oczy wicher, surowe góry, jak również tamtejszą kuchnię – Norwegowie bowiem, według tego artykułu, pożywiali się wyłącznie produktami, które wcześniej zakopywano w ziemi, by zgniły tak, że nie sposób było ich rozpoznać – przetrwawszy jednak to wszystko, Szkoci wyruszyli na polowanie tak trudne i wymagające, że nie dawało się go porównać z żadnym ich wcześniejszym doświadczeniem. „Tylko my, nagie skały i deszcz. Po sześciu dniach sami zmieniliśmy się w istoty utkane z tych skał oraz deszczu i dopiero wtedy staliśmy się godnymi ujrzenia tych istot – dumnych norweskich renów”.

Victor zaniósł czasopismo do Ragny i spytał, czy w Norwegii naprawdę tak to wygląda, ona zaś

odparła, że owszem, jeśli nie liczyć jedzenia, którego opis był tu mocno przesadzony, natomiast obaj jej bracia mieli w zwyczaju polować na Hardangerviddzie, musieli wyruszać na takie wyprawy co jesień, nieważne, jak bardzo padało i wiało, pogoń za renami była bowiem niczym opętanie, z którego nie sposób się było wyzwolić. Victor usiadł obok niańki, ona zaś go przytuliła, mimo że był właściwie już na to za duży, a gdy zbierał się do wyjścia, ona odchrząknęła i odezwała się swoim śpiewnym, rytmicznym dialektem z rodzinnych stron:

– Ale jeśli chce się naprawdę pogonić za renami, takimi całkiem dzikimi, to trzeba się zapuścić w głąb Gudbrandsdalen. Pójść w góry wokół Butangen. To tam się właśnie kryją, te reny, co się ich nigdy nie da oswoić. Tak żem słyszała. Butangen.

Victor nigdy już nie zapomniał tych jej słów. Może dlatego, że Ragna wypowiedziała je w taki dziwny sposób. Nie do końca tajemniczo, raczej tak, jakby zdradzała mu coś, czego zdradzić nie powinna. Jakby obiecała komuś, że nie wyjawি nigdy nazwy tych wspaniałych terenów do polowań. Jakby stanowiły one tajemnicę nawet dla samych Norwegów. Gdy ponownie przeczytał artykuł w „The Field”, dowiedział się, że w górach tych mieszkają dzikie reny, które nigdy nie wymieszały się ze zwierzętami oswojonymi, w związku z czym wszystkie ich instynkty wywodziły się jeszcze z epoki kamienia. Były szybsze, silniejsze i bardziej płochliwe niż jakiegokolwiek inne zwierzęta. W tamtej właśnie chwili rozpalil się w nim ogień marzenia o polowaniu w Norwegii. Lecz dopiero teraz, w tym roku, dane mu było marzenie to spełnić.

Victor chciał tam wrócić. Poczuć to, co czuł, kiedy był tam sam. Wiatr z północy, chłód ziemi i padającego deszczu.

Dom pogrążony był w ciemności i ciszy, on zaś lubił w takich chwilach spacerować po pokojach, wyobrażając sobie wszystko, co działo się tu przed jego czasami. Zawsze śmiał się cicho, wchodząc po schodach, nad którymi wisiały portrety jego przodków stanowiące, jak mawiała jego babka, „galerię cieni”, bo gdy Victor był mały, bał się tych portretów jak duchów. Najstarsze obrazy tak pociemniały, że często miało się wrażenie, iż z czerni wyglądają same wąsy o dziwacznych kształtach. Ściany od poręczy aż po strop wypełniali surowi mężczyźni, od czasu do czasu pojawiała się między nimi jakaś równie surowa kobieta. Teraz, gdy Victor był już dorosły i miał za sobą liczne wizyty w galeriach Londynu i Edynburga, widział, jak nierówne są te obrazy, kilka z nich było pracami czysto amatorskimi, lecz portrety dziadka i ojca prezentowały się dobrze, podobnie jak jego własny. Pradziadek Victora wprowadził nową tradycję portretowania dziedzica majątku w dniu jego piętnastych urodzin, w jego ulubionym miejscu Finlaggan. Ojciec został uwieczniony w roku 1855, na skraju lasu, konno. Victor zdecydował się natomiast na portret z wędką w ręku, podobnie zresztą jak jego dziadek w roku 1830.

Młodzieniec uniósł teraz wzrok i spojrzał w oczy samego siebie.

Wydawał się sobie niespecjalnie podobny. Czuł się trochę tak jak wtedy, gdy próbował odwzajemnić szklany wzrok jelenia i rena. Jedno i drugie zwierzę miało sztuczne oczy, lecz mimo to zdawało mu się, że renifer faktycznie na niego patrzy.

Otworzył drzwi do dawnego pokoju Ragny.

Nikt tu niczego nie ruszał od dnia jej wyjazdu. Popiół z kominka został wygarnięty, łóżko – posłane. Szafa stała pusta, na podłodze nie było dywanu.

Ona pewnie nadal żyła. Gdzieś w Norwegii.

Ileż to on miał lat, gdy pojął, że Ragna niedługo ich opuści? Osiem? Dziesięć?

Tamtego dnia dostrzegł w niej coś nowego i niezwykłego. Jakaś gorycz, złość na jego rodziców, a przecież była zawsze ślepo lojalna wobec jego matki. Wcześniej sądził, że niańka rozpacza z powodu wyjazdu, ale w dniu, gdy Ragna miała ich opuścić, spędziwszy najlepsze lata swojego życia w chłodnym Northumberlandzie, za stara już, by urodzić własne dziecko, zauważył w niej tę złość. Jakieś nieznanne mu wzburzenie, które nie pasowało mu do zwyczajowej melancholii pożegnań. Poszedł do niej, gdy pakowała swoje rzeczy, cały jej dobytek zmieścił się w dwóch walizkach w drobną kratkę. Chłopiec usiadł na krześle i nie był w stanie pojąć, że ona go teraz opuści.

Ragna opróżniła szafę i wyjęła z niej maleńki, robiony na drutach sweterek z dziwnym wzorem, który – zakładał Victor – musiał pochodzić z Norwegii. Teraz pamiętał tylko jego głęboką żółtą barwę.

Był pewien, że Ragna zrobiła go sama, ale gdy niańka położyła go tamtego dnia na łóżku,

odezwała się do niego tym samym tonem co wcześniej, mówiąc o renach w Butangen.

Była to dziwna uwaga, której nigdy nie zapomniał, mimo że sam wzór na sweterku zatarł mu się w pamięci.

– Twoja matka chciała, byś go dostał.

Powiew z południowego wschodu

Nadeszła sobota, a niecierpliwi dzierżawcy zebrali się na miejscu już wczesnym rankiem. Mówiono niewiele, bo wszyscy wiedzieli, co się wydarzy. Musieli jak najszybciej uwinąć się z kosami i grabiami, by wrócić do domów i obrobić własne poletka. Oporządzić świnię, zagony ziemniaków, kapusty i marchwi, bo przecież to wszystko będą jedli przez zimę oni sami i ich dzieci. Na prace te dostawali zazwyczaj więcej niż dość czasu. Nieważne, ile było do zrobienia w Hekne, dzierżawcy zawsze mieli pół soboty i cały poniedziałek do swojej dyspozycji, niedzielę rzecz jasna również, o ile oczywiście pastor patrzył na pracę w dzień święty przez palce – co Kai Schweigaard czynił konsekwentnie od roku 1881.

Tym razem jednak, zaraz po kaszy zjedzonej na drugie śniadanie, Oswald poinformował swoich ludzi, że nie będzie wolnego po południu i że mają przyjść do roboty także następnego dnia.

Jeden z mężczyzn przełożył kosę do drugiej ręki. Nikt się nie poruszył, nikt nie kiwnął głową.

– Jutro jest niedziela – odezwał się ktoś wreszcie.

– Pracę trzeba dokończyć – oświadczył Oswald. – Skosić tę łąkę. Już niewiele zostało. Jutro wszystko będzie już uprzątnięte i ułożone do suszenia. Wtedy pójdziecie do siebie.

– Pastor się krzywi na pracę w niedzielę – zauważył ktoś inny.

– Pastor nie rządzi kośbą w Hekne – odparował Oswald.

Cóż robić, trzeba było usłuchać. Mężczyźni pracowali jak trzeba, szybko, lecz nie nazbyt szybko, dumni z szerokich ruchów kosą i prosto budowanych stojaków. Jednocześnie mamrotali między sobą, że relacja pomiędzy gospodarzem a dzierżawcami, niegdyś tak dobra, wcale dobra teraz nie była. I że wciąż się pogarszała.

Oswald miał co prawda rację, mówiąc, że pastor nie rządzi kośbą w Hekne, lecz mylił się, sądząc, że niechęć duchownego do pracy w niedzielę nie wspomocze siła wyższa.

Niebo pociemniało jeszcze tego samego wieczora, gdy kosiarze ruszyli na spoczynek, a w środku nocy zaczęła się ulewa. Wedle przestrzeganej od najdawniejszych czasów tradycji dzierżawcy nie musieli iść do pracy w majątku gospodarza, jeśli uniemożliwiała im to pogoda, marna pociecha, bo w dniach słotnych tak jak ten nie mogli również zająć się własną ziemią.

W niedzielę do Hekne nie przyszedł żaden dzierżawca. W strugach deszczu stawiło się tylko dwóch najętych chłopaków i dwie dziewczyny z grabiami, pytając, czy znajdzie się dla nich jakaś inna robota, za którą mogliby dostać swoją dniówkę. Jedną z dziewczyn była Ada Borgen, nadal z zawiniętym w pieluszki noworodkiem przy piersi. Oswald popatrzył na nich przez okno i posłał do nich parobka z wiadomością, że nie będzie rzecz jasna roboty, bo przecież leje, nie ma sensu wychodzić na łąkę, nie ma też dla nich innej pracy i w związku z tym mogą zapomnieć o wynagrodzeniu.

Jehans też nie pojawił się w majątku. Przez noc jego ciało zapomniało o ruchach kosy, nachyleniu i kolejnych wymachach, ułożeniu barków, dłoni i przedramion, zdającym się trzymać cały organizm w wielkich kleszczach, wszystko to z siebie strząsnął i wyruszył w góry. Trzymał kraga za kolbę tak, by drewno nie porysowało się o nosidło, i nigdy jeszcze nie niosło mu się bronie tak przyjemnie.

Wiało z południowego wschodu, idealnie, bo przy takim właśnie wietrze reny schodziły najczęściej w miejsca, które znał najlepiej. Był tak pełen zapału i szedł tak prędko, że znalazł się pośród gór, gdy jeszcze było ciemno, a świt zresztą łatwo było przeoczyć, bo nocny mrok przeszedł w ponurą szarówkę. Przy takiej pogodzie nie sposób było dojrzeć renów z większej odległości, Jehans ruszył więc ich starymi, doskonale znanymi sobie trasami, podszedł ostrożnie do resztek wilczych dołów i stanowisk zwanych przez Adolfa czatowniami, kamiennych półokręgów za którymi, w czasach już zapomnianych, krył się myśliwy z łukiem, czekając, aż stado renów znajdzie się w zasięgu strzału. Adolf poświęcił całe swoje życie odnajdywaniu takich prastarych miejsc i razem z Jehansem stworzył coś w rodzaju mapy stałych tras reniferów. Zostały one odkryte przez ludzi już tysiące lat wcześniej – zwierzęta chodziły swoimi drogami, a teraz chodził nimi również Jehans, tyle tylko że tego akurat dnia nie widział na nich ani jednego rena, usłyszał jedynie skrzek kruka, mijając Saubua, chatę, w której schronić się mogli

myśliwi i wypatrujący zagubionych owiec pasterze.

Na chwilę się przejaśniło. Jehans rozejrzał się, szukając charakterystycznych szczegółów terenu, które ułatwiłyby mu orientację, gdy zaś dostrzegł Dziewczęta z Sulubergu, trzy wysokie jak dorosły człowiek głazy na górskim zboczach, wiedział już, gdzie jest.

Znów wyszła mgła, chłopak brnął przed siebie, nasłuchując szmeru strumienia, poruszał się po omacku w wilgotnej, białej jak mleko przestrzeni, w której długość ani szerokość nie miały znaczenia. Nagle ziemia zakołysała się pod jego stopami, buty zaczęły się w nią zapadać z głośnymi młasięciami i zrozumiał, że wszedł na mokradła. Ukucnął i zobaczył pod nogami duże złociście żółte krople, z każdym krokiem było ich wokoło coraz więcej.

Moroszki. Wszędzie pełno moroszek.

Szedł przez mlecznobiały świat, zrywał maliny i jadł, z jedną ręką wciąż na karabinie, by go, broń Boże, nie zgubić. Nadeszło popołudnie, mgła nadal się nie podniosła, a on nadal nie zoczył żadnego renifera, był jednak niemal pewny, że reny dostrzegły jego. Wszedł na szczyt zbocza i gdy na chwilę się przejaśniło, zdało mu się, że widzi cielaka, niknącego mu z oczu za wierzchołkiem pobliskiego wzniesienia. Ruszył ku temu wierzchołkowi i usiadł tam z lornetką. Wiatr mierzwił mu włosy, szarpał za poły kurtki. Jehans czuł lekki niesmak, zbliżając lornetkę do oczu. Zastanawiał się, czy to przypadkiem nie oszustwo. Miał wrażenie, że ktoś wyrwał z gór ich kawałki i umieścił je blisko niego, jakby ktoś dokonywał przed nim czegoś w rodzaju prezentacji, obraz zniknął, gdy tylko opuszczał lornetkę, i wracał, kiedy znów ją podnosił do oczu. Góry wydawały się żółtawe i miały rozmyte krawędzie, zaś połowę pola widzenia przecinała rysa na szkłe.

Ale i tak wszystko znalazło się bliżej. Było w zasięgu celu. Zupełnie jakby on sam stał się większy. Jakby patrzył na świat przez oko starego olbrzyma.

Reny najpewniej kręciły się gdzieś w pobliżu. Jehans zakładał, że tamto cielę było spóźnialskim członkiem większego stada, dlatego też ruszył pod wiatr, w górę kolejnego wzniesienia, kierując się na Kwie, wielką górę, której zbocza wpadały do Imsdalen. Były tu przepaści o zboczach tak stromych, że na ich skrajach przysiadły tylko ptaki, ale przy dobrej pogodzie dało się znaleźć bezpieczną ścieżkę prowadzącą ku zabudowaniom.

Jehans brnął przed siebie. Co jakiś czas zdawało mu się, że dostrzega zwierzęta, podnosił lornetkę do oczu za każdym razem, gdy dopatrzył się jakiegoś ruchu we mgle, zachodził w głowę, czy oszukują go jego własne oczy, czy szkła instrumentu, ale szedł coraz dalej i dalej. Robiło się późno, on zaś uświadomił sobie, że wypuścił się zbyt daleko, bo w okolicy nie ma żadnego schronienia, w którym mógłby przenocować. Gdy gwałtowny powiew wiatru przegonił na chwilę mgłę, Jehans stanął oko w oko z pięknym samcem – widłakiem, lecz zwierzę zaraz uciekło, a on ruszył dalej, bo czuł, że musi tego dnia oddać strzał z kraga, musi coś upolować. W końcu zdało mu się, że widzi daleko przed sobą łanię, ale zwierzę zlewało mu się z górskim zboczem i było widoczne przez kilka zaledwie sekund. Jehans zostawił lornetkę w spokoju i postanowił robić wszystko po staremu, szedł pod wiatr i przeznaczył cały wieczór na skradanie się w kierunku zwierząt. Gdy wreszcie w zasięgu jego strzału znalazł się młody byk, chłopak nie miał pojęcia, gdzie właściwie jest.

Przyłożył policzek do kraga, nakreślił w myślach linię łączącą jego oko i serce zwierzęcia, po czym oddał strzał. Usłyszał jego huk i poczuł krótkie, silne szarpnięcie odrzutu. Ponad lufą broni, daleko przed sobą, zobaczył, jak ren chwieje się na nogach i pada na ziemię, po czym wstaje, znów upada i zamiera już na dobre. Pozostałe zwierzęta odbiegły kawałek, ale ostatecznie przystanęły, zaskoczone tym, co się wydarzyło i czego pojąć nie były w stanie.

Myśliwy podszedł do byka, odłożył kraga na ziemi i ukląkł.

Zamarł w tej pozycji, strzał nadal dźwięczał mu w uszach, a przez tę chwilę, w której oczy zwierzęcia matowiały, a źrenice zapadały się w siną głębię, nieprzeniknioną, nieporównywalną z niczym innym, przez tę jedną krótką chwilę zdało mu się, że ten renifer coś o nim wie. Zupełnie jakby myśliwego i jego łup połączyła na ten moment jakaś mądrość, niemierzalna w czasie i przestrzeni. W jednej chwili zmieniły się reguły gry, ren nie był już istotą, której działania ograniczają się do szukania pokarmu i ucieczki przed drapieżnikami, należał teraz do równoprawnej rodziny zwierząt i ludzi, komunikujących się ze sobą tymi samymi myślami. Gdy reny żyły, wyglądało to zupełnie inaczej – biegały wtedy gdzieś

daleko, pochłonięte swoimi sprawami, lecz w minutach po ich śmierci Jehansowi zdawało się zawsze, że widzi, jak zwierzę wkracza w jakąś inną, oddzielną sferę gdzieś daleko, sferę, w którą on sam potrafił zajrzeć i usłyszeć dochodzące z niej dźwięki, lecz nie był w stanie tych dźwięków czy widoków zrozumieć ani objąć umysłem.

Zdążył wypatroszyć zwierzę przed zapadnięciem zupełnych ciemności. Wnętrznosci ogrzały mu dłonie, ale już chwilę potem zmarzł tak, że szczękały mu zęby. Przywarł ciałem do rena, by nie zamarznąć na śmierć, miał ochotę zdjąć z niego skórę, by móc się nią owinąć, ale wiedział, że w ciemnościach mógłby się przy tej pracy paskudnie pokaleczyć, a to bywało groźniejsze niż sam chłód.

Adolf mawiał: „Ustrzelić rena to sekunda, znieść go do wsi – dwa dni”.

Tymczasem Jehans zrobił praktycznie wszystko to, przed czym ostrzegał go opiekun: zabił zwierzę wieczorem, nie wiedząc, gdzie właściwie jest, tak daleko w głębi gór, że nie był w stanie wrócić do domu przed zmrokiem.

Nastała noc. Chłopak zrozumiał, że nie przeżyje do rana na wietrze i deszczu. Jeśli będzie jeszcze dłużej czekał, zwierzę zupełnie ostygnie, a wtedy będzie trudniej zdjąć z niego skórę. W końcu zdołał oprawić rena po omacku. Choć nie był pewien, czy może to tak nazwać. Nóż prowadził raczej na chybił trafił, poodcinał skórę tak, że jakoś trzymała się w jednym kawałku.

Rozebrał się i owinął tą skórą, wyjął z ubrań wodę, po czym znów je na siebie włożył i siedział tak, nie widząc w ciemnościach kraga, swojego plecaka ani samego rena. Odciał po omacku kilka kawałków surowego mięsa i je zjadł, a gdy w końcu nadszedł poranek, przyniósł ze sobą jeszcze więcej deszczu i ani promienia grzejącego słońca. Zarówno skóra, jak i samo truchło przedstawiały sobą po nocnych manewrach widok dość opłakany. Mięso wyglądało, jakby nadgryzły je rosomaki, skóra była porozcinana.

Jehans już wiedział, że mu się nie uda.

Był wycieńczony, mokry i głodny, nie miał sił, by gdziekolwiek zanieść rena. W świetle poranka obłożył go kamieniami. Wypruł z plecaka długie pasma tkaniny i umocował je na szczycie kamiennego kopca, tak by powiewały na wietrze. Niełatwo mu będzie odnaleźć na powrót to miejsce, zwłaszcza że sam nie wiedział, gdzie się znajduje. Był tak zmarznięty, że drżał na całym ciele, szedł przed siebie nad skrajem przepaści i rozglądał się dookoła, gdzieś pod nim rozciągała się Imsdalen, ale ta świadomość nie bardzo się na coś zdawała, Imsdalen była bowiem doliną rozległą, w której majątki budowano daleko od siebie. Gdy Jehans próbował zejść stromą ścieżką, spod jego stopy obsunął się kamień. Kolba broni dorobiła się pierwszych rys, co bardzo go rozeźliło. Ale co było robić – mógł tylko zejść do doliny w nadziei, że natknie się na jakichś ludzi. Powoli zsuwał się w dół kolejnych zboczy, tak wycieńczony i zmarznięty, że zaczynały mu się mylić kierunki. Na granicy drzew przystanął.

Dym.

Jehans zaczął węszyć. W dymie tym czuć było sadzę, musiał więc pochodzić z komina, nie zaś ogniska. Ktoś palił brzoźowym drewnem i dało się wyczuć, że było suche, bo woń niosła w sobie nutę słodkawą, nie zaś kwaśną i ostrą – to zaś powiedziało mu, że w okolicy musi być jakaś pasterska chata wyposażona w piec, czyli wszystko, co było mu w tej chwili niezbędne do przeżycia.

Brnął przez mokrą brzezinę, podmuchy wiatru niosły w jego stronę coraz więcej dymu, on zaś się spieszył, bo ktokolwiek rozпалиł ten ogień, musiał to zrobić z samego rana, a gdy piec się rozgrzeje, dym przestanie pachnieć i wtedy Jehans nie znajdzie chaty. W końcu je ujrzał: ciężkie od deszczu górskie pastwisko, niską chatę i podłużną obórkę. Otworzył drzwi bez pukania. W środku nikogo nie było, on zaś zatoczył się w kierunku rozgrzanego pieca.

Pięknie dziękuję, ale nie

Światło poranka wpadało do środka przez nieregularne szybki wąskich okienek. W rogu znajdowało się posłanie, a nad kuchennym blatem wisiały krzywo kubki na kawę, obok nich zaś drewniane kopyści i warząchwie. W srebrzystozielonej blaszanej misce stały świeżo palone ziarna kawy, tłuste i połyskujące, Jehansowi zaś na samą myśl o ciepłym napoju zakręciło się w głowie. Dygotał tak, że nie był w stanie siedzieć, zrzucił kurtkę, zdjął z łóżka futrzaną narzutę i się nią owinął. Odryglował kraga, by było widać, że broń nie jest gotowa do strzału, odstawił karabin w kąt i znów przyskoczył do pieca. Dłonie mu drżały nad rozgrzaną żeliwną powierzchnią, a gdy do izby weszła młoda dziewczyna w niebieskim fartuchu, nie był pewien, czy to jawa, czy sen, czy widzi ją naprawdę, czy to halucynacja.

Dziewczyna postawiła na podłodze dwa wiadra z wodą i powiedziała „oj”. Jehans szczękał zębami i nie był się nawet w stanie wytłumaczyć. Nieznajoma zostawiła go samego, a on założył, że poszła po pomoc. Usłyszał dobiegające zza drzwi muczenie krów i po chwili dziewczyna wróciła, zupełnie sama. Pociągnęła go za ramię i powiedziała, że ma iść za nią. Jehans zebrał się w sobie i poprosił, by pozwoliła mu posiedzieć tu jeszcze chwilę i się ogrzać.

– A potem sobie pójdę.

– Idziesz ze mną. I to już.

Pokuśtykał za nią boso przez pastwisko. Zaprowadziła go do maleńkiej ziemianki. Wejście zasłonięte było deskami, w środku zaś Jehans ujrzał stos rozżarzonego popiołu z kamieniami wielkości pięści. Dziewczyna powiedziała, że wygarnęła cały żar spod kadzi do wyrabiania serów, że nie jest co prawda tak ciepło, jak być powinno, ale będzie to musiało wystarczyć. Kazała Jehansowi zdjąć ubrania, owszem, wszystkie, a potem wylać na kamienie wodę ze stojącego w środku wiadra. Następnie zagoniła go do środka, zasłoniła wejście deskami i wokół niego zapanowały ciemności, jeśli nie liczyć żaru pod kamieniami i odrobiny światła sączącego się przez otwór, którym miał uchodzić dym. W ziemiance ledwie mieścił się on sam i rozżarzone kamienie. Usiadł – zgarbiony i nagi – na rozłożonej na ziemi skórze, wygarnął kamienie z żaru i polał je wodą, wsunął je z powrotem, by się znów nagrzały, i umył się ścierką, którą zanurzył w wiadrze. Wkrótce para zaczęła go ogrzewać, a on dochodził do siebie, powoli, niczym mucha na parapiecie w pierwszy cieplejszy dzień wiosny. Po niedługim czasie poczuł mrowienie w palcach i stóp i rąk, zaczęły go szczypać wargi i płatki uszu. Siedział tam, aż żar się wypalił, a temperatura spadła. Przed ziemianką oślepiło go światło i jesienny chłód. Ubrania, które położył na kamieniu przed wejściem, gdzieś zniknęły, Jehans zasłonił więc dłońmi przyrodzenie, rozejrzał się dookoła i popędził z powrotem do chaty. Dziewczyny nie było w izbie, lecz jego spodnie wisiały na sznurze nad piecem, w którym ogień buchał w najlepsze, kurtkę zaś znalazł rozwieszoną na oparciu krzesła. Położył się na łóżku, nakrył futrzaną narzutą, a ostatnim, co zapamiętał, był jej zapach na poduszce i odgłos kropel wody syczących na piecu.

Obudził go zaś zapach kaszy.

Dziewczyna siedziała plecami do ściany, tak że mieli między sobą stół, na którym leżał niewielki toporek, niczym łyżeczka deserowa. Jehans patrzył na nią spod na wpół opuszczonych powiek, nigdy wcześniej nie widział, by jakaś dziewczyna jadła tak szybko i jednocześnie tak pięknie. Gdy opróżniła misę z kaszą do połowy, chwyciła toporek i wstała.

Jehans podniósł głowę, podziękował i przeprosił.

– No tak, mam tu lepsze rzeczy do roboty niż niańczenie przygłupich myśliwych.

– Skąd wiesz, że jestem myśliwym?

– Byłeś po łokcie uwalany we krwi.

– Ach.

– A że jesteś przygłupi, stwierdziłam po tym, że strzelałeś do renów późno i nie miałeś już czasu zejść z gór.

„Przygłupi”. Nieczęsto ktoś tak o nim mawiał.

– Zapomniałem się – wyjaśnił. – Nie pomyślałem.

– To właśnie powiedziałam. Jesteś przygłupi. Więc nic dziwnego, że nie myślałeś.

Nie wypuszczając toporka z rąk, podała mu misę z kaszą i drewnianą łyżkę, którą wcześniej sama jadła. Gdy Jehans usiadł na łóżku, dziewczyna wysunęła taboret na środek izby, zebrała fałdy spódnicy i usiadła z toporkiem opartym o udo. Oświadczyła, żeby on sobie nie myślał nie wiadomo czego, bo ona ma niemal nieposzlakowaną opinię, a gdyby druga pasterka teraz wróciła i nakryła ją z gołym mężczyzną w jej łóżku, plotkarze byłiby szczęśliwi jak koty, które się opily śmietany, ona natomiast nie miała zamiaru tracić dobrego imienia przez jakiegoś myśliwego. Zwłaszcza przygłupiego.

– No dobrze, dobrze – powiedział Jehans. – A tamto miejsce, ziemianka? Z kamieniami? Co to było?

– Mówimy na to fińska łaźnia. Nie będziesz już po niej miał wszy.

Jehans przelknął i powiedział:

– Wszy? Przecież ich nie mam.

– Już nie.

Najadł się do syta. Znow ogarnęło go zmęczenie. Położył się i zasnął, lecz zbudziły go jakieś hałasy. Dziewczyna ubijała masło.

– Robisz to tutaj?

– A gdzie? W warzelni jest teraz przez ciebie zimno.

Z rozwieszonych nad piecem ubrań już nie kapała woda. Pasterka stała nad maselnicą sięgającą jej do pasa, energicznie unosiła i opuszczała tłuczek, ubijała zaciekle, bez chwili przerwy. W końcu zajrzała do środka i wróciła do pracy.

– Coś się nie chce ubić. I dobrze.

– Dobrze? A niby dlaczego?

– Bo w przeciwnym razie musiałabym za ciebie wyjść. A która by chciała zostać żoną przygłupiego myśliwego?

Jehans zaśmiał się i poczuł, że dziewczyna myśli tak jak on. Jego rówieśnicy z Butangen również nabijali się z dawnych przesądów. Ludzie wierzyli kiedyś bowiem, naprawdę wierzyli, że jeśli chłopak wejdzie do izby w chwili, gdy śmietana zmieni się w masło, ubijająca je dziewczyna zostanie jego żoną.

– No ale nie chce się ubić. I całe szczęście.

– Już to mówiłaś.

– A tak, już mówiłam.

Była młodsza od niego, o ile jednak młodsza – nie sposób było powiedzieć, bo pracowała jak doświadczona wiejska gospodyni i tylko w chwilach przerwy od roboty, gdy podnosiła na niego wzrok, jej twarz zaskakująco łagodniała.

Nie przestawało padać, pasterka uwijała się w pośpiechu, cały czas wychodząc po coś z chaty i zaraz wracając, nieustannie sobie z niego drwiąc i odmawiając, gdy proponował, że jej pomoże. Z jej słów wynikało, że najchętniej szybko by się go pozbyła, a gdy poszła do krów, Jehans wytoczył się z łóżka i włożył spodnie oraz koszulę. Ubranie było wilgotne i lepiło mu się do skóry, ale przynajmniej się zagrzało. Chłopak włożył buty, zarzucił kraga na ramię i wyszedł na deszcz.

Odnalazł znow ścieżkę wiodącą przez brzezinę i zaczął się wspinać na zbocze. Widoczność nadal była słaba. Stawiał długie kroki, rozglądał się dookoła, lecz nigdzie nie dostrzegł miejsca, w którym zostawił rena. Szukał go długo, na wietrze, pośród skalnych rumowisk, aż w końcu usłyszał skrzek kruka i poszedł za tym dźwiękiem, wreszcie dostrzegłszy powiewające na wietrze białe pasma lnianej tkaniny. W ogóle nie rozpoznał tego miejsca. Ale to musiało być tutaj, bo leżała tu porozcinana skóra, na której siedział przed chwilą kruk, zjadając z niej ostatnie włókienka mięsa.

Ustrzelony ren musiał ważyć z sześćdziesiąt kilo i Jehans był go z trudem w stanie unieść, choć wiedział, że ciężary powyżej pięćdziesięciu kilogramów potrafią zniszczyć człowiekowi plecy. Odciał uda i wykroił najlepsze kawałki mięsa z grzbietu, po czym zamocował je na nosidle. Zarzucił je sobie na plecy i ruszył przed siebie.

Jakieś dwie godziny później znow był na górskim pastwisku, tym razem dym walił z komina warzelni. Jehans powiesił mięso w szopie na drewno i ruszył do dziewczyny. Nic nie powiedziała, zerknęła tylko na niego znad konwi, a gdy do niego podeszła, on ujrzał, że masło właśnie jej się ubiło.

– To mięso – powiedziała. – Po coś je przyniósł?

– To prezent.

– Prezent, a pewnie.

– Tak, dla ciebie i dla twoich domowników. W podziękowaniu. Bez ciebie bym umarł.

– Pięknie dziękuję, ale nie. Zanieś je sobie do domu. Albo zjedź do Imsdalen i tam spróbuj sprzedać. Bo widzisz, te pastwiska nie należą do mojej rodziny. Jestem tylko najętą pasterką i nie chcę się tłumaczyć, czemu w szopie wisi pięćdziesiąt kilo mięsa renifera. Odpowiadać na pytania, czy był tu w nocy mężczyzna i – co gorsza – za co mi w ten sposób zapłacił. Pierwszy raz oprawiałeś zwierzę czy jak?

– Nie, po prostu zdjąłem skórę w ciemnościach, żeby się nią owinąć i nie zamarznąć na śmierć.

– Rogi też sobie na głowę włożyłeś?

Dziewczyna wróciła do pracy. Jehans widział, że używa starych narzędzi, i dowiedział się od niej, że gospodarz obiecał jej separator do mleka, ale albo nie kupił go wcale, albo kupił, a potem przegrał w pokera, no, tak czy inaczej separatora nie dostała, chyba że Jehans jakiś tu widział? We wcześniejszych latach miała ręczną wirówkę, taką, którą obsługiwać potrafiłyby nawet przygłupi myśliwy, ale w tym roku gospodyni zabrała ją znów do wsi, zostawiając jej tu starą, toporną maselnicę.

W końcu zaszczyciła go zaufaniem, mówiąc, że ewentualnie może pójść po wodę i jałowcowe gałązki, po czym zagotowała wodę do mycia, a zapach jałowca wypełnił izbę, mieszając się z aromatem masła. W wodzie, którą przyniósł Jehans, pływała martwa mucha, więc następnym razem poszła po więcej sama, bo chciała schłodzić w niej masło, potem zaś zawinęła je w ściereczkę i odcisnęła, ile tylko miała sił, posoliła i powkładała do sześciennych foremek, wycinając krzyż na każdej bryłce, by do masła nie miały dostępu złe duchy i moce. Później powiedziała, że sama w to nie wierzy, a robi to tylko po to, by uhonorować dwie stare kobiety, od których uczyła się sztuki górskiego pasterstwa, ale Jehans wcale nie był pewien, czy dziewczyna faktycznie nie wierzy w zabobony, bo zadawała sobie też trud cedzenia całego mleka przez sito z niedźwiedziej czaszki, co miało sprawić, że drapieżniki będą się trzymać z dala od krów.

Potem, po wielu prośbach, pozwoliła mu pociąć i porąbać drewno, przyniesione na górskie pastwiska ze wsi w kawałkach długości trzech zwykłych szczap, żeby łatwiej je było przetransportować. Jehans zabrał się do roboty, piłował i rąbał, bo dziewczyna nie dopuściła go do innej roboty, ona zaś nadal paliła w piecu, gotowała, sprzątała i ubijała masło przy otwartych drzwiach, wreszcie skończyła, otarła pot z czoła przedramieniem, wyjrzała na dwór i orzekła:

– Przejaśnia się, możesz iść do domu. Jutro zabieram się za wyrabianie tłustych serów, więc będę miała pełne ręce roboty.

Nazywała się Kristine Messelt i pracowała okresowo na górskich pastwiskach Ormsetra, odkąd skończyła sześć lat, zaś jako czternastolatka zaczęła nocować tu sama. Pochodziła z innej części rodu niż właściciele wielkiego majątku Messelt w Østerdalen, a jej życie różniło się od życia tamtych ludzi tak samo jak portfele jej rodziców od tamtejszych portfeli. Jej przodkowie byli polującymi na niedźwiedzie myśliwymi i wędrowcami, lecz pradziadek dziewczyny uprzętnął sobie w Imsdalen kawałek ziemi pod budowę domu i uprawę, zaś miejscowy rejent oddał mu ten teren w użytkowanie, żądając za to rocznego czynszu w wysokości dwudziestu ośmiu szylingów. Kristine była najmłodszą z ośmiorga rodzeństwa i szybko została posłana do pracy w jednym z miejscowych majątków, wysyłających najęte dziewczęta do robót na górskich pastwiskach.

– Właściwie to powinnyśmy tu być we dwie – powiedziała, ale Jehans nie do końca rozumiał, gdzie podziła się druga pasterka. Tak czy inaczej, Kristine była tu sama i szczegółowo mu się przedstawiła, przyszła więc kolej na niego.

– Hekne – powiedziała, wysłuchawszy jego prezentacji. – To bogaci gospodarze, prawda? Myślałam, że wasz dziedzic jest młodym chłopaczkiem?

Czasami mu się to przytrafiało. Dziewczęta, słysząc jego nazwisko, wychodziły z założenia, że jest dziedzicem na Hekne. Zaczynały wtedy trochę inaczej na niego patrzeć. W oczach miały coś jakby chciwość, jednocześnie zaś starały mu się przypodobać. Sądziły, że byłby w stanie zapewnić im bezpieczną przyszłość. Było im wszystko jedno, czy chłopak jest głupi jak but albo czy młascze przy

jedzeniu. Takie dziewczęta wydawały się nie za człowieka, lecz za majątek.

Ale Kristine Messelt zadała to pytanie, by pokazać, że z racji swojego pochodzenia nie mogłaby się związać z dziedzicem. W jej głosie było coś, co Jehans doskonale rozpoznawał, bo wielokrotnie dawano mu do zrozumienia, że jest czegoś niegodny, a o prawie dziedziczenia może najwyżej pomarzyć. Teraz zaś, przy tej dziewczynie, wydało mu się to nagle zaletą.

Z nim ona mogłaby się związać.

– Ja nie do końca należę do tej rodziny – odpowiedział. – Moja matka była dziedziczką na Hekne, ale zmarła, wydając mnie na świat.

Mówiąc o tym, czuł się jak człowiek, któremu wyrwano zepsuty ząb, wodzący wokół rany koniuszkiem języka. Powiedział, że mieszkał trochę w Hekne jako dziecko, a teraz gospodarstwo prowadzi jego wuj, zaś od śmierci dziadka zapewne wiele się zmieniło, ale on niewiele pamiętał z dawnych czasów, poza tym i tak go to nie obchodziło, bo żył teraz w Halvfarelia.

– A jak on umarł? Twój dziadek?

– Kopnął go koń na jarmarku w Stav.

– Nie powinno się tam prowadzić ogierów do krycia.

– Skąd wiesz, że tamten był akurat do krycia?

– Bo kopnął. I jeszcze dlatego, że jesteś z dobrego domu.

– Nie jestem z dobrego domu, przecież ci tłumaczę.

– Owszem, jesteś. Zostałeś dobrze wychowany, bo nie mówisz o kryciu klaczy w obecności kobiet. Dobry dom to wcale nie musi znaczyć dom bogaty. A inni ludzie z Hekne, jacy oni są?

– Najlepiej pamiętam Emorta. Mojego drugiego wuja. Odwiedził nas parę razy w Halvfarelia. Chyba był wtedy też z nim mój dziadek. Ale Emort wyjechał do Ameryki razem z innym swoim bratem, Lauritsem.

– A twoja babka?

– Nadal siedzi w domu i rozstawia ludzi po kątach.

Kristine ruchem głowy wskazała jego broń i spytała, czy ją ukradł, czy może pożyczył, Jehans zaś opowiedział jej o polowaniu z Anglikiem i wszystkim, co się potem wydarzyło.

– Czyli było tak – podsumowała dziewczyna – że ustrześliłeś największego byka w tutejszych górach, sprzedałeś go cudzoziemcowi, który wystrzelił do niego równocześnie z tobą, kupiłeś karabin warty roczne wynagrodzenie wolnego mężczyzny, a następnego dnia poszedłeś w kosogon ze swoim wujem i wypowiedziano ci umowę, na mocy której mógłbyś z tego karabinu korzystać.

– Tak to mniej więcej wyglądało.

– Mój drogi – powiedziała Kristine Messelt. – Że jesteś przygłupi, to się domyśliłam, ale chyba powinnam nazwać cię jakoś inaczej. W gorącej wodzie kąpany.

Miała dwanaście krów, które musiała doić, a potem przerabiać ich mleko na ser, masło i śmietanę. Przerwy odmierzała z pomocą promieni słonecznych przesuwających się po parapecie – cień jednego ze szprosów padał na rysy wycięte tak, by wyznaczały kolejne godziny. Słońce świeciło, trawa parowała, Jehans mógł zaś spokojnie dotrzeć do Saubua przed zapadnięciem zmroku. Zapytał, czy może sobie zrobić coś do jedzenia, najlepiej mięso, bo i tak potrzebował prowiantu, by przeprowić się przez góry z obciążeniem – zaproponował jednocześnie, że ugotuje też dla niej. Kristine poszła do warzelnii, by podgrzać wodę do szorowania cebrzyków i wiader.

Jehans widział wcześniej na granicy brzozowego lasu żółte kurki, poszedł tam więc i ich nazbierał. Dziewczyna miała niewielki zagon z ziemniakami niedaleko szopy na drewno, stała tam wbita w ziemię na skos motyka, a on wykopał kilka bulw obok miejsca, z którego brano je wcześniej. Ziemniaki były niewielkie, lecz złociste, podłużne i twarde, Jehans umył je w strumieniu, zaniósł do izby, wrzucił do gara i ugotował w czystej wodzie.

Wyciął kilka ładnych kawałków mięsa spod kręgosłupa rena, ułożył je na sosnowym blacie i długo rozbijał okorowaną szczapką drewna. W szafce znalazł grudę żółciutkiego masła, które zawsze przybierało taką barwę, gdy pozwalano krowom paść się długo w górach. Zastanawiał się, czy to właśnie to masło Kristine ubijała, gdy zszedł do niej, niosąc mięso, które teraz miał ponieść dalej.

Dobrze rozgrzał żeliwną patelnię, rozpuścił na niej masło i usmażył mięso tak, jak smażył je

w górach – tyle tylko że tam zapachy porywał wiatr. Tymczasem izba wypełniła się aromatem gór, pastwisk i jesieni, lecz także znajomymi woniami tego, co dały im krowy, ziemia i dzika natura – mięsa, ziemniaków i śmietany, a wszystko to mieszało się z zapachem podłogi świeżo wyszorowanej piaskiem z dna strumienia i drewnianych łyżek wyszorowanych gałązkami jałowca.

Usmażył grzyby i mieszał pokrojone ziemniaki w tłuszczu tak długo, aż stały się brązowe i błyszczące, po czym postawił patelnię na stole i sięgnął po kwaśną śmietanę, napełnił szklanki wodą ze strumienia i obejrzał je pod światło, upewniając się, że nie pływają w nich martwe muchy, na koniec zaś wytarł nóż, którego używał do gotowania, wsunął go do pochwy, po czym wyszedł przed chatę i zawołał do Kristine, by przysłała, gdy tylko uzna to za stosowne.

Masło, mięso, grzyby oraz ziemniaki. I odrobina nadziei.

Dziewczyna weszła i popatrzyła na stół. Zebrała fałdy spódnicy i usiadła pod ścianą.

Jehans spojrzął w kierunku okna, pod którym stał jego krag i z którego rozpościerał się widok na pastwisko i góry, w których zniknie, gdy wreszcie sobie stąd pójdzie. Kristine popatrzyła w tym samym kierunku i ujrzała to samo co on.

Obórka, góry i krag.

Tak być musiało.

Była taka piękna

Był zupełnie zwyczajny wieczór czwartkowy w styczniu roku 1904. Zabudowania plebanii majaczyły w granatowych ciemnościach ciche i spokojne, malowane na biało, z odśnieżonym podwórzem i drgającymi płomieniami świec za szybami okien. Na obiad podano tego dnia jedno z najchętniej przyrządzanych ostatnio przez panią Bressum dań, nieciekawe i właściwie bez smaku – bladą zupę gotowaną na świńskich kościach, oczyszczonych z mięsa tak dokładnie, że było to podejrzané. Pod wieczór najmłodsza córka zarządcy dostarczyła do kuchni mleko i kurze jaja, pan Røhme przyniósł wodę, sam Kai Schweigaard siedział zaś w salonie, przy ogniu trzaskającym w kominku. Budynek plebanii był dość chłodny, okna nieszczelne, ale ściany salonu pomalowano na czerwono i dlatego, siedząc tu, miało się wrażenie, że jest ciepło i przytulnie. Pastor miał na kolanach otwartą powieść Kincka, prawie skończył już czytać pierwszy rozdział, gdy ciszę – w której, podobnie jak każdego zimowego dnia tego roku, zdawał się wibrować jakiś ledwie słyszalny podźwięk – przerwały nagle głosy dochodzące z sieni.

Do plebanii przybył gość.

Ktoś zapewne umarł. O tej porze to chyba nic innego. Ewentualnie choroba. Tak czy inaczej – jakaś zła wiadomość.

Schweigaard odłożył książkę i zaczął nasłuchiwać. Zdjął stopy z podnóżka, niechętnie odkładając powieść rozpoczynającą się tak znakomitym jego zdaniem rozdziałem. Ale nikt nie zapukał do drzwi. Usłyszał natomiast, jak gospodyni woła pana Røhme, a kroki i głosy powoli przenoszą się do drugiego skrzydła domu. Pastor wrócił więc do lektury i zdążył już zacząć drugi rozdział, gdy rozległo się charakterystyczne pukanie do drzwi kościelnego – dwa wyraźne stuknięcia kostką palca wskazującego, oddzielone od siebie długą sekundą, tak inne od głuchych walnięć pięści gospodyni.

Pan Røhme stanął w uchylonych drzwiach, nie mając jednak najwyraźniej zamiaru wejść do środka. W ciemnościach za jego plecami majaczyła sylwetka, której Schweigaard w pierwszej chwili nie rozpoznał, ale która okazała się należeć do pani Bressum, próbującej dojść, co też się dzieje.

– C-coś się s-stało – zaczął kościelny.

– Ach tak? Kto do nas przyszedł?

Pan Røhme wszedł do salonu, zatrzasnął drzwi przed nosem gospodyni i wbił wzrok w podłogę.

– T-ta-tamta z Dovre.

– Tamta z Dovre? Pani Stueflaaten?

Schweigaard niczego nie rozumiał.

– Nie – powiedział kościelny. – Jej służąca.

– Przyjechała do nas?

– Sie-siedzi w moim pokoju. S-strasznie się wstydzi.

Kai Schweigaard wyprostował plecy.

– Ach tak, panie Røhme. To niedobrze.

– No n-nie.

– Coś się zapewne stało tamtej nocy, którą tam spędziliśmy?

– Tak. Ona była t-taka piękna.

– No ale mimo wszystko, panie Røhme!

– P-przepraszam! Ale ja nie chcę zmieniać p-pracy. Chcę tu z-zostać! Jako kościelny. U pastora.

A przecież nie m-mogę. Skoro tak nagrzeszyłem.

– A ta dziewczyna? Podoba się panu?

– N-nawet do niej listy słałem. Ale ona nie odpisała. Więc myślałem, że nic z tego. Że ona mnie jednak nie p-polubiła.

– Listy?

– Tak. Dwa, całkiem długie.

Schweigaard zaczął krążyć po salonie z dłońmi splecionymi na plecach.

– B-bo ona nie umie za dobrze czytać ani pisać. Powiedziała mi teraz. Ale w głowie ma wszystko po kolei. Prowadzi tam całą kuchnię.

Pastor przystanął.

– Tamten pudding na śmietanie i baranina? To było jej dzieło?

– T-tak.

– I to ona przygotowała nam tak schludnie zapakowany prowiant na drogę? Ona?

– T-tak.

– Jak się nazywa?

– Lilleseeter. Gyda Lilleseeter.

Schweigaard udał, że się zastanawia, ale tak naprawdę przeciągał tylko czas, by sprawić wrażenie, że w takim przypadku trudno coś doradzić.

– Ta sprawa z czytaniem i pisanem może znaczyć tylko tyle, że miała złego nauczyciela. Tak czy inaczej musimy pomyśleć o dziecku, panie Røhme. I o panie Lilleseeter. Oraz pańskim stanowisku kościelnego.

– Tak. Tak.

– Niech pan tu usiądzie i zaczeka. I popilnuje ognia w kominku.

Schweigaard zajął do kuchni i poprosił panią Bressum o zagrzanie dużego kubka kakao. Ruszył przez korytarz z pewnym pośpiechem. Gdy był już w drugim skrzydle, zwolnił nieco, by jego kroki nie brzmiały tak ostro i nerwowo. Zapukał do drzwi i od progu rozpoznał służącą ze Stueflaaten. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, pomiędzy jej palcami spływały pukle lśniących, jasnych jak pszenica włosów. Była zmęczona podróżą, płaczem i wstydem.

– Witam pod moim dachem, panno Lilleseeter.

Cóż, nie zabrzmiało to może jak odpowiednie w tej chwili powitanie. Pastor odchrząknął i usiadł na taborecie.

– Moja droga pani. Rozumiem, że to się stało nieoczekiwanie. Tak się czasem życie układa. Dobrze pani zrobiła, że tu przyjechała.

– Ja nie jestem żadna rozpustnicą – zapłakała dziewczyna.

– Oczywiście że nie. Po prostu... czasem człowiek się zapomina. Proszę powiedzieć... nadal pracuje pani w Stueflaaten, tak?

– Jak na razie. – Gyda pociągnęła nosem. – Ale wie pastor... z bękartem... to nie wypada.

– No już, już. Proszę posłuchać. Każę przygotować dla pani pokój na dzisiejszą noc. Dam panu Røhme jutro wolny dzień. Żebyście mogli... odbyć rozmowy.

– Rozmowy?

– Musicie się zastanowić, co teraz zrobić. Choć to właściwie bardzo proste. Gdy dwoje ludzi darzy się estymą i będą mieli dziecko, to się powinni pobrać.

– Ale ja nie mogę wyjść za mąż!

– Słucham?

– Nie jestem confirmowana. To właśnie dlatego takie straszne. Nie mogę się nauczyć liter. Patrzą na nie, ale one za każdym razem jakby znaczą coś innego. Więc nasz pastor mnie nawet nie dopuścił do egzaminu. Jestem głupia! I to głupia tak strasznie, tak najgorzej.

Kai pocieszył ją i w końcu nieco uspokoił.

– Prawo się zmieniło, panno Lilleseeter. I niezależnie do tego nauczę panią czytać, przynajmniej o tyle, o ile. Niejedną już indywidualną confirmację i prywatny egzamin mieliśmy pod tym dachem.

Usłyszał w korytarzu kroki pani Bressum, wyszedł do niej, wziął od niej kubek i posłał gospodynię z powrotem do kuchni. Gyda Lilleseeter napiła się kakao i wzięła trochę w garść, uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Przepraszam – powiedziała. – Zupełnie się rozkleiłam. Zazwyczaj taka nie jestem. Ojciec mnie zawsze chwali, że twarda ze mnie dziewczucha. Tylko ta historia z czytaniem. Wszystko mi się miesza. Więc trochę się wstydzę ludzi. A potem przyjechał pan Røhme i się okazało, że też jest trochę dziwny, tak jak ja, ale nie głupi. Że jest z nim prawie tak jak ze mną. No i tak się jakoś poskładało. To był dla mnie pierwszy raz. Niech pan pastor nawet nie myśli inaczej. Nie jestem rozpustna. Ale poczułam

w sobie nagle taki gorąc... To znaczy, nie gorąc, ale... chociaż trochę tak... – Dziewczyna znów się rozpląkała i zaczęła szlochać: – A teraz będę miała dziecko, które nie będzie umiało ani czytać, ani dobrze mówić.

– Ależ nie, nie. Takie cechy nie są raczej dziedziczne. Ale to normalne, że rodzice się niepokoją.

– Tak się po prostu poskładało! On był taki piękny.

– Owszem, to samo powiedział mi o pani.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. Proszę posłuchać. To wszystko dzieje się dość nagle i niespodziewanie, ale ja tu dostrzegam oznaki prawdziwego zakochania. Kończącego się z reguły długim i szczęśliwym małżeństwem. No, proszę już przestać płakać. Tak się składa, że mam w takich sprawach ponad dwadzieścia lat doświadczenia jako pastor i niejedno już widziałem. Mogę też poświadczyć, że pan Røhme to dobry, pracowity i uczciwy człowiek. Nie chcę stracić takiego pracownika, ale nie mogę też zatrudniać człowieka, który nie przestrzega słowa Bożego.

– Ale to się tylko tak poskładało, coś nas do siebie pchało!

– Tak, tak, rozumiem. Mam propozycję, panno Lille seter. Mogłaby pani wyjść za pana Røhme i tutaj zamieszkać.

– Tu, na plebanii?

– Owszem. Zwolniło się u nas właśnie stanowisko dla... młodszej gospodyni. Odpowiadałaby pani w pełni za wyżywienie i planowanie posiłków. Jedno ze skrzydeł naszego domu pozostaje niezamieszkałe od ponad dwudziestu lat. Dostalibyście trzy pokoje, coś w rodzaju służbowego lokum. Salon, pokój dziecięcy i sypialnię. Wystarczyłoby te pomieszczenia odmalować jakąś farbą w wesołym odcieniu i zrobiłoby się... całkiem przytulnie. Prawdę mówiąc, chętnie powitałbym tu na plebanii gwar i widok dzieci.

– A co z tą starszą panią, co teraz gotuje?

– Nie wyrzucę jej, a skąd, oczywiście, że nie. Zostanie z nami. Trochę z tym pewnie będzie ceregieli, ale ją przekonam, by przeszła na zasłużoną emeryturę. Dużo trudniej pewnie przyjdzie mi obłaskawienie Jenny Stueflaaten, która straci swą najlepszą kucharkę.

Rena nie ma nigdy tam, gdzie był

Jehans miał za sobą ciężkie lato. Oswald wymyślił sobie, że zburzy starą stodołę, ale najpierw zapragnął zdjąć wszystkie łupki z dachu i schować je na później, więc na ten dach musieli się wspiąć dwaj mężczyźni, a jednym z nich był Jehans. Oswald oświadczył ze śmiechem, że potrzebuje kogoś zaufanego. Adolf miał już kłopoty z chodzeniem, Ingeborg była coraz słabsza, więc chłopak musiał pracować w Halvfarelia sam. Krag wisiał nieużywany na kołku w jego chatce.

Padalo. Za dużo i za długo. Trawa położyła się na ziemi, buty grzęzły w błocie z nieprzyjemnym mlaskiem. Ingeborg wyszła na ziemniaczane zagony i stwierdziła, że wszystko zgnije. Sianokosy się opóźniły i po trzech tygodniach codziennej pracy od świtu do zmierzchu Oswald zgodził się wreszcie dać Jehansowi dwa wolne dni na polowanie. Już tej samej nocy, gdy Adolf i Ingeborg jeszcze spali, chłopak wyszedł na mokrą od rosy jesienną trawę i zaczął się wspinać ku brzezynie, niosąc ze sobą kraga i ojcowską wędkę. Zajrzał do Ormsetra, ale Kristine była dziwna i niespokojna. Odwiedził ją wiosną i jeszcze raz w pewną czerwcową niedzielę, wędrownka z Butangen do Ormsetra zajmowała osiem godzin, on zaś docierał tam w blasku księżyca i w blasku księżyca odchodził, czując się lekki i silny jak nigdy.

Ale teraz zrozumiał, że dziewczyna nie jest na pastwiskach sama.

– Nic się nie zmieniło? – zapytał, czując ukłucie zazdrości. – Z nami?

Odpowiedziała mu, że nic. Z warzelni dobiegły jakieś hałasy, on zaś dostrzegł, że to gospodarz się tam uwija. Z wykrzykiwanych przez niego rozkazów domyślił się, że Kristine dostała do pomocy drugą dziewczynę.

Powiedziała mu, że wolałaby być tu sama. Mieć dwa razy tyle roboty i móc się z nim widywać.

– Dużo bardziej bym wolała – oświadczyła, poprawiając fartuch. – Dużo bardziej.

– Gdyby tylko mieć coś swojego – odparł Jehans, chwytając kraga drugą ręką. – Nieważne jak małego.

– Nieważne jak małego – powtórzyła Kristine. – Ale własnego. Pamiętasz ten obiad, który nam wtedy przyrządziłeś, Jehansie? Pamiętasz?

Zdążyli się jeszcze pocałować za spaloną od słońca drewnianą ścianą, a kilka godzin później on był już przy Saubua, nie zobaczywszy po drodze ani jednego rena. Choć jednak miał przed sobą ostatni na długo dzień polowania, nie był w stanie zasnąć.

Kristine wcisnęła mu zawiniątko z podpłomykami, serem i masłem. Żadne jedzenie, którego wcześniej kosztował, nie mogło się równać z tymi smakołykami. Czuć w nich było ciepło słońca, wodę ze strumienia, soczystą trawę, górskie powietrze i bezgraniczną cierpliwość krów. Ser i śmietanę Kristine wyrabiała zgodnie z przepisami i instrukcjami starych pasterek, które ją do wszystkiego przyuczyły, z czasem dziewczyna zmieniała nieco te receptury i je udoskonalała.

Wszystko jednak, co wytwarzała na górskich pastwiskach, zwożono do majątku, opatrywano nazwiskiem gospodarza i sprzedawano kilogramami, zaś nikt, kto jadł potem tę śmietanę, masło i ser, nie miał się dowiedzieć, kim jest Kristine Messelt.

Za mięso renifera Jehans mógł dostać parę koron – zwyczajną, uczciwą zapłatę, ale była to kropla w morzu w porównaniu z tym, czego by potrzebowali z Kristine, by kupić własne gospodarstwo.

Kto miał pieniądze, ten miał przewagę. Tak wielką, przekłętą przewagę. Zupełnie jakby cały świat był ciężką burzową chmurą i zaczynał grzmieć czy miotać pioruny, ilekroć Jehans próbował wyrwać się z miejsca, w którym przyszło mu żyć. Wszędzie te sztywne zasady, fałszywa duma, wysokie ogrodzenia. Jehans nie miał Kristine nic do zaoferowania, a jedyne, co go czekało, to ciężka praca. Czyżby to życie naprawdę nie niosło ze sobą niczego więcej? Krag miał wszystko odmienić, lecz tak się nie stało. Gdzie się podział ten płomień, który nosił w sobie jako młody chłopak, pochylony z zachwytem nad książkami, podekscytowany przez wiele dni po prelekcji o zwojach elektrycznych i magnesach? Płomień, który towarzyszył mu, gdy budował tratwę, marząc, że wyłowi dzwon z jeziora?

Rzucić wyzwanie przepowiedni to jedno. Rzucić wyzwanie rzeczywistości – coś zupełnie

innego.

Szedł przed siebie trochę rozkojarzony i trochę głodny, pamiętał, że ten sam głód towarzyszył mu tamtego ranka, gdy ustrzelił byka pod Jammerdalsshøgda.

Mijały kolejne godziny.

Góry wokół niego były brunatne i szare, pogoda się nie zmieniała, wszystko dookoła jawiło się tak samo bezbarwne i pozbawione życia. Jehans zaczął myśleć o Angliku i ruszył w miejsce, w którym padł tamten byk. Po kilku godzinach marszu trasą wyznaczaną przez górskie zbocza dostrzegł trzy spiczasto zakończone szare namioty, zaś na brzegu południowego jeziora Breijtønne ujrzał siedzącego w kucki mężczyznę. Trzej inni ludzie opuszczali właśnie obozowisko, prowadząc jucznego konia.

Jehans wyjął lornetkę. Przez rysę na szkle tylko część obrazu miała ostrość, reszta wyglądała, jakby świat popękał, przybierając wszystkie kolory tęczy, i zdawało mu się, że widzi innego człowieka w innej rzeczywistości. Człowiek ten przeczuwał chyba, że ktoś jest w pobliżu, bo napełniając garnek wodą, co jakiś czas unosił wzrok i rozglądał się dookoła.

Czyżby to on? On? Przyjechał i w tym roku?

Jehans wyprostował plecy, tak że stał się widoczny dla człowieka na brzegu, kopnął kamyczek, który potoczył się w dół zbocza, robiąc przy tym jak najwięcej hałasu. Drugi mężczyzna wstał i chwycił lornetkę, którą miał zawieszoną na szyi. W ostatniej chwili rozmyślił się chyba i wypuścił instrument z rąk, a Jehans rozpoznał w tym geście samego siebie, on również uważał, że nie powinno się patrzeć w ten sposób na ludzi, zwłaszcza gdy miało się już z nimi kontakt wzrokowy.

Anglik ruszył mu na spotkanie. Miał tę samą broń co ostatnio, lecz ubrany był inaczej, w szare spodnie i ciemniejszą, półdługą kurtkę z wieloma kieszeniami.

Jehans wyciągnął dłoń, by się z nim przywitać, Anglik ją uściśnił, wolną rękę kładąc mu na ramieniu.

– To naprawdę pan, panie Hekne? – zapytał. – Pewnie pan pamięta, że nazywam się Harrison, tak?

– Oczywiście – odparł Jehans. – Victor Harrison.

– Ma pan w tym roku inną broń?

Jehans zdjął krąg z ramienia i powiedział, że owszem. I że zapłacił za niego pięćdziesiąt cztery korony i sześćdziesiąt øre.

W tym roku łatwiej im się było porozumieć, a Harrison wyjaśnił, że spędził w Kristianii trochę czasu, by zaopatrzyć się w sprzęt i odświeżyć znajomość języka, którego nauczył się jako dziecko. Miał zamiar polować w samotności, ale wpadł w hotelu na dwóch Anglików z bronią i wędkami, więc trudno mu było odmówić, gdy zaproponowali wspólną podróż koleją na północ. Stąd te trzy namioty.

– W Ringebu znaleźliśmy konia i człowieka, który zna tę okolicę – ciągnął Harrison. – Ale nie jestem pewien, na ile on ją faktycznie zna. Moi towarzysze ruszyli właśnie na poszukiwanie renów. Ja natomiast postanowiłem tu zostać i powędkować, rzecz jasna wziąłem ze sobą na wszelki wypadek broń.

– Dobry ruch – stwierdził Jehans. – One się potrafią pojawić zupełnie zniemacka. To znaczy reny.

– Niczego tu nie złowiłem, więc pomyślałem, że przejdę do tamtego jeziora. – Ruchem głowy Harrison wskazał wzniesienie za ich plecami. – Są tam ryby?

– Ryby są we wszystkich tutejszych jeziorach – odrzekł Jehans. – Ale nie wszędzie biorą.

– A reny?

– Renów teraz tu nie będzie. Nie ten wiatr.

– Ach tak. Więc mogą być gdziekolwiek.

– Nie, nie mogą – stwierdził Jehans. – Reny są w jednym tylko miejscu. W tym, w którym akurat są.

Powiedział to po norwesku, Anglik zaś potrzebował chwili, by to zdanie przetrawić. Poszedł do namiotu i coś tam chwilę robił, a wróciwszy, zaczął rozpalać ognisko.

Musieli przywieźć ze sobą drewno, bo były to proste kawałki brzozy z doliny, nie zaś tej górskiej – powykęcanej i porośniętej mchem, paliły się dobrze i równo, a woda w okopconym garze szybko się zagotowała. Harrison przyniósł niewielki brązowy czajniczek, z którego wytrząsnął mokre fusy, opłukał go ciepłą wodą i nasypał do środka jakiegoś suszu, który z pewnością nie był kawą. Gdy

Anglik stał odwrócony do niego plecami, Jehans pozbierał fusy z mchu i napakował ich sobie do kieszeni, wiedział bowiem, że nadal mają trochę smaku.

Harrison powiedział coś o herbacie, że to z ich plantacji, i chyba się zorientował, że jego towarzysz nie zna tego słowa, więc – by go nie zawstydzić – zaczął mówić dalej o tym miejscu, używając jednak słów takich jak „pola” czy „zbiory”.

– Dobra ta herbata – stwierdził Jehans. – Nie żebym się na tym znał, ale mi smakuje.

Zaczęli porównywać swoje karabiny. Norweg zwrócił uwagę, że obaj siedzą identycznie, ze stopką kolby opartą o udo i lewą ręką na lufie. Począł, aż Harrison odwróci wzrok i chwycił broń drugą ręką.

Anglik nie mógł się nachwalić konstrukcji magazynka w kragu. Obejrzeni amunicję, którą strzelali. Do kraga pasował kaliber 6,5x55, do rigby’ego zaś – .256 Mannlicher, różnice były minimalne, gdyby jednak przez przypadek zamienić pociski, karabiny by rozsadziło.

– Widzę, że kupił pan też wędkę? – zapytał Harrison.

– Słucham?

– Przepraszam, chyba źle powiedziałem. Wędka – powtórzył Anglik, wskazując palcem. – Czy to nie wędkę ma pan w tym futerale?

– A tak. Jak najbardziej. Należała do mojego ojca.

– Mógłbym obejrzeć? – spytał Harrison, a gdy uzyskał zgodę wyrażoną skinieniem głowy, otworzył skórzaną tubę i wyciągnął z niej futerał z rozkręconą na sześć części wędką. Dostrzegł pochyły biały napis nad korkowym uchwytem i wykrzyknął:

– Przecież to dzieło braci Hardy’ch! Z Alnwicku!

– Tak?

– To moje rodzinne strony! Wielokrotnie robiliśmy tam z ojcem zakupy. Niech no spojrzę... Smuggler? Pierwsze słyszę. Możliwe, że to prototyp. Zapewne jedno z ich pierwszych dzieł, bo po pierścieniach widzę, że wędkę wykonano przed rokiem tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. To musiał być wtedy bardzo odważny zakup.

– Dlaczego?

– Teraz to wielkie przedsiębiorstwo, ale w tamtych czasach bracia Hardy byli jednymi z wielu producentów wędek w Anglii. Trzeba więc było pewnych umiejętności, żeby odróżnić dobry sprzęt od złego. Pański ojciec musiał się znać na wędkarstwie muchowym. Mógłbym ją złożyć?

Jehans chciał zaprotestować, ale nic nie powiedział.

Harrison oddał mu wędkę.

– Proszę wybaczyć – rzekł. – Bardzo przepraszam. Czasami tak się do czegoś zapalę, że się zapominam. Wędki to bardzo osobiste przedmioty. Ja odziedziczyłem swoje po dziadku, który najbardziej lubił łowić na suchą muchę. A ojciec z kolei uwielbia łapać łososie. No ale nie o to chodzi. Najważniejsze, że stare wędki to przedmioty w najwyższym stopniu osobiste. Raz jeszcze przepraszam.

Miał już zwinąć futerał, gdy Jehans powiedział:

– W porządku. Proszę ją sobie obejrzeć. Jak najbardziej. Niech pan ją złoży i wypróbuj.

Wzięli broń oraz wędki i poszli do drugiego jeziora Breijtønne. Linka od wędki Jehansa wyschła zupełnie, gdy chłopak był dzieckiem, dlatego używał teraz zwykłej żyłki i haczyka.

Harrison miał dwa kołowrotki ze świeżymi linkami i nie zgorszył się wcale – a przynajmniej nie dał tego po sobie poznać – tym, że Jehans łowił na haczyk, choć miał wędkę muchową. Nie należał do ludzi, którzy lubią wytykać innym ich niedostatki. Bogaci gospodarze w Butangen zapytaliby w takiej sytuacji, czemu Jehans nie kupił sobie po prostu nowej linki, i radowaliby się jego upokorzeniem.

Młody Norweg patrzył, jak Harrison robi kolejne wymachy smuglerem, wyrzucając sznur wysoko w powietrze. Wyglądało to tak, jakby tworzył w na tle nieba jakiś rysunek, którego linie zniknęły równie szybko, jak się pojawiały.

Zaczęła w nim wzbierać radość i niepokój. Przepęłniło go coś, czemu – wiedział to już w tamtej chwili – z czasem podda się i ulegnie. Było to coś zupełnie obcego, jakaś iskra, siła i wkrótce też pokusa, by tej iskrze i tej sile zawierzyć.

Ogarnęła go dziwna czułość.

Coś pomiędzy tym, co czuł do Kristine Messelt i do Adolfa.

Słyszał o tym nieraz, o mężczyznach, którym podobają się inni mężczyźni, lecz czy o taką właśnie czułość tu chodziło? Jeśli tak, to powinien się stąd jak najszybciej oddalić.

A mimo wszystko nie ruszył się z miejsca. Chciał, by to uczucie trwało. Czymkolwiek by miało być.

Nikommu innemu nie pozwalał ruszać wędki po ojcu. A teraz podziwiał, jak Harrison robi nią zamachy, wydobywa z niej pełnię możliwości, człowiek ten dysponował siłą i charyzmą pasującymi doskonale do tego rodzaju wędkarstwa, miał lekkość ruchów i pełną nad nimi kontrolę. Jasnożółta linka śmigła między pierścieniami, rysując na niebie literę U, która zmieniła się w J, a potem znów strzelała do przodu.

Anglik oddał mu smugglera i poprosił, by sam spróbował, ale sznur kładł mu się tylko na wodzie albo opadał na ziemię za jego plecami.

– Nie szarpie pan dość gwałtownie – powiedział Harrison. – Proszę sobie wyobrazić, że wędka to patyk, na końcu którego ma pan jabłko. Chce pan je odrzucić jak najdalej. Dlatego trzeba się zamachnąć i we właściwym momencie mocno szarpnąć, by jabłko poleciało do przodu. O, tak właśnie!

Jehans domyślał się, że Anglik nie rozumie, czemu ojciec nie nauczył go obchodzić się z wędką, mimo że mu ją przekazał, dlatego też wyjaśnił, że jego rodziciel zmarł na zapalenie płuc krótko przed jego urodzeniem.

– Pochodził z Niemiec – dodał. – Studiował architekturę.

Harrison zamilkł na dłuższą chwilę. Chwytał mocniej wędkę, złożył kondolencje i jeszcze raz objaśnił, jak należy wykonać prawidłowy zamach. Jehans próbował go naśladować i sam nie wiedział, czy bardziej pragnie opanować tę sztukę, czy też odejść stąd jak najprędzej i nadal łowić na żyłkę i haczyk.

Jak to zazwyczaj bywa, pstrąg stracił zainteresowanie przynętą, zanim Jehans nauczył się ją dobrze zarzucać. Ale Harrison zdołał złapać dwie ładne sztuki na wędkę Gerharda Schönauera, zadziwiając przy okazji Jehansa tym, że wypuścił jedną z ryb z powrotem do wody.

Wrócili do obozowiska, rozpalili ognisko i upiekli na nim pstrąga, zjedli go w ciszy, a Jehans uświadomił sobie, że podzielili się pracą, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa.

W końcu Harrison odchrząknął i zapytał, czy Jehans nie zechciałby zostać na tydzień przewodnikiem jego grupy. Poprowadzić ich do miejsca, w którym będą reny. Zapłata miała być sowita.

– Dziękuję. Ale to niemożliwe. Jestem związany kontraktem. Umową o pracę. Muszę dziś wieczorem być z powrotem we wsi.

Nie dodał, że wiąże to umowa niemal niewolnicza, podpisana z jego własnym wujem.

Jehans dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Do obozowiska zbliżali się trzej mężczyźni z koniem. Młody Norweg wstał i oświadczył, że musi już iść.

– Ależ proszę zostać, jest pan naszym gościem.

– Nie. Pójdę, zanim oni wrócą.

Harrison podał mu smugglera i uściśnieli sobie dłonie.

– Szkoda, że nie może pan przyjąć mojej oferty. Mógłbym panu zapewnić... wiele pracy.

– Szkoda, ale tak to wygląda. Co teraz będziecie robić?

– Chyba spróbujemy tropić reny, każdy na własną rękę. Potem znów się spotkamy, a jeśli któryś z nas wypatrzy zwierzęta, zapolujemy na nie razem.

– To się nie uda. Reny trzeba osaczyć, gdy się je tylko zobaczy. Bo potem nie ma ich nigdy tam, gdzie były.

– W takim razie wyruszę sam i pójdę za pańską radą. Właściwie od początku tak chciałem zrobić.

W którą stronę by pan na moim miejscu poszedł?

Jehans ustalił kierunek wiatru i wskazał Øverlihøgda, mówiąc, że usiadłby tam i porozglądał się tak długo, jak pozwoli na to światło, ewentualnie wrócił jeszcze następnego ranka.

– Świetnie. W takim razie bezpiecznej drogi do domu, panie Hekne. I jeszcze raz powtórzę: Miałbym dla pana dużo pracy.

– Dziękuję, panie Harrison. Może w innym życiu.

Po jakiejś godzinie marszu Jehans natknął się na łanię. Stała spokojnie, nieruchomo jak obelisk, sama, on zaś opadł na kolana, chwycił kraga i szybko odbezpieczył broń.

Łania dostrzegła go, ale nadal stała bez ruchu.

W pobliżu nie kręcił się żaden cielak. Może była to przewodniczka jakiegoś większego stada? I ono odpoczywało tu gdzieś w pobliżu?

Nie cofnęła się ani o krok. Był to dziwny okaz, jej szarą sierść przecinały jasne prążki przywodzące na myśl płomienie.

Coś podniosło go z ziemi. Jakaś wielka, niewidzialna siła. Stanął wyprostowany i zajrzał jej w oczy. W pobliżu nie było żadnych innych zwierząt. Jehans zabezpieczył znów broń i wyciągnął ją w kierunku łani, jakby chciał jej pokazać, że może wziąć od niego karabin. I zapolować na niego.

Stali tak oboje, dopóki ona nie zrobiła w końcu kroku w bok. A potem zniknęła.

Jehans nie umiał sobie wyjaśnić, co takiego właśnie zobaczył.

Wokół niego pociemniało, zupełnie nagle. Odwrócił się, wystawiając twarz pod wiatr, i zaczął studiować barwę napływających chmur. Były ciemne i zbliżały się szybko, niosąc ze sobą powiewy północnego wiatru. Zapowiadało się na niepogodę, i to paskudną. Pewnie wyjdzie też mgła. Jehans wiedział, że powinien przyspieszyć i jak najszybciej zejść do wsi, by następnego ranka móc stawić się do pracy w Hekne.

Jeśli cudzoziemiec faktycznie poszedł na Øverlihøgda, to możliwe, że nie zdoła potem znaleźć drogi powrotnej do obozowiska. A w tych górach śnieg potrafił zalegać już pod koniec sierpnia.

Jehans długo stał i się zastanawiał, choć nie było na to czasu. Z tych rozważań urodził się w końcu wniosek, że niczego nie pragnie tak, jak stawić czoła tej niepogodzie razem z Anglikiem.

Odnalazł go dość szybko i pomyślał sobie nie po raz pierwszy: gdyby ren był myśliwym, a myśliwy zwierzyną, to człowiek padłby martwy po najwyższej godzinie. Na Victora ren potrzebowałby co najwyżej trzech kwadransów, bo cudzoziemiec szedł ścieżką prowadzącą pod szczytami wzniesień, tak że jego sylwetka była doskonale widoczna na ich tle.

– Pogoda się zmienia! – zawołał Jehans.

Harrison rozejrzał się i odkrzyknął, że to tylko kilka małych chmur.

– Może teraz są małe – odparł Norweg. – Tamci dwaj zostali przy namiotach?

– Tak, chcieli odpocząć.

– Często bywają w górach?

Harrison powiedział, że to adwokaci i nigdy wcześniej nie wyjeżdżali z Anglii.

Pospieszyli obaj do obozowiska, w ogóle niezdziwieni faktem, że są znowu razem. Podniosła się mgła. Najpierw delikatna, wisząca tuż nad ziemią, lecz wkrótce stała się biała jak mleko, kosmata. Dostrzegli ze szczytu pagórka lustro wody i dobiegł do nich łopot namiotowego płótna na wietrze. Ruszyli w tym kierunku, widoczność spadła z dwustu do stu zaledwie metrów.

Obozowisko było opustoszałe. Ognisko niemal zupełnie dopalone. Harrison nie miał pojęcia, gdzie się podzieli jego towarzysze. Możliwe, że szukali renów. Niewykluczone, że szukali jego.

Jehans i Victor zaczęli ich nawoływać, układając dłonie w trąbki przy ustach. Harrison rzucił na ziemię swój plecak i chwycił karabin. Odbezpieczył go i zatkał sobie ucho palcem, Jehans domyślił się, że robi to po to, by nie ogłuchnąć po wystrzale i szybciej usłyszeć wołanie towarzyszy. Anglik chwycił karabin jedną dłonią, wycelował ją w mokrą, trawiastą równinę, by uniknąć rykoszetu, i wystrzelił.

Stali przez chwilę, nasłuchując, czy ktoś odpowie im krzykiem lub wystrzałem.

Góry pogrążone były w złowrogiej ciszy, aż w końcu, gdzieś daleko, wypaliła broń.

Odwrócili się w tamtym kierunku, Harrison zwinął dłonie wokół ust i trzykrotnie zawołał: Tutaj!

Nie doczekali się odpowiedzi. Anglik wspiął się na głaz, już ta niewielka zmiana wysokości wystarczyła, by stał się ledwie widoczny we mgle.

– Ale ich chyba nie ma tam... – odezwał się Jehans. – Wołali stamtąd – dodał, wskazując skinieniem głowy kierunek wschodni.

– Wiatr poniosł ze sobą ich krzyk. Moim zdaniem są tu – odparł Harrison, pokazując w przeciwną stronę. – Nie mogli odejść zbyt daleko.

Oddał jeszcze jeden strzał.

Tym razem nie usłyszeli nic.

– Może są za szczytem góry – zasugerował Harrison.

Jehans rozpałił ognisko i naciął jałowcowych gałązek, które wrzucił w płomień, Anglik skinął z uznaniem głową, mówiąc, że może zapach dymu nakieruje jego towarzyszy na obozowisko.

– Ten koń, którego pożyczyciście – powiedział Jehans. – Często bywa w tych górach?

– To musiałbyś jego zapytać. A dlaczego?

– Bo może zdoła odnaleźć drogę we mgle.

Harrison oddał dwa nowe strzały i wołał, aż mu zabrakło oddechu. W końcu usiadł na kamieniu z bronią na kolanach i dorzucił drewna do ognia.

– Oni nie przyjdą.

– Nie.

– Obozowisko leży nad jeziorem, więc pewnie tym się kierują. Mogliby pójść brzegiem i tak by nas w końcu znaleźli. Ale coś się musiało stać.

– Hm.

– To miejsce trudno znaleźć we mgle – powiedział Jehans. – Wszędzie są tu małe, podobne do siebie zagłębienia terenu, wyglądają właściwie tak samo.

Postanowili wspiąć się na najbliższe zbocze i zacząć nawoływać stamtąd. Jehans widział, że Harrison często bywa w górach. Anglik szedł przed siebie długim, pewnym krokiem, omijał kamienie i wspinał się coraz wyżej, choć trasa była niełatwa. Obaj zapomnieli o picu wody, Jehansa męczył już ból głowy, jego towarzysz nie czuł się pewnie lepiej. Do jego uszu dobiegło nagle angielskie przekleństwo, odgłos osuwających się spod buta kamyków i uderzającego o ziemię ciała. Harrison leżał na ziemi, łapał z trudem oddech i związał się z bólu. W pierwszej kolejności sprawdził, czy celownik karabinu jest cały, dopiero potem złapał się za stopę.

Posiedzieli tak chwilę. Harrison wyrwał z ziemi kępę mchu, podniósł ją do ust i wycisnął z niej wilgoć. Jehans zrobił to samo.

Uświadomili sobie nagle, że nie czują już zapachu dymu. Ruszyli ostrożnie dalej, trzymając się blisko siebie, wężąc i starając się namierzyć ognisko. Harrison poruszał się coraz wolniej. Najpierw powłóczył tylko zranioną stopą, potem zaczął utykać.

– Boli? – spytał Jehans.

– Boli, owszem.

– I jest coraz gorzej?

– Cholera. Naprawdę przepraszam.

– Musimy zejść do wsi – orzekł Jehans. – Póki jest jeszcze widno. Pójdziemy w dół po zboczach. Może uda mi się znaleźć ścieżkę.

– A nie lepiej tu zostać?

– Nie. Bo istnieje szansa, że koń przyjdzie do wsi sam.

– Czemu niby miałyby to zrobić?

– Możliwe, że tamci go zgubią albo się od niego oddalą. Wtedy to my będziemy musieli zorganizować grupę poszukiwawczą.

Harrison znów zaklął.

– Byli najpewniej gdzieś w pobliżu. Do diabła. Może z trzysta jardów od nas. A mimo to ich nie znaleźliśmy.

– Tak czasem bywa.

– Co będzie, jak mgła się podniesie, a oni znajdą pusty namiot? Pomyślą, że gdzieś zamarzłem, wiadomość dotrze do nich w najlepszym razie po dwóch dniach.

– Cóż. My we wsi co chwila myślimy, że ktoś z naszych zamarzł w górach.

Uzgodnili, że zjedzą do brzeziny i przeczekają tam noc, bo może mgła podniesie się rankiem. Jehans zakładał, że w takim przypadku zdołaliby zawrócić do obozowiska. Wszystko zależało od tego, czy Harrison będzie w stanie chodzić.

– A co z tą pracą, do której miałeś zdążyć?

– Nie zdążę.

Nadszedł wieczór, co stwierdzili tylko po tym, że mgła stała się ciemniejsza. Deszcz smagał ich twarze, drewniane kolby broni błyszcząły od wilgoci, a przemoczone ubrania lepiły im się do ciała.

Usiedli pod skalnym występem i wkrótce okazało się, że uraz jest gorszy, niż Harrison sądził albo chciał przyznać. Stopa bardzo mu spuchła, rozwiązał sznurówki wysokiego buta, a mimo to z trudem zdołał go zdjąć – niewiele by brakowało, a but trzeba by było rozciąć. By móc w ogóle iść dalej, musiał się opierać na ramieniu Jehansa. Mgła nie rzedła. W końcu dotarli do brzeziny, co bardziej poczuli, niż zobaczyli, bo gałązki podrapały im twarze. Zaczęli zdzierać z brzoź korę i odcinać witki, mech i ziemia lepiły się do ich sztywnych od zimna dłoni, ale w końcu udało im się rozpalic ognisko. W blasku płomieni Jehans stwierdził, że jego towarzysz jest blady. Nie było szans, żeby wyschły na nich ubrania, przestali się też przejmować ewentualnymi uszkodzeniami broni.

Płomienie tańczyły leniwie, a ciemność wokół nich wydawała się gęstsza niż w rzeczywistości. Jehans podniósł się i naciął jałowca w bijącym od ognia blasku. Żuli jagody, gałązki wrzucili do ogniska. Gdy jałowiec wysechł, eksplodował nagle trzaskającym płomieniem, który strzelił na chwilę wysoko, rzucając na otaczające ich zarośla niesamowite światło, potem zaraz przygasł, lecz atmosfera niesamowitości została. Harrison wyciągnął manierkę z whisky, którą nazywał White Horse. Podawali sobie ją z rąk do rąk trzykrotnie, aż w końcu opróżnili. Ognisko rozświetlało mrok niczym słońce w krótki zimowy dzień, jeden z nich czuwał i dorzucał do ognia, gdy drugi spał, i tak minęła im noc, jeden był wartownikiem, a drugi odpoczywał, zmieniali się w rytmie, którego nie uzgodnili, a który mimo to pozostawał równy i stały, zupełnie jakby jakaś troskliwa matka budziła ich na zmianę za każdym razem, gdy ogień zaczynał wygasać.

Rano mgła była równie gęsta. Harrison miał srebrny kieszonkowy zegarek i tylko dzięki niemu wiedzieli, że ruszyli do wsi o godzinie szóstej. Rozmawiali niewiele, bo z Anglikiem było coraz gorzej, a od gadania na pewno by mu się nie poprawiło. Dlatego też Jehans nie wspominał, że zgubili się w pasie brzoź i zmarnowali co najmniej sześć godzin na odnalezienie właściwej drogi.

Harrison próbował z początku iść samodzielnie, wsparty na karabinie, który dorobił się paskudnych rys na kolbie i oksydowanej lufie, potem znalazł drzewko rosnące na kształt litery Y, ściał je nożem i zrobił sobie coś w rodzaju kuli. Lecz sił miał coraz mniej i musiał się wspierać na ramieniu Jehansa. Wkrótce było z nim już tak źle, że Norweg ściał kilka młodych brzoźek i związał je sznurkiem, którym zazwyczaj mocował ustrzeloną zwierzynę do nosidła.

Zrobił w ten sposób coś w rodzaju noszy, a Harrison położył się na nich, zapewniając, że czuje się jak największy idiota, który kiedykolwiek chodził po tych górach. Jehans przymocował do przedniej części prowizorycznych sanek linę, którą zawiązał sobie wokół ramion jak szelki plecaka, i zaczął ciągnąć Anglika za sobą, jakby był górą pozbieranego w okolicy mchu. Brnęli powoli wyboistą, błotnistą ścieżką przez brzozowy las, a Harrison musiał się mocno trzymać, by z noszy nie wypaść.

Gdy zegarek wskazywał trzecią, dotarli nad strumień, z którego zaczerpnęli wody do czajniczka na kawę, napili się z niego, po czym powtórzyli tę samą operację. Jehans wyciągnął rękę po czajniczek, a wtedy Harrison chwycił jego dłoń i mocno ją uściśnął.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję. Zgubiliśmy się, prawda? Zanim zrobiłeś te nosze?

– Tak. Zgubiliśmy się.

– Dziękuję, Jehansie Hekne. Nie będziesz żałował, że mi pomogłeś.

Gdy wreszcie zaczęli się zbliżać do wsi, był już wieczór, a oni dawno porzucili nadzieję na spotkanie kogoś po drodze. Skonstruowane naprędce nosze ledwie się trzymały, a w końcu zupełnie się rozpadły i Harrison zleciał na ziemię.

Minęło sporo czasu, zanim znów się do siebie odezwali.

Pozostawał pewien problem, którego Jehans nie chciał ubierać w słowa. Wolał nie zabierać cudzoziemca do Halvfarelia, bo przybrani rodzice nie zdołaliby im pomóc, a tamtejsza bieda była po oczach. Pragnął pozostać w oczach Harrisona tym, kim był dla niego w górach, wolnym człowiekiem, kimś Anglikowi równym. Mężczyzną, o którego wartości stanowił noszony krag, zabity renifer i rozpalone ognisko.

Nagle przypomniał sobie obietnicę złożoną przez laty, ciężką dłoń na ramieniu, dłoń człowieka, który oferował mu bezwarunkową pomoc w przypadku jakichkolwiek życiowych trudności. Owszem.

Był ktoś, do kogo mógł się zwrócić. Zupełnie jakby wszystkie wypadki minionego dnia wiodły go ku temu człowiekowi.

- Zostało nam jakieś ćwierć mili – powiedział Jehans.
- Angielskiej czy norweskiej?
- Norweskiej, niestety.

Harrison nie był już w stanie obciążać zranionej nogi, wobec czego odczepili rzemienie, na których nieśli broń, splekli je ze sobą i opasali się nimi na wysokości klatki piersiowej, przywiązując się w ten sposób do siebie. Objęli się za ramiona, każdy z nich chwycił karabin w wolną rękę i tak pokuśtykali naprzód.

Widok na dolinę to otwierał się przed nimi, to znikał w ciemnościach, gdy księżyc chował się za chmurami. Raz widzieli, jak gościniec wiję się przed nimi w szarawej poświacie, raz musieli się kierować przerwą między czubkami drzew na tle ciemnego nieba, z nadzieją, że gościniec będzie tam, gdzie tę przerwę dojrzeli. Ciężko im się szło w tym mroku, sił brakowało, gdy nagle chmury znów się rozstały, zaświecił księżyc i zobaczyli przed sobą polanę, a Jehans rozpoznał drewnianą chatę Framstadowej. Z tego, co wiedział, chata stała pusta, ale nagle dostrzegł jakąś sylwetkę, człowieka siedzącego na stołku przy kamieniu szlifiernym, wystraszył się i zmylił krok.

Ale nie. Nikogo tam nie było. Wokół kamienia i stołka falowała tylko trawa. Odnaleźli z Harrisonem rytm i pokuśtykali do przodu, idąc dziwnym, trójmiarowym krokiem, zupełnie jakby nieśli między sobą wiadro pełne wody.

Gerhard Schönauer powraca

Kai Schweigaard wystukał tytoń z fajki i wyszedł do ogrodu. Gałęzie jabłoni uginały się pod ciężarem dojrzałych owoców. Zazwyczaj przyjemnie się tu stało wieczorami, gdy deszcz skapywał z gałęzi, ale tym razem padało już długo. Za długo.

Deszcz, zarówno w umiarkowanych, jak i bardziej szczodrych ilościach, potrafił być błogosławieństwem, gdy jednak ziemia nasiąkała wodą, a zboża kładły się na polach, parafię zaczynała ogarniać rozpacz. Obawiano się, że zima przyniesie ze sobą głód, choroby i śmierć.

Wierni ciągnęli wtedy do kościoła.

Dlatego też w każdym swoim kazaniu tej wiosny, tego lata i jesieni Schweigaard podsumowywał pogodę minionego tygodnia i jej znaczenie dla miejscowych upraw. Leżało to w obowiązku rozsądnego pastora sprawującego posługę na wsi. Parafianie zauważyli zapewne, że po śmierci Astrid religijny zapał w przemowach Schweigaarda nieco przygasł, gdy jednak proboszcz wspinał się na ambonę i z radością oznajmiał, że pogoda w tym tygodniu dopisała albo że zasadzono ziemniaki, i zapraszał do wspólnej modlitwy o to, by dobrze wyrosły, wierni podnosili głowy i zgodnie kiwali nimi w jednoznacznej aprobacie.

Z otwartego okna drugiego skrzydła domu dobiegł dziecięcy płacz, który przegonił wszystkie jego zmartwienia. Co za wspaniały dźwięk! Pani Røhme urodziła tej wiosny zdrowego, silnego chłopca, który krzychał tak, że nawet jego zatroskany ojciec musiał przyznać, iż mały najpewniej nie będzie jękał. Schweigaard nie podejrzewał, że przyjscie na świat Simena – bo tym właśnie imieniem miał wkrótce ochrzcić dziecko – tak bardzo odmieni jego życie. Tymczasem narodziny chłopca tchnęły nową radość w cały dom i wszystkich mieszkających w nim ludzi.

Pastor był ubrany w bordowy sweter z szarym wzorem liści akantu na piersi. Nikt nie zapytał i nie zapyta, skąd go miał, lecz Kai odbył sam ze sobą długą dyskusję, zanim postanowił w nim chodzić, głównie dlatego, że kolory przypominały mu o tamtych odnalezionych poduszkach. Sweter przyszedł do niego w paczce z Dovre. Choć nigdy potem już się nie spotkali, kobieta, która go zrobiła, wykazała się niepokojącą wręcz spostrzegawczością, doskonale dopasowując go do sylwetki Schweigaarda. Sweter był na tyle luźny, by nie krępować ruchów, i jednocześnie na tyle dopasowany, by podkreślać jego muskularną pierś i płaski brzuch. Gdy go w końcu włożył, poczuł powiew dawnej tęsknoty, ale otrząsnął się z niej, przypominając sobie, ile minęło już lat i że grób Astrid, jak wszystkie inne groby, zniknął pod grubą warstwą śniegu. I że zima, dzięki swym białym szatom, była okresem, w którym zapomnienie myliło się czasem z czystością.

To, co mi wtedy powiedziała, musi odnosić się także do mnie, myślał. Bo przecież powiedziała to wprost. Tak wprost, jak powiedzieć może to tylko martwa kobieta: Że także na męskim serdecznym palcu zmieszczą się dwa pierścionki.

Wysłał list z podziękowaniami, jak na niego całkiem długi, w pierwszym zdaniu informując, że pisząc te słowa, ma na sobie sweter, który dla niego zrobiła. Ona zaś odpisała mu szybko, opowiadając, że jej teoria o powiązaniach kraciastego wzoru ze szkockim pochodem spotkała się z ogromnym oporem. Wysłali sobie jeszcze po dwa listy, ale potem przyszła wiosna, śnieg na grobie stopniał, a on nie był już w stanie dalej tego ciągnąć. Czuł się, jakby Astrid wcale nie umarła. Jakby gdzieś na niego czekała.

Schweigaard okrążył teraz róg domu i spojrzał na Løsnesvatnet. Na powierzchni jeziora migotały srebrzyste promienie księżyca, ale wcześniej, przez cały dzień, nad zboczami dolin wisiały ciężkie, ółowiane chmury.

Istniały słowa, po które sięgał dość rzadko. Nie mawiał na przykład, że coś jest „nieuchronne”, nie prosił Boga, by się nad kimś „zmiłował”. Teraz miał jednak nadzieję, że Bóg się zmiłuje nad tymi, których niepogoda zastała w górach, gdyż nieszczęśników tych czeka nieuchronna śmierć.

Zwolnił kroku. Wyciągnął szyję i zaczął nasłuchiwać. Dochodziły do niego jakieś głosy. Ktoś szedł drogą, dziwnym, niemiaryowym krokiem. Schweigaard ruszył na podwórze. Zobaczył w półmroku, jak żelazna furтка otwiera się z cichym skrzypnięciem. Ku niemu kuśtykali dwaj mężczyźni,

wycieńczeni, przemoczeni i brudni, jeden zaraz przy drugim.

Posuwali się z trudem. Ramię w ramię. Dwaj młodzieńcy. Zupełnie jakby ze sobą zrosnięci. Jakby mieli jedną wspólną nogę.

Szli tu, do niego.

Pastor wciąż doskonale pamiętał, co powiedziała mu Astrid Hekne o swojej wizji u Framstadowej. Ujrzała wtedy dwóch schodzących z gór ludzi, ramię w ramię, szli tym samym rytmem, a potem się przewrócili.

Teraz on widział to samo.

Kai Schweigaard poczuł, jak całe jego ciało przeszywa dreszcz, a włoski na karku stają mu dęba, zrobił kilka kroków w tył, aż wpadł na ścianę domu i przywarł do niej plecami.

Mężczyźni kuśtykali, nadal idąc tym samym krokiem, jakby wrosnięci w siebie nawzajem. W końcu dotarli do obelisku przy maszcie flagowym. Teraz pastor zobaczył, że jednym z przybyszów jest Jehans. Oparli się o kamień, rozwiązali jakieś rzemienie i odłączyli się od siebie, rozplątując nogi, ręce i trzymane w nich karabiny. Rozdzielili się, z jednego człowieka stając się dwoma.

Ależ... czy to możliwe?

Gerhard Schönauer?

– Pan? – wydusił z siebie pastor, gdy w końcu odważył się do nich zbliżyć. – Pan żyje?

– A ktoś zgłaszał jego śmierć? – spytał Jehans. – Byliśmy...

Kolejne jego słowa już nie dotarły do Schweigaarda. Nieznajomemu brakowało tylko rudego płaszcza i sztalugi, poza tym był to kubek w kubek ten sam student, który pojawił się na tym podwórzu pewnego wczesnego poranka roku 1880. Przybysz był tak samo udręczony i wycieńczony jak Schönauer, gdy odnaleziono go na brzegu Løsnvatnet, po tym jak zatopił Siostrzane Dzwony.

– Pastorze Schweigaard? – zapytał Jehans. – Pastor go zna?

Kai pochylił się, by zajrzeć temu człowiekowi w oczy. Jego twarz była mokra od zimnego deszczu, mężczyzna wydawał się oszołomiony i bezradny jak nowo narodzone dziecko.

Miał oczy Astrid Hekne.

Nie byli do siebie z Jehansem podobni, lecz każdy, kto znał Astrid i Gerharda Schönauera, wyczytałby pokrewieństwo z rysów ich twarzy. Zupełnie jakby podbródki, nosy, brwi, usta i uszy rodziców zostały ze sobą wymieszane, przetasowane i zapisane tym dwóm w przypadkowej kolejności.

Ale przecież on umarł, był martwy!

Młodzieniec wpatrywał się przed siebie pustym wzrokiem. Z trudem przełykał ślinę i dopiero teraz Schweigaard uświadomił sobie, że człowiek ten musi cierpieć ogromny ból.

– Zna go pastor? – powtórzył Jehans.

– Nie – odparł Kai Schweigaard i potrząsnął głową. – Pomyliłem się. Wziąłem go za kogoś innego. Jak on się nazywa?

– Victor Harrison. To Anglik, myśliwy.

– Myśliwy...?

– Pastorze Schweigaard – powiedział Jehans. – Musimy... Pastorze Schweigaard! – potrząsnął ramieniem duchownego. – Jego stopa. Proszę spojrzeć na jego stopę. Trzeba mu lekarza.

Kilka zaledwie minut później cała plebania obudziła się do życia. W kolejnych oknach zapalało się światło. Jedną z izb na piętrze zmieniono w salę szpitalną. Pan Røhme przyniósł lampę zasilaną naftą pod ciśnieniem i w jej świetle zbadano nogę Harrisona. W drugim końcu domu krzyczał mały Simen, domagając się mleka. Harmider obudził nawet starą gospodynię Bressum, która przyczłapała w znoszonej, wytartej koszuli nocnej, niegdyś białej.

– Pani Bressum – powiedział Kai Schweigaard. – Mamy dwóch gości, są ranni i wycieńczeni. Proszę się przebrać i jak najszybciej podać nam solidną porcję wieprzowiny, ziemniaków i kiszzonej kapusty. Oraz kilka butelek piwa.

– Co nowy pastor mówi?

– Powiedziałem: Proszę przygotować obiad. I to szybko! Obfity i dobry obiad! Tak, teraz! Nie! Pani Røhme musi się zająć dzieckiem. Owszem, doskonale wiem, która jest godzina. Nie, wcale nie „środek nocy”. Dopiero jedenasta! Ci ludzie muszą zjeść coś ciepłego. Tak, natychmiast! Sytuacja jest

poważna!

Kai wrócił do łóżka rannego. Noga Anglika przeraźliwie spuchła, owinęli ją ściereczkami od kostki do kolana, samą stopę zaś usztywniając brzoźowymi wtkami przywiązanymi sznurkiem.

– Trzeba wysłać wiadomość – powiedział Jehans. – On nie był w górach sam. Obozowało z nim dwóch mężczyzn, też Anglików, których nam się nie udało znaleźć. Pewnie zeszli do jakiegoś górskiego pastwiska, bo mieli ze sobą przewodnika i konia.

Takie i podobne rzeczy już się we wsi zdarzały, Schweigaard wiedział więc, co należy zrobić. Trzeba było wysłać parobka do Fåvang z poleceniem, by zadzwonił do lensmana i zawiadomić go, kogo po raz ostatni gdzie widziano, kto żył, a kto ewentualnie już nie. Następnie należało zadzwonić do lekarza, kolejnym zaś zadaniem parobka było zaczekanie przy kościele w Fåvang i przywiezienie medyka do Butangen.

W stajni siodłano już konia. Szykowano prowiant na drogę. Najbystrzejszy parobek wkładał najlepsze buty i najcieplejszą kapotę. Schweigaard włożył pieniądze do koperty, napisał dokładną instrukcję precyzującą, co należy zrobić i powiedzieć, Jehans zaś podyktował mu informacje o położeniu obozowiska oraz nazwiska zamieszanych w sprawę ludzi. Pastor osobiście odprowadził parobka do stajni, gdzie silny koń roboczy stał już gotów, prychając niecierpliwie.

Chłopak wspiął się na siodło, wyjechał za ogrodzenie i zniknął w ciemnościach. Ucichł tętent kopyt. Schweigaard zamknął furtkę i stał przez chwilę z palcami zaciśniętymi na kutym żelazie.

Czuł się oszołomiony i nie umiał nad tym zapanować. Miał wrażenie, że Jehans sprowadził z gór własnego ojca. Jakby młody architekt powrócił, nie zestarzewszy się ani o rok.

Pastor wszedł do domu. W korytarzu stały schodzone skórzane buty Jehansa, przemoczone, ciemne, oblepione błotem i wierzbowymi listkami. Ślady mokrych stóp prowadziły stamtąd do sypialni, z której Jehans korzystał w dawnych czasach. Schweigaard zapukał do jej drzwi, ale nie zastał młodzieńca w środku, zaczął nasłuchiwać i w końcu odnalazł go w kuchni, drżącego nad płytą, z nagim torssem i bosymi stopami, owiniętego podróżnym pledem w szkocką kratę.

– Czy dziś środa?

– Minęła północ. Więc już czwartek.

– Muszę się stawić rano do pracy w Hekne.

– Prześpij się tutaj – powiedział Schweigaard. – Mój zarządca pożycz ci jutro suche ubranie.

– Trzeba zawiadomić Ingeborg i Adolfa...

– Już to załatwiłem. Posłałem do nich wiadomość.

Wokół nich uwijała się pani Bressum. Gospodyni postawiła na kuchni dwa garnki z wodą, by gotowanie szło szybciej, pokroiła ziemniaki w kostkę i zabrała się do porcjowania mięsa.

Schweigaard skinął głową Jehansowi i poszli razem do Anglika, który powitał ich, siedząc na łóżku. Pan Røhme zaraportował, że zdjął z niego ubranie, wytarł go ręcznikiem oraz pożyczył mu swoje czyste majtki. Ogień trząskał w piecu, panu Røhme udało się skłonić rannego do przełknięcia odrobiny bulionu, pacjent był spocony, blady i drżał z bólu.

Żaden z nich nie powiedział tego na głos, lecz wszyscy trzej doskonale wiedzieli, że doktora mogą spodziewać się najwcześniej około południa. Harrison natomiast cierpiał tu i teraz. Stopa spuchła tak, że straciła swój kształt, jej palce zmieniły się w krótkie, krągłe wypustki. Potrzeba było czegoś, co ten ból złagodzi, i taki właśnie lek został wydobyty ze stojącej w korytarzu szafki.

– Kupiłem to w zeszłym roku – oświadczył Schweigaard, demonstrując fiolkę. Jehans wyjął ją z jego rąk i zaczął studiować etykietę, stało się to błyskawicznie i zupełnie naturalnie, tak bowiem robił w dawnych czasach, gdy pastor pokazywał mu jakiś interesujący przedmiot albo znajdował dla niego ciekawy akapit w książce.

– Lek nosi nazwę aspiryna – wyjaśnił duchowny. – Podobno działa na ciało jak modlitwa na duszę. Tyle tylko że ulgę przynosi również niewierzącym. Nigdy jej nie stosowałem, ale kupiec twierdził, że pomaga na bóle.

– Wszystkie?

– Łupanie w głowie, reumatyzm, ból zęba. Wszystkie codzienne cierpienia.

– To wręcz nie do wiary. I wystarczy połknąć taki... proszek?

– Owszem, pani Bressum często do tej fiołki zagląda. Im silniejszy ból, tym trzeba więcej tego połknąć, tak twierdził kupiec. Lek dopiero niedawno trafił do sprzedaży.

– Co za wynalazek – stwierdził Jehans. – A mieści się w kieszeni. Ingeborg powinna to brać na te swoje bóle głowy.

Schweigaard nie posiadał się z zaskoczenia. Młodzieniec, z którym rozmawiał, był niczym dorosła wersja Jehansa sprzed konfirmacji. Bystry, gadatliwy, ciekawy świata. Bez śladu zniknął tamten milczący, rozeźlony na wszystko i wszystkich chłopak w przepoconej koszuli i z pierwszymi śladami zarostu.

Jehans podszedł do wiadra z wodą stojącego w pokoju chorego. Zanurzył w nim chochlę i nalał wody do szklanki, którą zaniósł Harrisonowi. Anglik oddychał ciężko, z szeroko otwartymi oczami. Schweigaard patrzył, jak Jehans, z zaskakującą oczywistością, bierze cudzoziemca za ramię, lekko nim potrząsa i przemawia do niego, mieszając język angielski z norweskim. Szklanka powędrowała z rąk do rąk, zadziwiająco zręcznie, jeśli wziąć pod uwagę stan Anglika – przez chwilę ciężko było stwierdzić, która dłoń należy do którego z młodzieńców.

Gdy Jehans oddał mu fiołkę na leki, pastor stwierdził, że jest ona pusta.

– A gdzie reszta? – zapytał. – Reszta tych proszków?

– A to on nie miał połknąć wszystkiego? – zdziwił się chłopak.

– Chyba nie – odparł Schweigaard, starając się rozszyfrować tekst na etykiecie. – No nic. Mam tego jeszcze trochę w gabinecie.

Pan Røhme postukał Jehansa w ramię i coś do niego wymamrotał. Młodzieniec poszedł za nim i powrócił po chwili w odświętnym ubraniu kościelnego, eleganckich spodniach, jasnej koszuli i kamizelce w czarno-biały wzór, którą pani Røhme zrobiła mu na drutach jeszcze przed ich ślubem.

Pani Bressum przyczłapała do nich z jedzeniem. Mięso i ziemniaki zostały pokrojone na małe kawałki, tak by cudzoziemca można było nakarmić widelcem. Gospodyni postawiła przed nimi talerze ze swoją zwykłą, zaciętą miną, ale nagle drgnęła i zamarła, wlepiając oczy w Anglika.

Potrząsnęła głową i powiedziała, że chyba jest już zmęczona. Bardzo zmęczona.

Ona też to widzi, pomyślał Schweigaard. To podobieństwo. Nawet ona, a minęło przecież ponad dwadzieścia lat.

Jehans sięgnął po talerz i zachęcił gościa do jedzenia. Wciąż przemawiał do niego tą dziwną mieszanką norweskiego i angielszczyzny.

Tych słów nauczył się tutaj, pomyślał znów Schweigaard. Ode mnie. Lecz sam był zupełnie inny. Pastor nie widział nigdy wcześniej u Jehansa takiej opiekuńczości czy troski. Podczas tułaczki po górach musiała zajść w nim jakaś przemiana. I to przemiana niemała.

Harrison zjadł kilka kęsów, ale nagle przymknął oczy i zrobił głęboki wdech.

Po czym opadł na poduszkę z otwartymi ustami i zapadł w sen.

Jehans zjadł do końca i odstawił talerz.

– Przepraszam pastora za najście – powiedział. – Tak nagle tu wpadliśmy.

– Przestań mi tu pastorować – odparł Schweigaard. – Możesz do mnie przychodzić z każdą sprawą, o każdej porze, przecież o tym wiesz. Cieszę się, że tu jesteś. Bardzo się cieszę. A teraz opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym człowieku. Kim on jest? Co robi w naszych stronach?

Jehans opowiedział o polowaniu w poprzednim roku, o ustrzelonym byku i pieniądzech, za które kupił kraga.

Schweigaard wysunął się na skraj krzesła.

– Czyli on jest Anglikiem, ale mówi po norwesku?

– Dużo w każdym razie rozumie. Mówi najchętniej po swojemu. Miał, zdaje się, niankę z Norwegii.

Jehans wymamrotał to ostatnie zdanie, głowa poleciała mu do przodu, drgnął i się wyprostował. Spojrzał w oczy pastora i oświadczył:

– Zbyt gwałtownie się wtedy zachowałem. Po prostu zbyt gwałtownie.

– Miałeś tylko piętnaście lat – odparł Schweigaard. A potem wstał i odprowadził Jehansa do jego dawnej sypialni.

Zegar zabił dwa razy.

Schweigaard zorientował się, że siedzi w tej samej pozycji już od godziny. Ogień w kominku wygasł, mroki salonu rozświetlała tylko samotna łojowa świeca.

Ta noc mogła wszystko zmienić. Jeśli pod dach pastora faktycznie trafił brat Jehansa, o którym powiedziano mu, że zmarł w Kristianii – to czy chłopcy zostali rozdzieleni na życzenie Astrid? Czy po prostu ktoś zabrał drugiego bliźniaka?

Pastor wspiał się po schodach do swojego gabinetu i otworzył dolną szufladę biurka. Była pusta, jeśli nie licząc kasetki na pierścionek i niedokończonego listu, który dano mu wtedy w Klinice Położniczej. Ostatnie słowa Astrid Hekne, skreślone na papierze listowym w linie. Astrid zaczęła pisać w lewym górnym rogu, więc pewnie miała mu wiele do przekazania. Zdażyła jednak tylko zanotować: „Kochany Kaiu. Jehans...”.

Zadała sobie trud, by napisać „kochany”. Bo chciała mu się z czegoś zwierzyć. Czegoś, co nie mogło czekać i co dotyczyło Jehansa.

Wcześniej sądził, że sformułowała to w ten sposób, bo Edgar już nie żył, ale czy mogło chodzić o coś innego? Na przykład o to, że to on ma się zająć Jehansem, gdyż Edgar tak czy inaczej miał dorastać w innym kraju? Wiadomość skreślono słabą ręką, litery były więc niewyraźne, on zaś nie miał nigdy wcześniej serca, by dokładnie przyjrzeć się temu arkuszowi, lecz teraz zdawało mu się, że widzi na nim zarys kolejnych znaków, jakby następne słowo miało zaczynać się na „m”. Czyżby omdlewająca ręka skreśliła potem „u”? Czy Astrid próbowała napisać „musi”?

Na przykład: „musi zostać wychowany przez ciebie”.

Tak czy inaczej, na pewno nie było tam żadnego „i” – koniecznego, gdyby miał się zająć oboma chłopcami.

Czy to możliwe, by sama Astrid pragnęła dla swoich synów różnych kolei losów? Czy chłopcy, żyjąc z dala od siebie, mieli osiągnąć cele większe niż te, które osiągnęliby, wychowując się razem? A może czekało ich jakieś jedno, wspólne zadanie, które zrealizować można było, jedynie działając oddzielnie, w różnych częściach świata?

Kai Schweigaard od lat już nie czuł takiego niepokoju. Odesłał pana Røhme na spoczynek, sam zaś zaczął krążyć niespokojnie po domu w samych skarpetach. Zajrzał do Jehansa, potem zaś ruszył do Anglika. Uświadomił sobie, że człowiek noszący nazwisko Harrison leży teraz w tym samym pokoju, w którym niegdyś ulokowano chorego Gerharda Schönauera.

Pokoju, w którym Astrid Hekne spędziła swoją noc poślubną.

Pastor nie mógł oderwać wzroku od tego młodzieńca. Miał mniej więcej tyle samo lat co Schönauer wtedy, w roku 1880, można było wręcz pomyśleć, że młody architekt powrócił tu właśnie, nieświadomy, że rozebrał stary kościół w Butangen, uczynił Astrid Hekne brzemienią, by potem narysować większość ze stojących nadal w Norwegii kościołów słupowych, zatopić dzwony w Løsnesvatnet, powrócić do Drezna i umrzeć tam na zapalenie płuc.

Kai Schweigaard niestrudzenie krążył po domu. W końcu usiadł w swoim gabinecie nad świecą. Kolejny raz otworzył kościelną księgę i wbił wzrok w stronę, na której odnotował narodziny Jehansa Hekne. 23 marca 1881. Poniżej dopisek: „Edgar Hekne. Przyszedł na świat martwy. Pochowany w Kristianii”.

Gdy wrócił wtedy do domu, sformalizował chrzest z wody Jehansa i odprawił w kościele skromną ceremonię dla Edgara. Wątpliwości co do losu drugiego z chłopców nie dawały mu jednak spokoju.

Zaprzagnął zabrać kościelną księgę na seans spirytystyczny, zawezwać ducha Astrid Hekne, wsunąć długopis w dłoń medium i drogą telepatii dowiedzieć się, czy ten dopisek należy wykreślić czy też nie.

Otworzył okno, wyjrzał na ciemną noc i złapał się na tym, że nasłuchuje, czy nie zaczną bić kościelne dzwony.

Możliwe, że istniał tylko jeden sposób, by zdobyć dowód na to, kim tak naprawdę jest ten człowiek. I że dowód ten spoczywa w głębinach Løsnesvatnet.

A może znaku należało wypatrywać gdzieś indziej? W czymś, co zostało we właściwym czasie

odnalezione?

Pastor długo się namyślał, w końcu zerwał się z krzesła i przyniósł dwie poduszki. Najpierw zajrzał do cudzoziemca, uniósł ostrożnie jego głowę i ułożył ją na poszwie z koziej wełny. Anglik wymamrotał przez sen jakieś niezrozumiałe słowa, jego popękane wargi drgnęły, lecz odwrócił się zaraz na drugi bok, znów zapadając w głęboki sen. Schweigaard poszedł następnie do Jehansa i wsunął mu pod głowę bliźniaczą poduszkę.

A potem usiadł na taborecie w korytarzu, pomiędzy dwoma pokojami i siedział tak na warcie w blasku łojowej świecy.

Twoja matka chciała

Ktoś wszedł do pokoju. Przez szpary pomiędzy zlepiionymi powiekami Victor dostrzegł jakąś wysoką, pogrążoną w mroku postać, która wsunęła mu pod głowę poduszkę. Postać ta zamarła nad nim na chwilę, uważnie mu się przyglądając. W końcu dobiegły do niego odgłosy oddalających się kroków, trzasnęły cicho zamykane drzwi, on zaś zdążył tylko poczuć, że nowa poduszka drapie go w policzek, po czym zapadł w głęboki sen.

Gdy znów otworzył oczy, za oknem świeciło słońce. Pomieszczenie było duże i skromnie urządzone. Stało w nim łóżko i nocnik, krzesło oraz proste biurko. Szafa, a także niewielki piecyk, obok zaś – pełen kosz na drewno. Jego plecak i broń zostały oparte o komodę.

Przebrano go w cudzą znoszoną piżamę w niebieskie prążki. Victor podciągnął jedną z nogawek. Dobry Boże! Czy to naprawdę jego noga? Łydka była sina i tak spuchnięta, że swoim kształtem przypominała walec.

No ale mimo wszystko żył.

Przekręcił się na bok i spuścił stopy na podłogę. Ból przeszył go niczym seria błyskawic – nieznośne klucie w samej stopie i koszarne, przywodzące na myśl rwanie zepsutego zęba pulsowanie sięgające aż do uda.

Spocony i słaby, dokuśtykał do komody, gdzie widział swojego rigby'ego. Ktoś, najpewniej Jehans, położył karabin na wysuniętej szufladzie, by spłynęła z niego cała wilgoć. Odryglował też broń i naoliwił lufę.

Rigby był niestety solidnie porysowany. No cóż, w końcu sam podziwiał należącego do ojca gibbsa, to, że ślady użytkowania nadawały mu wyjątkowy charakter.

Victor podszedł z trudem do okna, z którego roztaczał się widok na rozległy ogród. Nie miał pojęcia, gdzie jest. W dole z boku dostrzegł malowany na białą, prosty budynek kościoła i dalej – wąskie, podłużne jezioro. Pola na stromych skarpach wpadały niemal do wody, po drugiej stronie były tylko lasy oraz droga wijąca się nad brzegiem. Victor przycisnął twarz do szyby i spojrzął w lewo. Nad zabudowaniami gospodarstw zobaczył ciemne szczyty, gdzieś wśród nich musiała się pewnie kryć góra, z której zeszli tej nocy.

Czyżby to było Butangen? Miejsce, o którym mówiła mu Ragna?

Za drzwiami rozległy się kroki. Victor przytrzymał się parapetu i odwrócił. Do sypialni wszedł szczupły, odziany na czarno mężczyzna w wieku lat około czterdziestu i powiedział: „*Good morning*”. Całkiem niezłą angielszczyznę wyjaśnił gościowi, że podano mu „nowoczesne lekarstwo” na bóle, w ciągu dnia należy spodziewać się wizyty lekarza, któremu on sam będzie asystował, na wypadek wystąpienia trudności natury językowej.

Victor przyznał, że był w nocy niestety tak otumaniony z bólu i zmęczenia, że nie pamięta ani nazwiska gospodarza, ani jego profesji.

– Nazywam się Schweigaard. Jestem tutejszym pastorem.

Victor usiadł, próbując ukryć, jak bardzo boli go noga.

– Jehans. Gdzie jest Jehans?

– Poszedł do pracy. Już o świcie.

– Wróci tu wieczorem?

– Zapewne dopiero za parę dni. Jehans jest... bardzo zajęty. Przywiązany do swojej pracy. Ma jej sporo. W dużym majątku i dodatkowo jeszcze w mniejszym, którym zajmuje się sam. To dość skomplikowana sprawa. Powiedział, że przy pierwszej okazji pójdzie w góry i sprawdzi, czy namioty nadal tam stoją. Zostawi wiadomość, zabierze sprzęt i w ogóle zorganizuje to tak, jak sam uzna za stosowne.

– On mi uratował życie – powiedział Harrison. – Dobrze go pan zna?

– Bardzo dobrze. A jednocześnie wcale. Tak to często z ludźmi bywa.

– To wszystko jest... bardzo dziwne – przyznał Harrison. – Ale jeszcze nigdy nie widziałem, by

mgła wyszła tak szybko.

Miał wrażenie, że pastor cały czas wlepia w niego wzrok. Wyglądał, jakby go nie słuchał, co jakiś czas robił parę kroków i przystawał, jakby chciał go obejrzeć pod innym kątem.

– A moi towarzysze? Jakież wieści?

– Jeszcze nie. Zatelefonowaliśmy do lensmana. Na szczęście pociągnięto linię telefoniczną do niektórych wsi w Østerdalen, więc jeśli nam się poszczęści, mój parobek przywiezie nam i doktora, i świeże wiadomości. Ale wyjaśnienie takich spraw zajmuje zazwyczaj jakieś dwa czy trzy dni.

– Co za niefortunna sytuacja.

– Człowiek nie może niestety nad wszystkim panować – odrzekł Schweigaard. – W górach zaś musimy się poddać przeznaczeniu. Ale nie traćmy nadziei, panie Harrison. Dobrze pan spał?

– Porządnie zasnąłem dopiero rano. Wcześniej co chwilę się budziłem. Ale w sumie nic dziwnego.

– Dostał pan dość dużą dawkę leku. Miał pan może jakieś dziwne sny?

– To pewnie przez gorączkę – stwierdził Harrison.

Pastor mruknął w odpowiedzi „hm”. Co jakiś czas zdawał się wyłączać z rozmowy, poza wciąż mierzył gościa tym badawczym spojrzeniem – może i się nie gapił, ale z pewnością go obserwował. W końcu sam chyba zdał sobie z tego sprawę, otrząsnął się z zamyślenia i spytał, czy Victor chciałby zawiadomić o sytuacji swoją rodzinę.

– Jeśli poda mi pan adres, mogę dopilnować wysłania telegramu.

– Nie, dziękuję – odparł Victor. – Oni przywykli do moich wojaży. Spodziewają się mnie w domu dopiero za jakieś trzy tygodnie. Nie martwią się o mnie, wiedzą, że raczej dobrze sobie radzę w nowych miejscach.

– Jeszcze jedno – powiedział Kai. – Lensman... gdy w grę wchodzi zaginieni ludzie i ich towarzysze, władze proszą zazwyczaj o pełne dane personalne. Imię, nazwisko i datę urodzenia.

– Naturalnie – odparł Victor Harrison i poinformował, że urodził się 28 marca roku 1881. Co ciekawe, miało to miejsce na statku pasażerskim w drodze między Norwegią a Anglią.

Doktor i parobek przyjechali koło pierwszej. Niestety, nie przywieźli żadnych wieści o towarzyszach Anglika. Stopa cudzoziemca została usztywniona i zabandażowana szybko i bez zbędnych ceregieli. Harrisona poinformowano, że musi przez jakiś czas zostać na plebanii, ale za kilka dni może zacząć chodzić o kulach. Doktor zostawił mu tabletki i szybko się oddalił.

Zapadła cisza.

Przez uchylone okno wpadł do sypialni podmuch wiatru. Po kilku chwilach za drzwiami rozległy się kroki. Ktoś otworzył drzwi bez pukania i do środka weszła bardzo stara, przysadzista kobieta z rozczochranymi włosami. Przyczłapała do jego łóżka, odrzuciła kołdrę, dźgnęła usztywnioną nogę Victora palcem wskazującym i zaczęła mamrotać coś o „ucieczce przed prorocstwem”. Nachyliła się nad nim i zaczęła wygadywać kolejne nonsensowne zdania, buchając mu w twarz nieświeżym oddechem. Victor rozumiał piąte przez dziesiąte, coś o tym, że „malarz jednak nie umarł”. Staruszka zostawiła go odkrytego, poczłapała do komody i zaczęła grzebać w jego plecaku. Po chwili do pokoju weszła młoda kobieta z talerzem i zaczęła się z tamtą wyklócać. Trwało to jakiś czas, w końcu pojawił się pastor, chwycił staruszkę za łokieć i delikatnie ją wyprowadził.

Wkrótce już Victor siedział z poduszką pod plecami, pijąc mocną, dobrą kawę i jedząc kanapki z jajkiem na twardo, sardelami i pietruszką. Pastor usiadł na stołku i przeprosił za zamieszanie.

– To było nawet w pewnym sensie zabawne – stwierdził Victor.

– Moja dawna gospodyni jest już bardzo stara. Okresowo zupełnie traci orientację w czasie. Przeszłość miesza jej się z teraźniejszością. Pomyliła pana z gościem, którego kiedyś tu przyjmowaliśmy. No ale nieważne. Zrozumiał pan, co mówił lekarz?

– Owszem, choć nie wszystko.

– Prosił, bym podziękował panu za kopertę z pieniędzmi. Był pan bardzo szczodry.

– Oczywiście, inaczej nie mogłem się zachować. Ale tak naprawdę największy dług mam wobec Jehansa. Chciałbym mu się porządnie odwdziżyć.

Pastor pił kawę małymi łykami, zupełnie jakby chciał przeciągnąć rozmowę. Dotychczas

rozmawiali po angielsku, ale Schweigaard zapytał, czy to prawda, że jego gość zna trochę norweski. Z uwagi na pochodzącą z tych stron niańkę.

Victor pokiwał głową.

– Tak, trochę znam. Moja matka jest Norweżką. Urodziła się w Ålesund. Dużo ze sobą rozmawialiśmy w tym języku do czasu, gdy skończyłem siedem czy osiem lat. I fakt, miałem norweską niańkę. Ponadto jeździłem z ojcem do Lærdal i łowiłem tam łososie.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Schweigaard – jeśli będę przesadnie ciekawski. Ale nieczęsto przyjmujemy we wsi gości z zagranicy, a ja sprawuję tu posługę od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego. Bardzo chętnie dowiedziałbym się tego i owego o życiu u was w Anglii.

Dopili kawę, zapalili fajki, a Victor zaczął opowiadać o Finlaggan i plantacji na Cejlonie, nie rozwodząc się zanadto o matce ani Josephie. Chcąc uniknąć podejrzanej asymetrii swojej opowieści, niewiele w niej miejsca poświęcił również ojcu i dziadkom, zaczął za to mówić o Kumarze, malując ostatecznie obraz, który mógł sugerować, że mieszkali w Finlaggan tylko we dwóch.

– Trochę jak tutaj – stwierdził pastor. – Wielki dom szybko może wydać się pusty.

Victor zwrócił uwagę na otwarty, bezpośredni ton pastora i stało się nagle tak, jakby wszystkie brytyjskie konwenanse gdzieś się ulotniły, on zaś poddał się potrzebie opowiedzenia o Ragnie, ostatecznie zaś zdradził dużo więcej, niż powinien zdradzać człowiek ujęty w *Burke's Landed Gentry*.

Pastor musiał wracać do swoich obowiązków. Powiedział, że kościelny już struga dla Victora kule. Anglik podziękował i powiedział:

– Chciałbym znaleźć sobie jakąś rozrywkę, by czas mijał mi szybciej. Czy można tu gdzieś łowić ryby?

Pastor przygryzł wargę. Zerknął na jego nogę, potem spojrzął za okno i odparł:

– Tylko z łodzi.

Wystukali tytoń z fajek, a Schweigaard poszedł do pracy.

Victor poczuł, że zaczyna się niecierpliwić, a jednocześnie ogarnia go ciekawość. Pytania pastora były zaskakująco bezpośrednie, pozostając jednocześnie bardzo ogólnymi. Anglik wykuśtykał na korytarz, przytrzymując się ściany. Zobaczył po obu stronach troje jasnoniebieskich drzwi z szarymi framugami. Wyglądało na to, że w tej części domu znajdowały się sypialnie – dość przestrzeni dla dużej rodziny. Ale z tego, co Victor zdążył zrozumieć, pastor nie miał żony. Słysząc było tylko przytłumione dźwięki dochodzące z piętra niżej.

Anglik otworzył ostrożnie jedno z drzwi i znalazł za nimi pokój równie pusty i skromny jak jego własny. Za kolejnymi drzwiami – to samo. Dopiero w trzecim z kolei pokoju poczuł jakieś ciepło, pozostałe po nocnym paleniu w piecu. A także zapach człowieka.

Pokój wyglądał tak, jakby należał do młodego chłopaka. Sprzęty, czas, w którym się zatrzymały, książki i zabawki – wszystko to przypominało mu jego własną dziecięcą sypialnię.

Dziwne. To tutaj musiał nocować Jehans.

Na półkach znajdowały się zabawki wystrugane z drewna, ustawione tak, jak on sam ustawiał swoje rzeczy, w schludnym rzędzie, by ładnie się prezentowały i cieszyły obietnicą zabaw w nadchodzącym dniu. Uszeregowane książki, biurko z ołówkami i kubkiem, mapa świata z kolorowymi pinezkami wisząca nad tym biurkiem, książki o mechanice i elektryczności. Victor zaczął je przeglądać. Język wydawał mu się zupełnie obcy. Z Ragną co prawda dużo mówił po norwesku, nie przypominał sobie jednak, by próbował w tym języku pisać lub czytać.

Wysunął jedną z szuflad biurka i znalazł w niej mnóstwo rysunków. Były to chłopięce marzenia o wielkich dokonaniach sztuki inżynierskiej. Skomplikowane schematy zapór wodnych, żurawi, wielokrążków i silników parowych. Oprócz rysunków była tam podłużna drewniana skrzyneczka ze starymi pędzlami.

Wysunął kolejną szufladę. Zdziwił się, że nie czuje żadnych wyrzutów sumienia, przeglądając rzeczy innego człowieka. Znalazł niewielką książeczkę z brązową tekturową okładką. *Meyers Sprachführer für Reise und Haus*. Coś w rodzaju rozmówek dla podróżników. Otworzył ją ostrożnie na pierwszej stronie i ujrzał w prawym górnym rogu nazwisko Gerhard Schönauer, skreślone pięknym charakterem pisma. To pewnie ten architekt. Zmarły ojciec Jehansa.

Pod spodem leżał podłużny szkicownik. Victor sięgnął po niego, a wówczas coś w szufladzie zagrzechotało. Okrągłe pudełko po tytoniu. Grousemoor. Angielski klasyk. Victor otworzył je, a w środku znalazł stalówki i wyschnięte gumki do ścierania.

Szkicownik oprawiony był w szarobłękitne płótno. Poszczególne karty zostały połączone dwoma związanymi kawałkami sznurka. Victor otworzył go mniej więcej w środku.

Coś takiego.

Przecież to Wollaton Hall w Nottingham! Doskonale znane mu miejsce. Wrócił do pierwszych kart i odnalazł na nich plan podróży z roku 1877. Ten Schönauer musiał wtedy przebywać w Londynie, studiując budowę Christophera Wrena, bo naszkicował tu Royal Exchange, bardzo zresztą pięknie, dalej zaś – kolejne fasady Inigo Jonesa i choć szkice sporządzone były w pośpiechu, widać było jak na dłoni, że ten Niemiec Schönauer musiał pałać miłością do klasycznej angielskiej tradycji. Rysował też Cambridge – zarówno ulice, fasady sklepów, jak i kaplicę przy King’s College.

Po wizycie w Cambridge młody architekt stracił najwyraźniej zainteresowanie architekturą miejską, posuwał się coraz bardziej na północ, szukając ciekawych prywatnych rezydencji – Victor znalazł listę kolejnych jego celów podróży, a na następnych stronach pojawiały się szkice budowli w stylu, który sam bardzo cenił – domów jedno- lub dwupiętrowych, tak charakterystycznych dla angielskiej wsi. Zaczął się już niemal spodziewać, że na kolejnej karcie odkryje szkic Finlaggan, ale wtedy wszystko się urwało – dalej było już tylko coś w rodzaju spisu wydatków. Wyglądało na to, że pieniądze skończyły się temu człowiekowi – ojcu Jehansa, co do tego nie było już żadnych wątpliwości – 29 maja 1877 roku, kiedy to wydał w Londynie trzy i pół gwinei na wędkę Hardy Smuggler!

Victor się odwrócił. Futerał z wędką leżał na komodzie. Anglik pokuśtykał w jego stronę i zobaczył, że krag suszy się na wysuniętej szufladzie, zupełnie jak jego rigby.

Podniósł broń. Miał wrażenie, że trzyma w rękach samą istotę norweskości. Konstrukcję wyjątkową, charakterną, łączącą zdrowy rozsądek i kilka dziwacznych rozwiązań, po które musiano sięgnąć z czystej przekory, nie chcąc, by ten karabin był podobny do jakiegokolwiek innego. Magazynek stanowił realizację pomysłu genialnego, gdyż można go było uzupełniać nawet, gdy broń była gotowa do strzału.

Nagle Victor zamarł, bezbrzeżnie zaskoczony.

W wysuniętej szufladzie leżał mały, robiony na drutach sweterek. Tak maleńki, że musiano go wydziergać z myślą o nowo narodzonego dziecku. Był bardzo piękny, wykonany z miękkiej wełny w odcieniu głębokiej czerwieni, z roślinnym wzorem przypominającym barwę pożółkłe na jesieni brzożowe listki. Pod nim przebiegał zaś rząd czarnych krzyżyków.

Kolorów nie był pewien. Ten wzór znał natomiast doskonale.

Dokładnie taki sam motyw widniał na sweterku, który zostawił w Finlaggan. Tym, który Ragna dała mu ze słowami: „Twoja matka chciała, byś go dostał”.

Raz cię już pochowałem

Tego dnia pani Røhme przeszła samą siebie. Pan Røhme zajął się małym Simenem, miała więc dość czasu, by przygotować wspinały półmisek, na którym królowała pieczeń cielęca. Mączyste ziemniaki zostały przyniesione z pola tego samego dnia i pieczołowicie przebrane, tak że każdy z nich kształtem i wielkością przypominał gęsie jajo. Młoda gospodyni obrała je, ugotowała, a następnie podpiekła w piecu, miały więc złocistą, chrupiącą skorupkę. Schweigaard poprosił ją, by przygotowała porcję dla pani Bressum i zaniósł ją do jej pokoju, razem z butelką starego wina jabłkowego. I najlepiej zamknęła ją tam na klucz. Gdy pastor zasiadł do stołu z Victorem Harrisonem, cieniem na jego radości kładło się tylko to, że nie może im towarzyszyć Jehans. Posłali do niego wiadomość, że będzie bardzo mile widziany na plebanii, on jednak odpowiedział, iż nie może odejść od prac gospodarskich w Hekne.

Schweigaard rozważał przez cały dzień, co powiedzieć Victorowi, czego mu zaś absolutnie nie mówić. Właściwie powinien pisać kazanie, ale złapał się na tym, że jego spojrzenie wędruje ku wodom Løsnesvatnet, a za każdym razem, gdy kreślił na papierze słowo „zbawienie”, czuł, że dotyczy ono jego samego. Jeśli ten człowiek faktycznie był wybrańcem, jednym z dwóch samobracy, którzy mieli wyłowić dzwon, oznaczało to, że Victor Harrison jest w stanie wybawić go od wszystkich jego cierpień.

Anglik powiedział jednak, że przyszedł na świat 28 marca. Pięć dni po Jehansie. Gdyby chciał coś zataić, to podałby pewnie jeszcze odleglejszą datę, wybrałby jakiś dzień w lecie lub na jesieni. Na przykład 2 sierpnia albo 18 października.

Ten Harrison musiał coś wiedzieć. Choć jednocześnie: o czymś musiał nie mieć pojęcia.

Kai Schweigaard jednocześnie wiedział i nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jednego był jednak pewien: manipulacje przy ludzkiej tożsamości były równie groźne co poród. Harrison zdawał się wieść szczęśliwe, harmonijne życie, może i niechętnie mówił o matce, w ogóle o kobietach, ale cały aż promieniał, wspominając ojca i swoich dziadków – a nawet psa – jak również rodzinną plantację na Cejlonie.

Krótko mówiąc: Victor już miał ojca. A jego ojciec miał syna.

Drzwi stanęły nagle otworem i do jadalni wczłapała pani Bressum. Miała na głowie jaskrawoczerwoną chustkę, wokół talii zaś fartuch włożony na lewą stronę. Schweigaard domyślił się, że staruszka musiała się uprzeć, by sama podać im jedzenie. Rąbnęła półmiskiem o stół i kiwnęła z zadowoleniem głową, zupełnie jakby to ona przygotowała tę ucztę, po czym oświadczyła, że gdy pan Niemiec przyjeżdża z wizytą, to nie będzie się pod tym dachem na niczym oszczędzać. Następnie chwyciła Schweigaarda za ramię, wskazała na Harrisona i szepnęła konspiracyjnie, że pastor jest zbyt miły dla tego tutaj, ale wtedy oboje państwo Røhme wpadli do jadalni, zapobiegając dalszym katastrofom.

Schweigaard zacisnął palce na widelcu, niepewny, co ma powiedzieć, ale Harrison dostrzegł jego zakłopotanie i zaczął chwalić ziemniaki oraz mięso, po czym elegancko skierował rozmowę na temat wędkarstwa i tak całe to zajście zmieniło się tylko w niegroźny incydent, który nie zepsuł im tej nad wyraz przyjemnej konwersacji. Kai zaproponował, by po deserze zapomnieć na chwilę o lekarskich zaleceniach i połowić trochę w Løsnesvatnet. Harrison sądził zapewne, że metoda polegająca na ciągnięciu ciężkich błystek za łodzią jest prymitywna i niesportowa, ale jej nie skrytykował, powiedział tylko, że sam łowi na muchę.

– Wielu z najznamienitszych wędkarzy muchowych w Anglii to właśnie duchowni – powiedział Harrison. – Są również autorami najciekawszych projektów samych much. Na przykład Greenwell's Glory. Zakładam, że to zainteresowanie wędkarstwem wśród pastorów bierze się stąd, że mają oni sporo wolnego czasu w środku dnia.

Schweigaard przedstawił gościowi nieco upiększony harmonogram swojego tygodnia. Opowiedział o pracy w szkole, pomocy dla ubogich, a nawet o wypłatach nagród za ustrzelone drapieżniki. Owszem, był zajęty od rana do wieczora, niczego nie dawało się przełożyć, nawet gdy chorował, ani nabożeństw, ani ślubów, confirmacji czy pogrzebów.

– Dobrze przynajmniej, że uniknął pastor konieczności organizacji mojego pochówku – wtrącił Harrison.

Nie mów tak, pomyślał Schweigaard. Ja cię już raz pochowałem.

Mężczyznom z reguły rozmawia się najlepiej w łodzi. Istnieją też takie tematy, których nie sposób omawiać nigdzie indziej.

Harrison porzucił już niemal zupełnie sztywne brytyjskie konwenanse, Schweigaard widział w nim zaś człowieka, któremu szczerą rozmowa z duchownym może się bardzo przysłużyć.

Nad Løsnesvatnet zapadał wieczór. Błyski zostały zarzucone, pastor wiosłował spokojnymi, miarowymi ruchami. Nie padało, komary nie cięły za bardzo jak na tę porę roku, a wierzchołki świerków kołysały się lekko na wietrze.

– Wciąż myślę o Jehansie – powiedział Harrison. – Jakie ma plany na życie?

– Chłopak ma niezwykły talent do prac inżynierskich. Ale niestety go nie rozwija... wymawia się brakiem pieniędzy i koniecznością opieki nad rodzicami, ale chodzi o coś jeszcze. Jego wielką słabością jest to, że nie potrafi przyjąć niczego od innych, sam chce na wszystko harować. Zdaje się, że najbardziej na świecie pragnie własnego gospodarstwa. Swojego miejsca na ziemi.

– A ile to by miało kosztować?

– Ach, od czterystu do czterech tysięcy koron. Może jakiś tysiąc za wykupienie zagrody dzierżawcy takiej, w jakiej on teraz mieszka.

Harrison odchrząknął i powiedział, że musi coś wyznać.

– Zachowałem się być może trochę nieelegancko, ale wszedłem do sypialni Jehansa, bo chciałem obejrzeć jego karabin Krag-Jørgensen. Przez przypadek znalazłem w jednej z szuflad robiony na drutach sweterek. Zastanawiam się tylko... czy wydziergano na nim jakiś popularny norweski wzór.

Kai Schweigaard przestał wiosłować. Harrison już miał go zacząć przepraszać, gdy pastor powiedział:

– Popularny? Naprawdę nie wiem. A dlaczego...

– Po prostu mi się spodobał.

Zapadła między nimi cisza. Schweigaard wrócił do wiosłowania.

– Owszem, tego rodzaju swetry są w tych stronach tradycyjne. Ten wzór nosi nazwę ośmiokątnej róży, udało mi się to ustalić. A rzędy krzyżyków dzierga się zazwyczaj na ubrankach dla niemowląt. Mają one chronić dziecko przed siłami zła. Dlatego wzór okala pierś i plecy maleństwa. Matka Jehansa zrobiła mu ten sweterek jeszcze przed jego narodzinami, chłopak miał go na sobie, gdy go zabierałem do domu. Zatrzymałem go na pamiątkę.

– Na pamiątkę tego... że był kiedyś dzieckiem?

– Jeśli mam być szczerzy, to traktuję ten sweterek bardziej jako pamiątkę po jego matce. Astrid Hekne. Ale uważam, że powinien leżeć w pokoju Jehansa.

– To imię... Astrid. Czy to jej mogiłę mijaliśmy w drodze nad jezioro?

– Tak.

– Grób jest doskonale utrzymany.

– Owszem.

Jak na razie nie udało im się złapać żadnej ryby. Zaczęło robić się zimno. Kai Schweigaard obawiał się, że jego niecierpliwość zwycięży nad uprzejmością gościa. Machnął mocniej wiosłami w nadziei, że nadal są na właściwym kursie.

– Proszę mi powiedzieć... co to takiego? – spytał Victor, wskazując na brzeg, przy którym unosiło się coś dużego i płaskiego.

– Ach, to tratwa, którą Jehans zbudował jako dziecko.

– A po co ona mu była?

– To długa historia – odparł Schweigaard.

– Siedzimy w łodzi, mamy dużo czasu.

I w ten właśnie sposób Kai Schweigaard mógł wreszcie zacząć swą opowieść o Siostrzanych Dzwonach. Gdy dotarł wreszcie do wydarzeń z roku 1880, był już późny wieczór i zrobiło się dość ciemno, więc nie widział, jak Harrison reaguje na jego słowa. Miał jednocześnie świadomość, że Anglik

nie dostrzega, z jakim zaangażowaniem on opowiada tę historię. Wokół nich zapadała ciemność coraz gęstsza, a gdy Schweigaard zaczął w końcu mówić o Srebrzystej Zimie i zatopionym dzwonie, miał wrażenie, że samo Løsnesvatnet uzupełnia i puentuje jego słowa.

– A kim są ci właściwi ludzie? – spytał Harrison. – Ci, którzy mają dzwon wydobyć?

– Mówi się – zaczął Schweigaard – że dokonać mogą tego tylko bracia urodzeni jeden po drugim, pomiędzy którymi na świat nie przyszła żadna siostra. – Machnął wiosłami i zastanowił się, czy powinien dodać coś jeszcze.

Owszem, wydało mu się to niezbędne.

– Jehans miał brata bliźniaka – rzekł pastor. – Który umarł zaraz po urodzeniu.

Uniósł wiosła i spróbował wyczytać z twarzy Harrisona jakąś reakcję, ale było zbyt ciemno. Stanowili dla siebie nawzajem tylko rozmyte sylwetki, o niewyraźnych w mroku konturach.

Anglik odezwał się po chwili:

– I Jehans próbował wydobyć dzwon. Bez skutku.

– Bez skutku – powtórzył Schweigaard. – Chociaż wydaje nam się, że wiemy dość dokładnie, gdzie należy go szukać.

– I mówi pan, że usiłowali go wyłowić też jacyś Niemcy? W pierwszych latach po jego zatopieniu?

– Tak, nawet kilkukrotnie. To byli studenci szkoły technicznej.

– Dlaczego nikomu się to nie udało? Jeśli mielibyśmy odłożyć na bok mity.

Schweigaard odchrząknął.

– Dzwon spoczywa najpewniej pod warstwą mułu. A jedynym, o co może zahaczyć kotwiczka, jest wielkie oko u samego jego szczytu. Jeśli dzwon leży górą do dołu, nie ma po prostu za co złapać. Mimo to ludzie mówią, że istnieje jeszcze inna możliwość, to jest przytwierdzona do niego lina. Może to zabrzmieć jak jakiś... okultyzm, ale gdy dzwony zostały odlane, ojciec sióstr Hekne, Eirik, obstalował do nich także sznur. Kazał wpleść w niego pukle włosów ich nieżyjącej matki. Historię tę znano we wsi na długo przed przybyciem Gerharda Schönauera, a był on tamtego feralnego dnia w takim stanie ducha, że podejrzewam, iż mógł przywiązać sznur do dzwonów przed ich wyekspediowaniem do Drezna. Ten sznur leży teraz gdzieś pod nami, na dnie. I jeśli wierzyć ludowym przesądom, ma on w sobie jakąś swoją moc, własną wolę. W jego gestii leży decyzja, czyja kotwiczka o niego zahaczy. Może zresztą to właśnie ta wpleciona w sznur wolna wola sprawiała, że dzwony były czasem same z siebie.

– I pan naprawdę w to wierzy, pastorze Schweigaard?

– Cóż... Na ogół kieruję się zdrowym rozsądkiem. Ale im się robię starszy, tym bardziej zaczynam wątpić. We wszystko. Gdy tu przybyłem, przesady i zabobony były bardzo rozpowszechnione. Teraz mamy kolej żelazną, regularnie dostarczaną pocztę i rzetelniejsze gazety, lepsze szkoły, jak również maszyny, które z czasem wezmą na siebie część tej nieludzkiej harówki, jakiej wymaga uprawa ziemi. I widzę, jak z każdym kolejnym przejawem postępu te stare przesady i zabobony tracą na sile.

– Ale to przecież dobrze? – zapytał Harrison.

– Hmm, kiedyś też tak myślałem. Chciałem wypłenić stąd wszystko, co stare i zacofane, najchętniej z dnia na dzień. Ale teraz już wcale się tak do tego nie rwę. Powoli przestajemy dziwić się światu. Wydaje mi się, że nie potrafię już tak jak kiedyś dotrzeć do tego, co kryje się w głębi ludzkiej duszy. Moi parafianie zadowolają się najprostszym naukowym wyjaśnieniem każdego zjawiska. Działają szybko, bez zastanowienia i nie boją się chyba konsekwencji swoich postępów tak, jak bali się ich dawniej.

Harrison przełożył wędkę do drugiej ręki.

– Czyli... tęskni pan za tym, co sam chciał pan kiedyś zwalczać.

– Nie za wszystkim, och nie. Nie chciałbym powrotu nagłych śmierci, chorób z głodu i zimna. Ale... w tamtych czasach istniało tak wiele... nazwijmy to korytarzami, wiele ciemnych korytarzy między wiarą a zabobonem. Sam porównywałem to często do zjeżdżania w głąb kopalni z latarnią. Wystarczyło trochę się rozejrzeć, a można było dokonać wielu zaskakujących odkryć. Znajdowało się wspomnienia, myśli i różne dziwactwa, które przybierały najosobliwsze kształty, wpływając na to, jak żyją ludzie, można było trafić i na rudę srebra, i na żużel, jeśli mamy trzymać się kopalnianej metafory.

Ja natomiast odkryłem, że szyb sięga bardzo głęboko, a im głębiej zjeżdżałem, tym dziwniejsze istoty spotykałem na swej drodze. I nigdy nie dotarłem do dna. W dzisiejszych czasach natomiast odnieść można wrażenie, że światło jaśnieje zbyt jaskrawo, a wszystko tam na dole jest czyste i gładkie. Tylko że to nieprawda. Osobliwości i dziwactwa pochowały się po prostu za ścianami pozornej logiki i racjonalności. Lecz człowiek nie jest istotą racjonalną i jeśli chce się go naprawdę zrozumieć, należy doszukiwać się w nim motywacji irracjonalnej.

Następnego wieczora też wypłynęli. Słońce już dawno zaszło, łódź sunęła przez półmrok i jesienny chłód. Tym razem Harrisonowi udało się złapać średniej wielkości pstrąga.

– O, przyszedł! – wykrzyknął Anglik, wskazując w stronę łądu. Na brzegu stała szczupła postać. Wspięła się na wysoki pień, tak że jej sylwetka odcinała się na tle ciemnego nieba. Gdy przybysz zobaczył, że łódź zawraca i kieruje się w jego stronę, uniósł ramię w geście pozdrowienia.

Kai Schweigaard wiosłował w stronę łądu, Harrison zaś pozwijał linki z błyskami.

Jehans stał niedaleko stodoły, w której przechowywali kiedyś materiały z rozebranego kościoła słupowego, wszystkie belki, deski i słupy połączone ze sobą jeszcze w czasach panowania znanych z sag królów. To wszystko zniknęło teraz ze wsi, pozostawiając po sobie wspomnienia, najbardziej żywe w tym właśnie miejscu.

Zza pleców Jehansa wyłonił się inny mężczyzna. Parobek.

– Przyszły wieści z Fåvang – powiedział Jehans.

– Ach tak – odrzekł mu Schweigaard. – Dobre czy złe?

– Ty im powiedz. – Jehans spojrzał na parobka.

– Żyją. Ruszyli dalej na północ kraju. Dziękują za towarzystwo.

Można było odnieść wrażenie, że łódź podniosła się na wodzie. Harrison mamrotał coś po angielsku, dziękując siłom, w które najwyraźniej wierzył.

Parobek skłonił się i odszedł.

Jehans powiedział, że był w górach, skąd przyniósł sprzęt Harrisona, pozostali wcześniej zabrali już swoje rzeczy, więc jego namiot został tam sam.

– A wy? – spytał. – Udało się wam coś złapać?

– Owszem, tę oto sztukę – odrzekł Harrison, demonstrując mu wiadro ze pstrągiem. – Chwyć błyskę, gdy tylko wypłynęliśmy. A potem już nic.

– Może trochę za słabo wieje?

– Może – powiedział Harrison.

Schweigaard milczał. Cisza zaczęła się robić trochę niezręczna, ale wtedy Jehans zaskoczył ich obu, demonstrując pleciony koszyk z wieczkiem.

– To od gospodyni Bressum – powiedział.

Wskoczył do łodzi i złapał równowagę, uspokajając jej gwałtowne kołysanie.

– Mam powiosłować?

Schweigaard pokręcił głową. Dwaj młodzieńcy szybko odnaleźli wspólny ton, prowadząc rozmowę, w której nie było dla niego miejsca, a gdy znów wypłynęli na Løsnesvatnet, by jeszcze trochę połowić, pastor miał wrażenie, że wiosłuje z powrotem w przeszłość, wioząc na pokładzie dwie obce dusze.

Jehans otworzył koszyk i wyjął z niego boczek oraz chrupkie placki. Czar prysł, na pokładzie łodzi siedzieli znów po prostu dwaj młodzi mężczyźni. W koszyku był jeszcze drewniany kubek pełen kwaśnej śmietany i sześć dużych butelek lepszego piwa z browaru w Lillehammer. Jehans odkorkował trzy z nich i podał towarzyszom, po czym położył boczek na krawędzi burty i zaczął go kroić swoim nożem. Podał jedzenie Harrisonowi, który z pewnym wahaniem strzepnął z niego drzazgi i spróbował, po czym pochłonął całą porcję i poprosił o więcej, a już po chwili sięgnął po własny nóż i sam zaczął kroić boczek w ten sam sposób.

– Pani Bressum cię z tym przysłała? – spytał Schweigaard. – Sama z siebie?

– Przyszedłem po krąga i wędkę, a ona mnie poprosiła, żebym zczekał i zaczęła się krzątać w kuchni. Wręczyła mi ten koszyk, a ja się domyśliłem, że chce, bym do was przyszedł i połowił z wami.

Jehans upił łyk piwa, przełknął, pociągnął kolejny, a następnie wsunął sobie butelkę między

kolana i sięgnął po błysk.

Obaj są jakby odmienieni, pomyślał Schweigaard. Tacy silni i zdecydowani. Jakby od czegoś uwolnieni. Albo przez coś uwzniośleni.

– Tak sobie myślę – powiedział Harrison, przechodząc na norweski. – Gospodyni chyba bardzo lubi jeść i może miała nadzieję na pstrąga.

– I tu, panie Harrison, trafił pan w samo sedno – rzekł Kai Schweigaard.

– Może i tak – stwierdził Jehans.

– Zdrowie pani Bressum! – powiedział Anglik i trzy wysokie szyjki butelek stuknęły o siebie dźwięcznie.

Schweigaard wiosłował z całych sił do miejsca, w którym zostały zatopione dzwony. Las pachniał coraz mocniej, on zaś kierował się szmerem strumienia, by odnaleźć punkt, w którym najpewniej leżała Gunhild. By tam dotrzeć, musiał też powiosłować przez najgłębsze i najmroczniejsze miejsce w swojej duszy. Zwolnił. Słysząc było tylko kapiącą z wiosła wodę i skrzypienie drewna, gdy dwaj młodzieńcy usadowili się wygodniej się na ławkach.

– Słyszycie? – szepnął pastor.

– Co takiego?

– Bulgot strumienia – powiedział cicho. – Pod nami. To w tym miejscu jego nurt wpada do jeziora.

– I co w związku z tym? – spytał Harrison.

– Zazwyczaj można tu złapać małe ryby. A czasem i większe, które na te małe polują. Powinniśmy podплыnąć jeszcze kawałek do brzegu i zarzucić błyski. Proszę próbować przy dnie, panie Harrison, może coś pan złowi.

– A haczyk mi o nic nie zawadzi? – spytał Anglik. – Te błyski są dość ciężkie.

– Dno jest tu kamieniste. Może i trochę szarpnie, ale nic się nie stanie.

Jehans przejął wędkę Schweigaarda i wkrótce już dwie dratwy zostały rozwinięte z wielkich kołowrotek. Wszyscy trzej milczeli. Wokół nich zapadał późny, granatowy wieczór, szczyty dwóch wędek odcinały się na tle nieba. Schweigaard powiosłował ostrożnie bliżej brzegu, kierując się, niczym kompasem, szmerem strumienia i zapachem lasu. Jego oczy przyzwyczajały się stopniowo do mroku, ale wkrótce już miała zapaść noc tak ciemna, że nie będzie jej w stanie przejrzeć żadna ludzka źrenica.

Minęli ujście strumienia i wypłynęli na głębiny, gdzie młodzieńcy rozwijali linkę coraz bardziej, aż w końcu błyski dotknęły dna. Schweigaard koncentrował się dotychczas na cichych dźwiękach odbijających się od lustra wody, teraz natomiast bez reszty poddał się zapachom i ciemności. Czuł woń smoły, którą konserwowano łódź, i słyszał skrzypienie drewna, wiedział, że nad ich głowami rozpościera się zawieszona gdzieś nieskończenie wysoko nocne niebo. Było zupełnie jak wtedy, gdy wchodził do kościoła słupowego i unosił wzrok ku sklepieniu, pogrążonemu w takim mroku, że doświadczenie to dawało mu takie jak dziś poczucie nieskończoności.

Nastrój przysł nagle, tak jak pryska zazwyczaj, gdy ktoś odezwie się w czasie nabożeństwa. W miejsce wieczornego chłodu nastąpiło bezlitosne zimno nocy.

– Oj – szepnął Harrison. – Chyba coś...

– Co się stało? – spytał Kai Schweigaard, unosząc wiosła.

– Tylko że... co pan mówił?

– Rusza się? Ciągnie za linkę? – spytał Jehans.

– Nie, właśnie nie... Nie, leży spokojnie na dnie.

Schweigaard próbował znaleźć jakieś punkty orientacyjne, które pomogłyby mu ustalić, gdzie są, lecz jedyne, co był w stanie stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, to że znajdowali się niedaleko stromej skarpy, po której dzwony stoczyły się do jeziora.

– Największe pstrągi potrafią zamierać bez ruchu – powiedział pastor.

Harrison naciągnął rękaw kurtki na dłoń, by móc wokół niej okręcić twardą dratwę, nie ryzykując skałeczenia.

– Oczywiście, ale... Teraz naprawdę coś czuję.

– Co takiego? – szepnął Jehans, który nie do końca rozumiał, gdy Victor mówił po angielsku.

– Mówi, że chyba ma rybę – odparł Kai Schweigaard.

– Zwinę swoją linkę. – Jehans popęzł z powrotem do wędki i zaczął kręcić kołowrotkiem. Mechanizm szemrał w ciemnościach. – Ojej – rzucił nagle.

Słychać było chrzest gęsto tkanego materiału kurtek, łódź kołysała się pod wpływem ruchów mężczyzn. Wkrótce było już jasne, że zarówno Jehans, jak i Harrison złapali coś dużego. Linki i łódź drgały w tym samym rytmie i Schweigaardowi zdało się przez chwilę, że obaj mają na haczyku tę samą rybę.

Bracia zaczęli ze sobą rozmawiać, cicho i pospiesznie.

Linka Harrisona zmieniła nagle kierunek. Przecięła lustro wody, jakby chciała dostać się na drugą stronę łodzi, młodzieńcy zaś wymienili się błyskawicznie wędkami, tak by się ze sobą nie splątać.

I w tamtym właśnie momencie, gdy podali sobie wędki z rąk do rąk, a linki pobiegły przez wodę jak nici w tkackim warsztacie, w którym należy pilnować głębi, szerokości i długości, dokładnie w tamtym momencie Schweigaard usłyszał, że obaj zaczęli nagle mówić swoim własnym językiem, mieszaniną dialektu z Butangen i angielszczyzny, mrok zatarł różnice między ich ubraniami, stali się więc równi sobie, a pastor pomyślał nawet, że trudno odróżnić od siebie ich głosy. Polecenia, które sobie nawzajem wydawali, były krótkie i instynktowne, jakby w lot pojmowali swoje myśli, a gdy to, co złapało im się na haczyki, znów zmieniło kurs, obaj ponownie wymienili się wędkami, prowadząc jakby jakąś grę na cztery ręce. Na końcu linek musiał znajdować się ogromny ciężar, były one bowiem napięte do granic możliwości. W jednej chwili obie równocześnie pękły. Łódź zachwiała się niebezpiecznie i usłyszeli dochodzący z wody jęk, niepasujący do tego miejsca i do tych czasów. Wędki odskoczyły, wolne od ciężaru, a głębina pochłonęła ogromne długości linki, zaplecione przez braci we wzory, których nikt już nie miał zobaczyć.

Splot zakochania

Spiesząc do Ormsetra, Jehans myślał o tym, co powiedział mu Harrison. Że zawdzięcza mu życie. No tak.

I Anglik chciał teraz dla niego jak najlepiej.

Świetnie, to bardzo miło.

Dlatego też Harrison pragnął mu złożyć ofertę, Jehans miał ją zaś przemyśleć. Ale nie dłużej niż do czwartku. Bo wtedy zraniona noga powinna się wygoić na tyle, by gość mógł pojechać powozem na stację, potem pociągiem do Kristianii i tam wsiąść na pokład statku płynącego do Anglii.

No tak. Mieli za sobą dni pełne wrażeń. A ta oferta? O co chodziło?

Harrison chciał, żeby Jehans mu towarzyszył.

Do Anglii?

Do Anglii. I podjął tam na dwa lata pracę, w zamian za sówite wynagrodzenie. W majątku, który Harrison prowadził razem z ojcem. Praca ta polegałaby na zarządzaniu lasami i organizowaniu polowań. Oferta obejmowała wyżywienie i mieszkanie. Oczywiście Jehans potrzebowałby nowych ubrań i butów, rodzina Harrisona pokryłaby również te wydatki. W wolnych chwilach Norweg mógłby wykonywać prace gospodarskie pod okiem zarządcy. Ale to tylko przez kilka miesięcy. Bo potem mieli wyjechać na Cejlon.

Cejlon?

Cejlon. To na południe od Indii. Prowadziliby tam plantację i chodzili na polowania. Harrison całe życie marzył o ustrzeleniu lamparta, a to sztuka niełatwa, wymagająca udziału dwóch myśliwych. Dobrze zgranych myśliwych, którym niestraszny jest ani rozjuszony zwierz, ani monsunowe ulewy. Jehans miałby oczywiście zabrać ze sobą swojego kręga. Musiałby rzecz jasna wymienić celownik, bo w koloniach zabronione było korzystanie z urządzeń celowniczych sięgających dalej niż na dwieście jardów, Brytyjczycy bali się snajperów i zamachów, cóż, to idiotyczna zasada, ale chodzi przecież tylko o jeden element broni, prawda?

Dwadzieścia cztery miesiące?

Tak. Pół roku na Cejlonie. Potem wróciliby do Finlaggan na jesieni, polowali w tamtejszych lasach i być może jeszcze raz odwiedzili plantację. Na koniec Harrisonowie opłaciliby mu podróż do domu.

I miałby za to wszystko dostawać wynagrodzenie?

Victor podał kwotę w norweskich koronach. Jehans milczał, on dodał zaś, że to kwota miesięcznej pensji. Jehans dokonał w myślach rachunku, otrzymując sumę wystarczającą na wykupienie Halvfarella.

Czy w Anglii wszystkim tyle się płaciło za pracę?

Nie. Tylko tym, którzy ratują ludzkie życie w górach.

Tamtego wieczora w Pastorówce, z wędką w dłoniach, poczuł na końcu linki opór jakiejś niezwyklej woli, która nie mogła być wolą ryby ani zatopionej gałęzi, miał raczej wrażenie, że złapał na haczyk coś, co zakrzywiało rzeczywistość, co połączone było z czymś większym, uczucie to trwało dość długo, aż do momentu, gdy linka Victora Harrisona skrzyżowała się z jego własną, a potem obie jednocześnie pękły. Było to zresztą nie mniej dziwne niż samo tamto uczucie – zupełnie jakby jakaś siła świadomie odcięła haczyki od wędek.

W dniach, które nastąpiły po ich zejściu z gór, podczas ciężkiej pracy w Hekne od rana do wieczora, raz za razem stawała mu przed oczami twarz Victora. To, co w pierwszym odruchu wydało mu się niezdrowym pociągiem do innego mężczyzny, przybrało teraz kształt pociągu jak najbardziej naturalnego. Nie było w nim nic z fizyczności. Jehansa zachwyciło, że potrafią się porozumieć bez słów. Zupełnie jakby nagle na swoje miejsce trafił jakiś element układanki, coś, czego brakowało mu przez całe życie. Być może chodziło o odwagę w działaniu i jakąś celowość. Zaufanie do świata. Umiejętność powiedzenia sobie: „Tak, we dwóch temu sprostamy”. W obecności Victora był pewien, że wszystko,

czego zapragnie, może się ziścić. Ta odwaga mogła się przełożyć na przygodę, którą zapamięta do końca życia, i już teraz miał głowę pełną szalonych, kolorowych marzeń o przeładowywaniu broni w środku dżungli, podróżach parowcem i wysłużonych skórzanych walizkach na bagażowych półkach.

– Dwa lata! – powiedziała Kristine.

Faktycznie, to straszliwie długo, ale on będzie pisał listy. No dobrze, ale czy Jehans naprawdę tego chciał? Pragnął tam jechać? Ach nie, właściwie to niech lepiej nie odpowiada. Nie ma sensu pytać mężczyzny, czy ma ochotę polować i łowić ryby przez dwa lata i jeszcze brać za to pieniądze. Ale czego właściwie chciał ten Anglik? Czy był godzien zaufania? No tak. Na to wygląda. Bo Jehans uratował mu życie, ach tak. Lecz czy cudzoziemiec uratuje i jego, jeśli zajdzie taka potrzeba? Tak mu się zdawało. Że to taki człowiek. Więc owszem. A jeśli ten tygrys ich zaatakuje? Lampart. No dobrze, lampart. One potrafią kąsać. Cóż, ludzie wyprawiają się przecież przez morze do Ameryki, by tam się wzbogacić. I wcale nie jest to takie niegroźne. A tu chodzi o naprawdę dużo pieniędzy. Owszem, podejrzenie dużo. Co Jehans właściwie wiedział o tym człowieku? Czy on wyznał o sobie wszystko? No, raczej niewiele. Ale... Co ale? Nie, nic. Czego nie chcesz powiedzieć, Jehansie? To nic takiego. Tyle że on ma dużo pieniędzy. Dość, by często podróżować. Oni chyba tak właśnie w tej Anglii żyją. No dobrze, ale skoro oni tak tam żyją, to Jehans prędzej czy później pozna inną dziewczynę. I będzie ją wolał. Nie, on nigdy nie zechce dziewczyny, która żyje w ten sposób. Pragnie tylko zobaczyć, jak wygląda inny kraj i zarobić pieniądze. Wtedy nie będą już musieli być służbą. Dla nikogo. Bo zdobędą dość środków, by wykupić Halvfarelia. Owszem, ale taka podróż go odmieni. Ależ po to właśnie tu przychodził. By jej się obiecać. Będzie wtedy do niej należał, nawet jeśli wróci odmieniony.

– By mi się obiecać? – zapytała Kristine.

– Tak. I żebyś ty też mi się obiecała.

– A jak to by niby miało wyglądać?

– Wyglądać miałyby to tak, że przed tobą uklęknę. O, w ten sposób. I zapytam, czy za mnie wyjdiesz, jak wrócę. Więc pytam cię o to teraz. Właśnie tak.

– Rany boskie, Jehansie Hekne. Rzeczywiście pytasz. Rzeczywiście mnie pytasz.

– Owszem, pytam, i to tak, jak należy. Pytam, czy chcesz się ze mną zaręczyć.

Kristine wstała i chwyciła obie jego dłonie, podniosła go z ziemi i powiedziała:

– Chcę wyjść za ciebie teraz, Jehansie. Tu i teraz, w mojej roboczej spódnicy. Niech góra Brekkomsfjellet będzie nam pastorem, a twój krag kościelnym dzwonem. Gdybyśmy tylko mieli jakiś pierścionek.

Jehans wyjął coś z kieszeni. Spędził nad tym całą noc. Wrócił do swojej chaty w Halvfarelia, sięgnął po cewkę elektryczną, którą dostał od Schweigaarda, i wykręcił z niej metr po metrze drut, lśniący i tak cienki, że przypominał nić do szycia. W świetle łojowej świecy wykonywał splot za splotem, zaplatając te sploty w kolejne, coraz grubsze. Formował całą konstrukcję wokół lufy kraga, końce drutów zebrał i przyklepał, tak by nie kłuły jej w skórę. Pierścionek okazał się jednak zbyt miękki i nie nadawał się dla kobiety pracującej fizycznie, dlatego też Jehans zanurkował pod spichlerz w poszukiwaniu drutu do wiązania stojaków na siano. Pierścionek, który podał teraz Kristine, udało mu się zrobić za piątym razem.

Rude nitki wiły się wokół grubego drutu, zupełnie jak wąż o lśniącej łusce wokół szarego, matowego pręta i za każdym razem, gdy dziewczyna oglądała splot pod światło, ten zaskakiwał ją nowymi odcieniami, blask rozchodził się głębiej do wnętrza i dalej na zewnątrz, w nieskończonych, nadprzyrodzonych falach.

Oswald oświadczył, że nigdy w życiu nie słyszał podobnych bredni.

– Nie możesz nigdzie jechać! W każdym razie przed październikiem. Bo dopiero wtedy kończy ci się kontrakt dzierżawny. Wystarczy zajrzeć do umowy. Jak chcesz zostawić Halvfarelia, skoro nikt stamtąd nie będzie przychodzić do roboty? Powiedziałeś o tym w ogóle tym ludziom?

– Nie – odrzekł Jehans. – Jeszcze nie. Ale oni przecież wiedzą, że nie nadają się do pracy. W innych zagrodach dzierżawców gospodarze dają wdowom i starcom dożywocie. Taki jest zwyczaj. A ja wrócę za dwa lata i się nimi zaopiekuję.

– Zaopiekujesz się, patrzcie go!

– Zarobię dość pieniędzy, by wykupić Halvfarelia. Mogę już teraz dostać pewną kwotę, w formie zaliczki za pracę, którą mam przez te dwa lata wykonać. Jeśli pozwolisz im zostać w zagrodzie, to będę ci płacił raty.

Oswald wstał z krzesła z wysokim oparciem i wyjrzał przez okno.

– Prosisz mnie, żebym przez dwa lata poradził sobie bez jednego z dzierżawców, do tego chcesz wykupić tę zagrodę za bezcen. Sam przecież słyszysz, jak to brzmi. A mimo to mnie prosisz.

– Owszem, Oswaldzie, proszę cię. Rodzina Adolfa mieszka w tej zagrodzie od osiemdziesięciu lat. Twój ojciec obchodził się z nimi łaskawie. To był mój dziadek.

– Ojciec był zbyt miękki. Pracowity i porządny, owszem, ale miękki do granic głupoty. Gospodarz nie może się litować nad ludźmi jak baba, odpowiada za ziemię, dziedzictwo i tyle.

– Ale przecież trzeba jakoś rozwiązać sprawę starców, Oswaldzie.

– Aż tak znów starzy oni przecież nie są. Tyle że cały czas skarżą się na bóle pleców. Cóż, postaram się obejść z nimi łagodnie. Ale pamiętaj, Jehansie. To twoja decyzja. To ty uciekasz od obowiązkowej pracy. A ja nie mogę pozwalać, by moi ludzie latali, gdzie ich oczy poniosą. Muszę pilnować, by w Hekne nie zabrakło rąk do roboty.

Oswald nadal stał przy oknie. Miał na sobie czarną kamizelkę ze srebrnymi guzikami i olśniewająco białą koszulę. Nagle drgnął, tak że połyskliwa tkanina na jego plecach zafalowała. Gdy się odwrócił, jego usta były rozciągnięte w półuśmiechu.

– Niepokoisz innych dzierżawców, Jehansie. To twoje... miotanie się wytrąca ich z równowagi. Odziedziczyłeś to zresztą po matce. Ale wiesz co? Podjąłem decyzję. Jedź sobie. Jedź! Do Halvfarelia możesz już wcale nie wracać. Może i przepędzę stamtąd tych staruchów, zobaczymy. A teraz wynocha stąd, Jehansie Halvfare.

Jehans odszedł, spoglądały za nim poorane bruzdami ściany drewnianych zabudowań. Wiele już razy wcześniej opuszczał majątek ze złością, lecz teraz złość ta zmieniła w nim kształt, przeradzając się w żądzę zemsty.

Dwa lata, Oswaldzie. A potem ci pokażę.

W Halvfarelia stanął przy koźle do piłowania. Na ziemi leżały trociny, piła wisiała na ścianie. Adolf pociął najwyraźniej trochę drewna. Plecy ostatnio naprawdę mu dokuczały, najchętniej siedział z Ingeborg pod dachem i palił w piecu. Zostało im pewnie jakieś dziesięć lat życia. Spędzą je w izbie, blisko pieca, by nie marnować ciepła. Wychodzić będą tylko po to, by obrobić zagon z warzywami i wydoić Postłonkę. Uprawiali tę ziemię od zawsze, a mimo to ona nie mogła do nich należeć. Od dwóch lat nie dostali ani jednego listu od dzieci z Ameryki. Nie zostawią po sobie na tym świecie żadnego śladu, nie licząc tego, co będzie mógł powiedzieć o nich Jehans.

Sam posiadał tak samo niewiele jak oni. Nie miał nic, co mógłby dać Kristine.

Wszedł do domu, a oni zaraz pojęli, że chce się z nimi pożegnać.

– Rozpoznaję to – powiedział Adolf. – Widziałem to już. U twojej matki.

Jehans przygotował ich na najgorsze. Trudno było powiedzieć, co tak naprawdę zrobi Oswald. Ale on będzie im posyłał swoje comiesięczne wynagrodzenie, by mogli się nim dzielić z Kristine. Nie będą głodować. Na pewno nie przez niego. On zaś wróci za dwa lata i wtedy wszystko się zmieni.

Ingeborg płakała, płakał też Adolf, w końcu oboje wstali i po kolei go uściskali.

– Zrób to, Jehansie. Zrób, co potrzeba. Jak tu zmarniejemy, to odegraj się na Oswaldzie. Odegraj się.

Jehans podszedł do ogrodzenia i ściał garść trawy dla Postłonki. Krowa przeżuwała z wdzięcznością i zamuczała, gdy się z nią żegnał. Chłopak poszedł do swojej chaty i spakował cały dobytek. Było tego tak niewiele, że wszystko zmieściło się w plecaku. Osmolony czajniczek na kawę, nóż, lornetka, amunicja. Jehans przetaił stalowe elementy kammerladera zanurzoną w oliwie szmatką i odwiesił broń na ścianę. Nie miał siły pójść do Adolfa i oddać mu karabinu. Bo wtedy to pożegnanie stałoby się zakończeniem, którym i tak najpewniej było.

Przebrał się w odświętne ubranie, odzież roboczą spakował w tobołek i włożył do plecaka. Posiedział jeszcze chwilę przy otwartych drzwiach, wyglądając na owczarnię i niewielki zagon ziemniaczany. Wreszcie zamiótł podłogę i poprawił leżącą na łóżku futrzaną narzutę. Przyjdą tu

z pewnością, gdy on tylko zniknie za furtką, Ingeborg będzie płakała, patrząc na pustą izbę, Adolf zaś stanie za nią w drzwiach i w końcu zdejmie kammerladera ze ściany.

Otrząsnął się z tych rozmyślań. Był już najwyższy czas. Zrzucił plecak na ramiona i wyszedł. Adolf i Ingeborg stali już w drzwiach. Jehans nie dał rady się dłużej powstrzymać. Podbiegł do nich i mocno ich uściskał, a łzy płynęły po miękkich, pomarszczonych policzkach Ingeborg.

Znów ogarnęło go uczucie, że ucieka. Zaraz potem zaczęła w nim wzbierać zazdrość. Ta sama, którą czuł przez całe życie wobec moźnych, urodzonych w miękkiej pościeli. Żywił też przez to pewną podejrzliwość wobec Victora Harrisona, jego pieniędzy i możliwości kształtowania życia wedle swojego widzimisie. Gdyby obaj weszli na pokład statku do Anglii, po czym wymienili się biletami i odzieniem, kim on by się wtedy stał? Czy i on byłby Victorem Harrisonem, gdyby tylko włożył tamten piękny płaszcz i zrzucił na ramię karabin Rigby? Czy Victor Harrison stałby się Jehansem Hekne, gdyby zaczął nosić wadmę i chodzić w góry z kragiem?

Co to właściwie było? Co sprawiało, że nieustannie czuł potrzebę, by się z nim porównywać?

Minął owczarnię i spojrzął na ścianę z desek, którą Adolf postawił przy wejściu. Kiedyś stał tu portal z kościoła słupowego. Jego pradziadek przeniósł go tutaj, by nie został spalony, a matka Jehansa oddała go jego ojcu, w zamian za to, by kościelne dzwony pozostały we wsi.

Żaden z ich planów się jednak nie powiódł. W tej właśnie chwili Jehans czuł się bliższy swoim rodzicom niż kiedykolwiek wcześniej. Może istniało jakieś podobieństwo pomiędzy tym, co teraz czuł, a tym, co czuła jego matka, godząc się na wyjazd z zagranicznym architektem?

Czy to miała być tylko podróż? Czy Astrid Hekne sądziła, że to nic innego? A może i ją ogarniały takie myśli, wciąż wzbierające wątpliwości, czy uda jej się znaleźć swoje miejsce w nowym kraju? Wątpliwości przyćmiewające radość z nadchodzącej wyprawy, miesząc się z podejrzliwością wobec towarzysza tej podróży? Cudzoziemca o innych zwyczajach, takich, które ujawnią się być może dopiero w jego rodzinnym kraju? Czy ona też się bała, że nie będzie dość dobra? Dość obyta? Że ludzie będą ją mieli za taką, co to wypadła norweskiej sroce spod ogona?

Do rozważań, które Jehans przez chwilę dzielił tylko z matką, wmieszał się nagle Victor. Przez kilka sekund wszyscy troje byli w jego myślach razem, jakby na równych prawach, a potem to on został z tej konstelacji wypchnięty, zupełnie jakby było coś, o czym nie powinien wiedzieć.

Przez te wszystkie lata chwilami ogarniało go podobne uczucie. Coś szeptało mu, że kiedyś, dawno temu, została podjęta jakaś decyzja. Że miało miejsce doniosłe wydarzenie, choć nie odprawiono żadnej ceremonii. I w tej właśnie chwili zdawało mu się, że jest blisko tego wydarzenia, lecz jego matka nie chce go do niego dopuścić, nie chce mu go pokazać. Ogarnęła go jednocześnie złość i smutek, ten sam, który zdarzało mu się czuć na myśl, że miał brata, zmarłego przy porodzie. Martwego brata, o którym myślał, polując na reny, a poza tym właściwie nigdy.

Znów stanęła mu przed oczami twarz Victora.

Przypomniał sobie, z jaką zręcznością Anglik obchodził się z wędką jego ojca. Tamto uczucie, że gdzieś go już widział, możliwe, że na jakimś rysunku.

To, jak Kai Schweigaard patrzył na nich, gdy wiosłowali ku kościelnemu dzwonowi, choć były przecież dużo lepsze miejsca do łowienia ryb niż okolice ujścia strumienia.

Ta szansa zatopiona jest w zbyt głębokiej wodzie – pomyślał Jehans.

Mimo to pozwolił, by wątpliwości w nim wezbrały, napęczniały i wyrosły, a one, już wyrosnięte, rozciągały się w czasie aż do chwili jego narodzin.

Musieli jeszcze coś zrobić przed wyjazdem. Coś, co powie mu wszystko, co pragnął wiedzieć o Victorze Harrisonie, lecz tak, by sam Victor Harrison o niczym się nie dowiedział.

Sznur nasiąknięty wodą

Zjedli śniadanie w milczeniu. Poranne godziny wypełnione były melancholią pożegnania i podenerwowaniem nadchodzącą podróżą. Victor miał wyjechać następnego dnia, z Jehansem lub bez niego, i ta ostatnia doba powinna zacząć się od podziękowań za gościnę oraz obietnic powrotu. Między młodym Anglikiem a pastorem czuło się jednak dziwne napięcie i rozmowa jakoś im się nie kleiła.

Victor sięgnął po masło i ser. Wykonując ten ruch, zerknął jednocześnie na Schweigaarda. Pastor był pogrążony w myślach, jakby strapiony, już od tamtego wieczora w łodzi. Zupełnie jakby miał jakąś propozycję, której nie ważył mu się przedstawić. Victor chciał być dobrym gościem i nie dawał po sobie poznać, że coś zauważa, starał się sprawiać wrażenie wesołego i powiedział, że zamierza pożyczyć wędkę Jehansa i wybrać się na spacer o kulach, był ładny jesienny dzień, nie padało i wiał tylko lekki wietrzyk.

Za fasadą tej wesołości gromadziły się jednak emocje, wzbierały stopniowo niepokój i podejrzliwość.

Z początku Victor czuł tylko uzasadnioną chęć, by pomóc Jehansowi i jakoś go wynagrodzić. Wyobrażał go sobie jako kogoś w rodzaju norweskiego Kumary. Ale tamtego wieczora, w łodzi, ogarnęła go niejasna potrzeba po prostu bycia z nim blisko. I przekonanie, że to wystarczy.

Do czego?

A potem zaproponował mu wyjazd do Anglii. Jehans miał dać mu odpowiedź jeszcze tego wieczora.

Teraz, kuśtykając w górę strumienia daleko nad gospodarstwami, w nadziei na znalezienie dobrego miejsca na zarzucenie wędki, Victor zaczynał żałować swojej oferty.

Przez ostatnie dni w jego głowie kielkowały podejrzenia, które od siebie odpychał, po to tylko, by zaraz do niego wracały. Różne myśli próbujące układać się w schemat. Prawdopodobny schemat nieprawdopodobnych zdarzeń, nakreślonych ramowo przez opowieść pastora o wypadkach roku 1880 i niejasną wskazówkę Ragny, kierującą go do Butangen.

Jako dziecko nie mógł się doczekać prezentów urodzinowych na 28 marca. Ragna powiedziała mu, że przyszedł na świat o kilka tygodni za wcześniej i że pokładowy lekarz ocalił mu życie.

Czy faktycznie istniała taka możliwość? Czy ten Gerhard Schönauer, człowiek, do którego należała wędka niesiona teraz przez Victora, mógł mieć romans z jego matką? Młodzieniec zaczął liczyć, obierając za punkt wyjścia datę swoich narodzin. Doszedł do wniosku, że musiał zostać poczęty pod koniec czerwca. W samym szczycie sezonu na łososie. Pastor powiedział mu, że ten Schönauer rysował kościoły na zachodnim wybrzeżu Norwegii. W okolicach Lærdal, gdzie miał w zwyczaju wędkować jego ojciec, kościołów takich było wiele. Na przykład Borgund czy Urnes, sam odwiedził je przecież razem z ojcem!

A jeśli matka poznała Gerharda Schönauera właśnie w Lærdal?

Czy to dlatego tak go ciągnęło do tej wędki? Żeby sprawdzić, czy faktycznie da się dzięki niej odnaleźć jakąś więź z tamtym człowiekiem? Bzdury! Przecież wykonano ją właściwie w jego rodzinnych stronach! W Alnwicku! U braci Hardych, których sam miał okazję poznać!

Szedł dalej przed siebie, rozważając kolejne ewentualności. Otwierała się przed nim jakaś otchłań, przepaść, w którą desperacko chciał wskoczyć, by zobaczyć, co kryje się na jej dnie.

Czy to możliwe, że miał w Norwegii... przyrodniego brata?

Noga go bolała i gdy w końcu dotarł do zatoczki, położył się na wielkim, płaskim, nagrzanym przez słońce kamieniu. Poczul się bardzo ciężki, zupełnie jakby sam był częścią tego głazu, a gdy się obudził, musiał otrząsnąć się z tego wrażenia, by móc w ogóle wstać.

Tutejsze pstrągi bardzo trudno było przechytryć, a mimo to Victor wcale nie chciał odchodzić z tego miejsca. W końcu pokuśtykał na dół i już godzinę później odstawił kule w sieni domu pastora, po czym rozpiął kurtkę. Gdy się odwrócił, spojrzał prosto w oczy Jehansa.

– Pożyczyłem ją sobie – powiedział przepraszającym tonem, podając mu wędkę. – Przepraszam.

Powiniem być zapytać.

Jehans pozwolił mu nadal trzymać skórzaną tubę. Nie przyjął jej z jego rąk. Kiwnął tylko głową.

Victor nie wiedział, co ma oznaczać to kiwnięcie. Że nic nie szkodzi czy może że faktycznie powinien być zapytać? Tak czy inaczej, wydało mu się to nieuprzejme. Czyżby Jehans, zanim przyjmie jego ofertę, chciał mu rzucić jakieś wyzwanie?

A może między przyrodnymi braćmi takie rzeczy nie uchodziły za nieuprzejme?

Jehans długo mierzył go wzrokiem i w końcu rzekł:

– Pojadę z tobą do Anglii.

– To dobrze – odparł Victor. – Dobrze.

– Ale chciałbym, żeby zaliczka na poczet mojej pensji została tutaj, u pastora. Mam ludzi na utrzymaniu. I jest jeszcze jeden warunek.

– Ach tak?

– Chcę, byśmy wypłynęli dziś wieczorem na Løsnesvatnet.

Dwaj mężczyźni w łodzi o zmierzchu. Błyszcząca powierzchnia ciemnej wody i cień Pastorówki, ciemniejszy niż wszystko inne.

Victor zauważył, że Jehans śledzi jego ruchy. Najpierw zarzucił błyskę i zablokował kołowrotek tak, by haczyk unosił się tuż pod powierzchnią, ale Jehans nie chciał zacząć wiosłować, póki błyski nie opadną na dno. Dopiero wtedy wolno im było zablokować kołowrotki.

Zupełnie jakby to on miał decydować.

Wtedy, w sieni domu pastora, Victor zaczął się wzbraniać. Powiedział, że z usztywnioną nogą nie zda się na wiele. Czy nie mogliby raczej spróbować wyłowić dzwonu po powrocie z wyprawy?

Nie, odrzekł Jehans. Musiało się to stać tego wieczora. Chciał spróbować po raz ostatni przed wyjazdem.

Ale dlaczego akurat teraz? Z tego, co mówił pastor, poszukiwania dzwonu znudziły mu się, gdy jeszcze był młodym chłopaczkiem.

Tylko ta ostatnia próba, odparł mu wtedy Jehans. Kiedy wędkowali z pastorem, zdawało mu się, że coś czuje. Jego haczyk o coś zaczepił. A on zapamiętał tamto miejsce.

Czyli... wydawało mu się, że trafili na sam sznur dzwoniczy?

Tak. Był pewien, że haczyk wbił się w sznur.

Hm. I nic im wtedy nie powiedział?

Nie proszę o wiele, panie Harrison. Potrzebuję tylko kogoś, kto dopilnuje, by tratwa się nie przechylała. Zamontowałem talię, mocniej związałem ze sobą kłody, wymieniłem kilka mocowań.

Jehans był teraz innym człowiekiem. Jakby zaczarowanym, opętanym przez jakąś siłę. Używał sformułowań, które wcześniej nigdy nie padły z jego ust, oświadczył, że pożegnał się już ze swoimi bliskimi, lecz nie z Løsnesvatnet. Że przed wyjazdem musi spróbować wyłowić ten dzwon.

Ani razu nie wspomniał jednak o tym, co powiedział Schweigaard. Że sztuki tej dokonać mogą tylko bracia z rodu Hekne. Mówił tak, jakby zabierał się do tego zadania zupełnie sam i tylko potrzebował pomocy – obojętnie czyjej. Już samo to sprawiło, że Victor miał się jeszcze bardziej na baczności.

– Nie możemy spędzić tam całej nocy – oświadczył. – A co, jeśli go nie znajdziemy?

– Wyjedziemy niezależnie od tego, czy go znajdziemy, czy nie.

– I dobrze. Bo chyba łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

– Dlatego też nie będziemy nic mówić – rzucił Jehans.

Powiosłowali dalej. Było w tym jakieś szaleństwo, jakaś choroba. Szukali pod powierzchnią wody czegoś, co należało do Kościoła. I nawoływało dusze do Boga.

Victor chciał stąd uciec. Najszybciej jak się da.

Gdy tylko wróci do Finlaggan, wszystko będzie znów jak wcześniej.

Te nieprzemyślane słowa rzucone przez Ragnę. Jakby się chciała zemścić na jego matce. Ale to przecież niemożliwe, by Ragna znała Gerharda Schönauera!

Tak czy inaczej, było to z jej strony nieroztropne. Typowe zachowanie niańki! Wiara, że krew zawsze będzie gęstsza od wody. A on nie chciał w to wierzyć. Nie chciał i nie mógł.

W to, że ma tu przyrodniego brata.

Jaki był w tym sens? Miałby zaglądać w twarze zupełnie obcych mu ludzi i jeszcze się cieszyć z odnajdowanego w nich podobieństwa? A jeśli to wszystko było prawdą, jak zdoła spojrzeć w oczy ojcu?

Nie, chciał stąd jak najszybciej uciec. Odzyskać swoją prawdę. I to natychmiast.

W drodze nad jezioro Jehans, nie patrząc na niego, wyjaśnił, jak ma przebiec cała operacja. Na początku zarzucią błysk na dratwie. Potem, gdy haczyk zaczepi o dzwoniczy sznur, przywiążą linkę do boi i przesiądą się na tratwę. Miała ona pośrodku specjalny otwór, przez który opuszczają kotwiczkę i spróbują złapać nią oko dzwonu lub fragment skrzyni transportowej, w której być może nadal się znajduje. Niewykluczone, że dzwon zapadł się w mule, ale Jehans mimo wszystko sądził, że to nie przekreśla ich szans. Jeśli faktycznie tak było, trzeba go będzie stamtąd wydobyć. Pokołysać nim w przód i tył. Grube sosnowe bale, które ze sobą wieźli, zasłonią otwór w tratwie, gdy dzwon zostanie już uwolniony z wody – to na nich będzie spoczywał, zaś dwaj śmiałkowie przesiądą się z powrotem do łodzi i doholują tratwę do brzegu.

Jehans mierzył Victora wzrokiem, lecz ten nie zdradzał swoich myśli słowem ani gestem. Norweg wiosłował, trzymając swoją wędkę między kolanami.

Była w tym wszystkim jakaś choroba. Jakaś groźna choroba.

Victor poczuł nagle szarpnięcie, zupełnie jak w chwili, gdy ryba chwyta haczyk. Jehans przestał wiosłować. Wędka w dłoniach Anglika stała się nagle cięższa. Coś na dnie stawiało mu opór. Coś, co działało w zмовie z Jehansem, nie zaś z nim samym.

Zwolnił linkę, a ta opadła spokojnie na wodę. Gdy znów pociągnął, poczuł ten sam oporny ciężar. Zupełnie jakby to był nasiąknięty wodą dzwoniczy sznur.

Wkrótce już siedzieli na tratwie, ciągnąc Pastorówkę. Od teraz to Jehans o wszystkim decydował i podejmował wszystkie działania, nadal bez słowa. Klęczeli, a woda obmywała ich stopy i golenie. Jehans opuścił kotwiczkę przez otwór na środku tratwy i zwolnił linkę z talii, aż ta zaczęła się swobodnie unosić w wodzie. Następnie lekko podniósł kotwiczkę z dna i zaczął prowadzić dratwę tam i z powrotem. Zachowywał się, jakby Victora wcale przy nim nie było.

Tratwa zaczynała coraz bardzo kołysać się w rytm wahadłowego ruchu kotwiczki.

Victor poczuł, że ogarnia go potrzeba ucieczki. Całe jego ciało drgnęło, ale w tej samej chwili linka naprężyła się w dłoniach Jehansa, tak jakby kotwiczka o coś zahaczyła. Młody Norweg przymocował dratwę do talii i nad wodą rozległ się głośny zgrzyt przywodzący na myśl mechanizm zegarka bez tarczy, zębalki, których nie ima się czas.

Linka zadrzała, zachlupotała woda i w tej właśnie chwili rozpoczęła się prawdziwa próba sił. Tratwa zanurzała się coraz bardziej, w miarę jak talia przyjmowała coraz większy ciężar. W pewnym momencie zarzuciło nimi tak, że musieli się chwycić jeden drugiego, by nie wpaść do jeziora. Głęboko pod nimi uwolniło się z dna coś bardzo ciężkiego, tratwa była teraz częścią wielkiego, powolnego ruchu, kołysała się z boku na bok. Jehans nadal nie patrzył na Victora, byli tylko dwoma przemoczonymi mężczyznami z dłońmi zaciśniętymi na przemoczonej lince, ale potem młody Norweg zapalił lampę i mogli zobaczyć, co się dzieje w wodzie.

Otchłań w duszy Victora otwierała się coraz bardziej.

Był w stanie myśleć wyłącznie o sweterku, który pokazała mu Ragna.

„Twoja matka chciała, byś go dostał?”

Dotarło do niego teraz, że istnieje tylko jedno spójne wyjaśnienie tej zagadki. Wedle słów pastora, Astrid Hekne wiedziała, że ma urodzić dwoje dzieci. Gruntownie się do tego przygotowywała. Robiła na drutach ubranka.

Kobieta, która wie, że urodzi dwójkę dzieci, wydzierga chyba dwa sweterki?

Prawda?

Jehans odwrócił się do niego plecami i przeczołgał się do Pastorówki. Zaczął przenosić na tratwę drewniane bale, na których miał spoczywać uwolniony z wody dzwon. Nie poprosił o pomoc.

Victor widział, jak w głębinie pod nimi unosi się na naprężonej lince jakiś wielki, ciemny kształt. Mógł to być korzeń drzewa, mógł to być dzwon, przedmiot cały czas zmieniał kształt, może w miarę jak

opadał z niego denny muł.

Nad tym zaś zagadkowym przedmiotem, w lustrze wody, Victor zobaczył swoją własną twarz, zupełnie odmienioną.

Jeśli nie jestem tym, kim jestem, muszę zrzec się praw do Finlaggan. Przekazać majątek Josephowi. Razem z plantacją. Zostawić ojca. I wszystko przez tego Norwega. Wczoraj jeszcze niczego nie pragnąłem tak, jak być blisko niego przez dwa lata. A teraz nic nie jest mi równie wstrętne. Dwadzieścia cztery spędzone razem miesiące, ja i on, udający, że nadal jesteśmy tymi, co wcześniej?

Chciał już przerwać milczenie i spytać Jehansa wprost, ile on właściwie wie. Kto i dlaczego podjął za nich decyzję?

Ale tego lepiej było chyba nie wiedzieć.

Victor powiedział sobie, że to, co podnoszą właśnie z wody, nie może być kościelnym dzwonem. To pewnie tylko wielki, zarośnięty sosnowy korzeń. Albo gruba drewniana kłoda, pozostałość po kościele słupowym, który tu kiedyś stał.

Wytarł dłoń rękawem. Wyjął nóż z przypiętej do pasa pochwy.

Linkę naruszyło już pierwsze cięcie. Była tak napięta i przesiąknięta wilgocią, że jej przerwane nici zwinęły się w spirale, a krople wody prysnęły mu na twarz i ręce, gdy w końcu przeciął swe więzy. Linka pękła bez żadnego ostrzeżenia i tratwą potężnie zarzuciło. Victor runął na wznak, gorączkowo próbując się czegoś przytrzymać. Zdawało mu się, że słyszy, jak z wody dobywa się jęk, a potem wielki ciężar opadł z powrotem na dno.

Pożegnanie z Butangen

Kai Schweigaard ujrzał, jak daleko od brzegu pęka lina i gaśnie lampa.

Chwilę później dostrzegł na tratwie dwie ludzkie sylwetki, jedna z nich dzwignęła się na kolana i rzuciła na drugą. Wrzaski i gwałtowne ruchy. Co oni wyprawiali? Nawet jeśli coś poszło nie tak, to czy nie powinni jakoś oznaczyć tego miejsca, wrzucić do wody obciążonej boi?

Jeden z nich wskoczył do Pastorówki. Wiosło uderzyło w lustro wody, łódź zaczęła krążyć w kółko, do uszu pastora dobiegły rzucone z wściekłością słowa i urywane części zdań. Czyżby walczyli o wiosło? Pastorówka odłączyła się w końcu od tratwy i po półkolu ruszyła ku brzegowi. Tratwa ruszyła w tym samym kierunku, nieco wolniej, ale obierając pewniejszy kurs.

Pastor stał w miejscu oddzielonym kawałkiem lasu od zatoczki, w której mieli wylądować. Puścił się przed siebie pędem.

Młodzieńcy spędzili na wodzie ponad dwie godziny. Gdy pastor odprowadzał ich na brzeg, Victor był milczący i zacięty, ale Kai sądził, że to tylko rozdrażnienie wywołane niewyspaniem i być może bolącą nogą. Jehans wyjaśnił mu, co chcą zrobić, nie wtajemniczył go jednak w szczegóły swojego planu. Zapytał tylko, czy mogą pożyczyć Pastorówkę, i dodał, że gdy wrócą, będą może potrzebować pomocy przy dźwiganiu ciężaru.

Schweigaard biegł przez las. Zdawało mu się, że słyszy szorowanie stępki łodzi o przybrzeżne kamienie, potem zaś chlupot wody. Jakby wpadło do niej coś ciężkiego. I głuchoe odgłosy pięści bijących w przemoczoną tkaninę. Strzępki oskarżeń: „Lina nie pęka sama z siebie! Musiałeś coś zrobić. Nóż, gdzie twój nóż? Miałeś go z sobą, widziałem!”

Następnie głos Victora: „To nie był dzwon! Tylko zwykły korzeń. Pojedź ze mną do Finlaggan, Jehansie. Wyruszymy jutro. Wszystko będzie jak wcześniej”.

Kai wypadł wreszcie z lasu i zobaczył, co się dzieje. Stali przy łodzi. Jehans uderzył Victora w brzuch. Podniósł go z ziemi i znów wymierzył mu cios w żebra.

– Nic by cię to nie kosztowało! Nic!

Tratwa zaczęła odpływać od brzegu, wiosło Pastorówki unosiło się w wodzie, a z kółek talii zwisał kikut liny.

– A co ty możesz wiedzieć? – zawołał Victor. – Co ty wiesz o tym, ile by mnie to kosztowało?

Jehans powalił go kopniakiem i znowu uderzył.

– Chciałem stąd wyjechać! Z tobą. Z tobą!

Schweigaard dopadł do nich, Jehans odskoczył od Anglika. Pastor pomógł Victorowi wstać, a gdy się odwrócił, drugiego młodzieńca już nie było.

Świeca się wypaliła, w izbie zapadła ciemność. Każdy słyszał ruchy tego drugiego, Kai Schweigaard wiedział zatem, że Victor wierci się w fotelu. Rozległo się pociąganie nosem, lecz pastor nie rozumiał, którą ze strat oplakuje jego gość. Jehansa już nie zobaczyli. W jego pokoju nadal leżał krag, wędka i reszta spakowanych rzeczy.

– Gdyby on tylko ze mną pojechał – wymamrotał Victor. – Wtedy by zrozumiał.

Schweigaard skwitował to krótkim „hm”.

– On nigdy nie odpowiadał za nic, co zostawili mu jego rodzice. Więc nie mógłby tego pojąć. Dopóki by do nas nie przyjechał. Wtedy by zrozumiał.

– Chodzi o ten majątek, Finlaggan?

– I naszą plantację na Cejlonie. Spodobałaby mu się. Jestem tego pewien. Ale to już nieważne. Nic wam do tego. Wszystko jedno.

Długo siedzieli w ciemnościach.

– Musisz wiedzieć, że ja też kiedyś zawiodłem – powiedział Schweigaard. – Gdy znalazłem się w pobliżu tego samego dzwonu, którego dziś byliście blisko wy. Ale minęło wiele lat i dziś jestem innym człowiekiem. Twój czas też przyjdzie i ty też się zmienisz.

Victor wstał z fotela.

– Zawiodłem?! Powinniście byli zachować się wobec mnie uczciwie. Powiedzieć mi, co tu się dzieje. Wtedy bym sobie po prostu wyjechał. Tam na tratwie zaproponowałam mu wynagrodzenie za dwa lata jako nagrodę za ocalenie mi życia. Powiedziałem, że pošlę mu pieniądze, gdy tylko wrócę do domu. I co on mi odpowiedział? Że nie chce moich pieniędzy. Bo skoro jestem jego bratem, to one do mnie nie należą.

– Jehans ma swoje przywary – odrzekł Schweigaard. – Na przykład tę dziwną niewdzięczność. I ślepy upór w dążeniu do celu.

Pastor nasłuchiwał odgłosów z korytarza. Cisza.

– Wie pastor, jakie pragnęli mu nadać imię? – spytał Victor. – Temu drugiemu chłopcu?

– Edgar. Chcieli, by nosił imię Edgar.

Znów chwilę pomilczeli.

– Czy to prawda? – odezwał się Victor. – Jestem jego bratem?

Schweigaard namyślił się i powiedział:

– To wie tylko kościelny dzwon.

Gdy Schweigaard się obudził, za oknem było już szaro, a on siedział w pełni ubrany, spocony i zeszywniały po przespaniu kilku godzin w fotelu. Victora przy nim nie było. Pastor poszedł do jego sypialni i stwierdził, że nikogo tam nie ma. Zupełnie jak wtedy, gdy Butangen opuścił Gerhard Schönauer, czuć było tę samą pustkę. Żadnych ubrań w szafie, żadnego karabinu w kącie pokoju. W powietrzu unosił się tylko zapach, woń pasty do impregnowania skórzanych butów, oleju do smarowania broni. Ale z niego samego nie zostało zupełnie nic. Żaden najmniejszy ślad.

Schweigaard wyjrzał przez okno.

Każdy człowiek wiosłuje we własny sposób, każdy po swojemu wyjeżdża. I wraca do domu. Po swojemu wędkuje i rozmyśla.

Lecz wszyscy tak samo uciekają. Wiosłując szybko, gubiąc przy tym rytm. Raz po raz obracając głowę, by sprawdzić, czy są na właściwym kursie. I nie podnosząc wzroku ku miejscu, które opuszczają.

Tak właśnie wiosłował teraz Victor Harrison.

Pastor pospieszył do pokoju Jehansa. Wysunął szufladę, wyjął z niej jakiś przedmiot i popędził na brzeg jeziora.

W sitowiu chowała się kaczka krzyżówka o niebieskich piórkach na skrzydłach. Nad wodą wisiała lekka, szarawa mgła. Pomiędzy jedynymi ludźmi w Butangen, którzy już nie spali, poniósł się krzyk. Pastor wyciągnął ręce w górę i nimi zamachał.

Victor był już niemal na środku jeziora. Przestał wiosłować. I znowu zaczął.

Schweigaard stał spokojnie na brzegu. Już nie krzyczał. Nie wykonywał żadnych ruchów.

Po prostu tkwił w miejscu, jak to Kai Schweigaard.

Victor opuścił wiosła. A potem zawrócił i ruszył ku niemu. W łodzi miał tylko kule, porysowany karabin Rigby i swój plecak.

Pastor pochylił się, chwycił za krawędź burty i podał mu niewielką książeczkę w brązowej tekturowej oprawie.

Meyers Sprachführer für Reise und Haus.

Victor przyjął ją, nie pytając, po co mu ona.

– Wróć tu, Victorze. Wróć, gdy będziesz mógł.

– Nie. On nigdy mnie tu nie wezwie, a ja nigdy nie wezwę jego.

Kai Schweigaard stał w świetle wstającego dnia. Jego spojrzenie błdziło od zabudowań plebanii na szczycie skarpy do wód Løsnvatnet. Victor zanurzył wiosła w wodzie i skinął krótko głową.

– Jedną rzecz musisz wiedzieć, Victorze – rzekł jeszcze pastor. – Gdy grunt pod nogami traci byk, to potyka się, upada i wstaje. Gdy grunt pod nogami traci ptak, to zrywa się do lotu.

Opowieść druga

Pęknięte zwierciadło

Mytische Clara

W Dreźnie zbliżał się czas nabożeństwa, a z Königlicher Großer Garten dochodziło bicie Halfrid zawieszanej na wieży kościoła słupowego z Butangen. Dzwon dźwięczał tak samo pięknym tonem jak w Norwegii, był w nim jednak jakiś smutny, samotny pogłos, rozpaczliwe wołanie okrążające całe miasto. Uderzenia Halfrid marszczyły powierzchnię Carolasee, rozchodząc się dalej nad ogrodem zoologicznym, wpadały przez otwarte okna do rezydencji królewskiej na Strehleener Straße, po czym zakręcały na promenadę i biegly dalej ku cmentarzowi Świętego Mateusza, gdzie delikatnie muskały grób Gerharda Schönauera.

Minęło niemal dwadzieścia pięć lat, odkąd młody architekt trafił do szpitala miejskiego z nieuleczalnym zapaleniem płuc, zaś miejsce jego pochówku znajdowało się tak niedaleko tego szpitala, że Gerhard niejako miał widok na łóżko, w którym umarł. Niewielki nagrobek dawno już zarósł mchem, litery nazwiska „Schönauer” stały się niewidoczne, a wyryte w kamieniu cyfry oznaczające lata jego życia zaczęły się zacierać. Opiekujący się cmentarzem ogrodnicy byli właściwie pewni, że nagrobny kamień zostanie wkrótce wyrwany z ziemi i przerobiony na tłuczeń, nie było bowiem nikogo, komu zależałoby na dalszym utrzymywaniu mogiły.

Bicie dzwonów rozchodziło się dalej, zataczając kolejne kręgi nad miastem. Omiatało dachy pięknych budynków w Altstadt i rozpościerało się nad barokowymi pałacami pobudowanymi wokół Frauenkirche, mijało statki parowe nad brzegami Łaby, sunęło nad synagogami, docierając do Brülshen Terrasse. Fale dźwięku odbijały się jednocześnie od wysokich, nieco surowych fasad gmachu Sächsische Polytechnikum, najlepszej szkoły kształcącej inżynierów w Europie. Tony płynęły dalej nad miastem, lecz w jednym z niefortunnie zbudowanych kamienicznych podwórzycy zaczynały nieść się echem, echo zaś ma to do siebie, że szuka swojego źródła, dlatego też dźwięki zawracały, biegnąc zgodnie z nurtem Elby i w końcu zderzając się z nowo narodzonymi dźwiękami, lecz odnajdując jeszcze silniejszy ton wśród koron drzew rosnących w Großer Garten, gdzie trafiały w końcu na powrót do swojej kolebki w poczerńiałym od słońca kościele o wysokich wieżach, wzniesionym w malowniczej scenerii, na polanie naprzeciw jeziora, i niczym ptak składający skrzydła, gdy ląduje w gnieździe, echo uspokajało się tu i milkło.

Kościół ten był prastarym reliktem staronordyckiej przeszłości, zagubionym zarówno w przestrzeni, jak i czasie. Sylwetka gmachu różniła się diametralnie od innych tutejszych świątyń i oko miejscowych musiało się do niej przyzwyczaić, by w ogóle mogli ją zacząć akceptować. Odbudowa zajęła ponad dwa lata, za wszystko zapłaciła królowa Carola von Wasa i już od pierwszego dnia po ukończeniu prac *Königlicher Butangen Stabkirche*, lub *Carolakirche*, jak wielu go nazywało, stał się popularnym celem spacerów. Nabytek ten zabezpieczał pozycję Drezna jako stolicy europejskiej sztuki, przyciągając o wiele więcej odwiedzających niż *Wang Kirche*, odbudowany czterdzieści lat wcześniej na Dolnym Śląsku, jednak na peryferiach, do których prowadziły trasy strome i rzadko uczęszczane, a do tego kościół był już nie do końca autentyczny. Świątynia z Butangen natomiast zachowała swój oryginalny wygląd i nadal pokryta była siedmusetletnią patyną.

Kościół został poświęcony, korzystano z niego regularnie, choć sprawujący w nim posługę duchowni prezentowali dość nierówny poziom, często byli to młodzi kapelani związani z Christuskirche i oddelgowani tu na próbę. Świątynię otwierano dla publiczności w godzinach od jedenastej do osiemnastej przez większość dni w letnim półroczu, mogły ją jednak odwiedzać jedynie grupy dwudziestoosobowe i wyłącznie pod opieką przewodnika. Należało zgasić cygara i wystukać tytoń z fajek przed zbliżeniem się do gmachu na odległość pięćdziesięciu metrów, ochronę przeciwpożarową zapewniał również sztuczny strumień, zaś afisze sugerowały odwiedzającym, by zaniechać w kolejce rozmów i wprawić się w odpowiednio refleksyjny nastrój.

Afisze te zresztą dość szybko zdjęto. Odwiedzający doskonale rozumieli, jak zachować się w obliczu takiej świętości. Po przestudiowaniu dachowych spadów i smoczycy łbów ludzie zatrzymywali się zazwyczaj na jakiś czas przed portalem, maleńkimi drzwiami otoczonymi

imponującym, wysmakowanym dziełem sztuki snycerskiej z tajemniczymi ornamentami przedstawiającymi baśniowe zwierzęta, z których największy był wielki wąż wijący się wokół drzwi z przeraźliwą rozdziawioną paszczą. Istoty te pilnowały kościoła przed złem, czyniąc z niego twierdzę staronordyckich czasów i strzegąc jednocześnie dawnej wiary, i choć nikt z odwiedzających nie wiedział właściwie, na czym ta wiara polegała, wszyscy wyczuwali jej obecność, stając pod portalem. Każdy musiał się pochylić, by wejść do środka, nieważne, czy był to hrabia czy zwykły obywatel, tak to miało wyglądać, bo ten trwający chwilę stan pośredni, pozycja ciała świadcząca o oddaniu i pokorze wobec bóstwa, czynił ich równymi, gdy opuszczali swą teraźniejszość, wkraczając do wnętrza kościoła. Ich rozsądek potrafił co prawda objąć i docenić rzeźbienia jako sztukę ludową, lecz przechodząc przez portal, musieli przyznać, że sztuka ta daje im również spokój ducha, gdy zaś prostowali się, wdychając woń smoły i starości, docierało do nich, że nietrwale drewno może być tak samo święte jak cegła, z której budowano katedry, podobnie jak zwykłe słowa, kiedy składało się je w modlitwę.

W kościele tym wielu odwiedzających szukało również odpowiedzi na niezwykle aktualne i zajmujące wszystkie umysły pytanie, czyli: co to znaczy być Niemcem? Od zjednoczenia narodu minęło niewiele lat, składał się on teraz z ludzi poszukujących, gnanych potrzebą odkrywania wspólnych korzeni. Wielu sądziło, że prawdziwych początków tej wspólnoty należy doszukiwać się w prastarej kulturze germańskiej, mającej ze staronordycką tyle wspólnego, że wydawała się utoczona z tej samej beczki pitnego miodu. Nazwisko Richarda Wagnera nie było wcześniej w tych stronach często powtarzane, lecz jego oszałamiający *Pierścień Nibelunga* kumulował w sobie wszystkie te mity, niektórzy nawet twierdzili, że rozpoznają bohaterów tego dramatu muzycznego w elementach ornamentyki portalu. Kościół stał się więc z czasem czymś w rodzaju Kamienia z Rosetty dla wszystkich chcących doszukiwać się takich paraleli, bo w tym pomniku prastarych czasów nordyckich sag ludzie wyczuwali te same siły, które skłoniły Brunhildę do wejścia na stos w *Zmierzchu bogów*, zaś wijący się wokół portalu straszliwy wąż miał swój muzyczny odpowiednik w niepokojącej linii kontrbasu z preludium do *Zygfryda*.

Fakt ten – że kościół zawierał w sobie jakąś część ich samych, coś, co prawie przypadło w mrokach historii – wykorzystywany był w kierowanej do publiki broszurze informacyjnej. Wiele miejsca poświęcono w niej opisom ornamentyki oraz wspólnym – germańskim i nordyckim – korzeniom motywów utrwalonych na portalu. Tekst do broszury przygotował profesor Ulbricht z Akademii Sztuk Pięknych, człowiek, któremu przypisywano wszystkie zasługi związane ze sprowadzeniem kościoła z Norwegii. Nazwisko Gerharda Schönauera padało w jego tekście jeden tylko raz, a rozdział poświęcony samym przenosinom świątyni do Niemiec zdawał się pisany w pewnym pośpiechu.

Wnętrze kościoła najbardziej przemawiało do odwiedzających go ludzi szczególnie uduchowionych, których bynajmniej nie brakowało. Lecz to dopiero wciągnięcie na wieżę Halfrid w roku 1882 obudziło w mieszkańcach Drezna głębsze uczucia religijne. Razem z dzwonem do Niemiec trafił sznur, ciemny i wyślizgany przez setki lat dotykania spoconymi dłońmi. Kościelny wiedział całkiem sporo o historii Halfrid, nie miał natomiast pojęcia, że w sznur wpleciono pasma włosów Astrid Hekne Starszej, dlatego też nie rozumiał dziwnego uczucia, które towarzyszyło mu, gdy za ten sznur pociągnął, a pierwsze tony zatoczyły koło nad miastem. Tony, w których pobrzmiwał niewypowiedziany smutek i samotność.

Do tej pory kościół podziwiano. Od tamtej chwili go kochano. Historia wędrowała z ust do ust: dzwon miał w sobie taki smutek, bo w Norwegii została jego zaginiona siostra, którą Halfrid nadaremno nawoływała. Co bardziej przesądni twierdzili, że dzwon w Norwegii zapewne odpowiadał takim samym tonem. W latach 1883 i 1885 studenci politechniki wyruszyli do Norwegii z planem odnalezienia zaginionej siostry Halfrid, ale w obu przypadkach wrócili z nosami na kwintę, pożarci niemal przez komary, opowiadając historie o rozjuszonemu pastarze i nieuprzejmych wieśniakach. Wielu sądziło również, że dzwon powinien bić samotnie, a tęsknota pozostać tęsknotą.

Pewien człowiek żył tak długo pośród zapachów i skrzypiących dźwięków kościoła, że właściwie zlał się z nimi w jedno. Doglądał jęczącego starego gmachu i zebranych pod jego sklepieniem stuleci tak, jak nieustraszony, lecz pełen szacunku pszczelarz dogląda swoich pszczół. Człowiekiem tym był kościelny, Karl Gustav Emmerich. Jako młody ciesielski czeladnik uczestniczył w odbudowie gmachu.

Należał do niewielkiej grupki miejscowych, którzy poznali Gerharda Schönauera, i jeszcze mniejszej grupki tych, którzy przyszli na jego pogrzeb.

Im wyżej gmach rósł pod niebo, tym silniejszego młody Karl nabierał przekonania, że zaczyna się on zamykać wokół niego niczym dom. Kiedy zaś cieśle spakowali wreszcie swoje narzędzia, on został, by wykonać drobiazgowo, mozolne prace wykończeniowe, do których nikt inny nie miał cierpliwości. Przeciągał je w nieskończoność i nie odstąpił od nich nawet po tym, jak kościół został pobłogosławiony – wymieniał uszczelniający okna kit na gatunek o bardziej neutralnej barwie, wbijał drewniane kołki tam, gdzie ktoś wcześniej oszukał, sięgając po żelazne gwoździe – poprawiał wszystkie te drobnostki, na które nikt inny nie zwróciłby uwagi, i w końcu, niemal niezauważalnie, przedzierzgnął się z cieśli w kościelnego.

Pod wieloma względami przywodził na myśl pana Røhme z Butangen. Małomówny, skromny, rzetelny i wszechstronny, w roboczej odzieży jadał drugie śniadanie w samotności, pałając wielką miłością do niedoskonałej, kapryśnej konstrukcji gmachu. Po zakończonym dniu pracy lubił przysiąść na ławce przed kościołem i patrzeć, jak budowla przegląda się w Carolasee, zmieniając kształt, w miarę jak wiatr marszczył powierzchnię wody. Pewnego razu zdało mu się, że widzi w tym odbiciu, jak okno w ścianie kościelnej wieży staje otworem i ktoś stamtąd wygląda – lecz gdy się odwrócił, okienko było rzecz jasna zamknięte.

Nigdy nie widział dzwonu na własne oczy. Został on zawieszony wedle życzenia Schönauera i – zdaje się – zgodnie z jakimś starym norweskim zwyczajem. Owinięto go płótnem żaglowym i dopiero wtedy wciągnięto na wieżę, Emmerich wdrapał się tam następnie, zdjął płótno z zamkniętymi oczami i pospieszenie wrócił na dół. Kościelny zmuszony był wejść na wieżę raz jeszcze, wiele lat później, chciał przegonić pustułki, które uwiły sobie tam gniazdo, wtedy też owinał dzwon tym samym płótnem, patrząc w innym kierunku – dopiero po tym zabrał się do pracy.

Z upływem lat nabierał coraz większego przekonania, że z transportem materiałów do odbudowy kościoła przyjechało do Drezna coś jeszcze. Myśl o tym nawiedzała go regularnie i szybko odchodziła, ale pierwszy raz zwrócił uwagę na to „coś jeszcze” podczas noworocznego nabożeństwa w roku 1883. Kościół był pełen wiernych, nabożeństwo się udało, mimo że pastor trochę dukał. By uczcić kraj pochodzenia świątyni, zebrani spróbowali odśpiewać trzy strofy *Cichej nocy* po norwesku.

Gdy Emmerich stał w drzwiach, żegnając wychodzących wiernych, usłyszał tamtego dnia coś, co go zastanowiło. Dobrze ubrana para, oboje w ciepłych płaszczach, twierdziła, że w okolicach ich ławy strasznie ciągnęło zimnem. Dygocząc, wskazali mu miejsce, tuż przy ścianie, on zaś obiecał, że sprawę zbada, nie mógł jednak pojąć, co mogło stać za tą anomalią. Temperatury jak na tę porę roku nie były zbyt niskie, pozostali wierni przecież nie zmarzli. Pomyślał, że może obluźowała się jakaś deska, tworząc szparę w ścianie.

Pastorem ani organistą nigdy się specjalnie nie przejmował, zamknął więc po prostu kościół i zrobił sobie przerwę na posiłek. Był to, jak zawsze, żytni chleb z serem i kawa. Następnie wyciągnął się na ławie i zdrzemnął, po czym zamiótł podłogę, była to dobra praktyka, której uczył się z czasem każdy kościelny, bo taka przerwa na sen wystarczała, by podłoga, zamoczona wodą lub śniegiem naniesionymi na butach wiernych, zdążyła wyschnąć.

I w tamtym właśnie momencie, gdy uwiął się z miotłą w nawie, oświetlonej promieniami wpadającymi przez położone wysoko okienka, zauważył zapomniany śpiewnik. Leżał on dokładnie w miejscu, na które poskarżyła się dobrze ubrana para.

Emmerich odstawił miotłę, podszedł do ławy i poczuł, że faktycznie od ściany ciągnie chłodem. Gdy usiadł, zdało mu się nagle, że słyszy szept. A może nucenie? W każdym razie jakieś słowa w obcym języku. Bynajmniej nie wrogie i nawet nie bardzo przerażające, mimo że głos zdawał się dochodzić z wnętrza ściany. Szept szybko ucichł, zrobiło się cieplej, on zaś podniósł śpiewnik i stwierdził, że to zagraniczna książka. *Landstad*. Najpewniej norweska albo duńska.

Ale ta para, która siedziała w tym miejscu – przecież to byli Niemcy?

Kościelny odłożył śpiewnik na półkę w kruchcie, na wypadek, gdyby ktoś chciał go stąd zabrać, i wymiół to zdarzenie ze swojej pamięci, tak jak wymiatał kurz i śmieci z kościoła.

Po nabożeństwie noworocznym roku 1884 śpiewnik znów leżał w miejscu, które Emmerich

zaczął nazywać *Die Fröstelstelle*, choć organista ochrzcił je mianem *Die Gruselbank*. Otwarty na psalmie numer 130. Kościelny tego nie skomentował, założył tylko, że organista z jakiegoś powodu zaczął sobie z niego stroić żarty.

Kilka miesięcy później do kościoła przybył stary profesor Ulbricht, by jak co roku oprowadzić po nim studentów architektury. Emmerich nie przysłuchiwał się zazwyczaj tym wykładom, bo wszystko to już wiedział, tym razem nadstawił jednak ucha, kiedy Ulbricht, po kilku pytaniach zadanych przez szczególnie pilnego studenta, sięgnął po historię tak makabryczną, że zazwyczaj jej nie opowiadał. Gdy kościół stał jeszcze w Norwegii, bywało w środku straszliwie zimno, temperatury potrafiły tam spadać poniżej minus trzydziestu stopni w skali Celsjusza, podobno raz nawet jakaś stara kobieta zamarzła na śmierć w trakcie noworocznego nabożeństwa. Profesor dodał, że w tamtych czasach kobiety siedziały po jednej stronie nawy, mężczyźni zaś – po drugiej. Wyciągnął rękę wskazując miejsce, w którym rzekomo zamarzła tamta biedaczka.

Celował palcem prosto w *Die Fröstelstelle*.

Kłopoty zaczęły się na całego w kolejne święta Bożego Narodzenia. Jednym z obowiązków Emmericha było wieszanie numerów psalmów na tablicy, ale gdy pastor rozpoczął nabożeństwo, okazało się, że kościelny musiał się w chwili roztargnienia pomylić, tak że zgromadzeni zaczęli śpiewać psalm 130, *Aus tiefer Noth ruf' ich zu dir*, a organista grał numer 140, *Lob Gott, ihr Christen allzugleich*.

Emmerich aż się wzdrygnął, zażenowany swoim błędem. Faktycznie, na czarnym tle tablicy wyraźnie widniały białe cyfry układające się w „130”! Przed kolejnym nabożeństwem kościelny sprawdził numery psalmów dwukrotnie, ale również tym razem doszło do małego skandalu. Psalmi znów zostały pomyłone, zebrani śpiewali numer 130 do niewłaściwej melodii wygrywanej na organach i co gorsza – na tablicę trafił jeszcze jeden błędny psalm, tak że organista chcąc nie chcąc musiał wstać z instrumentu po raz drugi, stanąć przed wiernymi i wyjaśnić im, co mają śpiewać. Emmerich najchętniej zmieniłby się w kałużę na podłodze.

Gdy kościół opustoszał, zdjął numery z tablicy. Posortował je i odłożył na miejsce w skrzyni. Zamknął wieko. Ruszył nawą, mijając rzędy ław. Na *Die Fröstelstelle* znów leżał *Landstads Kirkesalmebog*. Otwarty na psalmie numer 130. Emmerich przeliterował tytuł: *Her kommer dine arme smaa*, pieśń napisana przez niejakiego Brorsona.

Tym razem zostawił śpiewnik w spokoju. Wrócił do wynajmowanego pokoju. Nie spał najlepiej.

Przyszedł do kościoła następnego dnia i przesyłabizował cały tekst psalmu, próbując go zrozumieć. W śpiewniku nie było melodii, czas między świętami a Nowym Rokiem przeznaczył więc na kartkowanie zapisów nutowych i trzytomowego dzieła o niemieckich pieśniach ludowych w nadziei, że uda mu się znaleźć jakieś tłumaczenie. Wszystko to nadaremno. Niechętnie wtajemniczył w całą sprawę organistę, któremu w przedostatni dzień starego roku udało się zdobyć duńskie nuty datowane na rok 1853. Po przestudiowaniu ich doszli wspólnie do wniosku, że melodia norweskiego psalmu będzie taka sama jak w *Den süssen Schlaf erbitten wir* Schultza. Taką przynajmniej mieli nadzieję. Organista znał tę pieśń z niewielkiej książeczki do nabożeństw domowych w ewangelicko-luterańskich koloniach nad Wołgą.

Udało im się to ustalić na chwilę przed rozpoczęciem noworocznego nabożeństwa. Melodia nie była zatwierdzona do odgrywania w kościele, więc nie poinformowali o niczym pastora. Wierni schylali się, by przejść przez portal, a Halfrid biła nad ich głowami. Wtedy właśnie organista zaczął grać melodię, która – jak sądził – pasowała do *Her kommer dine arme smaa*.

I tego dnia numery psalmów na tablicy już się nie pomieszały.

Później melodia ta była grana przed każdym nabożeństwem noworocznym, niekiedy również w zwykłe niedziele. Emmerich uznał problem za rozwiązany i cieszył się, że nie musi dzielić się swoimi podejrzeniami z pastorem, ale organista – jak organista – zaczął o tym paplać na prawo i lewo i stało się właśnie to, czego kościelny próbował uniknąć. Rozeszły się plotki, że świątynię nawiedza luterański upiór. Powtarzano je z wielkim entuzjazmem, bo spirytyzm i rozmowy z duchami zaliczały się w tamtych latach do głównych zainteresowań europejskiego mieszczaństwa, a po wykładzie Ulbrichta mieszkańcy Drezna poznali również tożsamość zamarznętej na śmierć kobiety. Miała na imię Klara, jej nazwiska nikt nie był pewien, bo nie dawało się go niemal wymówić, ale zaczynało się chyba na „My-”.

Stąd zapewne wziął się powtarzany przez ludzi przydomek *Mystische Clara*, czasem używany zamiennie z *Mytische Clara*. Imię Klara pisano w Niemczech zazwyczaj przez K, lecz do historii przeszła pisownia *Clara*, to C miało w sobie bowiem coś wyrafinowanego, czyniło z niej postać subtelniejszą, pasowało do młodej damy o nieprzeciętnej urodzie i wkrótce już Klara Mytting zmartwychwstała jako kobieta zupełnie inna niż ta, która rok za rokiem dreptała po Butangen, zgarbiona pod ciężarem nosidła i wiader z wodą. Fantazja mieszkańców Drezna zrobiła z niej eteryczną madonnę w powłóczystej szacie, zaś Emmerich podejrzewał, że Klara nie ma nic przeciwko temu, ona też musiała przecież być kiedyś młoda, a zmarli, wracając do świata żywych jako upiory, sami mogą przecież decydować o swoim wieku.

Tamtego wrześnieowego dnia 1904 roku nad Großer Garten świeciło słońce, Emmerich przepracował w pocie czoła wiele godzin, pieląc teren wokół gmachu świątyni. Było już wpół do piątej i powinien właściwie dawno pójść do domu, ale coś go tknęło i wrócił do kościoła, zamknął za sobą drzwi na klucz i wyciągnął się na ławie opisanej nazwiskiem Norddølum, z głową na ramieniu i gazetą podłożoną pod buty.

Nagle usiadł.

Bicie dzwonu. Ciche bicie dzwonu.

Zdarzało się to od czasu do czasu – z wieży dochodziły różne niewytłumaczalne odgłosy przywodzące trochę na myśl wystrzały z broni myśliwych w lasach, w których dorastał kościelny. Emmerich był bardzo czujny, bo od ostatniego razu, kiedy te dźwięki się rozległy, minęło zaledwie dwanaście dni. Halfrid zabiła wtedy dość głośno, a on szybko wspiął się na podest dla dzwonnika i stwierdził, że sznur zwisa luźno jak zawsze.

Teraz znów do tego doszło.

Dzwon zabił sam z siebie.

Uderzył trzykrotnie.

Zazwyczaj Halfrid wydawała z siebie drżący ton z melancholijnym poddźwiękiem. Ale zarówno dwanaście dni wcześniej, jak i w tamtej chwili, zabrzmiała zupełnie inaczej. Tylko trzy krótkie uderzenia. Ostrzeżenie, które nie miało dotrzeć zbyt daleko.

Emmerich usłyszał, że ktoś chodzi po kruchcie. Ruszył w tamtym kierunku, zacisnął palce na uchwycie z kutego żelaza i otworzył drzwi portalu. Za nimi, w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca, stał młody człowiek, który najwyraźniej chciał wejść do środka. Jego sylwetka wypełniła otwór drzwiowy, słońce oślepiło Emmericha, tak że nie był w stanie dojrzeć twarzy nieznanego. Człowiek ten ruszył do niego bez słowa, schylił się, przechodząc przez portal, i na oczach kościelnego wydarzył się cud, młody architekt zmartwychwstał w kościele, architekt, którego przed wieloma laty sam odprowadził na wieczny spoczynek, stanął z nim teraz twarzą w twarz. Emmerich zamknął drzwi i wlepił oczy w Gerharda Schönauera, niepostarzałego o jeden nawet dzień.

W gorącej wodzie kąpany

Młody mężczyzna i bardzo młoda dziewczyna trzymali swoje nowe życie w dłoniach i czuli, jakie jest ciężkie.

Zbyt ciężkie.

Droga była dłuższa i trudniejsza, niż mu się zdawało, a gdy w końcu wspięli się na ostatni pagórek i przystanęli, spoceni i spragnieni, patrząc na Hellorn w świetle dnia, ona zapytała go, czemu tak stoją. Gdy zaś pojęła, że są już na miejscu, ogarnęła ją wściekłość.

Wściekłość tę zastąpiło jednak szybko coś dużo gorszego, coś, co miało w przyszłości spędzać sen z powiek Jehansa Hekne bardziej niż cokolwiek innego.

Kristine Messelt zamilkła.

Stała długo bez ruchu, po czym pochyliła się i wyrwała z ziemi skalny odłamek. Musiała mocno go szarpnąć i kilka razy zmienić rękę, a i tak większość odłamków było tu o wiele większych.

– Dotknij go.

– Wiem – powiedział Jehans. – Wiem.

– Chodź mi tu już! I dotknij go!

Jehans przyjął kawał skały z jej rąk, musiał przenieść ciężar ciała na drugą nogę, by się nie przewrócić. Krawędzie raniły dłonie, odłamek był tak ciężki, jakby złość Kristine dała się odmierzyć tą samą jednostką wagi.

– Wiedziałeś? I mimo wszystko?

– Przecież czuję, jak ciężki jest ten odłamek. Ale wcale nie jest tak źle, jak ci się wydaje.

Możemy...

– Źle? Tu są tylko kamienie, Jehansie Hekne! Nie ma miejsca na nic innego! Nie ma gdzie postawić domu! Nie ma kawałka ziemi na zasadzenie choć jednego ziemniaka! Ledwie trochę gałązek dla jednej kozy, która i tak by padła zimą! Byłeś tu w ogóle wcześniej? Tutaj? No, odpowiedz mi, Jehansie. Nie ociągaj się tak. Odpowiadaj!

– Kiedyś, dawno temu. Nie pamiętałem, że jest aż tak źle.

– No to musiało to być zimą. Bo nikt, kto by tu przyszedł o innej porze roku, nie zdołałby zapomnieć, jak tu wszystko wygląda. Popatrz! To tylko chata do przenocowania, schronisko. A z czego ją zbudowano, jak sądzisz? Z kamienia!

Leżący na płaskowyżu kawałek ziemi był dobrze nasłoneczniony, liczył sobie łącznie może jakieś trzy hektary, ale tuż nad nim wznosiła się brązowo-czarna ściana góry, naga skała, jeśli nie licząc kilku miejsc, w których jakimś cudem zdołały urosnąć sosny. Kristine ruszyła przed siebie, Jehans chciał iść za nią, ale ona przegoniła go machnięciem ręki.

– Taki właśnie jesteś, Jehansie. W gorącej wodzie kąpany.

Zostawiła go, kamienie hurkotały pod jej stopami, co podpowiedziało mu, i jej zapewne również, że jest ich tu kilka warstw. Gdyby nie położenie, miejsce to przypominałoby wyschnięte koryto rzeki albo jezioro. Można było zresztą odnieść wrażenie, że Jehans oczekiwał, że przybędą gdzieś, gdzie są ryby, dużo wielkich pstrągów. I jakby po przybyciu do celu stwierdzili, że jezioro wyschło, najpewniej niedawno, bo ryby leżą na ziemi, gnijąc. Jedyne różnica polegała na tym, że nie mogli poszukać innego jeziora, gdyż on kupił już to miejsce za wszystkie ich pieniądze i najzwyczajniej w świecie nie mieli dokąd iść.

W Hellorn mieściła się kiedyś zagroda dzierżawców podlegająca pod Hekne, pobudowana tak dawno, że nikt już nie pamiętał, kiedy zeszło tu kamienne osuwisko. Kristine przyznała mu rację, że tak wczesne osadnictwo musiało oznaczać dobrą ziemię pod uprawę, a w dodatku płaskowyż zwrócony był ku południu, więc słońce dobrze tu przygrzewało. Skalnych odłamków nie usunięto pewnie ze strachu przed kolejnym osuwiskiem, tutejsi dzierżawcy przenieśli się po prostu do innej zagrody niżej we wsi. W kolejnych latach ludzie z Hekne przychodzili tu tylko, by naciąć witek z poskręcanych wierzb i brzołek rosnących pomiędzy kamieniami.

Opowiedział jej to wszystko po drodze. Wspomniał także o osuwisku, ale dodał, że pod kamieniami jest żyzna ziemia, wystarczy je po prostu zebrać. Że przez ich działkę płynie Breia, więc będą mieli świeżą wodę przez cały rok.

Kristine podeszła teraz do niewielkiej kamiennej chaty, jedyne tu budynku. Szarpnęła drewniane drzwi i zajrzała do środka. Pokręciła głową, po czym ruszyła ku nieco łagodniejszej skarpie, na której zdołała zapuścić korzenie sosna. Szła, licząc kroki. Zupełnie jakby odmierzała nimi jego głupotę.

Jehans oparł stopę na skalnym odłamku.

– Możemy je porozbijać młotem.

– Gdybyśmy tylko mieli młot – odparła.

– Pożyczymy od kogoś. Dwie sztuki.

– Lepiej nie dawaj mi niczego ciężkiego do ręki. Bo rozłupię ci tym głowę.

Nie tak miał się skończyć ten dzień. Ani to małżeństwo.

Po tym, jak Jehans pobił swojego brata, poszedł prosto do Ormsetra i powiedział swojej narzeczonej, że szansa na wyjazd przepadła, ale że po drodze zdążył już obmyślić nowy plan. Brat zostawił mu miesięczne wynagrodzenie przeznaczone dla Adolfa i Ingeborg, ale Jehans schowa dumę do kieszeni i zastawi kraga, a potem schowa jej tam jeszcze trochę, pójdzie do Osvalda i spróbuje wykupić Halvfarella na raty. Powiedział, że zrozumie, jeśli Kristine zechce poczekać ze ślubem. Ale ona szybko skończyła na ten rok pracę na pastwiskach, zeszła do Imsdalen, skąd wzięła odświętną spódnicę oraz szare mydło do umycia włosów, a także wybrała sobie jesienne kwiaty do bukietu. Następnego dnia spędzili osiem godzin w drodze z Ormsetra do Butangen, a dwa dni później Kai Schweigaard udzielił im ślubu. Świadkami byli Adolf i Ingeborg, Jehans zaś zdjął drucziany pierścionek z jej lewej ręki i wsunął na serdeczny palec prawej dłoni. Z Imsdalen przybyli rodzice Kristine, do ołtarza odprowadził ją ojciec, oboje jednak wyjechali przed zapadnięciem zmroku, a Jehans widział, że jego żona uroniła łzę, zasmucona, że ślub był taki skromny.

Przenocowali w drewnianej chacie należącej do Prestangen, ale on miał poczucie, że w izbie jest z nimi ktoś jeszcze, i nie sprostął zadaniu, gdy wreszcie byli już nadzy. Poszli do Halvfarella, Kristine się tam spodobało, powiedziała, że chatka, w której mieszka, jest właściwie trochę dla ich dwojga za mała, ale że jakoś dadzą radę. Przez sześć lat pracy na górskich pastwiskach zdołała odłożyć dwadzieścia cztery korony i kwotę tę przekazała Jehansowi, który miał dobić handlu. Adolf oświadczył, że plecy go może pobolewają, ale nie aż tak, by nie mógł im pomóc w postawieniu przez zimę większej chaty i już na wiosnę będzie można zabrać się za uprawę własnej ziemi. Jeśli oczywiście Osvald zgodzi się sprzedać im zagrodę, dodał.

– Powróciłeś, Jehansie Halvfare. A nie wybierałeś się przypadkiem do Anglii? Ludzie tak gadają.

W gabinecie Osvalda był jeszcze inny gospodarz, człowiek ten nazywał się Ulrik Stulen i uchodził za największego we wsi znawcę koni, ludzie zwali go Nochalem, bo miał długi, spiczasty nos. Na widok Jehansa ruszył do wyjścia, ale przystanął, gdy Osvald rzucił pospiesznie:

– Huczne weseliska też nie było. Niezłą dziewczynę sobie wzięłeś za żonę. To znaczy dziewczynkę. Ale ten twój pastor udzieli ślubu każdemu. Ona pewnie nawet nie ma skończonych szesnastu lat.

– Ma. Ale tobie nic do tego.

– Biedaczka, jest taka drobnitka i chuda – rzucił Osvald, odchylił się w fotelu i spojrzał na Nochala. – Ale całkiem ładna. To trzeba przyznać. Nie sądzisz, Ulriku? Czy to dlatego, mój drogi, nie chciałeś zaprosić własnego wuja na wesele? Żeby mała nie zobaczyła, jak wygląda prawdziwy gospodarz? Nie spojrzała na mnie, pożałowała decyzji i zaczęła się tu kręcić?

Nochal nie uznał chyba tych słów za zabawne, bo tylko chrząknął.

– Nigdy wcześniej nie nazwałeś się moim wujem – powiedział Jehans.

Osvald wzruszył ramionami. Na ścianie za jego plecami wisiały dwie oprawione mapy pól i lasów, na biurku leżał zaś szkic nowej obory. Przy mapach, na honorowym miejscu, królowała stara, wyschnięta brzozowa różga. Promienie słońca wpadały przez okno, odbijając się od błyszczącej łysiny Osvalda. Gospodarz położył swoje wielkie dłonie na podłokietnikach i rozparł się w fotelu.

– Spójrz na kalendarz, Nochalu – powiedział. – Minęło niewiele dni, odkąd Jehans tu przyszedł i zerwał swój kontrakt dzierżawcy. Byłem wspaniałomyślny i pozwoliłem mu odejść. A on się w międzyczasie ożenił i teraz do mnie wraca. Ale dobrze. Powiedz, czego chcesz, Jehansie. I spróbujemy jakoś dojść do porozumienia.

– Chcę wykupić Halvfarelia – oświadczył młodzieniec. – Zagrodę, w której się wychowałem. I spłacać ją przez dziesięć lat. Ale nie przychodzić do Hekne do pracy. Będziemy mieszkać i pracować w zagrodzie. Ja, Kristine, Adolf i Ingeborg.

– Czyli wracasz do Halvfarelia, patrzcie go. To niemożliwe.

– Ach?

– Od naszej ostatniej rozmowy nic się nie zmieniło. Nie mogę zacząć wyprzedawać majątku, szkodząc moim własnym dzierżawcom. Tym, którzy chcą pracować, a nie tylko bujają w obłokach. Nie rozumiesz, że muszę jakoś zarządzać Hekne? I że potrzeba mi ludzi?

– Trochę się rozpytałem. Teraz w lecie sprzedano zagrodę podobnej wielkości w Brekkom. Kosztowała siedemset koron, a w granicach był nawet kawałek lasu z sosnami i drzewami do wyrębu.

– Twierdzisz, że Halvfarelia jest warte siedemset koron?

– Siedemdziesiąt koron rocznie przez dziesięć lat.

– O czymś takim jak odsetki zapewne nawet nie słyszałeś. Tak czy inaczej to wykluczone. Nie będę dzielił Hekne.

– W Ringebu i Fåvang sprzedano już połowę zagród dzierżawców – powiedział Jehans. – Zostały wykupione i to są teraz wolne gospodarstwa.

Nochal wtrącił się do rozmowy, oświadczając, że jest umówiony z kowalem na kucie koni i musi się pożegnać. Ale Osvald wcale się nim nie przejął.

– Ależ mój drogi, czy tobie się wydaje, że ja nie czytam gazet? – mówił dalej. – Rzecz jasna wiem, co robią ludzie w innych miejscowościach. Olaboga, wyprzedają swoje zagrody. I kupują sobie maszyny. Kosiarki i snopowiązałki, które mają zastąpić pracę ludzkich rąk. Pewnie świetnie się sprawdzają, tyle że na płaskich połaciach ziemi. Ci, co wierzą w takie maszyny, nie widzieli, jakie tu, w Butangen, są stromizny. A mimo to zbiory mamy niezłe, bo słońce dobrze u nas przygrzewa i śniegi szybko topnieją. Owszem, dzierżawcy klepią czasem biedę, ale w miastach ta bieda jest o wiele większa. Zawsze znajdują się mężczyźni, porządni, silni mężczyźni, chcący zostać dzierżawcami. Może i byłem w ostatnim roku trochę surowy wobec swoich ludzi. Ale to się teraz zwraca. Im również. Mają więcej czasu na oporządzanie własnych zagonów albo wyrąb lasu. Moja odpowiedź brzmi więc: nie, Jehansie. Znalazłem już nawet nowych dzierżawców do Halvfarelia. Niech ci starzy znajdą sobie inne miejsce.

Jehans zachwiał się na nogach. Zupełnie jakby ktoś go postrzelił. Nie sposób było stwierdzić, czy Osvald powiedział to wszystko poważnie. Sprawiał wrażenie, jakby ta decyzja była dla niego trudna, ale niezbędna.

– Sam im o tym powiedz, Jehansie. Bo to ty przecież dokonałeś za nich wyboru.

– Nie zdążyłeś jeszcze znaleźć nowych ludzi! To niemożliwe, sam przecież powiedziałeś, że od naszej rozmowy minęło ledwie kilka dni.

– A skąd ty możesz wiedzieć, kto tu przychodzi i o co mnie prosi? Umieszczę tam nowych ludzi, Jehansie. Porządnych, poważnych ludzi, którzy szanują umowy. A nie takich awanturników jak ty. Hekne to nie kasa zapomogowa, do której można co chwila sięgać.

Jehans miał już powiedzieć, że może płacić siedemdziesiąt koron przez piętnaście lat. Że, jeśli będzie trzeba, mogą uzależnić wysokość rat od wartości korony.

Osvald spojrział na mapę za jego plecami i powiedział:

– Ale wiesz co? Mógłbyś wykupić Hellorn.

Nochal roześmiał się i oświadczył, że teraz naprawdę musi iść.

Do gabinetu wszedł syn Osvalda. Martin, dziedzic na majątku. Miał trzynaście albo czternaście lat, w ostatnim roku bardzo wyrósł i zmężniał. Drzwi zostały otwarte, ale Ulrik Stulen nie ruszył się z miejsca i Jehans zrozumiał, że jego kolejne słowa rozniosą się wkrótce po całej wsi. Nochal był umówiony z kowalem, a jak kowal usłyszy plotkę, to można ją równie dobrze ogłosić z ambony, bo cała parafia i tak się wszystkiego dowie.

– Martinie, Jehans chce wykupić Hellorn – powiedział Osvald. Jego syn zamknął drzwi, próbując jakby odgadnąć, co teraz najbardziej opłaca się powiedzieć. Ulrik Stulen tkwił w swoim miejscu. – Niektórzy gadają, że ród Hekne najpierw osiedlił się właśnie w Hellorn – ciągnął gospodarz. – Bo mówi się, że samo słowo „hekne” oznacza kamienne albo skalne podłoże. Więc nie myśl sobie, że się nie interesują historią.

– Przed osuwiskiem to było dobre miejsce – rzucił Martin. – To tam zbudowano jedną z naszych pierwszych zagród dzierżawców. Trzeba tylko usunąć kamienie, Jehansie. Dalesz radę zdjąć łupki z dachu, to chyba poradzisz sobie z uprzątnięciem paru odłamków?

Osvald, właściwym sobie, lekko drwiącym tonem, zaczął opowiadać, że jego siostra, Astrid, poszła kiedyś do Hellorn naciąć gałązek dla krów. Uratowała je tak przed głodową śmiercią na przednówku. Ale przedstawił całą tę historię tak, by wyśmiać głupich gospodarzy, którzy w ogóle doprowadzili do tego, że głód im zajrzał w oczy.

I tu chyba sam Osvald zrozumiał, że posunął się za daleko. W izbie jakby powiało chłodem, był to podmuch niosący wiedzę, którą dzielili wszyscy:

Gdy obraża się zmarłych, ci budzą się do życia.

Jehans pomyślał o swojej matce. Co ona by zrobiła? Może chwyciła wiszącą na ścianie różgę i obijała nią Osvalda, kazała mu zjeść wszystkie mapy, by potem znów zacząć go ćwiczyć tą różgą.

A może obmyśliłaby jakąś bardziej wyrafinowaną zemstę.

Młodzieniec spojrzał na mapę, mając wrażenie, że jego oczy podążają za wzrokiem matki. Gruba kreska wyznaczała bieg Brei. Rzeka zakręcała, płynąc w granicach Hellorn. Jehans poczuł nagle, że przepelnia go ta sama potrzeba działania co w dzieciństwie, ten sam zapał, z którym rysował maszyny i mechaniczne instalacje. Coś się w nim obudziło. Bulgoczący, roztopiony metal w tyglu. Ale nie dał tego po sobie poznać.

– Owszem, niewykluczone – powiedział spokojnie, patrząc na mapę. – Może i damy radę uprzętnąć Hellorn.

Kątem oka dostrzegł, że Osvald i jego syn wymieniają spojrzenia. Zupełnie jakby udało im się wyciąć komuś udany żart. Dodał:

– A ile byś chciał za tę ziemię? W granicach wyznaczonych na mapie?

– Cóż. Ten krag, co go kupiłeś. Ludzie mówią, że kosztował ponad pięćdziesiąt koron. Powiedzmy, że chciałbym trzysta. To jest pięćdziesiąt koron rocznie przez sześć lat.

– Nie mogę zapłacić trzystu koron za zagrodę, w której przez pierwszy rok nie da się mieszkać.

– Ach, to przecież niska cena. Trzysta spłacane przez sześć lat! Bez względu na inflację.

Jehans wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej muszę to omówić z Kristine.

Osvald zarechotał.

– Ha! Wiedziałem. Jesteś z tych, co muszą się radzić baby.

Martin mu zawtórował. Ulrik Stulen milczał.

Jehans stał bez ruchu.

Osvald zrobił w tym momencie minę, jakby zrozumiał, że jego łódź zaczyna nabierać wody, i rzucił pospiesznie:

– Ale pierwszą ratę musiałbyś uiścić teraz, dzisiaj. Zwyczajowo pierwszą transzę płaci się z góry za dwa lata. Czyli sto koron. Żeby zwróciła mi się fatyga z odkręcaniem papierów, jak za rok nie zapłacisz.

– Czyli dobijamy interesu – powiedział Jehans. – Hellorn w granicach wyznaczonych na tej mapie.

– Interesu? Przecież ty nie masz trzystu koron.

– Ale mam sto. O, tutaj – młodzieniec wyjął kopertę z kieszeni kurtki. Czterdzieści za zastawionego kraga, czterdzieści od Victora Harrisona i dwadzieścia koron zaoszczędzonych przez Kristine Messelt.

– Jehansie – wtrącił się Ulrik Stulen. – Daj spokój. Nie mów, że chcesz płacić za Hellorn?

– Owszem, kupuję tę ziemię – oświadczył młodzieniec. – Trzeba spisać akt notarialny,

Osvaldzie. Niech Ulrik Stulen będzie naszym świadkiem. On i twój syn.

Streścił Kristine całą tę rozmowę, pomijając jedynie fragment o radzeniu się baby. Nigdy w życiu nie radził się nikogo, a teraz zaczynało do niego docierać, że może był to błąd.

– A czemu mnie nie zapytałeś, czego ja bym chciała?

– Wiedziałem, że chcesz właśnie tego! Własnego majątku. A Halvfarelia nie jest na sprzedaż!

– Ale w takiej sytuacji nie kupuje się po prostu kawałka ziemi, której i tak nie można uprawiać!

Jak myślisz, czemu Osvaldowi było tak spieszo do sprzedaży? Nie rozumiesz, że on ci źle życzy? Tego właśnie chciał. Żebyśmy się teraz o to kłócili. Żebyś się na tej ziemi zarzynał. I żebym sama się zarzynała!

Kristine odwróciła się do niego plecami.

– A co z Adolfem i Ingeborg? – zapytała.

– Muszą opuścić zagrodę, ale dopiero do czternastego kwietnia. Osvald nie może ich wyrzucić wcześniej. Żadni nowi dzierżawcy nie wejdą do tego domu na zimę.

– Czternastego października też wypada dzień przenosin – powiedziała Kristine. – Wszystko zależy od treści umowy.

Nadal stała odwrócona do niego plecami.

– Powinieneś był wyjechać ze swoim bratem – powiedziała. – Zostawić ten dzwon w spokoju na dnie. Nawet nie próbować. Tylko z nim wyjechać.

– Pokażę ci coś, Kristine. Tego, co ma tu jakąś wartość, nie widać. Ale za to słyhać.

– Dziwne, bo słyszę tylko czcze gadanie i same bzdury.

– Nieprawda, słyszysz coś jeszcze.

– Owszem, szum Brei.

Opowiedział jej o swoim planie dotyczącym rzeki i wodospadu.

– I teraz mi o tym mówisz?

– Tak.

– Żeby mnie zadziwić? Mnie już starczy zadziwiania jak na jeden dzień, Jehansie Hekne.

– To się uda. Zrobili tak w Lillehammer, Tretten i wsiach w okręgu Fron.

– Tylko że w międzyczasie będziemy musieli coś jeść. A idzie zima. No i właśnie.

Pomilczeli chwilę. Jehans kopnął skalny odłamek. Kamień zaklekotał o inny, leżący pod nim.

– Nie mam ci do zaproponowania niczego innego. Jeśli musisz, wracaj do Imsdalen. Pójdę zimą do pracy w lesie i oddam ci pieniądze.

– Nigdzie nie wracam.

– Ach?

– Nie słyszałeś, jak mówię „no tak, tak”? Już się z tym pogodziłam. Wyszłam za Jehansa Hekne, wiedząc, że są na świecie łatwiejsi mężowie. Gdy jestem wściekła, potrafię pracować dzień i noc. A myśląc o Osvaldzie Hekne, będę wściekła cały czas. Jeszcze mu się odwdzięczymy. Tak, że to poczuje. Ja natomiast zostaję z tobą, Jehansie.

– Kristine... – ruszył w jej kierunku. – Przepraszam, że...

Nie pozwoliła mu się dotknąć.

– Zostaję. Jeśli obiecasz mi jedną rzecz. Tylko tę jedną.

– Jaką?

– Że nigdy już czegoś takiego nie zrobisz. Nie zadecydujesz o moim życiu, nie spytasz mnie o zdanie. Nigdy.

Obiecał jej to.

– Przynajmniej mamy ładny widok – stwierdził Jehans, rozglądając się dookoła.

– O tak. A to oznacza, że i ci z dołu też będą nas dobrze widzieć. Więc chodź tu teraz i mnie obejmij. Stójmy tu, na skraju przepaści, i niech każdy się na nas gapi. Niech każdy sobie obejrzy dwójkę największych głupków w Butangen. Tego, co kupił Hellorn, i tę, co za niego wyszła.

Galerie Apfelbaum

Był w połowie drogi na dzwonnice, gdy nagle się zatrzymał.

Przez szpary między deskami dało się wyjrzeć na Drezno. Nigdy jeszcze nie widział tak wysmakowanego architektonicznie miasta. Mimo że ze wzburzenia nie był w stanie napawać się tym widokiem.

Z koron drzew rosnących wokół kościoła dochodziło popiskiwanie kawek. Wewnątrz unosiła się tłusta, korzenna woń. W innych warunkach gotów byłby pomyśleć, że to kadzidło, lecz czuł wcześniej podobny zapach wokół niektórych drewnianych zabudowań w Butangen i wiedział, że chodzi raczej o smołę użytą do impregnacji ścian.

Victor wszedł do kościoła jako zwykły turysta, nie oczekując, że ktoś go będzie pilnował ani o cokolwiek pytał, lecz w środku powitał go wyraźnie zaskoczony mężczyzna. Anglik przywitał się z nim swoim dość podstawowym niemieckim, po czym usiadł na jednej z ław i poczuł bijący od ściany zimny podmuch. Rozejrzał się dookoła. Ogarnęło go nagle wrażenie, że wrócił do Butangen. Jakby mógł wyjść z powrotem na dwór i spotkać tam Jehansa oraz pastora.

Wstając, zobaczył, że kościelny uważnie mu się przygląda. Mężczyzna otworzył wąskie boczne drzwiczki i odsunął się, robiąc mu miejsce, gestem dłoni zasugerował, żeby Victor przez nie przeszedł. Dopiero teraz, w połowie trzeciej drabinki, młodzieniec zrozumiał, gdzie właściwie podąża.

Wspinał się ku dzwoniwi.

Nie. Nikt nie miał prawa wpasować go w obcy portret rodzinny. Ten zapach smoły nigdy nie będzie kojarzyć mu się z domem. Jego dom pachnie olejem do konserwacji broni, torfowiskami, dymem z amunicji marki Eley i jedzeniem gotowanym przez Kumarę.

Victor przerwał wspinaczkę i wrócił na dół, kichnął, oczyszczając nozdrza z kurzu, i przystanął w pogrążonej w półmroku nawie. Kościelny wyznał mu, że nigdy wcześniej nie wpuścił nikogo na dzwonnice.

– To jakieś nieporozumienie – powiedział Victor. – Ja wcale nie chciałem tam wchodzić.

– Przepraszam – odparł mu Emmerich. – Chodzi o to, że... Bardzo mi pan przypomina kogoś, kogo kiedyś znałem. Młodego człowieka, który odpowiadał za przeniesienie tu kościoła. On się czuł bardzo związany z tym dzwonem nad nami, więc... cóż, bardzo pana przepraszam.

Victor chciał odejść. Podszedł do portalu i schylił się, by wrócić na światło dnia, ale nagle zamarł, wdychając dochodzące z zewnątrz powietrze, zimny podmuch niosący w sobie zapach koksowego dymu z domów mieszkalnych w centrum. Kościelna nawa za jego plecami była ciepła i pogrążona w mroku.

Odwrócił się.

– Proszę mi o nim opowiedzieć – rzekł. – O tym Gerhardzie Schönauerze.

Kościelny Emmerich poprowadził Victora na zakrystię, gdzie miał puszkę z herbatnikami i termos z kawą. Opowiedział mu tak o odbudowaniu kościoła, jak i o swojej krótkiej przyjaźni z uzdolnionym młodym Schönauerem. Student urodził się w Memel w Prusach Wschodnich, przejawiał niezwykle uzdolnienia w dziedzinach zarówno malarstwa, jak i architektury, ale na ostatnim roku studiów został wmieszany w intrygę co się zowie. Wypił kiedyś z Emmerichem butelkę taniego tokaju w swoim wynajmowanym pokoiku, kasłał i nie mógł złapać oddechu, lecz mimo to cierpliwie opowiadał, że właśnie zakończył pracę nad dużym obrazem olejnym. Miał być to wariant motywu, który namalował wcześniej w Norwegii, ukończony, kiedy trawiła go już gorączka. Obraz stał zwinięty w rulon w kącie, Schönauer nie chciał go nikomu pokazać. Między jednym a drugim napadem suchego kaszlu wyznał, że ożenił się w Norwegii, a jego małżonka jest w ciąży, lecz to paskudne zapalenie płuc sprawi być może, że nie będzie mu dane patrzeć, jak dzieci dorastają.

Dzieci? – spytał wtedy Emmerich.

Nie otrzymał jednak żadnej zrozumiałej odpowiedzi.

Na pogrzebie Gerharda obecny był tylko profesor Ulbricht, dwóch Norwegów, kilku cieśli pracujących przy odbudowie kościoła i sam Emmerich. Doszło do pewnego nieporozumienia, rodzice

zmarłego dotarli na miejsce, gdy trumna już była pod ziemią, kościelny przypuszczał ponadto, że nikt nie poinformował gospodyni Schönauera o jego śmierci, bo gdy w końcu on sam przekazał jej tę wiadomość, kobieta się wściekła – młody architekt zalegał jej z czynszem, musiała poza tym sama opróżnić po nim pokój.

– Powiedziałem jej, że się tym zajmę – podsumował Emmerich.

– Opróżnił pan jego pokój?

Kościelny kiwnął głową. Nie było tam wiele rzeczy poza pustą butelką po tokaju, którą wcześniej rozpił. Łóżko stało niezasłane. Gerhard miał w pokoju oprawiony rysunek przedstawiający dziewczynę o kręconych włosach. Na oparciu prostego krzesła wisiał znoszony rudy płaszcz z haftowanymi wokół dziurek od guzików ósemkami. W kieszeniach Emmerich znalazł fajkę i buteleczkę syropu na kaszel. Wszędzie leżały porozrzucane pędzle i tuby z farbą. W kącie przy szafie stał zwinięty w rulon obraz. Emmerich rozwinął go i oczom jego ukazał się niesamowity portret kobiety w czerwonej szacie. Oglądając go, zadał sobie pytanie, czy Schönauer był szalony, czy może genialny. Obraz robił na widzu dość nieprzyjemne wrażenie, nie sposób było bowiem stwierdzić, czy kobieta jest żywa, czy martwa. W rulon wciśnięty został ponadto niewielki autoportret naszkicowany ołówkiem, zupełnie jakby Gerhard chciał leżeć twarzą w twarz z odzianą w czerwień postacią.

Emmerich zapłacił zaległy czynsz i zabrał to wszystko ze sobą. Płaszcz oddał żebrakowi, znalezione w pokoju buty nosił sam, gdy pozwalała na to pogoda. Napisał do rodziców Gerharda, że może im odesłać obraz i autoportret, jeśli zwrócą mu koszty przesyłki, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Victor zapytał, czemu kościelny chciał go posłać na dzwonnice.

– Z jakiegoś powodu mi się ubzdurało, że będzie pan chciał tam wejść – wyjaśnił Emmerich. – Żeby wystawić się na coś w rodzaju próby.

– Nie muszę przechodzić żadnych prób – odrzekł mu Victor. – Wszystkie mam już za sobą. Jestem tym, kim jestem.

– Widzę – rzucił Emmerich.

Victor wstał, by odejść.

– Ile wyniósł wtedy jego czynsz?

– Trzy marki – odparł kościelny.

– To musiał być mały pokoik. Nawet jak na tamte czasy.

Victor spędził tę noc w Hotelu Goldner Engel, zaznaczonym ołówkiem w *Meyers*, następnego zaś ranka Emmerich przekazał mu zwinięte w rulon płótno obrazu. Grzecznie podziękował za ofertę zwrotu trzech marek z odsetkami za dwadzieścia parę lat. Nie, absolutnie nie mógł przyjąć tych pieniędzy. Ale był bardzo wdzięczny za propozycję. Niech pan będzie zdrow, panie Harrison.

Victor rozwinął obraz w hotelowym pokoju, siedział długo, studiując niewielki autoportret Gerharda Schönauera. Miał wrażenie, że patrzy w zwierciadło. Odbijające jego rysy dużo uczciwiej niż obraz w galerii cieni w Finlaggan.

Przeniósł wzrok na uwiecznioną na płótnie kobietę w czerwieni. Jego zdaniem nie była wcale straszna ani niepokojąca. Owszem, może trochę surowa i zacięta. Ale faktycznie ani żywa, ani martwa. Puścił brzegi płótna, które zwinęły się z powrotem w rulon, a Czerwonostrojna i Gerhard Schönauer znów się w sobie nawzajem ukryli.

Nieco później tego dnia stanął na cmentarzu przed szpitalem miejskim na Friedrichstraße, trzymając w rękach bukiet żółtych tulipanów. Nie znalazł grobu, a nie chciał nikogo pytać o wskazówki. Wrócił do centrum i kupił sobie lornetkę. Potem znów stanął na cmentarzu i przesuwając się co chwila o dziesięć metrów, studiując nagrobki, zupełnie jakby wypatrywał renów w górach albo jeleni na wzniesieniach. Po zaledwie kwadransie poszukiwań dostrzegł przez soczewki zarośnięte niemal litery układające się w słowa GERHARD SCHÖNAUER. Złożył tulipany na grobie i usiadł przy kamieniu, jakby byli dwoma towarzyszami odpoczywającymi po długiej wędrówce i podziwiającyymi wspólnie widok. Powiedział:

– Jestem tu, by się z tobą pożegnać, ojczu.

Wiedział, że w takiej chwili powinien sięgnąć po jakieś wzniosłe słowa. Ale był z tym nagrobkiem zupełnie sam, zaczął więc przeglądać *Meyers Sprachführer*, oglądając notatki Gerharda

Schönauera na marginesach. W słowniczku, na stronie ze słowami na K, znalazł na papierze dwa wyraźne odciski palców.

Kuß. Pocałunek.

Czego ten młody student architektury właściwie chciał od życia? Możliwe, że pragnął tylko jej. *Fräulein* Astrid. Zabrać ją ze sobą tu, do Niemiec. Ją i dzieci.

Jehans dorastający w niemieckim mieście? Victor nie był sobie w stanie tego wyobrazić. Odważył się wyobrazić sobie w takiej sytuacji siebie samego. Przyszło mu to nieco łatwiej.

Siedział tam jeszcze jakiś czas, rozmyślając o nonsensownych słowach, którymi pożegnał go pastor. Jego myśli popłynęły z powrotem do wędki Hardy Smuggler pozostawionej w Norwegii. Nigdy nie trzymał w dłoni lepszego sprzętu, mimo że obiektywnie była to całkiem przeciętna wędka.

Jeśli faktycznie jest tak, że Jehans to mój bliźniak, że podjęto wtedy jakąś decyzję, to czy chodziło o coś, co w sobie noszę? Jakąś cechę, która sprawiła, że matka wybrała mnie, a nie Jehansa?

Wstał po godzinie. Siadając przy nagrobku, miał dwóch ojców, pomiędzy którymi musiał wybierać, wstając zaś, miał ojca tylko jednego. Odszukał zarządcę cmentarza i spytał, po jakim czasie należy na nowo opłacić miejsce, w którym stoi nagrobek. Usłyszał w odpowiedzi, że po trzydziestu latach. Wrócił jeszcze na chwilę do grobu i stwierdził, że tulipany zniknęły. Doszedł do wniosku, iż musiał je ukraść jakiś chłopak, chcący oczarować ukochaną, i zastanowił się, czy nie będzie teraz z nich większego pożytku.

Drezdeńscy marszandzi mieli już najpewniej dość oglądania prac studentów z Akademii Sztuk Pięknych i kręcili tylko głowami, gdy Victor wymawiał nazwisko malarza. Czwartą z kolei odwiedzoną przez niego galerią była Galerie Apfelbaum na Heinrichstraße, prowadzona przez rodzinę Rathenau. Właściciel miał przystrzyżoną w szpic bródkę i wielkie okulary w złotych oprawkach. Oświadczył, że chętnie obejrzy obraz. Owszem, nawet namalowany przez nieznanego studenta.

Długo patrzył na płótno. W końcu wyjął zegarek kieszonkowy, zajrzał na zaplecze, wołając „Elsa!” i dodając coś w obcym języku, po czym zniknął.

Zza kotary wyszła młoda dziewczyna w morskozielonej sukni o luźnych rękawach. Nie mogła liczyć sobie więcej niż osiemnaście lat. Miała duże oczy w kształcie migdałów, tak duże, że Victor nie umiał zdecydować, czy wygląda dzięki nim pięknie, czy dziwnie. Była szczupła i drobna, lecz jednocześnie nie miała w sobie nic chłopięcego. Brązowe włosy upięła w ciasny kok przebity drewnianym szpikulcem zakończonym rzeźbionym motywem papugi z czerwonym dziobem.

Nie pytając, skąd pochodzi gość, dziewczyna przeszła na angielski i spytała:

– To kopia?

Victor potrząsnął głową.

– Na pewno nie.

– Co za wyrafinowana technika. Naprawdę wyrafinowana. Widać autentyczną inspirację.

– Też tak uważam.

– A kim jest ten... niechże spojrzę na podpis... Schönauer?

– Do tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku był studentem Akademii. To on odbudował kościół w Großer Garten.

– A nie był to przypadkiem pan Ulbricht? Ten stary profesor?

Victor streścił jej wszystko, co wiedział o Schönauerze i odbudowie kościoła.

Elsa Rathenau skinęła głową.

– W tym obrazie da się wyczuć nastrój niesamowitości. Zna pan może Norwega Muncha?

– Nie.

– Ona... ta kobieta w czerwieni... jest tak jakby trochę... z innego świata. A jednocześnie nie można powiedzieć, by obraz był nierealistyczny ani zmanierowany. Ona wygląda jak ktoś, kto żył naprawdę. Kogo artysta faktycznie oglądał. Albo... ktoś, kogo oglądać mu pozwolono. Widzę w niej niezwykłą wolę i ofiarność. Zupełnie, jakby czegoś strzegła.

– Schönauer zaczął pracować nad tym obrazem w Norwegii. Wydaje mi się więc, że ta kobieta może mieć jakiś związek z kościołem.

– Hm!

Stali tak jeszcze dłuższą chwilę. W końcu dziewczyna się odezwała:

– Kolory. Widzi pan, jak świadomie zostały dobrane? To barwy, które stosuje się od zamierzonych czasów. Z którymi wiążą się legendy. O tutaj, te pociągnięcia pędzla na jej policzkach, to musi być *caput mortuum*. A cienie mają kolor palonej umbry. To barwy upiórów.

Victor odchrząknął, nie wiedząc, co mógłby na to powiedzieć.

– Najlepiej będzie chyba sprzedać ten obraz na aukcji – odezwał się wreszcie. – Tu, w Dreźnie, gdzie stoi kościół.

– Rozsądna decyzja – odrzekła Elsa Rathenau. – Ma on tu rzesze oddanych wielbicieli. Mój ojciec musi zrobić wycenę. Zechce pan wrócić do nas jutro?

Następnego dnia padał ulewny deszcz. Victor Harrison i Elsa Rathenau znów stali naprzeciw siebie, podziwiając obraz z dwóch różnych stron. Anglik odchrząknął po chwili, wszedł za kontuar i znalazł się tuż obok niej.

– Mam wrażenie, że obraz zaprasza mnie, bym podeszła bliżej – powiedziała Elsa. – Skłania, bym się odważyła przekroczyć jakiś próg, poznała lepiej to, co nieznanne. Jest w nim jednocześnie przewrotność. Zupełnie jakby artysta patrzył w otchłań swojego własnego zatracenia, a mimo to decydował się przekroczyć tę granicę. Bo to wymaga pełnego oddania.

Victor zerkał raz to na obraz, raz to na dziewczynę.

– Wymaga, by spędzić z dziełem więcej czasu, niż człowiek tak naprawdę ma odwagę – dodała Elsa.

– Owszem.

– To prawie tak, jakby przyjąć zaproszenie od nieznajomego. By podzielić się z nim na przykład talerzem zupy.

– Hm.

– Albo po prostu wypić kawę i coś o sobie opowiedzieć.

Victor odchrząknął i nie odwzajemnił jej spojrzenia. Nim w końcu zdecydował się powiedzieć: Tak, jak najbardziej, chodź, pójdźmy gdzieś, minęło chyba już zbyt wiele czasu, ona nie miała odwagi już dłużej czekać i dodała, nieco chłodniejszym tonem:

– Za prace studentów bierzemy mniejszą prowizję. Zaledwie dwanaście procent. Następną aukcja będzie za trzy tygodnie. Gdzie wysłać pieniądze, jeśli uda nam się sprzedać obraz?

Anglik wyjął z kieszeni złożoną kartkę z nazwiskiem i adresem.

– Tu. Całą sumę.

Dziewczyna spojrzała na litery i zmarszczyła brwi.

– Ach tak – odrzekła. – Potrzebne byłoby nam jeszcze pokwitowanie od artysty. Na wypadek kontroli policyjnej.

Victor się zawahał. Otworzył teczkę i po chwili zastanowienia podał jej autoportret Gerharda Schönauera.

– Proszę spojrzeć na podpis. Schönauer.

Elsa przeniosła wzrok z rysunku na jego twarz i zauważyła, że autoportret datowany jest na rok 1880, został więc narysowany dwadzieścia cztery lata wcześniej.

– Owszem – rzucił Victor. – Artysta zdążył mnie jeszcze przed śmiercią sportretować.

– Muszę powiedzieć, że jest pan pełen zagadek. Może sam jest pan jednym z tych, których nazywają nieumarłymi?

– Proszę go zatrzymać – powiedział Anglik. – Ten rysunek. Na pamiątkę. Jeśli pani chce.

– To zależy, czy wróci pan kiedyś do Dreżna.

Victor spuścił wzrok. Chciał ją zaprosić na obiad, ale ona miała swoje życie tutaj, w tym mieście, a przecież on na pewno nigdy tu nie wróci. Elsa Rathenau wyszła na zaplecze, skąd dobiegło szuranie wysuwanej szuflady. Gdy wróciła, podała mu fotografię portretową na grubym kartonie.

Zdjęcie zostało zrobione w atelier, przez fotografa, który musiał być tak solidny w swym fachu, jak Gerhard Schönauer był w swoim. Victor długo oglądał portret, po czym wsunął go do wewnętrznej kieszeni, skłonił się i wyszedł. Zadzźwięczał dzwonek w drzwiach Galerie Apfelbaum, młodzieniec ostatni raz spojrzął na Elbę przez mokrą szybę, po czym ruszył przed siebie.

Gdy wrócił do Finlaggan, ojciec przytulił go, mówiąc, że skrzynka z rigbym i sprzęt przyjechały przed tygodniem.

– Czemu posłałeś swoje rzeczy przodem? – zapytał.

– Spędziłem kilka dodatkowych dni na południu Norwegii. Wolałem podróżować z lekkim bagażem.

– Trochę się wystraszyliśmy, jak to wszystko przyszło, Victorze. Twoja broń. I ani słowa, żadnej wiadomości. Pomyślałem sobie, że w ten sposób wraca do domu sprzęt człowieka, który przepadł za granicą. To było... niepokojące.

– No tak. Ale jeśli właściciel sprzętu umiera, to potem też przyjeżdża, ojczu. Osobnym wagonem. Zazwyczaj pośmierdujący. A tymczasem stoję przed tobą. Jak najbardziej żywy. Jakies wieści od matki i Josepha?

Ojciec wzruszył ramionami. Podeszedł do ściany, na której wisiał oprawiony w ramę postrzępiony kawałek szkockiego tartanu, jedyny podobno przedmiot, który zostawił po sobie praprzodek rodu, dorastający wiele setek lat wcześniej nad brzegami Loch Finlaggan na Hebrydach, śmiałek, który postanowił osiąść tu, gdzie teraz stali. Ojciec podchodził do tej ramy zazwyczaj wtedy, gdy czuł się bezradny. Jakby szukał pociechy w tym portrecie bez człowieka, który powinien właściwie wisieć na samym początku galerii cieni.

– Niech oni się zajmują tam we Florencji swoimi sprawami – rzekł Harrison starszy. – A my będziemy zajmować się naszymi, tutaj. Przy okazji: dostaliśmy dobre wieści z Cejlonu. Bardzo dobre wieści. Kumara rozkręcił już tę nową suszarnię rotacyjną, ale tęskni za Finlaggan. Napisał mi to wprost. Przyszło do ciebie kilka listów, są w twoim gabinecie.

Ojciec skinął głową na lewo, ale gabinet Victora od zawsze znajdował się po przeciwnej stronie korytarza.

– Przyda ci się więcej miejsca – rzekł senior. – Mnie właściwie już mało trzeba.

Gabinet został gruntownie wysprzątany i uporządkowany, zamontowano w nim nowe, dobre lampy, a przy kominku ustawiono dwie nowoczesne sofy, tak by przed ogniem mogły rozsiąść się wygodnie cztery osoby. Ktoś wyczyścił i zaimpregnował starą podkładkę z rudawej skóry leżącą na biurku, maskując skutecznie ślady użytkowania jej przez poprzedniego właściciela. Ze ściany zniknęła mapa Transwalu, ustępując miejsca mapie Cejlonu – tej samej, którą Victor kupił podczas pierwszej podróży z ojcem.

Młodzieniec przejrzał listy. Znalazł wśród nich kopertę z norweskim znaczkiem i nazwiskiem Kaia Schweigaarda jako nadawcy.

Co by było, gdyby wtedy, w marcu roku 1881, wybrali Jehansa? Wtedy to on by tutaj stał, z tym listem w dłoni. A ja żyłbym w norweskich górach, obdarty i bez grosza przy duszy.

A może Jehansa wcale by tu nie było? Może kłęcząłby teraz na tratwie u mojego boku?

Victor wrzucił nieotwarty list do kominka. Koperta zwęgliła się po kilku chwilach, lecz papier był nadal cały, nazwisko i adres dobrze widoczne. Litery skreślone pięknym charakterem pisma pastora zmieniły w płomieniach barwę na brązową sepię. Victor dźgnął spalony list pogrzebaczem i patrzył, jak jego własne nazwisko kruszy się i rozpada na czarne płatki, wzlatujące w górę i znikające w przewodzie kominowym.

Pionierzy

Kristine odrzucała odłamek za odłamkiem. Kamienie stukały, turkotały, a ona nie mówiła ani słowa. W końcu dotarła do kawałka skały tkwiącego w podłożu. Gdy go stamtąd wyrwała, do jej nozdrzy dotarła intensywna, charakterystyczna woń. Zanurzyła dłoń w ziemi i nabrała jej do ręki. Pomiędzy jej palcami przesypywała się czarna gleba i dżdżownice.

Gęsta, doskonała ziemia pod uprawę.

Więc tak. W Hellorn faktycznie mieszkali kiedyś ludzie. Ale to było dawniej.

Piątego dnia zdążyli już w pełni pojąć, czemu nikt nie miał dość sił lub nie był dość szalony, by to miejsce wcześniej uprzątnąć. Tam, gdzie ziemia nie była pokryta skalnymi odłamkami, wierzbowe krzewinki i brzoźki zapuściły silne korzenie płączące się pod powierzchnią w istne kołtuny. Korzenie były tak ze sobą poskręcane, stawiały taki opór, że trzeba było poświęcić cały długi dzień na uprzątnięcie skrawka ziemi wielkości łóżka w kamiennej chacie.

Po wyczerpującej robocie zapadali w sen, czarna rozpacz odbierała im chuć, mimo że jesień była ciepła, chodzili lekko ubrani i cały czas się schylali. Pożyczyli żelazny łom, kilof oraz wielokrążek z łańcuchem, w nadziei, że uda im się uprzątnąć dość miejsca, by zasadzić wiosną zagon ziemniaków na kolejny rok.

Schweigaard przyszedł do nich, rozejrzał się, na chwilę zaniemówił, po czym oświadczył, że mogą spędzić zimę na plebanii. Jehans podziękował, mówiąc, że się zastanowią.

I nie. Nie miał zamiaru pisać do swojego brata w Anglii. Przyjął pieniądze, które tamten zostawił w kopercie, to miesięczne wynagrodzenie, należące się tak naprawdę Adolfowi i Ingeborg, ale tylko z konieczności. Zresztą miał zamiar oddać wszystko co do grosza.

Jehans wyprostował się i powiedział to wszystko, a Kristine stała z pokrwawionymi dłońmi i twarzą szarą od pyłu, w którym spływający z czoła pot żłobił sobie koryta niczym strumień – bo tak właśnie wyglądały dłonie i twarze tych, którzy pracują przy usuwaniu kamieni.

Tydzień później zajęli się chatą, uszczelnili dach i zbili sobie z desek lepsze łóżko, na którym położyli siennik i owcze skóry. Zeszli do Halvfarella i pożyczyli narzędzia od Adolfa i Ingeborg. Wciąż nie było żadnej wiadomości od Osvalda.

Przynieśli sobie na górę z plebanii niewielką kuchnię do gotowania, blacha za blachą i palnik za palnikiem. Mieli kaszę, suszone mięso i płócienny worek jęczmienia, który dostali w prezencie ślubnym od pani Bressum.

– Potrzebna nam obórka – powiedziała Kristine. – Rozumiesz chyba, z czego ją trzeba zbudować.

– Z tego, co tu mamy.

– A skoro łatwiej jest nosić ciężary w dół niż w górę, to może postawmy ją tam – zaproponowała dziewczyna, wskazując na skarpe.

Uprzątnęli pas ziemi prowadzący do miejsca, które wybrała, za pomocą siekiery i piły zrobili sobie prymitywną taczkę, którą dało się po tym pasie prowadzić. Oś kołowa wykonana została z przyciętej w walec i oheblowanej sosnowej gałęzi, gładkie obroty zapewniał kawałek świńskiej skóry z podskórnym tłuszczem przybity gwoździem do piasty. Byli zaskoczeni, że to wystarcza i nic im się nie blokuje, mimo że ładunek był naprawdę ciężki. Na oczyszczonym pasie ziemi ułożyli płaskie odłamki, żeby łatwiej było pchać taczkę, i już sześć dni później Hellorn przestało być stertą kamieni – było teraz stertą kamieni z fundamentem pod kamienną obórkę. Od fundamentu biegła wyłożona skalnymi odłamkami – niczym płytkami – trasa prowadząca do kamiennej chaty z rurą komina wystającą ponad dach, z rury tej zaś walił tym.

Dwudziestego dnia pracy kamienny mur obórki był już tak wysoki, że zaczynał przywozić na myśl ściany, zaś otwór w jednej z krótszych ścian sugerował, że ktoś nosił się z zamiarem umieszczenia tam drzwi. Przyszły jesienne chłody, a kawałek ziemi pod kartoflany zagon miał powierzchnię odpowiadającą dwukrotności salonu w majątku pastora.

Dzień później Jehans poszedł do Adolfa i Ingeborg po ziemniaki do jedzenia. Powietrze było

ostre i zimne, liście spadły z drzew, ale nadal jeszcze nie przysłyły nocne przymrozki, oni zaś z wykopkami ruszali dopiero, gdy przychodziły mrozy, a trawy kładły się na ziemi.

Jehans uświadomił sobie nagle, że musiał minąć dzień przenosin.

Już za płotem dotarło do niego, że Halvfarelia wygląda inaczej. Krowa zawsze witała go muczeniem, ale teraz jej nie było. Drzwi do jego chaty stały otworem, po podwórzu spacerowała obca koza, a przy ziemniaczanym zagonie uwijała się chuda kobieta z trójką małych dzieci uczeponych spódnicy. Podeszedł do niej i zapytał, gdzie są Adolf i Ingeborg.

– Wynieśli się – usłyszał w odpowiedzi.

Kobieta mówiła dialektem z okręgu Fron. Oswald sprowadził więc ludzi mieszkających o dzień drogi stąd. Dzierżawców niemających pojęcia, jak wyglądają sprawy w Halvfarelia.

– Miałem dostać trochę ziemniaków – powiedział Jehans.

Kobieta zaprotestowała, bo Oswald Hekne obiecał, że przejmą zagrodę tak, jak ją zastaną, ze wszystkimi plonami na ziemi i pod ziemią oraz drewnem w szopie. I jeśli intruz sobie zaraz nie pójdzie, to ona naśle na niego swojego męża i synów, bo przecież się domyśla, co z niego za jeden.

– Tak? A co ze mnie za jeden? – spytał Jehans.

– Ten, co porzucił pracę i obowiązki.

– To ty? – zapytał Kai Schweigaard. Stał w sieni, miał na sobie płaszcz i wysokie, sznurowane buty.

– Wychodzisz? – spytał Jehans, choć czuł, że od ubrań pastora bije zapach wiatru i świeżego powietrza.

– Nie, nie. Przed chwilą wróciłem do domu.

Schweigaard rozpiął płaszcz, dając gestem do zrozumienia, że to, co zostanie między nimi powiedziane, ma być powiedziane za zamkniętymi drzwiami. Jehans ruszył po schodach do gabinetu, został jednak zawołany z powrotem na parter, zaś drzwi, które pastor postanowił za nimi zamknąć, okazały się drzwiami salonu. W kominku nie palił się ogień i pokój sprawiał dość ponure wrażenie. Jehans usiadł na brzegu rozklekotanej sofy w stylu biedermeier, Schweigaard wolał rozmawiać na stojąco.

O poranku czternastego października starzy dzierżawcy w Halvfarelia siedzieli przy piecu, rozpaliwszy ogień pod czajniczkiem z kawą i garnkiem z kaszą nieco wcześniej niż zazwyczaj, bo zapowiadał się zimny dzień, a z gór zeszyły szare chmury. Nie zdążyli nawet zasłać łóżka, gdy furtkę otworzyła grupa nieznanym ludzi, prowadzonych przez najętego parobka z Hekne. Człowiek ten oświadczył, że przybywa, by wskazać zagrodę nowym dzierżawcom, i był zaskoczony, że w Halvfarelia ktoś jeszcze jest, nie mniej niż Adolf i Ingeborg postawieni nagle wobec faktu, że powinni się byli wynieść najdalej poprzedniego dnia.

Adolf wstał, zaprotestował i powiedział, że Oswald nie wymówił im kontraktu, a przecież tu obowiązują z góry ustalone terminy, bo zagrodę trzeba zdać, skontrolować, to zaś zajmuje kilka dni. Poza tym: co z ziemniakami i innymi warzywami, które są jeszcze w ziemi?

Ale parobek przybył najwyraźniej z wyuczoną przemową, podyktowaną przez Oswalda, bo w każdym jego zdaniu powtarzało się imię Jehansa. To Jehans wypowiedział kontrakt dzierżawcy, otrzymując jednocześnie informację, że Adolf i Ingeborg mają opuścić Halvfarelia. Oswald zakładał tym samym, że Jehans przekazał tę wiadomość swoim zastępczym rodzicom. Ale kontrakt podpisywałem przecież ja, wtrącił Adolf. Nie, to nie miało żadnego znaczenia. Umów należało przestrzegać. To Jehans powinien stawiać się do pracy. A skoro Jehans do pracy nie przychodził, kontrakt mógł zostać rozwiązany.

Powinno się było nas uprzedzić, mówił dalej Adolf.

Zostali uprzedzeni. To Jehans powinien był im przekazać wiadomość.

W tym momencie w Ingeborg coś pękło. Kobieta podniosła się z za stołu i wysyczała:

– Jakim cudem się z niego zrobił taki paskudnik? Z tego Oswalda? Chciałabym to wiedzieć!

I sama go o to zapytam! Pójdę prosto do Hekne! Chętnie się wyniosę z Halvfarelia, choćby po to, by zostać wolnym człowiekiem i móc powiedzieć mu wszystko w twarz. Chciałam go o to spytać od trzydziestu lat i nawet jak po drodze zemrę, to będzie warto!

Adolf zaczął ją uciszać. Rodzina nowego dzierżawcy pomrukiwała niezadowolona. Mężczyzna przyprowadził ze sobą żonę i sześcioro dzieci w wieku od czterech do czternastu lat. Oświadczył teraz, że nie tak się umawiał z gospodarzem. Nie chce wyrzucać starych ludzi za próg, przecież idzie zima. Ustalił z Osvaldem, że przyjdą do opuszczonej zagrody i tyle. Więc może mogliby zamiast tego spędzić zimę w Hekne, przecież w głównym domu mieszkalnym na pewno było dość miejsca? Ale wtedy młodsze dzieci zaczęły płakać, a jesienny wiatr przeraźliwie gwizdać i nowi dzierżawcy zmierzylili swoje potrzeby, zestawiając je z potrzebami dwojga starszaków. Ludzie ci zostawili swój dom, przebyli długą drogę i przyszedli tu z całym swoim dobytkiem, prowadząc konia na przedzie i ciągnąc za sobą krowę, z narzędziami, pościelą i wyposażeniem kuchni na konnym wozie i na ręcznym wózku.

Skończyło się to tak, jak skończyć się musiało.

Dzierżawcom – zarówno tym starym, jak i tym nowym – pokazano, gdzie ich miejsce, i musieli zwrócić się przeciw sobie, jak zawsze, gdy kazano im walczyć o dach nad głową i strawę. Dlatego właśnie tak trudno było ludziom ubogim zjednoczyć się przeciwko bogaczom.

Starszaki dostali dwa dodatkowe dni, by opuścić zagrodę, którą Adolf odziedziczył po swoim ojcu i dziadku i której Ingeborg doglądała od dnia ich ślubu. Nowi dzierżawcy wprowadzili się, zanim jeszcze zdążył wystygnać rozgrzany przez tamtych piec.

Jehans nie mógł już dłużej siedzieć, reszty tej historii wysłuchał więc, stojąc przy kominku.

– Powinni byli po mnie posłać – powiedział. – Przemówiłbym mu do rozumu. Spróbowałbym... przynajmniej bym im się pomógł wyprowadzić. Gdzie oni teraz są?

– Poszli do Hilstad zapytać, czy przyjęliby ich tam jako komorników.

– Ależ narobiłem bałaganu – powiedział Jehans. – Ludzie muszą po mnie sprzątać. Pieniądze w tamtej kopercie powinny były trafić do ich rąk.

– I ja się do tego bałaganu przyczyniłem – odparł Schweigaard. – Dlatego...

Jehans wszedł mu w słowo:

– Przyjęli ich w Hilstad?

– Tak, oczywiście. Tamtejsi gospodarze to przyzwoici ludzie. Ale nic istotnego nie dzieje się we wsi bez wiedzy pastora. Adolfowi i Ingeborg będzie teraz dobrze. Zostali zakwaterowani w starym domu Framstadowej.

– Tam? W tej chacie przy drodze na górskie pastwiska?

– Tak. Akuszerka przekazała ją przed śmiercią kościołowi.

– Ale to było chyba dawno temu?

– Dbaliśmy o to miejsce, pozwalając zatrzymać się tam tej czy innej zbłąkanej duszy, jeśli było to konieczne. Mój zarządca co rok sadił ziemniaki, doglądał warzywnych zagonów, pilnował, by w szopie na drewno i stodołę niczego nie brakowało. Ale tej jesieni coś mnie tknęło, pomyślałem, że chata się przyda, więc pilnowałem, by stała pusta.

– Coś cię tknęło?

– Tak. Coraz częściej miewam takie przeczucia. Rzadko się zdarza, żebym był z siebie naprawdę zadowolony, Jehansie. Ale dzień, w którym skierowałem ich do chaty akuszerki, okazał się jednym z takich rzadkich momentów.

Jehans głęboko odetchnął.

– W tym tygodniu stało się coś jeszcze – powiedział Kai. – Przyszedł tu list z Drezna. Przekaz pieniężny. Z galerii. Sprzedano tam obraz namalowany przez twojego ojca. Może Gerhard oddał go tam kiedyś, jeszcze dawno temu. Cała ta historia jest dość niejasna. List zaadresowano do mnie, ale pieniądze są twoje.

– Moje? A skąd oni tam o mnie wiedzą?

– Tego nie zaznaczono. Napisano tylko, że obraz został sprzedany. Coś czuję, że maczał w tym palce Victor Harrison.

– Dlaczego on założył, że ja nie będę chciał tego obrazu? Skoro był ładny? I chyba wart dużo więcej. On go pewnie sprzedał i wziął sobie połowę pieniędzy. Co najmniej.

– Musisz przebaczyć swojemu bratu – powiedział Kai Schweigaard. – Jestem przekonany, że on tutaj wróci. Bo widzisz, on musi wrócić. Prędzej czy później. Wybacz mu. Pomyśl, co się tak naprawdę

stało. Próbowaliśmy go wyrwać z korzeniami.

Jehans pokręcił głową, nie dając po sobie poznać, czy kręci głową na to przebaczenie czy na powrót brata. A może na jedno i drugie.

– A te pieniądze. Dużo ich przysłali?

– Tak. Całe dziewięćdziesiąt koron.

Jehans skrzyżował ramiona na piersi. I zaraz je rozkrzyżował.

– To musi być jakieś oszustwo. On myśli, że sobie kupi odpust. Nie było żadnego obrazu. Odeślij pieniądze Victorowi. Niech sobie nadal myśli, że ten dzwon nie jest nic wart. Że to tylko metal.

– Ale tak nie jest – powiedział Kai Schweigaard. – Ja sam to kiedyś twierdziłem. Że to tylko metal. I bardzo się pomyliłem. Żyj swoim życiem, Jehansie. Nie jesteś jak twój brat. Nie masz być taki jak on.

Jehans opadł na sofę i siedział tam przez chwilę, trzymając się za głowę.

– Jest tak cholernie trudno. Wszystko wokół mnie się wali. Zaharowujemy się tam na górze, a przecież w głębi ducha wiemy, że tam się nie da mieszkać. Miałem pomysł, co by tam można zbudować, ale teraz... wszystko jest takie trudne.

– Jehansie – zaczął Kai Schweigaard. – Musisz zacząć wierzyć. W Boga, jeśli masz ochotę, ale dużo więcej da ci wiara w samego siebie. Ja wiem, że coś się niedługo wydarzy. U ciebie i Kristine. Coś wielkiego.

Jehans wstał. Był wychudzony i musiał podciągnąć zsuwające się z bioder spodnie. W sieni wzuł znoszone buty i wyprostował się ze zgiętym karkiem. Nie był to jednak kark człowieka, który został pokonany – lecz tego, który szykuje się do ataku.

– Odpłacę Osvaldowi – oświadczył Jehans. – W ten czy inny sposób będę to mógł zrobić.

– Na pewno – powiedział Schweigaard. – Ale nie zrobisz tego jak dzierżawca.

– To prawda. Stanę się kimś innym. Z pomocą rzeki.

Tej zimy Jehans i Kristine musieli się rozdzielić. W Hellorn nie można było jeszcze spędzić chłodniejszych miesięcy, a żadnemu z nich nie udało się dostać pracy w Butangen. Kristine wróciła więc do gospodarstwa w Imsdalen, Jehans zaś najął się jako drwal w Ringebu, u gospodarza, któremu zazwyczaj sprzedawał mięso ustrzelonych renów. Młode małżeństwo rozmawiało o wspólnym spędzeniu świąt, ale pogoda w górach była tak nieprzewidywalna, że nie umówili się na nic konkretnie. W wigilijny wieczór Kristine siedziała w swoim pokoiku na poddaszu w Imsdalen, Jehans zaś – w drewnianej chacie, razem z innym drwalem. W lesie pracowało się na akord i nikt nie protestował, gdy siekiery uderzyły w brzozowe pnie już pierwszego dnia świąt.

Jehans nie był pewien, co takiego myśli sobie Kristine – tyle tylko że nie cieszyła się zapewne na powrót do Hellorn. Parę dni przed Wielkanocą poszedł do niej przez góry na nartach i gdy tylko ją ujrzał, przeniósł wzrok na jej brzuch. Dziewczyna pokręciła głową, mówiąc „na szczęście” i słowa te przyniosły z sobą smutek, który miał okazać się długotrwały. W końcu przyszedł kwiecień, w Hellorn stopniały śniegi, ona stwierdziła, że ich majątek jest pierwszym, do którego dociera wiosna, Jehans zaś odrzekł, że to przynajmniej coś.

Zasadzili przyniesione z Imsdalen ziemniaki na czarnej, nagiej plamie w morzu skalnych odłamków. Kristine umyła każdą bulwę i wystawiła je na wiosenne słońce, żeby zaczęły kiełkować. Ziemniaki były pomarszczone i miękkie niczym twarze starych ludzi, ale Jehansa i Kristine dręczył taki głód, że chętnie by je zjedli, by mieć siły do pracy. Wszystkie bulwy miały jednak trafić do ziemi, a gdy już do niej trafiły, ostatnim wysiłkiem puściły małe kiełki pnące się ku słońcu. Kiełki, kiedy tylko przebiły ziemię, wypuściły z kolei zielone listki, karmiąc się słonecznym światłem i posyłając je potencjalnemu nowemu życiu w żywej glebie, lecz to, czy coś faktycznie tam rosło, stanowiło tajemnicę tej gleby, podobną do tajemnicy brzucha Kristine.

Sadzenie ziemniaków było ich pierwszym wspólnym wysiłkiem mogącym przynieść jakieś owoce. Mieli dwieście sadzeniaków i zaczęli przewidywać, jak wyjdą z tego plony, mnożąc liczbę dwieście przez wszystkie zmienne: słońce, deszcz, glebę i temperaturę. Mieli nadzieję, że pierwsze wykopki da się zrobić już latem.

Osuwisko zasypało ścieżkę, z której dawniej korzystano, ale oni zorganizowali sobie konopny

sznur długości trzydziestu metrów, zawiązali na nim węzły w odległości łokcia od siebie i zamocowali go pomiędzy wykrzywioną przez wiatr sosną a wielkim głazem, tworząc w ten sposób całkiem niezłą poręcz. Mogli teraz nosić nawet duże ciężary bez strachu, że się przewrócą. Nadal wyrwali z ziemi odłamki, budowali obórkę i szykowali ziemię pod uprawę, a to nowe, niewidoczne życie kiełkujące pod ziemią dawało im nadzieję, wzięła ich chuć i weszli do kamiennej chaty, gdzie oddali się sobie, nie zmywszy nawet ziemi z rąk. Potem zasnęli i ucieszyli się, gdy obudził ich deszcz. Wyszli przed chatę i wystawili ku niebu twarze i dłonie, mówiąc do siebie, że tego właśnie trzeba ziemniakom. Rozpalili ogień pod kuchnią, zamknęli drzwi i zrobili sobie małą przerwę, słuchając deszczu. Ich dłonie zaczęły wkrótce szukać się nawzajem, potem zaś szukać jakiegoś zajęcia, zaczęli więc strugać nowy trzonek do łopaty i łyżki do mieszania w garze, mierzyli podłogę z myślą o deskach, które musiały zastąpić klepisko, jeśli mieli tu przetrwać do kolejnej zimy.

Po południu deszcz przeszedł w ulewę, a pod wieczór rozległ się gdzieś pod nimi dziwny, przeciągły rumor. Wypadli z chaty i zobaczyli, że przekrzywiła się jedna z dłuższych ścian obórki. A chwilę potem jeden z rogów budowli zawalił się na ich oczach.

– Musiałam nierówno ułożyć kamienie – powiedziała Kristine. – Wszystko trzeba rozebrać i zacząć od nowa.

Po jej policzkach płynęły krople deszczu, lecz cała się trzęsła i widać było, że płacze.

– Moja wina – powtarzała. – To wszystko moja wina.

– Żadna tam twoja wina. Nigdy wcześniej nie stawiałaś obory. Ja zresztą też nie. Pewnie coś się obsunęło, jak ziemia rozmarzła.

– No tak. Lepiej, że zawaliła się teraz – powiedziała Kristine. – Niż jakbyśmy już skończyli budować.

Tej nocy Jehansowi zdawało się, że słyszy jakieś dudnienie dochodzące z góry, ale powiedział sobie, że świat wypełnił już swoją kwotę nieszczęścia na ten dzień. A jeśli nawet byłoby go jeszcze więcej, to niech to nieszczęście się na nich osunie, nikt nie będzie przynajmniej musiał zadawać sobie trudu kopania dla nich grobu.

Następnego ranka znów nastąpiła zima.

Śnieg sypał z nieba, wiał lodowaty wiatr i nigdzie nie było Kristine. Jehans wypadł na dwór w samej koszuli i znalazł ją przy zagonie z ziemniakami. Kiełkujące roślinki, te małe bukietki rosnące w równych od siebie odległościach, wczoraj jeszcze zdrowe i soczyste zielone, wyglądały teraz spod śniegu ciemne i zmarznięte.

– Trzeba je ratować – powiedziała Kristine. Chwycili wiadra na wodę i pobiegli na brzeg Brei. Pędzili tam i z powrotem, lejąc wodę na zmarznięte roślinki, bo płynąca woda, nieważne, jak bardzo byłaby zimna, miała zawsze temperaturę dodatnią.

Lecz wkrótce i roślinki, i oni sami byli przemarznięci i sztywni.

Kristine nic nie mówiła. Odwrócili się oboje, patrząc na Butangen. Leżało tam trochę śniegu, ale niezbyt wiele, a tak czy inaczej ludzie zaczekają tam pewnie z sadzeniem ziemniaków, aż będą mieli pewność, że zima nie wróci.

Jehansowi zdało się, że dostrzega daleko nad mokradłami chmurkę dymu nad linią kolejową przy brzegu Losny. To beznadziejne, pomyślał. Zdawało mi się, że rozumiem, jak będzie nam ciężko, ale się myliłem. To niemożliwe. Nikt już nie porządkuje w ten sposób ziemi pod uprawę. Przynajmniej nie gołymi rękoma.

Wyprostował plecy, zostawił wiadra i poszedł z powrotem nad Breię. Rzeka płynęła w dół z boczny rażnym, silnym nurtem. Niosła w sobie wodę z roztopów, jej huk był ogłuszający.

Gdy wrócił, zobaczył, że Kristine owinęła sobie wokół dłoni kawałki skóry i zabrała się za odbudowę obórki.

Śniegi stopniały, kolejny tydzień był ciepły. Udało im się zdobyć nowe sadzeniaki, ale umieścili je w ziemi w milczeniu, bez zapamiętania i rozmów o tym, jak jedzenie na jesień i zimę zaczyna rosnąć pod ich stopami.

Jehans często przystawał na skraju skarpy i spoglądał na Hekne. Wiosenne prace gospodarskie dawno ruszyły i mieszkańcy wsi tęsknili już za okresem, który zwali śródpracami, najspokojniejszym

czasem w roku, niosącym z sobą słońce i zieloną trawę, a zatem mleko, masło i odpoczynek.

A potem znów zaczęło padać. Takie ulewy były o tej porze roku rzadkością, lecz teraz nawiedziły wieś, niosąc ze sobą wiele czarnych, mokrych dni.

Pracowali dalej, ale do Jehansa coraz częściej docierało: Nawet moja wściekłość ma jakieś granice. Podobnie jak wściekłość Kristine. Ona dotrze do swojej granicy później niż ja do mojej, ale stanie się to tak czy inaczej.

I w tej właśnie chwili, pomyślawszy to, Jehans dostrzegł drgający czubek sosny, do której przywiązali konopny sznur. Rozległy się ludzkie głosy, ktoś daleko w dole powiedział, że to nie może być właściwa droga, ktoś inny burknął, że skoro jest tu sznur, to chyba musi on dokądś prowadzić.

A potem ukazali się jego oczom.

Jeden za drugim.

Wszyscy ludzie, którzy poprzedniego dnia stawili się u Osvalda do wiosennych prac. Przybywali z ośmiu zagród dzierżawców podlegających pod Hekne. Przybywali z Heknemoen, Gardbogen i Arnestua, byli z nimi nawet nowi mieszkańcy Halvfarelia, wdowa z Solfritt i jej dzieci, przybywali z Hekneøygarden i przybywali z Bjørnstad.

Kristine i Jehans puścili skalne odłamki, które mieli w rękach, i zamarli z otwartymi ustami.

Wspinali się do nich jeden za drugim. Stali na skraju stromego zbocza, mamrotali między sobą, zbijali się w kupkę i pomagali pozostałym wygramolić się na płaskowyż, było ich coraz więcej i więcej, z dziesięciorga zrobiło się dwadzieścioro, a potem trzydzieścioro, zaś na samym końcu, z pomocą ludzi idących przed nimi i za nimi, dotarli na górę Adolf i Ingeborg. Jehans pobiegł na ich powitanie i nadal nie padły żadne rozsądne słowa. W końcu wystąpił Torger, dzierżawca z Hekneøygarden.

Był on jednym z tych, którzy ustąpili miejsca Jehansowi, gdy ten poszedł z Osvaldem w kosogon.

– Do końca dnia jeszcze daleko – oświadczył dzierżawca. – Długo żeśmy pracowali, spędzając w Hekne całe dni, bo Osvald sobie wymyślił, że uprzątnie nowy kawałek ziemi na południowych polach. Ale zaczęło padać, grunt rozmiękł i robota szła powoli. Nawet drugiego śniadania nam nie dawał, tylko gonił do pracy. Nie myślał pewnie, że na naszej ziemi robota też będzie iść powoli. Więc żeśmy przystanęli przy drodze i zaczęli gadać. O tym, jak on w zeszłym roku się obszedł z Adolfem i Ingeborg. I o tym, jak to wcześniej wyglądało w Hekne. I doszliśmy do wniosku, że jak mamy pracować dla Heknów, to dla Kristine i Jehansa Hekne i nikogo innego. Za nami idą jeszcze inni, mają ze sobą jedzenie i narzędzia.

Jednoizbówka

W osiem zaledwie dni wykonano w Hellorn prace odpowiadające dwustu dniówkom, niektórzy mówili potem, że nawet trzystu, jeśli wziąć pod uwagę, jak długo ludzie pracowali każdego dnia i jak szybko szła im robota, gdy tworzyli żywy łańcuch, podając sobie kamienie z rąk do rąk, tak że wreszcie trafiały do tego, kto budował. Każdy pilnował tempa, nie było miejsca na ociąganie się i niedoróbki. Najmłodszy miał lat dwanaście, najstarszy – osiemdziesiąt trzy, dlatego też praca mogła zostać podzielona pomiędzy szybkich i mądrych, silnych i dokładnych, wytrzymałych i nieustraszonych, a gdy Kristine dla zabawy zsumowała wiek wszystkich obecnych, otrzymała wynik tysiąc dwustu lat doświadczenia, poganiających się nawzajem do porządkowania i murowania, prac stolarskich i ciesielskich. Całe dawne pole zostało oczyszczone ze skalnych odłamków, ściany rosły z godziny na godzinę, a ktoś zauważył nawet, że łatwo budować z kamienia, gdy ma się materiały tuż pod ręką. Można było odnieść wrażenie, że pozostałości dawnego osuwiska musiały im się poddać, zacząć się grzecznie zachowywać i zmienić w dom, a po wielu godzinach pracy stalowych drągów i ludzkich dłoni czarna ziemia leżała przed nimi odsłonięta, skalne odłamki przeistoczyły się zaś w ogrodzenia, obórkę i chlewik.

Jehans pozwolił sobie na kilka minut przerwy. Oparł się na łomie i spojrzał ku skalnemu zboczowi, pod którym rosła niewielka drewniana chata, pnąc się ku niebu bał za balem.

Po raz pierwszy w życiu poczuł, że jest jednym z nich. Człowiekiem z Butangen.

A tymczasem ludzie od zawsze mieli go za jednego ze swoich.

Był synem Srebrzystej Zimy.

Zdawało się, że tuż przed jego oczami rozkwita teraz sam duch Butangen, ukształtowany przez setki lat dziedziczonych z pokolenia na pokolenie tradycji. Starsi rzadko pytali jego lub Kristine, gdzie co postawić i jak co ma wyglądać, wiedzieli, jakie metody będą dobre, bo ich ojcowie i dziadkowie w najboleśniejszy z możliwych sposobów nauczyli się, które metody są złe, by potem przestrzegać przed nimi młodszych i nigdy ich nie powtarzać.

Drewno mieli z płaskowyzu nad skalnym zboczem. Sosny rosły tu niskie i rzadko całkiem proste, ale innych nie było, więc drużyna ośmiu mężczyzn ścieła je siekierami, zaciągnęła nad rzekę i spławiła w dół, gdzie wyciągnięto je na brzeg i dotaszczone do Hellorn. Ociosane pnie jaśniały żółto i pachniały nowym domem.

Budowę chaty kierował Borgedal Młodszy. Był synem Borgedala Starszego i tym samym drugim najznakomitszym cieślą w całej okolicy. Z początku planowali dwie izby, ale po krótkiej dyskusji o długości pni, ich rozmieszczeniu i czasie, który mieli do dyspozycji, budowniczy doszli do wniosku, że to niemożliwe i chata ochrzczona została imieniem Jednoizbówki, zanim położono pierwsze kłody pod jej budowę.

Martwili się, skąd wziąć brzożową dartkę, którą należało ułożyć pod dachówkami, bo soki już dawno zaczęły krążyć, więc ciężko było zdierać korę. Dlatego też największy być może dar przyszedł od najuboższej ze wszystkich, to jest wdowy zwanej Topielcową, która dorabiała sobie wyplataniem kobiałek i koszyków na przynęty. Kobieta przyniosła tyle dartki, ile tylko była w stanie unieść, i powiedziała, że będzie trzeba zrobić jeszcze kilka kursów, bo miała tego dużo więcej i jeśli Kristine z Jehansem pomogą jej, jak już staną na nogi, nie za rok rzecz jasna i nie za dwa lata, ale kiedyś, jak już dadzą radę, to wtedy będą kwita.

Inne dary były równie skromne, ale użyteczne: zakwas dokarmiany przez niemal osiemnaście lat. Świeżo wykute siekiery i piła. Cztery kury. Żona dzierżawcy z Nyfløt przyniosła kilka gałązek zawiniętych w szarą ściereczkę. Były to pędy czerwonych i czarnych porzeczek z jej najlepszych krzaczków, przed których zasadzeniem kobieta obesła powoli całą okolicę, szukając miejsca najlepiej nasłonecznionego i osłoniętego od wiatru. Do tego doszły zwierzęta, w których tylko nieliczni miejscowi widzieli jakąkolwiek wartość, lecz które – co wynikało z szybkich wyliczeń – mogły zacząć dostarczać im mięsa już za kilka miesięcy: trzy dorodne króliki.

Ósmego dnia prace zakończyły się tak samo szybko, jak się zaczęły, a gdy ludzie zgromadzili się przy skarpie, by zacząć schodzić do wsi, w uściskach dłoni pojawiła się nowa powaga. Stanowiły jednocześnie podziękowanie i przypieczętowanie paktu. Było w nich jakieś oczekiwanie.

Konopny sznur drgał, gdy ludzie odchodzili jeden po drugim.

A potem znów zostali we dwoje.

Wprowadzili się do Jednoizbówki i mogli wreszcie spać na suchym pościu i chodzić wyprostowani, nie uderzając głową w sufit, mogli siedzieć na krzesłach, jeść przy stole i gotować strawę na kuchence, która nie stała tak krzywo, że tłuszcz spływał do jednego tylko brzegu patelni. Obcowali ze sobą tak, jak uprawiali ziemię, z uporem i zapamiętaniem, potem robili na chwilę przerwę, by podziwiać to, co widzieli, pełni oczekiwań, co też przyniesie przyszły rok.

Choć jednak byli już ocaleni, Kristine robiła się coraz bardziej niespokojna. Zupełnie jakby nasycić mogła się tylko niesprawiedliwością, jakby znajdowała zadowolenie w zwalczaniu przeciwności, czy to skalnych odłamków, padającego śniegu czy śmietany niechcącej się ubić w masło. Wszyscy to widzieli, lecz nikt nie powiedział tego na głos: Nieważne, ilu ludzi stawiliby się do darmowej pracy, nie sposób było uczynić z Hellorn prawdziwego majątku. Króliki mnożyły się i biegały swobodnie po kamiennej obórce, a ponieważ nadawały się do uboju już po paru miesiącach, każda samica mogła im w skali roku dawać jakieś pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt kilo mięsa. Mogliby też sprowadzić tu kilka kóz, ale gorzka prawda była taka, że żadne większe zwierzę gospodarskie pod tak strome zbocze nie podejdzie.

Gospodarstwo bez krowy nie było prawdziwym gospodarstwem, a Kristine Messelt – prawdziwą Kristine Messelt.

Krowy pasły się kiedyś najpewniej na jednym z przynależących do zagrody płaskowyżów, tym najbliższej Brei, porastały go teraz jarzębiny, wierzbowe krzewinki, brzoźki i paprocie, tworzące zarośla tak gęste i niemożliwe do wykarczowania, że przybyli dzierżawcy nazwali tę część majątku Ziemią Oporną i zostawili w spokoju, bo pieńki i popłątane pod ziemią korzenie czyniły z ich pracy wysiłek zupełnie nieopłacalny.

– Zdobęde cielaka – oświadczyła Kristine. – Związę mu nogi i przyniosę go tu na plecach. Trafi do nas mały, a potem wyrośnie z niego krowa. Damy radę. Trzeba będzie tylko znaleźć miejsce na pastwisko.

Chodziła po obejściu i myślała nad czymś, czego nie chciała mu zdradzić. Pewnego wieczora, chwilę przed zaśnięciem, powiedziała:

– Słuchaj, Jehansie. Jutro pościnasz drzewka i ogrodzisz Ziemię Oporną. Nie, nie całą. Mniej więcej jedną ósmą. Rano wychodzę i nie próbuj mnie nawet dotykać, jak się obudzę. Wrócę wieczorem.

Zrobił ogrodzenie z gałązek jarzębiny rozpiętych między słupkami, z każdym kolejnym metrem zachodząc w głowę, co też ona wymyśliła. Ledwie znalazł chwilę, by usiąść, rozejrzeć się i pomyśleć, że ten kawałek ziemi i wszystko, co ich otacza, może im kiedyś przynieść sławę.

Późnym wieczorem zadrgał konopny sznur. Kristine wspięła się do niego, podrapana, zakrwawiona i rozczochrana. Na plecach miała nosidło, na piersi zapięte szelki i w ten oto sposób przyniosła na górę dwie półroczne świnki.

Mocno je przywiązała i spętała im racice, lecz one przegryzły więzy, uwolniły się z nich, po czym pokopały ją i pogryzły do krwi. Kristine była z tego zadowolona, gdyż jej zdaniem świadczyło to, że zwierzęta nadadzą się do swojego zadania.

Dostała je, a właściwie pożyczyła, od kogoś we wsi, były jeszcze cztery inne świnki, zostawiła je trochę niżej przywiązane do drzewa i trzeba było po nie iść, zanim przegryzą sznurki. Musieli zwrócić pożyczkę w formie mięsa, gdy nadejdzie właściwy czas, Kristine przypędziła je tu sama i nie było czasu, by tłumaczyć cokolwiek więcej. Godzinę później przynieśli pozostałe zwierzęta i zamknęli je za ogrodzeniem.

Sześć świń, pomyślał Jehans. Już po paru dniach zjadły wszystkie liście i trawę.

Kristine nadal nie chciała mu powiedzieć, na czym polega jej plan. Następnego dnia świnię pożarły paprocie, listki z kłujących krzewinek i same krzewinki. A potem zaczęły kwiczeć, domagając się jedzenia. Poprzewracały koryta z wodą i wyraźnie się denerwowały.

Kristine wskoczyła do zagrody z motyką do wykopywania ziemniaków, wbiła ją w ziemię i powiedziała:

– No już, zaczynajcie! Nam też się nie przelewa.

Po całym dniu dochodzących z zagrody świńskich wrzasków, protestów i lamentów jedno ze zwierząt zaczęło kopać przednimi racicami przy wierzbowym pieńku. Zanurzyło ryj w ziemi, odgarnęło ją i kopało dalej, a gdy coś wreszcie znalazło, zacisnęło na tym zęby i szarpało, aż w końcu silne mięśnie wygrały i wierzbowy korzeń ustąpił. Druga świnia przyskoczyła zaraz do towarzyszki, próbując go jej wyrwać, lecz tamta obroniła się i pożarła korzeń tak szybko, że z ryja kapła jej czarna od ziemi ślina. Słońce już prawie zaszło, gdy pozostałe zwierzęta ruszyły do tej samej pracy, zabrały się do kopania, pochrząkując i chrumkając.

– Stara pasterka mi kiedyś powiedziała, że aby zrozumieć zwierzęta, muszę pojąć, do czego zostały stworzone. Jak żyją bez ludzi. No bo czemu świński ryj wygląda, jak wygląda? To przecież nie kichawa z wielkimi dziurami, tylko narzędzie do rycia. Świński karczek nie jest taki gruby i silny po to, żeby dawać nam dobre mięso. Został tak stworzony, bo świnia od zawsze grzebała w ziemi.

Zwierzęta chrząkały i hałasowały do późnej nocy i już o świcie zaczęły na nowo kopać, jeść i ryc. Powyrywały nawet tkwiące w ziemi kamienie.

– Ogromny kawał skały jak na taką małą świnkę – stwierdził Jehans.

– Strasznie duży.

– Wiedziałaś? Że świnia potrafi wyrwać z ziemi coś takiego?

Kristine pokręciła głową.

– Nie. Czasami człowiekowi sprzyja szczęście.

– Tak jak mnie z tobą – powiedział Jehans, biorąc ją w ramiona.

Świnie podnosiły kamienie ryjami, rzucały się na żyjące pod nimi białe dżdżownice i pożerały je ze smakiem, a gdy przeorały tak całą ziemię, zostały przeniesione w nowe miejsce. Kristine i Jehans ruszyli do pracy z żelaznym drągiem i motyką, wrywając skalne odłamki i pieńki pozostawione przez zwierzęta, one w tym czasie uwijały się na sąsiednim kawałku ziemi, usuwając małe drzewka, gałązki, krzewinki i chwasty, które po kilku zaledwie godzinach podróży przez świńskie trzewia zmieniały się w łajno. Zwierzęta wdeptywały je i wkopywały w glebę, nie mając pojęcia, jaki niosą pożytek, same przy tym nieustannie rosnąc, stając się stopniowo mięsem, tłuszczem i podrobami.

Jehans i Kristine mogli w końcu odpocząć i wyciągnąć się na słońcu. Wykopali ziemniaki i marchew, zarżnęli dwa króliki, jedli to wszystko, pili wodę z Brei, a wieczorem zalegli w wieczornym słońcu przed Jednoizbówką.

– Pomyśl tylko – powiedziała Kristine. – Nie możemy jeść gałązek jarzębiny ani liści. A królik może. My natomiast zjedliśmy właśnie królika. Poza tym mamy z niego jeszcze futro i nawóz.

– No i dobrze – odrzekł Jehans. – Tak właśnie ma być.

– Ty byś najchętniej poszedł w góry z kragiem. Widzę to po tobie.

– Tak. Ale mniej to po mnie widać w tym roku niż w zeszłym.

– Tylko żeby to w tobie nie zginęło. Bo wtedy sam zginiesz. Musimy odłożyć pieniądze, żebyś wykupił broń z lombardu.

Jehans się od niej odwrócił.

Bo pieniądze przecież były. Pieniądze brata za obraz ojca. Ale on je odesłał.

Patrzył na Kristine, czuł wiatr znad mokradeł i zapowiedź zimy, którą w sobie niósł. Spojrzał na jej brzuch i zadał sobie pytanie, co też powstrzymuje ją przed urodzeniem mu dziecka. Bo wszystko wokół nich jadło, wydalalo, rodziło, kiełkowało i rosło, sami zaś pozostawali jałowi.

Jak umrze pastor

Kai Schweigaard stał przed ołtarzem, czując na barkach kojący ciężar ornatu.

Uszyto go z myślą o chłodach w kościele słupowym i był tak ciepły, że pod spód pastor mógł wkładać tylko cienką koszulę. Słowa psalmu szybowały ku niebu, dźwięki organów wprawiały deski podłogi w wibracje. W głębi kościoła stał pan Røhme, odziany w odświętny garnitur i gotów ruszyć z odsieczą w przypadku najmniejszego problemu.

Kai odprawiał właśnie nabożeństwo zielonoświątkowe, był rok 1905, a ostatni tydzień przyniósł wielkie wydarzenia. W środę ogłoszono wreszcie rozwiązanie unii, Schweigaard wciągnął rankiem flagę na maszt, podobnie zresztą postąpili niemal wszyscy okoliczni gospodarze. W kolejnych dniach dało się dostrzec we wsi mniejsze czy większe przejawy radości, a teraz, chwilę przed rozpoczęciem nabożeństwa, pastor przysiadł w zakrystii przy uchylonym oknie i podsłuchiwał wzburzoną rozmowę wiernych o tym, że coś „absolutnie nie wypada!”. Dopiero z wysokości ambony zobaczył, o co chodzi. W jednym z środkowych rzędów siedziały cztery kobiety, z zaciśniętymi ustami i wzrokiem wbitym przed siebie, a odziani na czarno parafianie posyłali im niespokojne spojrzenia.

Owe cztery kobiety miały na sobie bunady. Dwie przywdziały kraciaste stroje z tartanem w barwach czerwieni i ciemnej zieleni. Dwie pozostałe miały suknie ciemne, z haftowanymi żółtymi i ciemnoczerwonymi kwiatami – podobne do tych, które pokazała kiedyś pastorowi pani Stueflaaten.

Schweigaard odczekał, aż w kościele zapadnie cisza, i rozpoczął nabożeństwo od kilku zgrabnych słów, które można było rozumieć tak, że wszyscy przychodzą do kościoła w swoim najlepszym stroju i że odzienie może być czasem jak flaga, ta flaga, która wreszcie jest nasza. Tym samym wyraził coś w rodzaju akceptacji dla czterech buntowniczek.

Rozległy się dźwięki organów, lecz Schweigaard poczuł w sobie jakieś molowe tony, jakby życie dotykało go w tym momencie silniej i głębiej. W dni takie jak ten, największe religijne święta, odprawiając najbardziej uświęcone kościelne rytuały i liturgie, Schweigaard czuł się najbardziej na religię podatny. Wiedział, że to pewien paradoks, bo w takich właśnie dniach mówił z ambony o tym, co w wierze chrześcijańskiej było najbardziej abstrakcyjne. O morzu rozstępującym się na rozkaz Mojżesza. Słowie, które stało się ciałem. Jezusie zmartwychwstałym. Zbawicielu mówiącym: „*Effata!*”.

Wciąż lubił się zastanawiać, jakie to faktyczne wydarzenia mogły się skrywać za tymi opowieściami. Bo było przecież tak, jakby sama wiara podejmowała ryzyko, utrzymując, że stało się coś tak niewiarygodnego. To wtedy przejawiała się w niej prawdziwa odwaga – gdy wymagała, by z religii nie usuwać aspektu tajemnicy. W takich chwilach czuł, że Bóg się przed nim obnaża, zupełnie jakby zapraszał go do dyskusji o racjonalności i wierze. Gdy zaś Kai Schweigaard przemawiał o cudach z ambony, jego głos brzmiał zaskakująco pewnie, choć to właśnie było w odprawianiu nabożeństwa najtrudniejsze: mówić o wdowie z Nain, gdy w pierwszym rzędzie siedzą ludzie, którzy stracili małe dzieci. Kiedy w kościele był ślepiec, a on miał snuć opowieść o Jezusie mieszającym ślinę z ziemią i wcierającym ją w powieki biedaka, który odzyskuje wzrok. I nie było wcale łatwo zmieniać te opowieści o cudach w alegorie, bo ludzie w Butangen słyszeli to, co słyszeli, więc takie kazania wymagały, by pastor łączył w sobie to, co ludzkie, z liturgicznym ciężarem boskości, w tym zaś bardzo pomagał mu ornat. W takich właśnie chwilach, odziany w najświętszy strój Kościoła, odczuwał haftowany na plecach krzyż niczym podpierającą go silną ojcowską dłoń, mimo całej swej słabości i całego swego zwątpienia.

Schweigaard rozpoczął zielonoświątkowe czytanie. Zarówno on sam, jak i parafianie przywykli do jego starego przekładu i teraz pastor również sięgnął po ten tekst, recytując go odpowiednim do okazji, patriarchalnym głosem:

– I zstał się z prędką z nieba szum jakoby przypadającego wiatru gwałtownego, i napełnił wszytek dom, gdzie siedzieli. I ukazały się im rozdzielone języki jakoby ognia, i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Duchem Świętym, i poczęli mówić rozmaitemi językami, jako im Duch Święty wymawiać dawał.

I nagle wszystko w nim zamarło.

Udał, że kaszle, ale nie mógł wydusić ani słowa, bo zaczął myśleć o Tkaninie z Hekne. Podobno były na niej ptaki plujące ku ziemi jęzorami ognia. Dotychczas był przekonany, że ogień ten niósł zniszczenie.

Lecz może ptaki tak naprawdę przynosiły ludziom wiedzę?

Wiele razy irytował się na nowsze przekłady Biblii, w których płomień rozdzielał się na jęzory po tym, jak ogień zapłonął w Wieczerniku, ale w starszych tekstach, również angielskich, przychodził on do apostołów już rozdzielony.

Tak jak, najpewniej, ukazane zostało to na tkaninie.

Pastor odchrząknął.

– A byli w Jeruzalem mieszkający...

Nabożeństwo dobiegło końca, pastor zaś wyszedł na kościelne schody, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Rozległo się wątle bicie nowych dzwonów i drzwi świątyni stanęły otworem. Schweigaard ścisnął ludziom dłonie i pozdrowiał ich skinieniem głowy. Hierarchia była nienaruszalna – możni gospodarze siedzieli w pierwszych ławach i jako pierwsi wychodzili. Dlatego z początku uściski dłoni były silne: Jesteś jednym z nas, panie pastorze, poprzez swój urząd, ale nie poprzez majątek. Potem dzierzawcy: szorstkie spracowane dłonie, stare ręce o pomarszczonej skórze, kościste palce wdów i małe, twarde piątki dzieci, które wspinały się na palce. Na końcu najubożsi. Ci przywierali do niego najmocniej. Pomóż nam. Odwiedź nas. Dziękujemy, panie pastorze.

Żadna ze ścispanych dłoni nie była dłonią z Hekne.

Nie była dłonią Jehansa ani Kristine.

Adolf i Ingeborg przyszedli na nabożeństwo, ale znali swoje miejsce i opuścili świątynię jako jedni z ostatnich, on zgarbiony, w schludnie zacerowanych wadmelowych ubraniach, ona – w odświętej spódnicy i z szalem zarzuconym na ramiona. Uścisk ich dłoni trwał tak długo, że Schweigaard odczytał w nim zaproszenie do rozmowy, ale nie było to odpowiednie miejsce ani czas, skinął im więc tylko porozumiewawczo głową.

Poszedł do zakrystii i zdjął ornat. Spociał się w nim, zmienił więc też koszulę na czystą i suchą, a gdy wyszedł z kościoła, znów był już zwykłym pastorem.

Lecz nagle przystanął, przechodząc koło grobu Astrid. To tu leżała, z twarzą zwróconą na wschód, czekając na dzień sądu ostatecznego. Po tym jak Kai przed wieloma laty zaczął złorzeczyć Bogu w klinice położniczej, czuł się czasami spokrewniony z Latającym Holendrem, człowiekiem zagubionym i wyklętym, którego uwolnić mógł tylko pocałunek kochającej go szczerze kobiety. Lecz jedyna kobieta, której pocałunku pragnął, była martwa.

W drodze powrotnej na plebanię przyłączyły się do niego stare przyjaciółki: tęsknota i gorycz. Czyżby jego ofiara była tak naprawdę rozciągniętym w czasie duchowym samobójstwem? Nawet wymyślne kanapki pani Røhme nie łagodziły melancholii, która ostatnio go ogarniała, zwłaszcza gdy siedział w Pastorówce i patrzył na wieś ubrany w sweter przysłany z Dovre. Czy ktoś go w ogóle potrzebował? Ale tak naprawdę jego? Owszem, pastor był we wsi niezbędny i owszem, mógł się równie dobrze nazywać Kai Schweigaard i być Kaiem Schweigaardem, lecz czy istniał ktoś, kto naprawdę myślałby o Kaiu Schweigaardzie i właśnie jego potrzebował? Pani Stueflaaten z pewnością znalazła już sobie nowego męża. Dzwon leżał w mule na dnie Løsnesvatnet. Victor Harrison nie odpisywał na listy. Jehans zajmował się zupełnie czymś innym niż to, do czego został stworzony. Tkanina z Hekne przepadła bezpowrotnie. Astrid posłała jednego ze swoich synów ku nowemu życiu w Anglii, a pastorowi nie było najwyraźniej dane zrozumieć, dlaczego. Koło rodu Hekne toczyło się powoli, bez niego. Cały czas brnęło nieuchronnie do przodu, a jeśli on stanąłby na jego drodze, zostałyby przez nie zmiażdżony, odznaczając się tylko niewielkim wybojem na ścieżce nieubłaganego losu.

No cóż. Duchowe cierpienie i żal to w końcu też jakieś życie.

Ten wieczór również zakończył w Pastorówce. Zrzucił nową błystkę, którą polecił mu kupiec Tutka. Zrobiono ją w Romsdalen ze starych łyżek i nazwano na cześć rzeki Raumy. Pastor pozwolił opaść jej na dno.

Zawsze nadzieja. Zawsze modlitwa o rybę. Boże, ześlij mi pstrąga tak dużego, żebym nie musiał

ubarwiać jego wielkości.

Ale jak zawsze na środku Løsnesvatnet cała racjonalność i logika opadały na dno. Wizje, które wcześniej ukazywały mu się tylko przez mgnienie oka, niczym przykre myślowe eksperymenty, puchły, rosły i coraz bardziej się narzucały. Zrozumiał, że wydarzenia tamtej nocy, gdy bracia rozstali się w niezgodzie, zmusiły go, by sam podjął zbyt długo odwlekaną konfrontację ze zdrowym rozsądkiem. Przypomniawszy sobie o Klarze Mytting, która zamarła w kościele. O starej komornicy wierzącej we wszystkie zabobony, przekonanej, że wszystko się ze wszystkim w życiu łączy i że święty parch – patyna porastająca wnętrze kościelnych dzwonów – potrafi leczyć choroby. I tak myślało całe jej pokolenie, żadne cuda nie wydawały się tym ludziom niemożliwe. Tyle tylko że bywali oni naiwni, analizowali wydarzenia jedno po drugim, doszukując się w nich przyczyn. Jeśli ktoś przeszedł pod rozstawioną drabiną albo rozsypał sól, a później jego krowa została zabita przez niedźwiedzia, obwiniano o to tę sól lub tę drabinę. Tkanina z Hekne zapewne istniała, lecz pastor nie chciał wierzyć, by potrafiła przepowiedzieć przyszłość. Gdyby istotnie miała taką moc, ludzie gapiliby się w nią tępo, przyjmując prorocтва za swój zapisany z góry los. Zaniechaliby jakichkolwiek działań, bo straciłyby one dla nich znaczenie. Skoro i tak wszystko już było przesądzone.

Tkanina stanowiła zapewne raczej zbiór obrazów niejasnych, wieloznacznych. Możliwe, że potrafiła skłonić ludzi do refleksji i większej czujności. Dzięki temu stawali się zapewne bardziej skłonni do tego, co Kai Schweigaard lubił nazywać „zaginaniem losu”. Może dostrzegali na tym obrazie coś, co mogło się wydarzyć, lecz czego równie dobrze dałoby się uniknąć, będąc odpowiednio przygotowanym? Może tkanina uczyła ich, jak rozpoznawać w sieni kroki Złego, by móc na czas sięgnąć po srebrny krzyż?

A poza tym: dlaczego twierdzono, że bliźniaczki zostały pochowane pod kościelną podłogą, skoro leżały tam tylko ich poduszki?

Nagle wędka drgnęła. Wyglądało jednak na to, że kotwiczka zaplątała się tylko w sitowie, bo dało się na niej wyczuć jedynie martwy ciężar, a żyłka przestała wibrować. Pastor nawinął ją na kołowrotek i wyczyścił haczyki. Znowu zarzucił błysk, pozwalając jej opaść na dno.

A gdyby Tkanina z Hekne naprawdę miała cudowne moce? Gdyby pozwolił sobie tak o niej myśleć? Usiadł po drugiej stronie stołu, bo to on przecież opowiadał zazwyczaj o cudach. Co powinno się właściwie uznawać za niemożliwe? W kręgach duchownych dyskutowało się szeroko o miejscu spirytyzmu w religii, a każda jedna gazeta drukowała anonse jasnowidzów oferujących swoje usługi. W Anglii dopuszczano chowanie zmarłych w zalutowanych ołowianych trumnach w nadziei, że zwłoki uda się kiedyś obudzić z powrotem do życia. Takie bzdury Schweigaard jednoznacznie odrzucał, ale w opiekuńcze, towarzyszące ludziom duchy wierzył, sam wielokrotnie doświadczał ich obecności. Duch pana Røhme, na przykład, miał szczególnie silną aurę. Pastor wielokrotnie słyszał, jak pan Røhme wchodzi cicho do sieni na dole, a potem – dosłownie parę minut później – na podwórzu pojawiał się sam kościelny i wkraczał do domu, wydając dokładnie takie odgłosy jak te, które rozległy się kilka chwil wcześniej. Na takie zjawiska Schweigaard reagował zaledwie wzruszeniem ramion, bo tak po prostu było i już. W ostatnim czasie pastor zapałał szczególną pasją do obrony koncepcji cudów Świętego Augustyna twierdzącego, że to, co niewytłumaczalne, nie przeczy bynajmniej prawom natury jako takim – lecz jedynie prawom natury dotychczas poznanym.

Na własne oczy widział, jak podłączano przewód do szklanej bańki i zaledwie sekundę później na wszystkie strony rozlewało się oślepiające światło. Sam trzymał w dłoni słuchawkę telefonu, prowadząc rozmowę z człowiekiem w Kristianii. Gdyby ktoś przyszedł do wsi pięćdziesiąt lat wcześniej i powiedział, że coś takiego jest możliwe, że istnieje niewidzialna siła, która nazywa się elektryczność i potrafi napędzać silniki, dawać światło czy przenosić dźwięki – cóż, wszyscy uznaliby, że to zwyczajnie niemożliwe.

Myśli pastora płynęły od paradoksu do paradoksu, lecz teraz, gdy zaczęła zapadać ciemność, zdało mu się nagle, że Gunhild kołysze jego łodzią.

Przypomniawszy sobie nagle uścisk dłoni Adolfa.

Czyżby staruszek miał do niego jakąś sprawę?

Portal kościoła słupowego odnalazł się ostatecznie w Halvfarella. Został tam ukryty i przez lata służył za jedną ze ścian owczarni. Schweigaard rozmawiał z Adolfem i Ingeborg o Tkaninie z Hekne,

gdy Jehans był jeszcze dzieckiem, od tamtego dnia minęło wiele lat. A jeśli gobelin został ukryty w podobny sposób, a oni odnaleźli go teraz w chacie Framstadowej? Albo chociażby jego część? W jakiejś przemyślnej, bezpiecznej kryjówce, na przykład zwinięty w rulon pod stropową belką albo schowany w ścianie biednego, niepozornego miejsca, niczym Zbawiciel, który przyszedł na świat w stajence?

Zdążyli się już zadomowić. Krowa pała się na łące, ogień trzaskał w piecu, młynek do kawy wisiał na ścianie, a oni zjedli właśnie porządny posiłek.

Schweigaard powiedział im, że chce tylko zobaczyć, jak się miewają. Rozmawiali o Jehansie i wielkim wspólnym wysiłku w Hellorn i pastor doszedł w końcu do wniosku, że uścisk dłoni na kościelnych schodach był wyrazem wdzięczności, a on na próżno doszukiwał się w nim tajemnicy.

– A Osvald? – zapytał.

– Nie mamy od niego żadnych wiadomości – odrzekła Ingeborg. – Ale dzierżawcy pomrukują. Niektórzy nawet całkiem głośno.

– Nietrudno to zrozumieć.

– Właśnie – stwierdziła kobieta. – Podobno snują jakieś większe plany, ale chyba lepiej, żeby pan pastor się w to nie mieszał.

Kai Schweigaard rozejrzał się dookoła. To tutaj, w tej izbie, Astrid i Framstadowa przeprowadziły jakiś rytuał, dzięki któremu stało się jasne, że na świat przyjdzie dwoje dzieci. Zgubił watek, a Ingeborg odchrząknęła:

– A mnie tam wygląda na to, że pan pastor chce nas o coś spytać.

Kai Schweigaard zebrał się na odwagę i zapytał wprost o Tkaninę z Hekne. Wcale ich to pytanie nie zdziwiło. Ale oboje pokręcili głowami.

– Nie – powiedział Adolf. – Tu jej nie ma. Jakby była, to byśmy wiedzieli.

– A portal? O nim wiedzieliście?

– Tak, pewnie. Starzy gospodarze z Hekne zabronili mojemu ojcu o nim mówić. Dopóki nie przyjdzie pastor albo ktoś z majątku i nie zapyta o niego wprost. A potem przyszła Astrid i zapytała. Ale Tkaniny w Halvfarella nigdy nie było. Jakby była, to byśmy powiedzieli.

– Zastanawiam się, czy może ukryto ją gdzieś we wsi – mówił Schweigaard. – Tak samo jak kiedyś portal.

– Hm – zastanowił się Adolf. – Z tym portalem to było tak, że oni go chyba nie chcieli chować. W naszej wsi lubi się używać rzeczy z odzysku. A wtedy wszystko było cenne. Może myśleli po prostu, że to za ładny kawałek drewna, żeby pozwolić mu przepaść. Chcieli, by jeszcze posłużył!

– Ha! – wtrąciła Ingeborg. – Coś sobie przypomniałam. Pamiętasz, Adolfie, tamten raz, jak Jehans powiedział przy nas słowo „śmieci”?

Kai Schweigaard zmarszczył czoło i posłał staruszkom pytające spojrzenie.

– Tak, śmieci, a jakże – potwierdził Adolf. – Strasznie nas to słowo zadziwiło. Bo dla nas nic takiego nie istniało. Rzeczy się na nowo zbijało, cerowało i przekuwało, aż w końcu się rozpadały w rękach. Motykę, którą kopię ziemniaki, mam po mojej matce. Z siódmym z kolei trzonkiem i drugim ostrzem. Przekutym rzecz jasna z czegoś innego, bo stal zawsze jest w cenie. A mimo wszystko to nadal motyka mojej matki.

Schweigaard powiedział im, że wedle jego ustaleń gobelin zdjęto w roku 1813. Podobno dlatego, że ptaki straszyły ruszających w bój żołnierzy. Czy ich zdaniem ludzie mogli wtedy wierzyć w takie znaki?

– Ludzie wierzyli w rozmaite znaki – odrzekł Adolf. – Siedzieli, oglądali je, rozmyślali. W dawnych czasach wyznawanie się w znakach to była sztuka sama w sobie. I to znakach naprawdę przeróżnych. W zachowaniu zwierząt, pogodzie, płetwach okonia i kwitnących jarzębinach. To było ważne. Bo skąd ludzie mieliby wiedzieć, jak się zachowywać?

– Ale czy wystraszyłyby ich widok ptaka na gobelinie?

– A może i tak – odparła Ingeborg. – Tyle że oni nie bali się pewnie tego, co widzieli, tylko tego, co im się zdawało, że widzą. A potem jeden straszył drugiego. Trzeba pamiętać, że w tamtym roku ludzie byli głodni, więc i strachliwi. Panował wtedy straszliwy nieurodzaj. W trudnych czasach łatwiej się

wierzy. Bo ptaki pluły podobno ogniem na tych, co stali na ziemi z mieczami. Czyli na żołnierzy. No tak, tak. Ja tam słyszałam, że Tkaninę zdjęto z zupełnie innych powodów.

– Ech, Ingeborg – rzucił Adolf. – Nie gadajmy o tym lepiej.

– A czemu nie? Przecież to tylko stare zabobony.

– Ale nieprzyjemnie tego słuchać.

– Przecież to nasz pastor.

– No i właśnie dlatego – rzucił staruszek.

– O co chodzi? – spytał Schweigaard.

– Ja słyszałam – zaczęła Ingeborg – że Tkaninę zdjęto dlatego, że ukazano na niej, jak umrze ostatni pastor z Butangen.

– Ale nie ma chyba kogoś takiego jak „ostatni” pastor? Na miejsce zmarłego przychodzi zawsze nowy.

– Owszem, jest ktoś taki. Ten, kto będzie pastorem, gdy przyjdzie noc oskrobana. I wszystko się skończy.

Roziskrzony drut

Woda uderzała w kamienie, traciła swą formę i zmieniała się w białą mgiełkę, migoczącą w promieniach słońca. Cały ciężar i cała wściekłość rzeki stawały się chmurą kropelek, chmurą, która nic nie ważyła, a jednak spadała na kamienie daleko w dole, zbierając się z powrotem w spienioną białą wodę, pędzącą z hukiem dalej, ku wsi. Jehans zrobił kilka kolejnych kroków w kierunku wodospadu, stał tak blisko, że wodne perełki osiadały mu na włoskach odsłoniętych ramion, migotały przez chwilę niczym przezroczyście gnidy, po czym zbiegały się ze sobą i spływały kroplami na ziemię.

Dłoń z identycznymi perełkami na odsłoniętej skórze wyciągnęła się ku jego dłoni, krople odnalazły wspólną trasę i kapały im między splecionymi palcami.

– Uda się? – spytała Kristine.

– Nawet jak się nie uda, to będziemy sobie doprowadzać wodę do podlewania pola.

Wodospad wyglądał tak zapewne już jakiś tysiąc czy dwa tysiące lat temu, lecz teraz pojawiła się przy nim dziwaczna i nieco krzywa konstrukcja, coś w rodzaju toru wykonanego z desek i drewnianych belek, ciągnącego się czterdzieści metrów w górę rzeki.

Od wielkiego, zbiorowego wysiłku w Hellorn minął rok. Stali teraz nad brzegami Brei, a tym, na co patrzyli, był rurociąg. Owszem, trochę prowizoryczny, ale rurociąg. Zgodnie z ich wyliczeniami przepustowość konstrukcji wynosiła sześćset litrów wody na minutę. Co i tak było tylko niewielkim ułamkiem pędzących rzeką mas.

Zimą Jehans i Kristine ścięli razem drzewa na płaskowyżu nad Hellorn. Zaciągnęli nad zamarznąłą rzekę kłodę za kłodą, a gdy lód puścił, spławili je do jedynej we wsi tartaku, po czym zaciągnęli deski z powrotem na górę. Mieszkańcy Butangen myśleli, że zrobią sobie z nich podłogę albo dach, Osvald był natomiast zdania, że właściciel za mało od nich zażądał, twierdził, że muszą wykupić część udziałów w tartaku, skoro z niego korzystają. Lecz inni gospodarze zaprotestowali, mówiąc, że to wbrew przyjętym zwyczajom, bo tartak obsługuje przecież nawet najuboższych, za symboliczną choćby opłatą.

Przy żadnej innej robocie w swoim życiu Kristine i Jehans nie zziębli i nieprzemokli tak jak przy budowie tego rurociągu. Wytrzymywali po dwie godziny takiej pracy, potem musieli wracać do Jednoizbówki i grzać się przy kuchni, bladzi, chudzi i dygocący. Przed nadejściem maja zdążyli zbudować ledwie dziesięciometrowy odcinek, a przecież czas było już siać, sadzić ziemniaki i przygotowywać nowy kawałek ziemi pod uprawę.

Wciąż nie rosło u nich dość trawy, by wyżywił się nią cielak, więc kupili dwoje kozłat, które przydzwigali na własnych barkach i wypuścili w zarośla przy granicy majątku. Do roboty nad brzegiem Brei mogli wrócić dopiero w czerwcu i przepracowali tam sześć tygodni bez przerwy, przemoczeni i zakatarzeni.

Z początku Jehans wyobrażał sobie turbinę napędzaną masami wody tryskającymi z rury, ale takiej konstrukcji nie sposób było wykonać z drewna, mogłaby się ponadto okazać zbyt skomplikowana na jego siły. Wokół wodospadu były tylko kamienne odłamki i powykęcane brzozowe krzewinki, a taką turbinę trzeba montować, stojąc pośrodku nurtu.

Kristine przekonała go, by wybrać raczej coś, czego oboje mogli być pewni. Urządzenie, które od dawien dawna budowało się z drewna. Zwyczajne koło wodne, jakie montowało się w okolicznych tartakach i młynach. Jehans pamiętał z książek, że koło, na które woda spadała z góry, zatrzymuje dwie trzecie siły naporu, takie zaś, które obraca się zanurzone w nurcie, przejmuje tej siły tylko jedną trzecią. Decyzja była zatem łatwa, ale tak czy inaczej prędkość obrotu mogła okazać się za małą. Dlatego też zbudowali przy kole wodnym niewielką szopę, na której ścianie Jehans chciał zamontować przekładnię skonstruowaną z kół i pasów – elementów, których jeszcze nie udało mu się zorganizować.

Budowa okazała się pasmem mąk i nerwów, drewno pękało, mocowania puszczały, cały czas byli przemoczeni, rzeka huczała, pryskała woda, musieli zbudować coś w rodzaju wzmocnienia z kamienia i drewna, ale w końcu ze wszystkim się uporali i koło wodne było gotowe. Wysokie na cztery

metry, czarne i mokre, mało w sobie coś średniowiecznego, było trochę toporne i trochę zaimprovizowane, zupełnie jakby materiały, z których je zbudowano, należały kiedyś do rozebranego kościoła słupowego.

– Dobrze, idź już – powiedziała Kristine, puszczając dłoń Jehansa. – I lepiej, żeby faktycznie ci się udało. Bo ja chcę czegoś w zamian za tę całą harówkę. Czegoś, co będzie tylko moje.

Jehans pojechał do Vålebrua i wszedł do gmachu stacji kolejowej, gdzie zapytał, czy telegrafista mógłby sobie zrobić chwilę przerwy. Wszedł do niego Topielczyk. Nosił teraz eleganckie spodnie i błyszczącą kamizelkę, za uchem miał zatknięty ołówek, ale poza tym nic się nie zmienił. Od ich ostatniego spotkania minęło sześć lat, uścisnęli sobie teraz dłonie. Jehans zapytał, czy dawny kolega spotkałby się z nim po pracy.

– Chodzi o prąd. Zastanawiam się, czy mógłbyś pożyczyć mi z tutejszego warsztatu drut i magnes.

Okazało się, że Topielczyk jest żonaty i wynajmuje z rodziną dwa pokoje położone nad sklepem. Na obiad była tego dnia grochówka z chrupkami plackami, a pan domu wziął na kolana córeczkę i nakarmił ją łyżką, dopiero potem sam zabrał się do jedzenia.

– Trochę to dziwne – stwierdził Topielczyk, rozglądając się po kuchni, w której siedzieli. – Tu trzeba wszystko kupować. Nawet ziemniaki i mleko.

Jehans potoczył spojrzeniem po ścianach. Nigdzie nie było narzędzi do uprawy ziemi ani obróbki drewna, tylko łyżki i garnki.

– Ale chyba lepiej kupować niż samemu kopać zagon albo doić krowę?

– No tak, pewnie masz rację. Bo jak u nas we wsi zdarzyło się jakieś nieszczęście, to wszystko się sypało. Ostatnio myślałem sobie o mojej matce. Kiedyś, jak byłem mały, przewróciła się, niosąc cebrzyk z mlekiem, i wszystko rozlała. To mleko miało nam wystarczać na cały tydzień, a ja byłem mały i głodny. Gdyby nie pastor, pewnie bym harował na roli jak ona.

Jehans odchrząknął i wyjął małą książeczkę, którą zabrał z plebanii.

– Mam cię od niego pozdrowić – powiedział, kładąc na kuchennym stole *Podręcznik fizyki* Dietrichsona.

Wyznał dawnemu koledze, że chce zbudować prądnicę. Niekoniecznie dużą, ale taką, żeby zasilala trzy albo najlepiej cztery żarówki. Je też będzie musiał skądś pożyczyć. Nie, nie miał pieniędzy. Ani korony. Nie teraz. Ale będzie miał, potem. Już niedługo.

Topielczyk, będąc małym chłopcem, miał w zwyczaju wyciągać szyję, gdy nad czymś intensywnie myślał. Teraz też tak zrobił.

I siedział tak dłuższą chwilę.

– Problem w tym – powiedział wreszcie – że twornik musi być namagnesowany. Żeby wytworzyć prąd, niezbędny jest magnes. A żeby wytworzyć pole magnetyczne, niezbędny jest prąd. Na szczęście dzielimy warsztat z kolejarzami. Mają tam duże akumulatory. Potrzebujemy poza tym dużo drutu miedzianego. Wiem, gdzie możemy dostać zniszczony silnik elektryczny.

Poszli do zarządcy stacji, który pożyczył im klucz do warsztatu, zastrzegłszy, że jeśli na skutek działań Topielczyka pociągi Norweskich Kolei Państwowych spóźnią się choć o minutę, to czeka go natychmiastowe wypowiedzenie. W warsztacie znaleźli poskręcane szczątki szyny kolejowej i mnóstwo innego żelastwa zebranego do jednej skrzynki. Silnik elektryczny okazał się doszczętnie spalony, więc Topielczyk poszedł do siedziby telegrafu, skąd zabrał zwój emaliowanego drutu miedzianego, przeznaczonego do naprawy zwojnic przetwarzających prąd z linii telegraficznej w ruch mechaniczny i tym samym w znaki alfabetu Morse'a.

– Ryzykujesz utratę pracy – powiedział Jehans. – Nie możesz tego zrobić.

– We wsi jest tylko jeden telegrafista, więc zarządca stacji nie może mnie tak po prostu wyrzucić na zbity pysk. Będzie dobrze. Pójdziemy teraz do znajomego kowala.

Kowal Torgersen również był synem dzierżawcy i też wyuczył się zawodu. Kuźnię prowadził we własnym domu niedaleko kilku sklepików w Vålebrua. Szynę kolejową natychmiast odrzucił, twierdząc, że nie będzie dość stabilna, gdy zacznie się obracać, lecz ponieważ uznał cel dwóch młodych mężczyzn za szczytny, przyniósł swój własny, duży stalowy cylinder.

Tak rozpoczął się długi wieczór – i długa noc – kucia, montażu, prób oraz wielu błędów. Jehans i Topielczyk mieli świadomość, że cała wiedza, po którą teraz sięgają, została przekazana im wiele lat wcześniej w niedzielnej szkółce pastora Schweigaarda. Pracowali ramię w ramię, stojąc w schludnym, nieco chłodnym warsztacie, przy świetle karbidówki, otoczeni zapachem węgla i kutego żelaza.

– A co z kościelnym dzwonem?

– Leży tam, gdzie leżeć musi.

Topielczyk wyciągnął szyję.

– Całe Løsnesvatnet to w końcu woda z Brei. Jak zbudujesz na rzece tamę, to znajdziesz dzwon.

O to ci chodzi? Tak naprawdę?

– To by trzeba było zrobić zalew wielkości samego jeziora.

Jehans przyłapał się na tym, że zerka na Topielczyka z ukosa, i zastanowił się, czy to, co do niego czuje, pewien rodzaj braterskiej miłości, jest lepsze od tego, co czuł przez tamte godziny w górach.

Zawinęli stalowy cylinder w papier śniadaniowy, a potem okręcili go izolowanym drutem miedzianym. W warsztacie kolejowym podłączyli go do prądu z akumulatora i ostrożnie stukali cylindrem w stół przez dwie minuty.

– No to teraz zobaczymy – powiedział Topielczyk, po czym położył na blacie gwóźdź, przesuując go ostrożnie. Wypuścił go z palców, gdy był jakieś dwa cale od cylindra. Gwóźdź przeleciał tę niewielką odległość, przyczepiając się do stali z lekkim stuknięciem.

– A niech mnie – powiedział Topielczyk. – A niech mnie, zrobiliśmy magnes.

Od tamtego momentu nazywali stalowy cylinder twornikiem i obchodzili się z nim ostrożnie, jakby był ze szkła, wiedzieli bowiem, że jeśli nim w coś mocniej uderzą, może im się rozmagnesować.

Torgersen zrobił im w swojej kuźni stabilne mocowania z nasmarowanymi tłuszczem łożyskami kulkowymi, wykorzystując do tego części ze starej snopowiązałki, i w miarę jak mijały godziny, złom, twornik i elektromagnes faktycznie stały się prądnicą, do tego jeszcze całkiem niemałą.

– Trochę ciężka nam wyszła – powiedział kowal, gdy wreszcie skończyli pracę, a nawet Jehans pojmował, że jeśli kowal uważa coś za ciężkie, to naprawdę coś znaczy.

– No tak – odrzekł Topielczyk. – Ale lekko ją będzie nosić.

Obaj synowie dzierżawców doskonale zrozumieli, co chce przez to powiedzieć. Chodziło bowiem o to, że czterdziestokilowa prądnica była nieporównywalnie lżejsza od czterdziestu kilogramów kamieni dźwiganych na polu gospodarza. Podłączyli żarówkę i zamocowali korbkę do osi.

– Najpierw ty zakręć – polecił Topielczyk.

Jehans zakręcił. Nic się nie wydarzyło. Zaparł się mocniej nogami i napał na korbę z całych sił.

– Hm – mruknął telegrafista.

Stwierdzili, że odległość pomiędzy twornikiem a magneśnicą jest za duża, i pracowali w blasku karbidówki przez resztę nocy, poprawili zawieszenie, skorygowali liczbę zwojów i zamocowali dodatkowe płytki ochronne, a gdy słońce weszło i znów zakręcili korbą, żarówkę wypełniło żółte światło. Stwierdzili, że doskonale się składa, bo oto mają przed sobą maszynę, która może zastąpić słońce.

Kristine Messelt stała przy zagrodzie dla świń z błotem na butach i krwią na dłoniach. Dwie młode maciory zaczęły ze sobą walczyć, a ona w końcu chwyciła jedną z nich, stanęła nad nią okrakiem i ścisnęła ją kolanami, po czym oplukała ranę wodą z wiadra, by zobaczyć, czy jest głęboka. Przy drzwiach do chaty stał żeliwny gar z resztkami kaszy, którą zjadła na śniadanie. Musiała zacząć go szorować szczotką z witek i mydłem, ale Jehans dostrzegł teraz, że na wodzie unosi się szarawy osad, i zrozumiał, że nie zdążyła dokończyć tej roboty, bo musiała biec do rywalek w zagrodzie.

– Potrzebuję pomocy, Kristine.

Wspólnie zataszczyli czterdziestokilogramową prądnicę nad brzeg Brei. Podłączenie jej do koła wodnego okazało się jednak trudniejsze, niż się spodziewali. Koło kręciło się zbyt wolno. Jehans musiał więc znów wybrać się do Vålebrua i poprosić kowala o pożyczenie stalowych kólek i pasów. Dopiero kilka wieczorów później mógł wreszcie chwycić w dłonie dwa druty do stojaków na siano. Miał wrażenie, że pulsują mu między palcami, że mają w sobie jakąś wolną wolę.

Linia napięcia do Jednoizbówki była najbardziej prowizoryczna ze wszystkiego. Rząd słupów

ustawionych na skarpie, od brzegu Brei aż do chaty, i przewody ze starego drutu.

Byli spóźnieni o kilka tygodni i mieli za sobą lato, w którym Kristine sama oporządzała pola i zwierzęta na najgorszym kawałku ziemi w całej wsi. Teraz wreszcie Jehans wspiął się ku wodospadowi i zwolnił blokadę, by rurociąg napełnił się wodą. Jeden z kamieni leżących u stóp konstrukcji obluzował się, poleciał w dół i o mały włos nie uderzył w koło, które nieznacznie zadrżało, po czym zaczęło się obracać, coraz szybciej i szybciej.

Jehans wszedł do szopy i patrzył, jak siła przenosi się na pasy, jak prędkość wzrasta z każdym obrotem każdego koła. Szum prądnicy stawał się coraz głośniejszy, przybierał głębsze tony, trochę śmierdziało spalenizną, prądnica była już ciepła, ale na szczęście nie widać było na zwojach żadnych płomieni czy iskier.

Wybiegł z szopy, popędził pod linią napięcia, zdawało mu się, że słyszy nieznaczny szept biegnący po drucie.

– Kristine!

– To już teraz?

– Tak. Już teraz.

– No to chodź. Nie, nie zdejmuj butów.

Na środku izby zwisała z sufitu żarówka.

Kristine zdmuchnęła płomień łojowej świecy. W Jednoizbówce zapadła ciemność i dał się słyszeć tylko chrzęst metalu pocieranego o metal, gdy Jehans przekręcił żarówkę w jej gnieździe. Nagle padło na nich jaskrawe żółtawobiałe światło, docierając do każdego kącika przy podłodze i pod sufitem, oni zaś zamrugali i odwrócili oczy od źródła tego światła, uświadamiając sobie, że nigdy wcześniej nie widzieli w ten sposób całej Jednoizbówki, nawet gdy było lato, a drzwi do chaty stały otworem. Ściany z bali były bardziej żółte, ładniejsze i równiejsze, niż im się zdawało, a gdy rozglądali się dookoła, spirala żarówki tańczyła im na siatkówce oka, podążała wszędzie za ich spojrzeniem i nie sposób jej było wymruć.

Wiwatować skończyli dopiero po pięciu minutach. Padali sobie w ramiona, odskakiwali od siebie, po czy znów się ściskali i odpychali, choć żadne z nich nie pojmowało właściwie, dlaczego to robią. Aż w końcu to do nich dotarło: za oknem panowała ciemność, a oni mimo to mogli się nawzajem widzieć. I ubóstwiali to, co widzieli.

– Jesteś przemoczony do suchej nitki, Jehansie. Dopiero teraz zwróciłam uwagę.

Oboje sądzili, że światło zaraz zblednie albo zacznie migotać, ale ono nadal świeciło równie jasno, minuta za minutą, nie migotało, nie dopalało się, lampa nie wydzielala zapachu, sadzy ani dymu i zaczęły się przed nimi nagle mnożyć potencjalne cuda i nowe możliwości: tego światła nie zdmuchnie wiatr, nie trzeba dolewać nafty, nie stanowiło ono niemal zagrożenia pożarowego, więc da się go używać nawet w stodole, gdzie leży siano. Można je było włączać i wyłączać bez żadnych kłopotów, gdy zaś już świeciło, to jak żadne inne! Stali tak oboje, nadal nieco przytłoczeni, a ich spojrzenia cały czas biegły ku żarówce, choć nie mogli przecież patrzeć prosto w jej oślepiające światło. Zupełnie jakby w Jednoizbówce objawił im się nagle prastary bóg Słońca.

– Wyjdźmy na dwór – powiedziała Kristine.

Mieli jedno okno na długiej ścianie i jedno przy drzwiach, z obu bił teraz jasny blask. Jednoizbówka zdała się nagle wielka, ludna i bogata.

Spojrzeni w dół ku Butangen, którego nie było widać, bo w żadnym z okien nie paliło się dość silne światło, i Jehans przypomniał sobie nagle, jak Kai Schweigaard opowiadał mu, że jego matka zawsze chciała pojechać do wielkiego miasta z lampami ulicznymi. Wszystko aż w nim się zagotowało, spojrzał znów na wieś, lecz w ciemnościach mógł dostrzec tylko granatowe lustro Løsnvatnet.

Wrócili do chaty, Jehans objął żonę i poczuł, że odtąd ich noce będą inne, bo wiedza i światło czyniły z mroku lepszy mrok.

Mistrz prądnicy

Jehans stanął w jesiennych ciemnościach na początku długiej obsadzonej czeremchą alei, która prowadziła do Gildevollen. Po drodze tutaj minął plebanię, w oknie gabinetu Schweigaarda paliło się światło, ale uznał, że nie ma czasu na odwiedzinę.

W ogóle rzadko miewał na nie czas. To miało się jednak być może zmienić.

Jehans poprawił kammerladera na ramieniu i ruszył do majątku, stąpając po mokrych liściach. Tu także za szybami niektórych okien migotały blade płomienie świec.

Jeśli ich nie liczyć, wieś pogrążona była w ciemnościach. Na horyzoncie odcinały się tylko ciemniejsze zbocza dolin i drzewa rosnące na ich szczytach.

Psy zaczęły ujadać, zanim jeszcze stanął na podwórzu. Oparł karabin o ścianę domu mieszkalnego i wspiął się na ganek po sześciu szerokich kamiennych schodach. Stanął przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Dom ten zbudowano podobno w tym samym czasie, w którym rozbierano stary kościół, mówiło się nawet, że Gildevollen próbował podebrać Schweigaardowi cieśli.

Jehans jeszcze nigdy nie zapukał do drzwi bardziej imponującego gmachu.

Otworzył mu młody chłopak. W ciemności nie sposób było rozpoznać wyrazu jego twarzy. Gościa poprowadzono długim korytarzem, przez niewielki pokój, do izby paradnej i przez nią dalej, do samego salonu, gdzie w kominku trzaskał ogień, a gospodarz siedział przy stole i czytał gazetę w świetle ustawionych po obu jego stronach kopających lamp naftowych.

– Aha – rzucił Gildevollen i wrócił do lektury.

Jehans stał przed nim bez słowa. Usłyszał, że ktoś wchodzi za nim do salonu, ale się nie odwrócił, bo w półmroku i tak nie zobaczyłby, kto to, poza tym wcale nie musiał tego wiedzieć.

Gildevollen czytał dalej. Przerzucił stronę gazety, pochylił się nad nią, po czym w końcu podniósł wzrok na Jehansa.

– Niedawno wybił dziewiątą – oświadczył, wskazując skinieniem głowy stary zegar tykający w kącie.

– Owszem, jest późno – przyznał młodzieniec. – Ale musiałem poczekać, aż będzie ciemno, żeby...

– Aż będzie ciemno? Tylko złodzieje zakradają się ludziom do domu po nocy.

– Chciałem panu coś pokazać – zaczął Jehans. – Na dworze.

Gildevollen wybuchnął śmiechem.

– Przecież wiem, jak wygląda moje własne podwórze. Chyba że przyciągnąłeś tu na smyczy rosomaka i będziesz mi go próbował sprzedać.

– Nie, chcę pokazać coś z oddali – odparł Jehans.

Gildevollen prychnął i zaczął się bujać na krześle, młodzieniec widział jednak, że udało mu się obudzić ciekawość. Gospodarz pogderał jeszcze przez kwadrans – ale tylko na pokaz, by zademonstrować, że nie będzie się zrywał na każde wezwanie nieproszonych gości przybywających późnym wieczorem. W końcu stanęli na podwórzu, na którym maszt flagowy odcinał się jako ledwie widoczna linia między niewyraźnymi konturami ścian i dachów zabudowań.

Wyszło za nimi na dwór wielu domowników, teraz dołączyło do nich jeszcze kilku kolejnych. Byli między nimi najstarsi synowie gospodarza, młodzieńcy, którzy zaczęli między sobą żartować, z domu wybiegła również mała dziewczynka, a ktoś do niej zawołał, że powinna być już w łóżku, i spytał, co to za zbiegowisko.

Jehans wskazał na zbocze doliny.

– Tam mieszkamy – oświadczył. – W Hellorn.

– Czyli chcesz mi pokazać coś w Hellorn. Niech Bóg cię ma w swojej opiece, Jehansie Hekne. Trzeba ci było jechać do doktora w Vålebrua. Nie tutaj.

– Muszę tylko dać sygnał.

– I jeszcze to. A kto usłyszysz, jak krzyczysz, z takiej odległości.

– Sygnał bronią. – Jehans sięgnął po kammerladera. Odwiódł kurek i chwycił mocniej kolbę.

– Zatkajcie lepiej uszy.

Ole Asmund Gildevollen wybuchnął głośnym śmiechem.

– Niezła heca. Nudziłem się, a tu proszę, rozrywka. Poczekaj chwilę. Ej, Oddvar! Powiedz Aud i Odveig, żeby zapaliły lampy i poszły do krów. Żeby nam się nie spłoszyły. Bo tu będzie strzelane!

Jacyś niewidoczni w ciemności ludzie pospieszyli przez podwórze w kierunku obory. Po samych odgłosach trudno było zgadnąć, co się właściwie dzieje. Wrota trzasnęły i światło lamp naftowych zgasło. Jehans sięgnął po słonkę. Ścisnął mu się żołądek.

– No dobra, strzelaj – powiedział Gildevollen.

Jehans pociągnął za spust. Broń wydała z siebie tylko cichy szcęk.

– Cholera – syknął młodzieniec. Sądził, że ludzie zaczną się śmiać, ale wokół panowała głucha cisza.

Miał tak spocone dłonie, że ledwie udało mu się założyć nową słonkę. Kolejny raz wycelował w nocne niebo, pilnując, by lufa nie była zwrócona w miejsce, gdzie mieszkają ludzie. Znow pociągnął za spust.

Nad podwórzem zabrzmiał huk wystrzału. Wszyscy spojrzeli w kierunku, który wskazał im Jehans.

Ciemność pozostawała tak samo ciemna.

– No i? – spytał Gildevollen.

Zachręściła wadmelową tkaniną, ktoś otulił się szczelniej kurtką. Gospodarz chrząknął i mlasnął, zupełnie jakby szukał w ustach odpowiednio kwaśnego komentarza. Jedna z służących powiedziała dziewczynce, że teraz to już naprawdę czas iść do domu i kłaść się spać.

– Nie! – krzyknęła mała. – Chcę popatrzeć na gwiazdki!

– Gwiazdki?

– Tam! I tam!

Jehans uniósł głowę. W morzu czerni zapłonął nagle jasny biały płomień. Zdawało się, że wisi w powietrzu, i zaraz dołączyło do niego kolejne takie samo światło, też jakby unoszące się nad ziemią. Potem zapłonął jeszcze trzeci i czwarty punkcik, wszystkie zarzyły się niczym gwiazdy i, podobnie jak gwiazdom, nigdzie się im nie spieszyło.

Mieszkańcy Gildevollen zaniemówili.

Cztery światła zaczęły świecić z różną mocą, trzy z nich po kolei zgasły, czwarte zaczęło mrugać, a potem wszystkie znow zapłonęły, zaś mała dziewczynka powiedziała, że Jezus musiał już zapalić u siebie tam na górze adwentowe świece, to zaś znaczyło, że zaraz będzie Wigilia.

Lecz Jehans nawet w tamtym kierunku nie patrzył. Odwrócił wzrok ku prawdziwym gwiazdom i pomyślał:

Mamo, czy teraz mnie widzisz?

Następnego dnia Ole Asmund Gildevollen wspiał się do Hellorn, by obejrzeć elektrownię. Był mężczyzną tęgim, miał ze sobą parobka, który dźwigał dwa zawiniątka z kanapkami oraz sześć butelek ciemnego piwa, i musiał sobie po drodze zrobić kilka przystanków. Mgiełka z wodospadu mieszała się z jego potem, gdy kiwał głową, oglądając rurociąg, koło i szopę z prądnicą.

Gildevollen odwrócił się do nich, a Jehans wiedział, kim są w jego oczach.

Chudym chłopakiem i chudą dziewczyną. Z odciskami na dłoniach, w połatanych ubraniach. Minęły dwa lata, odkąd zaczęli porządkować Hellorn, a przez ten czas twarz Kristine stała się bardziej koścista, jej skóra – spalona słońcem, a słowa – zgryźliwe.

– To wszystko jest tylko prowizoryczne – powiedział Jehans, głośno, by przekrzyczeć huk wody. – Rurociąg na razie wystarczy, ale z czasem będzie trzeba pobierać dużo więcej wody.

– Da się załatwić – odkrzyknął Gildevollen. – Trzeba tylko posłać ludzi do roboty. Pociąć drewno na deski i wykuć mocne gwoździe.

Jehans powiedział, że należałoby zakupić turbinę Peltona i marmurową płytę, do której by można zamocować sprzęgła. Ponadto: trzy instrumenty pomiarowe i bezpieczniki.

– Sama prądnica powinna mieć co najmniej dziesięć koni mechanicznych – powiedział Jehans. –

A najlepiej, żeby miała trzydzieści. Możemy zacząć z prądem stałym, bo tak będzie łatwiej i taniej, ale jeśli wielu gospodarzy zechce się podłączyć i zaczniemy zasilać maszyny, będziemy potrzebowali generatora prądu przemiennego. Na świecie to teraz właściwie standard.

– I pociągnąć przewody do wsi?

– Cena za metr jest wysoka, ale w ostatnim roku znacznie spadła. Mamy tu taką stromiznę, że wystarczy właściwie zrzucić przewody prosto do pierwszego słupa we wsi. Tylko trzeba to obmyślić tak, żebyśmy mogli z nich korzystać, nawet jak wymienimy prądnicę. Bo w Lillehammer, jak przeszli ze stu na dwieście woltów, to musieli ciągnąć nowe kable do każdego domu.

– A jaką moc ma elektrownia w Lillehammer? – zapytał Gildevollen.

– Spadek Mesny daje sześć tysięcy koni mechanicznych.

– Co mówiłeś? Odejdźmy trochę od tej rzeki. Nic nie słyszę.

– Powiedziałem, że Mesna daje jakieś sześć tysięcy koni mechanicznych. Z tego na każdej prądnicy wychodzi im jakieś pięćset.

– A ile mają tam prądnic?

– Dwie.

Ruszyli w kierunku Jednoizbówki.

– Jak to wygląda w porównaniu z Breią? – spytał Gildevollen.

– Wody jest mniej więcej tyle samo co w Mesnie, tylko spadek mamy tu większy. W czerwcu pożyczyłem od Schweigaarda zegarek i wyliczyłem ilość wody. Wrzucaliśmy z Kristine szyszki do rzeki i mierzyliśmy czas. Wzięliśmy też taką drewnianą tyczkę, by sprawdzić szerokość i głębokość w czterech miejscach. Naszym zdaniem Breia może dać co najmniej dwanaście tysięcy koni mechanicznych. A jak jest wezbrana, to i dużo więcej. To prawie dość, by zasilać hutę żelaza.

– Hm – mruknął Gildevollen. – Tylko że nie mamy tu żelaza.

– Nie – wtrąciła Kristine. – Ale mamy mleko. A ja mam plany.

Gospodarz pokiwał powoli głową. Byli już prawie na granicy pola w Hellorn, gdzie jego parobek przysiadł na dużym kamieniu. Jehans zrozumiał, że Gildevollen chce z nim porozmawiać w cztery oczy. Zwolnił kroku na ostatnim zboczach, a Kristine poszła dalej.

Przystanęli, spoglądając na wieś. Gildevollen powiedział:

– Widziałem cię wiele lat temu na wodach Løsnesvatnet, Jehansie. Na tej tratwie, którą sam zbudowałeś. Znam Schweigaarda, zdążyłem poznać twojego ojca, twoją matkę znałem całkiem nieźle. Co niedziela słuchałem bicia Siostrzanych Dzwonów, ale po Srebrzystej Zimie już ich nie usłyszałem. Czuję natomiast, że jeden z nich tam jest. Na dnie jeziora. Pod całą tą wodą, którą niesie Breia. No i tyle. To ci chciałem powiedzieć. Chociaż nie, jeszcze jedno. Uważaj, żeby ci się baba nie zaharowała na śmierć.

Dogonili Kristine, a Gildevollen spytał ją o jej plany.

– Zaczniemy sprzedawać ludziom udziały, żeby mieli światło elektryczne – usłyszał w odpowiedzi. – Na przykład pięć lamp w każdym gospodarstwie. Wszyscy zrozumieją, jaka to wartość. Proszę pomyśleć: można pracować w oborze, nie lękając się ognia. Światło jest tak silne, że można zmywać wieczorem naczynia bez obaw, że się nie domyje talerza.

– No tak, zmywanie, obora, to wszystko działa samo z siebie, ale... co z tym mlekiem?

– Proszę pomyśleć o wyrabianiu sera. To wieczna harówka. Pasterkom schodzą na tym w górach całe dni i tygodnie, wszystko robią siłą własnych rąk. Ubijamy masło i kręcimy wirówką, aż nam mdleją ramiona. Musimy mieszać ser, aż całkiem wystygnie, inaczej się robią grudki. Gdy wreszcie przychodzi koniec roboty, jest już środek nocy, my zaś padamy ze zmęczenia. A przecież całą tę monotonną pracę może za nas wykonać prąd.

– Czyli twój plan jest taki, Kristine – zaczął Gildevollen – że chcesz zbudować...

– Mleczarnię. A konkretniej: Mleczarnię Butangen.

– Mleczarnię Butangen?

– W której będę zarządczynią.

– Ale tutaj? W Hellorn?

– Nie, we wsi. Wybierzemy jakiś dom, niekoniecznie dobrze ulokowany. Tartak i młyn muszą

leżeć przy rzece. Ale prąd płynie i w górę, i z góry, poza tym potrafi zakręcać. Dlatego taka zasilona prądem mleczarnia może sobie stać gdziekolwiek. Na pewno da się wynająć jakiś stary budynek w jednym z majątków. Muszę mieć dwie duże izby, które się da utrzymać w czystości. I tyle.

Gildevollen odrzekł:

– Prądnicę się da załatwić. Czy to z prądem stałym, czy przemiennym, to nie ma znaczenia. Przekonam co najmniej sześciu gospodarzy, może nawet dziesięciu. Ale mleczarnia? Tu nie mam pewności. To by trzeba było przeliczyć.

– Nie musicie liczyć za długo – powiedziała Kristine. – To będzie coś zupełnie innego. Dziewczyny na górskich pastwiskach muszą przynosić wodę ze strumienia i lać ją chochlą na masło, kiedy chcą je wystudzić. A w elektrycznej mleczarni da się pompować zimną wodę, ciepłą zresztą też. W naszych górskich warzelniach palimy osikowym drewnem i cały czas musimy pilnować, by wszystko nam się równo nagrzewało, same się tak pocimy, że aż trudno wytrzymać. A w elektrycznej mleczarni? Wystarczy przekręcić gałkę, żeby wszystko sobie stopniowo regulować i wybierać taką temperaturę, jaka będzie potrzebna.

– Mleczarnia jest naszym warunkiem – wtrącił Jehans.

– Ależ moi drodzy – powiedział Gildevollen. – Samo światło... to postawi całą wieś na głowie. Ludzie muszą przywyknąć do zmian! Ale dobrze. Możemy to przedyskutować.

– I jeszcze jedno – powiedział Jehans. – Jeden gospodarz nie będzie miał od nas prądu.

Gildevollen zarechotał.

– Zrobi nam piekło. Będzie nagłasniał każdy najmniejszy błąd, obgadywał nas, ile wlezie, i jeszcze inni zaczną marudzić.

– I dobrze, niech marudzą.

Gildevollen otarł pot z czoła przedramieniem.

– Dobrze. A więc postanowione. Musimy założyć coś w rodzaju spółki udziałowej, ja będę prezesem. Trzeba tym zarządzać od początku, bo inaczej stracimy kontrolę. Najważniejsze, żeby pierwszym majątkiem podłączonym do prądu we wsi było Gildevollen. Pierwszy kabel musi zostać pociągnięty do nas, do lampy, którą zamontujemy na podwórzu, żeby inni zaczęli nam zazdrościć. Może to i niskie, ale zadziała. Mój najstarszy chłopak musi zacząć myśleć w szerszych ramach. Jego synowie powinni doceniać wartość nie tylko systematycznej pracy, ale i odwagi w podejmowaniu decyzji. Chcę, żeby później mógł im opowiadać, jak to Gildevollen było pierwszym zelektryfikowanym gospodarstwem w Butangen. A potem będzie pierwszym, które... zobaczymy. Może pierwszym z elektryczną kosiarką. A potem jeszcze czymś innym, o czym może nawet jeszcze nie słyszeliśmy.

Kristine przytaknęła.

– Ale pierwszym zelektryfikowanym gospodarstwem w Butangen było Hellorn.

Jehans zerknął na nią szybko.

– Hm – mruknął Gildevollen. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej grudkę tytoniu. – Faktycznie, dobrze mówisz. – Spojrzał na ich kozę, która wyciągała właśnie szyję, by sięgnąć do listków jarzębiny. A potem na mizerne kury grzebiące w ziemi za kamienną obórką. – Po prawdzie tak było. Pomysł był wasz i pierwsza żarówka zaświeciła właśnie tutaj. Ale w takim razie nie wiem, czy...

Jehans zdusił w sobie przekleństwo.

– To się da załatwić – powiedziała Kristine. – Hellorn nigdy nie będzie wielkim majątkiem. To właściwie takie bardziej mieszkanie zarządcy z małym poletkiem i kilkoma zwierzętami. Jehans od początku chciał zamontować tu prądnicę. Więc możemy mówić, że od dnia, kiedy zabłysła tu pierwsza żarówka, Hellorn jest stacją, a nie gospodarstwem. Nie podłączymy tu prądu, aż wszystko będzie gotowe. Wszyscy zapamiętają, że pierwszym zelektryfikowanym majątkiem w Butangen było Gildevollen. Ale w takim razie musimy tu mieć elektrownię. I musimy otworzyć mleczarnię.

Spółka elektryczna Butangen została powołana do życia dwie soboty później i tego samego wieczora wyprawiono pierwsze z wielu przyjęć jubileuszowych, by uczcić jej pierwszą godzinę. Toast wznosił prezes zarządu Ole Asmund Gildevollen. Oprócz niego kieliszki za stołem w paradnej izbie chwycili Jehans, Kai Schweigaard oraz gospodarze z Norddølum, Sylte, Romsås, Spangrud i Fjellstad.

Kilka godzin przed przyjęciem zeszło ośmiu pionierom na snuciu ambitnych planów. Jehans był

strasznie zdenerwowany, ale zdołał to ukryć, prezentując robocze szkice i wyliczenia. Opowiedział o elektrowni przy Mesnie, dodając, że Breia daje jeszcze większe możliwości.

Zapadła cisza. Gospodarze spojrzeli po sobie.

– Możemy mieć więcej mocy niż w Lillehammer?

Jehans powiedział, że tak. Znacznie więcej.

– Więcej niż w mieście?

Przy stole pokiwano zgodnie głowami i podjęto uchwałę o budowie elektrowni.

– No i świetnie – stwierdził Ole Asmund Gildevollen. – W mieście zbudowali przędzalnię, ale to nie jest istotne. Najważniejsze, że nasza rzeka ma więcej koni mechanicznych niż rzeka w Lillehammer. To powinno zostać podkreślone. Najlepiej w gazecie.

Wstał gospodarz z Norddølum.

– Myślę teraz o wszystkich, którzy żyli tu przed nami. Którzy harowali, szykując ziemię pod uprawę. A tutejsze zbocza są tak strome, że musieli się przytrzymywać, wykopując korzenie i głązy, przeklinając tych, którzy mieli szczęście i przypadły im kawałki pól na równinach. Ale teraz, teraz w końcu się nam opłaca, że mieszkamy na zboczu doliny.

– Im stromiej, tym lepiej – dorzucił gospodarz ze Spangrud. – Nie sądziłem, że kiedyś to powiem.

Kai Schweigaard wstał i powiedział, że już jakiś czas temu zaczął archiwizować gazety. Poprosił stolarza, żeby zrobił mu na strychu półki, i w tej właśnie systematycznie gromadzonej i rosnącej do niebezpiecznych rozmiarów bibliotece udało mu się znaleźć wiele artykułów opisujących, jak wykorzystuje się prąd na wsiach. Pastor dodał, że z całego serca wspiera plan budowy mleczarni.

– No tak – rzucił któryś z gospodarzy. – Ale do takich decyzji nie powinno się dopuszczać bab.

– To by trzeba było usiąść i pomyśleć – zawtórował mu ktoś inny. – Mleka nam tu nie brakuje, ale nie sposób go sprzedawać, skoro nie mamy dobrych połączeń z Fåvang i Lillehammer. Drogi są tak wyboiste, że można wyjeżdżać ze śmietaną, a dowozić do celu masło.

– Ale o to właśnie chodzi – rzekł Jehans. – Ser i masło łatwiej transportować i sprzedawać za dobrą cenę. A prąd mamy przecież za darmo! Dzięki niemu możemy produkować towary na sprzedaż dużo bardziej wartościowe niż samo mleko. Tak trzeba myśleć. Istnieją nawet elektryczne maszyny, które przędzą i tkają. Więc zacznijmy zamiast wełny sprzedawać gotowe ubrania!

Zapadła cisza i z początku Jehansowi zdawało się, że gospodarze skonsternowani są jego przejściem od uniżonego „wy” dzierżawcy do równościowego „my”. Ale to nie zaimki ich wystraszyły, lecz jego śmiałe plany.

– I znów to przedzenie. A przecież dzierganie i ubijanie masła jest babską robotą. Taką, co sama się robi.

– Ale teraz możemy kobietom tę pracę ułatwić – powiedział Jehans. – Pomyślcie, ile czasu się zaoszczędzi, nie będzie już trzeba się męczyć i robić wszystkiego ręcznie!

– Tylko czy to dobry pomysł? – odezwał się najtęższy z gospodarzy. – Baby i tak człowiek nie zrozumie, ale można ją zagonić do roboty. Żeby zajęła się krową, mlekiem, jedzeniem. Tylko tak da się nad nią jakoś zapanować. Bo jak baba ma za dużo czasu, to zaczyna marudzić i szukać dziury w całym, a wtedy już w ogóle nie sposób cokolwiek zrobić.

– Coś w tym jest – stwierdził inny mężczyzna.

– Wszyscy tego doświadczyliśmy i wiemy, jaki to koszmar.

– Mleczarnia brzmi może niegłupio, ale co nam po niej z takimi kiepskimi drogami.

Mężczyźni zaczęli mamrotać, w ich głosach dało się wyczuć pewną niechęć, a Ole Asmund Gildevollen wykonał mądry ruch, prosząc służące, by przyniosły kieliszki i nalały im solidne porcje brandy, żeby jakoś wytrzymać do samego przyjęcia.

– No dobrze! Starczy już tych papierów i gadaniny – stwierdził gospodarz z Romsås.

– Musimy uzgodnić kwestię mleczarni – zaoponował Jehans.

– Ech, nie – westchnął właściciel Sylte. – Zostawmy to na razie. Już późny wieczór.

– Przełożmy tę decyzję.

– Tak!

– Zgadzam się! Do stołu! W izbie paradnej już nakryto – powiedział Ole Asmund Gildevollen.

– Wypijmy za Breię! – wykrzyknął Arne Fjellstad.

– Dobrze – odrzekł Ole Asmund Gildevollen. – Najpierw jednak może wypijmy zdrowie Jehansa Hekne.

– Dziękuję – powiedział Jehans. – Ale... – dodał, nieco ochryplym głosem – najpierw wnieśmy toast za tego, od kogo wszystko się zaczęło. Tego, który kupował książki o sztuce inżynierskiej do biblioteki na plebanii. Chciałbym... żebyśmy wszyscy wypili zdrowie Kaia Schweigaarda.

– Tak! – zakrzyknął gospodarz z Fjellstad i wałną pięścią w stół. – Dobrze chłopak mówi! Zdrowie naszego pastora! Zdrowie Kaia Schweigaarda!

Mężczyźni nie zainteresowali się przystawkami, przechodząc od razu do pieczeni wołowej, którą podano w obfitości. Służące natychmiast dołąły im lepszego piwa z browaru w Lillehammer, a gdy półmiski były już puste, przyszedł czas na kawę i pudding karmelowy, wokół stołu zaczęło krążyć pudełko cygar Sorte Mand, do kieliszków zaś lano nierozsądne ilości tokaju, aż w końcu Schweigaard i Jehans pożegnali się, mówiąc, że mają następnego dnia dużo pracy, co w przypadku pastora faktycznie się zgadzało, bo był przecież sobotni wieczór. Schweigaard rzucił na pożegnanie, że spodziewa się zobaczyć w kościele pełen skład zarządu spółki, ale zostało to chyba odebrane jako żart. Gdy Kai i Jehans ubierali się w sieni, dochodziły do nich z izby paradnej odgłosy kolejnych toastów i otwieranych butelek.

W wieczornych ciemnościach rozlegało się za to parskanie konia i poskrzypywanie uprzęży. Powóz pastora wjechał na podwórze, choć Jehans bardziej go słyszał, niż widział.

– Zaczekaj – zwrócił się do niego Kai Schweigaard, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Nie idź jeszcze. Przejedziemy się po wsi.

Rozmowa im się nie kleiła. Wymieniane przez nich zdania nie wznosiły się ponad to, co oczywiste i błahe, zupełnie jakby mieli się wspinać na wielką górę, ale pokonywali tylko kilka metrów, zsuwali się ze skały i próbowali ją atakować od innej strony, lecz i wtedy spadali. Usiłowali w ten sposób gawędzić, aż dojechali do plebanii, a Jehans dał do zrozumienia, że chce wysiąść.

– Nie, zostań – poprosił Schweigaard. – Podwiozę cię na miejsce.

Kawałek dalej droga była tak zła, że woźnica musiał zsiąść z kozła i prowadzić konia za uzdę, oni mogli więc porozmawiać swobodniej.

– Tak sobie ostatnio myślałem o Victorze – powiedział pastor. – Pisał może do ciebie?

– Nawet jeśli, to ja żadnego listu nie dostałem. A ty?

– Nie. Nic. Sam pisałem do niego kilka razy, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

– Chyba nam przepadł na dobre.

– Nie jesteś go ciekaw? Jak się miewa? Co teraz robi?

– Owszem. Chyba trochę jestem. Tak jakby czuję, że jest w nim coś wyjątkowego. Ale nie wiem co.

– Może poprosisz go, żeby tu przyjechał? – spytał Schweigaard. – Myślę, że wtedy przyjedzie.

Jehans wykonał w ciemnościach jakieś niejednoznaczne gesty, a gdy pastor powtórzył pytanie, powiedział, że nie. Nie ma zamiaru zapraszać Victora.

Po chwili zawołał do woźnicy, że są już na miejscu.

– Skąd wiesz, że to już tutaj? – spytał Schweigaard. – Ja nigdy nie potrafiłem trafić tu w ciemnościach.

– Słucham szmeru strumienia – odparł Jehans. – On zakręca w ten sposób, że najpierw go słychać, potem dźwięk znika za lasem, ale po chwili znów się rozlega. I wtedy ma się ścieżkę do Hellorn po lewej stronie.

– To się teraz skończy – powiedział Schweigaard. – Elektryczność odbierze nam te umiejętności poruszania się w ciemnościach. Ale coś musi umrzeć, by mogło wyrosnąć coś innego. Tego zdążyłem się nauczyć.

Wysiedli z powozu. Woźnica odprowadził konia trochę dalej, by móc zawrócić, zostali więc na chwilę sami.

– Jeszcze jedno – powiedział Kai Schweigaard. – Zapisałem się na siedem lamp elektrycznych.

– Ach tak?

– To ty je zamontujesz. Trzy na plebanii i trzy w kościele. Ale jedna lampa ma stać na dworze.

Przy ścianie świątyni.

– Nad drzwiami?

– Nie, nie tam. Nie wiem do końca, jak to powiedzieć, ale Astrid, to znaczy twoja matka...

Obaj odchrząknęli.

– Jak wiesz, marzyła, by odwiedzić miasta z lampami gazowymi. Takie, w których ludzie mogli wychodzić na wieczorne spacerunki i widzieć wszystko wokół siebie.

Znów odchrząknęli. Woźnica zawrócił konia i znów się do nich zbliżał. Uprząż chrzęściła.

Schweigaard powiedział:

– Coraz częściej się zastanawiam, czy istnieje życie po śmierci. I coraz bardziej też wierzę, że zmarli są tu, by służyć nam za przewodników. Dlatego chciałbym... jakoś to pokazać. Zamontujesz lampę na ścianie nowego kościoła. Jej światło przewycięży mrok i będzie padało na cmentarz. Bo wiesz przecież, czyj tam stoi nagrobek.

Sam idź do obory, panie Gildevollen

Kolejnych pięć lat przyniosło w Butangen więcej zmian niż poprzednie półwiecze. Elektrownia ruszyła już rok później. Pomimo wielu prowizorycznych rozwiązań napięcie było stabilne. Żaden dom się nie spalił. Żaden kot nie przegryzł przewodów. Wszystko po prostu działało. Noc za nocą, miesiąc za miesiącem. Światło w kolejnych domach. Światło nad starym, zadbanym grobem.

W roku 1908 zelektryfikowanych zostało osiemnaście majątków. Breia mogła dać prąd im wszystkim.

Z wyjątkiem Hekne.

Osvald robił sceny i protestował, twierdząc, że rzeka nie należy przecież do Jehansa, co było prawdą, bo nikt nie mógł nazwać się właścicielem płynącej w niej wody, ale pod dyskusję poddano nowe pojęcie, a mianowicie „własność spadku wodnego”. Osvald nie chciał przyjąć tego do wiadomości, miotał oskarżenia i groźby, ale potem nagle stwierdził, że jednak wcale nie jest zainteresowany prądem, da sobie radę bez niego, i wręcz zaczął rozpuszczać plotki, że elektryczność ogłupia ludzi.

Schweigaard trochę się z tego podśmiewał. Zaczął zauważać, że wzrok mu się trochę pogarsza, a za każdym razem, gdy wyciągał rękę w stronę bakelitowego przełącznika przy drzwiach gabinetu i go przekręcał, jego myśli biegnęły do Jehansa. Często też ogarniał go smutek, bo rozumiał, że kończą się stare czasy, a wraz z nimi jego niepodzielne niemal i niekwestionowane panowanie jako wiejskiego proboszcza. Może ten smutek wynikał też z faktu, że nie mógł zapomnieć słów wypowiedzianych przez Ingeborg.

Że Tkanina z Hekne pokazywała, jak umrze pastor z Butangen.

Być może były to słowa nieprzemyślane, narodzone z dawnych zabobonów, ale Kai Schweigaard myślał o dawnych zabobonach coraz częściej, zwłaszcza nocami. Dlatego też pierwszymi przedmiotami, które obejrzał uważnie w świetle elektrycznej żarówki, nie były wcale książki, lecz poduszki siostr Hekne. I tak oto pozwolił im ujrzeć nowy czas, w nadziei, że wydobędzie od nich w ten sposób jakąś wskazówkę, gdzie można szukać samej Tkaniny.

Poduszki jednak milczały.

I nawet jeśli nie spał nocą zbyt dobrze, poranne słońce prędzej czy później zawsze wstawało, a jego zmartwienia na chwilę bladły. Elektryczność sprawiła, że wieś pragnęła coraz więcej, Schweigaard również miał swoje udziały w tych pragnieniach. W lesie wyrąbano więc korytarz, nad mokradłami ustawiono słupy i pociągnięto linię telefoniczną. Numer Butangen 1 przydzielono aparatowi na plebanii, zaś temu w Gildevollen – Butangen 2. Słupy wydzielaly silną woń kreozotu, utrzymywała się ona przez lata i wryła w pamięć wszystkich mieszkańców wsi. Za każdym razem, gdy mijali potem w życiu jakiś słup, myśleli sobie, że tu, tu właśnie pachnie telefonem.

Snuto coraz to nowsze plany. Najważniejszym z nich było doprowadzenie do porządku drogi do Fåvang, co było robotą na wiele lat. Mimo to puls wsi bił już bliżej sąsiadów niż wcześniej. Odkąd ktokolwiek pamiętał, Butangen, z uwagi na swoje położenie, było osobną parafią, od początku posługi Schweigaarda podlegało jednak pod okręg Ringebu. Mimo to wieś na ogół zarządzała się sama, bo drogi były tak kiepskie i kręte, że decyzje władz nie zawsze tu docierały. Teraz jednak do rady okręgu wybrani zostali aż trzech mężczyźni z Butangen.

Do pani Bressum niewiele z tego wszystkiego docierało. Starość coraz bardziej mieszała jej w głowie, biedaczka skarżyła się na szумы w uszach, a na plebanii właściwie już tylko cerowała skarpety i parzyła kawę. Potrafiła jednak przemieszczać się z zadziwiającą zwinnością i gdy pastor przyjmował gości, trzeba ją było zamykać w jej sypialni z butelką wina jabłkowego. Poza tym spędzała większość czasu w kuchni, za elektrycznością nie przepadała, zwłaszcza zaś nie lubiła kuchennego gniazdka, bo bała się, że prąd może wylać się z niego na podłogę.

Naprawdę wielką zmianę przyniosły jednak nie elektryczne urządzenia i przewody, lecz nowy sposób myślenia. A ten z kolei przyniosła do wsi Kristine Messelt. Okazało się bowiem, że moc prądu bladła wobec tego, co potrafiła dać z siebie ta kobieta w obliczu ciągłego odwiekania decyzji o budowie

mleczarni.

Historia, którą potem opowiadano, była z pewnością nieco podbarwiona, bo wydarzenia nie mogły być tak idealnie zgrane w czasie, a ton rozmowy – tak ostry, ale wiejskim plotkarzom to nie przeszkadzało. Powiadano więc, że ludzie w Gildevollen dopiero co zdążyli się przyzwyczaić do prądu i światła, gdy nagle znów zapadły ciemności. We wszystkich izbach zapanowała konsternacja. Gdy Ole Asmund Gildevollen w końcu zapalił lampę naftową lampę schowaną, jak sądził, już na zawsze, okazało się, że w jego domu pojawił się nieproszony gość. Z półmroku wystąpiła kobieta, oświadczając, że doszło do naruszenia umowy. Była to Kristine Messelt. Powiedziała, że Spółka Elektryczna Butangen zobowiązała się pomóc jej znaleźć budynek, w którym ruszy mleczarnia. Nie, to nie był żaden warunek, zaprotestował Gildevollen. Spółka miała to przedyskutować. A oni, to znaczy Jehans i Kristine, pobierają przecież z działalności elektrowni całkiem spore prowizje.

Ole Asmund Gildevollen wcale nie chciał robić trudności, wytknął tylko to, co wydało mu się oczywiste i co powinien był właściwie wytknąć już gdy przedstawiono mu pierwotny plan: krowy były przecież latem na górskich pastwiskach? I tylko latem dawały mleko?

Kristine była najwyraźniej przygotowana na te obiekcje i odrzekła pospieszenie:

– A owszem. Ale proszę pomyśleć. Łatwiej odbierać mleko z pastwisk i posyłać je tutaj, niż kazać pasterkom siedzieć w chatkach i męczyć się z wyrabianiem serów czy ubijaniem masła. Niech więc pasterki zbierają mleko w czystych cebrzykach. Oznaczonych nazwą gospodarstwa. A potem o stałej porze zostawiają je w specjalnych budkach. Ktoś będzie jeździł po pastwiskach i je zbierał. Jak się ma konia, to można zjechać do wsi w godzinę.

– Mielibyśmy zwozić mleko z górskich pastwisk? – wykrzyknął Gildevollen. – Ależ to stawia wszystko na głowie! Pasterki nie będą miały nic do roboty! Zaczną się lenić, stroić i przyjmować po chatkach zalotników.

– Sam idź do obory, panie Gildevollen, i się przekonaj. Zobacz pan, jak bolą ręce po dwóch godzinach dojenia krów co rano. A potem zabierz się pan do roboty w warzelnii. A potem znów dwie godziny dojenia. I tak przez kilka tygodni.

– To wcale nie takie łatwe. Ludzie są tu ubodzy, ale i ubogim należy się jakaś robota. Może i nie wszyscy opływamy w bogactwo, ale każdy ma w co włożyć ręce. Sama pomyśl, Kristine Messelt, skąd ty tu do nas przyszałaś!

– Możesz pan być pewien, że o tym pomyślałam. Nikt nie zostanie bez pracy. Tyle tylko że będziemy w stanie zrobić więcej. I to się zmieni już teraz. Bo inaczej przyjdzie ktoś inny i wyłoży komuś innemu te same plany co teraz ja panu. I ten ktoś inny się zgodzi.

Światło wróciło.

– Mogę je wyłączyć z powrotem – oświadczyła Kristine.

A przynajmniej tak twierdzili plotkarze. Pewnie przesadzali, zachwyceni tym, co zrobiła dziewczyna. Kristine najprawdopodobniej udała się do Gildevollena razem z Jehansem, bo było przecież nie do pomyślenia, by uboga kobieta weszła nieproszona do domu bogacza i tak go obsztorcowała, lecz pewne było to, że na koniec podała mu kartkę zapisaną równymi rzędami liczb uwzględniających cenę skupu mleka, sprzedaży sera i masła oraz raty pożyczki do spłacenia. W prawym dolnym rogu widniała kwota czystego zysku po dwóch latach prowadzenia mleczarni, podkreślona dwiema zamaszczonymi kreskami.

– Z czasem przyłączy się więcej gospodarstw. Wtedy to ja im będę płacić od litra mleka, a panu uiszczać czynsz – powiedziała Kristine. – I zacznę sprzedawać ser, masło i śmietanę. Tutaj i w Fåvang. Mój własny ser.

Mleczarnia Butangen została otwarta w roku 1909, Kai Schweigaard jako jeden z pierwszych zaczął kupować jej masło. Dostali do użytku niewielką stodołę pod kamienistym zboczem, a pastor musiał gryźć się w język, gdy Kristine pokazała mu „halę produkcyjną” – była zbudowana z heblowanych desek i wyglądała mało profesjonalnie, jak to stodoła. Ale panowała tu czystość jak w żadnej warzelnii na żadnym górskim pastwisku, z sufitu zaś zwisały cztery żarówki o dużej mocy. Najważniejsze były jednak ustawione w rzędzie urządzenia – dwa z nich odkupione, reszta skonstruowana własnoręcznie z pomocą wiejskiego kowala – chłodziarka, pasteryzator, separator do

mleka i podgrzewacz. Kristine odbierała mleko z trzech gospodarstw, najbardziej zadowolona była zaś z tego, że zapewniła sobie obfite i regularne dostawy mleka od kóz.

Hałę wypełnił wkrótce monotony szum zdający się dobiegać ze ścian i podłogi, a to dlatego, że skromny budynek miał pod sufitem zawieszoną długą żelazną oś, która nieustannie się obracała. Dzięki dźwigniom i pasom, które dało się napinać lub luzować, można było podłączać do niej poszczególne maszyny, w zależności od potrzeby.

Schweigaard rozpoznawał w tym wszystkim rękę Jehansa. Zupełnie jakby rozkładał jeden ze szkiców technicznych, które jego podopieczny sporządził jako mały chłopiec.

– Proszę zobaczyć – powiedziała Kristine, pociągając za dźwignię i podłączając w ten sposób do prądu separator. Szum zmienił nieco częstotliwość, po chwili zawtórował mu szmer samej maszyny.

Oto była ona, moc Brei. Moc deszczu. Moc stromych zboczy. Dziewczyna zastępowała nią swoją dotychczasową robotę pasterki, ani przez minutę nie tęskniąc do minionych czasów.

Mleczarnia dopiero co została otwarta, a ona już mówiła, że jeszcze wiele przed nimi. Trzeba będzie wybudować osobny lokal z wylewaną podłogą i większymi oknami. Prawdziwą mleczarnię z elektrycznym systemem chłodzącym. Oto czego chcieli.

– A Jehans? – zapytał Schweigaard. – Jest tutaj?

– A nie, pojechał do Tretten. Poprosili go, by pomógł przy uruchomieniu tamtejszej elektrowni.

I tak jak w szumie wypełniającym izbę było coś niepokojącego, pastorowi udało się także wychwycić w jej głosie jakąś podejrzaną nutę. Wypowiedziała te słowa nieco zbyt szybko, przysły jej one trochę za łatwo, jakby cieszyła ją wolność i to, że sama może się skupić na swoich sprawach.

– Proszę spojrzeć, pastarze.

Wcisnęła funt masła do foremki i odstawiła je do chłodzenia. Te formy wyciął dla niej Adolf, miały wyżłobiony wzór kwiatu róży, tak że kostki masła wyglądały po wyjęciu niczym szkatułki na kosztowności, tyle że miały na górze jeszcze znak krzyża, zgodnie ze starym pasterskim zwyczajem.

– To cieszy oko, a nic kosztuje – powiedziała Kristine.

Schweigaard nigdy nie próbował lepszego masła. Choć czuł w nim gorzki posmak nieszczęśliwego małżeństwa.

Do tej pory nie zdołał w pełni rozgryźć Kristine, ale teraz zaczął w niej rozpoznawać niezłomną wolę Astrid Hekne i doszedł do wniosku, że taka synowa zadowoliliby nawet tak wymagającą kobietę jak ona. Niezwykła moc Kristine wysadzała w powietrze wielkie, niewidzialne góry, a Astrid stanęłaby zapewne w jej obronie, nawet jeśli dziewczyna przedkładała swoje własne szczęście nad szczęście Jehansa.

Czy tych dwoje będzie miało dzieci, czy też nie – Astrid mogła powiedzieć z zaświatów, że oto odwrócił się bieg dziejów.

Dzięki elektryczności i grudce masła.

Na wiosnę roku 1911 Schweigaard zaczął dostrzegać coraz więcej znaków, że małżeństwo Jehansa i Kristine się wali. Przenieśli się do wsi, wydzielili w budynku mleczarni dwie izby i urządzili sobie w nich mieszkanie, w Hellorn zaś osiadło małżeństwo, które wróciło z Ameryki. Kristine skupowała mleko od kolejnych gospodarzy. Najęła sobie do pomocy Adę Borgen i Topielcową, a Jehans coraz częściej wyjeżdżał z Butangen do pracy. W Gudbrandsdalen pełno było stromych zboczy, a każda jedna wieś chciała teraz otwierać własną elektrownię. Jehans nie miał wykształcenia, lecz mimo to był rozchwytywany, ludzie chcieli, by to on wspinał się na szczyty wodospadów i sondował pędzące rzeczne nurty. Z czasem Jehans stał się prawą ręką doświadczonego, cierpiącego na reumatyzm inżyniera, który słał go do pracy, gdy sam nie mógł wykonywać rysunków technicznych nad brzegami rzek z uwagi na panującą tam wilgoć. Jehans Hekne dyrygował budową i stawianiem słupów energetycznych, a z czasem również wysadzaniem skał dynamitem. Przez większość dnia chodził przemoczony i coraz częściej spotykał starych ludzi, którzy śmiali się na jego widok, mówiąc, że przypomina mityczne stworzenie zwane rybownikiem, który skakał na czterech łapach i zaganiał ryby na tarliska.

Gdy Kai Schweigaard – co zdarzało się rzadko – widywał Kristine i Jehansa razem, dochodził do wniosku, że nie są już tamtą parą z Hellorn. Stali się współnikami, zgranymi partnerami, ale nie sposób było wyobrazić ich sobie jako rodziców. Po kilku zaledwie latach wyprowadzili się z gospodarstwa,

w które włożyli tyle pracy, że nikt inny nie miałby serca go opuszczać. Oboje byli bardzo niezależni, zbliżali się do siebie tylko na krótkie chwile, a potem znów biegli do swoich spraw.

Pastor znajdował pociechę w rodzinie Røhme, liczącej sobie już teraz pięcioro członków, gdyż pani Røhme w odstępie zaledwie dwóch lat urodziła dziewczynkę i jeszcze jednego chłopca. Także u nich zainstalowano elektryczność, mały Simen był już w wieku, w którym można było zacząć naukę czytania, a Kai przesiadywał u niego, radując się pojętnością chłopca, szybko przyswajającego kolejne litery. Kiedy pilny uczeń kładł się już spać, Kai człapał z powrotem do swojego skrzydła domu, gdzie było bardzo cicho i zbyt szybko opadało go zbyt wiele zmartwień.

Pastor nadal wysyłał do Victora Harrisona listy każdego lata i na każde Boże Narodzenie, opisując wydarzenia we wsi i chwając kolejne dokonania Jehansa.

Jak na razie nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Wysoko jak bicie dzwonów

Victor Harrison zaglądał w otchłań warkotu, turbulencji, zapachu benzyny, tryskającego oleju i spalin. Silnik zwiększył obroty, zmieniając śmigło w szare, pozbawione substancji koło z czarnym punkcikiem pośrodku.

Zupełnie jak krąg wody wokół opadającego na dno kościelnego dzwonu.

Tamtego dnia.

Samolotem, przed którym stał, był Blériot XI-2, a ojciec powiedział mu, że jeśli faktycznie zaczniesz się czymś takim zajmować, będzie to niezbity dowód na jego szaleństwo. Prawdziwe szaleństwo.

– I to ty, Victorze, ty?! Do reszty postradałeś zdrowy rozsądek? Masz obowiązki! Wobec Finlaggan, wobec plantacji!

Cyrus Harrison opadł na fotel.

– Obaj umrzemy, Victorze. Ty, gdy ten twój samolot spadnie, a ja na zawał, jak mi o tym powiedzą.

Victor zmierzył ojca wzrokiem. Zobaczył starzejącego się, śmiertelnie wystraszonego człowieka.

Ale jego decyzji nic nie było w stanie cofnąć, bo on dawno temu postanowił. Latać? Oczywiście, że będzie latać! Ta potrzeba wybuchła w nim jak płomień, który zdążył już zmienić się w pożar. Czuł, że jeśli nie podaży za marzeniem, wszystko w jego życiu straci sens, już miał wrażenie, że jest spóźniony, widział na horyzoncie nadciągającą ciemną chmurę rozczarowania. Dlatego musiał wzbić się pod niebo, dlatego kupił ten samolot, dlatego tu teraz stał.

Przed gmachem Szkoły Pilotów Louisa Blériota we Francji, z widokiem na Pireneje. Instytucja ta mieściła się właśnie tutaj, bo była to najmniej wietrzna część kraju. Kurs miał właściwie trwać dwa tygodnie, ale Victor spędził ich tu już trzy, właśnie z uwagi na złą pogodę. Przy silniejszym wietrze uczniom zabraniano latać, samoloty były bowiem maszynami tak czułymi, że jeden mocniejszy powiew mógł sprawić, że niewyćwiczony pilot straci kontrolę nad sterami.

Dlatego też: żadnych gwarancji, *monsieur* Harrison, całość płatna z góry, *aviateur* Harrison. Dwadzieścia osiem tysięcy franków za XI-2, *oui*, i trzy tysiące za sam kurs, *bon*.

I oto stał tu przed nim. Jego własny samolot. Zaledwie osiem lat po tym, jak w powietrze wzlecieli bracia Wright.

Owszem, kosztował majątek. Za tą kwotę mógł wznieść piękny nowy budynek mieszkalny w Finlaggan. Ale co oznacza kilka tysięcy franków wobec tego dotknięcia boskości? Skrzydła samolotu przywodziły na myśl budowę ciała ptaka, siedziało się w nim wysoko i miało dobry widok, maszyna była ponadto dosłownie lekka jak piórko, jej sucha masa nie przekraczała trzystu pięćdziesięciu kilogramów metrycznych. Pilot siedział w podłużnej drewnianej skrzyni, tuż za trzycylindrowym silnikiem o mocy całych dwudziestu pięciu koni mechanicznych. Skrzydła wykonano z żółtego niczym pergamin płótna żaglowego naciągniętego na kunsztowną ramę z jesionowego drewna, za plecami pilot nie miał zaś właściwie nic, jeśli nie liczyć cienkich drewnianych listewek prowadzących do steru ogonowego, który można było w pewnym stopniu kontrolować za pomocą dźwigni i przewodu ze stalowego drutu. Konstrukcja, owszem, elegancka, lecz francuska, bo po bliższych oględzinach blériot okazywał się poskładany z nie zawsze pasujących do siebie elementów. Każdy z instrumentów wykonany został przez innego producenta i miał inną wielkość. Zegar był standardowym biurkowym jaegerem, który trzeba było nakręcać przed każdym lotem, obok niego zaś zamontowano zupełnie zwyczajny termometr okienny.

W poprzednich dniach pozwolono mu kilka razy wznieść się w powietrze i pierwsze, czego Victor doświadczył, było to, że silnik nie ma zbiornika, do którego odprowadzany byłby olej – a stosowano jakiś tłuszcz roślinny, który straszliwie pryskał, Victor przyzwyczaił się więc, że musi nieustannie przecierać gogle wierzchem skórzanej rękawiczki, by w ogóle cokolwiek widzieć. Przy kolejnym locie zablokował się zawór spustowy i zarówno samolot, jak i pilot byli cali umazani gorącą, tłustą mazią. Instruktor śmiał się serdecznie i przestrzegł Victora, by lepiej tego tłuszczu nie zlizywał

z warg, bo to rodzaj oleju zwany rycynowym i wystarczy połknąć kropelkę, a zaraz trzeba łądować i opróżniać kiszki.

Mimo to młody Anglik czuł spokój. Po raz pierwszy od wyjazdu z Butangen.

Kilka miesięcy po powrocie do domu z Drezna wyjechał na Cejlon i spędził tam dwa lata. Dwa lata czerwonego pyłu, porannych chłódów i zielonych gór. Kumara zorganizował drużynę, która wypaliła porębę i kawałek buszu, by zwiększyć powierzchnię plantacji, zainstalowała nowoczesny sprzęt do suszenia herbaty, a także – co najważniejsze – postawiła porządne chaty, w których nie przeciekały dachy. Victor niszczył ubrania, dużo palił, wieczorami pił więcej niż zwykle i harował zlany potem. A gdy w końcu herbaciane krzewy zaczęły kiełkować, pomyślał: Zrobiliśmy to wszystkim własnymi rękoma.

Kumarze znów zaczęła dokuczać stara rana. Najmłodszy syn przejął od niego obowiązki, zaś Victor powiedział: „Pojeżdż znów ze mną do Anglii. Jeśli chcesz, to już na dobre”.

Po powrocie do Finlaggan doprowadził do porządku pastwiska na skraju majątku. Wypalił wrzosa na najwyższych wzgórzach, a pardwy wróciły na tereny łowieckie z widokiem na Cheviot Hills. Victor mijał galerię cieni, nie patrząc w oczy piętnastoletniego chłopaka, którym kiedyś był. Szedł dalej, przed siebie, niczym wieczny gość w swoim własnym domu.

Obiady z ojcem upływały na codziennych rozmowach. Victor słuchał pochwał, za to, że „tyle udało się zrobić!”, „mądrze to rozwiązałeś, mój chłopcze”. „Lecz nie zapominaj, o innych łowach, Victorze – dodawał zawsze senior rodu. – Musisz znaleźć sobie kobietę”.

Tylko że on nie miał wcale ochoty wyruszać na takie łowy. Zupełnie jakby zarzucił je w Dreźnie, razem ze wszystkim innym, co tam zostawił. Zdarzało się, że sięgał po fotografię Elsy Rathenau, ale jej twarz zlewała mu się z całą tamtą długą jesienią, o której pragnął zapomnieć.

W roku 1908 kupił sobie jeden z pierwszych motocykli firmy Matchless i zaczął wypuszczać się na północ, z namiotem i wędką. Nocował wówczas pod gołym niebem i wracał następnego dnia. Stojąc przy zarośniętej rzece, w której leży się jętka, Victor usłyszał nad głową szum silnika, podniósł wzrok ku niebu i zobaczył żółty jak pergamin samolot Blériot. Natychmiast dostrzegł podobieństwo pomiędzy tą maszyną a jętką. Niczego więcej nie potrzebował. Jeśli nie liczyć dwudziestu ośmiu tysięcy franków i karczemnej awantury z ojcem.

– Przecież ci mówię, że to jakieś bzdury! Chcesz zostać akrobatą? Może przyłączysz się do cyrku?

Tak się składało, że Cyrus Harrison gruntownie zbadał sprawę. Najlepsi inżynierowie w Wielkiej Brytanii i Niemczech zdecydowanie odrzucali koncepcję samolotu, który był ich zdaniem niczym innym jak zabawką dla egoistycznych, bogatych awanturników. Jakikolwiek transport drogą powietrzną za pomocą tych maszyn nie wchodził w rachubę, powietrze jest bowiem zwyczajnie zbyt porowate. Do przewożenia ładunków i ludzi nadawały się wyłącznie zeppelin, zaś do prowadzenia obserwacji – balony. Jedynym narodem, który tego poglądu nie podzielał, byli Francuzi, czyli innymi słowy: samolot to szaleństwo pod każdym względem.

– Ale ty byłeś w Transwalu! – przypomniał Victor. – Też podejmowałeś ryzyko.

– To co innego. To było inne ryzyko. Niosło w sobie większą wartość.

Victor pokręcił głową. Powiedział, że chce zobaczyć Finlaggan z powietrza. Finlaggan, Cheviot Hills i wybrzeże.

– Nie. Moja odpowiedź brzmi nie.

– Ty akurat nie możesz mi niczego zabronić.

– Ja akurat? Co masz na myśli? Jak to ja akurat nie mogę?

Victor wbił w niego wzrok. Po raz pierwszy pękła otaczająca ich skorupa, ujawniając kryjące się pod nią wielkie pytanie.

Czy ojciec wiedział? Czy nie wiedział?

A może tak jak on sam: wołał nie wiedzieć?

Victor przełknął ślinę i wbił wzrok w podłogę. Za dużo mógł stracić. Minęło zbyt wiele lat. Ojciec wydał mu się nagle taki stary i kruchy, wrzucił go ten nieskończenie dobry i szczodry człowiek, któremu wszystko zawdzięczał. Którego jeszcze raz powtórzył, że zabiłoby go to, gdyby jego syn stracił

życie dla sprawy tak błahej jak uzyskanie licencji pilota.

W tej właśnie chwili Victor poczuł się mu bliski, naprawdę bliski. Choć wiedział, że będzie musiał postąpić wbrew jego woli. Pomyślał:

Tu nie ma najmniejszej różnicy, ojcze.

Żadnej różnicy.

Czy zostaną strącony z nieba czy z galerii cieni.

Zegar wskazywał 4.15, gdy Victor stanął obok instruktora Caraxa. Był to choleryczny, drobny człowiek o sumiastych wąsach, na każdy błąd reagujący żywiołowymi i gestami reprimendami, które wykrzykiwał wściekłym głosem. W szarym świetle poranka Victor sprawdził, czy odciążenia są równo napięte, żaden naciąg się nie obluzował, przewody olejowe i benzynowe nie popękały, a silnik nie wydaje żadnych dziwnych odgłosów, bo w takich kwestiach nie można było polegać na mechanikach, nie w sprawach życia i śmierci, *monsieur* Harrison!

Carax przekazał mu mnóstwo bezcennej wiedzy. Pilot musiał mieć zawsze przy sobie skórzaną torbę z igłą i nicią do skrzydeł oraz podręczną piłką i klejem do drewna na wypadek uszkodzenia ramy, jak również z liną i drutem, gdyby pękł któryś z odciążów. Najważniejsze jednak było zaopatrzenie się w odpowiednią ilość gotówki w drobnych nominałach, bo gdy wyrządzało się szkody, lądując na polach i łąkach, należało płacić za nie od ręki – no właśnie, *à propos* łąk: absolutnie nie można lądować tam, gdzie pasą się krowy, bo ziemia bywa tam z reguły nierówna i można połamać koła. Więc jeśli już trzeba usiąść na pastwisku, to lepiej rozglądać się za owcami.

Wznosili się razem w powietrze już kilka razy, nawet całkiem wysoko, ale Victor zawsze siedział z tyłu i pilnował, by nie napawać się lotem, chciał poczekać z tym do dnia, kiedy sam usiądzie za sterami.

Dzień ten przyszedł najwidoczniej właśnie teraz. Carax wspiął się na tylne siedzenie i skinął głową.

Victor Harrison zajął miejsce pilota i zupełnie zapomniał o instruktora. Zwiększył obroty silnika, by śmigło zaczęło siec to wszystko i nic, co składało się na powietrze. Prędkość wzrosła, a trawa i pnie drzew rozpedzały się dookoła niego.

Przyspieszenie podobne było do tego, które odczuwał na motocyklu, wiatr smagnął go po twarzy, zdając się mówić: „Daj silnikowi więcej, a sam więcej dostaniesz. Daj jeszcze więcej i jeszcze więcej bierz dla siebie”. Prędkość wzrosła, a on poczuł się, jakby siedział w cudownym wirze prądów powietrznych, wibracji silnika i drżących kół, lecz nagle szum śmigła zmienił nieco ton, odnosząc zwycięstwo nad powietrzem, skrzydła znalazły masę, na której mogły się unieść, i sekundę później całe drżenie ustało, Victor przeniósł się do innej materii, chwycił dźwignię, którą mógł poruszyć skrzydła, tak że zwinęły się nieco i wzięły pod siebie więcej powietrza, słońce zaświeciło przez cienkie płótno żaglowe i skrzydła zupełnie znikły z jego świadomości, tak jak znikają one zapewne ze świadomości uczącego się latać ptaka.

Nareszcie.

Nareszcie był w górze.

Z wiatrem, niebem i nieskończonym widokiem na rozciągający się pod nim krajobraz. W towarzystwie szumu silnika i tryskającego niekiedy gorącego oleju.

Podczas lotów próbnych nie patrzył właściwie w dół, lecz teraz był tu, na górze, od wszystkiego wyzwolony. W świecie należącym wyłącznie do niego. Wysoko nad Finlaggan, nad szalonymi przygodami z Norwegii i dwuznacznymi słowami Ragny.

Blériot był delikatny niczym motyl, ale Victorowi zdało się, że nawiązuje z maszyną szczególny kontakt, czuje jej ruchy każdym swoim nerwem, wyregulował zapłon i dopływ benzyny, jak dobry jeździec, podający swemu wierzchowcowi paszę i smakołyki. Próbował przewidzieć nadchodzące lekkie podmuchy wiatru, liczył czas reakcji samolotu i nie korygował zanadto kursu, pozwalając jedynie, by prądy powietrza go unosiły, i poddając się im bez reszty.

Dopiero teraz spojrzął w dół.

Miał wrażenie, że wszystko na ziemi – domy, sklepy, kamienne ogrodzenia, a nawet takie cuda jak napędzane benzyną samochody ciężarowe i stacje telegrafu – stało się nagle nieważne i błahe. Bo tutaj, w górze, świat zaczynał sam się porządkować. Wszystko miało swoje miejsce, czyny wielkie

oddzielały się od małych. Widać było proste drogi, korony drzew, kanały irygacyjne, czerwone dachy domów.

A nieco dalej, na prawo, siny, dziwaczny cień – przecież to morze!

Victor wiedział, że w końcu go znalazł. Tu, na górze.

Odnalazł spokój.

Wylądowali, a on starł olej z twarzy.

Carax siedział za jego plecami, dziwnie milczący. W końcu zdjął pilotkę i oświadczył, że *monsieur* Harrison to *un aviateur magnifique*, po czym dodał coś, czego Victor nie zrozumiał i w pierwszej chwili zdało mu się, że Carax nazwał go urodzonym lotnikiem. Dopiero później dotarło do niego prawdziwe znaczenie słów instruktora, który oświadczył, że młody Harrison ma w sobie ducha latania.

Wkrótce znów wzbił się w powietrze. Ku temu niezwykłemu spokojowi znajdowanemu niekiedy w stanie zagrożenia życia.

Victor Harrison zbliżał się do jakiejś wsi, zobaczył, że stoi w niej całkiem spory kamienny kościół, przed nim zebrała się zaś grupka ludzi. Do świątyni weszła odziana w biel panna młoda, a on skręcił, by nie przeszkadzać weselnikom. Wkrótce i tak dogoniło go bicie dzwonów.

Razem z nim dołączył do niego jerzyk.

Ptaka pewnie nie czuł tęsknoty za kimś, komu mógłby o tym wszystkim opowiedzieć.

Victor poddał się na chwilę marzeniu, by wylądować, podejść do jakiegoś człowieka i opisać, jak to jest tu na górze. Opowiedzieć to komuś, kto się nie wystraszy i nie zaniepokoi. Komuś, kto zrozumie również to, co nie zostanie wypowiedziane. Kto nie przejmowałby się gorącym olejem tryskającym w twarz, człowiekowi, który zauważy, że samolot Victora jest przecież dwuosobowy.

Powiedzieć to wszystko temu, kto jako dwunastolatek zbudował tratwę.

I w tamtej właśnie chwili Victor podjął decyzję. Obiecał sobie, że zacznie otwierać listy od Kaia Schweigaarda.

Ubierz się ciepło, synku

W kalendarzu widniał już rok 1914. Była druga połowa listopada, a Kai Schweigaard wybrał się z panem Røhme do Lillehammer. Mieli zrobić większe zakupy, przemocować i wrócić następnego dnia. Udało im się dostać ogólnokrajowe gazety i pastor czuł wzbierającą troskę, czytając w nich o potwornościach wielkiej wojny. Toczyła się ona gdzieś daleko, ale strach docierał nawet do Butangen, bo wojny potrafią roznosić się niczym zarazy i zdawało się, że huk wystrzałów słysząc już po drugiej stronie mokradeł. Wszyscy myśleli, że walki zakończą się po kilku miesiącach, wojna zostanie rozstrzygnięta dzięki ostrzom bagnetów i kawalerii, wszak starły się ze sobą cywilizowane, kulturalne narody. Ale już teraz padły setki tysięcy żołnierzy, bo generałowie posyłali swoich ludzi do ataku całymi hordami, zgodnie z napoleońską taktyką, a oni ścierali się z wynalazkiem nowego stulecia, karabinami maszynowymi ścinającymi żołnierzy niczym ostrze kosy.

Gdy pastor i kościelny wrócili do domu, w powietrzu czuć było zapowiedź śniegu, a wiatr był lodowaty i ostry. Konie czekały na nich przy stacji kolejowej i zdążyli okrążyć Løsnesvatnet przed zachodem słońca. Na plebanii powitała ich otwarta brama i Simen machający do nich z podwórza. Schweigaard zrozumiał, że chłopak czekał w oknie salonu z nadzieją, że ich niedługo zobaczy.

– Nasza stara Margit – powiedział. – Pani Bressum. Gospodyni. Zaniemogła nam. Zaraz po waszym wyjeździe.

Schweigaard pospieszył przez podwórze i otworzył drzwi domu tak gwałtownie, że urzędujący zazwyczaj w kuchni kot wygiął grzbiet w pałąk i zasyczał. Pastor popędził do pokoju starej gospodyni, przeskakując po dwa stopnie. Rzadko tam wcześniej bywał i nie wiedział, czy ta izba zawsze tak pachniała: unosiła się w niej ostra woń leków wmieszana w mdlący, duszny zapach niewietrzzonej sypialni i ludzkiego ciała. Gospodyni całe życie śmiertelnie bała się przeciągów i zamykała wszystkie okna w całym domu, co irytowało Schweigaarda do granic wytrzymałości. Nie paliło się żadne światło, lecz w półmroku dał się dostrzec nieznaczny ruch u wezłowia łóżka.

– Chyba musi być ze mną źle – stęknęła pani Bressum – skoro pastor przychodzi.

Staruszka od lat miała w zwyczaju mówić rzeczy, na które nie sposób było rozsądnie odpowiedzieć, Kai podszedł więc do niej tylko i spytał, czy coś ją boli. Na nocnym stoliku stała brązowa buteleczka i kubek po kawie, obok zaś leżał rachunek od doktora.

– Tak dziwnie mi świszczy w piersi. I strasznie łupie w głowie.

Schweigaard zmierzył ją wzrokiem. Wydawała się przytomna, dużo bardziej niż w ostatnich latach.

– Hm – rzekł tylko.

– Teraz to się trzeba szykować – stwierdziła pani Bressum. – Doktor mówi, że już niewiele czasu zostało.

– Powiedział tak pani?

– On? Ach, nie. Dał mi tylko tę buteleczkę. I tak był po coś we wsi i pani Røhme go zawołała. Ja nie chciałam doktora. Na co mi doktor? Ale podniosłam się z łóżka, podeszłam do drzwi i usłyszałam, jak to mówi. W tym domu trzeba podsłuchiwać, inaczej się człowiek niczego nie dowie.

– Na pewno dobrze pani słyszała? Wydaje mi się, że jest pani w całkiem niezłej formie.

– Nie, księżo. To już niedługo.

– A te szумы w uszach? Nic się nie poprawiło?

– Nie, szumi, jak szumiało. Mam nadzieję, że jak zemrę, to przestanie.

Staruszka zdawała się myśleć i mówić zupełnie trzeźwo. W tygodniach jej najgorszego rozkojarzenia i dezorientacji Schweigaard miał nadzieję, że pewnej nocy po prostu zaśnie i już się nie obudzi. Ale powinien był wiedzieć, że nic z tego. Że pani Bressum pójdzie na spotkanie śmierci z podniesionym czołem, dumna i nieustraszona. „Ach, to ty, Kostucho!”, rzuci bez cienia strachu.

Rozsznurował buty i usiadł przy niej w samych skarpetach.

– Nie zamoczyłeś sobie stóp na tym twoim wyjeździe?

- Nie – odparł Schweigaard.
- A nogi ci śmierzdzą mokrą owcą. Czyli musiałeś je zmoczyć. Idź i włóż suche skarpety.
- Tak, tak. Tylko trochę tu jeszcze posiedzę.

Drzwi uchyliły się nieco, pani Røhme zajrzała do środka przez szparę i spytała, czy czegoś im nie trzeba. Za jej plecami stał Simen.

– Zrób pastorowi coś do jedzenia – rzuciła pani Bressum. – Widzisz przecież, że ledwie co wszedł do domu. Trzy kromki chleba z gotowanym jajkiem i sardelą. I nie zapomnij dobrze posolić. On tak lubi.

Staruszka wydała pani Røhme jeszcze kilka poleceń, a Schweigaard przewrócił oczami, tak by młoda gospodyni to zobaczyła, ale nie przeciwstawili się woli umierającej. Pastor wszedł jej tylko w słowo by zapytać:

– A pani? Niczego pani nie trzeba?

Margit Bressum potrząsnęła głową.

– Mnie? Teraz? Nie byłoby takiej biedy, gdyby ludzie się nauczyli, że umierać wypada na pusty żołądek.

Schweigaard odrzekł, że no tak, oczywiście. Zapytał ją o rodzinę i czy chciałyby zostawić zgromadzone w kasie oszczędnościowej środki komuś konkretnemu.

– Nie mam ani grosza w kasie oszczędnościowej. Tylko to tam. – Skinieniem głowy staruszka wskazała stojącą w oknie doniczkę.

Pani Røhme wróciła po chwili, niosąc cztery kanapki. Kot poczuł zapach jedzenia i plątał jej się między nogami. Wszedł w końcu do sypialni i wskoczył na łóżko Margit Bressum, a ona zanurzyła palce w jego sierści. Schweigaard zjadł jedną z kanapek i poszedł się przebrać, udając, że zapomniał o talerzu, a gdy wrócił, wszystko już było zjedzone. Staruszka trzymała między palcami kawałek sardeli, pozwalając kotu go oblizywać.

– Pani... Margit. Mam nadzieję, że dobrze ci tu było przez ostatnie lata.

– A pewnie, że dobrze. I na swój sposób próbowałam się o pastora troszczyć.

– Wiem, Margit. Przez ponad trzydzieści lat.

– A wcześniej o starego proboszcza.

– Tak.

Zapadła cisza.

– Złe się wtedy zachowałam z tą dziewczyną od Heknów – powiedziała staruszka. – Dużo o tym myślałam. Chociaż niewiele mówiłam.

Schweigaard odchrząknął i skinął głową.

– Przybyłam tu w pięćdziesiątym dziewiątym – ciągnęła pani Bressum. – Dużo się od wtedy zmieniło. Więcej, niżbym sobie życzyła.

– W pięćdziesiątym dziewiątym. To wtedy umarł twój mąż?

– On nie umarł. Tylko dał nogę.

– Zawsze myślałem, że umarł.

– A potem już żaden chłop mnie nie chciał. Bo mam podobno ciężki charakter.

– Ludzie są bardzo różni.

– Jako dziecko miałam miękkie serce. Ale byłam najstarszą z rodzeństwa, jedyną dziewczyną, miałam sześciu braci. Matka się rozchorowała, jak urodziła tego najmłodszego.

– Ach.

– Musiałam się nimi zajmować. I dlatego się zrobiłam taka sroga. Tak mówił mój tata.

– Mnie to nie przeszkadzało. Przyzwyczyłem się.

Tym razem milczeli przez dłuższą chwilę. Schweigaard myślał o swojej matce. Nie było go przy niej, gdy umierała, i długo miał wyrzuty sumienia przez to, że nie czuł z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Przypomniawszy sobie o tamtym strachu, że stał się obojętny i niezdolny do odczuwania emocji. Lecz teraz, siedząc przy pani Bressum, wiedział, że to nieprawda.

Słyszał, jak młoda gospodyni uwija się na parterze. Na ścianie tykał zegar. Był on jedynym przedmiotem w tej izbie, nie licząc ubrań w szafie i doniczki na oknie. Uderzyło go, że umierająca

staruszka nie posiada niemal niczego. Wstał i podszedł do doniczki. Była wypełniona złożonymi na dwoje banknotami – składał je tak zawsze, przekazując jej wypłatę.

– Jak umrę – zaczęła pani Bressum. – To ziemia będzie zmarznięta i przeleżę w dzwonnicy do wiosny, prawda?

– Nie. Owszem, ziemia trochę zmarzła, ale pan Røhme da radę wykopać grób.

– Kłamiesz. Wstałam wczoraj w nocy i popatrzyłam na termometr.

– A czy doktor nie mówił, że powinnaś leżeć w łóżku?

– No mówił. Ale po co leżeć, skoro i tak wiadomo, że umrę? Więc wyszłam przed dom. Owiął mnie mróz. Było piętnaście stopni zimna. Według tej nowej rachuby. Bo wedle starej by było pięć stopni. Na skali tego Farenhusa.

– Farenheita. No ale tak, dawno nie było takiego zimnego listopada. Nie za mojej pamięci.

– Ta stara skala bardziej mi się podobała, bo latem w ciepłe dni były na niej większe liczby. No ale ziemia już zmarzła. Nie chcę, żeby pan Røhme specjalnie się dla mnie wysiłał.

– Ależ Margit. My chcemy się dla ciebie specjalnie wysilić.

– Dla mnie?

– Tak, właśnie dla ciebie. Bardzo nam na tym zależy.

W nocy jej się pogorszyło. Pastor wziął ją za rękę, a kot zwinął się w kłębek w nogach łóżka. Gdy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał cicho i słabo.

– Niedługo umrę, księżo.

– Będzie, co będzie, Margit.

– Zostań ze mną. I otwórz okno, żebym nie ugrzęzła w tej izbie. Wywietrz mnie. Wynieś mnie przez trumienne okienko i obejdz ze mną dom.

Pastor skinął głową. Ten zwyczaj wciąż się widywało w Butangen. Gdy tylko ktoś umierał, otwierało się okno, by wypuścić z izby jego duszę. Wierzono, że w innym wypadku może ona wejść w ściany i zacząć straszyć. Z tego samego powodu należało wynieść trumnę przez specjalny otwór w ścianie i okrążyć z nią dom w kierunku odwrotnym do ruchu słońca, żeby zmylić wolę ducha. Tyle że, z tego, co wiedział, na plebanii nie było trumiennego okienka, więc gdy przyjdzie co do czego, będą im musiały wystarczać drzwi werandy. Choć tak naprawdę Schweigaard nie miałby nic przeciwko, by pani Bressum trochę jeszcze z nim została. Żywa lub martwa.

– Zmarzniesz, składając mnie w ziemi, Kaiu Schweigaardzie. Powinieneś jeść więcej słoniny. To pomaga na marznięcie. Za chudy jesteś. Obiecuj, że będziesz jeść więcej słoniny, Kaiu.

– Obiecuję jeść więcej słoniny, Margit.

Staruszka zapadła w drzemkę, a on przysunął krzesło bliżej łóżka i wziął ją za rękę. Czekał, tak jak wiele razy wcześniej przy innych umierających w Butangen. Płomień łojowej świecy na stoliku nocnym zadrżał niespokojnie, a z ust staruszki uniosł się ostry zapach.

Jej oddech stawał się coraz wolniejszy, puls coraz słabszy, a dłoń coraz zimniejsza. W końcu jej oczy zapadły się w głąb czaszki, z gardła dobiegł charkot, chora wydała z siebie głębokie westchnienie, po którym oddech w końcu się zatrzymał, a mięśnie zwiotczały. Pastor złożył jej dłonie, powoli wstał, podszedł do okna i je otworzył.

Ale wcale nie poczuł, by wyfrunęła przez nie jakaś dusza. Do środka dmuchnęło tylko zimne nocne powietrze.

Kot zaszczał nagle i zeskoczył na podłogę.

– Może i tego nie wiedziałeś – odezwał się w izbie jakiś głos. – Ale byłeś dla mnie jak syn.

Schweigaard odwrócił się nagle, czując, jak przeszywa go lodowaty dreszcz. Zmarła leżała z szeroko otwartymi oczami. To niemożliwe, że głos należał do niej, ale w sypialni nie było nikogo innego, a ona powtórzyła, że był dla niej jak syn.

Zamrugła.

Kot bezszelestnie wskoczył z powrotem na łóżko i zaczął mruzczyć.

Schweigaard przełknął ślinę i powiedział:

– Dziękuję, Margit. Dziękuję. Wiedziałem, to, ale...

– Trudno być czyimś synem. Tak jak temu chłopakowi z Hekne trudno było być twoim. Ciężko

wam przychodzi przyjmowanie miłości.

Była jakby zupełnie odmieniona, łagodna, a on pomyślał, że tak musiała wyglądać, zanim stała się sroga. Usiadł na skraju łóżka.

– Właśnie umarłam – powiedziała. – Chwilę temu.

– Margit. Przecież żyjesz.

– Nie. Musiałam umrzeć, bo już mi nie szumi w uszach. Ale wróciłam do ciebie, żeby coś ci jeszcze powiedzieć.

Kai ujął jej dłoń.

– Tam było całkiem szaro. Nic tylko mgła. Żadnych gór ani lasów, ani rzek. Tylko ludzie, co w tej mgle wisieli i byli tak jakby z tej mgły utkani. A potem z szarości wyszły do mnie one dwie i też były zrobione z mgły. Powiedziały, że jak mnie będziesz chował, to masz się ciepło ubrać. Że musisz włożyć krzyżowy płaszcz.

– Krzyżowy płaszcz?

– Tak, ten taki strojny, czerwony. Z krzyżem na plecach, stary, podszyty skórą rena. Bo w dniu, gdy mnie będziesz chował, przyjdzie paskudny mróz.

Nie było w niej już więcej oddechu i Kai Schweigaard rozplakał się wreszcie, gdy wypuściła jego rękę, mówiąc:

– Ubierz się ciepło, synku.

Krzyżowy płaszcz

Stali wokół grobu i śpiewali. Schweigaard. Rodzina zarządcy. Dzwonnik. Pan i pani Røhme. Dziesięcioletni Simen, ośmioletnia Lilly i sześcioletni Johan Røhme. Adolf i Ingeborg. Jehans i Kristine. Koło nagrobka przysiadł kot pani Bressum, nastroszył się i skulił na zimnie.

Przemarznięci przedstawiciele chrześcijańskiej wiary w Butangen.

Na nabożeństwie w kościele opowiadali o niej, nie upiększając rzeczywistości, świadomi, że mówiąc o tych wszystkich razach, w których stara gospodyni irytowała ich i złościła, nie przekreślają wcale związanych z nią dobrych, pogodnych wspomnień. Przywołano nawet zjeżdżałą wątrobę rekina polarnego podaną kiedyś na obiad, a mały Simen Røhme podszedł do trumny, by opłakać starą gospodynię, i opowiedział, jak kiedyś dostała list i przyszła do niego, by srogim tonem zapytać, czy „zostawić mu znaczek”.

Schweigaard nie pamiętał, by pani Bressum kiedykolwiek dostawała jakieś listy, ale tak czy inaczej był to dzień, w którym chłopiec zaczął zbierać znaczki, a potem biegał do niej, by chwalić się każdym nowym okazem w swojej kolekcji.

Przepowiednia zmarłej ziściła się i było zimno. Bardzo zimno. Pastor pamiętał niewiele równie mroźnych listopadowych dni. Termometr wskazywał minus dwadzieścia trzy stopnie, a wiatr dął, jakby postanowił zburzyć kościół. Lecz tym, co czyniło mróz jeszcze bardziej dokuczliwym, był brak śniegu. Grunt przybrał barwę szaro-brunatną, trawa zamarzła na sztywno, drzewa wyglądały, jakby odlano je z żelaza. Gdy pastor cisnął na wieko trumny garść ziemi, ta zamarzła w locie i rozległ się odgłos, jakby na drewnianą pokrywę spadł grad drobnych kamyków.

Lecz Schweigaard mimo to nie marzył, bo włożył odświętny ornat. Czuł się w nim jak odziany w prawdziwą niedźwiedzią skórę i miał wrażenie, że gdy go wkłada, oprócz wiary, większa wiara, zupełnie jak ciepło bijące od kominka, które wchodzi w kości. Przywdziewając ornat na zwykłe nabożeństwo pogrzebowe, łamał wszystkie liturgiczne zasady i gdyby zobaczył go teraz biskup, w czerwonej szacie łopoczącej na wietrze w środku szarego listopada, pewnie od ręki pozbawiłby go stanowiska.

No cóż, pomyślał pastor. Czego się nie robi dla pani Bressum.

Zakończyli uroczystości pogrzebowe, a że zabiegani zazwyczaj małżonkowie nie mieli tym razem wymówki, by pospieszyć do innych obowiązków, pastor zaprosił ich na plebanię na drugie śniadanie.

Przebrał się pospiesznie w zakrystii i ruszył do domu. Miał wrażenie, że nadal czuje na sobie krzyżowy ornat. Nie chodziło o jego formę, ciężar, fason ani dotyk tkaniny. Wspomnienie ornatu odczuwał raczej niczym ciepłą, niewidoczną warstwę otulającą całe jego ciało.

Rozmowa przy jedzeniu jakoś dziwnie im się nie kleiła. Kristine miała na sobie granatową odświętną spódnicę, białą bluzkę i ciemnoniebieski szal, Jehans zaś – szary garnitur i niedoczyszczone buty. Siedzieli obok siebie, lecz mimo to wypowiadali się tak, jakby tego drugiego nie było. Wydawali się skrzepowani.

Pani Røhme postawiła na stole jedzenie i dyskretnie się wycofała, bo zwyczaj był taki, że goście na plebanii sami sobie nakładali i sami napełniali szklanki. Dzięki temu wszyscy byli równi. Gdy półmisek okrążył stół po raz drugi, milczenie stało się już nie do wytrzymania i Ingeborg powiedziała głośno:

– No teraz to już musicie powiedzieć! Mówicie panu pastorowi, co się dzieje, ale już!

Kristine wyprostowała się i oświadczyła, że inspektor mleczarski dla rejonu południowej i środkowej Gudbrandsdalen przybył do niej z niezapowiedzianą wizytą, „by przeprowadzić inspekcję”. Mieszkała właśnie w kadzi z podpuszczką, gdy poinformowano ją, iż przyszło dwóch mężczyzn twierdzących, że reprezentują władze.

Mleczarnia była od dnia otwarcia stopniowo rozbudowywana, zarówno Topielcowa, jak i Ada Borgen zostały zatrudnione na stałą umowę. Kristine umówiła się także z kupcem Tutką, że weźmie

w komis część z jego towarów, kawę, cukier, drobną galanterię, naboje i zapalki, których sprzedaż odbywała się w niewielkim pomieszczeniu tuż przy drzwiach wejściowych. Nie wyglądało to może jak wielkomijski sklep, ale był to sklep, a rachunkowość zgadzała się co do jednego øre.

– No i mi wleźli do środka – ciągnęła Kristine. – Włożyli białe kitle, wyciągnęli protokół i zaczęli wszystko oglądać.

Wcześniej do Butangen zaglądali właściwie wyłącznie doktor, listonosz i poborca podatkowy, a teraz nagle trzeba było zapełnić stronę za stroną ptaszkami i „zatwierdzić” wszystko, co działo się w starej, przekrzywionej przez wiatr stodole.

Inspektor wytknął, że przewody doprowadzające prąd zamontowano prowizorycznie, a kadzie i gary są wytworzone ręcznie i częściowo drewniane, potem zdradził, że wie coś, co właściwie mogli wiedzieć tylko mieszkańcy wsi, chodziło o jakiś szczegół dotyczący transportów koziego mleka i Kristine zaczęła przypuszczać, że za wszystkim stoi Osvald. Ale niezależnie od tego, jak wysoko wspinał się asystent inspektora, próbując znaleźć na ścianach ślady kurzu, jak dokładnie oglądał kąty w poszukiwaniu jednego choćby mysiego bobka i jak długo studiował ubrania robocze, trzeba było w końcu orzec, że w mleczarni panuje nienaganna czystość.

Tego ostatniego nie powiedziała sama Kristine. To Ingeborg musiała się wtrącić z tą pochwałą.

– Ale? – spytał Schweigaard.

– Zdawało się, że ich wcale nie interesuje, że jest czysto. W ogóle mało co ich interesowało. Chcieli tylko wykazać, że przyjmujemy o wiele więcej mleka, niż określają przepisy dla mleczarni prowadzonej w gospodarstwie.

Schweigaard dostrzegł, że Jehans wierci się na krześle. Wydawał się jednocześnie dumny i skrzepowany.

– Powiedzieli, że albo muszę ograniczyć produkcję – kontynuowała Kristine – albo zatrudnić zarządcę mleczarni z państwowym atestem. „Aha”, ja im na to. A gdzie się znajduje takich zarządców z atestami? Przyjeżdżają pociągiem w skrzyni?

Nie, odpowiedział jej inspektor. Ludzie tacy są kształceni w Levanger. Ale państwowy certyfikat może uzyskać tylko mężczyzna. Kobiety mogą odebrać wykształcenie, nie wolno im natomiast zarządzać mleczarnią.

– Wleźli tam, do jej mleczarni – dodał Adolf – i mówili, że Kristine ma zatrudnić chłopca, żeby stał i patrzył, jak wyrabiają sery i ubijają masło!

Kristine poczerwieniała i wbiła spojrzenie w stół. Pałeczkę przejęła Ingeborg i zaczęła opowiadać, co było dalej. Bo inspektor chyba w końcu pojął, że dotychczasowa zarządczyni nie da się rozstawiać po kątach.

Pani Messelt chwyciła go za ramię i pokazała mu, jak dyryguje całym procesem od momentu, gdy mleko wytryśnie z krowiego wymiona, do chwili, kiedy masło i ser są pakowane i chłodzone. Inspektor wysłuchał wykładu na temat higieny, metod pracy i przepisów, Kristine opowiedziała mu też, jak dyscyplinuje gospodarzy, by mieć pewność, że trafia do niej nieskażone mleko, rozwodziła się o szczegółach, które miały wielkie znaczenie, bo w ten czy inny sposób wpływały na smak czy termin przydatności do spożycia, przeskoliła obu mężczyzn z trzystu lat dziedzicznej z pokolenia na pokolenie wiedzy pasterskiej, raz po raz demonstrując, że wie w temacie więcej niż sam urzędnik. A gdy w końcu dała im do posmakowania masła, sera i śmietany, inspektor mleczarski dla rejonu południowej i środkowej Gudbrandsdalen i jego asystent zaniemówili i tylko cicho mlaskali.

– No ale... tak czy inaczej – odezwał się w końcu mężczyzna. – Produkcja prowadzona jest na zbyt wielką skalę.

– Oczywiście wiem, że prowadzę produkcję na zbyt wielką skalę – odparła Kristine. – Myśli pan, że nie planuję tu wszystkiego przeorganizować?

Wyszła do innego pomieszczenia i wróciła z pięknie złożonymi papierami, nad którymi siedziała cały miniony rok. Były to szczegółowe szkice, plany i rysunki robocze przedstawiające – z zewnątrz i od wewnątrz – wielką mleczarnię z dwanaściorgiem pracowników oraz rachunki z prognozami zysków po czterech latach. Uwzględniono w nich darmowy prąd.

Nie minął tydzień, a do Szkoły Mleczarstwa w Levanger został wysłany list z „najserdeczniejszą

rekomendacją” inspektora, by Kristine Messelt mogła odebrać tam wykształcenie i uzyskać akredytację państwowej zarządczyni mleczarni.

– No i? – spytał Schweigaard.

– Wczoraj dostałam odpowiedź. Zaczynam naukę po świętach. Będą nas w klasie dwie baby.

W końcu odezwał się Jehans.

– No i – powiedział – ja się rozmówiłem z szefem banku. Może nam dać sześć tysięcy koron pożyczki. Zobaczył rachunki Kristine i się zgodził. Wybudujemy za to nową mleczarnię ze sklepem. I z moimi maszynami. Kupimy działkę tu, przy rozstajach. Zaraz obok drogi na pastwiska.

Ingeborg upiła łyk kawy, mlasnęła i zarechotała.

– I niech pan pastor spróbuje zgadnąć, z którego majątku w naszej wsi ta nowa mleczarnia nie będzie brała mleka.

Pogoda nadal była paskudna, dlatego pan Røhme odwiózł gości do domu. Adolf i Ingeborg siedzieli w powozie otuleni w ciemne owcze skóry. Zadzźwięczały dzwonki przy uprzęży, a Schweigaard machał im ręką na pożegnanie.

Długo jeszcze stał na progu. Był dumny z nich obojga, z Kristine i Jehansa, ale wolałby widzieć między nimi większą serdeczność.

Wyszedł na podwórze, choć był lekko ubrany. Lubił czasami porządnie zmarznąć, a potem wrócić do nagrzanego izby i powiedzieć sobie, że nic nie trwa wiecznie. Nawet listopadowy chłód.

Nagle przeszył go dreszcz.

Ten mróz przypominał mu o czymś, co wydarzyło się dawno temu. Przed ponad trzydziestoma laty.

Jego ciało wróciło pamięcią do noworocznego nabożeństwa, na którym zamarzyła Klara Mytting. Ależ wtedy w kościele było zimno. Sam jakoś przetrwał, bo miał na sobie ornat. Znów ogarnął go tamten nastrój, nastrój roku błędnych decyzji i straconych szans. Wróciły do niego jednocześnie słowa Margit Bressum wypowiedziane na łożu śmierci.

I słowa jeszcze inne. To, co Adolf powiedział mu o portalu. Odwróconym tak, że kunsztowne rzeźbienia skierowane zostały ku owcom. Rozmowa z Framstadową: „... ludzie tak jakby na nią patrzą, ale jej nie widzą”. I, w kontraście do dialektu, którym się posługiwali, sztywna duńszczyzna pastora Nilssøna. Ornat podbity skórą rena, „który grzałby me zmarznięte członki”.

Pastor wszedł do domu i znalazł nożyczki oraz nóż. Popędził na zakrystię. Otworzył drzwi i włączył elektryczną lampę. To tu otworzył kiedyś trumnę z poduszkami sióstr Hekne i czuł teraz tę samą co wtedy, nieznośną niemal ekscytację.

Wyjął ornat z szafy. Szata miała pełen godności ciężar, pachniała starą wełną i starymi czasami, w zapachu tym dawało się wciąż wyczuć woń kościoła słupowego.

Musiała być właśnie tutaj. Schweigaard poznał przez lata mentalność ludzi w Butangen i nie miał wątpliwości, że to tak został ukryty gobelin. Pastor Nilssøn najmował wielu rzemieślników do remontu kościoła. Niewykluczone, że jakaś szwaczka, może nawet dziewczyna z Hekne, wślizgnęła się niepostrzeżenie do świątyni. Schowała się tam, gdzie nie miał odwagi zapuścić się nikt inny. W dzwonnicy. Mawiało się bowiem – tak, z tego, co pamiętał Schweigaard, tłumaczyła to Astrid – że ten, kto zobaczy Siostrzane Dzwony, a nie będzie pochodził z rodu Hekne, umrze na udar lub na chorobę. Nocą taka szwaczka mogłaby zdjąć Tkaninę i wszyć ją w ornat. Z przodu, tak by zwrócona była ku parafianom. By stara i nowa wiara stanęły w kościele słupowym twarzą w twarz.

W którym miejscu powinien zacząć? Gdzie zrobić pierwsze nacięcie? Lepiej niż na igle i nitce pastor wyznawał się na ruchach Marsa i Jowisza.

Spróbuj gdziekolwiek, przecież rozetniesz tylko starą tkaninę! Wcale nie, to o wiele więcej. Ornat. Jeden z najświętszych przedmiotów kościoła.

Złocisty krzyż na szkarłatnym tle lśnił przed jego oczami, a on nie ważył się go zbeczczyć. Przez te wszystkie lata zrozumiał bowiem, że można czcić krzyż, nawet jeśli jest się poróżnionym z Panem. Szata nie była zapewne błogosławiona, takie ceremonie przeprowadzali tylko katolicy, lecz czyn, którego chciał dokonać, wydawał się pastrowi tak niestosowny, że w końcu powiedział: „Zwalniam ten ornat z jego chrześcijańskich obowiązków”.

Uniósł nóż i przeciął jeden ze szwów. Wyciągnął kilka nitek. Stworzył w ten sposób szczelinę między dwiema warstwami tkaniny i wsunął dłoń w kosmatą podszewkę.

Pod konturami krzyża wymacał jedynie zwykłą skórę rena.

Rozczarowany i wzburzony rozciął ornat od przodu. Czyżby było tam coś jeszcze? Materiał inny w dotyku, z maleńkimi, wyczuwalnymi pod palcami węzełkami?

Chwytał ornat obiema rękoma i rozdarł szwy, przeciął ich jeszcze kilka, poszerzył szczelinę i wsunął dłoń do środka.

Wkrótce jednak opadł bezsilny na podłogę, tak jak strzępy materiału wokół niego. Ornat został doszczętnie zniszczony, oto i dzieło wandalą, bluźnierstwo na zakrystii.

Nie było tu żadnego gobelinu. Tylko ciemnoszara wełniana podszewka złożona na dwoje. Zrozpaczony, uderzył w nią otwartą dłonią, wzbijając pod lampę chmurę kurzu.

Gdy cofnął rękę, nie była to już jego ręka. Palce miał całkiem czarne, jakby obmacywał przed chwilą wnętrze komina, na ciemnej podszewce został za to kształt jego dłoni i w kształcie tym dało się dostrzec żółtawo-pomarańczowe włókna.

Gobelin pokryto sadzą. Żeby przez ornat nie przebijały kolory.

Po wszystkich latach spędzonych na poszukiwaniach, setkach rozmów o gobelinach, wełnie i plecionkach pastor wiedział, że tkaninę należy oczyścić tak, jak zawsze czyściło się kilimy. Wciskając ją w świeży śnieg na mrozie. Pod wpływem gorącej wody wełna mogła się skurczyć i całe dzieło sztuki zostałyby zniszczone.

Światło lampy odbijało się od szyby. Schweigaard podszedł do okna i wyjrzał na cmentarz. Nagrobki przysypane były cienką warstwą białego puchu.

Noc ta okazała się jedną z najdłuższych w całym jego życiu.

Gdy w końcu nastał świt, poszedł za budynek spichlerza. Z obory w gospodarstwie zarządcy dochodziło muczenie krów, ale nie licząc tego, cały majątek pogrążony był w ciszy. I tam, pośród pierwszej śnieżycy tej zimy, pastor rozłożył tkaninę, umieścił ją na ziemi i ostrożnie przyklepał. Gdy ją uniósł, na śniegu pozostał czarny prostokąt. Zdało mu się, że gobelin zaczyna nabierać barw, i przeniósł go na czysty śnieg. Powtórzył ten zabieg jeszcze kilkukrotnie, pozwalając sobie na użycie coraz większej siły, i w końcu stał pośród czarnych prostokątów na białej ziemi, a kolory tkaniny były za każdym razem coraz lepiej widoczne.

Na śniegu zostawała nie tylko sadza. Gobelin wisiał w świątyni od pierwszej połowy XVII wieku, więc po jakimś czasie ślady zaczęły przybierać odcień brunatny, pozostawiany przez liczący sobie wieki kościelny kurz. Obraz był utkany dość gęsto, lecz jeden z jego rogów okazał się postrzępiony, niektóre partie były wytarte lub zniszczone przez upływ czasu.

W końcu pastor mógł odwrócić gobelin i mu się przyjrzeć.

Płatki śniegu układały się delikatnie pośród kolorowego roju ludzi, postaci zwierzęcych i wzorów.

Kai Schweigaard wyciągnął szyję ku niebu i szybującym z niego powoli drobinkom białego puchu. Spadały na ziemię niczym ludzkie życia, płatek za płatkim, widoczne jedynie przez kilka sekund, a potem znikające bez śladu – kilka z tych, które zdołał uchwycić spojrzeniem, stopiło się na jego czole.

– Dziękuję, Margit Bressum – wyszeptał. – Dziękuję.

Powiesił ją na ścianie w pokoiku przylegającym do sypialni. Było tam okno, lecz lampy nie zamontowano. Pastor chciał bowiem oglądać tkaninę tak, jak oglądali ją mieszkańcy wsi w kościele słupowym.

Była większa i bardziej niejednorodna, niż ją sobie wyobrażał. Podłużna zagadka na ciemnym, granatowym tle. Pośrodku – wielki wieniec w odcieniu jaskrawego oranżu, wewnątrz którego migotała soczysta zieleń.

Niektóre wzory utkano nicią tak połyskliwą, że zdawały się wręcz świecić własnym światłem, pastor wyobrażał sobie, jak gobelin musiał wyglądać dla ludzi w kościelnych ławach. Z oddali wieniec mógł przypominać wieczny płomień pośród posępnego, pachnącego smołą półmroku. Wschodzące słońce lub dogasające ognisko. Gdy w izbie było ciemno, motyw ten zdawał się płonąć, lecz w świetle dnia przypominał raczej koronę cierniową Chrystusa.

Wzory na tkaninie przenikały się nawzajem, zupełnie jak splecione ze sobą rzeźbienia kościelnego portalu, tworząc strumień płynący pomiędzy życiem a wiecznością, studium niewytłumaczalności.

Gdy się to pojęło, łatwiej było zrozumieć, co zostało przedstawione wewnątrz wieńca.

Noc oskrobana.

Wieniec był nocą, pożarem i wschodem słońca w jednym. Kai musiał podejść bardzo blisko, by dokładnie obejrzeć postaci przedstawione wewnątrz okręgu, i było tak, jakby sam ten ruch, krok w stronę tkaniny i pozwolenie, by wypełniła całe jego pole widzenia wzorami i stworzeniami, przygotował go na spotkanie z nimi i go na nie otworzyło, bo rzeczywiście zdało mu się, że są straszne.

Takie bowiem były naprawdę.

Plujące ogniem ptaki. Ich rozłożone skrzydła ponad morzem płomieni. Zniekształcone ludzkie twarze o wielkich, wybałuszonych oczach. Pod nimi zaś – mężczyźni z mieczami. Płonące domy i uciekający z nich ludzie. Ptasie pióra miały ten sam jaskrawy odcień oranżu co ocean ognia, płonęły także ich skrzydła, same więc stawały się częścią pożaru, niczym płomienie rodzące się z innych płomieni.

Tylko czy w tym ogniu była wiedza, czy może kara?

Wzór utkany wokół wieńca był zupełnie inny, bardziej podobny do tego na poduszkach. Przedstawiał ludzkie sylwetki, zwierzęta i zmiennoskórych, wymieszane ze sobą codzienne wydarzenia i katastrofy. Krowy i ludzi unoszących się na wodzie. Może miało to obrazować biblijny potop, a może wielką powódź, która zatopiła Gudbrandsdalen w roku 1789? Nad jednym z domów – rozbłysk białego światła. Uderzenie pioruna, a może wynalazek elektryczności?

Kai zrobił krok w tył. Gobelin był tak stary, że ledwie mu się to mieściło w głowie. Dwoje dziewcząt zaczęło go tkąć w pierwszej połowie XVII wieku, a pracę skończono już po śmierci jednej z nich. Pomimo jaskrawych wciąż kolorów i roślinnych barwników tkanina była postrzępiona i wytarta, zwłaszcza w rogach, pastor nie umiał więc znaleźć miejsca, w którym bliźniaczki utkały podobno same siebie. Interpretacja czy zrozumienie wielu elementów przychodziły mu z trudem. Jeden z motywów budził w nim mimo to jednoznaczne skojarzenie z kresem czasów – szkielet na wozie, zostawiający za sobą ślad z martwych ludzi. Czy mogło to być wyobrażenie czarnej śmierci?

Pastor postarał się uspokoić.

Czy na pewno widział to, co widział? A może to, co miał nadzieję zobaczyć? Czy nie były to tylko tajemnicze wieloznaczności, prędzej czy później dające się skojarzyć z czymkolwiek? Wystarczy przecież poczekać dość długo, a w końcu na pewno przyjdzie jakaś wojna, pożar, powódź czy zaraza.

Przypomniał sobie nagle tkaninę Jenny Stueflaaten. Tę, która nagle się rozpadła, bo powiedziała już to, co miała powiedzieć. Gobelin, na który teraz patrzył, trzymał się jednak nieźle i miał przed sobą zapewne jeszcze wiele lat życia. A zatem, jeśli wierzyć temu, co mówili ludzie, do nocy oskrobanej zostało dużo czasu.

Kai Schweigaard potrząsnął głową i zasępił się nad sobą samym i nad tkaniną. Podobno nie dane było jej oglądać nikomu, kto nie miał ku temu dobrego powodu.

Nigdzie nie dostrzegął też przepowiedni, jak umrze ostatni pastor w Butangen. I w ten tylko sposób gobelin niósł w sobie jakieś poczucie ulgi. Pastor zamyślił się, studiując plujące ogniem ptaki.

U kresu wszechrzeczy.

Jutro zrzucamy bomby

- Jeszcze po jednym?
- Nie, dziękuję. I gdybym był tobą, to też bym już odpuścił.
- A co innego pozostało?
- Poprzestać na drugim i pójść do łóżka. Spróbować zasnąć.
- Nie brzmi to kusząco.
- Możliwe. Ale właśnie dlatego nasze zdjęcia wiszą tam, a nie tam. Jak na razie.

Drugi pilot przeniósł wzrok z zachodniej na wschodnią ścianę kantyny. Sfotografowano ich, gdy dołączyli do eskadry, ich portrety zawisły na zachodniej ścianie, nad stołem z gramofonem. Jeśli kogoś zestrzelono albo uznano za zaginionego, zdjęcia wędrowały na drugą stronę. Wschodnia ściana była teraz niemal w całości obwieszona fotografiami, nie dalej jak dwa dni wcześniej rozpoczęto na niej nowy rząd.

Pilot, z którym pił Victor, nazywał się Arthur Harris, miał dwadzieścia pięć lat i wychował się w Rodezji Południowej. Poznali się w roku 1915, kiedy zostali wywołani jeden po drugim, bo ich nazwiska stały obok siebie na alfabetycznej liście, i Victor Harrison zastanawiał się często, ile takich przypadkowych przyjaźni wytworzyło się przez te trzy lata od rozpoczęcia wojny.

Była jesień 1917 roku, obaj mieli już kapitańskie dystynkcje i siedzieli w kantynie oficerskiej niedaleko Saint-Omer we Francji, obaj zdążyli już nabrać właściwego zaprawionym wojakom flegmatycznego stylu bycia, pewnej nonszalancji, skłonności do rozpierania się na krześle, obojętności, gdy siedzieli pod dachem, choć na dworze poruszali się zawsze nerwowym, pospiesznym krokiem.

Wcześniej tego dnia wybrali się na lot próbny nowymi samolotami. Przyjechały do nich w skrzyniach i zostały zmontowane już na miejscu, sześć wielkich bombowców DH-4 Havillanda, z silnikami od niewielkiej firmy motoryzacyjnej Rolls-Royce.

Victor wspominał początek wojny jako niemal zupełnie niegroźny czas. Kierowany impulsem, zaciągnął się do wojska, bo ani Wielka Brytania, ani Francja nie miała wtedy właściwie żadnych sił powietrznych, a on i inni pionierzy lotnictwa wyruszyli na front bez żadnych oczekiwań, wielu z nich we własnych samolotach. Prowadzili rekonesans, od czasu do czasu zrzucali meldunki i rozkazy, do komunikacji nie potrzebowali niczego poza pistoletami sygnałowymi, a gdy spotykali niemieckich lotników wypełniających podobne misje, pozdrawiali się nawzajem machaniem dłoni.

I tak to wyglądało do momentu, aż w powietrzu padł pierwszy strzał. Nikt nie wiedział, kto go oddał, tyle tylko że chodziło o pistolet i miało to miejsce parę miesięcy po wybuchu wojny. Wkrótce już niemieccy drudzy piloci siedzieli w maszynach z mauserami. Niedługo potem w samolotach zamontowano pierwsze karabiny maszynowe. Tyle tylko że wszyscy strzelali do wszystkich, zarówno z powietrza, jak i z ziemi, bo nikomu nie przyszło do głowy, że samoloty powinny być jakoś oznakowane. W końcu Niemcy zaczęli malować na swoich maszynach krzyże, zaś siłom powietrznym państw ententy udało się zdobyć w pośpiechu czerwoną, niebieską i białą farbę do ścian, wobec czego postanowiono, że ich symbolem będą trójkolorowe okręgi.

Teraz, po trzech latach, Victor przywykł już do silników o mocy trzystu siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych, ładunków bombowych ważących pięćset funtów i montowanych na froncie wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Już w pierwszych tygodniach wojny, gdy z nieba strącono trzech jego towarzyszy walki, pojął, że ta sama pasja, która popchnęła go do werbunku, stanowiła również o jego wyjątkowych umiejętnościach lotnika wojskowego. Tylko dlatego jednak, że wypełniająca go gwałtowność miała towarzysza, cień niewidzialnego drugiego pilota, a mianowicie – niezwykle wyczulenie na niebezpieczeństwo. Może i nie miał szóstego zmysłu, ale nosił w sobie coś, co najpewniej wykraczało poza standardowy, pięcioelementowy ich komplet.

Niósł śmierć i oglądał śmierć. Każdego dnia.

Z czasem przykładał coraz mniejszą wagę do tego, co widział, i tylko przez krótkie chwile docierało do niego, czym stał się on sam i jego samolot. Przepelniający go niegdyś w powietrzu zachwyty zatracił się pewnego dnia w roku 1915 czy 1916, gdzieś nad liniami frontu, gdy Victor ujrzał czarną,

dziwną chmurę unoszącą się nisko nad ziemią i pojął, że to muchy uczujące na żołnierzach zaplątanych w zasieki z drutu kolczastego. To, co przed rokiem 1914 cenił najwyżej – broń palna i samolot – stopiło się ze sobą w odrażającą, uskrzydloną bestię.

Próbny lot nowym bombowcem odbył bez emocji i szczególnego zainteresowania, wzblił się nad pasem startowym, wypróbował wszystkie dźwignie i skontrolował instrumenty, wystrzelił kilka serii z zamontowanego na przedzie karabinu maszynowego. Wylądował, zdjął pilotkę i ruszył niespiesznym spacerem przez pas startowy. Gdy mijał samolot, do którego miał wsiąść Arthur Harris, zdało mu się, że słyszy głos poznanego przed laty instruktora Caraxa.

Czyżby w szum jednego ze śmigieł wkraść się jakiś dysonans? Czy nie było przypadkiem jakiegoś obcego tonu w dźwięku, który wydawało, szatkując strumień powietrza? Mechanicy zatrzymali silnik i faktycznie – okazało się, że jedna z łopat jest nieznacznie pęknięta.

– Jestem ci winien przysługę – powiedział Arthur Harris, a Victora Harrisona ogarnęło niejasne przeczucie, jakby dane mu było na chwilę zajrzeć w ciemność. Czasem mu się to zdarzało.

– Spokojnie, spłacisz ten dług – odparł. – Ale jeszcze nie teraz.

– Bardzo chętnie poczekam tak długo, jak się da – rzucił Arthur Harris.

– I ja też – zgodził się Victor. – Tak długo, jak się da.

Obaj wiedzieli, że niekoniecznie będą musieli czekać długo. Statystyczny pilot przeżywał dwadzieścia sześć misji. Następnego dnia Harris miał wyruszyć na swoją misję numer sześć, Victor Harrison zaś – odbyć lot trzydziesty drugi z kolei.

Ktoś podszedł do gramofonu i nastawił patriotyczny marsz Edwarda Elgara. Płyta trzeszczała. Victor nie znosił takiej muzyki, ale nie mieli żadnych płyt z Mozartem ani Bachem, a już na pewno nie z Beethovenem.

– To prawda, że byłeś w Macedonii? – spytał Harris.

– Przez chwilę. Oddelegowano mnie tam po pierwszym roku wojny we Francji. A potem wezwano mnie z powrotem do Anglii jako instruktora. Ale tak, jakiś czas po naszym pierwszym spotkaniu spędziłem w Macedonii.

– I czym się tam latało?

– Czym się tylko dało. Ja miałem armstronga whitwortha.

– Mógł się mierzyć z fokkerem?

Victor pokręcił głową i oświadczył, że właściwie nic się nie może mierzyć z fokkerem.

– No, może sopwith camel, pod warunkiem że pilot jest dobry. Ale słuchaj. Wierzysz w te pogłoski o bombowcach długodystansowych? Takich, którymi da się dolecieć aż do Berlina?

– Tak. Myślę, że to nas właśnie czeka. Cztery silniki. Tysiąc pięćset koni mechanicznych.

– Mój pierwszy samolot miał moc dwudziestu pięciu koni – powiedział Victor. – A wyprodukowano go zaledwie siedem lat temu.

– Miałeś własny samolot? Nie wiedziałem.

– Nadal go mam. Stoi w domu. To blériot.

– To w nim pokonali kanał La Manche? Czy w farmanie?

– Nie, w blériocie. A za sterami siedział Louis Blériot we własnej osobie. Kiedyś spotkałem takiego młodzieńczego Amerykanina. Wskazał na zdjęcie samolotu takiego jak mój i powiedział, że jest cały szereg praw i zasad aeronautyki, których konstruktor nie rozumiał. Zapytałem tego dzieciaka, czy sam rozumiałby prawa Newtona, gdyby nie Newton. Owszem, maszyna Blériota jest krucha, ale pewien szalony Norweg pokonał w niej Morze Północne. Niejaki Tryggve Gran.

– Gr-gran? – spróbował powtórzyć Harris.

– Tak. Jego nazwisko znaczy po norwesku świerk. Parę razy miałem okazję z nim rozmawiać. Walczy teraz po naszej stronie. Lądował awaryjnie w DH-dziewiątce. I wyobraź sobie, przeżył.

– Ja tylko słyszałem o tym locie nad La Manche. Mówili, że to największe dokonanie w historii lotnictwa. To znaczy wtedy tak mówili.

– Gran pokonał dystans sześciokrotnie dłuższy. W deszczu i we mgle. Przy pogodzie tak paskudnej, że ciężko by było zrobić tę trasę naszym nowym myśliwcem. A on nawet nie uszkodził podwozia przy lądowaniu. Ale nikt o nim nie słyszał.

– Dlaczego?

– Bo odbył swój lot trzydziestego czerwca czternastego roku.

Harris gwizdnął i pokręcił głową.

– Prawda? Gran umówił się z kapitanami niemieckich i angielskich okrętów towarzyszących, że jeśli spadnie do morza, to go wyłowią, ale wszystkie jednostki wezwano z powrotem do portów w dniu, kiedy miał startować. Wojna wybuchła, gdy on był w powietrzu. Żadna zagraniczna gazeta nie poświęciła jego wyczynowi ani słowa.

Dopili swoje drinki i przez chwilę jeszcze milczeli.

– To dziwne – powiedział w końcu Harrison. – Norwegowie wierzą w coś, co nazywają duchami towarzyszącymi. Zjawy zapowiadające to, co się stanie. Gran twierdził, że pewien norweski rybak usłyszał zapowiedź jego samolotu chwilę przed tym, jak on faktycznie nadleciał. A był to człowiek, który nigdy wcześniej nie słyszał warkotu silnika lotniczego.

– Słuchaj, teraz to naprawdę kończymy pić – powiedział Harris. – Jutro zrzucaamy bomby.

– Tak – powiedział Victor, odstawiając szklankę. – Jutro zrzucaamy bomby.

Wstał. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i rzucił tylko:

– Weź ze sobą coś na szczęście. Cokolwiek.

– A ty masz jakiś swój talizman?

– Owszem, mam.

– I co, działa?

– Nic nie przynosi szczęścia samo z siebie. Chodzi o to, by w to wierzyć.

Stuk młotka w Hekne

Jehans stał przy spichlerzu w Hekne, zastanawiając się, kiedy był tu po raz ostatni. Przed dwunastoma laty? Nie, chyba raczej trzynastoma. Gospodarstwo nie bardzo się przez ten czas zmieniło. Ale w tym naznaczonym nienawiścią okresie, przez lata wypełnione wściekłością, nie zwracał nigdy uwagi, jak wspaniałe są najstarsze drewniane zabudowania, nie pozwalał się oczarowywać równiutko zbudowanym schodom, nie myślał nigdy o tym, ile kobiecej pracy włożono w to miejsce, bo kobieca praca bywa niewidzialna, tak jak ścieżka nad strumień, która zarasta, gdy tylko przestaje się nią chodzić, pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie o nosidle ciężącym na barkach i jednostajnych dniach harówki. Podobnie zapomniani zostaną wszyscy tutejsi mieszkańcy, gdy tylko zabraknie rodziny, która mogłaby ich pamiętać.

Lecz teraz, dzisiaj, Jehans ich jeszcze pamiętał. Ludzi z Hekne. Zdawało mu się też, że widzi swoją matkę, coś w rodzaju jej poświaty, przemykającą nerwowo między oborą a domem mieszkalnym, dziewczynę dużo młodszą od niego, dziewczynę, która nosi w sobie dobro i niezłomną wolę, nie podejrzewając, w co przekują się te siły po jej śmierci. Myśli o matce zawsze wiązały się dla niego z melancholią i poczuciem bezkresu. Chadzała kiedyś pośród tych zabudowań, bez reszty pochłonięta swoim życiem, bez żadnego wglądu w przyszłość czy wiedzy o kolejnych pokoleniach, nie podejrzewając nawet, że urodzi właśnie jego i że on będzie tu teraz stał, wiedząc o niej więcej, niż ona kiedykolwiek miała się dowiedzieć o nim.

Pytanie, czy to ona wybrała Victora do życia poza wsią, nie dręczyło go już zanadto. Może w ogóle nie miała żadnego wyboru. Chętnie by jednak poznał prawdę i był pewien, że niezależnie od tego, co się faktycznie stało, nigdy by jej o nic nie winił.

Podszedł do kamienia szlifierskiego i rozejrział się wkoło. Nie przypuszczał, że będzie czuł w tym miejscu taki smutek. Teraz jednak ogarnęło go to właśnie uczucie. Przyszedł tu, by pożegnać się z Hekne. Majątek miał pójść pod młotek.

Źle zaczęło się dziać już pięć lat wcześniej, w roku 1912. W czasie wyrębu lasu zginął młody dzierżawca, na jego pogrzeb przyszli wszyscy podlegli gospodarzowi ludzie. Zmarły należał do drużyny pracującej niegdyś w Hellorn, więc również Jehans chciał go godnie pożegnać.

Osvald natomiast nie przyszedł.

Jehans stał przy trumnie i wodził wzrokiem po otaczających go mężczyznach. Widział, że coś się zaraz wydarzy. Że znów dojdzie do głosu wielka zbiorowa siła, którą wykazali się, oferując mu pomoc, tyle że tym razem Osvald otrzyma od swoich ludzi zupełnie niespodziewany cios.

Stało się to wreszcie wiosną, w kwietniu, pewnego wyjątkowo zimnego dnia, który Jehans dobrze zapamiętał, bo wiało, a w powietrzu tańczyły ciężkie płatki śniegu. Wichura przepędziła łagodną wiosenną pogodę i nadzieję na wczesne roztopy. W dzień taki jak tamten najlepiej było siedzieć pod dachem.

Choć był to także dobry dzień na opuszczenie Butangen.

Do tamtej chwili ze wsi emigrowały do Ameryki tylko pojedyncze rodziny, ale jeden z dzierżawców dowiedział się kilka miesięcy wcześniej, że w prowincji Saskatchewan w Kanadzie – krainie równinnej i płaskiej podobno „jak wody Løsnvatnet” – przydzielano nowym osadnikom wielkie połacie ziemi. Każda rodzina mogła dostać za darmo niewyobrażalne wręcz sześćdziesiąt cztery hektary, a jeśli decydowała się zostać, otrzymywała po jakimś czasie jeszcze więcej. Tyle tylko że rozciągało się tam prawdziwe pustkowienie, dobrze więc było mieć w pobliżu kogoś znajomego. I tak powstał plan. Sześć dużych rodzin. Przyjaźń zrodzona z niesprawiedliwości. Gdyby tak te rodziny zamieszkały w sześciu niezależnych, sąsiednich majątkach, w nowym kraju?

Jehans został uprzedzony o tym, co ma się wydarzyć, wyszedł więc z mleczarni, by się pożegnać. Często potem zastanawiał się, czy tamtego poranka oczekiwano od niego czegoś więcej. Wyjeżdżający zebrali się przed kościołem, przemarznięty tłumek w ciemnych ubraniach. Każda rodzina ciągnęła za sobą sanki z wielkimi kuframi. Ludzie mrużyli oczy od wiatru i śniegu, rozglądając się dookoła. Mówili

niewiele. Jehans pamiętał, że od grupy odłączyło się dwoje dzieci, które próbowały pobiec z powrotem do zagród, maluchy płakały, wielokrotnie powtarzając „dom”, ale szybko je złapano i wciągnięto z powrotem w tłumek grubo odzianych ludzi, więc zarówno one, jak ich płacz zniknęły z zasięgu wzroku i słuchu.

Dzierżawcy opuszczali Hekne i to on ich żegnał.

Powypowiadano kontrakty i Osvald z dnia na dzień stracił dziewięciu pracowitych mężczyzn i dwanaście silnych kobiet, do tego jeszcze jakieś ośmioro czy dziesięcioro zdolnych do pracy dzieciaków. Ludzie zostawili klucze na kuchennych stołach i dogasający ogień w piecach.

Halvfarelia opustoszała. Podobnie jak pięć innych zagród.

Od tamtego dnia Osvald prządlł coraz cienie. Nie udało mu się znaleźć nowych dzierżawców i w końcu musiał się biedzić z dużą grupą najętych pracowników. Rok później sprzedał krowy, bo nie miał paszy na zimę, a gdy przyszedł styczeń, musiał schować dumę do kieszeni i pojechać do Vålebrua, gdzie zamówił kosiarkę i snopowiązałkę. Maszyny miały jednak zostać dostarczone dopiero w czerwcu, a ponieważ były za ciężkie, by przetransportować je letnią porą przez mokradła, Osvald zdecydował się w końcu na zakup nowszych, droższych modeli, które mógł dostać od ręki. Wielka wojna spowodowała wzrost odsetek, więc choćby gospodarz nie wiadomo ile wkładał pracy w zapanowanie nad ludźmi i maszynami, potrzebował wciąż coraz więcej pieniędzy i wkrótce już dostał pierwsze pismo z kasy oszczędnościowej, w którym informowano go, że zalega ze spłatami, upominając jednocześnie, iż wziął pożyczkę pod zastaw gospodarstwa. Wszystko to miało miejsce w pogodny i urodzajny lato roku 1916, później przyszedł rok kolejny i było już jasne, że majątek zostanie wystawiony na licytację. Tak oto Jehans stał tu teraz, patrząc, jak wielki rozdział historii jego rodu dobiega końca.

Cóż, ten koniec nadszedł właściwie już wcześniej. Butangen stało się zupełnie inną wsią, a on wiedział, że za zmianę tę odpowiadają oboje z Kristine.

Ich małżeństwo nadal jakoś funkcjonowało. Jego żona ukończyła dwuletnią Szkołę Mleczarstwa, w tym czasie interes prowadziły Topielcowa i Ada Borgen. Kristine wróciła w końcu do domu z oprawionym w ramę dyplomem i nowym płaszczem. Najlepiej rozmawiało im się teraz o budowaniu i instalowaniu.

Jadali razem obiady, pijali kawę i chadzali ze sobą do łóżka, ale nikogo wspólnie nie odwiedzali, nie tańczyli ze sobą, a ich uściski były krótkie. Jeśli już o czymś ze sobą mówili, to o sprawach błahych i codziennych, ich pogawędki przypominały coraz bardziej rozmowy, które Jehans prowadził w najtrudniejszych latach z Kaiem Schweigaardem – nie dotykając istoty sprawy. Podziwiał swoją żonę, o tak, ale upór i złość dzielona przez nich w Jednoizbówce gdzieś się ulotniły, podobnie jak tamta namiętność i dzikość z Ormsetra, potrzeba, by pobiec do niej przez góry, gorączkowa pogoń za jedyną istniejącą na tym świecie Kristine Messelt. W ostatnich tygodniach sypiali odwróceniem do siebie plecami, a ona rzadko się do niego w nocy przytulała.

Wina leży też po mojej stronie, pomyślał Jehans.

Czyżby to było wszystko?

Prądnice i rurociągi?

W ich sypialni panowała ciasnota i smutek, a on nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kraga już dawno wykupił, ale od lat nie strzelał do renów, natomiast wyjeżdżał w interesach również jesienią. Rozwazał zakup psa myśliwskiego i dubeltówki, ale – uświadomił sobie z żalem – nie miałby żadnego kompana do polowań, którego mógłby zabierać w góry.

Z tej jego tęsknoty wyłaniała się od czasu do czasu twarz. Była to twarz człowieka, który z pewnością wiedział, jak poruszać się z odbezpieczoną bronią, podchodząc od właściwej strony do psa, który zaaportował ustrzelonego ptaka. I z którym rozumiałby się co do tego bez słów.

A tymczasem było, jak było.

Jehans wstydził się takich myśli. Brzydziła go przepelniająca je rezygnacja.

Mimo to, choć było, jak było, mogło być przecież gorzej. Uzbierali sporo pieniędzy na książeczkę bankowej. Dostali pożyczkę na budowę nowej mleczarni z nowoczesnymi maszynami. Inwestycja ta miała pochłoniąć wszystkie ich oszczędności i dwa lata pracy, lecz nawet gdy stosunki między nim a Kristine były naprawdę chłodne, Jehans myślał sobie: Chcę to dla niej zrobić. Zbudujemy to razem.

Własnymi rękoma.

Podpisał wszystkie niezbędne dokumenty, ale ludzie z kasy oszczędnościowej zbili się w grupkę i zaczęli mamrotać, on zaś zdążył już pomyśleć, że, ach tak, jednak mu nie ufają. Szef banku wrócił do niego z wielkim, spisanim odręcznie protokołem i spytał, czemu nie spieniężył wykupionych w jego imieniu udziałów w Norweskiej Spółce Azotowej. Jakiś czas temu pastor Schweigaard przekazał bankowi pewną sumę, prosząc o jej „rozsądne zainwestowanie”, i tak oto z dziewięćdziesięciu koron zrobiło się prawie dwieście.

Licytacja miała ruszyć za godzinę. Przybyli na nią ludzie spoza wsi, w parach i trójkach, mężczyźni między czterdziestką a pięćdziesiątką, w najlepszym dla gospodarza wieku, mający jeszcze długie życie przed sobą i dorastających dziedziców. Ludzie gotowi na nowe inwestycje.

Do spichlerza podeszło trzech mężczyzn, nie zwracając uwagi na Jehansa. Pewnie wzięli go za parobka, co zresztą zupełnie mu nie przeszkadzało.

Nie miał pojęcia, na ile rejent wycenił majątek, zresztą nikt nie potrafił precyzyjnie wyliczyć, jaka zapłata byłaby odpowiednia. Wojna i inflacja wszystko pomieszały, a jedynym punktem odniesienia było to, że gospodarstwa w Brekkom sprzedawało się w ostatnich latach za kwoty od sześciu do piętnastu tysięcy koron. Tyle tylko że odsetki znów poszły w górę, więc Hekne mogło zostać sprzedane za jakieś dziesięć, przy odrobinie szczęścia może dwanaście tysięcy.

Jehans pragnął, by była przy nim Kristine. I by mogła go teraz zobaczyć.

Jego samego i miejsce, które go ukształtowało.

Lecz ona wyjechała właśnie do Kristianii, na kurs obsługi nowych pasteryzatorów.

Spojrzał ku oknom domu. Żadnego ruchu za szybami. Osvald zakazał pewnie dzieciom wychodzić na dwór.

Jakiś obcy człowiek zaczął rozstawiać przy kamieniu szlifiernym stolik dla lensmana. Na szczybie zbocza, tak by ludzie mogli się zebrać nieco niżej. Mężczyzna podłożył pod nogi stołu dwa kamienie, by się nie kołysał, a potem lensman umieścił na blacie swoją teczkę i wyjął z niej brązowy drewniany młotek.

Jehans zastanawiał się, czy jest w tym wszystkim jakaś jego wina. Hekne było jednym majątkiem bez prądu i możliwości dostaw do mleczarni. Gospodarstwo wyglądało pod wieloma względami tak jak za czasów zrosniętych ze sobą siostr.

Wcześniej nie myślał o nich zbyt wiele, ale teraz znów się rozejrzał i uderzyła go świadomość: One naprawdę żyły. Tutaj. Tkały w jednej z izb, możliwe, że w tej samej spały. I gdzieś tu mieszkał także ich ojciec, Eirik Hekne. Człowiek, który dokonał wielkiego czynu. Odlął Siostrzane Dzwony, tak kosztowne, że jego majątek trafił nieomal pod młotek.

Od tego człowieka pochodził.

Znów pomyślał o swoim bracie.

„Co ty wiesz o tym, ile by mnie to kosztowało?”

Czy Victor poczuł wtedy nad Løsnestvatnet to, co Jehans czuł teraz? Zobowiązanie wobec jakiegoś miejsca i wszystkich, którzy kiedyś w nim żyli?

Gospodarstwo to tylko ziemia i drewno. Lecz mimo wszystko było tu coś jeszcze. Jakaś niewidzialna siła, która czegoś chciała. Która leżała uśpiona pod rządami Osvalda. Czy to właśnie ją teraz czuł? Czy chodziło o te słynne „hekneńskie zwyczaje”? Właściwie tym, którzy porywają się do wielkich czynów i wygrywają, nawet ponosząc porażkę?

Jehans zaczął się bawić tą myślą. I bawił się tak długo, że zupełnie przeoczył moment, w którym myśl zaczęła bawić się nim.

Lensman zażądał ciszy i oświadczył, że rozpoczyna licytację. Gospodarstwo Hekne, z prawami do łowisk, górskimi pastwiskami i zagrodami dzierżawców, miało z początku zostać wystawione na sprzedaż w całości. Jeśli nikt nie złoży odpowiedniej oferty, majątek będzie podzielony. W takiej sytuacji sprzeda się kosiarkę i snopowiązałkę, następnie zaś Halvfarelia i pozostałe zagrody dzierżawców. I tak dalej, aż w końcu pełna kwota roszczenia zostanie pokryta, bo w ten sposób nadal da się prowadzić gospodarstwo, tyle tylko że nieco pomniejszone.

Była to nie lada nowina. Oznaczało to, że kwota roszczenia była całkiem wysoka, lecz również

to, że Osvald miał już chyba wszystkiego dość i najchętniej pozbyłby się całego majątku.

– W pierwszej kolejności wystawiamy całe gospodarstwo Hekne – oświadczył licytator. – Wpłynęła do nas oferta sześciu tysięcy koron.

Zebrani zaczęli między sobą szeptać. Wyglądało na to, że jeden z obcych mężczyzn przekazał swoją ofertę w kopercie. Ktoś powiedział, że to wstyd, ktoś inny się zdziwił, że ludzie w ogóle mają takie pieniądze, a potem wszyscy zamilkli w oczekiwaniu, by zobaczyć, kto takie kwoty posiada.

W pierwszym rzędzie zgromadzonych stał Lars Romsås. Było znanym faktem, że nosi się on z zamiarem kupna Hekne. Miał dwóch synów, których chciał zatrzymać blisko siebie, i oto prężył się przed nimi, bogacz z wielkim planem. Rozejrzał się dookoła, wetknął kciuki w kieszenie spodni i nieco je rozciągnął, szykując się do głośnego złożenia oferty.

Jehans zaczął torować sobie drogę przez tłum. Ogarnęło go nagle dzikie, desperackie poczucie konieczności. Podobne do tego, które kierowało nim, gdy kupował kraga i Hellorn. Poczucie konieczności, by popędzić do tygła z całym swoim majątkiem. Być znów sobą.

– Siedem tysięcy koron! – zawołał.

Odpowiedziało mu powszechne zaskoczenie i szelest ubrań. Ludzie odwrócili głowy, by zobaczyć, kto złożył taką ofertę. Lars Romsås odszukał go wzrokiem i Jehans spojrzał mu w oczy.

Wszyscy czekali, co będzie.

Gospodarz z Romsås przygryzł wargę. Znów zerknął na Jehansa. Skłonił się nieznacznie i sam też przybrał wyczekującą postawę.

Nie padła żadna inna oferta.

Lensman odchrząknął i zawołał:

– Czy licytujący może tu podejść?

Jehans wyszedł z tłumy i wspiął się na wzgórze, ku kamieniowi szlifierskiemu. Wśród zebranych panowało dojmujące milczenie.

– Siedem tysięcy – powiedział lensman cicho. – Masz świadomość, że powiedziałeś siedem tysięcy? To będzie wiążąca oferta.

– Czy ta kwota pokryje wszystkie podatki? – zapytał Jehans.

Lensman mu na to nie odpowiedział, rzekł tylko:

– Uiszczenie opłaty nie jest konieczne z dnia na dzień. Nie w przypadku sprzedaży gospodarstwa. Ale musisz mi udowodnić, że jesteś w stanie zdobyć takie pieniądze.

– Podpisałem umowę kredytową na sześć tysięcy. Mieliśmy budować nową mleczarnię.

– Masz ją przy sobie?

– Nie. Zostawiłem w domu. Ale gospodarz Gildevollen ją widział. Stoi tutaj, z tyłu.

– Tak, widzę go. I teraz chcesz jednak wydać te pieniądze na gospodarstwo?

– Bo ono dopiero teraz trafiło na sprzedaż.

– Ten kredyt... da się zmienić umowę?

– Jak chodzi o Hekne, to wszystko się da. Możemy urządzić mleczarnię w jednym z tutejszych zabudowań.

– Ale wtedy zabraknie ci pieniędzy na... no cóż, to twoja sprawa. Mówisz, że kredyt dostałeś na sześć tysięcy. A skąd weźmiesz ostatni tysiąc?

– Mam trochę grosza w kasie oszczędnościowej. Jakoś się te pieniądze uzbiera.

Lensman poprosił go, by podszedł jeszcze bliżej, i rzekł:

– Jeśli będą z tego jakieś kłopoty, jakiegokolwiek, to wsadzę cię do więzienia dla dłużników. Jestem lensmanem. Powtarzam: jestem lensmanem. Patrzy na nas cała wieś. Siedem tysięcy koron ma być zapłacone w ciągu tygodnia. Potem nie podaruję ci już ani jednego dnia. Zakuję cię w kajdanki i odstawię do celi. Możesz jeszcze wycofać ofertę.

Jehans oświadczył, że jego oferta jest aktualna. Wrócił między zebranych. Wzrok mężczyzn błędził między lensmanem, Jehansem a Larsem Romsåsem, który stał uśmiechnięty, z rękoma splecionymi na plecach.

– Siedem tysięcy koron po raz pierwszy!

Było tak cicho, że ludzie usłyszeli psa szczekającego we Fjellstad.

Lensman powtórzył kwotę.

Nadal panowała cisza. Zupełnie jak wtedy, gdy milkną kościelne dzwony.

Ciszę tę przerwał stuk młotka, trzy mocne uderzenia drewna o drewno odbiły się od ścian zabudowań w Hekne i poniosły ku zgromadzonym, minęły nowy kościół i zabrzmiały ponad wodami Løsnvatnet.

Kiedyś byliśmy razem

– Możemy wszystko zainstalować w chacie wycuźników – powiedział Jehans. – Zająć cały parter. Niewiele z tym będzie pracy. Nie będziemy musieli budować niczego od nowa. A pieniądze na sprzęt weźmiemy ze sprzedaży kosiarki.

– No tak. Kosiarkę sobie sprzedamy. A potem co, sam będziesz biegał z kosą po łące?

Nad ich głowami wisiała niezapalona lampa, w rogu zaś na kołku kurtka Jehansa. Kristine nie zdążyła jeszcze zdjąć kupionego w Kristianii płaszcza. Stali w ciasnym korytarzu między kuchnią a salonem w gmachu mleczarni, między izbami, w których mieszkali od lat, nie dbając o nie przesadnie ani nie przykładając szczególnej wagi do ich wystroju.

– Nie tak się umawialiśmy, Jehansie! Mieliśmy zbudować mleczarnię od nowa! Z nowymi maszynami! I betonową podłogą, którą łatwo utrzymać w czystości. A ty mi proponujesz krzywe drewniane chaty z początku siedemnastego wieku. Mieliśmy zbudować mleczarnię, która przetrwa dziesiątki lat! A nie znów coś tymczasowego. To miał być osobny, wolno stojący budynek! Tak żeby ludzie mogli wchodzić do sklepu bez przekonania, że ładują się nam do prywatnego mieszkania!

Była zupełnie spokojna. I chyba dlatego Jehans wyraźnie widział, że wszystko się w niej gotuje. Zupełnie jak wtedy, gdy zbliżył dłoń do rurociągu i poczuł dudniące w nim, niewidzialne, lecz ogromne siły.

– Siedziałam nad szkicami każdego wieczora w Levanger. Trzy sale z dobrym oświetleniem. Wszystkie maszyny, a wśród nich duży pasteryzator. Osobne pomieszczenie do wyrobu serów. Chłodnia. Szatnia z umywalnią dla kobiet. Wyobrażałam sobie takie małe tabliczki, na których wygrawerowałybyśmy nasze nazwiska. W mosiądzu. Żeby każda z nas miała pewność, że tutaj, tu właśnie mamy stałą pracę.

– No tak, ale... pomyśl o cenie, Kristine! Siedem tysięcy! Za całe gospodarstwo. Wszystko nam się tylko trochę opóźni.

Kristine prychnęła.

– Poza tym mamy na koncie dwieście koron.

– Niby skąd?

– To za obraz namalowany przez mojego ojca. Sprzedano go w Niemczech za dziewięćdziesiąt koron. To Victor... no, nieważne. W każdym razie Schweigaard zainwestował tę kwotę w papiery wartościowe i sporo na tym dla nas zarobił.

– Dziewięćdziesiąt koron? – krzyknęła Kristine. – Cały ten czas mieliśmy dziewięćdziesiąt koron?

I wtedy uderzyła go pierwszy raz, odkąd się poznali. Miała na palcu obrączkę, a ostre druciane zadziory podrapały mu policzek.

– Boże kochany, spójrz na nas tylko. Pozwalałeś mi zaharowywać się w Hellorn. Postarzałam się tam o pięć lat w ciągu roku, Jehansie! Ale to, co zrobiłeś teraz, jest dużo gorsze. Ja nigdy nie chciałam kupować Hekne! Pragnęłam czegoś swojego! A ty nie miałeś mi do zaoferowania niczego poza harówką, prawda?

– No, skoro tak mówisz...

– O, widzisz! I oto cały nasz problem. „Skoro tak mówisz”, patrzcie go! Bo dopiero jak ja coś powiem, to do ciebie dociera! Dlatego przed każdą ważną decyzją musisz się ze mną rozmówić! Tak to ustaliliśmy!

– Ale to Hekne, Kristine! Majątek mojej matki! Hekne! A Halvfarella jest przecież jego częścią! Mógłbym sprowadzić tu z powrotem Adolfa i Ingeborg!

– Powinieneś był mnie zapytać. To był twój obowiązek. Kim byłeś dla mnie przez te ostatnie lata? Prawie nikim. Mężczyzną w łóżku. Inżynierem, mistrzem prądnic. Ja też się zajmowałam swoimi sprawami. Takimi, co to ich zawsze pilnują kobiety, choć nikt tego nie widzi i nie docenia. I co, chcesz mnie od nich teraz oderwać? Żeby ci oporządzała Hekne? A ty będziesz siedział na stołku, toczył

dookoła wzrokiem i się radował, że przepędziłeś Osvalda?

– Ależ Kristine, przecież wszystko nam się udało! Spójrz tylko pod sufit. I patrz. Naciskam teraz ten guzik. Widzisz? Światło. A ty prowadzisz zelektryfikowaną mleczarnię!

– No właśnie, dokładnie to robię! Prowadzę mleczarnię. A ty teraz chcesz, żebym przejęła gospodarstwo? Musimy znaleźć ludzi do pracy, pasterki i mleczne krowy, o te zabudowania trzeba dbać... ile ich właściwie jest? Dziewięć drewnianych domów z krzywymi łupkowymi dachami?

– Dwanaście. I dwie chaty na górskich pastwiskach.

– Musimy kupić ziarno do siewu, sztuczny nawóz, wszystko. Taniejszych okien i podłóg nie sposób utrzymać w czystości. Może i zapłaciłeś za majątek siedem tysięcy, ale potrzeba kolejnych czterech, by dało się to gospodarstwo prowadzić. Ach, kochany, wpadłam na coś jeszcze... nie ma teraz w oborze krów, co?

Jehans potrząsnął głową.

– Obora jest pusta. Osvald sprzedał zwierzęta już wcześniej.

– No i dobrze. Że nie ma tam zwierząt. Będziemy mogli od razu się zabrać do roboty.

Kristine nieco się uspokoiła.

– Osvald podobno dostał pracę zarządcy gdzieś w Biri – powiedział Jehans. – Nie chciał mnie nawet widzieć. Wyjeżdżają pojutrze.

Znów wezbrała w niej wściekłość.

– Powinam to była już dawno zrozumieć. Tacy już są ludzie z Hekne. Rzucają się na głęboką wodę, nie rozumiejąc, że zaraz utoną!

– Ależ Kristine. Olaboga. Spójrz na nas tylko! Mieszkamy w dwóch maleńkich izdebkach i pracujemy do późnego wieczora. Hekne mogłoby się stać...

– „Olaboga”, patrzcie go. Odkupiłeś od Osvalda też jego sposób mówienia? Kiedy do ciebie dotrze, że nie jesteś żadnym gospodarzem? Jesteś myśliwym, Jehansie! Przede wszystkim właśnie myśliwym. Czasy się zmieniły. Hekne jest zupełnie innym majątkiem, niż zapamiętałeś. Już nie tym, w którym ma się do pomocy trzydziestu ludzi, chłopów i bab doskonale wiedzących, co mają zrobić i robiących to wszystko na każde skinienie gospodarza, bez słowa skargi. Będziemy musieli nająć parobków i kupić narzędzia. Wiesz co? Osvald kolejny raz wystrychnął cię na dudka, Jehansie.

– Wcale nie. Zostałem właścicielem Hekne, Kristine. Może i zajmie nam to parę lat, ale będziemy mieli i gospodarstwo, i mleczarnię. Ale to ja powinienem był już dawno zrozumieć, jaka ty jesteś.

– Jaka ja jestem?

– Tak, bo pewność mam co do jednego. Kiedy tylko nowa mleczarnia będzie gotowa, ty zechcesz innej, jeszcze większej! A niedługo ci się zamarzy wyprowadzka ze wsi!

– A co w tym złego, że człowiek chce czegoś więcej? Wyszliśmy ze strasznej biedy, więc czemu nie pść się dalej w górę? Nikt sam z siebie nie chce przecież iść w dół! A Hekne nas tylko obciąży! Harowaliśmy w Hellorn, ja harowałam w mleczarni. Ale to nie był dla mnie frasunek. Robota na nas czekała, ale mogliśmy ją wykonać własnymi rękoma. A teraz chcesz, żebym siedziała z frasunkiem?

Jehans po raz pierwszy pożałował ubitego interesu. Bo to sformułowanie należało do najprzykrzejszych w całym okolicznym dialekcie. Niewiele było gorszych rzeczy od „siedzenia z frasunkiem”. Lepiej już cierpieć na ból pleców. Siedzieć z frasunkiem to jakby budzić się co noc, przez całe życie, z rwącym zębem. W tym frasunku zawierała się cała troska gospodarza o wszystko, co trzeba było zrobić, zmartwienie o butwiejące drewno i przeciekający dach, o zbiory, długi, zmarznięte zboże. Frasunek był słowem dla rolników i duchownych. Słowem dla Osvalda Hekne, a on kupił teraz od niego to słowo, płacąc za nie siedem tysięcy koron.

Szybko dostrzegł coś jeszcze. Kolejny powód. Ten, o którym nigdy nie rozmawiali.

No bo jak to będzie wyglądać? Zapracowana, bezdzietna zarządczyni mleczarni to jedno. Lecz gospodyni bez dziedzica – coś innego. Ten dom miał dwanaście sypialni. A dziecka ani jednego. W dawnych czasach takich rzeczy nie dostrzegano, bo majątki i tak były pełne ludzi i dalszej rodziny. Ale teraz byli we dwoje. W zbyt wielkim gospodarstwie. Z pustymi sypialniami.

Kristine weszła do pokoju, zamknęła się i Jehans usłyszał, że wysuwa szufladę. Kiedy w końcu do niego wróciła, miała na sobie ciepłe ubrania i buty, na plecach zaś – szary, wypakowany worek.

– Ostrzegłam cię wtedy w Hellorn – powiedziała. – Wiele lat temu. Miałeś nigdy już czegoś takiego nie zrobić. Obiecałeś mi to i tę obietnicę złamałeś. Więc zostań tu sobie z tym swoim majątkiem. Kiedyś byliśmy razem, Jehansie, i nam się udawało. Ale teraz żyjemy osobno.

Gdyby chociaż trzasnęła drzwiami. Ale ona zamknęła je za sobą spokojnie, by mógł zapamiętać cichy chrzęst zamka w chwili, gdy na zawsze od niego odeszła.

Lecz nie w płomieniach

Te poranki, gdy był sam na sam z chmurami. Gdy zabudowania w Finlaggan spały za jego plecami, a on szedł na skraj świeżo skoszonej łąki z pilotką w lewej dłoni i papierosem w prawej, a potem gasił tego papierosa w bezpiecznej odległości, zanim jeszcze poczuł zapach samolotu – woń benzyny, oleju i impregnatu na skrzydłach z płótna żaglowego. Zapach skórzanego siedzenia. Wszystkie te wonie zaczynały drażnić jego nozdrza już z odległości trzydziestu metrów i jeszcze bardziej niż sam widok uświadamiały mu, że samolot istnieje naprawdę. A gdy blériot wzlatywał ponad ziemię, czuł zapach unoszący się nad rzekami, czasem zaś, po burzy – charakterystyczną woń ozonu. Potem docierał do położonych wyżej chłodnych warstw powietrza i mógł z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć zmiany pogody mające nastąpić za parę godzin. W końcu zawsze lądował, grzał dłonie, zbliżając je do ciepłego silnika, i widział, jak ojciec macha mu laseczką – stary człowiek zbudzony przez warkot samolotu.

Te poranki, gdy wzbijał się ku niebu.

W odróżnieniu od tego jednego poranka, który rozpoczął się za dziesięć czwarta w oficerskim namiocie na południe od Peronne.

Czasem budził go deszcz bębniący o napięte jasnobrązowe płótno. Lecz tej nocy zbudził go koszmar o martwym żołnierzu.

Jak niemal wszyscy, zamykał oczy lub odwracał wzrok, gdy bomby czy pociski trafiały w swoje cele. To dlatego każdy zazwyczaj inaczej wspominał to, co działo się na polu walki. Ale pewnego dnia rok wcześniej Victor miał oczy szeroko otwarte. Lecieli myśliwcami Sopwith z rozkazem ostrzeliwania wycofujących się niemieckich żołnierzy – rozkazów takich nie lubił żaden lotnik. Wyruszyli szarym świtem całą eskadrą i udało im się zabić wszystkich niemal przeciwników. Został jeden żołnierz z mauserem. Wycelował w jego samolot, wystrzelił, lecz nie trafił i zaczął przeładowywać broń. Victor zawrócił, wziął przeciwnika na celownik i podleciał tak blisko, że zobaczył go wyraźnie – młodego chłopaka w za dużym mundurze. Chciał odbić w bok i zostawić go w spokoju, ale jego palec sam z siebie nacisnął spust karabinu maszynowego. Victor widział, jak kolejne pociski wstrząsają ciałem chłopaka, który padł i został już na ziemi z drgającymi nogami, hełm potoczył się nad jego głową, kreśląc półokrąg, a z ran popłynęła krew.

Może byłem z tobą spokrewniony, pomyślał Victor. Przecież jestem w połowie Niemcem.

Twarz tamtego chłopaka wryła się w jego pamięć i nie dawała się stamtąd wymazać, chyba że zażywał dużą dawkę weronalu.

Usiadł, wybudzony ze snu. Ziemia zdawała się nieznacznie drżeć, w oddali huczały działa. Wilgoć po wewnętrznej stronie namiotowego płótna zbierała się w krople i ściekała wąskimi strużkami.

Granaty padały dość blisko, ale wiedział, że nie sięgną płyty lotniska.

Jako pilot miał własny namiot z drewnianą podłogą i wygodną pryczą. Podeszedł teraz do niewielkiego składanego stolika, na którym stała szklanka do płukania ust i miednica, wyszorował zęby w blasku świecy łożowej i przejrzał się w małym lusterku leżącym płasko na blacie. Spadło mu kilka dni wcześniej i pękło wzdłuż, więc ilekroć poruszał głowę, jego rysy odbijały się w nim zniekształcone. Dożył wieku o wiele starszego niż jego domniemany ojciec i gdyby pojechał teraz do Norwegii, pastor nie rozpoznałby go być może jako syna Gerharda Schönauera.

No właśnie, pastor. Kilka razy do roku Victor dostawał od niego listy, zawsze przekierowane z Finlaggan, preadresowane ręką Kumary. Ojciec pisał do niego co drugi tydzień. Victor odpowiadał na jego listy, na pisma od pastora zaś – nigdy, choć Harrison senior opowiadał tylko, co słycać w Finlaggan, załączając czasami kilka obojętnych uwag o matce i Josephie. Od ostatniego urlopu Victora minął ponad rok – był wtedy w domu i stwierdził, że ojciec wyraźnie zmizerniał. Nie miał już siły śledzić zbyt uważnie doniesień ze świata, ale Kumara troskliwie się nim opiekował, wyprowadzał go na spacer i starszek żył w rytmie zmieniających się pór roku.

Do Finlaggan zawitała jesień. Boli mnie bark, nie mogę nawet porządnie zarzucić muchy (ale

prędzej szczepę, niż pozwolę, by ktoś zobaczył, że łowię na haczyk i robaka). Czasem jednak mi się udaje (pstrągi bywają łaskawe dla biednych starców). Z bronią na szczęście radzę sobie nadal nieźle. Przedwczoraj ustrzeliłem nawet bażanta (wcześniej trzy razy spudłowałem, ale o tym sza).

Victorze. Wiem, że musisz robić to, co musisz. Ale postaraj się też robić wszystko, co trzeba, aby przeżyć.

Bardzo Cię o to proszę.

Uściski, ojciec

Jakże inne były listy od Kaia Schweigaarda. Z pozoru zawierały ogólne opisy życia na norweskiej wsi, lecz pomiędzy ich wierszami dało się wyczytać wielką mądrość, którą Victor coraz bardziej doceniał. Pastor zawsze wspominał o tym, co robi Jehans, nie nalegał już jednak, by bracia się pogodzili. W ciągu kilku ostatnich lat listy stały się o wiele bardziej osobiste, Schweigaard pisał, że dręczą go starcze zmartwienia, jak to nazywał, strach przed jakąś katastrofą i końcem wszechrzeczy. We wszystkich jego listach dawało się również wyczytać pewną formę religijności niezwiązaną z krzyżem, lecz raczej z nadzieją dla ludzi i świata.

Victor często czytał listy Schweigaarda po kilka razy, koiliły one bowiem ból, który coraz bardziej mu doskwierał. Coraz częściej uświadamiał sobie, że dotychczas poświęcał w swoim życiu energię i uwagę sprawom błahym i marnym. Większość ludzkich istnień okazywała się błaha i marna. Widział to doskonale, gdy podrywał samolot do lotu i oglądał całe to szaleństwo z góry. Nagle, wysoko w powietrzu, dochodził do wniosku, że nie rozumie ludzi, tak jak nie rozumiał uwijających się jak w ukropie mrówek, gdy kuczał nad ich mrowiskiem.

Nadal rozbrzmiewały wybuchy. Na składanym stoliku podzwaniała w szklance szczoteczka do zębów. W oddali rozległo się kilka głośnych grzmotów i szklanka podskoczyła. To właśnie te działa mieli bombardować za kilka godzin. Wybuchły kolejne granaty. Brzytwa do golenia zazgrzytała o blaszaną miskę.

Wydawało się, że wróg strzela z bardzo bliska. Czy to możliwe, że artyleria miała jeszcze większy zasięg niż wcześniej? Chyba nie. Zawsze brzmiało to gorzej niż w rzeczywistości. Gdy w 1916 roku zaminowano i wysadzono w powietrze fortyfikacje, co dało początek bitwie nad Sommą, drgania były wyczuwalne aż w Londynie.

Granaty nie padały wcale tej nocy ani bliżej, ani dalej niż poprzednio. Victor po prostu zapomniał, jak brzmiały ich wybuchy noc wcześniej.

Poczuł, że drżą mu palce, gdy zaś artyleria wróciła do ostrzału po krótkiej przerwie, zdało mu się, że słyszy nie huk dział, tylko bicie kościelnych dzwonów. Musiał sobie powtarzać, że to tylko rojenia, ale prawda była taka, że w trzecim roku wojny dźwięki zaczęły mu się mieszać i wcale już nie był pewien ich źródła. Czasami odnosił wrażenie, że zakrzywieniu ulega cała rzeczywistość. Mylił niekiedy pola bitewne z norweskim krajobrazem albo nagle przenosił się w myślach na Cejlon, a już w następnej chwili zdawało mu się, iż zrzucane na Niemcy bomby spadają na Finlaggan. Każdy pies, który grał rolę oddziałowej maskotki, wyglądał jak Pidge, żołnierz z jego koszmarów miewał czasem twarz Jehansa albo Elsy Rathenau z Drezna, kiedy zaś Victor leciał nad wodą, coraz częściej sądził, że widzi powierzchnię Løsnestvatnet.

Poprzedniego dnia usłyszał, jak kościelne dzwony biją nad Peronne, i pomyślał o starej świątyni w Dreźnie. W Niemczech panował taki deficyt materiałów, że połowa dzwonów w tym kraju została przetopiona na działa.

Działa, które znów hukną. Nagle Victor się wystraszył dużo bardziej niż wcześniej.

A jeśli tamten dzwon też przetopili? Ten, do którego nie miał odwagi się wspiąć? Jeśli to jego teraz słyszał? Jeśli to Halfrid do niego wołała?

A potem znów wzleciał w powietrze i w jego uszach zabrzmiał warkot trzystu siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Kapitan Harrison przy sterach. Z talizmanem w wewnętrznej kieszeni

kurtki.

Za plecami miał drugiego pilota, Thorne'a, doświadczonego lotnika, który doskonale wiedział, kiedy zrzucić bomby i strzelać.

Do akcji miało wyruszyć łącznie siedem bombowców. Towarzyszyły im cztery myśliwce. Nagle dowódca eskadry odbił w bok. Był to człowiek o naprawdę sokolim wzroku, Victor nie służył nigdy pod kimś takim jak on. Jego specjalnością były ataki z zaskoczenia. Teraz wypatrzył najpewniej lepszy cel niż wyznaczona im pierwotnie artyleria.

Victor również ujrzał ten cel, daleko w dole, za zasłoną porannej mgły.

Żołnierze, konie i samochody ciężarowe w ruchu. Niemcy przeprowadzali większość manewrów pod osłoną nocy, ale ci ludzie najwidoczniej mieli z jakiegoś powodu opóźnienie. Była to potężna kolumna, długości jakiegoś kilometra, oni zaś ustawili samoloty jeden za drugim, przygotowując się do zrzucenia bomb. Victor usłyszał długie serie z karabinów maszynowych, ale nie był w stanie stwierdzić, czy to strzela wróg, czy ich własne siły. Pierwszy samolot zrzucił bombę na samochód ciężarowy, trafiając w obrany cel. Musiano przewozić w nim granaty, bo auto eksplodowało tak potężnie, że płomienie liznęły brzuch samolotu, a gdy Victor przeleciał nad zniszczoną ciężarówką, jego maszyna zatrzęsała się od podmuchów gorącego powietrza.

Czekał, aż Thorne zrzuci bomby, ale nic takiego nie nastąpiło. Żołnierze pod nimi biegali między okopami, rozstawiając karabiny maszynowe. Dwaj jadący konno oficerowie puścili się galopem przez równinę. W pościg za nimi ruszył myśliwiec Sopwith i jeden z koni runął wkrótce na ziemię.

Samoloty wzbily się wyżej, by zawrócić, Victor poczuł unoszący się nad ziemią kwaśny zapach dymu, ujrzał konających żołnierzy i nadpalone końskie truchła.

Dopomóż nam, Boże. Co myśmy zrobili? Wielki Boże, co myśmy zrobili?

Przecież zrobiliśmy tylko to, co oni robią nam.

Nagle pękło szkiełko wysokościomierza, a już sekundę później Victor ujrzał trzy dziury w kadłubie samolotu, zaraz przy swoim ramieniu. Usłyszał za plecami terkot karabinu, a gdy się obejrzał, zobaczył w promieniach porannego słońca klucz fokkerów.

Odwrócił się do Thorne'a i zawołał:

– Nie widzisz ich? Na lewo od nas!

Rozległy się kolejne wystrzały.

– Thorne! Zrób coś do cholery!

Obejrzał się po raz kolejny i zobaczył zgarbione plecy Thorne'a. Jego towarzysz trzymał dłoń na karabinie, ale nadal nie strzelał.

Do diabła. Był martwy!

Kolejne myśli uleciały mu z głowy, zanim zdążył je sformułować, zaschło mu w ustach, a serce zaczęło bić jak oszalałe.

Wokół niego rysowały się na niebie czerwone pasy. Działa w dole musiały strzelać amunicją smugową. Takie pociski rzadko trafiały, ale świetliste smugi rzucały się w oczy bardziej niż samoloty, dlatego był teraz pewien, że ściągnie na siebie uwagę kolejnych fokkerów.

Po lewej stronie ujrzał dym z trafionego bombowca. Pilota też musiała dosięgnąć kula, bo nie próbował nawet skorygować kursu. Smuga dymu rysowała się na niebie prostą linią, bez nieregularności ani zakrętów, a lotnik podążał po tej linii wprost ku śmierci.

Gdzie się podziiali wszyscy inni?

Victor usłyszał dochodzące z dołu dudnienie i tuż przed jego śmigłem wyrósł nagle wielki cień. Musiał to być pocisk jakiegoś nowego rodzaju artylerii przeciwlotniczej. Umożliwiającej szybkie, precyzyjne celowanie. Obliczonej na tylko jeden efekt. Zestrzelenie jego maszyny.

Gdzie oni się podziiali?

W oddali dostrzegł kolejny zestrzelony samolot, oprócz tego nie miał w zasięgu wzroku nikogo.

Z bazy wyleciało sześć bombowców, a wyglądało na to, że został tylko on.

Nagle cały panel z instrumentami pękł, on zaś poczuł palący ból w ramieniu, jakby ktoś wsunął mu pod skórę rozżarzoną do czerwoności stalową rurkę, a wszystko dookoła zaszło czerwona mgiełką.

Teraz mnie dopadli. Dorwali mnie.

W zasięgu wzroku miał tylko niebo. Zobaczył ziemię, a potem znów niebo i znów ziemię. Uświadomił sobie, że samolot musiał wpaść w korkociąg. Artyleria przestała strzelać, jemu zaś przyszła do głowy szalona myśl, że tak muszą czuć się trafione bażanty, gdy myśliwi wstrzymują ogień i podziwiają, jak ptak spada na ziemię.

Samolot stanął w ogniu.

Dobry Boże. Daj mi umrzeć od kuli lub uderzenia, tylko nie w płomieniach, Panie. Nie w płomieniach.

I wtedy ujrzał działo. Mściciela o długiej lufie. Pomyślał, że został zestrzelony przez swoje własne, przetopione rodowe srebro, przez siostrę kościelnego dzwonu, który on sam tak haniebnie zawiódł w Norwegii.

W następnej sekundzie pomyślał o oczach brata i oczach renifera. O nagrobku przy białym norweskim kościele. I pomyślał o oczach Elsy Rathenau, a gdy spadał ku ziemi, ujrzał znów Finlaggan, ujrzał Pidge'a leżącego z pyskiem wsuniętym pod łapę, otwierającego jedno oko w nadziei, że to właśnie on wraca, ujrzał pagórki z widokiem na Cheviot Hills, a przy stajni dostrzegł ojca z Kumarą, osłaniali oczy od słońca i go wyglądali, potem przyłączył się do nich pastor z Norwegii. I stali tak w trójkę, patrząc, jak on spada.

A potem Victor wrócił do rzeczywistości.

Ziemia pod nim była doszczętnie zbombardowana. Leje, przypominające na początku wojny pojedyncze kręgi na wodzie, zlewały się teraz ze sobą. Brzegi każdego z nich niszczył nowy granat, bo była to ziemia, a nie woda. I tak powstał wzór zlepionych ze sobą kolistych dziur. Przywodził na myśl powierzchnię kałuży w słotny dzień, lecz tylko Løsnesvatnet mogłoby zagasić płonący w nim ogień, a jednym śladem po jego życiu zostałby krąg na wodzie, który po chwili by zniknął.

Choć ten ostatni kawalek

Jehans myślał z początku, że potrzeba jej tylko trochę czasu, by się uspokoić. Musi posiedzieć na rozgrzanym kamieniu przy płynącej wodzie, bez widoku na głupich chłopów, Hekne czy siedem tysięcy wydanych koron.

Stał, patrząc na drzwi, które za sobą zamknęła, po czym odwrócił się i posnuł trochę po mieszkaniu. Mieli elektryczną kuchenkę, zaparzył sobie na niej kawy, ale zdążył ją dopić zaledwie do połowy, gdy poczuł nieznośną niechęć wobec tych marnych izdebek, w których mieszkali, i wybiegł z domu, by odnaleźć swoją żonę.

Nie siedziała ani nad Martwą Zatoką, ani przy strumieniu, nad który lubiła chodzić, by rozprostować nogi po długich dniach pracy. Nie znalazł jej przy punkcie widokowym po drodze na pastwiska, a gdy zawrócił i zszedł z powrotem do wsi, stwierdził, że nie ma jej też nad Løsnesvatnet, zaś w Hekne nie było sensu jej szukać.

Ludzie musieli ją widzieć, z pewnością, była bowiem jesień i wszyscy mieli jakieś sprawy do załatwienia, kręcili się po całej wsi z krowami czy belami siana. Ale nikogo nie mógł o nią zapytać. To nie przystawało, zwłaszcza jemu, mężczyźnie, o którym i tak wszyscy tyle gadali. Synowi Srebrzystej Zimy, myśliwemu, pionierowi, mistrzowi prądnicy. I snuł się tak po okolicy, Jehans Hekne, w najgorętszej wodzie kąpany mieszkaniec Butangen.

Chociaż nie.

Kogoś mógł o nią zapytać. Kogoś, kto wciąż siedział i na niego czekał.

Ale nie znalazł jej też na plebanii. Schweigaard stał w drzwiach i żegnał go spojrzeniem.

Oczywiście, że się nie uspokoiła. Głupotą było wierzyć, że ktoś wychowany w Imsdalen mógł się po prostu uspokoić. Gdy ogarniała ją wściekłość, zmieniała się w wielkiego leśnego ptaka. Całą swoją siłę wkładała w potężne uderzenia skrzydeł, wlatując ponad krzewy i czubki drzew, aż w końcu ogarniało ją zmęczenie i musiała wylądować.

Już po południu minął Saubua. Kvia pięła się pod niebo na horyzoncie.

Zarzucił sobie na ramię krąga, bo mężczyzna idący przez góry musiał mieć przecież jakąś sprawę do załatwienia. Ale nawet gdyby zobaczył teraz rena, zostawiłby go w spokoju. Gdzieś na zboczach Kvii znajdowało się miejsce, w którym zabił przed wieloma laty tamtego byka. Był to jego pierwszy renifer ustrzelony z krąga, ten, przez którego o mały włos nie postradał życia, którego zniósł do niej, a potem podźwigał z powrotem w góry.

Był wtedy pełen goryczy i wątpliwości. Sądził, że krąg przeznaczony jest być może dla mężczyzn większych od niego. Teraz, gdy niósł tę samą broń ku temu samemu miejscu, ogarnęło go podobne poczucie. Że nie jest godny życia, którego pragnie.

Zrobiło się chłodno. Nie był to chłód zimowy, z zapowiedzią śniegu w powietrzu, lecz raczej późnojesienny. W tym szczególnym chłodzie mięśnie twarzy sztywniały, a płynący po plecach pot stygł, gdy tylko człowiek na chwilę przystawał.

I w tej właśnie chwili ujrzał łanię rena.

Stała na skraju moczaru i wydawała się niezdrowa. Gdy się poruszyła, zobaczył, że kuleje. Zakreśliła się wokół własnej osi.

Jehans zdjął krąga z ramienia. Nie miał na to czasu. Absolutnie nie miał czasu. Żeby ustrzelić, wypatroszyć i znieść zwierzę z gór.

No ale mimo wszystko... Łania zachowywała się dziwnie. Położyła się na ziemi. Mimo że musiała przecież poczuć jego zapach.

Pewnie coś ją bolało. Bardzo ją bolało. Jehans przypomniał sobie słowa Adolfa.

Jak trzeba, to trzeba.

Posuwał się ku niej w kucki, z krągiem uniesionym nad ziemią. Wrzosa i niskie krzaczki ocierały mu się o dłoń. Nie zachowywał przesadnej ostrożności, wiedząc, że jeśli łania jest zdrowa, poderwie się wkrótce i zacznie uciekać.

Ale ona leżała. Dopiero gdy był już bardzo blisko, wstała spokojnie z ziemi. Otrząsnęła się, uklękła, znów się otrząsnęła i zaległa na powrót.

Jehans zatrzymał się w odległości czterdziestu metrów i czekał. Łania nie miała najwyraźniej zamiaru uciekać. Podnosiła się, wierciła, a potem znowu kładła, on zaś podpełzł do pagórka, za którym mógł się wygodnie ułożyć i przygotować do strzału. Odryglował broń. Krag gładko pobrał nabój z magazynka, on zaś usiadł z odbezpieczonym karabinem, tak by zwierzę mogło go zobaczyć.

Gdy ponownie wstała, rozpoznał ją.

Był to ten sam okaz, na który się natknął po spotkaniu z bratem. Zwierzę miało na sierści te same dziwne pręgi i spoglądało na niego tymi samymi oczami.

Czy to możliwe, by ren żył tak długo? Owszem. Niektóre okazy potrafiły dożyć piętnastu czy nawet dwudziestu lat.

Łania wyraźnie cierpiała, a jemu zrobiło się jej żal. Uniósł kraga i wycelował. Nie było mowy o gorączce polowania, był to strzał oddany z zimną krwią, Jehans odczuł bolesną nieuchronność stwierdzenia „jak trzeba, to trzeba”, po czym nacisnął spust. Huk wystrzału zadźwięczał mu w uszach, a gdy łania padła na ziemię, ta dziwna bolesność nadal w nim pęczniała i do oczu napłynęły mu łzy.

Wstał, by podejść do rena, a gdy nad nim stanął, żołądek mu się ścisnął i musiał zwymiotować.

We wrzosach poruszały się niezbornie dwie czarno-szare mokre istotki. Jehans próbował sobie wmówić, że to nie reny, tylko coś innego, ale nie było wątpliwości. Dwa nowo narodzone, chude cielaki. Jeden z nich przysunął się do matki i zaczął ssać jej wymię, drugi patrzył na niego, próbując dźwignąć się na nogi.

Z kanału rodnego łani płynął śluz zmieszany z krwią.

Chryste. Dopomóż mi, Chryste. Ona się cieliała. O to chodziło. Ale to przecież nie sezon, nie o tej porze roku. To niemożliwe. To wbrew naturze. Łanie się teraz nie cielą.

Zwierzę leżało z wyciągniętymi nogami, lecz z jego pyska nie płynęła krew, jak zazwyczaj po postrzale w płuca, Jehans był zaś pewien, że to właśnie w płuco trafił. Jedno z cieląt puściło wymię i odeszło na niepewnych nogach, myśliwy zaś podpełzł do łani i pogładził ją po brzuchu, nie znajdując rany postrzałowej ani śladów krwi. Poczul nagle ciepło bijące z jej nozdrzy i usłyszał głośne parsknięcie. Łania dźwignęła się z ziemi, a on runął w niskie krzaczki jałowca i zamarł tam, tuż pod jej brzuchem.

Zwierzę odwróciło głowę i na niego spojrzało. Prychnęło i znów parsknęło. Gdy uniosło nogi, Jehans spojrzał wprost na półksiężycę jego racic. Łania spokojnie przeszła nad nim dalej, a mech opadł mu na twarz. Matka ruszyła do cieląt, które dźwignęły się na nogi i zaczęły pić jej mleko.

Cała trójka stała tuż przed nim, dając i przyjmując pokarm.

Łania spojrzała mu w oczy, a potem nagle zwierzęta zniknęły między wierzbowymi krzewinkami.

Jehans nie miał wątpliwości. To był ten sam renifer. Tyle że żywy. Zupełnie jakby krag nie chciał go zabić. Albo jakby łania powstała z martwych.

Zdarzenie to nie dawało mu spokoju, jego wspomnienie mieszało się z bolesnymi myślami o Kristine i kupionym gospodarstwie, Jehans brnął zaś dalej udręczony lękiem.

Nie był już tak silny jak kiedyś. Odcinki, które pokonywał wcześniej za jednym razem, wymagały od niego teraz kilku postojów na odpoczynek. Wodociągi, proch, dynamit. Nad tym panował – tymi narzędziami, którymi dawało się okiełznać siły natury. Tyle że tu były one na nic. Gdy wspinał się pod górę, łapała go kolka, gdy schodził w dół, odzywały się kolana, a zbliżając się już do Ormsetra, uświadomił sobie, że jeśli jej tam nie znajdzie, nie będzie miał dość siły, by zejść na noc do Imsdalen.

Szedł dalej na poobcieranych stopach i dotarł w końcu pod wieczór do górskiej chaty. Ormsetra kojarzyła mu się zawsze z widokiem gospodarskich zwierząt i dymem buchającym z komina, ale teraz było zupełnie inaczej. Marzył na ostrym jesiennym wietrze, do jego butów lepiły się żółte liście. Wszyscy już dawno wrócili w doliny, w chatach na górskich pastwiskach zamknięto na zimę okiennice, wszystko było mokre od deszczu i zwiędłe. Trawa na pastwiskach została wygryziona, nawet wysokie pokrzywy położyły się na ziemi.

Drugiej jesieni swojej znajomości z Kristine ustrzelił samotną łanię, a dziewczyna zawiesiła jej poroże nad wejściem do chaty. Nadal tam wisiało, choć jeden z gwoździ był przerdzewiały i wyglądało

na to, że poroże lada chwila spadnie na ziemię. Jehans poczuł na ten widok, że opuszczają go wszystkie siły, położył kręga na trawie i usiadł pod drzwiami, patrząc, jak wokół niego zapada mrok.

Zabolało go w krzyżu, gdy otwierał drzwiczki walącej się ziemianki. Nikt z niej zapewne od dawna nie korzystał, w ciemnościach nie pachniało już nawet resztkami dymu, tylko ziemią i starością. Jehans poszedł do lasu nazbierać gałęzi. Zrobiło się już tak ciemno, że nie umiał nawet stwierdzić, czy są suche, więc zaczął je łamać, by sprawdzić, czy trzaskają. Te, które nie trzaskały, zostawił i pomyślał sobie, że tak zapewne radzą sobie ślepcy.

Wkrótce zapadła noc i ciemności przed fińską łaźnią były tak samo nieprzeniknione jak w środku. Jehans rozpałił ognisko i usiadł na dworze. Wysuszy mokre od potu ubrania i spróbuje jakoś przerwać tę noc.

Teraz, w ciemnościach, czuł, jak wyostają mu się zmysły. Siedział tam, owiewał go wiatr niosący zapach dymu. Jehans tworzył w końcu drzwiczki i dorzucił chrustu do ognia.

Płomienie strzeliły pod niebo, on zaś przypomniał sobie noc spędzoną w górach razem z bratem. Jak zawsze, gdy siedzi się przed ogniskiem, ujrzał rodzące się w jego blasku stworzenia i wzory, niczym obrazy dawnych wydarzeń albo zapowiedzi nowych, i wtem zdało mu się, że dostrzega twarz brata. Był w płomieniach i jakby utkany z płomieni.

Usłyszał nagle szelest zarośli. Siedział spokojnie, nadstawiając uszu. Tamta druga istota musiała wyczuć jego obecność i przystanęła, ale potem znów się poruszyła. Poczł czyjąś dłoń przy swoim uchu, a potem dwie ręce na policzkach i wiedział, że jeden tylko człowiek zna jego ciało tak dobrze. On również znał jej ciało na tyle, by zrobić to samo, ale gdy jej dotknął, poczuł, że nie ma na palcu pierścionka, i dalej już niczego nie szukał.

Rankiem obudzili się obok siebie na klepisku. Ogrzewali się przez noc z konieczności. Kristine minęła tamtego wieczora Ormsetra i zaczęła schodzić do Imsdalen, ale się przewróciła i skrzyła stopę. Tak ją bolało, że musiała zawrócić, by nie zamarznąć przez noc w lesie. Najpierw chciała stłuc szybę w chacie i wejść do środka, ale potem poczuła zapach dymu. W odróżnieniu od Jehansa miała tyle rozumu, by zabrać ze sobą coś do jedzenia. Zostały jej jeszcze dwie puszki groszku z boczkiem, oddała mu połowę prowiantu i siedzieli tak, patrząc, jak nad górami wstaje jesienny dzień.

Tyle że Ormsetra już do nich nie należała. Jehans nie opowiedział nawet o łani, której nie chciał zabić hekneński krag. Zostało im tylko to, co najtrudniejsze, a to najtrudniejsze nosiło imiona Jehansa Hekne i Kristine Messelt.

– Pewnie chcesz iść dalej do Imsdalen – powiedział.

Nie spojrzała na niego.

– Nie chcę, ale muszę. W tobie co rusz dochodzą do głosu te wielkie hekneńskie porywy, a ja dziś w nocy zrozumiałam, że nie mogę cię o to winić.

– Ależ możesz mnie winić. Masz do tego pełne prawo.

– Tyko co mi po tym! Ty i tak nigdy sam tego nie pojdziesz. Wszystko, co robisz, robisz dla swojej matki, Jehansie. Bo zmarłych nie trzeba pytać o radę. Bo zmarli nigdy się nie złoścą i nie są rozczarowani. Nie chcę cię winić, że jesteś tym, kim jesteś, bo twoja matka nie żyje.

Wstało słońce, niosąc im trochę ciepła.

– Wyświadczę ci ostatnią przysługę, Kristine. Skoro nie możesz chodzić. Zniosę cię do Imsdalen. Choć ten ostatni kawałek będziemy mieli z górki.

Pokuśtykała do dużego kamienia, weszła na niego, on zaś pochylił plecy, tak by mogła się na nim uwiesić, z rękoma wokół jego szyi i kolanami zaciśniętymi na biodrach. Zdziwił się, jaka jest lekka, i zrozumiał, ile musiał stracić, skoro zapomniał, jak to jest brać własną żonę na ręce.

– To przeze mnie tak wychudłaś, Kristine.

Był zeszywniały po wędrówce poprzedniego dnia, a gdy chwycił kręga, zrozumiał, że nie zdoła go zarzucić na ramię, bo niesie ją na plecach.

– Możesz go trzymać w ręku.

– Ech...

– Musisz zabrać kręga. Dasz radę ponieść nas oboje.

Jehans chwycił karabin i ruszyli z mozołem w kierunku ścieżki. Po prawej mieli skarpe, którą

można było zejść do Imsdalen. Zajęłoby im to jakieś dwie godziny. Po lewej zaś ścieżka pięła się w górę ku Kvii oraz górom wokół niej. Jehans wyliczył, że jeśli dostanie w Imsdalen coś do jedzenia, dotrze tam może wieczorem.

Byli już przy ścieżce, gdy Kristine ścisnęła go kolanami, jakby był jej koniem.

– Jehansie Hekne, wybieraj.

– Mam wybierać?

– Między Imsdalen a Butangen.

Jehans ani drgnął.

– Chcesz powiedzieć, że... wrócisz ze mną do domu?

Usadowił ją sobie nieco wyżej na plecach. Spojrzał w górę stromego, wysokiego zbocza stanowiącego zaledwie pierwszy odcinek drogi do wsi. Popatrzył na nagie skały i ciężkie od deszczu chmury.

– Zanieś mnie do domu, Jehansie, a ci przebaczę. Zanieś mnie z Ormsetra do Saubua, a stamtąd do Butangen. Wtedy zamieszkać z tobą w Hekne.

Zaledwie pół godziny później był już półprzytomny od bólu głowy, kolana łupały go nieznośnie, a gdy zrobiło się jeszcze bardziej stromo, brnął przed siebie z tym samym niezłomnym uporem co przed wieloma laty, gdy dźwigał tą samą drogą ustrzelonego rena. Kristine obejmowała go ramionami, on zaś dyszał, otwierając usta i starając się znaleźć wspólny rytm dla kroku i oddechu. Przystawał przy większych głazach i sadzał ją na nich, sam zaś kładł się płasko na ziemi, zlany potem, i czekał, aż serce mu się trochę uspokoi. Wstając, wspierał się na łufie kraga i znów brał ją na plecy. Po jakimś czasie musiał robić przystanki, mimo że w okolicy nie było żadnych głazów, gdy zaś dotarli do strumienia, położył się przy nim na brzuchu i chleptał wodę, po czym napełnił manierkę i dał się napić Kristine, a przez cały ten czas nie odzywali się do siebie ani słowem.

Po pięciu czy sześciu godzinach pokonali wreszcie strome zbocza i mieli przed sobą długi odcinek prowadzący do Saubua. Jehansowi całkiem zeszywniały kark i barki, kolana bolały go nieznośnie. Wkrótce skończyło im się jedzenie i zaczęli pogryzać zwiędłe, pokurczone jagody bażyny. Byli w górach sami. Krag ciążył Jehansowi coraz bardziej, zaczął przekładać go z ręki do ręki.

– Ja mogę ponieść broń – powiedziała Kristine.

Godzinę później musiał przystanąć, by zwymiotować, a po kolejnej godzinie Kristine odezwała się tak nagle, że drgnął, słysząc jej głos.

– Bogacze bywają różni. Romsås to na przykład porządny bogacz. Mówiłeś, że był na licytacji.

– Bo... bo chciał kupić gospodarstwo dla swojego syna.

Jehans skręcił, chcąc ominąć wielki głaz, i ten nagły zwrot sprawił, że o mały włos się nie wywrócili. Kristine odczekała, aż złapie z powrotem równowagę.

– Nie licząc elektrowni i tartaku, nikt w Butangen nie może się z nikim w żadnej sprawie dogadać – podjęła Kristine. – I tak jest od niepamiętnych czasów. Jak gospodarze nie mają z kimś sporu o ziemię, to nie śpią po nocach. Z tym trzeba skończyć. Możemy pozwolić innym korzystać z maszyn kupionych przez Osvalda. Dzielić się sprzętem.

Jehans właściwie bardziej już człapał, niż szedł. Był zdyszany.

– Czyli chcesz powiedzieć, że mamy... dzierżawić innym maszyny?

– Albo najlepiej dzielić się z innymi tym, co mamy. Ludzie z Romsås albo Gildevollen mogą nam pomóc przez pierwsze lata. Obora w Hekne jest ogromna, a pola rozległe. Możemy wypracować jakieś rozwiązanie. Niech korzystają z miejsca w oborze i z naszych maszyn. W czasie gdy będziemy budować mleczarnię. Na tej działce, którą sobie upatrzyłam. Możliwe, że trzeba będzie sprzedać część gospodarstwa, jak nam zabraknie pieniędzy. Najlepiej te zagrody dzierżawców.

Cała ta rozmowa o przyszłości bardzo go męczyła. Coraz częściej się potykał, chwiały na nogach, a jego oddech stawał się świszczący. Krew pulsowała mu w skroniach, przed oczami tańczyły mroczki. Słuchał, jak Kristine snuje dotyczące Hekne plany, i odpowiadał jej tylko kiwnięciami głowy. W tym, co mówiła, była ta sama ludowa mądrość co wtedy, gdy sprowadziła do Hellorn świnię, tyle że na większą skalę, i Jehans przeczuwał, że teraz, o ile się nie przewróci i nie połamie im obojgu kręgosłupów, jego żona zacznie się przedstawiać jako Kristine Hekne.

Stracił poczucie czasu, brnął dalej przed siebie, a wokół nich zapadał wieczór. Miał wrażenie, że oczy już mu się nie mieszczą w czaszce i momentami nie widział ścieżki. Słyszał Kristine przemawiającą do niego boskim głosem, niósł na plecach jej boski ciężar.

– Jest – odezwała się nagle. – Widzę Saubua.

Jehans zebrał w sobie resztki sił i wyprostował się nieznacznie. Język miał opuchnięty, czuł w ustach smak krwi. Ale faktycznie, chata była już w zasięgu wzroku. I uświadomił sobie jeszcze jedno.

Gdy się dostrzeża Saubua, to lżej jest iść. Nieważne, jak człowiekowi cięży dźwigane brzemie czy wyrzuty sumienia.

Kristine odchrząknęła wysoko nad jego głową. Zakołysała mu się na plecach i zagadnęła:

– Jehansie?

Był w stanie tylko skinąć jej głową.

– Coś ci powiem.

– Aha?

– Naprawdę ci coś powiem.

– Aha.

Podniósł głowę, potoczył wzrokiem po otaczających ich górach i strząsnął pot z włosów nad czołem.

– Wcale nie skręciłam stopy.

Przystanął. Ale nie zdjął jej sobie z pleców.

– Musiałam zawrócić, Jehansie. Dla ciebie i dla siebie, kochany.

Stał tak, czując, jak ciężar znika. Jak przepelnia go wielkie, radosne drżenie.

Kristine chciała ześlizgnąć się na ziemię, ale on podrzucił ją sobie na plecach i ścisnął mocniej jej uda. Pogłaskała go dłonią, a on poczuł, że znów ma na palcu pierścionek, który zrobił dla niej przed wieloma laty. Ruszył przed siebie dużo szybciej, trzymając ją za udo w taki sposób, że nie było wątpliwości, co się stanie, gdy tylko wejdą do Saubua. Ona obejmowała go ramionami i czuł jej oddech we włosach, a gdy tak szli, zaczęła go całować, odchylił głowę, by mogła go delikatnie kąsać, oddychał coraz ciężiej i wkrótce już jej język zaczął błędzić przy jego uchu, a po kilku chwilach wpadli do Saubua i zdarli z siebie ubrania.

Opowieść trzecia

Jej imię w brązie

Nasze biedne dzwony

Kai Schweigaard siedział w sadzie, na drewnianej ławce, która kiedyś była biała, i czytał wczorajszego „Gońca Lillehammer”. Poziom gazety spadł zdecydowanie przez lata wojny, artykuły pisano niechlujnie, redakcja była niedokładna, a łamy wypełniano niesprawdzonymi doniesieniami z zagranicy. Pastor prenumerował również gazetę Chłopskiego Związku Gudbrandsdalen, ale w niej z kolei przeszkadzał mu agresywny ton i kosztarne błędy ortograficzne.

Nastała późna jesień roku 1918 i wszystko wskazywało na to, że wojna zbliża się do końca. Zginęli w niej synowie trzech rodzin z Butangen, które wyemigrowały do Ameryki – dwaj w 1916, a trzeci rok później. Dzieci bawiły się w wojnę, dzieląc się na Anglików, Francuzów i Niemców, strzelały do siebie z drewnianych karabinów i rzucały granatami z szyszek. Tak właśnie przetrwamy, myślał Kai Schweigaard. Nie rozumiejąc niczego do końca, ale przystosowując się do świata – choćby nie wiadomo jak był straszliwy.

– Pastorze?

Staął nad nim Simen. Simen Røhme. Jasnowłosy i bystry, bez żadnej winy na sumieniu, nie licząc może jednego przypadku, gdy kradł razem z dwoma innymi chłopcami jabłka, w czasie gdy trwało niedzielne nabożeństwo. W szkole radził sobie doskonale, a jego rodzice nie posiadali się ze szczęścia i ulgi, że syn nie odziedziczył ich ułomności.

– Przyszła poczta – powiedział Simen. – Przynieść pastorowi?

– Dużo tego jest?

– Gazety i sześć listów.

– I pewnie chciałbyś zatrzymać znaczki.

– O tak. Ojciec zrobił mi wczoraj nowy klaser. Zszył arkusze papieru i doczepił okładki. Będę wklejał do niego znaczki gumą arabską. Pokażę pastorowi. Jest obciążony czerwoną tkaniną.

Schweigaard skinął głową.

– To przynieś mi tę pocztę. I weź nóż do papieru. Zajrzyj po drodze do kuchni i spytaj matkę, czy mógłbym dostać filiżankę kawy.

Simen popędził do domu, a Kai odprowadził go spojrzeniem. Chłopak miał już czternaście lat. Został poczęty u Jenny Stueflaaten w Dovre. Schweigaard zaśmiał się pod nosem. Tak, to dopiero była wyprawa. Odbyta jeszcze w dawnych czasach, lepszych niż te, choć także trudnych.

Kawa była teraz cienka. Kwaśna i z nieprzyjemnym posmakiem. Ale lepszej nie sposób było dostać.

Kristine nadal prowadziła sklep w jednej z izb mleczarni, ale teraz wiele towarów sprzedawano na kartki. Większość ludzi radziła sobie z przydziałem kilograma cukru miesięcznie, dużo dotkliwsze było ograniczenie dotyczące kawy – zaledwie ćwierć kilo na głowę. Gdy Schweigaard miał do załatwienia jakąś sprawę wymagającą wyjazdu ze wsi, nigdy nie planował wypadu na wtorki ani piątki, gdyż braki w zaopatrzeniu zmusiły rząd do ogłoszenia tych dni „jarskimi” i w barach czy restauracjach serwowano tylko pozbawione smaku zupy jarzynowe.

No ale mimo wszystko...

Kai Schweigaard uspokajał duszę myślą, że w następnym roku zdarzy się coś dobrego. Na razie pozostawało to niewypowiedziane, ale Kristine promieniała nowym, wspaniałym blaskiem. Owszem, przy skrzyżowaniu położono już fundamenty pod nowy gmach mleczarni, ale nie to sprawiało, że w kącikach jej ust błąkał się nieznaczny, łagodny uśmiech. Była to tajemnica, którą Kai Schweigaard przejrzał, gdyż po czterdziestu latach udzielania ludziom ślubów potrafił bezbłędnie rozpoznać, kiedy kobieta spodziewa się dziecka.

Radość i niepokój, wciąż się ze sobą mieszające. Oto jak życie kołysało go teraz do snu.

Wiosną spał zresztą niewiele i chodził wiecznie zmartwiony. W wojennych okopach wykuł się bowiem nowy rodzaj grypy. Gazety ochrzciły go hiszpanką, nazwa ta miała z chorobą wspólnego tylko tyle, że Hiszpania nie brała udziału w wojnie i nie cenzurowano tam gazet. Dlatego właśnie stamtąd

popłynęły wieści, że króla i premiera kraju dopadła wyjątkowo paskudna grypa.

Na szczęście choroba niemal zupełnie oszczędziła Butangen. Szalała natomiast w norweskich miastach, a w najgorszym okresie umierało nawet po sto pięćdziesiąt osób tygodniowo. Późnym latem hiszpanka zniknęła z kraju, ale Schweigaard nie był wcale pewien, czy jeszcze nie powróci. W Europie zmarły na nią setki tysięcy ludzi, a opowieści o jej przebiegu budziły strach. Chorym siniały podobno wargi, nieszczęśnicy umierali dręczeni przerażającymi gorączkowymi wizjami.

Schweigaard nie chciał na takie rzeczy patrzeć. Kiedy na świecie działo się coś wielkiego, myślał zazwyczaj o skutkach, jakie to będzie miało dla wsi, rzadko zaś – co to oznacza dla niego samego. Mimo że w ostatnich latach wiele się zmieniło, pastor pozostał jedynym prawdziwym autorytetem w Butangen. System polityczny uległ reorganizacji, urzędnicy nie znaczyli już tyle, co kiedyś, ale w jego przypadku było zupełnie jak z akuszerką – do dnia jego śmierci status jego zawodu się nie zmieni.

– Proszę, pastorze!

Schweigaard odwrócił się do Simena. Chłopak był grzeczny i bystry, niewinny jak baranek. Niósł mu niewielki czajniczek z kawą i filiżankę, pod pachą trzymał gazety i listy. Trochę za bardzo się spieszył i upuścił pogniecioną, brudną kopertę, która powoli opadła na ziemię. Pastor zobaczył, że ma ona naklejony zagraniczny znaczek i była kilkakrotnie przedadresowywana. Zerwał się na równe nogi i chwycił ją. Stempel na stemplu. Niemiecka poczta, niemiecka cenzura, Czerwony Krzyż, francuska poczta polowa. Rozciął kopertę drżącymi dłońmi.

Ten, który był u Ciebie, żyje. Ja zresztą też. Czasami żałuję. Lecz przede wszystkim żyje on.

Holzminden, 1918.

Harrison

– Tego znaczka ci nie dam, Simenie. Jeszcze nie. A gdy go w końcu dostaniesz, będziesz musiał wkleić do klasera całą kopertę.

Simen coś odpowiedział, pastor go jednak nie usłyszał. Nie miał pojęcia, jak długo stał, czytając w kółko tych kilka zdań, ale gdy wreszcie napił się kawy, stwierdził, że jest już zimna.

Jako nadawca widniał „Capt. Harrison, Flight Squadron 56”.

Czyli siły powietrzne. Właściwie wcale go to nie zdziwiło.

Od dawna już przestał liczyć na jakąkolwiek odpowiedź od Victora, ale miał przeczucie, że jego listy są czytane. Gdy wybuchła wojna, zaczął się o niego bardziej martwić i pisywał krócej, ale częściej.

Victor musiał trafić do niewoli.

„Ja zresztą też. Lecz przede wszystkim żyje on”.

Schweigaard zmarszczył nos, zastanawiając się, co to może oznaczać. Niemiecki stempel pocztowy nosił datę szóstego czerwca, francuski zaś – dwunastego sierpnia. Miejscowość Holzminden uda mu się może znaleźć w atlasie, pewnie był tam obóz jeniecki, ale u kogo szukać dokładniejszych informacji?

Pastor zawsze pilnował, by nie zbliżać się zanadto do Harrisona. Jego rodzina zapewne miała już telefon, ale nigdy nie próbował do niego dzwonić. Trudno było przewidzieć, jak by się zachował, słysząc nagle głos z Norwegii. Schweigaard zakładał, że Victor od dawna jest już żonaty, zapewne z kobietą, która od zawsze miała go za Harrisona – a zatem prawowitego dziedzica majątku.

Ale teraz – skoro Victor w końcu mu odpisał? Musiał dowiedzieć się więcej. Gdzie on przebywa, czy nadal żyje, a może wspominał coś o Norwegii?

Adres już miał: Finlaggan, Kirknewton, Northumberland. Podobnie jak tutaj, centrala telefoniczna z pewnością byłaby w stanie odnaleźć numer po nazwie majątku, a nawet jeśli jego rodzina się wyprowadziła, to nowi lokatorzy będą wiedzieć dokąd. Najwyższy czas przerwać milczenie. I zamówić połączenie międzynarodowe z Wielką Brytanią.

Lecz najpierw powinien może powiadomić o wszystkim Jehansa. Zapytać, czy nie przekazać od niego pozdrowień.

Schweigaard opadł z powrotem na ławkę. Ustawiono ją z widokiem na Løsnesvatnet, przez lata

zapadła się nieco w ziemi, a jeśli chciało się ją gdzieś przestawić, trzeba było ją rozkołysać, by wyrwać nogi z podłoża.

Wzbierała w nim niecierpliwość. Próbował ułożyć sobie w głowie odpowiednie angielskie słowa. Usłyszał nagle, jak ktoś się do niego zbliża, brnąc przez jesienne liście.

– Pastorze Schweigaard! Pastorze Schweigaard!

Był to pan Røhme. Podbiegł do niego, położył mu dłoń na ramieniu i lekko nim potrząsnął, choć widział przecież, że Kai nie śpi.

– Musi pastor przyjść. Teraz, natychmiast!

– Przyjść? Dokąd?

– Nad Løsnesvatnet. Naprawiałem właśnie ogrodzenie przy dzwonnicy i nagle to zobaczyłem.

– Co się dzieje, panie Røhme?

– Nie wiemy. Niech p-pastor p-p-przyjdzie. Zanim to się skończy.

Schweigaard wstał, ale przez całą drogę nad jezioro myślał o Victorze Harrisonie.

Lecz gdy tylko stanął nad brzegiem, otrząsnął się z rozkojarzenia. Przy zacumowanych łodziach tłoczyło się z czterdzieści osób, wskazując na południowy skraj Løsnesvatnet. Grupka dzieci pobiegła brzegiem w tamtym kierunku. Przedpołudnie było chłodne, bezchmurne i bezwietrzne, nic zatem nie tłumaczyło takiego zjawiska.

Ale Kai Schweigaard zobaczył wszystko, co potrzebował zobaczyć. Wielki, wyraźnie zarysowany krąg na wodzie, odnawiający się raz za razem.

– T-tak się robi już od k-kwadransa – powiedział pan Røhme. – To chyba ryby się tam rzucają. Albo nie wiem co innego. Jakby tam się pod powierzchnią gotowało. Jakby coś chciało wypłynąć!

Dwóch mężczyzn zaczęło wodować łódź, ale powstrzymała ich stara kobieta, mówiąc, że temu, co tam się dzieje, nie należy przeszkadzać. W powietrzu nie było żadnych ptaków, krowy na łąkach nie ryczały. Butangen milczało, podobnie jak jego mieszkańcy.

I wtedy się zaczęło.

Wodny krąg urósł, powierzchnia wody zadrżała, marszczona kolejnymi pierścieniami. Schweigaard usłyszał pomruk dochodzący ze źródła, którego nie umiał sprecyzować. Odwrócił się ku nowemu kościołowi, ale zobaczył tylko świątynny gmach.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy i bardziej przejrzysty, niósł się na wietrze i nadal nie sposób było stwierdzić, skąd dochodzi, ale wciąż się zmieniał, jakby zbierał w sobie kolejne fragmenty, przetapiając je na stały, wyraźny ton, który nagle oderwał się od powierzchni wody: bicie dzwonu pobrzmiewające srebrem i setkami poddźwięków.

Nad Butangen rozległo się czternaście uderzeń, w sekwencjach siedem razy po dwa. Tak głośno potrafił bić tylko Siostrzany Dzwon.

Niedługo potem Kai Schweigaard stanął przed Tkaniną z Hekne.

Ludzie mówili, że to niemożliwe. Nie da się usłyszeć dzwonu bijącego pod wodą. Ale skoro wszyscy zgromadzeni na brzegu go usłyszeli, musiało to znaczyć, że zabił on w nich wszystkich i dla nich wszystkich.

Przez te wszystkie lata niektórzy twierdzili, że słyszą, jak Gunhild dzwoni na dnie. Ale ostatnie ostrzeżenie dzwonów, które wstrząsnęło całą wsią, rozległo się w roku 1880, przepowiadając rozbiórkę starego kościoła.

Schweigaard musiał sobie niechętnie przypomnieć stare legendy. Siostrzane dzwony potrafiły bić same z siebie, wieszcząc nadchodzące niebezpieczeństwo. Ale czego mogła chcieć Gunhild, która odezwała się teraz nagle po raz pierwszy od niemal czterdziestu lat? Czyżby obwieszczała w ten sposób śmierć jednego z samobraci? Który umarł właśnie dziś, wiele miesięcy po wysłaniu tamtego listu?

Pastor zmarszczył czoło.

Nie. Chyba nie mogło chodzić o samego Victora. Kościelne dzwony nie biją dla jednego człowieka. Biją dla nas wszystkich.

Podszedł bliżej do starej wełnianej tkaniny. Stanął tak blisko, że poczuł nieznaczny zapach smoły z kościoła słupowego. Kolejny raz przyjrzał się figurom symbolizującym wydarzenia dnia powszedniego i katastrofy zapowiadające noc oskrobaną.

Czy kiedyś też tak było? Czy ludzie próbujący zrozumieć przepowiednię dzwonów szukali odpowiedzi w tym gobelinie?

I jakim cudem mieliby odczytywać w nim przyszłość? Utkane tu obrazy nie miały ustalonej kolejności, nie sposób z nich było wyczytać żadnych sugestii co do tego, kiedy nastąpi powódź, osuwisko czy pożar lasu. Jedynym zaś symbolem, który dawało się bez problemu odcyfrować, była czarna śmierć. Szkielet siedzący na wozie, zostawiający w koleinach martwych ludzi utkanych siną nicią.

Schweigaard się zamyslił.

Byłby to jedyny motyw przedstawiający wydarzenia, które miały miejsce przed czasami bliźniaczek Hekne. Czemu więc utkały zapowiedź czegoś, co już się stało?

Pastor zwrócił uwagę na coś jeszcze. Gobelin wyobrażał jeszcze dwa inne wozy w dwóch innych miejscach. Oba były zaprzężone w konie.

Lecz wozu, którym jechała Śmierć, nie ciągnął ani koń, ani wół.

Było to chyba dość dziwne. Dwie dziewczynki dorastające w gospodarstwie, które było całym ich światem, chyba nie popełniłyby takiego błędu? Schweigaard przypomniał sobie nagle, jak Astrid zwierzyła mu się, że jako dziecko marzyła o podróży koleją. Najbardziej w tym wynalazku zadziwiało ją, że nie potrzebował on żadnych zwierząt pociągowych, które by musiały odpoczywać wieczorną porą.

Hiszpankę roznosili latem ludzie podróżujący koleją.

Dwie siostry w Gudbrandsdalen na początku XVII wieku. Obdarzone darem wejrzenia poza swój czas. Patrzyły na coś, czego nie mogły pojąć. Jak więc miały to ukazać? Tkając to, co wydało im się najdziwniejsze ze wszystkiego. Wóz poruszający się bez pomocy zwierząt pociągowych.

Kai Schweigaard odwrócił się i potrząsnął głową.

– Nie! – szepnął. – Widzę tylko to, co chcę zobaczyć.

Otrząsnął się i wyszedł na światło dnia.

Ale i tam zamarł, pogrążony w rozmyślaniach.

Dzwon zabił siedem razy po dwakroć. Nie pasowało to do żadnego kościelnego obrzędu.

Nad cmentarzem podniósł się lekki podmuch wiatru, niosąc ze sobą wspomnienie z roku 1880. Z początku niejasne i niepełne, jakieś słowa po niemiecku, coś, co dotyczyło nowego kościoła.

Czy tak to już jest, gdy człowiek kończy sześćdziesiąt lat? – zadał sobie Schweigaard pytanie. Czy coraz częściej będę teraz słyszał głosy zmarłych? Zszedł do kościoła. Przystanął na kamiennych schodach i chwycił za mosiężną poręcz. Była błyszcząca i wyslizgana po niemal czterdziestu latach wspierania wchodzących i wychodzących wiernych. Teraz on sam przeniósł na nią ciężar swojego ciała. Miał wrażenie, że Gerhard Schönauer stoi tuż obok niego, robiąc wszystko, co w jego mocy, by zostać usłyszanym.

Z początku planowano zamówić poręcze i klamki wykonane z kutego drewna, dla zaoszczędzenia pieniędzy. Ale Schönauer twierdził, że mosiądz jest lepszy, bo choroby roznoszą się przez podawanie rąk, zaś niemieccy metalurzy utrzymywali, że gdy człowiek dotyka mosiądzu, wytwarza się niewielki ładunek elektryczny zabijający choroby na skórze. Schweigaard dał się temu przekonać i zamówił właśnie tę poręcz, na której teraz się wspierał.

Nigdy jeszcze nie roіło się wokół niego tyle niejasnych wspomnień. Adolf powiedział mu kiedyś coś istotnego.

„W dawnych czasach wyznawanie się na znakach to była sztuka sama w sobie. I to znakach naprawdę przeróżnych”.

Nie sposób było znaleźć jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czemu dzwon zabił właśnie dziś. I czy dla Victora, Jehansa lub kogokolwiek innego. Istniało zbyt wiele możliwości, pośród nich zwłaszcza ta możliwość, że wszystko było zwyczajnym przypadkiem, a tkane motywy gobelinu miały służyć wyłącznie ozdobie.

Chyba że istniało jakieś wspólne wyjaśnienie, które by dotyczyło całego Butangen. Zarówno Jehansa, jak i Victora Harrisona.

Na przykład: że szkielet jechał tu, teraz, w roku 1918.

Kai Schweigaard zacisnął palce na poręczy. Poczł się stary i zmęczony. Wszedł do kościoła i włożył sutannę. Wymamrotał pod nosem parę słów, po czym ruszył na poszukiwania swojego

kościelnego. Znalazł go zajętego naprawą ogrodzenia.

– Proszę zabić w dzwony, panie Røhme. A potem pośle pan Simena i parobka z wiadomością, żeby ludzie przyszedli pod kościół. Po jednej osobie z każdego majątku.

– Robimy nabożeństwo w czwartek?

Kai Schweigaard musiał odchrząknąć.

– Zbliża się do nas choroba, panie Røhme. Może ta sama grypa, którą mieliśmy we wsi ostatnio. Albo coś podobnego. Przemówię do ludzi ze schodów kościoła.

– Doktor to pastorowi powiedział?

– Nie. Po prostu... zobaczyłem znak. Proszę iść do kościoła i zadzwonić, panie Røhme. Trzy razy po trzy uderzenia. Niech pan zadzwoni tymi biednymi dzwonami, które u nas wiszą.

Frau Kreis

- Goodwin?
- Zmarł wczoraj wieczorem. Jeśli chodzi o Alberta Goodwina.
- Kapral, prawda?
- Za życia kapral. A teraz to nie wiem.

Żwir chrząścił pod kołami wózka ciągniętego przez plac apelowy obozu jenieckiego w Torgau. Dźwięk odbijał się echem od ścian baraków. Rano było bezwietrznie, ale teraz zerwały się ciepłe poddmuchy, niosąc ze sobą odór z latryny i lazaretu.

Oficer korpusu sanitarnego odhaczył sobie coś na liście i zawołał:

- Gowers?
- Obecny.

Pięć minut później:

- Haddon, Anthony Haddon?
- To ten tutaj. Zgłaszam się za niego. Proszę spojrzeć na opatrunki. Nie może mówić.
- A papiery ma?
- Tak.
- Dobrze. Harrison?
- Obecny.
- Henderso... o co chodzi?

Jeden z jeńców wystąpił przed szereg.

– Jest nas dwóch o nazwisku Harrison. Ten, co się zgłosił, ma na imię Samuel. A ja nazywam się Victor Harrison.

– Hm. Nikogo takiego nie mam na liście.

– Przekierowano mnie tu przed trzema tygodniami. Byłem w Holzminden. Jestem z pięćdziesiątej szóstej brygady lotniczej. Mam papiery.

Oficer korpusu sanitarnego wyciągnął listę i pokazał ją towarzyszącemu mu cywilowi, który pokręcił głową.

– Pociąg jest już przepełniony. Musi pan poczekać na następny. Będzie za cztery dni.

Wszedł do baraku, utykając, i usiadł. Sierżant Abrahams zostawił szachownicę, którą zrobił z deszczulek sklejoną rozwodnioną mąką jęczmienną. Dostali od Czerwonego Krzyża metalowe puszki z proszkiem na wszy przypominające wielkie solniczki, znalazł dwie z nich na opuszczonych pryczach i posypał proszkiem swoje poślanie.

Cztery lata powolnych męczarni bez żadnych wymiernych rezultatów. Zupełnie jakby wprowadzić do rzeźni całkiem zdrową krowę i obciąć jej kawałek ucha, potem jeszcze jeden, a następnego dnia zmiażdżyć racicę i wtykać jej druty do nozdrzy. Cztery lata takich tortur, a teraz tu siedzimy i nic z tego wszystkiego właściwie nie wynikło. Może tyle tylko, że każdy mężczyzna urodzony w Europie pomiędzy rokiem 1880 a 1900 zapomniał już, co to znaczy żyć.

Poszedł do wartownika i zapytał, czy mógłby się sam ogolić, ale usłyszał odmowę. Wszystkie noże i brzytwy nadal były pod nadzorem. Będzie się to zatem odbywać jak zawsze. Mężczyźni musieli siadać na środku placu ćwiczeniowego i golić się nawzajem, a wartownik pilnował ich z naładowanym mauserem, upewniając się, że po wszystkim odłożą brzytwę na stolik. Więc będzie mu wolno ogolić się dopiero następnego dnia. Razem z mieszkańcami pozostałych baraków.

Aha. No cóż. I tak nie miał zamiaru rzucać się z brzytwą na strażników. Na pewno nie tutaj, w Torgau, daleko w głębi Niemiec, i na pewno nie teraz, w listopadzie 1918 roku. Jeńców traktowano tu całkiem nieźle. W miarę dobrze karmiono. Tym, co zostało do jedzenia. A teraz do jedzenia zostały właściwie tylko buraki.

Obiecał sobie, że już nigdy w życiu nie zje ani kawałka buraka.

Był jeńcem wojennym już od roku. W noc po tym, jak strącono jego samolot, doszedł do siebie

w przepelnionym polowym lazarecie, przy jękach innych żołnierzy. Myślał, że trafił do swoich, ale gdy zobaczył, że zakrwawione mundury mają barwy szare, a nie khaki, zrozumiał, że ranni jęczą tak samo po niemiecku, jak i po angielsku.

Rozbił się na polu tuż przed baterią artylerii przeciwlotniczej, jeden z Niemców podbiegł do niego i wyciągnął go z płonącej maszyny. Zupełnie jakby chciał zobaczyć, co też udało mu się zestrzelić z nieba.

O losach Thorne'a, swojego drugiego pilota, Victor nie zdołał się niczego dowiedzieć.

Słyszał wcześniej historie o tym, że Niemcy dobrze się obchodzili z angielskimi jeńcami, ale myślał, że to tylko propaganda. Niemiecki lekarz stwierdził krwawienie do mózgu, które nie ustępowało, sprawiając, że Victor na zmianę tracił przytomność i wpadał w ataki paniki, i wreszcie, w jednym z przeblysków świadomości, zobaczył lekarza trzymającego wiertło z krobką. Potem poczuł, jak coś wytryskuje z jego skroni, i już po upływie doby myślało mu się nieco jaśniej. Stracił słuch w prawym uchu, miał dotkliwe poparzenia lewego ramienia i dłoni, łyse placki na głowie, a jego kolano miało zdaniem lekarzy na zawsze już pozostać sztywne.

Chętnie poznałby żołnierza, który wyciągnął go z samolotu. Był wtedy przytomny i pamiętał jak przez mgłę twarz bardzo młodego chłopca. A potem płomień i coś czerniejącego.

I jeszcze coś zapamiętał.

Pełen zaskoczenia rechot i niemieckie słowa oznaczające „szaleńca” i „podróż”, gdy Victor otworzył oczy, zobaczył, że otaczają go żołnierze i śmieją się serdecznie, a on pomyślał, że teraz go zabijają, lecz oni powtarzali po niemiecku „śmiałek” i „turysta”. W końcu ktoś zawołał, że sanitariusz ma się spieszyć.

To wszystko dlatego, że wcześniej go przeszukali i znaleźli w jego kurtce małą, starą książeczkę o twardych, kartonowych okładkach.

Meyers Sprachführer für Reise und Haus.

Następnego dnia brama była otwarta, a wartownicy zdjęli bagnety z broni. Obóz opuścił samochód ciężarowy, lecz bramy nadal nie zamknięto. Victor poszedł do oficera łącznikowego i spytał, czy mogą sobie teraz wychodzić na własną rękę.

– Nie wiemy. Nikt nam nie przekazał rozkazów. Ale na pana miejscu nie wypuszczałbym się zbyt daleko w tym mundurze.

– Czy to już koniec?

– Oficjalnie mamy zawieszenie broni, ale tak. Wojna skończona.

Victor wszedł do baraku po swoje listy. Ojciec nadal pisał do niego co dwa tygodnie, ale korespondencja była przeadresowywana, wszystko szło powoli i zdarzało się, że dostawał trzy koperty za jednym razem. Ojciec nigdy nie komentował odpowiedzi Victora z uwagi na cenzurę i właściwie tak było dobrze, bo jego listy przypominały mu o istnieniu świata bez wojny. Wśród kopert, które wsunął teraz do kieszeni, było również kilka zaadresowanych pismem Kaia Schweigaarda. Victorowi towarzyszyło niejasne wspomnienie, że posłał pastorowi kilka słów z lazaretu, ciągle zamroczony morfiną, ale co też mu napisał – tego nie mógł sobie przypomnieć.

Włożył nadpaloną kurtkę z owczej skóry, w której został zestrzelony i która chroniła go przed chłodem wysoko w powietrzu, jak również na ziemi, w przeraźliwie wyziębionych barakach dwóch obozów niemieckich. Pomiędzy stronami *Meyers* miał kilka niemieckich banknotów. Każdy pilot wylatywał z gotówką, by w przypadku zestrzelenia przekupić cywilów za liniami wroga, i nikt mu tych pieniędzy nie odebrał. Poszedł do wartownika i spytał, ile niemiecka marka straciła na wartości w ciągu ostatniego roku. Wartę sprawował młody szeregowiec, który stał dziwnie zgarbiony, tak że mauser zsuwał mu się z ramienia.

Nie zrozumiał pytania i zawołał innego żołnierza, który odkrzyknął, że ceny od 1917 roku wzrosły czterokrotnie. Jeśli to o to chodziło pytającemu.

Victor odrzekł, że tak, właśnie o to. Spytał też, czy będą do niego strzelać, jeśli samowolnie opuści obóz i uda się na dworzec autobusowy w centrum Torgau.

Tego samego wieczora wysiadł na dworcu w Dreźnie. Wspaniałe budowle i pomniki wyglądały tak samo jak ostatnim razem, a mimo to miasto było nie do poznania. Kobiety chodziły w szarych

chustkach na głowach, dzieci nie bawiły się na ulicach, pary nie trzymały się za ręce i nigdzie nie dało się słyszeć śmiechu.

Victor szedł przed siebie chodnikiem oświetlonym ulicznymi latarniami. Działały tylko nieliczne z nich, a jego cień nieustannie skracał się i wydłużał.

W Großer Garten nadal stał kościół słupowy z roku 1170. Powierzchnia Carolasee była sina w wieczornym mroku, a on patrzył, jak gmach świątyni odbija się w wodzie. Łupki dachu przywodziły mu na myśl grzbiet prehistorycznego gada.

Zewnętrzne wrota dało się otworzyć, ale ktoś zamknął drzwi portalu od wewnątrz. Victor przystanął przy nich, podziwiając rzeźbionego w drewnie węża, syczącego ku czemuś ponad nim i za nim. Okrążył gmach i zastukał do drzwi zakrystii. Nikt mu nie otworzył i wyglądało na to, że nikt też nie pilnuje świątyni. Victor poczuł, że robi mu się zimno, i zakasał.

Gdy wrócił do głównego wejścia, zobaczył, że wrota do kruchty stoją otwarte, za nimi zaś ujrzał uchylone drzwi portalu. Pochylił się i wszedł w prastary, pogrążony w mroku chłód, ruszył przez nawę, usiadł na *Die Fröstelstelle* i przyjrzał się nastawie ołtarzowej. Zdjął kurtkę z owczej skóry. Odchylił się i rozejrzał dookoła, uniósł oczy ku sklepieniu i krzyżownicom, próbując sobie wyobrazić, jak zbudowano ten kościół, ale w końcu porzucił te myśli, by po prostu odpocząć w objęciach minionych pokoleń. Zatrzymał spojrzenie na grubych sosnowych słupach i pomyślał o lesie w Butangen, z którego pochodziły, potem zaś przymknął oczy, spróbował zapomnieć o szumie w uszach – wojennej pamiętce – i wciągnął głęboko do płuc zapach prastarego drewna. Nagle poczuł, jak chłód przechodzi w dotkliwie zimno, i zdało mu się, że ktoś mamrocze coś tuż obok niego, w dialekcie zbyt dziwnym lub zbyt starym, by mógł go zrozumieć, wyłapał tylko słowa: „Twoja dwójka nas do domu sprowadzi”, i wszystkie wojenne wspomnienia mieszały się i zakotłowały mu w głowie.

Gdy się obudził, był rano, a on leżał na kościelnej ławie przykryty kurtką z owczej skóry. Kościelny Emmerich stał w ukośnym pasie światła, na którym tańczył kurz. Postarzał się i wychudł. Miał na sobie ten sam długi fartuch magazynowy co ostatnio.

– Zabrali go? – spytał Victor. – Dzwon?

– Chodź ze mną.

Victor wstał i ruszył za Emmerichem do zakrystii. Dostrzegł upchnięte w kącie koce i poduszkę – tylko to zdradzało, że i kościelny tu nocował. Emmerich poczęstował gościa ciemnym chlebem, sam niczego nie zjadł. Powiedział, że w roku 1915 przyszło do kościoła dwóch ludzi z ministerstwa wojny. Wedle nowego prawa mieli zabrać po jednym dzwonie z każdej pary.

– Ale my mamy tylko ten jeden – oświadczył Emmerich, demonstrując im wykaz inwentarza z urzędowymi pieczęciami.

Odeszli, zostawiwszy kościół w spokoju. Ale potem, w roku 1917, pojawiło się dwóch innych ludzi z tego samego ministerstwa, oświadczając, że teraz niestety rekwiruje się również i pojedyncze dzwony. Prowadzili szczegółowy rejestr tak przejętego mienia i nadawali numery seryjne działom, na które przetapiano kościelny inwentarz. Po zakończeniu wojny będzie można na powrót przetopić działo na dzwon, tak by wszystkie plebanie otrzymały z powrotem przynajmniej jakąś część zarekwirowanego brązu. Robiono tak już podczas wcześniejszych wojen i tak też miało stać się teraz.

Emmerich opowiedział im o dawnej legendzie, według której oglądać odsłonięte dzwony mogli tylko niezamężni i nieżonaci członkowie określonego rodu w Norwegii. Bo wszyscy inni umrą. Na udar lub na chorobę.

– No i? – spytał Victor. – Zabrali go?

Emmerich nie odpowiedział. Poprowadził go ku wąskim bocznym drzwiczkom, które otworzył przed nim ostatnio.

Tym razem Victor nie zatrzymał się w połowie drogi. Drobinki kurzu tańczyły w promieniach światła wpadającego przez szpary między deskami, on zaś odnalazł stopnie i wspiął się po nich na sam szczyt. Wkrótce uderzył głową w drewnianą kłapę, uniósł ją i wstąpił na dzwonnice. Ukląkł ze wzrokiem wbitym w podłogę. Trwał tak bardzo długo, aż w końcu uniósł głowę.

Oto przed nim wisiała. Ciemny, potężny kształt.

Halfrid.

Victor uniósł żelazny haczyk blokujący okiennicę i otworzył ją, wpuszczając do środka światło poranka.

Zobaczył, że ktoś nakreślił na brązie kilka słów miękkim ołówkiem. Kunsztowne, eleganckie drukowane litery. Charakter pisma artysty. Jego ojca. Wiadomość z roku 1880 do jego dwóch synów.

„*Edgar und Jehans. Schön ist, was wir sehen. Noch schöner –*”

Reszta się rozmazała i była nieczytelna, ale Victor domyślił się końca: „Piękne jest to, co widzimy. Piękniejsze – to, co wiemy, lecz najpiękniejsze jest to, czego nie pojmujemy”.

– Przyjmij mnie – wyszeptał.

Dzwon zaczął wibrować. Z początku było to słabe, niesłyszalne drżenie, lecz potem rozległ się cichy dźwięk. Victor musnął brąz opuszkami palców. Tony ucichły, lecz metal nadal wibrował, przepełniając go srebrzystym pogłosem.

Znalazł w centrum straganiarza i poczekał, aż inni kupujący odejdą, by nikt nie usłyszał jego akcentu.

Zostały tylko buraki.

Odnalazł grób ojca i zjadł je, przed nim stojąc. Wychodząc z cmentarza, minął starego człowieka z laską, który długo mu się przyglądał. Rozpoznają mnie tu, pomyślał Victor. Zaraz ktoś mnie rozpozna.

Szyld Galerie Apfelbaum zdjęto, okna zasłonięto kawałkami sklejk. Za szybą w drzwiach wejściowych wisiała napisana odręcznie wiadomość. Światło latarni było słabe, Victor zapalił więc zapałkę i w blasku płomienia odczytał, że dzieła sztuki oddane w zastaw odebrać można po umówieniu wizyty pod numerem 627.

Był to charakter jej pisma.

Wokół centrali telefonicznej kręciło się zbyt wielu ludzi, wszedł więc do kawiarni i zapytał, czy mógłby zadzwonić. Kelner długo mierzył go wzrokiem, po czym rzucił cenę. Dodał, że klient będzie mógł rozmawiać dwie minuty oraz że numer i czas zostanie podany centrali przez obsługę, by nie oszukał ich, zamawiając połączenie międzynarodowe.

Podano mu adres na Zittauerstraße, ona zaś uchyliła drzwi i nie rozpoznała go, dopóki nie wypowiedział nazwiska „Gerhard Schönauer”. Wpuściwszy go do środka, przyjrzała mu się, jakby był mapą dalekiego kraju, i przyglądała mu się nadal, kiedy rozpiął skórzaną kurtkę, pokazując, że ma pod nią brytyjski mundur.

– Przyszedł pan odebrać obraz? – spytała Elsa Rathenau.

Victor obrócił głowę i wyjaśnił, że stracił słuch w jednym uchu, ona wtedy powtórzyła pytanie. Powiedział, że nie. Że chciał zobaczyć jedyne go człowieka będącego dla niego czymś innym niż wojną i walką.

Sprawiła wrażenie, jakby nie usłyszała tej odpowiedzi.

– Spóźnił się pan – powiedziała. – Termin odbioru obrazów to sześć miesięcy.

Odrzekł, że tak, naturalnie. Dobrze o tym wie. Ale dziękuje tak czy inaczej.

– Spóźnił się pan nie po obraz. Ale po mnie.

Victor długo na nią patrzył.

– Nazywam się teraz Kreis. Ślub wzięliśmy w trzynastym, rok później urodziłam córkę.

– Pójdę już – powiedział Victor. Ale ona chwyciła go za nadgarstek, mówiąc, że obraz wciąż u niej jest. – Stoi tu, u mnie. Zobacz. Nie, tam, przy pianinie.

Wszedł dalej do mieszkania. Pianino, lustro, stół z jednym krzesłem – oto całe umeblowanie.

– Widziałam przekaz bankowy – powiedziała. – Bank of Scotland. Nie podałeś nigdy nazwiska, ale domyśliłam się, że sam kupiłeś ten obraz, choć nie chciałeś, by ktokolwiek się dowiedział. I że pieniądze mają zostać wysłane do Norwegii. Miałam wtedy siedemnaście lat. A nadal pamiętam ich nazwiska. Jehans Hekne. Kai Schweigaard. Nie umiałam ich nawet wypowiedzieć. Kraje i ludzie, o których nie miałam pojęcia. Musiałam otworzyć atlas, by znaleźć miejsce, w którym żyli. Butangen. Do tego jeszcze to niezrozumiałe żądanie sfałszowania daty sprzedaży. Cofnięcia jej o dwadzieścia pięć lat. Do kwietnia osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku. Nie było mnie wtedy nawet na świecie. Ojciec zaprotestował. Ale ja i tak to zrobiłam. Spojrzałam ponownie na obraz i zostałam zupełnie oczarowana, przez niego i przez ciebie. A ty pewnie nawet nie wiesz, co takie rzeczy potrafią zrobić

z siedemnastoletnią dziewczyną. Nigdy nie miałam serca go sprzedać.

– Nawet teraz?

– Żyję ze sprzedaży nieodebranych obrazów. Wyzbywałam się ich jednego po drugim. Dzieła sztuki tracą w czasie wojny wszelką wartość. Ledwie mi starcza na jedzenie. Gisela, nasza córka, jest u swoich dziadków. Prowadzą niewielkie gospodarstwo.

– A twój mąż?

Potrząsnęła głową.

– Eugen zaginał nad Marną we wrześniu czternastego roku. Byłeś nad Marną?

– Przelatywałem nad nią.

– A zabiłeś kogoś po drodze?

– Tam nie. Tyle mogę powiedzieć z pewnością. Nie nad Marną.

Poczęstowała go kawą, cienką, lecz mimo to mocniejszą od tej, której kosztował przez ostatnie miesiące. Opowiedział jej, że przyjeżdża z Torgau i że wkrótce ma zostać odesłany do domu, do Wielkiej Brytanii. Wyjął z wewnętrznej kieszeni *Meyers Sprachführer für Reise und Haus* i otworzył książeczkę na stronach z literą K, między którymi trzymał jej fotografie.

Elsa Rathenau miała mydło, mógł się więc porządnie wyszorować. Postawiła krzesło na środku izby, położyła mu na ramionach ręcznik, po czym ostrzygła go i ogoliła brzytwą zmarłego męża. Eugen Kreis był mężczyzną zbliżonym do niego budową ciała, lecz ona sprzedała wszystkie jego ubrania z wyjątkiem ślubnego garnituru. Podeszła do pianina i podniosła obraz. Był zwinięty w rulon i zabezpieczony warstwą szarego papieru przewiązanego postrzępionym sznurkiem.

Poprosił ją, by go zachowała.

– Tym razem wrócisz?

– Tak szybko, jak się da. A jeśli nie, to go sprzedaj.

Nie rozwiązała sznurka, on zaś wiedział, że nie przypomina już człowieka z autoportretu, zwiniętego w tym rulonie razem z odzianą w czerwień kobietą.

Elsa Rathenau usiadła na stołku przy pianinie.

– Nie miałam wtedy żadnego doświadczenia z mężczyznami. Lecz mimo to pojęłam, że ci się mogę podobać. W ten szczególnie sposób. Przed tobą nikt tak na mnie spojrział. A potem zniknąłeś. Eugen był dobrym człowiekiem, tyle że takim z krwi i kości. A ty przyszedłeś do mnie z portretem samego siebie, chcąc go samemu sobie sprzedać. Trzymałam ten portret w domu, myśląc, że jeszcze wrócisz.

Uniosła klapę pianina i wydobyła z instrumentu niskie D.

Spędził u niej tę noc, a rano włożył garnitur Eugena Kreisa. Gdy stanęli razem przed lustrem, spytał ją, czy nadal ma swoją suknię ślubną.

– Tak. Ale jestem teraz dużo chudsza niż w trzynastym roku.

– Wszyscy jesteśmy chudsi niż w trzynastym roku – odrzekł.

Oparł się o ścianę dworca, słuchając bicia dzwonu.

Nad Großer Garten rozległo się siedem uderzeń. Tak głośno mogła dźwięczeć tylko Halfrid.

Zrobił kilka kroków do przodu i przekrzywił głowę. Gdy tak stał, zdawało mu się, że słyszy cichą odpowiedź innego kościelnego dzwonu, czystszy, bardziej obnażony ton, zupełnie jakby wszystkie jego podzwęki zostały porzucone gdzieś po drodze, a na miejsce dotarła sama nuta uderzenia. Nutą tą była bliźniaczo podobna do dźwięku Halfrid i zdawała się dobiegać z dalekiej północy.

Stań w progu i posłuchaj

Wszystko stało się tak nagle. Chłopiec przeleżał z gorączką zaledwie cztery dni, a potem zmarł w swoim łóżku, ściskając w dłoniach czerwony klaser ze znaczkami. Płacz niósł się korytarzem, dobiegał zza zamkniętych drzwi i nic, co mógłby powiedzieć Kai Schweigaard, nie zdołałoby pomóc, zaś żałoba po odejściu Simena powiodła go na powrót ku chwili, w której zrozumiał, że stracił Astrid. Pastor nie mógł nic przełknąć, miał cały czas gorzki posmak w ustach i odnosił wrażenie, że na jego ciele zaciskają się wielkie szczypcy. Ale mimo wszystko... to było nic. Nic w porównaniu z tym, co czuli rodzice chłopca.

Simen był dumą i radością wszystkich na plebanii, a potem zgasł w kilka zaledwie dni, z sinymi wargami. Jego rodzeństwo przeniesiono do innego budynku, ale młodsza siostra przybiegła do niego i nie chciała puścić jego dłoni. Żałoba odmieniła ojca chłopaka nie do poznania, a gdy Kai powiedział, że sprowadzi kogoś do pomocy, by zdjąć z niego część obowiązków, pan Røhme po raz pierwszy w życiu wpadł we wściekłość i oświadczył, że grób dla Simena wykopie własnymi rękami.

Złożyli chłopca do ziemi następnego poranka i przez dwa kolejne dni Schweigaard w całości oddał się żałobie. Nie jadł i nie spał, w końcu padł wycieńczony, a gdy się obudził, znalazł w sobie dość siły, by odnotować tę śmierć w kościelnych księgach i przejrzeć gazetę.

Było w niej dwa razy więcej nekrologów niż tydzień wcześniej. Wszyscy niemal zmarli mieli mniej niż dwadzieścia pięć lat, czasami ogłaszano śmierć rodzeństwa, które odeszło tego samego dnia. „Nasz ukochany syn i brat Halvard K. Lokvam, 20 lat. Ivar K Lokvam, 18 lat. Moja ukochana żona i nasza matka Jørgine Avlund, 20 lat. Nasza najdroższa córka i siostra, nauczycielka Anna Lindsehaug, 21 1/2 roku. Najukochańsze córeczki Ada Simensen i Gudrun Simensen, 15 i 22 lata. Droga małżonka Kari Havn, 26 lat”.

A to tylko połowa nekrologów z ich okręgu wydrukowanych w tym numerze gazety. Nazajutrz było ich jeszcze więcej. Hiszpanka sięgała najchętniej po młodych i silnych. Doktor wyliczył, że jeśli tak dalej pójdzie, choroba zabierze więcej istnień niż sama wojna, kosztująca przecież miliony istnień.

Zniesiono częściowo zakaz sprzedaży ciężkich alkoholi i każde gospodarstwo domowe otrzymało miesięczną rację jednej trzeciej litra wódki dla chorych. Schweigaard czytał jedną wątpliwą radę za drugą, drukowane w „Gońcu Lillehammer”. „Wetknij rozżarzony drut do robótek w smołę i wdychaj dym”. „Zagotuj pół kubka wody i wsyp tyle cukru, ile da się rozpuścić, dolej do pełna alkoholu i wypij, ile zdołasz”.

Bardzo go to irytowało. Żadna z gazet na pierwszej stronie nie napisała jednoznacznie, że to po prostu katastrofa. Pisano za to o polityce, wojnie i handlu, ludziom ubogim poświęcano miejsca niewiele, zaś w gazetach z Lillehammer widniały tylko krótkie wzmianki o tym, że „Hiszpanka znów grasuje w dolinie”.

Kai Schweigaard poszedł do kuchni i wziął sobie stamtąd trochę suchego chleba. Nie chciał zawracać głowy pani Røhme, ale musiał jeść, by mieć siłę na to, co jeszcze czekało Butangen.

Wcześniej wierzył, że ocali Simena. A tak naprawdę – że ocali ich wszystkich.

W dniu, w którym Gunhild odezwała się z dna Lønsesvatnet, pod kościół przyszli ludzie ze wszystkich gospodarstw, on zaś wspiął się na schody i oświadczył, że dostał wiadomość o zbliżającym się niebezpieczeństwie, najpewniej chorobie, po czym podniósł głos, dodając, że są sposoby na jej uniknięcie.

Schweigaard bowiem, jako człowiek Kościoła, wiedział niejedno o tym, jak rozprzestrzeniają się zarazy. Dzięki „Luterańskiemu Gońcowi Kościelnemu” miał okazję śledzić trwającą dekady debatę o ryzyku zarażenia gruźlicą podczas komunii, gdy cała parafia pije krew Chrystusa z jednego kielicha. Przez stulecia nakazywano przestrzegania tego rytuału, był on kluczowym symbolem chrześcijańskiej wspólnoty. Ponadto, jak utrzymywali najbardziej zatwardziali tradycjoniści, prawdziwy chrześcijanin nie powinien w ogóle bać się śmierci, w każdym razie nie w kościele, gdzie prawiono wszak o życiu wiecznym. Lecz w roku 1914 zwyciężyła wreszcie wiedza medyczna i pozwolono ludziom pić wino

mszalne w osobnych kielichach.

I tam właśnie, na kościelnych schodach, Schweigaard tchnął całą swoją zdobywaną przez lata wiedzę w przestrogi dla parafian. Nabożeństwa odwołano na czas nieokreślony. Licytacji i potańcówek raczej trzeba było unikać, nie należało też odwiedzać innych wsi. I najlepiej trzymać się z dala od obcych. Ogólnie rzecz ujmując, należało zachować ostrożność i sceptycyzm.

Wiedział, że przestrzeganie tej ostatniej rady nie będzie dla mieszkańców Butangen problemem.

Mimo to spodziewał się, że padną pytania. Skąd te informacje? O jaką chodzi chorobę? Kiedy ona nadejdzie?

Nikt o nic nie zapytał.

Kai pomyślał z zaskoczeniem: Nie przełknęliby tego tak łatwo wtedy, gdy przyjechałem do wsi jako dwudziestopięciolatek. Ale teraz skończyłem sześćdziesiątkę, więc mnie słuchają. To ja jestem tu pastorem.

Potem uświadomił sobie, że ludzie są tak naprawdę posłuszni większej mocy niż on. Nawet teraz, w nowym stuleciu, dawne historie żyły w Butangen swoim życiem. Wciąż byli we wsi starcy, którzy dźwigali się zgarbieni z ław i taboretów mówiąc: „Teraz to trzeba uważać! Dzwon zabił!”.

Ale Simena nie udało się ocalić. Był listopad i – łącznie z chłopcem – w Butangen zmarło czworo mieszkańców. Statystycznie wypadało to być może lepiej niż w innych wsiach, ale czy należało tłumaczyć ten stan rzeczy przestrogami pastora – nie sposób było powiedzieć.

Schweigaard znów otworzył gazetę. W całym kraju odwoływano prelekcje, zamykano domy kultury, szkoły i biblioteki, pociągi jeździły bez konduktorów, a telefony często nie działały, bo telefonistki leżały chore w domach. Rodzinne zdjęcia czekały u fotografa i nikt ich nie odbierał, bo fotograf już nie żył. Nie istniało żadne lekarstwo, chorowali również doktorzy.

Kai wstał i zaczął niespokojnie krążyć po izbie. Nie mógł robić tego, czego najbardziej pragnął, to znaczy czuwać przy umierających, ludzie bowiem mówili: „Jeszcze nam sam pastor zemrze i kto nas wtedy pochowa?”.

Tydzień później choroba dotarła do Hekne.

Wiadomość przyniosła mu Kristine. Powiedziała, że Jehans chciał do niego przyjść, by mu coś powiedzieć, coś, co nie dawało mu spokoju przez ostatnie dni. Ale rozboleła go głowa i zaczął chrypieć, zupełnie jakby się przeziębził. Czuł się tak słabo, że postanowił poczekać z wizytą do następnego dnia, a przez noc tylko mu się pogorszyło.

– To takie straszne – powiedziała, otulając się szalem. – Chciałabym go uścisnąć, ale nie mogę. Położył się w tej wielkiej izbie na parterze.

Pastor spojrzał na jej okrągły, piękny brzusek rysujący się pod fartuchem. Powiedziała mu, że już od dawna spali w osobnych izbach, a gdy zobaczyła, że go to zaniepokoiło, dodała pospieszenie:

– Ale tylko na wypadek hiszpanki. Jehans przeczytał w gazecie, że kobiety w ciąży bardzo ciężko ją przechodzą. I powiedział, że tak trzeba.

– Mądrze – skomentował Schweigaard. – Naprawdę mądrze. Bardzo z nim źle?

– Nie tak znów bardzo. Ale jestem pewna, że to ta paskudna grypa. Dziś rano strasznie się upierał, żeby iść nad Løsnesvatnet. Obiecałam, że po ciebie pójde. Oczywiście nie możesz do niego podejść, ale może byś stanął w progu i posłuchał, co on ma do powiedzenia?

Pastor ruszył za nią do majątku. Wszedł do budynku mieszkalnego i już po chwili stał w przestronnej, niskiej izbie w rogu domu. Miała okna na dwóch ścianach i rozciągał się z niej widok na jezioro.

Ale Jehans spał, a Schweigaard nie chciał stać przy nim zbyt długo. Odczekał godzinę na dworze i wrócił do środka. Chory wymamrotał wtedy imię.

– Chodzi o twojego brata? – spytał Schweigaard. – To o niego pytasz?

Jehans uniósł się nieznacznie na poduszkach i kiwnął lekko głową.

Następnego dnia trzeba było zamknąć mleczarnię, bo rozchorowała się Ada Borgen. Nowy gmach był jeszcze nieukończony, ale zaczęli już korzystać z maszyn i przyjmowali mleko z pięciu gospodarstw, a Kristine nie była w stanie nad wszystkim zapanować. Kilka lat wcześniej nie stanowiłoby to żadnego problemu, wtedy mleko przetwarzało się w majątkach, teraz jednak ludzie przywykli do

odstawiania go do mleczarni – podobnie jak przyzwyczaili się do pieniędzy, które im za to płacono. Schweigaard poszedł do nowego gmachu i znalazł Kristine, która – zupełnie sama i odchodząca od zmysłów ze zmartwienia – szorowała gary i przenosiła cebrzyki.

– Tak nie da rady – powiedziała.

– Nie wolno ci dźwigać – przypomniał jej pastor. – Przecież wiesz.

– Nie mogę spać. Obiecaliśmy, że będziemy brać od ludzi mleko i je obrabiać, ach, nie powinnam była tyle obiecywać! Jak rozchoruje się więcej kobiet, to nie będzie miał kto doić, a wtedy co? Zastrzelimy mleczne krowy?

– Nie myśl tak nawet, Kristine. Nie myśl tak. Jesteśmy w tym wszyscy. Trzeba o siebie dbać najlepiej, jak się da.

– Musisz do niego zajrzeć. Postawiłam mu w korytarzu talerz z jedzeniem, a potem okrążyłam dom i zapukałam w szybę. Ale nie zdążyłam zobaczyć, czy wstał, bo musiałam przyjść tutaj.

Schweigaard pospieszył do Hekne, smagany podmuchami zimnego wiatru. Kolejny raz stanął w progu, ale Jehans leżał spocony pod prześcieradłem i mamrotał jakieś niezrozumiałe słowa.

Ta bezsilność! Stać tak i patrzeć, jak bezlitosny los igra życiem innego człowieka!

Aby odpędzić takie myśli, zaczął się rozglądać po tym wielkim, starym domu. Wyszedł na korytarz i stwierdził, że od czasów Astrid nic się tu właściwie nie zmieniło. To tutaj właśnie stał, przy tych schodach, i patrzył, jak zbliża się do niego z robótką w dłoniach. Tamtego dnia, gdy wreszcie poszła z nim na spacer.

Był teraz zupełnie innym człowiekiem żyjącym w zupełnie innym czasie. Ale ona już na zawsze pozostanie w tamtej epoce.

Zaczął myśleć o izbie, w której leżał Jehans. Nie mogła ona służyć za pokój dzienny, bo sąsiadowała przez ścianę z kuchnią. Nie była to raczej też zwyczajna sypialnia, bo te znajdowały się z reguły na pierwszym albo drugim piętrze – bo żerujące na krowich plackach muchy rzadko wlatywały na taką wysokość. Ponieważ do izby wpadało światło z dwóch stron świata, musiała ona pełnić raczej funkcję czegoś w rodzaju gabinetu albo warsztatu. Pastor spojrzął na belkę nad drzwiami tego pokoju.

Pierwszym, co zobaczył, był gmerk wyobrażający Gromoryka. Wycięty głęboko w drewnie byk z zakrzywionymi rogami. A tuż pod nim – data „1613”.

Schweigaard zobaczył oczyma duszy starego Eirika Hekne. Człowieka, który posiadał kawałek sosnowego lasu i żywił ogromną miłość do dwóch córek. Oczywiście, że przeznaczył dla nich osobną izbę – oddał ją dziewczętom, którym niewygodnie było chodzić po schodach. Cały dom wzniesiono z drewna, rozkład pomieszczeń nie zmienił się zatem od roku 1613.

Kai Schweigaard nie miał już wątpliwości.

Jehans leżał w pokoju, w którym pracowały i umarły bliźniaczki Hekne.

Gdy wrócił na plebanię, zastał matkę Simena w kuchni.

– Nie musi pani niczego szykować – powiedział. – Proszę odpoczywać. Ja sobie dam radę.

Odparła mu, że woli mieć coś do roboty. Zająć czymś myśli.

Sięgnęła po słoik gruszek w syropie, a pastor zrozumiał, że chce zrobić jedną ze swoich słodkich, kolorowych sałatek owocowych.

Jakiś czas później poczuł zapach pieczonej szynki.

Ulubionego dania Simena. Jego zresztą też.

Zjadł obiad sam, siedział potem jeszcze długo przy stole, dżgając widelcem kawałki słodkich gruszek. Mówiło się, że Gunhild skończyła tkąć gobelin, gdy Halfrid leżała już martwa. A skoro siostry dzieliły zmysły, dziewczyna była w stanie zajrzeć w królestwo śmierci. Lecz co zdążyła przez ten czas utkać? Musiał to być jakiś bardzo niewielki fragment.

Pastor wstał od niedojedzonego deseru i poszedł przypatrzeć się Tkaninie z Hekne.

Ta ostatnia część musiała niemal na pewno znajdować się gdzieś z brzegu. Już wcześniej obejrzał rzecz jasna uważnie każdy skrawek gobelinu, próbując doszukiwać się znaczenia w najmniejszych niuansach barw, nie licząc rogu, w którym tkanina była nieco postrzępiona, bo tam nie sposób było się dopatrzeć czegokolwiek.

Podjął teraz kolejną próbę. Zebrał luźne nici w dłoni i spróbował rozczesać supły. Na próżno –

były zupełnie sfilcowane. Podniósł ostrożnie tkaninę i zabrał ją ze sobą do izby, w której składał kiedyś z Astrid obrus adwentowy. Położył ją na stole i przekreślił przełącznik. Po raz pierwszy na gobelin padło światło elektryczne.

Siedział tak ponad godzinę, próbując, najostrożniej jak umiał, rozplątać nici. Nie sposób było trzymać ich wszystkich równocześnie. Za każdym razem, gdy zdawało mu się, że widzi w nich jakiś wzór, motyw ten rozsypywał mu się w dłoniach. W końcu, gdy wreszcie rozdzielił wszystkie nici i ułożył je płasko na blacie, ujrzał, jak przed jego oczami tworzy się obraz.

„Ty będziesz długo żył, księżu. Ale też zobaczysz znak. Zwłaszcza ty go zobaczysz”.

Czas Gunhild nie był w tym ostatnim dniu ograniczony ani odmierzony. Do izby weszła śmierć, ale rozsiadła się najwyraźniej i postanowiła zaczekać. Pozwoliła jej ukończyć dzieło. Małeńki, spójny motyw. Utkany w zupełnie innym stylu niż reszta gobelinu. Stworzony przez dwie, a nie cztery ręce, przez ulatujące z ciała życie.

Ostatnie nici Norn.

Nie był to złowieszczy omen. Raczej szept innego, nieznanego głosu.

Nie dowiedział się kiedy i nie dowiedział się dlaczego.

Lecz w tej właśnie chwili Kai Schweigaard poznał prawdę o tym, jak umrze.

Stary blériot

Drzwi mieszkania zarządcy były zamknięte na klucz. Za brudną szybą okna widać było krzesło i oprócz niego nic. Otworzył skrzypiącą żelazną bramę, a potem pokuśtykał aleją i spojrzał na piętrzący się przed nim główny gmach Finlaggan.

Był szary poranek, ale mimo wszystko.

Gdzie oni się wszyscy podziali?

W ten chłodny listopadowy dzień dom wyglądał dziwnie i niepokojąco. Porastających ściany winorośli dawno nikt nie przycinał, okna na pierwszym i drugim piętrze były zarośnięte. Fontanna wyschła, na żwirowej ścieżce leżały gnijące liście, rynna przy tarasie poluzowała się i dyndała smutno przy murze. Przed stajnią wyrosły pokrzywy i Victor domyślił się, że konie już dawno zostały posłane na front.

Nie było jednak co rozpaczać. Finlaggan zbudowano z cegły. Rzeki wokół majątku będą nadal płynąć, pola znów się zazielenią, na świat przyjdą źrebięta, dobrzy ludzie zaczną szukać pracy i wciąż roztaczał się widok na Cheviot Hills.

Dom powitał go pustką i mrokiem. Było tu nawet chłodniej niż na dworze. Victor znów miał na sobie mundur, odstawił paczkę ze swoim lotniczym ubraniem i garniturem, po czym ruszył w kierunku schodów.

– Ojcze! Wróciłem.

Nikt mu nie odpowiedział

– Ojcze?

Po jego lewej stronie rozległy się kroki człowieka, który całe życie przechodził boso. Ale teraz włożył buty.

Po raz pierwszy się z Kumarą dotknęli. Padli sobie w ramiona i uściskali się jak dzieci.

– Jesteś zdrowy, Victorze?

– O tyle o ile. Gdzie chłopak od Wilkinsa i pozostali?

– Zostali zwerbowani, jeden po drugim, poczynając od jesieni szesnastego roku. W innych majątkach jest tak samo. Nigdzie już nie ma żadnych młodych mężczyzn. – Kumara zmierzył go wzrokiem. – Co się stało z twoimi włosami? Nie, nie odpowiadaj. Musisz coś zjeść.

Stali chwilę w milczeniu i Victor domyślił się, że przed jedzeniem musi przyjąć jeszcze tę jedną wiadomość.

Kumara pokręcił powoli głową.

– Twój ojciec zmarł cztery miesiące temu. Zasnął i już się nie obudził. Odszedł w spokoju. Byłem przy nim.

Victor spojrzał w górę schodów.

– Ale przecież dostałem do niego list, zaledwie kilka tygodni temu.

Kumara wyjaśnił, że jego ojciec chorował od października 1917 roku. Lekarz powiedział mu wtedy, że należy spodziewać się najgorszego, więc senior spędzał całe dnie, pisząc listy, które opatrywał przyszłymi datami.

– Leżą na górze. Cały stos. Miałem ci je wysyłać co dwa tygodnie. A potem sam do ciebie pisać i udawać, że on mi dyktuje.

Victor usiadł na stopniu schodów. Zniecierpliwienie i podenerwowanie zgasało w nim na chwilę, lecz rozpacz, którą chciał teraz poczuć, nie nadeszła. Nie dość silna, nie dość autentyczna. Zupełnie jakby fotografia ojca została po prostu przewieszona na ścianę zmarłych.

– Pochowaliście go tutaj? – zapytał.

– Tak. Tu niedaleko, na wzgórzu.

Victor kiwnął głową w milczeniu.

– A co z matką i Josephem?

– Nie dotarli na pogrzeb. Bali się U-botów.

- A potem przyjechali?
- Nadal się ich boją.
- Hm.
- Przyjechał za to adwokat z listem od twojej matki.

Victor wstał.

- Chyba nie sprzedali Finlaggan? Nie mów, że sprzedali Finlaggan!

– Nie. Przekazałem adwokatowi pismo od twojego ojca. Z potwierdzoną u notariusza klauzulą, że nie mamy ci urządzić pogrzebu, póki nie będzie kogo grzebać. I że dopiero po czterech latach od twojego zaginięcia pani Harrison i Joseph otrzymają prawo do zarządzania majątkiem. To na wypadek gdybyś był przetrzymywany w jakimś obozie jenieckim. A po twoim powrocie miałem ci przekazać wiadomość, że Finlaggan stało się twoją własnością na pięć dni przed twoimi narodzinami. Dwudziestego trzeciego marca osiemdziesiątego pierwszego roku.

- Na pięć dni zanim się urodziłem?

– Cyrus chciał, żebym tak to powiedział. Dokładnie w ten sposób. Codziennie mnie prosił, żeby mu to powtarzać. Ale plantacja została sprzedana. Mieszkanie w Edynburgu też.

Victor ukrył twarz w dłoniach.

– Posłuchaj – podjął Kumara. – Zostały nam trzy kury, a jedna z nich już nie znosi jajek. Mógłbym ją przyrzadzić tak, jak lubisz. Mam jeszcze przyprawy.

Victor potoczył wzrokiem po pustym korytarzu i meblach z ciemnobrązowego drewna, nadal polerowanych przez Kumarę.

- W porządku, Kumaro. Podzielimy się posiłkiem. Nie chcę jeść w samotności. Nie teraz.

Wstał i przespacerowali się obaj po domu. Minęli telefon, który – jak zapewnił Tamil – od czasu do czasu działa.

- Trzy dni temu zadzwonił jakiś człowiek z Norwegii.

Victor przystanął gwałtownie.

Kumara powiedział, że nie dosłyszał nazwiska, bo w słuchawce strasznie trzeszczało, ale był to starszy mężczyzna o silnym głosie. Dzwonił już kiedyś wcześniej, ale wtedy nie sposób było zrozumieć, o co mu chodzi.

- A teraz?

– Powiedział, że ktoś w Norwegii, kogo znasz, jest umierający. Jakieś dziwne imię. Coś jakby Joshua albo James?

Zobaczył przez okno, jak Kumara wraca do domu, niosąc kurę z odrąbaną głową. Trzymał ją za kuper, zakrwawiona szyja dyndała z każdym jego krokiem, rozpryskując dookoła drobne kropelki krwi.

Victor już trzeci raz bezskutecznie próbował połączyć się z centralą. Krążył nerwowo po domu. Dręczył go niepokój, taki sam jak podczas oczekiwania na rozkaz do wylotu. Poszedł do swojej sypialni i przebrał się w stary strój do polowania. Złapał się na tym, że szuka wzrokiem psa, choć wiedział przecież, że go teraz nie znajdzie.

Otworzył drzwi do sypialni ojca. Powietrze było ciężkie. Na komodzie leżał gruby plik listów, obok niego stało pudełko po cygarach pełne znaczków.

Victor otworzył szafę i znalazł ulubioną, znoszoną tweedową marynarkę ojca. Chwyił ją i przycisnął do piersi tak, jak wcześniej przyciskał Kumarę. Trzymał ją długo, ale nie poczuł niczego prócz dotyku starej tkaniny pod palcami.

Był zupełnie nieczuły i wiedział, że to najgorsza rana, jaką człowiek może przywieźć z wojny. Mimo to nie wypuścił marynarki z rąk. Przyciskał ją do siebie, szukając w niej jego zapachu, szukając resztek życia i wspomnienia jego głosu.

Jeszcze nigdy się tak nie obejmowali.

Przytulał marynarkę nieskończenie długo i wreszcie coś w nim puściło. Poczuł wilgoć w kącikach oczu. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, zaczął szlochać i musiał usiąść na łóżku, w końcu poczuł, jak po policzkach płyną mu łzy.

- Dziękuję, ojcie. Myślałem, że wojna je zabrała.

Siedział tak, znajdując ukojenie w każdej chwili płaczu, w końcu wyprostował się i sięgnął po

listy. Otworzył pierwszy z nich, powoli go przeczytał, po czym wsunął z powrotem do koperty i otworzył kolejny.

Lakoniczne, choć zawsze piękne refleksje starego człowieka na temat zmieniających się w Finlaggan pór roku. Opisy majątku, w którym było wszystko, o czym można zamarzyć. Gdzie można jeździć konno, wędkować i polować na ptaki, uprawiać ziemię wiosną, latem i jesienią. Eleganckie, datowane co czternaście dni przypomnienia, jaką radość daje życie na własnych zasadach. Fantazja mieszająca się z rzeczywistością. Łącznie czterdzieści trzy listy. Dość, by podtrzymać go na duchu, gdyby wojna miała potrwać aż do dwudziestego szóstego maja roku 1920.

Ostatni, majowy list kończyły słowa o tym, że „w Finlaggan jest ciepło i zielono”, lecz należy spodziewać się zmiany pogody. Ojciec dodawał, że musi już kończyć, bo chce wyjść na spacer, zanim zacznie padać.

Gdy Victor zszedł na parter, poczuł dochodzący z jadalni zapach keralskiego curry i zobaczył, że Kumara przygotował dla niego nakrycie na końcu długiego stołu. Sam wyjął z szafki dodatkowy talerz i sztucce, po czym poprzestawiał wszystko tak, by mogli jeść, siedząc naprzeciwko siebie. Po zakończonym posiłku podziękował i powiedział, że ma teraz niestety do załatwienia sprawę niecierpiącą zwłoki.

W promieniach przedpołudniowego słońca poszedł do szopy, w której stał jego blériot. Gdy był ostatnio w domu na przepustce, nie chciał na niego patrzeć i teraz musiał udeptać wybujałe chwasty, by móc w ogóle otworzyć drzwi. Samolot przykryto kilkoma wielkimi prześcieradłami.

– Nie dało się odpędzić od niego ptaków – wyjaśnił Kumara. – Próbowałem zabić deskami szpary w ścianach, ale trudno ostatnio o materiały. Dziwnie się na to patrzy. Dużo małych ptaszków na wielkim ptaku. Bałem się, że kwas z ich odchodów wypali dziury w skrzydłach. Wziąłem więc starą pościel twojej matki i je przykryłem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Wręcz przeciwnie, Kumaro.

Ściągnęli z samolotu prześcieradła, wzbijając w powietrze chmury kurzu i suchych ptasich odchodów. Pokasłali chwilę, a gdy pył wreszcie opadł, Victor nie mógł przez moment uwierzyć własnym oczom.

Minęło zaledwie pięć lat od jego ostatniego lotu w tej maszynie, która, w porównaniu z wojskowymi samolotami, zdawała się teraz liczyć sobie co najmniej pół wieku. Paskudnie się też zestarzała. Odciągi pordzewiały i obluźowały się, płótno, którymi pokryto skrzydła, wisiało gdzieś luźno, brzydko poplamione.

Kumara zdjął buty.

Płótno połatali za pomocą igły, nitki i kleju. Naciągnęli je na skrzydła, poprawili odciągi i przewody sterownicze. Victor wymontował gaźniki, wyczyścił komory pływakowe i zawory. Benzyna była racjonowana, ale Kumara schował na czarną godzinę cztery beczki, które powinny zawierać sto osiemdziesiąt galonów. Jeszcze w roku 1913 Victor wymienił silnik na francuskiego gnomé'a, którego cylindry wypełnił przed wyjazdem na wojnę olejem konserwacyjnym. Już wkrótce usłyszeli, jak silnik dławi się, kaszle i w końcu odpala, działał może nie tak jak w roku 1913, ale też zapewne niewiele gorzej.

– Musisz? – zapytał Kumara. – I to teraz?

– Tak – odparł mu Victor. – Nauczyłem się tego na wojnie. Trzeba wylatywać już następnego dnia. Nieważne, co się stało.

Następnego ranka Kumara zabił jeszcze jedną kurę i wypełnił trzy blaszane menażki keralskim curry. Zatankowali blériota i przestudiowali mapy. Tryggve Gran pokonał trasę z Cruden Bay do Revtangena w Jæren w cztery godziny i dziesięć minut, a w baku jego lekkiego blériota pozostało jeszcze sporo benzyny.

Victor spojrzął w niebo i przypomniał sobie swojego instruktora Caraxa. W powietrzu czuć było zapowiedź deszczu, choć on nie potrafił stwierdzić, kiedy zacznie padać.

– Kumaro – powiedział. – Jeśli nie wrócę, pošlij wiadomość do Florencji. Pozdrów moją matkę i powiedz, że Joseph ma przejąć Finlaggan. Zostawiłem list do naszego adwokata, w którym piszę, że masz tu zostać zarządcą. Zapisalem ci też pieniądze, byś mógł, jeśli zechcesz, wrócić na Cejlon.

– Czekałem na ciebie cztery lata, Victorze. Byłoby mi ciężko, gdybyś dziś umarł.

- Nie umrę dzisiaj.
- Ale gdyby. Czy wówczas ja jedyny cię zapamiętam?
- Nie. Poza tym zobaczysz, dokonam teraz czegoś, po czym zapamięta mnie wielu.

Nasunął gogle na oczy, rozgrzał silnik, poderwał blériota w powietrze i zatoczył koło nad Finlaggan. A potem ruszył ku wybrzeżu. Pod kurtką z owczej skóry miał na sobie garnitur Eugena Kreisa, a obok siedzenia położył swój stary szkolny atlas. Wylądował na polu niedaleko morskiego brzegu. Zapomniał już, jak lekki jest ten samolot, i o mały włos nie wpadł w korkociąg. Na tylnym siedzeniu miał kilka kanistrów oleju i benzyny, zatankował teraz i wyruszył w drogę.

Wkrótce Morze Północne rozścieliło się pod nim niczym szara, marszczona tkanina. Wiało trochę słabiej. Przeleciał nad kutrem rybackim i nad wielkim statkiem, a potem przez czterdzieści minut widział już tylko spokojną powierzchnię morza.

Nagle dostrzegł kątem oka niemieckiego fokkera, drgnął wystraszony i odbił w bok. Sekundę później dotarło do niego, że to tylko przywidzenie. Gdy blériot zareagował na jego gwałtowny ruch, przechylił się tak gwałtownie, że przez chwilę Victor widział po lewej stronie taflę wody, a po prawej – niebo.

Wleciał w chmury i poczuł boczny wiatr. Igła kompasu trochę się zacinała, silnik od czasu do czasu kaszlał, Victor miał nadzieję, że nie zacznie padać, bo deszcz ochłodziłby niebezpiecznie całą maszynę.

Blériot powinien sobie poradzić, Victor czuł to w kościach. Pytanie, czy zdąży. Wcześniejsze podejrzenia, że wojna zniszczyła go doszczętnie i już nigdy nie będzie w stanie czuć niczego do innych ludzi, okazały się niesłuszne. Tęsknił za ojcem i było mu przykro, że musiał tak szybko opuścić Kumarę. Nagle przypomniało mu się ognisko rozpalone w Norwegii przed wieloma laty, suche gałązki jałowca, liżące je płomienie i iskry strzelające wysoko pod nocne, górskie niebo.

Ponieś mnie przez to morze, powiedział do blériota. Dowieź mnie na drugi brzeg.

I w tej właśnie chwili poczuł pierwszy silniejszy podmuch wiatru. Zniżył nieco lot, by zobaczyć, jak wyglądają morskie fale. Dostrzegł, że mkną one ku południowemu zachodowi i są lekko spienione. Oznaczało to, że wiatr przybiera na sile, Victor skorygował więc kurs o dwadzieścia pięć stopni.

Chwilę później chmury przybrały groźnie ciemną barwę. Blériotem zaczęło zarzucać, Victor zaś po raz kolejny spojrzął na kompas – tym razem przyjmując trzydzieści stopni poprawki na wiatr. Tuż przed nim rozciągała się gruba ściana mgły. Fale na morzu były coraz wyższe. Podmuchy stały się silniejsze, kurs musiał więc ulec kolejnej korekcie. Godzinę później leciał już w gęstej, mlecznobiałej mgle, przy zerowej widoczności.

Czyżby jednak miało to się skończyć w ten sposób? W wodzie słonej, a nie słodkiej? Tak czy inaczej, pomyślał, każda woda na tej ziemi łączy się w jeden wielki, wspólny ocean. Utopić się w Morzu Północnym czy w Løsnesvatnet – to i tak śmierć w tej samej wodzie.

Spróbował wlecieć ponad mgłę i coraz bardziej marzył. Gdy wysokościomierz pokazał pięć tysięcy stóp, wszystkie instrumenty były już białe od szronu, musiał raz po raz przecierać je rękawiczką. Wkrótce nie dało się już regulować gaźnika, silnik krztusił się rozrzedzonym powietrzem. Drżąc na całym ciele, Victor zniżył jednak maszynę, by zobaczyć, czy da się polecieć pod warstwą chmur.

Nurkując znów w mgłę, usłyszał, że silnik wydaje podejrzany stukot. Próbował go regulować, ale dźwięk nie ucichł. Nagle Victor poczuł zapach benzyny, a motor się zatrzymał.

Blériot runął w dół jak głaz, on zaś pędził przez mgłę przekonany, że wszystko stracone. Podłączył drugi bak z benzyną i zaczął pompować ją ręcznie, pilnując jednocześnie, by samolot nie wpadł w korkociąg. Silnik znów odpalił, lecz odczyt wysokościomierza zjechał z pięciuset do trzystu stóp i nagle samolot wyleciał z mgły, wpadając nieomal do morza. Tuż pod nim unosiły się ku niebu wysokie fale, ale blériot w końcu zareagował, a Victor odzyskał nad nim kontrolę. Leciał przez chwilę pod warstwą mgły, próbując stwierdzić, czy morze pędzi wodne masy na wschód, czy na południe.

Minęły dwie i pół godziny, odkąd wzniósł się nad linią wybrzeża. Jeśli dobrze wyregulował kurs, powinien być mniej więcej w połowie drogi.

Mgła stała się jeszcze gęstsza, a on już nie wiedział, co ma myśleć.

Przez następną godzinę jego rozpacz podsycił niepokój i tęsknota, a wszystko, czego przez te

ostatnie lata nie czuł, coraz bardziej w nim wzbierało. Jehans leżał w Norwegii, umierający, a może już martwy. Victor pragnął jak najszybciej pokonać to morze, przebiec ląd i być przy nim, wśród mieszkańców tamtej maleńkiej wsi, chciał wreszcie znów pomówić z pastorem, pokazać mu, że jest o wiele lat starszy, zobaczyć brata, który może chociaż zastanawiał się nad wysłaniem mu listu – tak jak on sam rozważał wielokrotnie, czyby do niego nie napisać.

Minęła kolejna godzina, a w zasięgu wzroku nadal nie miał żadnego lądu, na którym czekałoby na niego Butangen i mieszkający tam brat.

Czyżby poczuł zapach dymu? Dymu węglowego? A może coś się przepaliło w silniku? Zanurkował we mgle, przebił nagle jej ścianę i niewiele brakowało, a wpadłby prosto na okręt. Koła podwozia o mały włos nie musnęły masztów, ludzie pod nim zaczęli krzyżeć z przerażenia. Wleciał nagle w oślepiające słoneczne światło i zobaczył tuż przed sobą ląd. Wkrótce już posadził samolot na polu i wygramolił się z niego, cały zeszywniały. Biegli do niego ludzie, dziesięć czy dwanaście osób, a on schował się za blériotem i sikał tak długo, że nim opróżnił pęcherz, dopadli do niego dwaj chłopcy.

Gdy pokazał im swój szkolny atlas, byli rozczarowani, że ich rodzinna miejscowość nie została w nim zaznaczona, ale powiedzieli, że najbliższe miasto nazywa się Farsund. Nigdzie im się nie spieszyło i żądali długich, szczegółowych wyjaśnień, ale wyraźnie się ożywili, gdy Victor wyjął brytyjskie banknoty. Zabrał ze sobą „Daily Express”, by pokazać im kurs waluty, lecz oni mu nie uwierzyli i dopiero gdy jeden z mężczyzn przyniósł wczorajsze wydanie „Fædrelandsvennen”, pojęli, że ten dziwny człowiek z nieba proponuje im w zamian za benzynę prawdziwą fortunę, i zaczęli się bardzo spieszyć.

Pozwolił sobie na kolejne lądowanie na północ od Kristianii, udało mu się tam zdobyć paliwo i olej. Zjadł też przygotowane przez Kumarę jedzenie. Przebycie ostatniego odcinka trasy miało mu zająć tylko dwie godziny, ale gdy dotarł do brzegu Mjøsy i chciał polecieć dalej nad Laugen, zszedł z kursu i był już tak zniecierpliwiony, że ledwie dawał radę lecieć prosto. W powietrzu tańczyły płatki śniegu, on zaś był wycieńczony, głodny, nieuważnie pociągał za dźwignie i gdy blériotem niebezpiecznie zarzuciło, musiał sobie powiedzieć: jesteś już tak blisko, nie wolno ci teraz umrzeć.

Chciał żyć i chciał, by żył jego brat. Zakładał, że Jehans może już być martwy, lecz zawsze istniał jakiś cień szansy, a on pragnął ścigać ten cień, tę szansę, że wszyscy będą żyli i podróżowali między Butangen, Finlaggan i Dreznem, tych pięcioro ludzi, którzy jeszcze zostali na świecie: Jehans Hekne, Kai Schweigaard, Kumara, Elsa Rathenau i on sam.

Zobaczył w dole łąkę, na której stały konie. Przeleciał nad nią nisko, zaganiając zwierzęta na jeden ze skrajów, po czym zawrócił i posadził samolot tam, gdzie pasły się przed chwilą.

Ujrzał gospodarstwo z opuszczoną do połowy masztu flagą na podwórzu.

Na łąkę wyszedł wysoki mężczyzna. Trzymał za rękę małego chłopca i przystanął dobry kawałek od niego. Victor dowiedział się, że wylądował w majątku Lo we Fron, a Butangen leży kawałek drogi na południe. Panowała tu żałoba, bo dwa dni temu umarł na hiszpankę gospodarz. Victor znajdzie Butangen, jeśli poleci nad rzeką z powrotem na południe, aż zobaczy kościół z białą wieżą, zaraz przed miejscem, w którym nurt staje się szeroki.

Dwadzieścia minut później Victor Harrison wylądował na kolejnej łące, a gdy zdjął pilotkę, stwierdził, że zdążył już zapaść ciemny, zimny wieczór. Zostawił blériota i pokuśtykał przed siebie.

Na wieczną pamiątkę

Wcześniej już miewał gorączkowe zwydy, ale ten majak był chyba najgorszy. Zdawało mu się, że Edgar Hekne, Victor Harrison, czy też kimkolwiek innym był ten człowiek, siedzi przy jego łóżku.

Postać w końcu zniknęła, a Jehans rzucał się dalej w malignie. Gdy oprzytomniał, Kai Schweigaard usiadł przy nim i nakarmił go łyżką. Jehans dotknął go, by sprawdzić, czy jest prawdziwy, a skoro był, to chciał go odepchnąć i szepnął, by odszedł, bo sam się zarazi.

Ale Schweigaard był całkiem spokojny i poprosił go, by jadł.

– Będę przy tobie, Jehansie. Do samego końca, jeśli ten koniec nadejdzie.

Przychodzili do niego i odchodzili, w gorączkowych wizjach albo naprawdę. Schweigaard, Adolf, Ingeborg, Victor Harrison, a potem znów Schweigaard. Wreszcie w drzwiach stanęła Kristine, a on zawołał, że muszą wybrać imię dla dziecka, które nosi pod sercem. Wybuchła płaczem i powiedziała mu, że przecież już to zrobili.

Zasnął na długo i gdy Kristine znów stanęła w progu, czuł się nieco silniejszy. Mówił do niej i zdawało mu się, że ona mu odpowiada, choć nie wiedział, czy i tej rozmowy nie odbyli już wcześniej.

– Kristine?

– Tak?

– Jeśli to się źle skończy...

– Tak, Jehansie?

– To ty byłaś wszystkim, czego pragnąłem. Nie ten majątek. Nie elektrownia. Tylko ty i może jeszcze dziecko.

– Będziemy mieli dzieci – odparła Kristine. – Czuję, jak kopią.

– To poszło tak szybko. Wszystko poszło tak szybko.

– Chciałabym cię objąć, Jehansie. Objąć i pocieszyć. A muszę tu stać.

Znów opadła go senna mgła, usta miał suche, czuł ucisk w piersi, a ona mu zniknęła i nie wiedział, czy wszystko to zdążył jej powiedzieć, czy tylko pomyślał te słowa.

Kolejny raz usłyszał szept. Zdawało mu się, że Schweigaard rozmawia z Victorem Harrisonem. Ich głosy rozlegały się gdzieś blisko, ale strasznie bolały go stawy i nie miał siły się odwrócić, by sprawdzić, czy ktoś rzeczywiście jest w izbie.

– Rozumiesz, że sam zachorujesz? – mówił Schweigaard. – Jeśli go z sobą zabierzesz?

– Zachoruję? A ty? – odezwał się głos Victora Harrisona. – Przecież tu siedzisz i go karmisz?

Jehans poczuł, że ktoś kładzie mu na czole wilgotną ściereczkę. Że robią to dłonie Schweigaarda. Pastor posmarował mu wargi kojącą maścią. A potem wstał. Przez zlepione ropą powieki Jehans zobaczył człowieka podobnego do brata, którego przed wieloma laty uderzył w twarz.

Brat ten podał mu cztery tabletki, prosząc, by je połknął.

Gdy się znów obudził, zdjęli z niego kołdrę, chwycili go pod pachy i podnieśli. Słyszał, jak Kristine krzyczy, że nigdy im tego nie wybaczy. Położono go na twardych noszach. Zakołysało nim, usłyszał rżenie konia i zobaczył, że jest w kościele. Musiał to być stary kościół słupowy, bo poczuł w nozdrzach zapach smoły i leżał na wznak w otwartej trumnie. Nie było najwyraźniej dość ludzi, bo go ponieść, bo trumna kołysała się z prawa na lewo, a oprócz woni smoły owiał go zapach lodowatej wody. Noc ustąpiła miejsca dniu, on zaś usiadł, by zawołać, że wcale nie umarł i nie uderzył głową w żadne trumienne wieko. Dopiero podniósłszy się, zrozumiał, że smołą pachniała Pastorówka, w której wypłynął na wody Løsnesvatnet.

Ubrali go w grubą kurtkę z brązowej skóry, łódź płynęła przed siebie z cichym trzaskiem, przebijając cienką warstewkę lodu, który skuł jezioro przez noc.

– Urósł od ostatniego razu – powiedział Victor Harrison, wskazując las skinieniem głowy.

Nie był mu w stanie odpowiedzieć.

Wypłynęli na środek jeziora. Woda była tu wolna od lodu, łódź sunęła po niej bezszelestnie. Victor machał wiosłami, co jakiś czas podnosząc oczy ku niebu.

– Właśnie o tej porze uczyłem się latać – powiedział. – Rankiem najsłabiej wieje.

Jehans leżał teraz oparty o burtę przy rufie i spoglądał na chmury. Odcinały się jaskrawo na tle nieba, odbijając w tafli wody, a gdy odrywał od nich wzrok, nie widział różnicy pomiędzy niebem a Løsnesvatnet.

– Potrafisz... potrafisz wzlecieć tak wysoko? – spytał, wskazując na chmury. – Tak jak one?

– Tak jak one wysoko – odparł Victor. – Albo głęboko.

– Głęboko?

– Każda chmura ma swój odpowiednik w wodzie. O ile ta woda jest spokojna. Tak jak teraz. – Victor powiosłował dalej i dodał: – Tak się właśnie zaczyna myśleć. Gdy się jest tam w górze.

Gdy znowu oprzytomniał, byli na tratwie. Jehans poczuł, jak woda obmywa mu łydki. Victor trzymał w rękach wiosło, próbując zachować równowagę. Zobaczył, że Schweigaard musiał kogoś poprosić, by dociągnął wiązania tratwy i zamontował talię. Tyle że wiązania trochę przegniły, kłody ocierały się o siebie, a on zadał sobie pytanie, czy konstrukcja udźwignie ciężar kościelnego dzwonu.

Nim znów doszedł do siebie, musiało minąć już sporo czasu, bo poranne słońce świeciło dużo jaśniej. Victor wiosłował ku pomalowanej na biało deseczce unoszącej się na wodzie. Kierował się prosto na nią, a gdy deska wypłynęła w otworze pośrodku tratwy, chwycił ją i przywiązaną do niej dratwę niknącą w głębinie. Opuścił czteroramienną kotwiczkę i zaczął wodzić nią przy dnie. Woda pluskała wokół trzymanej przez niego linki.

Pociągnął kotwiczkę ku górze. Wykonał nią kolejny wahadłowy ruch. Tam i z powrotem. Wodził nią między kamieniami i korzeniami zatopionymi w mule.

Tam i z powrotem.

Nagle wszystko zamarło, a tratwa obróciła się wokół własnej osi. Trudno było powiedzieć, czy schwycili coś w głębinie, czy to głęбина schwyciła ich.

Jehans starał się znaleźć oparcie dla rąk, cały czas wpatrując się w linkę. Jego brat przymocował ją do talii i zazgrzytały kółka zębate. Tratwa skrzypnęła, przyjmując tkwiący w głębinach ciężar. Pękło wiązanie i dwie kłody odłączyły się od konstrukcji. Victor rzucił się ku skrajowi tratwy, by utrzymać ją w równowadze. Drewno, mokra linka i krążki talii chrzęściły coraz głośniejsze i coraz bardziej rozpaczliwe. Wielki ciężar pod nimi kołysał się tam i z powrotem, przenosząc swoje ruchy na tratwę. Zęby krążków talii zgrzytały przeraźliwie, a wody Løsnesvatnet wokół nich były nieskończenie jasne, wielkie i ciche. Jehans osunął się plecy, ale brat ocucił go, szarpiąc go za ramię.

Talia nadal zgrzytała.

Z głębi zaczął wyłaniać się jakiś przedmiot, woda zafalowała, mącąc jego kontury. Tratwa przechyliła się, talia chrobotowała, a czarny kształt w głębinie był czarniejszy niż sama ta głęбина.

Wkrótce woda zaczęła chlupotać przez otwór pośrodku tratwy, Victor podniósł się i przytrzymał brata, drugą ręką nadal ciągnąc za linkę. W końcu dzwon wyrwał się z wody i podniósł z niej, niosąc ze sobą chłodny podmuch. Kołysał się przed nimi, ciemny i wielki, zarośnięty mułem. Denne błoto ściekało z niego powoli, odsłaniając przed nimi stopniowo wyrytą w brzoju inskrypcję. Biegła ona wokół całego wieńca, trudno było powiedzieć, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna, więc oczom ich nad powierzchnią Løsnesvatnet ukazał się napis:

MATCE ASTRID NA WIECZNĄ PAMIĄTKĘ

Sakrament dawnej wiary

Następnego dnia hiszpanka dopadła Victora Harrisona. Miał gorączkę i położył się w tej samej izbie co Jehans. Schweigaard zobaczył go rozebranego od pasa w górę i wzdrygnął się, widząc, jak bardzo jest wychudzony i poraniony. Przez całą szerokość jego klatki piersiowej biegła paskudna blizna, bark pokrywała wielka, wygojona już oparzelina. Żebra sterczały pod skórą, wiele z nich wyglądało, jakby krzywo się zrosły po złamaniu. Leżąc na łóżku, Victor wyglądał, jakby przez cztery lata stawał czoła wojnie, a teraz wreszcie się jej poddał, z każdą godziną coraz bardziej mizerniejąc.

Z Jehansem było tak źle, że już nie mogło być gorzej. Leżał spocony, milczący i wpatrywał się w sufit.

Następnego ranka stan Victora był właściwie taki sam jak brata. Schweigaard sprzeciwiał się Kristine, siedział u chorych i próbował karmić ich kaszą czy poić przegotowaną wodą. W końcu musiał wstać i wyjść na świeże powietrze. Pomyślał, że tak być nie może.

Gunhild wisiała w dzwonnicy. Po odwiezieniu Jehansa z powrotem do Hekne Victor owinął dzwon w płótno żaglowe i zawiesił go z pomocą pana Røhme. Poprosił kościelnego, by wyszedł, po czym zdjął płótno.

Było nadal wcześniej, gdy Schweigaard i Harrison minęli nagrobek Astrid i ruszyli dalej, ku otulonej listopadowymi chmurami wsi. Przeszli obok starej mleczarni i nowego, niegotowego jeszcze gmachu, zaś przy wejściu na plebanię Victor oddał pastorowi *Meyers Sprachführer für Reise und Haus* i poprosił, by napisał w jego imieniu do Kumary i Elsy Rathenau. Jeśli to wszystko źle się skończy.

– Czytałem w gazecie, że zmarło już wiele milionów ludzi – powiedział Harrison. – Zastanawiam się, czy ta zaraza będzie ciągle wracać. Tak że nigdy się jej nie pozbędziemy. Że nie odpuści, póki nas wszystkich nie wybije.

Potem poszli do Hekne. Majątek leżał przed nimi pogrążony w ciszy, jak na obrazie. Rozstali się przy kamiennych schodach. Za oknem chaty wycuźników stała Kristine.

Victor starał się powstrzymać kaszel. Powiedział:

– Wierzysz, że to koniec, pastarze? Nasz sąd ostateczny? To, co nazywacie tu nocą os...

– Oskrobaną.

– No właśnie. Nocą oskrobaną.

Schweigaard skierował spojrzenie ku cmentarzowi, zastanowił się przez chwilę i powiedział:

– Wcześniej tak myślałem. Ale teraz nie wiem. Najpewniej coś nas jeszcze czeka.

Victor poszedł do swojego brata, a Kai został sam na listopadowej szarówce i spoglądał na wieś. Do połowy masztu opuszczono dziś dwie flagi.

Te flagi, które wreszcie są nasze. W tym kraju, który wreszcie dostaliśmy dla siebie. Po to tylko, by zadać sobie pytanie, czy wszystko się teraz skończy. Czy ta zaraza pozabija każdego z nas. Zaraza, która opuszcza wszystkie flagi we wszystkich krajach świata.

Schweigaard spojrział w kierunku dzwonnicy. Czy było w niej dość miejsca? Dla każdego we wsi? I czy będzie musiał na wiosnę pochować ich sam?

Pod wieczór ich oddechy stały się krótkie i świszczące. W izbie chorych braci panował zaduch. Żaden z nich nie jadł ani nie pił tego, co im przynoszono.

Victor leżał spocony i popielaty na twarzy. Skopał z siebie prześcieradło, które leżało teraz splątane w nogach łóżka. A on nie miał już siły kopać. Cały czas mamrotał jakieś słowa. Na początku brzmiały jak imię dziewczyny, o której wcześniej opowiadał, Elsy Rathenau, ale potem stały się zupełnie niezrozumiałe.

Kai Schweigaard otworzył okno i ogarnęła go nagle taka rozpacz, że musiał się oprzeć o parapet. Nie, pomyślał. Nie. Nie zniosę tego kolejny raz. Nie zniosę, że wszyscy umierają.

Usiadł przy Victorze Harrisonie. Z jego ust dobywał się zgniły, kwaśny zapach, ciałem raz po raz wstrząsały dreszcze.

Nagle Victor otworzył szeroko oczy. Pastor był pewien, że to już koniec. Ale chory znów coś

wymamrotał. Nie brzmiało to, jakby mówił po angielsku. Melodia słów przywodziła raczej na myśl stary dialekt z okolic Butangen.

Schweigaard wstał. A jakbym przyniósł te poduszki? – pomyślał. Spróbował jeszcze jeden, ostatni raz?

Ale wiedział, że to niczego nie zmieni. Utkane w kole losy miały się dopełnić tej nocy.

Pastor wyszedł na podwórze i usiadł na zimnym, mokrym kamieniu. W oknie chaty wycuźników zobaczył Kristine. Jeszcze raz przemyślał wszystkie wypadki i doświadczenia swojego sześćdziesięcioletniego życia. Nie było ratunku. Żadnego lekarstwa.

Przypomniał sobie coś, co opowiedział mu kiedyś pewien drwal. Mężczyzna ten ranił się siekierą w brzuch. Nigdy nie chodził do kościoła, ale wtedy, w lesie, gdy jego życie wisiało na włosku, nie chciał ryzykować, dlatego też złożył dłonie na ranie i pomodlił się, żarliwie jak katolicka zakonnica.

Schweigaard poprawił sutannę i poszedł do kościoła, w którym od dnia, gdy zadzwoniła spod powierzchni wody Gunhild, nie odprawiono żadnego nabożeństwa. Wszedł do środka, stanął w nawie i odchrząknął, tak jak chrząka czasem człowiek, gdy wchodzi do własnego domu, a mimo to chce kogoś uprzedzić o swoim przybyciu.

Po śmierci Astrid uzgodnił z Bogiem, że porozmawiają ze sobą za cztery dekady. Do upłynięcia tego terminu brakowało jeszcze kilku lat. Lecz mimo to Kai Schweigaard ukląkł przy ołtarzu i oświadczył, że jest tu teraz, na wypadek gdyby Pan również przybył w umówione miejsce spotkania przed czasem.

Godzinę później wstał z klęczek. Poszedł na jej grób i stał nad nim dłuższą chwilę. W kościele przypomniało mu się coś jeszcze, tamta długa rozmowa, którą odbył z Astrid, gdy przyjechała z parobkiem zabrać zwłoki Klary Mytting, starej komornicy, przyprowadzonej przez dziewczynę do kościoła na noworoczne nabożeństwo. Biedaczki, która w tym kościele zamarzała na śmierć. Klary, kobiety przepełnionej żarliwą, dziecięcą wiarą we wszystkie możliwe przesady i zabobony.

Ułożył wargi w te słowa. Słowa, których nie słyszał od dnia, gdy Astrid Hekne siedziała w jego gabinecie blisko czterdzieści lat wcześniej.

Święty parch.

Rozmawiali o cudownych przedmiotach. Uzdrawiających relikwiach. Katolickich szkatułkach z puklami włosów i paznokciami, które leczyły chorych. Astrid zadała mu pytanie: „Kto decyduje, że jedno się liczy, a drugie nie?”. Przypomniał sobie teraz całą tę rozmowę. Klara chciała, by przyniesiono jej świętego parcha. „Twierdziła, że on rośnie wewnątrz kościelnych dzwonów i może leczyć różne choroby”.

Wrócił na plebanię, wziął ostrze znalezione w trumnie sióstr Hekne i powgniatany blaszany kubek, będący niegdyś na wyposażeniu starego kościoła. Podeszedł do rynny nieopodal grobu Astrid i zaczerpnął z niej trochę wody. Grób przysypany był cienką warstwą świeżego śniegu. Pastor przystanął przy wejściu do dzwonnicy.

Nigdy nie odszedł tak daleko od przesłania Biblii jak teraz.

A jednocześnie – może nigdy tak się do niego nie zbliżył. I co to właściwie za różnica – święty parch czy rozżarzony drut w smole?

Wiara, to ona o wszystkim decydowała. I tylko ona pozostawała, gdy nic innego nie pomagało.

Kolejny raz zadał sobie pytanie, czy faktycznie będzie mógł odpowiadać za to, co zaraz zrobi. Czy zdoła zdradzić swój własny rozsądek i wszystkie lata nauki.

Wiedział jednocześnie, że nie może postąpić inaczej. Musi w pełni uwierzyć, tak jak wierzyła Klara. Lecz nawet sama myśl o wierze niosła w sobie jakieś zastrzeżenie, dlatego też pastor oddalił od siebie wszystkie myśli i wkroczył do dzwonnicy.

Było tu teraz zupełnie inaczej. Przez okienka wpadała inna, szarawa poświata, panowała inna cisza. Trochę jak w kościele. Pastor dostrzegł w półmroku zwisający przed nim dzwonnny sznur. Skapująca z niego woda zostawiła na podłodze niewielką, szarą plamę.

Wspiął się po schodkach.

Czasami, gdy siedział w łodzi na wodach Løsnvatnet, budziła się w nim tęsknota za głębią. Fascynacja i strach. Zły brat lęku wysokości. To, co czuł teraz, było podobne, choć jednocześnie zupełnie

niepodobne do niczego. Pośrodku dzwonnicy wisiał samotny dzwon. Ciężki, twardy, ciemny i porośnięty patyną. Siostra innej siostry.

Kai Schweigaard chwycił za krawędź. Gunhild podążyła za jego ruchem i zakołysała się nieznacznie, jakby obudził ją nagle ze snu. Pastor zbliżył ostrze do wnętrza wieńca, poskrobał chwilę i zebrał do blaszanego kubka zielone drobinki. Nie mógł przy tym przytrzymać dzwonu, który wydał z siebie pod jego ostrzem głęboki ton. Nie brzmiał wrogo ani niechętnie, Gunhild pozwoliła mu zabrać to, czego potrzebował, a gdy zszedł po schodkach, pobrzmiwał za nim nadal cichy pogłos.

Pastor poszedł do Hekne, usiadł przy łóżku i zanurzył łyżeczkę w kubku. Na wodzie unosiły się ciemne płatki, a on wmusił trochę tej mikstury w Victora. Poszedł potem do Jehansa i zrobił to samo.

Postawił sobie krzesło na środku izby i usiadł.

Bracia rzucali się w ciemności na swoich posłaniach.

Nie mógł zrobić już nic. Zapadła noc, a on złożył dłonie do modlitwy.

Spotkanie po latach

Ukląkł przy grobie, ale tym razem zamiast Biblii podłożył sobie pod kolano drewnianą deseczkę. Był sierpień, niebieskie kwiaty dzwonnków zaczynały tracić swą barwę. Uprzątnął zwiędłe liście i przygotował grób na jesień.

Wiatr igrał w brzozowych gałęziach nieopodal dzwonnicy. Gdy pastor spoglądał przez nie na Løsnesvatnet, wstrząsane podmuchami listki zdawały się zlewać z migoczącą wodą, nadając jej zielonkawy odcień. Kiedy stawiano dzwonnice, pnie tych brzózek nie były grubsze od jego palca, a teraz ich korony sięgały wyżej niż dach.

Pani Røhme nadal była w żałobie, ale podniosła się już z bezbrzeżnej rozpacz, która mimo wszystko jej nie złamała. Kobieta siadała co rano przy grobie Simena, lecz potrafiła znów śmiać się z pozostałymi dziećmi. Pan Røhme – cóż, on to przeżywał na swój sposób. Schweigaardowi ścisnęło się gardło, gdy patrzył, jak kościelny pielęgnuje cmentarz. Nigdy nie przystawał zbyt długo nad grobem syna, ale wyrobił sobie zwyczaj noszenia w kieszeni ziaren pszenicy, które rozsypywał codziennie w pobliżu, zapraszając w odwiedziny do Simena pliszki i żółte trznadle.

Wszyscy sobie jakoś radzimy.

Radzimy sobie, jak tylko się da.

Wcześniej tego dnia Kai wysłał gobelin i poduszki sióstr Hekne na zasłużony odpoczynek. Znalazł dla nich miejsce w malowanej na niebiesko skrzyni ustawionej w izbie sąsiadującej z jego gabinetem i zakładał, że sięgnie po nie znowu dopiero za wiele lat. Zanim je schował, rzucił ostatni raz okiem na poduszkę Gunhild i przyjrzał się jednemu z renów. Myślał, że zwierzę upadało, ale zrozumiał, że upadek i powstanie są do siebie bardzo podobne. Podobnie było z inskrypcją na dzwonie, którego kształt sprawiał, że można było za jednym razem przeczytać tylko część tekstu. Znaczenie różniło się w zależności od tego, od którego słowa człowiek postanowił zacząć, bo każde z nich mogło być zarówno końcem, jak i początkiem.

Dobrze, pomyślał, wkładając do skrzyni poduszki i ostrze. Dobrze, pomyślał, zwijając Tkaninę z Hekne w rulon i umieszczając ją obok nich.

Dobrze.

Zamknął skrzynię, podszedł do drewnianej rzeźby wyobrażającej Zbawiciela na krzyżu, powiesił klucz na jego palcu od nogi i skinął mu głową. Była wczesna jesień, popołudnie, ale zostało jeszcze dużo dnia i wiele dni do końca roku. Pastor doskonale wiedział, że i jemu pozostało jeszcze dużo życia. W kolejnym tygodniu miał pojechać koleją do Dovre. Nie bardzo wiedział, czego oczekuje po tych odwiedzinach, ale zbawieniem byłoby dla niego po prostu usiąść przy jej stole.

Opadł na ławkę i rozejrzał się dookoła. Był już na tyle stary, by przyglądać się wiejskiemu życiu przez lornetkę i nie musieć się tego wstydzić. Lubił spoglądać ku skrajowi mokradeł, tam gdzie przebiegała nowa droga, ciekawiło go, kto wraca z wyprawy do Fåvang. Zapalił fajkę i ujrzał zaprzężony w dwa konie powóz wylaniający się zza wierzchołka wzgórza. Oba konie należały do Hekne, on zaś zostawił lornetkę na ławce i pospieszył, nieco sztywnym i nierównym krokiem, ku Pastorówce. Powiosłował na drugi brzeg i zaczekał. Powóz znowu znalazł się w zasięgu jego wzroku, a woźnica zatrzymał konie, Schweigaard nie musiał mu nawet machać.

– Jak miło z twojej strony – powiedziała Kristine.

– Takie to radości ma z życia podstarzały pastor.

Przekazała mu, że udało jej się dostać osiemdziesiąt kilo kawy, pięć worków kaszy sago, duży karton zapalek i skrzynkę naboji do strzelby, ale że cukier jeszcze jakiś czas będzie racjonowany. Najbardziej sensacyjną wiadomością było jednak to, że dostawca kupca Tutki nabył nowiutki amerykański samochód ciężarowy – wóz był soczyście zielony i miał błyszczące zderzaki. Dzieci kłębiły się wokół niego jak muchy wokół kawałka mięsa, a kierowca pozwolił im wsiąść na pakę i przewiózł je po okolicy. Schweigaard zaśmiał się i powiedział, że wkrótce pewnie zbudują tak dobrą drogę, by napędzane benzyną samochody mogły dojeżdżać aż do Butangen.

– I bardzo dobrze – powiedziała Kristine. – Ale nieważne, jak dobrą położą drogę, zawsze będzie najmilej przepłynąć ten ostatni kawałek łodzią.

Schweigaard odwrócił się i skierował Pastorówkę ku brzegowi przy kościele, wduśił stopy w dno i powiosłował tak, jak wiosłował zawsze – miarowo i szybko. Stosunkowo szybko. W ostatnim czasie zawodziła go trochę pamięć, zaczynał mieszać daty i nazwiska, ale jego ciało było nadal zdrowe i silne.

– Podziękowali ci? – spytała Kristine. – Tak jak należy?

– O tak. Na swój sposób. Oddzielnie i razem. Spodziewasz się ich dzisiaj?

Pokręciła głową.

– A kto tych dwóch wie, kiedy wrócą. Wczoraj wieczorem zmienił się wiatr, a to może znaczyć, że reny się w nocy ruszyły. Więc może na nie wpadli o świcie, a jak coś ustrzelili, to doniosą zdobycz do wsi pod wieczór. Może.

– W górach czas płynie tak jak przed stuleciami – powiedział Schweigaard. – Ludzie się tam nigdzie nie spieszą.

– Hm?

– Tak to sobie porównuję: pomyśl, jak to było, kiedy on tu pierwszy raz przyjechał. Powiedział chyba, że podróż z Anglii zajęła mu jakieś osiem czy dziewięć dni. Przed zbudowaniem kolei trzeba się było szykować na dwa tygodnie w drodze. A w zeszłym roku on nam tu przyleciał w czternaście godzin.

– Cieszę się, że ten jego samolot już nie będzie latał – stwierdziła Kristine. – Chociaż mówi, że kupi sobie nowy. Taki do transportu towarów. Ma już obmyślony cały plan.

– On cały czas snuje jakieś plany.

– Pojawia się tu nagle i równie nagle znika. Aż dziwne, że nie boi się wszystkich tych wypraw. Na przykład że statek zatoni. Albo spadnie samolot. Albo wykolei się pociąg.

– Faktycznie – stwierdził Kai. – Nie boi się. Ale właśnie do tego został stworzony.

Nie przestawał wiosłować, gawędząc z Kristine. Jesienny wiatr rysował wzory na wodzie dookoła nich, zupełnie jak ostrożne muśnięcia pędzlem, widoczne tylko przez chwilę, nim wiatr przenosił się nieco na południe, by to tam się zabawiać. Powiedziała mu, że nowa mleczarnia będzie przyjmować mleko od stycznia. Musieli sprzedać prawo do łowiska i jedno z górskich pastwisk, by zdobyć pieniądze na separatory i pasteryzator. Jehans nie był zachwycony takim dzieleniem majątku, ale pocieszał się myślą, że prawa do połowu i pastwiska wyprzedawano też wtedy, gdy gospodarstwo tonęło w długach po odlaniu Siostrzanych Dzwonów. Zamierzali uczcić otwarcie mleczarni rozdaniem darmowych próbek specjału, którego wyrobu Kristine nauczyła się w szkole w Levanger. Nikt we wsi wcześniej niczego takiego nie kosztował.

– Mówi się na to lody. Tobie też zasmakują, Kaiu. Dodajemy do nich truskawki. Są teraz samochody z takimi chłodziarkami, żeby je trzymać w zimnie, za kilka lat będziemy mogli zacząć sprzedaż na dużą skalę. Pomyślałam, że nazwę je Døla-is. Lody z Doliny.

Pogoda dopisywała jak na tę porę roku, pastor patrzył na tę kobietę siedzącą w łodzi na wodach Lønesvatnet, pośród stromych zboczy Butangen i widział, jak doskonale pasuje do miejsca, w którym przyszło jej żyć.

– Nad czymś się zastanawiam – powiedziała Kristine. – Jakim cudem miałeś odwagę opiekować się Jehansem i Victorem, gdy leżeli chorzy na hiszpankę? I doglądać tych wszystkich innych?

Pastor odpłynął myślami gdzieś daleko, nagle zobaczył, że kobieta macha mu ręką przed twarzą, by zwrócić na siebie uwagę.

– Co takiego? – zapytał.

– Zapytałam, jak... uważaj, wpadniemy na mieliznę.

Odwrócił się, odepchnął jednym wiosłem i skierował łódź z powrotem w kierunku kościoła.

– Chyba zszedłem trochę z kursu. O co mnie pytałaś?

– Jakim cudem miałeś na to wszystko odwagę? – powtórzyła Kristine. – Nie bałeś się, że sam zachorujesz i umrzesz?

– Ach, tamto. Cóż. Pastorowi nie wolno kłamać. Ale może on pewne sprawy przemilczeć.

Kristine kiwnęła głową, ale nie była zadowolona.

– A zresztą – dodał Schweigaard. – Może ci on powiedzieć, że ukazał mu się kiedyś znak.

Z którego wynikało, że nie umrze na udar ani na chorobę.

Byli już prawie przy brzegu, Kai machnął wiosłami jeszcze czterokrotnie, po czym je odłożył, poczuł, jak dno łodzi szoruje o żwir, i tak oto ich podróż dobiegła końca. Lubił przybijać do Butangen w ten sposób, wolał to od gramolenia się na pomost w przystani, bo tutaj czuł się, jakby pod stępką rozkładała się czyjaś wielka dłoń, jakby ktoś chwycił Pastorówkę i przyciągał go mocno do siebie, mówiąc: Wreszcie wróciłeś, Kaiu Schweigaardzie.

Pomógł jej wyjść na ląd i spytał, czy chce poczekać na powóz, ale ona mu powiedziała, że Topielcowa pojedzie prosto do sklepu zawieźć tam towary.

– Ach, to ona powoziła?

– Tak. Cały sklep prowadzi właściwie sama. Trochę zaczyna się rządzić, ale mi to w sumie nie przeszkadza.

Ruszyli w górę zbocza i doszli do miejsca, z którego rozciągał się widok na dzwonnice.

– Zostało już tylko dwanaście dni – powiedział Schweigaard.

– Ciekawe, co ludzie sobie pomyślą – rzuciła Kristine. – Wszyscy już zapomnieli, jak ona brzmi.

Co powiesz, kiedy spytają, jak do nas wróciła?

– Nawet jak ktoś spyta, to niekoniecznie usłyszysz odpowiedź. Mogę się teraz wymawiać wiekiem.

– To będzie też dzień Victora i Elsy, prawda? Dzwon w Dreźnie też dla nich wtedy zabije?

– Tak właśnie się stanie.

– Jak mu się to udało?

– Ach, wystarczyło ustalić datę i godzinę. Zdaje się, że on zna tamtejszego kościelnego. Halfrid zabije tam o jedenastej na ich ślub, a tu Gunhild na wasz chrzest.

– Dobrze, że on się żeni. Nigdy nie widziałam bardziej samotnego mężczyzny.

– Hm – mruknął Kai Schweigaard.

– Myślisz, że kiedyś tu przyjadą? Żebyśmy mogli ją poznać?

– O tak, taki jest plan. Victor wspominał o wiośnie przyszłego roku.

– A ten, co będzie w Dreźnie jego drużbą, to jakiś kolega z wojska?

– Nie, Victor mówił, że poznali się na Cejlonie przed wieloma laty. Ten jego przyjaciel ma wielką chęć zobaczyć Norwegię, więc pewnie też do nas zawita.

– Ale tak czy inaczej. Trochę smutno, że na ich ślubie nie będzie nikogo stąd.

– Cóż...

Kai Schweigaard zamilkł.

– Co takiego?

– On mi o tym ostatnio wspomniał. Nie zawsze potrafię go zrozumieć, ale pewnego wieczora siedzieliśmy u mnie w salonie, zrobiło się bardzo późno, a on powiedział, że w Dreźnie, w naszym starym kościele, jest ktoś z Butangen. Ktoś, komu zagrają norweski psalm, gdy dzwon zabije na ich ślub.

Weszli na podwórze w Hekne. Nie zobaczyli stojących przy drzwiach karabinów, zerknęli na czubki brzoź, próbując ocenić kierunek wiatru, i doszli do wspólnego wniosku, że bracia wrócą pewnie do domu wieczorem. W gospodarstwie mieszkało teraz całkiem sporo ludzi. Jehans i Kristine przyjęli pod swój dach rodzinę z trojgiem dzieci, która wróciła z Ameryki, a do jednej z izb w chacie wycuźników wprowadził się Isumczyk, wielki jak olbrzym i silny, lecz skłonny do pijaństwa chłop pochodzący z Isum w okolicy Hundorp. Został wcześniej zatrzymany za włóczęgostwo i skierowany do nich do pracy w zamian za wikt i opierunek. Ingeborg i Adolf byli już przygłusi i powykręcani reumatyzmem, ale ich wola niesienia pomocy okazała się silniejsza niż starcze dolegliwości, a po skończonym dniu pracy Ingeborg lubiła rozsiadać się wygodnie w bujanym fotelu dawnej gospodyni i jeść chrupiące gofry na śmietanie.

Kai Schweigaard i Kristine weszli do izby na parterze, a Ingeborg powiedziała im, że mają być cicho, bo dopiero co udało jej się ułożyć dzieci do snu. Lecz one i tak się obudziły, wyczuwszy powrót matki, Kristine wzięła chłopca na ręce, zapewniając, że tak, zaraz dostanie mleka. Schweigaard zaczął się zbierać do wyjścia, ale Kristine zaprotestowała, mówiąc, że musi w końcu choć spróbować potrzymać dzieci. Pastor ostrożnie wziął od niej chłopca. Mały przebierał spokojnie nogami, rozglądając się dookoła, Kai zaś zaniósł go do okna, by wyjrzał na świat. Miał dostać na chrzcie imię Tarald, po ojcu

Kristine. Stali tak chwilę, aż w końcu Schweigaard oddał go matce. A potem wziął na ręce dziewczynkę i także jej pokazał widok na Løsnesvatnet.

Była niecierpliwa, wierzyła i wymachiwała rączkami, on zaś uśmiechnął się, myśląc o imieniu, które zapisze w kościelnych księgach, tego samego dnia, gdy znów zabiją oba Siostrzane dzwony:

Astrid Regine Hekne. Urodzona 22 maja 1919 roku.

Chwycił małą mocniej i poczuł niezłomną wolę w tym dziecięcym ciałku. Zdziwiająco miękkim, lecz jednocześnie takim silnym. Dziewczynka zapłakała i zaczęła mu się wrywać, on zaś uciszał ją, powtarzając cicho: „No już, już”. Zakołysał Astrid w ramionach i zajrzał jej w oczy, a ona odwzajemniła jego spojrzenie, rozpoznała go i się uspokoiła.

Pragnę złożyć niewyobrażalnie wielkie podziękowania Marianne Vedeler, Olemu Kristianowi Bondenowi, Asbjørnowi Fretheimowi, Grete Lilleseier, Kari-Anne Pedersen, Ingemu Asphougowi, Kirsti Krekling, Guri Ruste, Janowi-Lauritzowi Opstadowi, Hansowi Martinowi Lie, lordowi Jamesowi Percy'emu, gamekeeperowi Johna Kinga and The Seven Loaders of Linhope, Anette Storeide, Stigowi Wernø Holterowi, Perowi Olawowi Flø, Kristin Fridtun, firmie Elverum bil og dekk, Carlosowi Zoedze i Arvidowi Nordquistowi, Leonowi i wszystkim w Gyldendalu, Gudrun Hebel i, jak zwykle, Tuvie, Hedvig i Selmie oraz mojej matce Randi. Ponadto kieruję największe wyobrażalne podziękowania do wielu doskonałych pomocników, których tu co prawda nie wymieniam, ale oni wiedzą, że o nich chodzi. Podobnie jak w przypadku *Siostrzanych Dzwonów*, nazwiska i nazwy gospodarstw pochodzą z rejonu Gudbrandsdalen, ale nie odpowiadają żadnym faktycznie żyjącym ludziom ani rzeczywiście istniejącym majątkom. Napis wykonany ołówkiem na Halfrid to cytat z Nikolausa Steno z roku 1673, opis ostatniej podróży blériotem zainspirowany jest dziennikiem Tryggvego Grana z roku 1914, zaś w tworzeniu scen wiejskiego życia bardzo pomogły mi książki Einara Hovdhaugena. Historie o bliźniaczkach Hekne i zaginionym gobelinie zainspirowane są legendami z północy Gudbrandsdalen, lecz losy sióstr i opis samej tkaniny to moje własne wymysły. Rozdział osadzony w roku 1612 poświęcony jest wydarzeniom historycznym, lecz ich powiązanie z siostrami Hekne nie ma umocowania w żadnej lokalnej legendzie. Staralem się jednak opowiedzieć tę historię zgodnie ze starą ustną tradycją typową dla Doliny, zakładającą splatanie ze sobą bardzo różnych elementów prawdy i fikcji w jedną spójną opowieść. Nie sposób więc pominąć milczeniem tego, że Łaciaty Wilk faktycznie jest starą kosą z Ringebu, a szyny linii kolejowej Dovre położono na grobach szkockich najemników, jak również – kilkadziesiąt kilometrów dalej na północ – w miejscu, gdzie wznosiły się niegdyś zabudowania Hekne.